



MIROSLAV ŽAMBOCH

BAKLY TOM 1 SZUKAJĄC ŚMIERCI



fabryka słów
WYDAWNICTWO

MIROSLAV ŽAMBOCH

BAKLY **TOM I** **SZUKAJĄC
ŚMIERCI**

przełożył
Konrad Bańkowski

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

COPYRIGHT © BY Miroslav Žamboch
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-437-7

TYTUŁ ORYGINAŁU: HLEDÁNÍ SMRTI

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Vladimir Nenov

PROJEKT GRAFICZNY SERII I OPRACOWANIE OKŁADKI

SZYMON WÓJCIAK

ILUSTRACJE

Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE

Konrad Bańkowski

REDAKCJA

Agnieszka Pawlikowska

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 2519
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow/](https://www.instagram.com/fabrykaslow/)

Spis treści

Prolog

Rozdział 1 Spisany na straty

Rozdział 2 Przetasowanie

Rozdział 3 Baronówna Zuzanna Münchauzen

Rozdział 4 Ojciec i córka

Rozdział 5 Powrót z nicości

Rozdział 6 Na peryferiach

Rozdział 7 Formalnie i nieformalnie

Rozdział 8 Zabójcy i ofiary

Rozdział 9 Jak za młodych lat

Rozdział 10 Detale

Rozdział 11 Pałaca lekcja

Rozdział 12 Zaciekawiony widz

Rozdział 13 Zabójca i czarodziej

Rozdział 14 Masaż

Rozdział 15 Pracujący człowiek

Rozdział 16 Na szczycie łańcucha pokarmowego

Rozdział 17 Kolektor

Rozdział 18 Ciężki dzień wielkiego mistrza

Rozdział 19 Odwiedziny dniem i nocą

Rozdział 20 Niebezpieczne zakłady

Rozdział 21 Na rozstajach

Rozdział 22 Niebezpieczny posiłek

Rozdział 23 Markiz Henry Parleur

Rozdział 24 Zabawa w kotka i myszkę

Rozdział 25 Praworządny obywatel

Rozdział 26 Kto kogo

Rozdział 27 Sprawy codzienne

Rozdział 28 Intrygi klanowe

Rozdział 29 Degustacja

Rozdział 30 Cień prawie niewidzialny

Rozdział 31 Na żołdzie czarodziejów

Rozdział 32 Obowiązki towarzyskie

Rozdział 33 Zdobycz

Rozdział 34 Kolektor

Rozdział 35 Zbieg okoliczności

Rozdział 36 Wiadomość

Rozdział 37 Rekonwalescencja

Rozdział 38 Gruman i rybaczka

Rozdział 39 Demon stali

Rozdział 40 Markiz i baronówna

Rozdział 41 Nieoczekiwana zmiana

Rozdział 42 Apetyt na ludzi

Rozdział 43 Głaz w ruchu

Rozdział 44 Licytacja

Rozdział 45 Umieranie w pyle

Rozdział 46 Klanowa polityka

Rozdział 47 Spragniona pogawędka

Rozdział 48 Rendez-vous w kanałach

Przypisy

Prolog



Hrabia Varatchi wlał resztkę zawartości karafki do kielicha wykonanego z jednej bryły doskonale przejrzystego kwarcu. Sprawiało mu przyjemność picie wina z naczynia pochodzącego z czasów wybiegających poza ludzką pamięć, z okresu sprzed Wielkiej Wojny. Kielich był ciężki, chłodny w dotyku. Nalany do niego trunek nabierał blasku i jakimś zaskakującym sposobem zachowywał idealną temperaturę. Varatchi był przekonany, że białe wino zawsze pozostawało w nim chłodniejsze niż czerwone. Choć oczywiście mogło mu się tak tylko wydawać. Porzucił jednak rozmyślenia nad artefaktami i skupił się na tekście, który miał przed sobą.

Był to raport agenta z klanu Godetu, który śledził Janicka, przywódcę klanu Rumelkowego. Godzinę wcześniej hrabia studiował już analogiczne sprawozdanie, pochodzące od agenta z klanu Haeren. Wnioski w obu dokumentach były podobne, różniły się jedynie w interpretacji poczynań jego faworyta. I to właśnie tym różnicom przyglądał się teraz z uwagą, bo dawały mu one pośredni wgląd w ukryte zamiary przywódców klanów. Nie miał wątpliwości, że raporty te były przygotowane, a przynajmniej zredagowane przez nich osobiście.

Skupił się na chwilę na poprzedniej myśli. Czy rzeczywiście Janick był jego ulubieńcem? Właściwie chyba tak. Varatchi doceniał jego pragmatyczną bezwzględność w działaniu, ale przede wszystkim fakt, że Janick był od niego w pełni zależny, co było efektem zamierzonych i wyrafinowanych poczynań. Varatchi umyślnie izolował go od pozostałych czarodziejskich klanów, równocześnie wzbudzając w Janicku lęk i nieufność do nich. W ostatnich kilku latach czasy się rzeczywiście znacznie zmieniły

i Varatchi już naprawdę mógł mówić o całych magicznych klanach na swoich usługach. Zakon pogromców magii i czarodziejów, przez wieki jedna z najpotężniejszych organizacji, powoli sypał się w gruzy. Faktycznej władzy nie miał już żadnej, pozostała jedynie formalna fasada.

Upił wina i odsunął od siebie stos papierów. Zamiary przywódców klanów to jedno, tym będzie się mógł zająć kiedy indziej. Na razie ich szpiedzy potwierdzili rzecz najważniejszą – że Janick gra z nim w otwarte karty. Informacje, których mu dostarczono, wyglądały na wiarygodne. W przyszłości będzie jednak musiał wy badać, czy też między agentami nie doszło do jakiegoś porozumienia za jego plecami.

Wiarygodność informacji to był klucz. Wyłącznie dzięki temu mógł nie tylko utrzymać swą obecną pozycję, ale też ciągle próbować wspiąć się wyżej.

Z kolei o tym, co zamierzał on, drugi najpotężniejszy człowiek świata, pojęcia nie miał nikt. No, może poza Janickiem.

Varatchi upił kolejny łyk i z niechęcią przyjrzał się swoim kościstym palcom i pokrytym plamami grzbietom dłoni. Jego postępujący wiek stawał się coraz bardziej widoczny. Zastanowił się chwilę nad tym, że im więcej człowiek skupia władzy, tym więcej ma problemów do rozwiązania.

Chwycił za sznur ukryty za długą, wąską kotarą zwisającą tuż przy ścianie. Odczekał, aż służący otworzy jedno drzwi, przejdzie przez sąsiednie pomieszczenie, otworzy kolejne i wkroczy do gabinetu. Varatchi był przekonany, że gdyby się skupił, przypomniałby sobie jego imię. Mężczyzna służył u niego już dość długo. Ostatnimi czasy zaczął trochę utykać na jedną nogę, ale to Varatchiemu nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, czyniło starego jeszcze bardziej od niego zależnym. Wiekowy i nie w pełni sprawny, próżno szukałby innego zajęcia.

– Wprowadźcie wielkiego mistrza – nakazał hrabia.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, obrócił się tylko na pięcie i poszurał z powrotem tam, skąd przyszedł.

Janick, wielki mistrz klanu Rumelkowego, pojawił się po krótkiej chwili z niewielkim plikiem papierów w dłoni.

– Cieszy mnie niezmiernie, panie, że mogłeś mnie przyjąć. – Zgiął się w sztywnym pokłonie.

Varatchi przez chwilę mu się przyglądał. Pomijając uszyte z lepszych materiałów ubranie i dobrej jakości buty na miękkiej podszewie, umożliwiające bezgłośnie przemieszczanie się po pałacowych posadzkach, nie zmienił się wcale. Varatchi ze zdziwieniem skonstatował, że Janick w ogóle nie nabrał ciała, a jego oczy gorzały gorączkowym, niezdrowym blaskiem. Wszyscy informatorzy potwierdzali jedno: Janick był bez wątpienia fanatykiem, motywowanym obsesją poznania magii i jej pełnego opanowania. I jak do tej pory dzielił się ze swoim mocodawcą wszystkimi informacjami bardzo sumiennie. Czego nie dało się powiedzieć o innych. Na ich nieszczęście.

– Chcieliście się ze mną zobaczyć – odparł Varatchi, nie wdając się w uprzejmości.

– To prawda, mój panie. Sądzę, że udało mi się wypełnić jedno z zadań, które mi powierzyliście.

To Varatchiego zaintrygowało. Nie zdarzało się często, aby którykolwiek z podwładnych nie tylko wypełnił jedno z jego skomplikowanych zadań, ale jeszcze na dodatek domagał się audiencji, aby osobiście przedstawić wyniki. Gestem zezwolił Janickowi wyprostować się i stanąć nieco wygodniej, ale krzesła mu nie zaproponował. Już sam fakt, że przyjmował go w swoim gabinecie, był wystarczająco nobilitujący. Od nadmiaru uprzejmości niejednemu się już w głowie poprzewracało.

– Zadanie? Czego dotyczyło?

– Starości.

Varatchi wciągnął powietrze, starając się z całych sił ukryć swoje podekscytowanie. Starzenie się było czymś, o czym rozmyślał niemal codziennie. Owszem, pochodził z rodu, w którym mężczyźni regularnie dożywali zaawansowanego wieku, i to w stosunkowo dobrym zdrowiu, jednak on sam czuł, że siły zaczynają go opuszczać.

Tylko dzięki temu, że spędził pół wieku w świecie knowań i intryg, udało mu się teraz zachować idealnie kamienną twarz.

– Mówcie – przykazał.

– Moja analiza opiera się na studiach starych tekstów, z których większość musiałem przełożyć własnoręcznie – zaczął bez zbędnych wstępów Janick.

– A na ile ufacie swoim zdolnościom translatorskim? – wszedł mu w słowo Varatchi, obracając w palcach kielich. Na samo wino chwilowo stracił ochotę.

– W pełni, mój panie. Jednak muszę przyznać, że przekłady z języków martwych, zwłaszcza w obrębie magii, mogą być problematyczne. Mimo to jestem przekonany, iż ten tekst udało mi się przetłumaczyć dość dokładnie. Proces został opisany podobnie także w innych miejscach i wydaje się całkiem sensowny. Według mojej oceny – dodał ostrożnie po krótkim namyśle.

– I bylibyście gotowi wypróbować tę procedurę na sobie? – nieomal warknął Varatchi.

O tym, jak trudne bywają przekłady z języków martwych, sam wiedział więcej niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem Janicka, a problem starzenia się dotyczył go coraz bardziej natarczywie.

– Oczywiście, mój panie. Jednak jest ona tak kosztowna, iż obawiam się, że może być dostępna jedynie dla cesarza.

Uwagę o tym, że nie jest władcą imperium, Varatchi puścił mimo uszu. To właśnie poszukiwanie eliksiru nieśmiertelności (albo przynajmniej wydłużonego życia) doprowadziło do ochłodzenia stosunków między nim a jego szlachetnym kuzynem. Nieznacznego ochłodzenia, to prawda, niemniej Varatchi miał nadzieję przedłużyć swoje aktywne lata o dekady, może nawet wieki i ta perspektywa kładła się pewnym cieniem na ich relacjach. Gdyby plan się powiódł, Varatchi mógłby sam sięgnąć po cesarski tron i stać się władcą świata. Nad tym właśnie pracował. To był cel ostateczny. Myśl, że poświęciłby się tej idei, mając do dyspozycji najwyżej kolejne dziesięć czy dwadzieścia lat, była najzwyczajniej szalona. Potomków żadnych nie posiadał, praca na spuściznę rodu była bezcelowa.

Staranie się o tron władcy świata miało sens jedynie wtedy, gdyby na długie lata zasiadł na nim on sam.

Varatchi w milczeniu sięgnął pod biurko, wyciągnął niewielką kuszę i załadował ją. Bez słowa podał broń Janickowi, który ostrożnie uniósł ją w oczekiwaniu. Varatchi na migi nakazał wielkiemu mistrzowi otworzyć drzwi i strzelić.

Janick skinął ze zrozumieniem i posłusznie przemieścił się we wskazanym kierunku. Varatchi obserwował go z zainteresowaniem. Przywódca klanu Rumelkowego działał spokojnie, bez zbędnego zastanowienia. Dostał rozkaz i go wykonywał.

Janick dotarł do drzwi, nacisnął klamkę i gwałtownym ruchem je otworzył. Uniósł rękę z kuszą i strzelił. Varatchi ze swojego miejsca nie widział wnętrza drugiego pomieszczenia, ale wydało mu się, że coś usłyszał. Nie był jednak pewien, słuch też mu już ostatnio szwankował. Tymczasem Janick zamknął drzwi, wrócił do biurka i ostrożnie położył na nim kuszę. Nabrał powietrza, jednak Varatchi nie zdołał się powstrzymać i odezwał się pierwszy:

– Był tam ktoś?

– Owszem – odparł Janick – ten sługa, który mnie tu wprowadził. Podśluchiwał za drzwiami i nie zdążył umknąć na czas. Trafiłem go prosto w pierś. Jeśli źle zrozumiałem wasz rozkaz, panie, proszę o wybaczenie.

– Dobrze zrozumieliście – warknął rozdrażniony Varatchi.

Deleman. Nazywał się Deleman, przypominał sobie nagle. Spędził w służbie ponad trzydzieści lat i Varatchi miał do niego zaufanie. Teraz okazało się, że był to błąd. Varatchi wiedział, dla kogo tamten szpiegował. W grę wchodził jedynie cesarz. Ktokolwiek inny już dawno wykorzystałby pozyskane informacje przeciwko Varatchiemu i szpieg zostałby zdemaskowany. Tymczasem, jeśli chodziło o dwie najpotężniejsze, a zarazem spokrewnione osoby w cesarstwie, do niedawna ich interesy były zbieżne. Sprowadzały się głównie do budowania i umacniania imperium.

To się teraz zmieniło i jedyne, co wciąż chroniło Varatchiego przed odkryciem jego tajemnicy, to wrodzona i doprowadzona do doskonałości dziesięcioleciami doświadczeń ostrożność.

– Mówcie. Mówcie dalej o tym eliksirze nieśmiertelności – nakazał Janickowi.

– Niestety, panie, w dosłownym znaczeniu nie jest to eliksir nieśmiertelności. Chodzi raczej o... nazwijmy to, medykament, który organizm odmładza i konserwuje jego stan na okres stu, może nawet dwustu lat. Na tym możliwości preparatu się kończą.

Varatchi poczuł, że ma chęć zerwać się z krzesła i krzyknąć z radości. Odmłodzenie i dodatkowe dwieście lat życia? To o wiele więcej, niż miał nadzieję realnie uzyskać. Nie był głupcem, zdawał sobie sprawę z tego, że eliksir nieśmiertelności jest co najwyżej bajką.

– Mówcie dalej – przykazał.

Janick mówił rzeczowo i bez emocji, jego relacja roiała się od szczegółów, a nawet zapamiętanych cytatów. Trwało to na tyle długo, że Varatchi wreszcie mu przerwał i na chwilę się zamyślił.

– Jeśli dobrze wszystko zrozumiałem, to musiałbym spłodzić kilkoro dzieci, tak? – upewnił się.

– Przynajmniej dwanaścioro – odparł Janick z kamienną twarzą. – Sześciu chłopców i sześć dziewczynek. Byłoby idealnie, gdybyście mogli tego, panie, dokonać z własnymi siostrami, ale jeśli jest to niemożliwe, da się obejść i bez tego.

Varatchi poczuł ogromną ulgę. Całe szczęście, że nie miał sióstr. Wyobraził sobie, że spanie z nimi stanowiłoby doświadczenie co najmniej... nieprzyjemne.

– A potem muszę je zjeść?

Ta myśl była już do tego stopnia odpychająca, że Varatchi ledwo zdołał powstrzymać grymas obrzydzenia. Janick z kolei wydawał się idealnie obojętny. Chociaż nie... Kiedy usłyszał pytanie, przez jego twarz przeleciał ledwo dostrzegalny wyraz rozdrażnienia. Jak u kogoś, kto musi po raz kolejny tłumaczyć tę samą rzecz.

– Oczywiście, że nie – uściślił natychmiast w odpowiedzi – nie całe. Tylko określone części ich ciał. Kawałeczki tylko. Szpik z długich kości, wybrane fragmenty mózgu, jajniki dziewcząt, jądra chłopców i parę innych gruczołów. Wszystko, rzecz jasna, ugotowane, przyprawione. Surowego nic nie trzeba spożywać.

Z magicznego punktu widzenia to są składniki niezbędne do odmłodzenia.

– No to mi ulżyło – wymamrotał Varatchi bez humoru.

Przez następnych kilka minut hrabia dumał w milczeniu. Janicka to najwyraźniej nie spieszyło. Stał cierpliwie, sam zamyślony, i oczekiwał na decyzję swego pana.

– Nie ma mowy – oświadczył wreszcie Varatchi.

Janick spojrział na niego pytająco.

– Ale czemu, Ekscelencjo? Dysponuję wiarygodnymi źródłami, które podają, że w przeszłości się to parokrotnie powiodło. Mam na to konkretne dokumenty.

Varatchi przyjrzał się swemu podwładnemu z zaciekawieniem. Próbował odgadnąć, co siedzi mu w głowie. Najwyraźniej Janick nie dostrzegał, że przedstawiony plan mógłby się komuś wydać makabryczny czy odstręczający.

Sama wizja konsumpcji nowo narodzonych dzieci może nie odrzucała Varatchiego aż tak bardzo, ale martwiły go pewne kwestie praktyczne.

– Tego by się po prostu nie dało ukryć. Zaraz by się rozeszło, że pożeram dzieci, stałbym się w oczach ludzi monstrum, wspólnym wrogiem, przeciwko któremu natychmiast by się skrzyknęli – wyjaśnił po chwili.

Chciał, aby Janick wyczytał między wierszami, że musi wrócić do poszukiwań, że sposób, który przedstawił, nie wchodzi w rachubę. Varatchi zdążył już to przemyśleć i był absolutnie przekonany, że czegoś takiego zwyczajnie nie zdołałby utrzymać w tajemnicy. Cały proceder wydawał się tak zwyrodniały, a przy tym wymagał zaangażowania tylu dodatkowych osób, że ktoś prędzej czy później zacząłby mówić.

Janick wydawał się zastanawiać nad wątpliwościami hrabiego.

– Dałoby się to wszystko zataić, gdybyśmy – przez chwilę szukał odpowiedniego sformułowania – gdybyśmy potraktowali użyty personel jako jednorazowy.

Varatchi w duchu musiał przyznać, że jego podwładny jest jeszcze bardziej pragmatyczny i bezwzględny niż on sam. Dawało to

wystarczający powód do tego, aby się go obawiać, ale też i do tego, aby go maksymalnie wykorzystać.

– Nie, nie ma takiej możliwości – osądził w końcu. – Znajdźcie jakiś inny sposób. Najlepiej taki, żebym nie musiał jeść żadnych bachorów.

– Czyli... problemem jest spożywanie? – chciał się upewnić Janick.

– Owszem – potwierdził Varatchi.

Zabijanie, jak by na to nie patrzeć, problemu nie stanowiło. Do tego wszyscy przywykli.

– W takim razie, mój panie, z mojej strony to już będzie wszystko.

Varatchi odprawił go machnięciem ręki.

– I zawołajcie kogoś, niech uprzątną starego Delemana. Tego zdrajcę, którego ustrzeliliście – dodał, widząc, że Janick nie rozumie, o kim mowa.

– Oczywiście, panie. – Janick skłonił się i bez dalszej zwłoki oddalił.

Varatchi pochylił się w swoim fotelu. Spłodzić dzieci... Pokręcił głową. Uświadomił sobie nagle, że chwilowo zabrakło mu sługi, więc sam niechętnie wstał, wziął ze stolika butelkę z winem i napełnił kielich.

Nawet gdyby zmienił zdanie i zdecydował się skorzystać z tego ohydneho sposobu, spłodzenie dziecka i tak pozostawałoby problemem. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni gościł w swym łóżu kobietę. Przed siedemnastoma laty spędził wprawdzie noc z hrabianką Diseler, ale szło wtedy bardziej o stosunki towarzysko-polityczne niż o jakiegokolwiek personalne zaangażowanie. A tak dla przyjemności... Już nawet nie pamiętał. Pewnie musiałby najpierw poeksperymentować. I może znaleźć sobie jakiegoś specjalistę od afrodyzjaków. Innego niż Janick, ma się rozumieć. Wolał nie zdawać się tak całkowicie na łaskę i niełaskę jednego człowieka. Ani ujawniać przed nim wszystkich sekretów.

Rozdział 1

Spisany na straty



Vuki za wszelką cenę starał się ukryć swoje zdenerwowanie. Wprawdzie całe przedsięwzięcie bardzo dokładnie zaplanował i wszystko skrupulatnie przemyślał kilka razy, niemniej miał w tej chwili nieprzyjemne przeczucie, że cały plan się posypie. Dwaj ludzie, których wynajął, aby pomogli mu z ładunkiem, nawet nie starali się ukryć swej podejrzliwej ciekawości. Obaj wyglądali, jakby mogli bez chwili zastanowienia poderznąć mu gardło i porzucić ciało w ciemnej alejce. Pocieszał się, że ma im zapłacić za robotę dopiero po powrocie do zajazdu, w którym się zatrzymał. Na razie dostali tylko niewielką zaliczkę, w sam raz tyle, żeby pchać załadowany wózek bez nadmiernego zrzędenia.

Gwiazdy na niebie zaczynały powoli blednąć, nadchodził świt. Przynajmniej byli punktualni. Vuki nie został wtajemniczony we wszystkie szczegóły operacji, wiedział tyle, ile było niezbędne do wykonania jego części zadania. Ciężka, drewniana, bogato okuta beka z zapieczętowanym otworem z boku już sama w sobie wzbudzała ciekawość. A biorąc pod uwagę, dla kogo Vuki pracował, z pewnością zawierała coś niebezpiecznego. I prawdopodobnie nadprzyrodzonego.

– Czyli mamy tylko dostarczyć beczkę, gdzie nam powiesz, i na tym koniec, tak? – zapytał po raz nie wiadomo który wyższy z dwóch wynajętych mężczyzn.

Vuki nie zwracał sobie głowy zapamiętywaniem ich imion. W myślach nazywał ich po prostu tym wyższym i tym grubszym.

– Zgadza się. Doprowadzicie mnie z beczką na miejsce, na chwilę się tam zatrzymamy, a potem odprowadzicie mnie z powrotem. Wtedy dostaniecie pozostałe dziesięć srebrnych.

Mężczyzna bez przekonania pokiwał głową. Ten drugi nie

zareagował w ogóle, w milczeniu dalej pchał wózek. Pewnie chciał już to wszystko mieć za sobą.

Przed nimi wyrosła ściana nieużywanego od dziesięcioleci amfiteatru. Vuki nie miał pojęcia, dlaczego rozpadającej się budowli nikt nie wyburzył i nie wykorzystał lukratywnego terenu na handel, ale nie był to przecież jego problem.

Grafzatza była miastem bardzo starym i sprawny system kanalizacyjny utrzymywano przez większość jej istnienia. Bez niego blisko czteromilionowa metropolia już dawno utonęłaby w gnoju i odpadkach.

– Tu się zatrzymajcie – nakazał Vuki, kiedy wózek znalazł się niemal idealnie nad wejściem do kanałów. – I otwórzcie pokrywę.

– Za kradzież pokryw grożą bardzo srogie kary, i to pomimo tego, że to zwykłe żelazo, więc niewarte zachodu – odezwał się ten wyższy. – Poza tym o żadnym otwieraniu kanałów nie było mowy.

Vuki zaczął w myślach przeklinać samego siebie. Nie należało być aż tak drobiazgowym w opisywaniu szczegółów roboty.

– Dostaniecie po pięć srebrnych dodatkowo – zachęcił. Na kłótnie nie miał już w tej chwili czasu.

Tamten wzruszył ramionami, ale polecenie wykonał.

– Tylko żebyś nie zapomniał.

Vuki sięgnął do torby, którą miał przewieszoną przez ramię, i wyciągnął z niej skórzany worek, z którego zaczął wysypywać na ziemię żółtą, sproszkowaną siarkę. Miał przykazane, aby nakreślić okrąg wokół wózka i kanału, ale wyszedł mu z tego raczej jakiś pokraczny owal. Zakładał jednak, że chodziło nie tyle o kształt, ile o to, aby wózek, beczkę, a przede wszystkim to, co beczka w sobie zawierała, otoczyć nieprzerwaną linią.

Na niebie nie można już było dostrzec ani jednej gwiazdy, kolejny punkt szczegółowych instrukcji, jakie otrzymał. Nie przypuszczał, żeby chodziło konkretnie o gwiazdy, prawdopodobnie po prostu o odpowiednie natężenie światła.

Vuki nie był głupcem. Wręcz przeciwnie. Niestety, jego nadmierna ciekawość zalaża za skórę położonym, więc został

oddelegowany do tego zadania. Miał nadzieję, że po jego wykonaniu znów będzie mógł się cieszyć trochę lepszą pozycją.

Tymczasem należało wypełnić punkt trzeci instrukcji. Otworzyć beczkę.

Oczywiście zapewniali go żarliwie, że nie chodzi o nic niebezpiecznego, że nic mu nie grozi. Nie wierzył ani jednemu słowu. Między innymi dlatego, że nikt się nawet jednym słowem nie zająknął o samym ładunku.

W górze coś zaszemrało. Spojrzał za dźwiękiem, ku szczytowi rozpadającego się muru, ale nie dostrzegł żadnego poruszenia. Może kot na łowach, może szczur albo inne zwierzę. Lepiej się skupić na zadaniu.

Do otwarcia beczki potrzebny był klucz. Vuki wyjął go z kieszeni i bacznie mu się przyjrzał. Klucz był duży i niezwykle skomplikowany. Vuki nigdy wcześniej nic podobnego nie widział. To znów potwierdzało jego wątpliwości. Było oczywiste, że ten, kto przygotował ładunek, chciał się upewnić, że nikt nie otworzy beczki przez przypadek. Ktoś, kto nie będzie przygotowany na to, jak sobie poradzić z zawartością.

Z drugiej kieszeni wydobył kawałek sznurka i przywiązał go do uchwytu w wieku beczki. Jego drugi koniec położył na ziemi tak, aby wykraczał poza usypany z siarki krąg. Towarzyszący mu mężczyźni obserwowali go z zainteresowaniem. Całe szczęście, że w okolicy nie było żadnych gapiów.

Wsunął klucz do zamka. Trzy obroty, jak miał przykazane. Z napięcia aż wstrzymał oddech.

Jeden obrót, drugi... Za każdym razem wyczuwał delikatną pracę zapadek. Po trzecim mechanizm słyszalnie zaskoczył.

Vuki pozostawił klucz w zamku, jednym długim krokiem wyszedł poza siarczany krąg, schylił się po leżącą na ziemi linę i płynnym ruchem pociągnął. Pokrywa stawiała mu większy opór, niż się spodziewał. Zawahał się, czy aby przygotował wystarczająco wytrzymały sznur. Spróbował jeszcze raz i pokrywa jednak ustąpiła. Natychmiast zobaczył, czemu była tak ciężka. Miała grubość drzwi

bankowego sejfu. Jeżeli cała beczka była tak gruba, w środku musiało być naprawdę ciasno.

Vuki wysilił wzrok, próbując dojrzeć, co takiego dostarczyli, ale nic konkretnego nie dostrzegł. Cały czas starał się przy tym uważać, aby czubkami butów nie przerwać siarczanego kręgu.

Siedzący na murze sześć metrów wyżej mężczyzna, idealnie zlewający się z tłem, uniósł powoli kuszę. Była naciągnięta od chwili, kiedy Vuki z towarzyszami pojawili się w zasięgu wzroku.

Sterczący na prawo od strzelca głaz poruszył się. Co jeszcze przed chwilą wydawało się odłamkiem kamiennego muru, okazało się kolejnym przycupniętym mężczyzną, ubranym w maskujące odzienie. Delikatnie dotknął ramienia tego pierwszego. Strzelec przestał śledzić cel i spojrzał na swojego towarzysza, który zaczął coś komunikować w języku migowym.

„Jak będziesz pewny, że upadnie do wnętrza okręgu”.

Kusznik skinął głową na znak, że zrozumiał.

Mężczyźni, którzy przyszli z Vukim, z ciekawością wyciągali szyje, próbując dostrzec, co kryje się w beczce. Jeden z nich nachylał się na tyle mocno, że wreszcie stracił równowagę i się zachwiał. Vuki posłał mu gniewne spojrzenie.

– Cholera, niechący – mruknął tamten.

Stał ciągle nieco pochylony, po tym jak złapał równowagę, wciąż trochę bojąc się poruszyć. Jednak nie zdołał zrobić kroku wstecz, nogi się pod nim ugięły i runął na twarz.

– Banistr! Co jest? – warknął ten drugi i podskoczył do swojego kompana. Jemu też z jakiegoś powodu nie udało się ustać na nogach i także padł na ziemię. Również do kręgu.

Ten wyższy to był w takim razie Banistr, pomyślał Vuki bezwiednie. Wiedział, że tego imienia nie zapomni już do końca życia. I że czasownik „był” zastosował prawidłowo. Obaj mężczyźni leżeli na ziemi bez ruchu, z wytrzeszczonymi oczami, jakby ogłuszeni. I nie oddychali. Vuki widział wręcz, jak sinieją ich usta. Obaj byli niewątpliwie martwi. Chwilę później oba ciała, najpierw jedno, a zaraz potem i drugie, zaczęły się powoli przesuwać po ziemi w stronę otwartego wjazdu do kanałów. Coś wydawało się je ciągnąć,

choć Vuki nie widział nic poza poruszającymi się po ziemi trupami. Przez moment dostrzegał jakby blade migotanie przy ziemi, wokół wjazdu i ciała, ale nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Może to tylko umysł płatał figle, próbując rozpaczliwie znaleźć wyjaśnienie, dlaczego dwa martwe ciała suną po ziemi w stronę otwartego kanału. Widoczne czy nie, coś jednak z pewnością ciągnęło zwłoki pod ziemię.

Na wschodzie objawił się pierwszy promień słońca. Vuki spojrzał w niebo. Miał przykazane, aby zaraz po wschodzie rozetrzeć siarczany okrąg, zamknąć wjazd do kanałów, zapieczętować z powrotem beczkę i odesłać ją pod umówiony adres. Widział teraz wyraźnie, że były to instrukcje, które miały go uspokoić i uspić jakiegokolwiek podejrzenia. Gdyby nie wrodzona ostrożność, skończyłby jak tamci dwaj. Było jasne, że spisano go na straty. Na wypłatę reszty wynagrodzenia za tę robotę nie miał co liczyć.

Czubkiem buta niespiesznie roztarł część usypanego okręgu. Nie wydarzyło się nic więcej.

Strzelec znów wycelował i znów zainterweniował jego towarzysza.

– Spokojnie, to przecież jeden z naszych. A ciało do kręgu wpadło, wszystko jedno czyje.

Więcej dla nich pracować nie będzie, ale skoro już podjął się zadania, to wykona je do końca, zdecydował Vuki. Przynajmniej nie da im powodów, żeby go mieli za co ścigać. Coraz szybciej i z coraz mniejszą uwagą rozcierał butem pozostałą resztę kręgu. Ostrożnie zbliżył się do beczki, chwycił za wieko i zamknął je. Pokrywa wjazdu do kanałów sprawiła mu więcej trudności, ale po paru chwilach udało mu się i ją umieścić na miejscu. Perspektywą ciągnięcia ciężkiego wózka z beczką nie był może zachwycony, ale i tak wydawała się ona o wiele bardziej atrakcyjna, niż gdyby miał skończyć sztywny pod ziemią. Jego umysł powędrował na chwilę ku znikającym w kanałach ciałom, ale Vuki natychmiast zmusił się, aby pomyśleć o czym innym. Skupił się na wysiłku fizycznym. Tak było lepiej. Dużo lepiej.

Dwaj zabójcy obserwowali go z góry. Strzelec opuścił kuszę i wyjął z niej bełt.

– Nie zabijamy go? – upewnił się.

– Rozkazu likwidacji nie było. Mieliśmy dopilnować, żeby ludzkie ciało wpadło do kręgu, zatrzeć ślady i upewnić się, że beczka trafi w określone miejsce. Gdzie ma ją dostarczyć, najwyraźniej wie i on, więc skoro i tak już wykonuje naszą robotę, niech działa dalej. Nasze zadanie zostało wykonane – wyjaśnił ten drugi. – Nie lubię babrać się w zbędnej robocie. Do tego martwy tylko by wzbudził niepożądaną ciekawość, ktoś by prędzej czy później zaczął wypytywać. A nam przecież zależy na maksymalnej dyskrecji.

Przetasowanie



Pchałem dwukółkę i z zadowoleniem wsłuchiwałem się w kompletny brak hałasu. Żadnego skrzypienia nienasmarowanych osiek, żadnego klekotania. Koła obciągnąłem grubą wołową skórą. Nie było to może rozwiązanie trwałe, ale na tym mi nie zależało. Na jeden wieczorny spacer powinno wystarczyć.

Dwukółka wyglądała solidnie i przykładałem się do niej, jakby była naprawdę ciężko załadowana. Lekka rzeczywiście nie była, ale trochę jednak udawałem. Pod starymi trzciniowymi matami ukrywała się okuta skrzynia. Każdy, kto kiedykolwiek interesował się okutymi skrzyniami, a zwłaszcza tym, co może się w nich kryć, mógł ją dostrzec na pierwszy rzut oka. Nawet w nocy.

Trzymałem się bocznych uliczek, ale wybierałem takie, które miały w miarę przyzwoity bruk. Zależało mi na tym, żeby moja dwukółka toczyła się możliwie gładko i bez podskoków.

Alejka zaczęła się nieco wspinać, więc musiałem się trochę lepiej przyłożyć do pchania. Jedna z latarni, które według miejskiego zarządzenia miały stać co dwadzieścia pięć kroków w centrum i co siedemdziesiąt pięć poza obrębem wyznaczonym starą zabudową, nie świeciła się. W ciemności nie dostrzegałem wszystkich bocznych uliczek i przejść, ale to było bez znaczenia. I tak znałem je na pamięć.

Jeszcze kilka kroków, byli już blisko. Czułem smród przetrawionego piwa i skisłego potu. Ktoś się wściekle drapał. Nie wiem, czemu w ogóle zwracałem na to uwagę, skoro i tak było mi wszystko jedno. Na czym jak na czym, ale na ostrzeżeniach mi akurat nie zależało. Ja byłem przygotowany cały czas, mało tego, nie mogłem się wręcz doczekać, żeby się wreszcie na mnie rzucili.

Świst cięcia z prawej; wyciągnąłem z uchwytu halabardę zakończoną ostrym jak brzytwa grotem, z zatrutym ostrzem po jednej i solidnym młotem po drugiej stronie drzewca. Postępując krok w bok, ciąłem na wysokości pasa w kierunku dźwięku. Jak tylko stał zgrzytnęła o kość, natychmiast wyprowadziłem jeszcze silniejsze pchnięcie w przeciwnym kierunku. Krok w tył i obrót. Trzeci z nich albo był taki odważny, albo się jeszcze nie zorientował, jak skończyli jego kamraci. Uderzenie ostrza ukośnie z góry kompletnie go zaskoczyło – po raz ostatni w życiu. Cały czas byłem w ruchu, ustąpiłem o parę kroków w tył, przy czym halabardę znów uchwyciłem poziomo. Kolejny napastnik wciąż się wahał. Uniosłem ku niemu ostrze, odebrał to jako okazję do wyprowadzenia ataku nisko, ale byłem szybszy, niż się spodziewał. Fingowałem cięcie z lewej, zasłonił się, na co liczyłem, błyskawicznie przerzuciłem halabardę na drugą stronę i odbiłem jego ostrze na zewnątrz. Odsłonił się kompletnie, a ja zatoczyłem krótki łuk i ciąłem po skosie z góry w szyję. Efekt zaskoczył mnie samego. Widać włożyłem w ten cios znacznie więcej siły, niż planowałem, zabrakło centymetrów do czystego cięcia. Jego głowa trzymała się tylko na cienkim pasku skóry. Ostatni stał chwilę w szoku, kątem oka dostrzegłem trupio bladą plamę jego twarzy. Ocknął się wreszcie, zakręcił na pięcie i rzucił do ucieczki. Nie widziało mi się, żeby za nim ganiać, ale puścić go wolno też nie mogłem. Nie chciałem, żeby komukolwiek opowiedział o tym, co się tutaj wydarzyło. Wyważyłem halabardę w prawej ręce, tymczasem on zdążył już zrobić kilka długich kroków. W rzucaniu dobry nie jestem, powiedziałbym wręcz, że w ogóle mi to nie wychodzi. Zamierzyłem się i z wykroku cisnąłem w oddalającą się sylwetkę.

Może powinienem się jednak przyłożyć do trenowania z halabardami. Wyglądało na to, że do rzucania nimi mam chyba jakiś wrodzony talent, gwarantujący imponujące efekty.

Otworzyłem skrzynię. Nie była nawet odrobinę tak solidna, na jaką wyglądała. Z bliska przypominała raczej tandetną, tanią trumnę. Pozbierałem tych nieszczęśników i ich do niej powrzucałem.

Dalej dwukółkę pchało się już gorzej. Na szczęście wzniesienie szybko się skończyło. Nie byłem pewien, do którego gangu należeli ci, co mnie napadli. Znajdowałem się jeszcze w całkiem eleganckiej części miasta, tych pięciu obwiesiów trochę tu nie pasowało. Może jednak nie znałem Grafzaty aż tak dobrze, jak mi się wydawało. Szczególnie mi to nie przeszkadzało. Prawdę powiedziawszy, w ogóle było mi wszystko jedno.

Dalsza droga wiodła przez plac Kroasa. Leżał na obrzeżu starej zabudowy miasta i bruk tu się już kończył, jednak udeptana tysiącami odbywających się w tym miejscu targowisk glina pod moimi stopami była równie twarda jak kamień. Dwukółka toczyła się jak po maśle. Nikogo nie słyszałem, nie dostrzegałem, nie wyczuwałem. Puściuteńko. Zatrzymałem się i przygotowałem resztę sprzętu, który miałem załadowany na wózku obok trumny.

Za placem zaczynał się teren gangu Grhota. To był jeden z tych peryferyjnych, ale w ostatnim czasie udało im się rozszerzyć strefę wpływów i zaczęli sięgać w głąb miasta. Osiągnęli to dzięki kombinacji przebiegłości i nieludzkiej brutalności, graniczącej z bestialstwem.

Oparłem się na chwilę o burtę dwukółki, korzystając z tego, że zapewniała osłonę przed tym, co mogło na mnie czekać po drugiej stronie placu. Pomimo orzeźwiającej nocnej bryzy było mi nieziemsko gorąco, aczkolwiek nie z powodu niedawnej utarczki, ale przez cały ten arsenał, którym się obwiesiłem. Przeszywanica, którą znalazłem w książęcej zbrojowni, też robiła swoje. Westchnąłem i zapuściłem się na nowo w labirynt uliczek.

Każdy normalny człowiek uznałby mój plan za czyste szaleństwo. Możliwe, że się tym razem przeliczyłem. Możliwe, że popełniłem jakiś znaczący taktyczny błąd. No trudno. Już dawno przygotowałem się na to, że prędzej czy później będę musiał za swoje błędy słono zapłacić.

Słuch znów mi się wyostrzył. Byłem niemal pewien, że czekają na mnie przyczajeni na dachach. Nie miałem na to wprawdzie żadnego dowodu, ale właśnie to stanowiło najlepszy dowód. Ta część miasta

słysnęła wręcz z tego, że życie toczyło się tu wysoko nad poziomem ulic.

Podkurczyłem ramiona, aby być bliżej wózka, na głowę naciągnąłem czapę z grubej wieprzowej skóry, wzmocnionej kolczugą, na nią nasunąłem jeszcze kaptur i postawiłem kołnierz.

Jak zazwyczaj miałem na sobie kozuch, jednak tym razem wydał mi się zbyt krótki. Może trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. Zaczęło się.

Jedno trafienie w plecy, jedno w bok, zaraz potem ktoś mnie trzasnął pałką w potylicę. Kolejne trafienie – w tyłek, znów w plecy, w ramię, a na koniec ktoś mnie palnął drągiem w głowę. Na tyle mocno, że znalazłem się na ziemi.

Słyszałem kroki. Pojawiły się nagle i od razu blisko. Bardzo blisko. Może leżałem tam dłużej, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Zaskoczyli mnie. Liczyłem się z jedną, dwoma kuszami, może jakimiś kamieniami z procy. Nie spodziewałem się, że będzie na mnie czekać cały oddział strzelców.

Nieśli ze sobą lampy, które oświetliły ich rozmazane sylwetki. Solidnie kręciło mi się w głowie, podejrzewałem wstrząśnienie mózgu czy co ja tam w tym łbie noszę.

– Jak poduszka do szpilek – zaśmiał się ktoś.

– Albo jak zasrany stalowy jeżozwierz.

Nie podobały mi się te głosy, drażniły mnie. Wzbierająca we mnie furia pomagała się otrząsnąć, zwalczyć nudności.

Znajdowali się już naprawdę blisko. Czułem się, jakby mi ktoś spuścił tęgie lanie, w dodatku cały byłem pokaleczony. To musiały być groty strzał i bełtów. Przeczuwałem, że będą mnie najpierw próbowali dostać na odległość, ale muszę przyznać, że dalece nie doceniłem ich arsenału. Mało brakowało, a kosztowałyby mnie to życie. Wyczuwałem przynajmniej trzy groty, które przeszły przez pancerz, kolczą koszulę i przesywanicę. Nie za głęboko, na jakieś dwa, trzy centymetry. Raczej nie więcej, bo nie krwawiłem za mocno.

Ostrożnie, powolutku zmieniłem pozycję na dogodniejszą i podkuliłem nogi. Widziałem ich już całkiem dobrze. Trzej trzymali

kusze, dwaj łuki, pozostali mieli przy pasach kordelasy. Grupa zadowolonych z siebie chłopaków, wyglądających, jakby właśnie udało im się dobić z kimś korzystnie targu i teraz gotowi są iść i to opić. No i czemu nie? Poświętować zawsze warto.

Powoli podciągnąłem ręce wzdłuż ud, gdzie miałem ukryte noże. Zacisnąłem dłonie na rękojeściach pokrytych skórą płaszczki, tak szorstką, że przy nieodpowiednim chwycie raniła do krwi. Leżały w garści idealnie, stały się wręcz przedłużeniem moich własnych kończyn.

– Nie rozumiem, jak ten idiota mógł myśleć, że może mu się udać – powiedział ktoś. – Spodziewałem się grupy uzbrojonych po zęby gości, a ten tu przylazł sam.

Ten idiota to miałem być ja. Rozpuściłem po mieście historyjkę, że będę próbował wywieźć bez płacenia cła pół kwintala szafranu, który przyszedł morzem.

– Gdyby nie to, że mieliśmy cynk, udałoby mu się – zabrzmiała odpowiedź. – Jeden człowiek w oczy się nie rzuca.

Byli już naprawdę blisko. Ostatnie kilka kroków. Oczywiście napomknąłem tu i ówdzie, kiedy wyruszam z ładunkiem oraz mniej więcej którądy.

– Też prawda. Cynk to podstawa.

Światło lampy padało teraz prosto z góry, ktoś ją widać nade mną uniósł, żeby mieć lepszy ogląd sytuacji. Z pozycji, w której leżałem, nie mogłem dostrzec twarzy napastników, widziałem ich jedynie od pasa w dół.

– Jak rzeszoto – skonstatował ten, który miał ciągle coś do powiedzenia.

– Podrzucie go pod jakieś drzwi, do rana go ktoś znajdzie. Wózek niech idzie do Gurnego, już tam czeka transport. Jak wszystko pójdzie dobrze, do obiadu towar będzie na lądzie.

I już byli w zasięgu.

Kopnąłem obunóż tak, żeby ten najbliższy wpadł na stojącego za nim, sieknąłem po kostkach, ciąłem ścięgna, wciąż z ziemi dźgałem w pachwiny i dopiero jak się rozprawiłem z tymi wokół mnie, wyskoczyłem, próbując się wbić najbliżej środka pozostałej grupy.

Noże stały się jakby częściami mojego ciała, zakrzywione ostrza ślizgały się po niechronionych zbrojami ciałach z zabójczą skutecznością. Cięcie przez brzuch i natychmiast kolejne po ręce trzymającej kordelas, dwa krzyki zlewające się w jeden, uderzenie rękojeścią, krok w tył, delikatne muśnięcie szyi i fontanna krwi z aorty, unik, przyklęk, cios w tył. Ktoś z rozpędu na mnie wpadł, gwałtownie znów wstałem, co go odrzuciło pod nogi następnego napastnika. Komuś się wreszcie udało sieknąć mnie po plecach, ale pancerz wytrzymał. Obróciłem się. Atakujący rękę miał wzniesioną do kolejnego ciosu, więc walnąłem go pod pachą w żebra. Kolejny cios wymierzony w moją twarz, odbicie, natychmiastowy kontratak drugą ręką, cięcie od spodu.

Ten, który mnie o mało nie dostał, przez sekundę spoglądał osłupiały na kikut swojej ręki, po czym osunął się powoli na ziemię. Był ostatnim, który stał na nogach.

Potrząsnąłem głową, próbując pozbyć się krwi zalewającej mi oczy. Cudzej krwi. Rozejrzałem się. Starcie musiało być znacznie większe i bardziej zażarte, niż przypuszczałem. Na ziemi wokół mnie leżało dużo więcej ciał, niż początkowo brałem pod uwagę. Pewnie przez ten wstrząs mózgu.

Martwych było trzech, pozostali ranni. Dwóch z nich nawet próbowało uciec. Odpełznąć, a potem pobiec. Zbyt wolno. Później wróciłem, aby niespiesznie rozprawić się z tymi dogorywającymi. Niespiesznie, bo nie lituję się nad ludźmi, którzy próbują mnie zabić.

Dopiero wtedy mogłem się wreszcie skupić na własnych stratach. Czapka i kapelusz przepadły kompletnie. Rozejrzałem się, ale nie było po nich śladu. Kozuch wyglądał dość kiepsko, chyba czas był się z nim pożegnać. W kołnierzu wzmocnionym kolczą wszewką utknął grot strzały i go rozdarł. Przybyło dziur, krwawych plam, brakowało sporego kawałka rękawa. Lamelkowa spódnica ochroniła mi tyłek, choć wymagała naprawy. W plecach czułem szpic stalowego grota. Trochę się namęczyłem, ale po paru chwilach udało mi się go wyciągnąć. Drugi znalazłem utkwiony w boku. Obie strzały przeszły przez kolczugę, przeszywanicę, ale już nie przez grubo tkaną koszulę z szalinowego włókna. To, że mnie żadna z tych strzał nie zabiła,

zawdzięczałem wyłącznie liczbie rozmaitych ochronnych warstw, które na siebie nałożyłem.

Części zbroi, które nie nadawały się do dalszego użytku, odrzuciłem, resztę założyłem z powrotem na siebie i wziąłem się do zbierania trupów. W skrzyni zabrakło miejsca, więc musiałem układać je bezpośrednio na wózku. Dwukółka zrobiła się wreszcie tak ciężka, że gdybym nie włożył tyle wysiłku w jej odpowiednie przygotowanie, pewnie teraz nie zdołałbym ruszyć jej z miejsca. Oryginalnie miałem zamiar zostawić wszystkie ciała na stercie, tak żeby było trudno odgadnąć, co tu się tak naprawdę stało, jednak musiałem zmienić plan. Było ich po prostu zbyt wiele.

Na szczęście kawałek dalej znalazłem włącz do miejskiej kanalizacji. Uniosłem pokrywę i zobaczyłem, że w dole jest sporo miejsca. Chwilę to trwało, ale wreszcie pozbyłem się wszystkich ciał i zamknąłem pokrywę z powrotem. Nie chciałem przecież, żeby wpadł tam jakiś przypadkowy przechodzień.

Wózek znów toczył się lekko, jak po maśle. W głowie przestało mi kołować. No i dobrze, bo czekały mnie jeszcze dwa przystanki. Może trzy, ale wielkiej różnicy to nie robiło. Skonstatowałem, że nie mogę się doczekać.

Baronówna Zuzanna Münchauzen



Zuzanna uniosła filiżankę z herbatą i przez chwilę cieszyła się dotykiem rozgrzanej porcelany na ustach. Czerwono-brązowy abstrakcyjny wzór na spodeczku przykuł jej uwagę. Przyglądała mu się przez jakiś czas, po czym zaczęła rozmyślać, jak by to było, gdyby te wszystkie rzeczy stanowiły elementy jej normalnego życia. Ciepła, wonna kąpiel, przygotowana przez służbę. Do tego jedwabny szlafrok, karafka z orzeźwiającą wodą z lekką nutką mięty, deser czekający pod ozdobną serwetką i wiele, wiele innych drobnych luksusów należących do życia w bogatej willi czy wręcz pałacu.

Wynajem tego miejsca był rozrzutnością graniczącą z marnotrawstwem. W pełni rozumiała, że to konieczne, szczególnie jeśli w dalszej perspektywie miało przynieść korzyści, ale w tym wszystkim najbardziej denerwowało ją to, że znajdowała owo marnotrawienie niezwykle przyjemnym.

A już zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile ostatnio czasu spędziła w rozjazdach. To już nawet nie były tygodnie, ale miesiące. Pogrążyła się we wspomnieniach. W tej chwili czuła się tak, jakby całe swoje życie spędziła w drodze, ale też trudno, żeby czuła się inaczej, skoro nie było nigdzie takiego miejsca, które mogłaby nazwać domem. Inna sprawa, że może poza dwoma wyjątkami nigdy też takowego nie poszukiwała.

Całe dorosłe życie, poprawiła się w myślach. Jako dziecko dom miała. Miejsce, w którym się czuła bezpiecznie, gdzie była kochana, pod dobrą opieką, gdzie mogła być sobą.

Szczęknięła klamka u drzwi i zanim Zuzanna zdążyła się zastanowić, odruchowo chwyciła za najbliższy przedmiot, który mógłby posłużyć jako broń. Tak ją w dzieciństwie uczył ojciec, aż

stało się to jej drugą naturą. Równocześnie uświadomiła sobie, że z łazienki, a nawet już wcześniej z sypialni wyszła kompletnie nieuzbrojona. W DRODZE coś takiego nigdy by się jej nie przytrafiło. Rzeczywiście musiała się tu czuć bezpiecznie, kolejny dowód na to, że do wygód należało podchodzić z ostrożnością.

Drzwi otworzyły się ani zbyt powoli – przybysz wyraźnie się nie skradał, ani zbyt szybko – nie miał również zamiaru atakować. Po chwili do pokoju wszedł jeden z ludzi kapitana Valera. Barczysty, w ubraniu, które jedynie drobne szczegóły odróżniały od regularnego wojskowego munduru. Brak insygniów, zdobiony pas, delikatny haft na prawej klapie, no i buty o nieco lepszej jakości niż trepy, w których musiało się męczyć regularne wojsko. Wydał jej się młody. Wręcz bardzo młody. Równocześnie jednak, sądząc po sposobie, w jaki nosił sztylet i miecz, sprawiał wrażenie wprawnego w posługiwaniu się i jednym, i drugim. A sądząc po spojrzeniu, jakim ją obdarzył, jak przeciągnął wzrokiem od jej stóp wystających spod długiego szlafroka poprzez wąskie rozcięcie dekoltu aż do jej zaciekawionej twarzy z cieniem zalotnego uśmiechu, równie sprawnie obchodził się z kobietami. Ta kombinacja podobała jej się o wiele bardziej, niż gdyby miał wyłącznie talent do zabijania. Niemniej, jak na jej gust, na jej dekolt spoglądał odrobinę zbyt długo, a jego uśmiech był odrobinę zbyt pewny.

– Madame, kapitan Valer prosi o widzenie.

Wciąż mu się przyglądała bez słowa. Uniosła filiżankę i upiła niespiesznie herbaty.

Przedłużająca się pauza trochę młodzieńca speszyła, jednak uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Pukałeś?

– Nie. Zakładałem, pani, że będziecie na swoich pokojach, nie tutaj... – Jego pewność siebie zaczęła się powoli ulatniać.

– A czemu pan kapitan nie przyjdzie sam? – kompletnie zignorowała jego odpowiedź.

Teraz już speszył się zupełnie.

– Pan kapitan nie chciał was, pani, zaskoczyć w... – przez chwilę szukał najbezpieczniejszego sformułowania – w niedyskretnej

sytuacji.

Tak jak jeszcze przed chwilą był całkowicie pewny siebie, tak teraz topniał w oczach. Zuzanna w myślach się karciała, ale za bardzo ją to bawiło. Młodzieniec najwyraźniej nie przywykł do kobiet, które potrafiły skutecznie opierać się jego urokowi.

– A jaką niedyskretną sytuację macie na myśli? – Uniosła brwi, aby pokazać mu, że traktuje pytanie poważnie.

Nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– No, na przykład mogłabyś, pani, nie być odziana, jak damie i szlachciance przystoi.

– Hmm... Czyli ty mnie możesz oglądać w niedyskretnej sytuacji, ale twój dowódca już nie?

Tym już go kompletnie zbiła z tropu. Stał bez słowa, całkowicie zmieszany.

– Nazywasz się?

– Tomas Kurzer.

Tym razem odpowiedź wydawała się sprawiać mu nieco trudności.

– A zatem, panie Kurzer, proszę przysłać kapitana i oddać się swoim normalnym obowiązkom. Którymi są?

– Patrol na parterze.

Ani na jej nogi, ani na dekolt już nie spoglądał. Zamiast tego zasalutował służbiście. Był naprawdę urodziwy, bardzo męski i poruszał się w sposób, który wielce jej się u mężczyzn podobał. Zdała sobie sprawę, że oszacowuje go niczym drapieżnik swoją ofiarę. A z drugiej strony wydawał jej się zaledwie dzieckiem. Możliwe, że była to kwestia wieku, ale czy mógł być od niej aż tak dużo młodszy? W latach może nie, ale czuła, jakby dzieliły ich całe wieki.

Sięgnęła do stolika i z czajniczka dołała sobie herbaty. Nawet do skromnego śniadania naszykowane miała dwie filiżanki i dwa dzbanki, jeden z herbatą, drugi z kawą. Pomyślała, że będzie musiała spytać służebną dlaczego.

Przysłuchiwała się. Co prawda schody nie skrzypiały, ale mimo wszystko była w stanie wychwycić, że ktoś niespiesznie wspinał się

na górę. Zaleta drewnianych stopni. Zdecydowała, że jeszcze raz przedyskutuje z księciem kwestię wyboru między posadzką a drewnianą podłogą w komnatach prywatnych. Nakłaniał ją, aby zwracała się do niego po imieniu, jednak nawet w myślach wolała używać oficjalnego tytułu. Był niepokojący. Bardziej niż jej własny ojciec? Pod pewnymi względami tak, ale pod innymi nie.

Napełniła filiżankę herbatą i postanowiła nie dodawać ani miodu, ani cytryny. W chwili kiedy kończyła nalewać do drugiej filiżanki kawę, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – zaprosiła gościa do środka, nie unosząc nawet wzroku. Ze skupieniem obserwowała lekko spienioną powierzchnię czarnego napoju omywającą ścianki nieskazitelnej porcelany. Po chwili jej nozdrza wypełnił charakterystyczny cytrusowy aromat z nutą gorzkich ziół.

W drzwiach stał kapitan Valer, który mimo zamieszania najwyraźniej znalazł czas, aby się gładko ogolić. Od momentu, kiedy wszedł na posadzkę w korytarzu, przestała go słyszeć, choć może po prostu zbyt głęboko się zamyśliła. Teraz jednak wyczuwała wyraźnie mydło i wodę po goleniu, które doskonale zapamiętała ze wspólnej podróży. Miał zwyczaj golić się bardzo sumiennie i w ogóle dbać o higienę, co kontrastowało z tym, jak był zazwyczaj niewybredny, kiedy chodziło o wygody.

– Dzień dobry, madame.

Obróciła się ku niemu i dopiero wtedy wykonał w jej kierunku dworski ukłon. Zaskoczył ją tym zupełnie, nie był przecież szlachcicem.

– Kawa czy herbata? – zapytała, wskazując krzesło stojące przy stoliku.

I tak znała odpowiedź. Co prawda w drodze nie mieli ze sobą kawy, jednak poczyniła drobne obserwacje podczas spotkań najbliższych współpracowników księcia.

– Kawę poproszę.

Usiadł jak ktoś, kto ma doskonałą kontrolę nad swym ciałem i nie lubi tracić energii na zbędne ruchy. Wyciągnęła w jego stronę

spodek z filiżanką, które przez cały ten czas trzymała w lewej ręce. Roland Valer pił kawę czarną, bez cukru. I pił ją bardzo chętnie.

Valer sięgnął po naczynie, które mu podała ze skrywaną ulgą. Zaczynało ciążyć jej w ręce, a nie chciała w obecności kapitana rozlać napoju. Aż ją to rozbawiło, kiedy o tym pomyślała.

Trzymał spodek z filiżanką bez ruchu i przez chwilę przyglądał się Zuzannie.

– Dziękuję.

Wyglądał na bardziej wycieńczonego, niż kiedy widzieli się po raz ostatni. Włosy miał krótsze, twarz gładko ogoloną. Wokół kącików ust dostrzegła bruzdy zmarszczek, których jakoś nie mogła sobie przypomnieć. Od ich przybycia do Grafzaty zapewne wiele nie spał. Zrobiło jej się w związku z tym przykro, choć nie było w sumie powodu. W końcu na tym polegała praca Valera.

– Nie powinnaś, pani, stać tyłem do drzwi – odezwał się wreszcie, nie zwracając sobie głowy uprzejmościami, i napił się kawy.

– Jakbym słyszała swojego ojca – zareagowała ostrzej, niż chciała. – Cukru? – zaproponowała, choć wiedziała, że odmówi.

– Z przyjemnością – zaskoczył ją.

Nigdy wcześniej nie widziała, żeby pił słodką kawę. Wsypała mu do filiżanki łyżeczkę pełną słodkich brązowych kryształków. Śledziła, jak starannie napój miesza, a potem z nieskrywaną przyjemnością się nim delektuje. Uświadomiła sobie nagle, że apetyt na cukier musiał po prostu wynikać z głodu i zmęczenia.

Miał mocne, bardzo symetryczne ręce. Palce i dłonie znaczyły odciski od częstego obchodzenia się z bronią, niemniej były to wciąż ludzkie ręce. Zuzanna oceniała tego typu rzeczy według własnych kryteriów. Dobrze pamiętała ręce swojego ojca. Najbardziej jednak zaskakiwały ją oczy Valera. Idealnie niebieskie, spokojne, dobre i życzliwe. Życzliwe, ale tylko kiedy udawało jej się przegonić z jego twarzy nieustająco chmurny i srogi wyraz.

– Będziemy tak stać?

Bez słowa usłuchał.

– Jak wygląda nasza sytuacja? – zapytała, kiedy wreszcie stało się jasne, że albo ona zacznie konwersację, albo będą siedzieć

w milczeniu.

– Pałac został gruntownie sprawdzony. Wszystkie oryginalne zapasy wywiezione i zastąpione nowo zakupionymi. Poinstalowaliśmy nowe zamki, a gdzie się nie dało, wymieniliśmy całe drzwi. Wymieniliśmy niemal cały personel. Upewniliśmy się, że nikt nie będzie mógł podać w wątpliwość tożsamości baronówny Münchauen. Musimy jeszcze tylko posprawdzać dostawców – zdał raport.

Rzeczywiście, w ciągu kilku dni odwalili kawał solidnej roboty. Stąd to niewyspanie, uświadomiła sobie.

– Może nie trzeba się było tak strasznie męczyć, nic nas przecież nie goni.

– Bakly... proszę o wybaczenie, wasz szanowny ojciec nie lubi marnować czasu.

Zamyśliła się chwilę nad tym, jak wymówił imię jej ojca. Jakby mówił o czymś złowroźnie nieuchronnym, jak zaraza czy wręcz śmierć. Lepiej tego nie potrafiła opisać.

Zamiast odpowiedzieć, napiła się herbaty. Valer poszedł za jej przykładem. Obserwowała go ukradkiem, tak żeby się nie zorientował. Podobało jej się, jak delectował się kawą. Jak ją wachał i smakował. Już wiedziała, skąd brało się jej poczucie bezpieczeństwa. Przyszło jej do głowy, że być może kapitan Valer ma bardzo zbliżony stosunek do kobiet i też lubi się nimi delectować, ich wonią i smakiem. Przyłapała się na tym, że się wewnętrznie czerwieni. Zwykle zwracała uwagę na seksualne preferencje i zachcianki ludzi w swoim otoczeniu, ale zawsze były to chłodne obserwacje. Taką wiedzę łatwo jest wykorzystać do własnych celów. Tymczasem ta myśl była zupełnie inna. Wiodła ją ku kolejnym wizjom i wyobrażeniom, na jakie nigdy sobie samej nie pozwalała.

Wyczuła czyjaś obecność za drzwiami. Może jedna ze służek. Cisza sama w sobie jej nie przeszkadzała, jednak wydawała się zbyt nienaturalna, kiedy się przedłużała.

– Zastawa, z której pijemy, jest wspaniała, kawa już mniej. Mam nadzieję, że kiedyś będę wam mogła zaserwować lepszą – podjęła

perfekcyjnie konwersacyjnym tonem. Możliwe, że trochę zbyt formalnym.

Rzucił jej spojrzenie, jakby próbował wyczytać dodatkowe znaczenie, którego nie zawarła w słowach.

– Wspaniała może nie jest, ale z pewnością o niebo lepsza niż ta, którą piłem przez ostatnie trzy dni – odpowiedział z nieznacznym uśmiechem.

– A jaką piliście?

– Żadną. Nie było ani czasu, ani nikogo, kto by ją mógł zaparzyć.

Poczucia humoru się po nim nie spodziewała. Roześmiała się z ulgą, co ku jej zaskoczeniu wpędziło go w widoczne zakłopotanie. Kapitan Valer w rozmowach z kobietami czuł się odrobinę nieswojo, w odróżnieniu od niejednego ze swoich podwładnych. Czyniło go to jeszcze bardziej pociągającym. Próbowła powstrzymać cały nawał niepożądanych myśli, ale nie szło jej to najlepiej. Może sprawiał to delikatny dotyk jedwabnego szlafroka, może woń kawy i ciepło, a może chłód marmuru pod stopami. Sama już nie wiedziała.

– Doskonały żart – spróbowała go uspokoić.

Bawiło ją przekomarzanie się z nim, jego jednak nieco mniej.

– Dziękuję – odpowiedział. – Niestety, wciąż jeszcze mamy cały ogrom pracy. Wybaczycie mi, pani?

Zachowywał się, jakby miał do czynienia z autentyczną szlachcianką, którą przecież nie była. Zaczynało jej to działać na nerwy.

– Nie jadłam jeszcze śniadania, wy przecież też nie. To również jest ważne zadanie, którego nie należy zaniedbywać. Możecie mi jeszcze przez chwilę dotrzymać towarzystwa?

– Oczywiście, z przyjemnością.

Aby go zatrzymać, musiała więc udawać szlachciankę. O mało nie zakłęła pod nosem.

Obróciła się do stojącego obok stolika i ze zgromadzonych na nim specjalów zaczęła nakładać dwie równe porcje. Jednocześnie obserwowała Valera w lustrze.

Podczas wszystkich ich wcześniejszych spotkań zachowywał się tak chłodno i profesjonalnie, że zaczynała wręcz przypuszczać, iż

zwyczajnie nie interesują go kobiety. Jednak teraz, kiedy myślał, że go nie widzi, zachowywał się zgoła inaczej. Zaśmiała się. Natychmiast zorientował się, że jest obserwowany, i z powrotem przybrał swój profesjonalny, srogi wyraz twarzy.

Zuzanna obróciła się i podała mu talerzyk. Oboje zjedli po jednej śnieżnobiałej kuli, która według osądu kucharza miała stanowić śniadanie madame Zuzanny.

Valer, kłaniając się z lekka, odstawił pusty talerzyk.

– Możecie odczuwać pewien niedosyt – skonstatowała.

– No, rzeczywiście – odparł skromnie – aż dziwne.

Poczuła, jak drgają jej kąciki ust.

– Ja również – oceniła. – A jak tam wasi ludzie?

– Nasi ludzie – poprawił ją. – Musielibyśmy tłumić bunt, nawet gdyby dostali po trzy takie gałki – odparł z kamienną twarzą, ale widziała wyraźnie, że już i on się dobrze bawi.

– Obiad będzie lepszy, pomoże wam utrzymać dyscyplinę – zapewniła go.

Zanim wyszedł, zgiął się w pokłonie zdradzającym obycie w dworskiej etykiecie. Osobliwe, pomyślała. Tego się po nim nie spodziewała.

Rozdział 4

Ojciec i córka



Przyglądałem się parze paskudnych łapsk, które przechodziły w grube palce pokryte odciskami i bliznami do tego stopnia, że przestały w ogóle przypominać części ludzkiego ciała, a wyglądały raczej jak węzłowate korzenie. Możliwe, że to już nawet nie były odciski, ale jakieś takie kościane płyty, jak żółwia skorupa, równie twarde i wytrzymałe. Coraz częściej musiałem zmieniać oploty jalców. Może gdybym zamiast płaszczki zaczął używać skóry rekina? Albo w ogóle po prostu drobny stalowy łańcuch... Może to było rozwiązanie. Poruszyłem palcami. Teraz nie były to już korzenie, ale mordercze bestie. Moje własne ręce zaczynały mnie ostatnio coraz bardziej przerażać. Właściwie niepokoić. Mnie nie przerażało nic.

– Gotowe. – Przed moim nosem wylądował utyłany talerz z duszonym mięsem nie pierwszej świeżości.

Odciąłem kawałek mięsa i bacznie mu się przyjrzałem. Całe pokolenia much zdążyły się na nim wyżywić przede mną. Zanim karczmarz się odwrócił i zniknął, złapałem go za ramię. Odruchowo próbował się oswobodzić, ale równie dobrze mógłby próbować wyrwać się z imadła.

– Zapłaciłem cztery miedziaki za porządny obiad i napitek. Tego jeść nie będę.

– Cztery miedziaki za obiad, no i to jest wasz obiad. I puście mnie, do cholery, co tu się wyprawia?

Przez chwilę beznamiętnie obserwowałem, jak się wiję w stalowym uścisku tych grubych, węzłowatych paluchów. Moich paluchów, przypominałem sobie. Początkowo było mi wszystko jedno, ale teraz ten jego głupi upór zaczął mnie jednak trochę bawić.

Wzmocniłem uścisk. Chciał krzyknąć, ale ból był tak silny, że przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Wiedziałem, że kiedy go puszcę, na ramieniu pozostaną mu ciemne wybroczyny, które z czasem powinny zniknąć. No chyba że pojawią się zakrzepy. Te też mogą się w końcu rozejść. Ale nie muszą.

Nie odpuszczałem.

– Dobrze – stęknął – przyniosę nową porcję.

– Dobrze – zgodziłem się, ale nie puszczałem go jeszcze. – Ale jeśli cokolwiek będzie nie w porządku z moim jedzeniem, to ci tę rękę urwę.

Na moment ścisnąłem go jeszcze mocniej, ale puściłem, zanim omdlał.

– U... ugotuję sam. – Łapał z trudem oddech. Widziałem, jak spływają po nim wielkie krople potu, cały się trząsał. – Dobrze gotuję, słowo.

– Wyśmienicie – rozchmurzyłem się.

Dzień nie był aż tak nudny, jak się na to wcześniej zanosilo. Przez blisko dwa dni po moich przepychankach z miejscowym półświatkiem byłem w naprawdę dobrym humorze, ale ten błogostan już się skończył. No i proszę, teraz znów uśmiech wrócił mi na usta.

Tymczasem zorientowałem się, że ze stołu w rogu sali ktoś mnie obserwuje. Ten ktoś wyglądał na eksperta w niezwracaniu na siebie uwagi, ale z wiekiem stawałem się na te rzeczy coraz bardziej wyczulony. Biorąc pod uwagę, do jak karkołomnych przedsięwzięć się ciągle rzucałem, często gwarantowało mi to przeżycie. Nawet jeśli mnie samemu aż tak bardzo na tym nie zależało.

Obserwowała mnie kobieta. Była zawinięta w płaszcz z głęboko naciągniętym na czoło kapturem, niczym mnich lub żebrak. Jej okrycie wyglądało na pierwszy rzut oka na zaniedbane, ale wystarczyło przyjrzeć się trochę lepiej, aby dostrzec, że jest uszyte z dobrze wygarbowanej skóry i skrojone w ten sposób, aby ukryć kształty noszącego. Właściwie to sam nie wiedziałem, dlaczego od pierwszej chwili sądziłem, że to kobieta. Może to instynkt, ale byłem całkowicie pewien, że mam rację.

Sam założyłem mój świętej pamięci kozuch. Z postawionym kołnierzem, ogolony na łyso, wyglądam w nim jak niezgrabny tłuścioch i ludzie zazwyczaj nie poświęcają mi zbyt wiele uwagi. Ci, którzy przyjrzą mi się na tyle, żeby przejrzeć moje maskowanie, albo mnie szanują, albo się mnie boją. Kobieta, która mnie obserwowała, wydawała się nie należeć do żadnej z tych kategorii. Tacy ludzie z kolei przyciągają moją uwagę. Ale bać się nie boję. Nie ma czego.

Karczmarz pojawił się z powrotem z miską jedzenia i kuflem piwa, które postawił przede mną na stole. Dostałem nawet czystą łyżkę.

Pachniało przyzwoicie. Wziąłem kęs do ust i zamyśliłem się nad tym, czy mi do pieczeni, obficie okraszonej sosem i kluskami, przypadkiem nie napluł. Nawet jeśli, to smaku potrawy nie zepsuł.

Karczmarz dobrze odczytał moje milczenie i z ulgą się oddalił. Jadłem i czekałem, co się dalej wydarzy. Powód, dla którego znalazłem się w mieście, był prosty. Dostałem rozkaz, nawet jeśli został on sformułowany jako bardzo grzeczna prośba. Miałem się w Grafzaty rozejrzeć za jakimś Goruku. Krwawym Goruku, z imienia i nazwiska. Próbowałem sobie przypomnieć, czy książę kiedykolwiek właściwie wydał mi rozkaz. Mógłby bez problemu, ale on tego po prostu nie miał w zwyczaju. Z drugiej strony te jego grzeczne prośby wpakowały mnie już nie raz w takie tarapaty, że kto inny miałby problem, by wydostać się z nich o własnych siłach. Albo w ogóle żywy. I to był właśnie powód, dla którego nie odmawiałem prośbom księcia.

Grafzatta nie była największym miastem, jakie widziałem w życiu, ale pewnie drugim co do wielkości. Moim zdaniem rozrosłaby się jeszcze bardziej, ale już dawno zajęła każdy metr kwadratowy dostępnej powierzchni. W ostatnich czasach co majątniejsi kupcy i przedsiębiorcy zaczęli budować całe systemy platform wykraczających poza linię brzegową, aby zyskać dodatkową przestrzeń na nowe rezydencje, siedziby biznesów i inne mniej okazałe budowle. Z tymi platformami miałem już pewne doświadczenia. Nie były aż tak stabilne, jak by się mogło wydawać...

Miska przede mną świeciła pustkami, tak samo jak kufel. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy je opróżniłem, ale na języku wciąż jeszcze czułem smak jedzenia i napitku. To było przyjemne. Pamiętałem czasy, kiedy nie czułem ani smaków, ani zapachów, nawet dźwięk docierał do mnie zdławiony, jak przez ścianę. Zazwyczaj popadałem w ten stan po dłuższych okresach beczynności. Skinąłem na karczmarza, jedna z jego dziewczek doniosła mi piwa. Pachniało jak piwo, smakowało jak piwo. Szafa gra.

Zamaskowana kobieta dalej siedziała sama w kącie. Może się pomyliłem? Może mnie nie obserwowała, może po prostu na kogoś czekała.

Zatopiłem się znów w myślach. Miasto na półwyspie... już w jednym takim kiedyś byłem. Większym, młodszym, ludniejszym, kipiącym życiem. Spotkał je mizerny koniec, skończyło pod wodą¹. Stare dzieje. Tyle że wtedy to był prawdziwy półwysep. Grafzatta półwyspem była tylko przez cztery godziny podczas odpływu. Cienka grobla zapełniała się wtedy pieszymi, jeźdźcami, wozami, jak również brygadami pracowników, których jedyne zadanie polegało na naprawie drogi, znajdującej się pod wodą przez większość czasu. Spędziłem kilka godzin, obserwując ich przy pracy, jedna z niewielu rzeczy, które mnie autentycznie zainteresowały. Może dlatego, że do napraw używali olbrzymich kamiennych bloków, które zalewali miksturą z wulkanicznego pyłu, wapna i żwiru. Nazywali to betonem. Zdaje się, że twardniał nawet pod wodą.

Mężczyźni kładli z powrotem kilkadziesiąt metrów zerwanej przez prądy nawierzchni, spod której wyzierała wcześniejsza warstwa, również ułożona z kamiennych płyt. Wyglądało na to, że w pewnym momencie mieszkańcy miasta postanowili wynieść drogę nieco ponad powierzchnię wody. Zachodziłem w głowę, jak im się udawało funkcjonować wcześniej, jeśli nawet podwyższona droga była przejezdna tylko przez kilka godzin.

Kobieta wstała od stołu i ruszyła w moim kierunku. Porzuciłem rozmyślenia nad od dawna martwymi budowniczymi dróg.

Bez słowa usiadła na krześle przy moim stole.

– Wyglądasz, jakbyś nad czymś rozmyślał – odezwała się i już wiedziałem, z kim mam do czynienia.

Zuzanna, moja córka. Ściągnęła z czoła kaptur, jednym gestem potwierdzając, że słuch mnie nie zmylił.

– Trzymałaś się w cieniu, zmieniałaś postawę, prawie ci się udało ukryć – skonstatowałem.

Tego nie nauczyłem jej ja, głównie dlatego, że sam bym tak nie potrafił. Albo więc sama, albo miała innego mentora. Przyglądałem się jej twarzy. Wiedziałem, że jest podobna do matki, ale prawdę powiedziawszy, ja już nawet nie pamiętałem, jak Nikita² wyglądała. Zostało tylko poczucie straty. Jakbym utracił coś bardzo cennego, nieodżałowanego, ale równocześnie zapomniał, co to było. Z pewnością jednak nie chciałem utracić i Zuzanny. Może widywaliśmy się rzadko, jednak była dla mnie bardzo ważna. Jej istnienie na tym świecie było dla mnie ważne. W sumie ważniejsze niż cokolwiek innego i wszystko, co robiłem, robiłem tylko w jednym celu – aby zapewnić jej przeżycie. Gdyby nie ona, już dawno machnąłbym na to wszystko ręką. Pewnie zaraz po śmierci Nikity.

– Nie lubię, jak mi się tak przyglądasz – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– To silniejsze ode mnie.

Przez tych parę miesięcy, kiedyśmy się nie widzieli (a może to już był cały rok?), na twarzy przybyło jej zmarszczek i trochę zmizerniała, przez co jej oczy wydawały się jeszcze większe. Mimo wszystko wyglądało na to, że życie na wojennej ścieżce obchodzi się z nią zaskakująco delikatnie. Choć widziałem też i ślady wyczerpania, zaczynające odciskać na niej swoje piętno, proces, który z czasem nas wszystkich zmienia w kogoś lub zgoła coś innego. Albo doszczętnie niszczy. Patrzyłem na te oznaki z ciężkim sercem.

– Koniasz zakładał, że będzie się mógł z tobą skontaktować dopiero pod koniec wiosny. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

Koniasz. Przez chwilę obracałem to słowo w myślach.

– Mówisz o księciu.

– Owszem.

– Nie jest dobrze za bardzo się z nim oswajać. Wykorzysta cię i zniszczy – ostrzegłem ją. Nie po raz pierwszy.

– Myślisz, że to by coś zmieniło, gdybym go nazywała księciem, tak jak ty? Albo mówiła o nim jak kapitan Valer?

Przez chwilę się nad tym poważnie zastanowiłem. Karczmarz zorientował się, że mam towarzystwo, i zbliżył się w oczekiwaniu zamówienia. Albo może był ciekawski. Powstrzymałem go ruchem głowy. Ta nora nie była wystarczająco dobra dla Zuzanny.

– Możliwe – odparłem.

– To by się Annemari³ zdziwiła, skąd ta zmiana – odpowiedziała z uśmiechem. – Jeszcze bym sobie napytała biedy. Koniasz ma niesamowitą bibliotekę, a ja nie przejrzałam nawet dziesiątej części tego, co mnie interesuje. Już lepiej pozostanę przy swoich starych sposobach.

Sięgnąłem do pasa i z futerału wydobyłem zwitek dokumentów. Nie papierowych, ale pergaminowych. Osobiście wolę papier. Łatwiej się pali i kiedy potrzebny jest człowiekowi porządny pożar, nie ma nic lepszego niż dobrze zaopatrzona biblioteka albo kilka skrzyń kwitów czy weksli. To jednak były dokumenty zupełnie innego rodzaju, takie, których natura wymagała użycia znacznie trwalszego materiału.

– Ostatnie dokumenty potwierdzające twoją tożsamość jako baronówny. Autentyczne. Podpisane przez twojego ojca, barona Münchauzena.

Podziękowawszy, ukryła dokumenty pod płaszczem.

Dwaj mężczyźni przy barze zarejestrowali naszą dyskusję, wyraźnie nas obserwowali.

– Nie. Nie trzeba ich zlikwidować, zwyczajnie zainteresowało ich, jak bardzo do siebie nie przystajemy. – Zuzanna próbowała mnie uspokoić, kładąc rękę na mojej dłoni.

Odgadła moje myśli bezbłędnie, co mnie rozdrażniło. Nie byłem też przekonany, czy miała rację.

– Chodźmy stąd – uciałem. – Nie wyglądasz na dziwkę, lepiej, żebyśmy nie wzbudzali niezdrowego zainteresowania.

Wyjątkowo nie zaprotestowała. Uświadomiłem sobie, że muszę ją spytać, jak jej się udało tak łatwo mnie znaleźć.

Powrót z nicości



Energia dwóch ciał zużyła się już dawno. Wystarczyła tylko na tyle, aby TO wydobyło się z zapomnienia, ze stanu jedynie o włos od zupełnego nieistnienia. Rzecz sunęła wolno korytarzem, wolniej niż pierzchające na wszystkie strony robactwo, pająki i inne zamieszkujące kanały plugastwo. Wszystko, co żyło, wyczuwało na odległość, że TO niosło ze sobą niebezpieczeństwo, nieuchronną zgubę.

Wielka jadowita stonoga, która właśnie stoczyła zwycięski bój ze szczurem, przerwała posiłek i uniosła górną część ciała, zwracając chitynową głowę w kierunku nadciągającego niebezpieczeństwa. Na rozwartych żuwaczkach znów zaperlił się jad. Miała go wystarczająco, aby zabić setkę szczurów, a w ciemnych kanałach nie żyło nawet jedno stworzenie, którego by się obawiała. Aż do teraz. Oczywiście, o ile o rzeczy, która się zbliżała, można było powiedzieć, że żyje. W półmroku, jedynie odrobinę rozjaśnianym sporadycznymi promieniami światła przedostającymi się z ulicy, niewiele było widać. Co najwyżej cienką powłokę sunącą po chropowatym podłożu starego kanału. Przy panującej obecnie suszy jedynie samym środkiem płynęła cieniutka strużka śmierdzącego ścieku. Stonoga, której przodkowie od tysięcy generacji spędzali swe żywoty w ciemnościach, i tak nie polegała na wzroku.

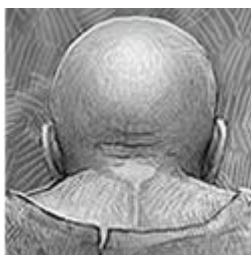
W końcu podjęła decyzję. Pozostawiła szczura na pastwę nadciągającego intruza i ruszyła do ucieczki w ślad za resztą robactwa.

TO dotarło do szczura i nakryło go warstwą tak cienką, że gdyby ktoś poświecił łuczywem, doskonale rozpoznałby kształt leżącego na ziemi gryzonia. Szczur nie był jeszcze martwy, jad stonogi poraził

tylko jego mięśnie. Rzecz była zaciekawiona. To było dużo bardziej interesujące niż napotykanie do tej pory truchła insektów.

Przez kilka minut nic się nie działo, aż wreszcie wciąż dychające ciało zaczęło maleć. Z początku ledwie zauważalnie, ale proces przyspieszał, aż na miejscu pozostała tylko kupka doskonale oczyszczonych kości. Rzecz czuła się silniejsza, nabrała energii, aby ruszyć dalej. Gdzieś w głębi swego jestestwa zachowała obraz szczura. Jedzenie szczurów podobało jej się.

Na peryferiach



Odstawiłem na blat pusty dzban i przyjrzałem się pozostałym gościom. Odniosłem wrażenie, że nalewają tu piwo kompletnie bez smaku, ale nikt inny nie wydawał się tego zauważać. No to znowu się zaczynało. Wiedziałem, że prędzej czy później to nadejdzie, ale nie spodziewałem się, że aż tak szybko. Tym bardziej że wciąż jeszcze odczuwałem skutki nocnego spaceru sprzed kilku dni. Opuściłem gospodę i ruszyłem dalej, poza granice wewnętrznego miasta, na peryferie. Pewnie szło ku gorszemu już od lat, ale jak do tej pory powoli. Jednak tutaj, w Grafzaty, wydało mi się, że zmiany przyspieszyły.

Pogrążony w myślach, dotarłem do wielkiej drewnianej budowli otoczonej zaniedbanym parkiem. Biorąc pod uwagę tutejsze ceny nieruchomości, wydawało się jasne, że opuszczona hala nie stoi sobie ot tak, przez niedopatrzenie. To miejsce musiało być dla kogoś źródłem przychodu, i to sowitego. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby odgadnąć, iż stoję przed nielegalną areną walk. Może nawet nie spojrzenie, to mógł być równie dobrze zapach.

Rozejrzałem się po niezbyt reprezentacyjnej okolicy, po rozrastających się, niepielęgowanych krzakach róż, po kopcach ziemi usypanych przed dziesiątkami lat, a teraz porośniętych krzewami akacji i drobnymi kwiatami. Gotów byłem się założyć, że pomiędzy korzeniami dzikiej roślinności spoczywały ciała zawodników, którzy... przegrali. Na tabliczce przymocowanej do drewnianego słupa widniały ślady ogłoszenia o jakiejś dawno odbytej walce. Imiona zawodników nic mi nie mówiły. Albo ich sława miała zasięg bardzo lokalny, albo ich czas już dawno przeminął. Tak jak i mój, jako że niegdyś sam byłem znany wszem wobec jako Rzeźnik. To było

dawno, wieki całe temu, przez areny imperium od tego czasu zdążyły się przewinąć całe generacje gladiatorów. Z tych nowych kojarzyłem tylko jednego, wołali na niego Monstrum. Może to nie był wcale człowiek, ale z drugiej strony swego czasu to samo mówili o mnie.

Obszedłem kupkę śmieci, która wydawała mi się aż nadto starannie usypana, i znalazłem się przed drzwiami, które były tak niskie i wąskie, że pilnujący ich dwaj obwiesie mogliby się przez nie przedostać tylko bokiem i schyleni. O ile w ogóle.

– Masz zaproszenie? – zapytał ten z lewej. Wyższy, cięższy, grubszy.

– Zaproszenie? – udałem głupiego.

– No skoro nie, to jazda stąd. – Uśmiechnął się i położył mi rękę na ramieniu.

W nogach był szybki, to mu trzeba było przyznać.

Trzasnąłem go prosto pod pachę. Nie spodziewał się kompletnie, ani drgnął, więc łatwo poszło. A walnąłem go przy tym porządnie, przysięgłbym, że prawa ręka całkiem mu odrętwiała. Mimo to próbował się na mnie uwiesić i sprowadzić do parteru samą wagą ciała. Był zbyt wolny. Łokieć w krtań i już leżał na ziemi, charcząc i próbując złapać oddech.

– Naprawdę potrzebuję zaproszenia, jeśli chcę się trochę poprzepychać? – spytałem jego kumpla, który nasze zapasy obserwował spokojnie z dłonią na rękojeści miecza.

Zbyt długiego miecza. O ile nie jest się absolutnym mistrzem fechtunku, w starciu jeden na jednego lepiej sprawdza się krótki miecz albo nawet porządny sztylet. Książę pewnie by się ze mną nie zgodził, ale to już jest bardziej... filozoficzny problem. Tak czy inaczej, długie miecze budzą respekt. U tych, którzy nie potrafią nimi robić.

– Zaproszenie albo poręczenie – zahuczał, obserwując, jak jego kompan próbuje stanąć na nogach.

Oddech już złapał, teraz zmagał się tylko z bólem. Nie dziwiłem mu się. Musiałem przyznać, że jest twardy.

– No ale wydaje mi się, że poręczenie mogę ci dać sam – kontynuował ten z mieczem.

Jego kumpel coś tam zamemlał z niezadowoleniem, ale nie szło zrozumieć, co próbuje powiedzieć. Wyglądało na to, że w czasie naszej przepychanki prasnąłem go też w szczękę, choć nawet nie zauważyłem kiedy.

– Chcę trochę zarobić – wyznałem prostolinijnie i przybrałem odpowiedni wyraz twarzy.

Ludzie często mnie biorą za idiotę. Zazwyczaj się z nimi zgadzam.

Zostałem wpuszczony do środka, gdzie znalazłem się w zatechłym kantorku, przedzielonym na pół kratą z grubych żelaznych prętów. Dobrze takie pamiętałem. Ta krata tutaj była mizernie wykuta i zdołałbym przebić się przez nią bez większego trudu. Na razie jednak nie było po co. Nie po to tu przybyłem. Znalazłem się tu, aby wyświadczyć księciu przysługę i samemu zaznać trochę spokoju.

Po drugiej stronie kraty siedział wysuszony człowieczek, przypominający księgowego. W przeszłości miałem do czynienia z zupełnie innymi typami. Zazwyczaj byli tłuści, przeżarci własną chciwością, obżarstwem i przepiciem.

– Ej, staruszk, a ty tu czego szukasz? I jak się tu dostałeś? – spytał wyraźnie zaciekawiony.

Już dawno przywykłem do tego, że jestem o pokolenie starszy od wszystkich pozostałych gladiatorów, ale ta jego bezceremonialność trochę mnie jednak zaskoczyła.

– Potrzebuję grosza, a na zapasach można zarobić. U nas, w domu, jestem najlepszy.

Przyjrzał mi się krytycznie, po czym wrócił do sortowania papierów.

– Powiem tak, staruszk, skoro dostałeś się aż tutaj, to jutro przed południem, przed pierwszą walką, masz rozgrzewkę. – Znów na mnie spojrzał, ale takim wzrokiem, jakby mi robił wielką łaskę.

– Mogę na siebie postawić? – spytałem.

Znałem odpowiedź.

– Jasne. Pięć srebrnych? Czy złocisza?

Wrażenie musiałem na nim zrobić dość mizerne.

– Trzysta złotych – powiedziałem i położyłem mieszek na blacie.

Zawahał się i spojrzał na mnie zupełnie innym wzrokiem. Należał do tej grupy ludzi, która widziała we mnie jedynie zwalistego, otyłego chłopka z paskudną gębą i karkiem stanowczo zbyt grubym w stosunku do małej głowy. Do tego zakutanego w mocno wyświechtany i połatany kozuch. Dwa dni zajęło mi przywracanie go do życia i stanu wystarczająco dobrego, żebym mógł go zarzucić na kark i nie obawiać się, że się rozpadnie. Na dziury na plecach ponaszywałem wielkie łaty ze skóry hipopotama, kaptur wzmocniłem solidną skórą wołową, a długie rozcięcia podszyłem cielęcą. Wizualnie efekt był wciąż opłakany, ale czułem się w nim jak dawniej.

– Postawić, oczywiście, możecie – odezwał się już mniej protekcyjnym tonem – ale z uwagi na tak wysoką stawkę walczyć będziecie nie jutro, a za trzy dni. Skoro tacyście dobrzy, niech ludzie nabiorą apetytu na walkę.

– No to się cieszę – odpowiedziałem bez cienia uśmiechu.

Nie było się do czego uśmiechać, bo wiedziałem, czemu przełożył walkę. Potrzebował czasu, żeby znaleźć przeciwnika, który na pewno mnie pokona. Trzy stówki piechotą nie chodzą.

Wyraz twarzy staruszka wskazywał bardzo wyraźnie, że w jego ocenie nie mam się z czego cieszyć. Mam gdzieś, co sobie ludzie myślą.

– Rozejrzę się trochę – powiedziałem.

– Nie ma problemu. – Skinął głową. – Skończmy tylko najpierw z zakładem.

– A jak obstawiane? – spytałem, żeby jednak nie sprawiać wrażenia kompletnego jełopa.

– Standardowo, jak na nowego. Dziesięć do jednego. – Posłał mi krzywy uśmiezek.

Trzysta złotych to już nie tylko okrągła sumka, to wzbudzające respekt aktywa. To oznaczało, że nic nie będzie pozostawione przypadkowi. Moim przeciwnikiem będzie ktoś, na kim mogą polegać, ktoś, kto ma już ustaloną renomę.

– Jasne – zgodziłem się i przez otwór w kracie rzuciłem na stół mieszek ze złotem. Zabrzęczało w jakże charakterystyczny sposób. W czasach, kiedy jeszcze mi na tym zależało, potrafiłbym po samym dźwięku odgadnąć, ile pieniędzy jest w środku. I czy monety są okrojone albo sfałszowane.

Księgowy, szef czy bukmacher, kimkolwiek był starzec w tej zatechłej dziurze, wysypał zawartość na brudny, pokryty plamami i bruzdami blat. Nowiutkie monety tym jaśniej błysnęły swoim nieskazitelnym blaskiem. Na ich widok gdzieś w głębi obudziła się we mnie dawno uśpiona tęsknota, ale równie szybko się ulotniła. Złoto nie było mi do niczego potrzebne. W przeciwieństwie do stali.

– Jak prosto z cesarskiej mennicy – ocenił Suchelec.

Postanowiłem tak go nazwać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy mieć ze sobą do czynienia jeszcze przez pewien czas. Co prawda aż do tego momentu nie miałem nawet pojęcia, że w ogóle istnieje jakiś plan. Początkowo to był tylko taki mglisty pomysł, nad którym się zbytnio nie zastanawiałem. Teraz jednak, kiedy jeszcze raz na to wszystko spojrzałem, poczułem się, jakby to rzeczywiście zostało drobiazgowo zaplanowane. Co i tak nic właściwie nie znaczyło. Możliwe, że tak to sobie tylko tłumaczyłem, żeby mieć pretekst do ponownego wyjścia na arenę. Mogło być i tak.

– Jak się nazywasz? – spytał mnie Suchelec.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie użyć jakiegoś pseudonimu, ale się rozmyśliłem. Musiałbym ciągle o tym pamiętać. A świat zapasów był na tyle zamknięty i specyficzny, że praktycznie nie przenikał się ze światem zewnętrznym.

– Bakly – odpowiedziałem.

– Bakly – powtórzył Suchelec i przyjrzał mi się w zamyśleniu. Wyraźnie coś mu to imię mówiło. – Na arenie nigdy go nie widziałem, ale dużo o nim słyszałem. Rzeźnik – dorzucił po chwili i moje przezwisko. – Ale to już było bardzo dawno temu.

– Ja raz go widziałem – wyjaśniłem. – Dla zapaśnika to dobre imię. W domu tak na mnie zaczęli wołać. Że niby jestem równie dobry, co on.

Kiwnął głową. Z szuflady wyciągnął kartonik z grubego papieru i szybko, ale starannie coś na nim naskrobał, po czym dmuchnął na inkaust, podpisał się i podał mi dokument. Stało na nim, że okaziciel postawił w najbliższej walce na Bakly'ego trzysta złotych przy kursie dziesięć do jednego. W przypadku wygranej pieniądze miały być pobrane w ciągu trzech dni, inaczej przechodziły na własność areny. Zabezpieczali się na każdą ewentualność, psie mordy.

Wziąłem moje poręczenie i żeton zapaśnika, dający mi wstęp na arenę, i ruszyłem na obchód.

Arena to był po prostu dół, aczkolwiek na tyle szeroki i głęboki, że jak się domyślałem, odbywały się tu i walki grupowe. Pierwszy rząd siedzeń znajdował się dobre trzy metry ponad piaszczystym dnem. Trochę mało. Znałem takich, którzy dostaliby się na górę w jednym skoku. Wtedy jednak dostrzegłem wokół areny sześć identycznych słupów ze szczeblami i niewielką platformą na szczycie, akurat na jedną osobę. Dla kusznika albo łucznika. To oni stanowili gwarancję bezpieczeństwa. Arena w starym stylu, zapewniająca bezpośredni kontakt widza z widowiskiem i śmierć tak dla pewności.

Tym lepiej.

Dostrzegłem też czworo poobijanych drzwiczek, przez które wchodzili zawodnicy, jak i ciemny tunel, którym wynosili niemogących ustać o własnych siłach. Piasek był gruboziarnisty, dobrze ubity, ale dostrzegałem też połączenie, gdzie niedawno został wymieniony. Tam, skąd należało usunąć ślady krwi. Chciałem jeszcze rzucić okiem na te słupy wokół widowni.

Podszedłem do najbliższego. Stała pod nim ławka, z której podczas walk sprzedawano wiktuały. Słup miał prostą konstrukcję z belek obciążniętych – na pierwszy rzut oka – skórą, jednak pod dotykiem okazało się, że to tylko gruby papier.

– Co tam? Masz zlecenie na renowację? No, parę ładnych stówek trzeba by w to włożyć – zwrócił się do mnie przysadzisty, zgarbiony człowiek ze skrzynką z narzędziami przewieszoną przez plecy.

Zapewne złota rączka rezydent.

– Nie. Będę tu walczył – wyjaśniłem mu.

Popatrzył na mnie i pokręcił głową.

– Ciężki kawałek chleba. No, ja na ciebie nie postawię. – Wzruszył ramionami.

– Twój wybór. – Postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu i zakręciłem się na pięcie. Zobaczyłem dość.

Formalnie i nieformalnie



Zuzanna przyglądała się drwalom, którzy czyścili obszar wokół potężnego cedru. Nie należeli do jej personelu, przyprowadził ich handlarz nieruchomościami. Posadę srebrzystego pnia porastał ciernisty bluszcz, co uniemożliwiało im rozpoczęcie pracy. Praktycznie cały park wokół pałacu był niesamowicie zaniedbany, co wskazywało na to, że właściciel nie dawał sobie rady z jego utrzymaniem. Sam pałac – wciąż wahała się przed nazywaniem go w ten sposób – był w o wiele lepszym stanie. Na pałac trzypiętrowy budynek, z niedawno odrestaurowaną, zdobioną fasadą i niskim prawym skrzydłem, wydawał się odrobinę zbyt mało okazały. Na willę aż nadto. W odróżnieniu od jej wątpliwości handlarz podobnych rozterek nie miał i słowa „pałac” używał tak często, jak tylko się dało.

Spojrzała na Valera, który zainicjował to spotkanie. Był znów po swojemu chmurny i starał się sprawiać wrażenie, jakby tylko uprzejmość powstrzymywała go przed powrotem do poważniejszych zajęć. Na czas spotkania pozbył się miecza, ale wiedziała, że tylko miecza. Ojciec nauczył ją, jak dostrzegać broń dobrze ukrytą oraz tego, że niektórzy potrafią schować ją na tyle sprawnie, że nawet ona nie będzie jej mogła odnaleźć. Valer należał do tego typu ludzi.

– Chcemy dokonać pewnych modyfikacji konstrukcyjnych – powiedział chłodno, kiedy handlarz wreszcie na chwilę zamilkł.

Mężczyzna spojrzał na Valera z niepokojem.

W białej koszuli z bogato zdobionym kołnierzem i płaszczu z długimi połami, który z przodu nie zakrywał wydatnego brzuszyska, wyglądał odrobinę nie na miejscu.

– O ile wpłyną na wzrost wartości obiektu, to nie powinno być problemem – odpowiedział ostrożnie. – Oczywiście każdą zmianę

będziecie musieli uzgodnić z właścicielem.

– A kim jest właściciel? – przyłączyła się do rozmowy z uprzejmym uśmiechem Zuzanna.

– Ekhem. – Grubas przybrał niepewny wyraz twarzy i wzruszył ramionami. Można było odnieść wrażenie, że gest ten ma dobrze wyćwiczony. – Ekhem, właściciel ma życzenie pozostać anonimowym, dzięki czemu zresztą cena wynajmu jest tak niska i dla was przystępna.

Cena niska nie była, ale Zuzanna i tak cieszyła się, że właściciel jest skłonny wynająć posiadłość nieznannej szlachciance bez referencji. Zapewne rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, a przy tym nie chciał, aby się to rozniosło. Zastanawiała się, ile wysiłku by ją kosztowało, żeby się dowiedzieć, kim tak naprawdę jest. Specyfika miejscowego rynku nieruchomości była taka, że te najbardziej okazałe i najdroższe należały do tych samych rodów przez całe stulecia, podczas gdy pozostałe zmieniały właścicieli z zaskakującą częstotliwością.

– Powiedźcie im, żeby nie ścinali tego drzewa – zażądała od handlarza.

– Park musi zostać uporządkowany – padła pełna zakłopotania odpowiedź – właśnie dla was, pani. Jest to uściślone w umowie.

Zuzanna nie zawracała sobie głowy czytaniem całego kontraktu, skupiła się wyłącznie na tej części, która dotyczyła finansów. Znów wyjrzała przez okno. Cedr był olbrzymi, zgadywała, że stoi tu od dobrych dwustu lat, może nawet dłużej.

– Tak właściwie to czemu chcecie go wyciąć? – spytała.

– Zacienia nową fasadę – usłyszała w odpowiedzi.

– Jeśli wytniecie to drzewo, nie będzie mowy o długoterminowym wynajmie. Ani o zakupie – oznajmiła stanowczo. – Zbliży się aukcja majątku rodu Cermichaelów. Ostatni dziedzic zmarł niedawno bezpotomnie, a posiadłości porozrzucanych po całym mieście mieli sporo. Zakładam, że nadarzy się okazja zakupu nieruchomości, która nam będzie odpowiadać.

Valer był jej wystąpieniem wyraźnie zaskoczony, a handlarz słuchał z uwagą.

– Mówicie, pani, że rozważacie zakup pałacu? – upewnił się.

– Owszem. Willi i całej posiadłości.

– Ceny nieruchomości są w naszym mieście wyjątkowo wysokie – handlarz nie dokończył zdania, pozwalając niewypowiedzianej sugestii zawisnąć w powietrzu.

Najwyraźniej uważał za niemożliwe, aby młoda szlachcianka gdzieś z rubieży mogła sobie na coś takiego pozwolić.

Zuzanna spędziła poprzedni dzień, studiując materiały o Grafzaty, których dostarczyły jej archiwa Koniasza, jego tajna służba, a nawet ludzie Valera, od których pochodziło kilka dodatkowych informacji.

– No dobrze, a tak orientacyjnie, ile mogłaby wynieść cena za tę willę? – Zuzanna położyła wyraźny nacisk na ostatnie słowo. W spódnicy z potrójną halką było jej gorąco, a w butach na szerokich platformach czuła się z kolei, jakby chodziła równocześnie w raketach śnieżnych i na szrudłach. Tego jednak wymagała obecna moda w okolicach, z których pochodził baron Münchauzen, a ona chciała swoją rolę córki pogranicznego arystokraty odegrać jak najwiarygodniej. Przynajmniej z początku.

Plącząc się niemiłosiernie, handlarz w końcu podał przedział cenowy.

– Ale to tylko tak w grubym przybliżeniu oczywiście, nie omawiałem z właścicielem takiej ewentualności.

Zuzanna wiedziała, że nawet dolna granica wyceny była stanowczo przesadzona. Za większą posiadłość w lepszej dzielnicy zapłacono niedawno sporo mniej.

– Brzmi rozsądnie – oceniła. – Za cenę zbliżoną do dolnej granicy byłabym skłonna willę kupić.

– Pałac – poprawił ją bezwiednie handlarz.

– Pałac – zgodziła się zrezygnowana Zuzanna. – Jak mówię, za cenę zbliżoną do dolnej granicy.

Valer miał przez chwilę niepewną minę, ale szybko się opanował. Oficjalnie baronówna Münchauzen była jego szefową, nie byłoby na miejscu, gdyby publicznie krytykował jej postanowienia.

– Kapitanie – Zuzanna zwróciła się do niego – proszę powstrzymać tych dwóch drwali, nie chciałabym stracić tego drzewa. Skoro mam zainwestować tyle pieniędzy...

– Oczywiście, pani – odparł w tonie odpowiadającym jego roli.

Po wyczerpującej inspekcji posiadłości, na którą należał handlarz w związku z ofertą kupna, została wreszcie sama w salonie, który razem z przylegającą sypialnią i jeszcze jednym pokojem definitywnie obrała na swoją siedzibę.

Kazała przynieść sobie kolację, a kiedy wynajęty tymczasowo personel został już zwolniony na noc, przebrała się w wygodniejsze ubranie. Nie chciała, aby widział ją tak ktokolwiek obcy.

Nawet pomimo iż na wieczór wcale się nie ochłodziło, w kominku tańczył ogień. Dorzuciła kolejne polano i znów się rozejrzała po swoim apartamencie. Rozmyślała przy tym, jak urządzi wnętrza, aby bardziej odpowiadały jej potrzebom. Do sypialni przylegała jeszcze łazienka z toaletą, gdzie posadzka wykonana była z różowego marmuru. Luksus godny pani domu. Siadła z powrotem przy zdobionym stoliku i przyjrzała się tacy z jedzeniem. Wędlina, pasztet, pieczywo, rzodkiewka, miska z owocami, dzbanki z herbatą i z kawą. Wszystkiego w wystarczających ilościach, tyle tylko, że zastawę przygotowano na jedną osobę. Jedna filiżanka do kawy, jedna do herbaty, dwa małe talerzyki.

Była głodna i zakładała, że Valer podobnie. Zaczęła dzielić jedzenie tak, aby przygotować porcje dla dwóch osób. W chwili kiedy ułożyła starannie trzecią kromkę chleba, rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedziała, nie unosząc nawet wzroku. Od zapachu pasztetu i świeżego chleba w ustach wzbierała jej ślina.

– Powinnaś, pani, być ostrożniejsza – wypalił zamiast pozdrowienia.

– Wiedziałam, że to wy, kapitanie.

– Skąd?

– Po prostu wiedziałam.

Wciąż był ubrany jak podczas spotkania z handlarzem nieruchomościami, z tą różnicą, że u jego pasa znów pojawił się

miecz.

Valer był zawsze czujny i nieufny; takiej samej postawy wymagał od swoich ludzi.

– Kawy czy herbaty? – zapytała.

– Kawę poproszę.

Podawała mu filiżankę. Wyglądał na zdenerwowanego. Już wiedziała, czemu miał tyle srogich zmarszczek. Rzadko się uśmiechał.

– Tu jest coś do jedzenia. – Podawała mu talerzyk z dwoma kromkami chleba. Sama skorzystała ze spodka. – Nie prosiłam o nakrycie dla dwojga – wyjaśniła – przynajmniej aż będziemy mieli stały personel. Nie chcę, aby ktokolwiek wiedział, jak poufny jest nasz związek.

– Oczywiście – przytaknął. – Jesteśmy na terytorium wroga. Dwoje agentów.

Uświadomiła sobie, że to delikatne podpuszczanie Valera niezwykle ją bawi. Aż zrobiło jej się trochę wstyd. Kapitan był dżentelmenem w każdym calu. Uprzejmy, rozważny, zupełnie inny niż większość mężczyzn, z którymi miała do czynienia. Z drugiej jednak strony możliwe, że on też ją trochę kokietował.

Wyglądniwały, skoncentrował się na jedzeniu.

– Zastanawiałem się nad waszym pomysłem zakupu willi – przeszedł do sedna po kilku kęsach.

– Czemu? – spytała i sama zaczęła jeść.

– Bo to duża suma.

– Owszem – zgodziła się – ale niewątpliwie suma, którą dysponujecie, kapitanie.

Chwilę musiała czekać na odpowiedź.

– Zgadza się – potwierdził wreszcie. – Mam też autoryzację, aby z niej skorzystać.

– Niepokoi was, że pod umową kupna będę się musiała podpisać swoim nieprawdziwym nazwiskiem?

– Nie, to nie to. Chodzi mi tylko o pieniądze. To jest prawdziwa fortuna – wyjaśnił.

– Wydaje mi się, że zakup willi jest w naszym interesie. Będzie nam łatwiej dokonać przebudowy, którą chcecie przeprowadzić. Do tego chcemy przecież nawiązać trwałe kontakty handlowe.

Valer milczał. W trakcie jej krótkiej przemowy zdołał dokończyć swoją porcję. Bez zachęty z jego strony zaczęła mu serwować dokładkę.

– Jeśli to ułatwi sytuację, to Koniasz dał mi do dyspozycji wystarczające środki – wyjawiała.

– Książę jest ostrożny, a nasza misja jest dla niego istotna – skomentował.

Pozostawiła jego uwagę bez odpowiedzi.

– Musimy dokonać całej masy zmian. Bardziej w celu ochrony przed infiltracją niż jawnym atakiem. Tej rezydencji i tak nie dałoby się bronić zbyt długo. Wymiana drzwi, zamków, instalacja wizjerów, ukrytych stanowisk strzelniczych, przygotowanie całego skrzydła dla ludzi, rozbudowa kuchni, żeby można w niej było przygotowywać posiłki dla wszystkich naraz – zaczął wymieniać. – Także przebudowa poddaszy, aby dało się z nich prowadzić obserwację okolicy.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

– Możecie mi podać swoją filiżankę? Nie chcę mieszać kawy z herbatą.

– Dziedziczka barona nie powinna wieczerzać z dowódcą swojej wojskowej eskorty – skomentował, podając naczynie.

Filiżanka wciąż była do połowy pełna. Napiała się z niej z uśmiechem.

– Oczywiście, że nie. Chyba że łączą ją z nim bliższe stosunki i chce, żeby się to wydało.

– Jak sobie życzyacie – odpowiedział dwornie.

Zuzanna żałowała, że nie potrafi czytać w myślach. Dałaby wiele, aby wiedzieć, o czym myślał w tej chwili Valer. W trakcie ich wspólnej podróży zachowywał się uprzejmie i profesjonalnie, ale przez całą drogę zamieniła więcej słów z jego ludźmi niż z nim samym.

– Nie zgadzacie się z zakupem posiadłości? Czy macie może problem z autoryzacją transakcji? – wróciła do tematu rozmowy i pokazała mu pustą filiżankę. Valer ją natychmiast napełnił.

– Nie, nie mam. Taka jest wasza decyzja i ja ją respektuję. Po prostu byłem zaskoczony.

Skinęła głową. Jej samej Koniasz nie wyznaczył żadnych granic finansowych. Wiedziała jedynie, na ile może liczyć w danej chwili, a na sumy jakiego rzędu musiałyby czekać, aż zostaną zgromadzone. Było to dodatkowe zabezpieczenie, na wypadek gdyby Valer wypadł z gry albo gdyby z jakiegoś powodu musiała sięgnąć po środki z innego źródła.

– Jakie macie plany na jutro? – zapytał.

– Wizyta na rynku, muszę zacząć organizować spotkania z kupcami, na których mam zamiary – zaczęła, ale Valer energicznie pokręcił głową.

– Jesteście młodą szlachcianką, interesy mogą poczekać. Na pierwszym miejscu powinny być salony mody, obiad w restauracji, a na wieczór spotkanie towarzyskie. Przybyły już nawet pierwsze zaproszenia. Wybrałem te, które wydały mi się najciekawsze. – Podał jej kilka kartoników zapisanych ozdobnymi literami w najróżniejszych odcieniach złota. Zuzanna pobieżnie je przejrzała. Markiz Henry Parleur, sir Morpan Gurpe. Trzecie nazwisko знаła.

– Wicehrabia Agress Guici – przeczytała na głos.

Był to jeden z potencjalnych kontaktów, na które liczyła, choć i bez nich powinna osiągnąć swój cel.

– Wygląda na to, że jest wciąż zręcznym kupcem – zauważyła. – To jest dobra wiadomość.

– Dlatego też chce się z wami spotkać – potwierdził kapitan.

– No to jest właśnie pytanie. Jestem w mieście nowa, dla wielu tutejszych szlachciców stanowią więc wyzwanie. Ile on ma lat?

Valer sięgnął do torby, wyciągnął obwiązany plik papierów i zajrzał do swoich notatek.

– Siedemdziesiąt. I jest żonaty.

– Czyli faktycznie chodzi mu wyłącznie o spotkanie biznesowe – oceniła.

– Zawsze jesteś, pani, taka pragmatyczna?

Wyglądał, jakby nie był z tego powodu szczególnie szczęśliwy.

– Owszem. Jeśli został mu jeszcze jakiś apetyt na młode dziewczyny, na pewno ma sposoby na jego zaspokojenie. I to o wiele łatwiejsze niż romans ze szlachcianką ze wsi. Chodzi więc o interesy. Reszta dla was, mnie już wystarczy. – Oddała mu filiżankę. – Ten Kurzer to kto? – zmieniła temat.

– Należy do tej drugiej grupy, która nie szła z nami. Chłopak z perspektywami, spotkaliście się już.

Przypomniała sobie.

– Często go posyłacie z takimi zadaniami? Mam na myśli zadawanie się z kobietami.

Obserwowała Valera, ciekawa jego reakcji.

– Owszem. Ma do tego smykałkę. Kiedy trzeba się z kimś dogadać, lepiej ludzi nie straszyć.

– To was się kobiety boją? – Popatrzyła prosto na niego. Przez cały czas ich wspólnej podróży odnosiła wrażenie, że kapitan jej unika. Śniadanie z dzisiejszego poranka było wyjątkiem.

Valer wytrzymał jej spojrzenie tylko przez chwilę.

– Jestem dość surowy – odpowiedział – więc chyba się boją.

Wyłącznie te głupie, pomyślała Zuzanna.

Zabójcy i ofiary



Vuki jeszcze raz skinął na pożegnanie Ibrahimowi Costerowi, przewodnikowi karawan handlowych, i ruszył w swoją stronę. Występował teraz jako rzemieślnik, któremu wiodło się na tyle dobrze, że chciał wybadać możliwość otworzenia filii w nowym miejscu. Nie chciał płacić za przewóz pełnej stawki, więc udało mu się zasugerować Costerowi, że jeśli pomoże mu na starcie, będzie się potem mógł odkuć na transporcie jego produktów, dzięki czemu zapłacił tylko symboliczną sumę. Vuki miał pewność, iż było to jego najlepsze i najwiarygodniejsze wystąpienie aktorskie w życiu. Ibrahim Coster cieszył się sławą doświadczonego i szanowanego przewodnika i Vuki już przy pierwszym spotkaniu zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem przebiegłym i niegłupim, a mimo to udało mu się go zwieść. Gdyby tylko potrafił być takim sztukmistrzem na co dzień, pewnie tonąłby teraz w złocie (a przynajmniej srebro), a nie martwił się o ocalenie własnej skóry.

Wciąż nad tym myśląc, zatrzymał się przy ulicznym sprzedawcy i kupił sobie okazałą porcję klopsików z miejscowym specjałem, pikantnym paprykowym sosem. Były ostre, aż paliły podniebienie, ale pyszne. Pochłonął je bez zastanowienia.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki zadowolony z samego siebie, a przecież w przeszłości wykręcił już kilka niezłych numerów. Chociaż z drugiej strony jakoś nigdy nie przyniosły mu one tyle pieniędzy, ile sobie po nich obiecywał.

Zaspokoiwszy głód, podszedł do kolejnego straganu, gdzie chudy gość z niesłabnącym uśmiechem sprzedawał napitki: piwo, wino i różne gatunki owocowych wódek. Zamówił podwójną wiśniówkę, dołożył sprzedawcy kaucję za szklanekę i odsunął się na bok.

Przez chwilę miał wrażenie, że obserwują go dwaj kulisi w znoszonych łachach. Jeden wysoki, a drugi mniejszy, ale barczysty. Oczywiście to był nonsens, czemu niby mieliby na niego zwracać uwagę jacyś tragarze. Ale nagle uświadomił sobie, że już ich gdzieś widział, i to jeszcze zanim odwiedził Costera. Czemu wcześniej zwrócił na nich uwagę? Ostrzegł go szósty zmysł, który nie raz już przyniósł mu szczęście. Ci dwaj jednak szczęścia z pewnością nie przynosili. W okamgnieniu cały spokój Vukiego wyparował. Oni go śledzili. A jeśli ktoś go śledził, musiało to mieć związek z jego pracą dla klanu.

Odstawił szklanę, pozostawiając kaucję dla szczęśliwego znalazcy, i szybkim, choć nie podejrzanie pospiesznym krokiem wmieszał się w tłum. Było jasne, że nie będzie mógł wyjechać z Costerem. Ani z żadną inną karawaną. Najlepiej w ogóle trzymać się na dystans od głównej bramy miejskiej. Wystarczyłoby kilka miedziaków w odpowiedniej kieszeni, aby zorganizować wyjazd, który nie zostanie zauważony, ale nie należało się spieszyć. Grafzatta była dużym miastem. Wystarczająco dużym, aby się w nim na jakiś czas ukryć i pozacierać za sobą ślady.

– Miałem go już na muszce – powiedział z wyraźnym wyrzutem Keshua, po czym napił się piwa z nawoskowanego papierowego kubka. Nie trzeba było za nie płacić kaucji, a wytrzymały kilka dolewek. Co prawda o pieniądze nie musiał się martwić, ale jeśli chciał wypaść autentycznie, nie wystarczyło zarzucić na kark wyświechtanych łachów, musiał też zachowywać się tak, jakby liczył każdy grosz.

Gruman miał już dość ciągłego narzekania swojego partnera, jak i jego niechęci do ścisłego wykonywania rozkazów.

– Nie ma sensu go zabijać. Beczkę odstawił pod wskazany adres, zwyczajnie teraz próbuje prysnąć z miasta. Zlecenia na niego nie ma. Poza tym masz tylko małą kuszę – zauważył. – Z tej odległości i tak byś go nie załatwił. Drasnął najwyżej.

– Grot jest zatruty. Własna receptura.

Gruman rutynowo obserwował ruch na placu targowym. Nie wydawał się rozbawiony żądzą krwi swojego kompana, raczej zniesmaczony.

– I tak byś nie trafił – uciął, przyglądając się tłumowi.

– No to popatrz.

Było coś w tonie jego głosu, co sprawiło, że Gruman posłuchał. Keshua obrócił się powoli, jakby kogoś wypatrywał. Dzięki otaczającemu ich tłumowi wyglądało to bardzo naturalnie.

– Facet w tym bogato zdobionym płaszczu, z ciężką torbą – powiedział i strzelił z biodra, po czym płynnym ruchem złożył łuczysko małej stalowej kuszy i upuścił ją do skórzanej torby leżącej przed nim na ziemi. Zdawało się, że nikt niczego nie zauważył, a on sam w następnej chwili stał już z kubkiem w ręku, jakby go nigdy nie odstawił. Zaatakowany mężczyzna stanął w pół kroku i złapał się za tył głowy, jak gdyby ukąsił go jakiś owad.

– Właśnie odłamał trzon bełtu, ale pod skórą została mu ampułka. Jest wykonana z cieniutkiego szkła, jak tylko przejechał ręką, rozgniół ją na dziesiątki maleńkich odłamków. Są nie do wykrycia – komentował Keshua sytuację.

– Czemu to zrobiłeś? – spytał Gruman.

Zachowywał się całkiem obojętnie, nawet jego ton nie zdradzał, że wyczyn kompana w czymkolwiek mu przeszkadza.

– Bo twierdziłeś, że bym nie trafił. Czasem dobrze takie rzeczy potrenować w praktyce, nie tylko na strzelnicy. Trucizny też jeszcze w takiej sytuacji nie przetestowałem.

– A co to za trucizna?

– Silna, ale dość wolno działająca. Za parę chwil zrobi mu się niedobrze, za pół godziny gdzieś sobie usiądzie, nogi zaczną odmawiać mu posłuszeństwa. Niedługo potem ręce i głos. Na koniec zatrzyma mu się serce i umrze. Ale to dopiero za kilka godzin. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że to nienaturalna śmierć. Każdy będzie myślał, że dostał udaru.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – zainteresował się Gruman. Wzrokiem przez cały czas śledził otrutego mężczyznę.

– Widziałem kiedyś pająka, który ukąsił tapira. Głęboko w dżungli jest niewiele mięsa, trudno o składniki odżywcze – odpowiedział Keshua. – Wydawało mi się to czystym marnotrawstwem, żeby taki mały pająk miał atakować tak wielkie zwierzę.

– Może go poobserwujemy? – było to nie tyle pytanie, co sugestia.

Keshua skinął głową, rzucił sprzedawcy przekąsek garść drobnych i chwycił ze straganu dwa długie szaszłyki z żabimi udkami. Gruman na niego nie czekał, Keshua dogonił go i podał jeden z szaszłyków.

– W głębokiej dżungli mięsa jest naprawdę mało. A ten pająk, jak tego tapira ukąsił, to go potem śledził – kontynuował wyjaśnienia. – Nie robiłby tego, gdyby nie miał w tym jakiegoś interesu. Zwierzęta oszczędzają energię, nie działają impulsywnie.

Gruman słuchał kompana, ale z uwagą obserwował ich cel. Ten zaś zatrzymał się i oparł o olejową latarnię. Widać było, że oddycha z trudem.

– Potem przyglądałem się, jak tapir umiera – mówił dalej Keshua, równocześnie próbując przełknąć kolejny kęs. Chwalenie się własnym sprytem sprawiało mu widoczną przyjemność. – Dokładnie jak ten gość tutaj. Zaraz będzie musiał usiąść, bo już długo na nogach się nie utrzyma. Potem zacznie się pragnienie.

Obserwowany mężczyzna jakby go usłyszał, usiadł przy stoliku jednej z restauracji, zamówił i równocześnie zapłacił.

– O ile go nie obsłużą natychmiast, już się raczej nie napije. Za chwilę straci władzę w rękach, potem w nogach.

Zatrzymali się obaj przy straganie z zastawą kuchenną. Sprzedający zorientował się od razu, że nic od niego nie kupią, ale spojrzawszy na nich, uśmiechnął się tylko i zostawił ich w spokoju.

Jakby i kelner posłuchał Keshuy, bo pojawił się z powrotem prawie natychmiast i podał obserwowanemu mężczyźnie piwo. Ten tylko skinął głową w podziękowaniu, sięgnął po dzban, ale zdołał ledwie złapać za ucho, po czym opuścił przedramię na stół. Już więcej unieść ręki nie był w stanie.

– A nie mówiłem? – oznajmił z nutą triumfu w głosie Keshua. – Stracił władzę w rękach.

– A ty znalazłeś sposób, jak pozyskać i przetworzyć jad tego pająka – kontynuował wcześniejszą myśl Gruman.

Wiedział z własnego doświadczenia, że tego typu przedsięwzięcia nie są łatwe. Zaskoczyła go też zdolność obserwacji partnera. Keshua był młody, ale cała ta historia wskazywała na to, że był zdolniejszy, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. Oraz bardziej bezwzględny.

– Właśnie – padła odpowiedź. – A najlepsze jest to, że jad działa tak samo podany w jedzeniu czy picciu.

To, że sposobu na pozyskanie jadu nie odkrył sam, ale nauczył się go od małego myśliwskiego plemienia z dżungli, zachował już dla siebie. Nie musiał się do tego nikomu przyznawać, bo z leśnej osady, która go ku swej zgubie gościła, nikt nie pozostał żywy. Dobrze się o to postarał.

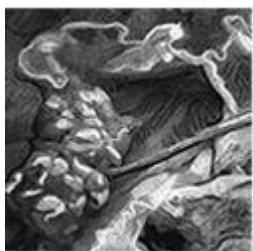
– Chodziłem się przyglądać temu martwemu tapirowi przez kilka dni. Co mnie zaciekało, to że nie odważyły się go tknąć żadne inne stworzenia, zupełnie jakby zdawały sobie sprawę, że wciąż jest trujący. Za to pająk złożył w nim jajka. To był bardzo dziwny pająk – kontynuował opowieść. – Wyraźnie wiedział, jak na tym wszystkim skorzystać.

Gruman przez chwilę jeszcze obserwował otrutego mężczyznę. Wyraz przerażenia na twarzy tamtego ustąpił sparaliżowanej masce, jedynie ruch oczu zdradzał, że wciąż żyje. Cała reszta ciała kompletnie stężała.

– Lepiej już chodźmy – powiedział Keshua. – Nie musimy tu stać, aż się zorientują, że jest martwy.

Gruman skinął głową. Keshua czuł przez skórę, że przełożony nie pochwałiał tej samowolnej akcji, ale mimo to zaczął go darzyć pewnym szacunkiem. I to cieszyło Keshuę.

Jak za młodych lat



Siedziałem w miejscu, gdzie przez plecionkę parasola przedostawało się najwięcej światła. Słoneczne promienie padające na mój skórzany płaszcz grzały, aż miło. Przyglądałem się, jak powoli paruje rosa z dzbana z zimnym piwem, które zamówiłem dla świętego spokoju. Jego smaku w ogóle nie czułem, równie dobrze mógłbym pić i wodę, albo nawet szczyzny, choć tych ostatnich wolałbym unikać.

Wyciągnąłem przed siebie ręce i położyłem je na stole. Przyglądałem się paznokciom, palcom i stawom. Nie dostrzegałem nigdzie śladów krwi, mydło i ryżowa szczotka zrobiły swoje. Jednak kiedy się popatrzyło INACZEJ, wciąż tam była. Czarny osad zmieniający moje ramiona w potwory. Nie miałem odwagi przyglądać się im INACZEJ zbyt często. Trudno się było z tego otrząsnąć i powrócić do normalności.

– Będziecie zamawiać coś jeszcze?

Spojrzałem na kelnera, młodego chłopaka, któremu na twarz wyłaził dopiero pierwszy zarost. Zgadywałem, że przysłał go szef, aby spróbował się mnie pozbyć. Zabierałem im cenne miejsce, a oprócz jednego piwa nie zamówiłem nic innego.

– Ty...ty...tyl...ko się py...pytałem – wyjąkał chłopak i praktycznie znikł mi z oczu, zanim jeszcze skończył mówić.

Odnalazłem wzrokiem jego szefa. Przyglądał mi się. Wysoki, barczysty, z rosnącym brzuchem, który zaczynał mu się wylewać ponad paskiem. Zorientował się, że na niego patrzę, i przez chwilę miałem nadzieję, że będzie chciał mnie wyrzucić, ale on odwrócił wzrok i udawał, że jest czymś zajęty. No to już nikt nie powinien mnie tutaj niepokoić. Szkoda. Napilem się piwa i przez chwilę

próbowałem wychwycić jego smak. Na próżno. Zapowiadał się kiepski dzień. Bez różnicy. Dla mnie i to, co najgorsze, jest wystarczająco dobre. W myślach powróciłem do tego, co istotne.

Przez ostatnich kilka dni rozmawiałem z masą ludzi. Z żebrakami, z jednym małym złodziejaszkiem, z paserem, gromadą dziwek i z dwoma takimi, którym przeszkadzało, że zadaję tyle pytań. Ta ostatnia rozmowa rozbawiła mnie najbardziej, to właśnie dlatego musiałem tak dobrze wyszorować łapy. Wszystko, czego się dowiedziałem, potwierdzało, że moja akcja przetrzebienia kilku miejscowych gangów odniosła sukces. Zaburzyłem równowagę sił, w wyniku czego rozpoczęły się przepychanki o nowy podział stref wpływów.

Zwykli ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielkie znaczenie dla miejskiego gangu może mieć kontrola dwóch, trzech, pięciu ulic, na których się dzień w dzień handluje. Albo małego kwartału. W tak ruchliwym mieście jak Grafzatza każdy dzień oferował szansę zbitcia majątku. Nie mają również pojęcia, że trzonu miejskich gangów nie tworzą setki, ani nawet dziesiątki ludzi. Zazwyczaj jest to kilku osiłków, którzy wiedzą, jak zastraszyć, obić albo zabić. I jeśli się tych osiłków usunie, gang zostaje osłabiony i zaczyna być podatny na napory z zewnątrz. Kilka dni wcześniej zburzyłem istniejącą równowagę sił i teraz próbowałem się zorientować, kto wypełni powstałą pustkę. Jak na razie wyłoniły się imiona trzech najsilniejszych kandydatów: Grevich, Duffy i Cremax.

Ktoś przesunął parasol i promienie słońca uderzyły we mnie z całą siłą. Rozparłem się wygodniej na ławce. Gorąco. Lubię ciepło, a ostatnimi czasy jeszcze bardziej niż kiedyś. Jest to jedyne uczucie, które w odróżnieniu od całej reszty jakoś nie zanika. Jedna z niewielu radości w życiu.

W przestrzeń pod otwartym niebem ograniczoną karczennym ogródkiem wstąpił jakiś człowiek. Nie widziałem go, ale słyszałem. Mimo to rozpoznałem, że nie był to ani rzemieślnik, ani sprzedawca, ani żaden inny regularny obywatel. Kogoś szukał. Nie rozglądałem się, czekałem, aż sam znajdzie swój cel. Nie zajęło mu to zbyt długo, bo tym celem byłem ja. Już się zacząłem cieszyć na to, co się miało

wydarzyć, ale zanim jeszcze wkroczył w mój krąg widzenia, rozpoznałem kapitana Valera.

– Kłaniam się – zaczął z tą swoją wieczną uprzejmością. – Sześciu moich ludzi was szukało – wyjawiał.

– Nie próbowałem się ukrywać – odparłem. – Nawet bym nie potrafił.

– Mogę się przysiąc?

Dobrze wychowany aż do obrzydzenia. Mogłem mu powiedzieć, że nie, ale i tak nastąpiłaby po tym dyskusja.

– Tak – warknąłem. – Z pewnością musimy obgadać kilka spraw.

Usiadł. Ostrożny, poważny, skoncentrowany. Przez chwilę siedzieliśmy naprzeciw siebie w milczeniu i obserwowaliśmy się nawzajem. Studiował mnie, ale próbował to ukryć. Ja nie byłem nim szczególnie zainteresowany. Było mało prawdopodobne, żebym go musiał zabić. Pracowaliśmy razem już kilka lat, choć spotykaliśmy się rzadko. Przez ten czas dość się o nim dowiedziałem. Nie był wart, żeby zawracać sobie nim dupę.

– Przyszedłem, aby przedyskutować nasze cele – zaczął wreszcie.

– Nie chciałbym, żeby nasze interesy zaczęły się krzyżować.

– Żebyśmy sobie w drogę nie włązili – uściśliłem.

– Właśnie – nie protestował.

– Ale księżę zwykle sam dba o to, aby wszyscy jego ludzie wiedzieli dokładnie, co mają robić – podsunąłem.

Trochę go tym rozdrażniłem.

Pojawił się kelner, poczekałem, aż Valer coś zamówi. Poprosił o piwo, ale wiedziałem, że upije najwyżej łyk. Chwilę przyglądał się oszronionemu kufłowi, po czym zachował się dokładnie tak, jak przewidziałem. Ledwie z niego siorbnął.

– Akurat mam pewne wątpliwości co do tego, że księżę wytycza wam zadania – powiedział ostrożnie.

– Fakt. Prosi o przysługi – uściśliłem.

– I o jaką przysługę was poprosił tym razem?

To tu był pies pogrzebany. Valer chciał się dowiedzieć, co tu robiłem. Poza dostarczeniem Zuzannie dokumentów. To akurat było

zadanie dla zwykłego posłańca. Nie miał aktualnych informacji, bo był dłużej w rozjazdach. Jechali tutaj naokoło, ja bezpośrednio.

– Jeden z węzłów naszej sieci handlowej już jakiś czas temu przestał funkcjonować. I to nie jakiś pośledni, ale jeden z głównych węzłów, który łączył i komunikował między sobą kilka mniejszych podsieci.

Przez chwilę Valer przyglądał się swojemu kuflowi, jakby nie interesowało go nic innego na całym świecie.

– Zdarza się – rzekł wreszcie – nikt nie żyje wiecznie.

– Powoli okazuje się jednak, że przestaje działać cała siatka. Rozpada się. A zaczęło się to od bezpośrednich kontaktów człowieka, który zaginął. Dodatkowo konkurencja nagle zaczęła zyskiwać nad nami przewagę – kontynuowałem.

– W normalnej sytuacji przez jakiś czas wszystko z rozpędu toczyłoby się tym samym torem – zauważył Valer – więc może nasz delikwent wcale nie umarł. – Spojrzał na mnie. – Ktoś próbuje przejąć naszą siatkę, co bez współpracy naszego głównego człowieka byłoby bardzo trudne. Ba, niemożliwe wręcz.

Skinąłem głową. Niezorganizowana siatka łowców artefaktów, będących życiową pasją księcia, z czasem w naturalny sposób przekształciła się w sieć informatorów. Ci oprócz starych magicznych przedmiotów zaczęli handlować również sekretami. Człowiek, który zaczął sypać, należał do tych, którzy sypać nie powinni. Stał na samym czele rozległej organizacji, znał księcia osobiście i powinien być w stanie sobie wyobrazić, jakie konsekwencje czekały go za zdradę. To on był moim zadaniem.

– Moim zadaniem jest zapewnić bezpieczeństwo i ochronę madame Zuzannie – powiedział Valer.

Księżę uważał go za jednego ze swoich najlepszych ludzi.

– Początkowo nasz cel stanowiła Tsuhevra, ale Zuzanna, baronówna Zuzanna – poprawił się – zdecydowała, że powinniśmy raczej wylądować aż tutaj.

Tsuhevra była portem rzeczonym, Grafzatza morskim. W Tsuhevrze panował znacznie większy chaos, łatwiej było

człowiekowi zniknąć i pojawić się z powrotem, z kolei w Grafzaty odbywał się handel na dużo większą skalę.

– Mamy za zadanie ustanowić kanał handlowy – kontynuował Valer.

– Tak, żeby nikt się nie domyślił, iż chodzi o handel z księstwem – odpowiedziałem.

Książę z podobnym zamiarem nosił się już dłuższy czas. Czekał tylko na właściwy moment i na właściwego człowieka. Wybrał Zuzannę, która zgodziła się przyjąć zadanie. Wreszcie praca, przy której mogła trochę odpocząć i nie narażać dzień w dzień życia. Wielce pożądana odmiana.

– A właściwie dlaczego nie zostaliście w Tsuhevrze? – zastanowiło mnie. – Mielicie przecież bliżej.

– Ze względu na poczynania czarodziejów Varatchiego. Wygląda na to, że w ostatnim czasie zainteresowali się Grafzatzą. Tutaj też wydaje się urywać trop po Kamieniu Zimna.

Mogłem się domyślić, że za zmianą planów stała magia. Miałem ochotę splunąć. Zuzanna była czarodziejką, a książę na każdym kroku starał się dowiedzieć jak najwięcej o możliwościach wykorzystania magii.

– Kamień Zimna – powiedziałem na głos. – Wydaje mi się, że książę jest nim nieco owładnięty. Nawet mnie o nim wspomniał.

– Owszem. Jest nim bardzo zainteresowany, ale nie zdradził mi dlaczego – wzruszył ramionami Valer.

– Mam nadzieję, że z waszym zadaniem sobie poradzicie. Mam na myśli bezpieczeństwo Zuzanny, handel mam gdzieś. – Rzuciłem mu ostre spojrzenie i dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że w swojej wypowiedzi zawarłem groźbę.

Utkwił we mnie wzrok, który dobrze znałem, spotykałem się z takim u wielu ludzi. Potem ich zazwyczaj zabijałem.

– Oczywiście.

Wstał i oddalił się.

Zastanowiłem się, ile ja właściwie dzisiaj wypilem. Spragniony nie byłem, ale pamiętałem tylko to jedno piwo, które zamówiłem tutaj. Pusty kufel wciąż stał przede mną na stole. Dla pewności

wypiłem i to Valera, zebrałem wór z żelastwem, który leżał schowany pod stołem, i podniosłem się. Czekala na mnie walka. Nareszcie coś pozytywnego w tym mizernym dniu.

W drodze rozmyślałem nad tym, jak to będą chcieli rozegrać. Dużo zależało od tego, jakie miały dziś panować zasady na arenie. Tym, że sam na siebie postawiłem sporą kwotę, wyróżniłem się z tłumu. Nie wydawało mi się jednak, żeby mieli próbować ustawić walkę, co najwyżej naślą na mnie jakiegoś lepszego zawodnika.

Bezpośrednie sąsiedztwo areny wyglądało na równie zaniedbane jak podczas mojej poprzedniej wizyty, jednak tym razem pomiędzy zdziczałymi krzewami, kupkami gruzu i stertami odpadków kręciły się grupki ludzi, a po wysypanym grubym żwirem podjeździe toczyły się dorożki i karety. Zbliżało się wieczorne przedstawienie.

Uświadomiłem sobie, że zaczynam się cieszyć. Może jednak spróbują jakiegoś przekrętu. Byłoby nawet ciekawiej.

Wykidajle pokazałem żeton, wpuścił mnie bez słowa. Historia o laniu, jakie spuściłem jego koledze, rozeszła się widać szerokim echem.

Wstąpiłem do ciemnego korytarza. Kamienna posadzka była świeżo umyta, jeszcze błyszcząca. Wąskimi schodami zszedłem piętro niżej. Tutaj już wysiłki sprzątających nie zdołały ukryć lat, może nawet dekad, kiedy w ściany wnikały zapachy potu, moczu, krwi i śmierci. Korytarz biegł dalej, aż do samej areny, ale drugiego wyjścia pilnowało dwóch drabów w kolczugach i z pałami. Ci mieli za zadanie wypuszczać na zewnątrz tylko tych, którzy mieli walczyć, a z powrotem do środka tych, którym było wolno zejść. Na moim żetonie widniała czwórka, znalazłem więc boks numer cztery i tam się rozgościłem. Boksów nie dzieliły ściany murowane, ale z drucianej siatki. Dzięki temu nie było w nich całkiem ciemno, panował jedynie półmrok. Siadłem na topornej drewnianej ławce, nogi oparłem o ścianę. Wór z żelastwem rzuciłem na podłogę. Zabrzęczał satysfakcjonująco.

Czekałem, aż przyjdzie szef dzisiejszego widowiska. Pojawił się sam Suchelec, widać sprawował tu więcej funkcji, niż to było w zwyczaju. Aż tak mała ta arena nie była.

– Pietrasz się? – rzucił wprost.

– Przecież mówiłem, że u nas, w domu, jestem najlepszy. Nawykłem do zapasów.

– No, tylko że tu jest miasto, a nie jakieś zadupie. – Patrzył na mnie, jakbym przybył z innego zgoła świata.

Miał, rzecz jasna, rację, ale i tak nie bardzo rozumiałem, czemu mi prawi takie oczywistości.

– Ale w tym mieście żrecie świnki, które my na zadupiu chowamy, nie? – spytałem.

Teraz to on mi się przyglądał, nie łapiąc, o co chodzi. Ja sam też swojej odpowiedzi nie rozumiałem, ale i nie musiałem.

– No nic – wzruszył ramionami – przyszedłem wyjaśnić ci reguły.

– Mam własne żelastwo. – Kopnąłem worek. – O ile nie jest to wcześniej inaczej umówione, każdy może przynieść swoje. A myśmy się nijak nie umawiali.

– To prawda – nie spierał się.

A więc nie będą mi próbować wcisnąć jakiegoś złomu, który się przy drugim uderzeniu rozpadnie. Żaden szacher-macher.

– Pierwsza walka będzie bez broni.

– I ludzi to interesuje? – zdziwiłem się.

– Bez broni i bez reguł.

Trochę lepiej, ale dalej nic specjalnego. Z drugiej strony nawet ich rozumiałem. Ostrze to ostrze, fartowne cięcie może się trafić i żółtodziobowi. A te trzysta złotych, które w takim przypadku mógłby głupio stracić, pewnie nie dawało mu spokoju.

– Na śmierć i życie.

A. No, to już ludzi będzie interesować. Walka na gołe pięści na śmierć i życie to była rzadkość.

– Zwycięzcy zazwyczaj pokonanych nie dobijają, mało to dziś chodliwe. – Źle zrozumiał moje milczenie.

– Jeśli właściciel areny ogłasza bój na śmierć i życie, ja z tym problemu nie mam – wyjaśniłem. – Jaki jest kurs?

– Ty stawiałeś dziesięć do jednego. Tuż przed walką to będzie dwadzieścia do jednego – odparsknął.

Lata temu zaparłoby mi dech. To oznaczało, że byli absolutnie pewni mojej przegranej. Taki kurs wyznaczyli tylko po to, żeby ponaciągać wszystkich kompletnych frajerów, desperatów z nożem na gardle, każdego, kto był na tyle głupi albo na tyle zdesperowany, aby dać się podpuścić.

– To ja jeszcze na siebie postawię – powiedziałem.

Suchelec przyglądał mi się z zaskoczeniem.

– Muszę iść do buka czy mogę wprost u ciebie?

– U mnie.

Odniosłem wrażenie, że wciąż mi nie dowierza. Wyciągnąłem zza pasa dziesięć monet z osadzonym szmaragdem. Najtwardsza waluta, zawsze w cenie. Wziął bez słowa, obejrzał pod światło i zaczął wypisywać kwit.

– Jeszcze pieczęć – domagałem się.

– Mój podpis jest tak samo ważny jak pieczęć – odparł urażony, ale posłusznie podstemplował.

– Czyli że zarobię kolejne dwa tysiące złotych. W sumie dwa trzysta – upewniłem się.

Kiedyś sama myśl wywołałaby mi ciarki na plecach. Dziś to był tylko kolejny element gry.

– Idioto, twój przeciwnik połamie ci ręce i nogi.

Zabrzmiało to bardziej jak życzenie niż groźba. To było nawet ciekawe. Życie zaczynało mnie znów bawić.

– Będziecie walczyć boso – dodał jeszcze.

– Spodnie i koszulę mogę mieć? – dopytałem jeszcze, zanim się odwrócił do wyjścia. – W samych gaciach widać, jakiego mam małego siurka.

Zapaśnicy byli na takie rzeczy wyczuleni, wypychanie sobie szortów było na porządku dziennym.

– Spodnie, koszula albo podkoszulek – zgodził się rozbawiony. – Ale gołe ręce i stopy. Przed wejściem na arenę cię skontrolują.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się.

Nie chciałem, żeby mnie widzieli nagiego. Ani nawet półnagiego. Od czasu, kiedy potykam się z cesarskimi ludźmi, sporo się

zmieniłem. Wyglądam bardziej jak karykatura człowieka, monstrum poskładane z trzech normalnych ludzi.

Z worka wyciągnąłem czarną pastę. Zapaśnicy często przed walką zdobili się na różne sposoby, aby spróbować wystraszyć przeciwnika, ja się tylko chciałem zamaskować. Nie potrzebowałem, żeby mnie potem ktoś rozpoznał na ulicy.

Wystarczyło kilka plam i smug, przeciągnąłem też parę razy po karku, aby ukryć, jak jest masywny. Powinno wystarczyć.

Po chwili przyszedł wychudzony młodzieniec, który najwyraźniej jadał obiad tylko co drugi dzień, w towarzystwie dwóch uzbrojonych drabów. Zręcznie mnie przeszukał, czy pod ubraniem nie ukrywam broni ani zbroi. Skinął na znak, że wszystko w porządku, po czym zniknął. Przed wejściem do boksu pozostał jeden z drabów, aby mnie mieć na oku.

Wyciągnąłem się na ławie w oczekiwaniu. Deski były szorstkie, pełne nierówności. Czuję je całkiem wyraźnie i sprawiało mi to przyjemność. Lubilem niedoskonałość, przypominała mi o przemijaniu. Cieszyłem się na dotyk piasku areny, na widok twarzy żądnych krwi, na słońce nad głową. Miałem nadzieję, że będzie paliło, że żar będzie lał się z nieba.

Z zewnątrz dobiegał blaszany głos zapowiadającego, widocznie używał tuby, aby go było lepiej słyszeć. Co jakiś czas odpowiadała mu wrzawa widzów. Biorąc pod uwagę, że wieczór dopiero się zaczynał, udało mu się nieźle ich rozgrzać. Albo po prostu już na wejściu byli w dobrych humorach.

Przez labirynt drucianych, przeżartych rdzą siatek zbłądziła do mojego boksu mucha. Usiadła na dużym palcu mojej lewej stopy i zaczęła pocierać przednie łapki. Kiedyś chwytalem muchy w locie. Uniosłem prawą stopę, mucha zastygła w bezruchu. Poczekałem, aż wróci do swojego zajęcia, po czym sprzedałem jej kopa. Trafiłem, usłyszałem, jak uderzyła w drut siatki i padła na podłogę. Po chwili jednak znów zaczęła się poruszać, po czym zabręczała, zebrała się w sobie i odleciała. Nie byłem wystarczająco szybki, żeby ją zabić. Starość? Co prawda jeszcze nigdy wcześniej nie próbowałem muchy kopnąć. A już tym bardziej siedzącej na mojej własnej stopie.

– Bakly?

Słyszałem kroki od momentu, kiedy zaczęły rozbrzmiewać w korytarzu, ale nie przykładałem do nich wagi. Mucha była ciekawsza.

– Ta?

Uniosłem spojrzenie. To był jeden z tych drabów pilnujących wstępu na arenę. Był wielki, na pierwszy rzut oka spokojliwy. Ta kariera mogła być spełnieniem jego marzeń.

– Przyszła twoja kolej.

Podniosłem się, ławka zaskrzypiała.

– Nie postawiłem na ciebie – zdradził mi. – Znam Kaszeja, porachuje ci kości, a potem wklepie nos aż do mózgu. O ile jakiś masz.

Na początek pewnie będzie bić na tors, a jak uzna, że już mnie ma, to w twarz. Kiedyś taka informacja byłaby dla mnie niezwykle cenna, dziś nie miało to większego znaczenia.

– A na niego postawiłeś? – spytałem, zanim go minąłem w przejściu.

– No. Zapożyczyłem się na dziesięć złotych. Zarobię jednego.

– Jak długo będziesz spłacać tego dziesiątaka?

– Nie będę spłacać – zaśmiał się.

Nie dopytywałem dalej, ruszyłem w kierunku światła i ciepłego piasku areny. Powitały mnie gwizdy, szum i śmiechy. Szurałem stopami po podłożu i mrużyłem oczy przed ostrym blaskiem. Nie byłem zaskoczony, liczyłem się z tym, że wypuszczą mnie pod słońce. Piasek był gruboziarnisty, dobrze ubity, oferował dobre oparcie. Na arenie byłem oczywiście pierwszy jako ten, po którym oczekiwano przegranej. Zastanawiałem się, jak się zabezpieczyli przeciwko mojej wygranej. Nie byli to przecież głupcy, traktowali tego typu sprawy ze śmiertelną powagą. Kto wie, może rzeczywiście mnie nie docenili?

Ich problem.

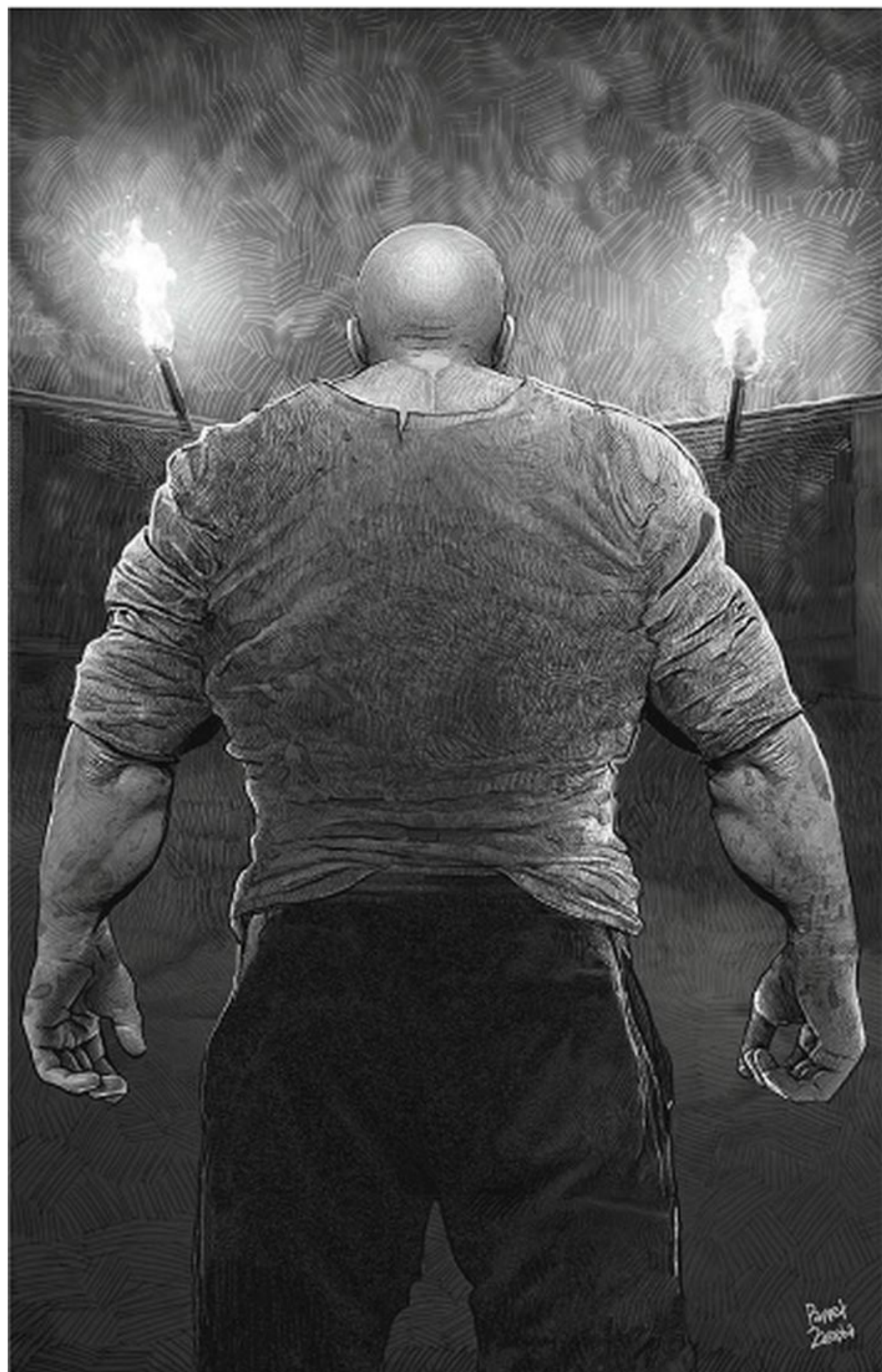
Z klepiska, z perspektywy gladiatora arena wyglądała jeszcze mizerniej niż z góry. Ściany nie były remontowane od lat. Kruszyła się zaprawa spajająca kamienne bloki, między deskami też ziały

dziury, przez które widać było konstrukcję podtrzymującą trybuny. Utwierdziło mnie to tylko w przekonaniu, że przebicie się przez nie w razie potrzeby nie wymagałoby zbyt wiele wysiłku. Przy czym widzów zgromadziło się sporo. Prawie zapełnione były nawet boksy dla możniejszych gości, choć łóżka pozostały puste.

Zapowiedziano mnie jako zwycięzcę wielu wiejskich walk, który nigdy nie przegrał i który twierdził, że ludzie w mieście jedzą takie same prosięta, co ludzie na wsi. Ostatnia uwaga wywołała salwę śmiechu. Oraz parę obelg pod moim adresem. Przypomniano też bieżący kurs, wciąż można było na mnie postawić.

Przestałem słuchać. Wchłaniałem słońce, szorstkość piachu pod stopami, zapach pieczonych kiełbas. Uświadomiłem sobie, że chce mi się jeść i pić. Przez cały dzień ani zbyt wiele nie zjadłem, ani nie wypilem. Być może znów zacząłem zwracać uwagę na świat wokół mnie, bo moje zmysły wyostrzyło jeszcze jedno – jeśli wygram, pewnie będą mnie chcieli zabić. Dwa tysiące trzysta to było mnóstwo pieniędzy. Ludzie zabijali dla pojedynczych złociaków. Mnie się zdarzało.

Trybuny zawrzały, otrząsnąłem się z zamyślenia. Wkroczył mój przeciwnik. Wyższy ode mnie o pół głowy, czoło dosłownie stworzone do tego, aby sobie o nie łamać kości palców, oczy ukryte pod masywnymi łukami brwiowymi, wielki, płaski nos. Czoło i część ciemienia szpecił mu kościany grzebień przywodzący na myśl hełm. Zdeformowana czaszka urody mu nie przydawała, ale w walce na gołe pięści była na pewno użyteczna. Poruszał się oszczędnymi krokami, a mimo to widać było wyraźnie, jak pod cienką warstwą tłuszczu pracują mu zwały mięśni. Ręce miał długie, grubokościste, kłykcie pokryte zrogowaceniami. Przeciwnik, z którym należało się liczyć.



Rzucił mi przelotne spojrzenie.

– Nie trzeba było się tu pchać. Mam obiecaną premię, jeśli cię trwale okaleczę – wyjął mi.

Suchelec chyba nie darzył mnie sympatią.

Kaszej stracił mną zainteresowanie i obrócił się ku trybunom. Swoją postawą, gestami, którymi błyskawicznie zawładnął publiką, zdradził mi, jak jest doświadczony. Spędził na arenie całe lata, był niewątpliwie weteranem. Biorąc pod uwagę wiek, mógłbym być jego ojcem, dziadkiem nawet, ale coś nas jednak łączyło.

Czas płynął, a ja nie zwracałem na niego uwagi. Czekałem na sygnał do rozpoczęcia walki.

– Bój!

Kaszej nie odpuścił sobie jeszcze jednego pozdrowienia zebranych. Kiedyś natychmiast bym to wykorzystał, ale tym razem mu darowałem. Niech się nacieszy tymi ostatnimi kilkoma minutami sławy.

Potem się na siebie rzuciliśmy.

Walił we mnie nieubłaganie. Był szybki, twardy. Bolało, ale w życiu mnóstwo innych rzeczy bolało mnie jeszcze gorzej. Jedyne, na co uważałem, to żeby nie dostać w głowę. Wstrząśnienie mózgu zagroziłoby mi tak samo jak i każdemu normalnemu człowiekowi. Starąłem się też chronić stawy, bo czułem, że i tu mógłby mi narobić kłopotów.

Robiłem krok w przód, krok w tył, zsynchronizowany z przeciwnikiem w walecznym tańcu. Zasłaniałem się, nie dawałem mu okazji, żeby mógł mi solidnie przyłożyć. Wiedziałem dobrze, jak on sam musiał odczuwać każdy swój cios. Jakby walił w półtuszę. W zamrożoną na kość półtuszę.

Kiedy się wreszcie odsłonił, zatrzymałem go oddolnym hakiem pod żebra. Nikt poza mną tego nie zauważył, ale zdrowo to nim wstrząsnęło. I znów trzymałem się na dystans.

Podwinęła mi się lewa noga, co umożliwiło jego goleni spotkanie z moimi klejnotami. Nagle znalazłem się skulony na piasku, a on ruszył do kopania we mnie jak w worek, ze wszystkich możliwych

stron. Przy trzecim uderzeniu w głowę ból w kroczu odpuścił na tyle, że zdołałem się wreszcie opamiętać. Udało mi się chwycić go za nogę, chwilę potem kotłowaliśmy się obaj na ziemi. Jego kciuk trafił na moją gałkę oczną, ale udało mi się go odtrącić, zanim zdołał narobić szkód.

Stanęliśmy obaj na nogach i wróciliśmy do naszego zapaśniczego tańca, ale zacząłem dostrzegać, jak z Kaszeja uciekają siły. Częstość jego ciosów zmalała, choć ich siła zwiększyła się. Nie na długo jednak. Zaraz zaczął tracić na animuszu. Wciąż jednak były to ciosy, które mogły zamroczyć albo połamać kości.

Kości normalnego człowieka.

W tym momencie nawet publika wyczuła wreszcie, że sprawy nie toczą się tak, jak to było zaplanowane. Dzikie skandowanie zaczęło słabnąć.

Kaszej walczył nadal, wciąż próbował, a ja się wciąż zasłaniałem. Jego uderzenia nie miały już tego impetu, nie zostawiały po sobie siniaków, najwyżej lekkie otarcia, a wreszcie i tego nawet nie.

Skuliłem się, jego pięść poszybowała w próżnię i tym razem trafiłem go ja. Załedwie w ramię, ale i tak wystarczyło. Widziałem, że poczuł. W odpowiedzi znów się na mnie rzucił, ale odsłonił się z dołu. Seria moich ciosów zatrzymała go w miejscu, czekałem, że padnie, ale wytrzymał, ustał na nogach. To mi było potrzebne, zakończenie walki w parterze nie ma takiego efektu.

Kolejne starcie, tym razem to ja atakowałem. Ostro pracowałem nad jego klatką piersiową i brzuchem. Przez chwilę się jeszcze bronił, ale w końcu stracił oddech, opadły mu ręce.

– To za to oko. – Rąbnąłem go z prawej w dolne żebra.

Złamałem mu dwa. Przełknął ślinę, cofnął się o krok.

– A to za jaja. – Walnąłem go pod mostek.

Padł i już nie dał rady się podnieść. Walczył o życie. Najłatwiejszą i najbardziej miłosierną opcją jest zwykle skręcenie karku. Zniżyłem się i złapałem go za głowę.

– Zapłacę, zapłacę za życie – wychrypiał.

– Ile? – zaciekawilem się.

– Dwieście. Tyle miałem dostać za walkę.

– Podwój.

Zgodził się.

Zapowiadający wyraźnie się wahał. Nie liczył się z takim zakończeniem pojedynku. Przez chwilę rozważałem, czy nie lepiej by było Kaszeja po prostu zabić, ale uznałem, że nic bym w ten sposób nie zyskał. Upuściłem go w piach i zostawiłem leżącego na plecach. Słońce nadal świeciło i czułem się całkiem przyjemnie, na ile to było możliwe. Przyglądałem się, jak wystraszony prowadzący ogłasza wynik walki, jak w półmroku boksów zapaśniczych przemykają nerwowe cienie. Z dwoma tysiącami w kieszeni na pewno nie dadzą mi ot, tak sobie odmaszerować. Oczywiście, o ile nie ubezpieczali się od strat, ale w to akurat wątpiłem. Z zaskoczeniem zorientowałem się, że bawię się myślą o tym, aby spróbować się przez nich przebić. Półnagi, z pustymi rękoma – byłoby to niewyobrażalnie trudne. Może wręcz niemożliwe. Ale za to jakie kuszące.

Zapowiadacz uniósł moją rękę, sankcjonując zwycięstwo. Trybuny milczały. Żadnych owacji, żadnej wrzawy, nic. No co za niesprawiedliwość.

– Zabiję każdego! – wrzasnąłem. – Mam dwa tysiące złotych, które dziś wygrałem, i w następnej walce wszystko postawię na siebie! Wszystkich tych waszych mizernych zapaśników pozabijam! Wdepczę ich w ziemię!

Tym ich trochę przebudziłem. Nagle nienawidzili mnie wszyscy, z wyjątkiem tych paru dziwaków, którzy zawsze kibicują outsiderom. To mi nie przeszkadzało. Co mi przeszkadzało, to fakt, że sam uciekłem się do dyplomatycznego uniku. Dopóki właściciel areny będzie miał legalne sposoby na to, aby się odegrać, nie posunie się do morderstwa gladiatora. To by rzuciło poważny cień na cały interes, zaczęłyby się gadki na mieście i obroty by spadły. Wśród ogłuszających gwizdów wyniosłem się z areny. Nie przeszkadza mi, kiedy ludzie mnie nienawidzą. Jestem do tego przyzwyczajony.

Do boksu wkroczył za mną Suchelec.

– Poważnie to było, że na siebie postawisz? – spytał, patrząc, jak się wciskam w mój kozuch.

– Jasne. Całe dwa koła. Po rozsądnym kursie, oficjalnym.

– Podpiszesz kwit? – dopytywał się dalej.

Było widać, jak intensywnie rozmyśla, jak próbuje mnie rozgryźć.

– Przed następną walką – potaknąłem.

– Zrobiłeś już kiedyś coś takiego? – spytał podejrzliwie.

– Pewnie – oświadczyłem z dumą – cała moja wieś na mnie postawiła.

– I jeszcze nigdy nie przegrałeś – ni to spytał, ni to stwierdził głosem pełnym jadu.

– No przecież już mówiłem – odparłem rozdrażniony. – W walce na gołe pięści jeszcze nigdy nie przegrałem! Wytrzymam więcej niż koń!

Niemalże mogłem dostrzec, jak pod czaszką kłębią mu się myśli.

– Gdzie mieszkasz? Żebym mógł ci posłać zawiadomienie.

Dałem mu adres pensjonatu, w którym się zatrzymałem. Kiedyś sypiałem po gospodach, ale Zuzanna przekonała mnie, że pensjonaty są wygodniejsze.

– Część wygranej – upomniałem się. – Trzy stówki z tego pierwszego zakładu mi wystarczą.

Suchelec przyjrzał mi się podejrzliwie, ale się zgodził. Trzy stówy to była kupa kasy. Na wsi można by za to kupić pół gospodarstwa, ale i tutaj to były niemałe pieniądze. Pewnie miał nadzieję, że przepuszczę wszystko na picie i dziwki i do kolejnej walki zdążę się doszczętnie sponiewierać.

– A dalibyście ten adres też i Kaszejowi? Jak już stanie na nogach.

Był mi dłużny.

Kiedy wychodziłem z areny, przeszło mi przez myśl, żeby może faktycznie przepuścić te pieniądze w dokładnie taki sposób, ale jakoś mnie to nie kusilo. Zdecydowałem, że zacznę od porządnej wyzerki i kilku kufli piwa. Może jedną, dwie lufki. Potem się zobaczy.

Rozdział 10

Detale



Zuzanna siedziała na białym laminowanym krześle przy stole wykonanym przez tego samego stolarza, choć biorąc pod uwagę elegancję kształtów, należało raczej mówić o artyście. Obserwowała dwie młode dziewczyny, które rozstawiały resztę mebli. Valer dla pewności sprowadził służące ze wsi. To był własny wymóg Zuzanny. Nie chciała, aby jej osobiste służki pochodziły z Grafzaty, aby miały na miejscu rodzinę i znajomych. Raz, że znajdowałyby się pod ich stałym wpływem, a dwa, że łatwiej by było je szantażować. Kolejnym życzeniem Zuzanny było, aby miały doświadczenie jako służące i posiadały listy polecające. Co do wieku i wyglądu, nie miała preferencji. Z Valerem przyjechały dwie młode kobiety, może wręcz dziewczyny, nie miała pewności. Obie śliczne, choć na różne sposoby – jedna wysoka i szczupła, druga krągłejsza we wszystkich właściwych miejscach, z roześmianym obliczem. Zastanawiała się, czy Valer wybrał je sam. Może jednak nie, były na to zbyt atrakcyjne. Zuzanna odnosiła wrażenie, że kapitan ma pewien problem z pięknymi kobietami. Możliwe, że miał ze wszystkimi. Nie przypuszczała jednak, żeby interesował się mężczyznami. Jeszcze się to wyjaśni, pomyślała.

Wróciła myślami do służek. Głupie z pewnością nie były. W przeciwnym wypadku nie dostałyby się na swoje poprzednie stanowiska, a już z pewnością nie pozostałyby na nich tak długo. Jedna pracowała u byłego sędziego, druga u starosty małego miasteczka. Dziewiętnaście i dwadzieścia lat, żadna wcześniej nie była w ciąży ani zamężna. To mówiło samo za siebie. Obie były oddane swojej pracy, ale czego pragnęły w życiu?

Kątem oka spojrzała na kartkę białego papieru i węgiel do kreślenia. Początkowo chciała się poświęcić wizualizacji diagramów

magicznych, ale ciągły ruch wokół niej nie pozwalał się skoncentrować. Równocześnie uświadomiła sobie, że jest jeszcze cała masa innych spraw, które wymagały załatwienia w pierwszej kolejności.

Miała się w Grafzaty urządzać jako szlachcianka, a równocześnie jako agent rezydent, co oznaczało wysoki element ryzyka. Nie chodziło o niebezpieczeństwo fizyczne, już o to martwił się Valer, niepokoiła się jednak o bezpieczeństwo informacyjne. Jak zapewnić, aby informacje z willi nie przedostawały się na zewnątrz?

To był kolejny powód, dla którego nie chciała, aby nając służbę spośród miejscowych. Prędzej czy później jednak wszyscy wyrobią sobie znajomości i tutaj. Nawiązywanie kontaktów, niewinne pogawędki, to przecież leżało w ludzkiej naturze. Jeśli chciała, aby dziewczyny nie wnosiły żadnych plotek, musiała postarać się o to, aby wciąż były zajęte, aby zwyczajnie nie miały czasu przebywać na zewnątrz. Podchodziła do tej konieczności bez entuzjazmu.

Służące przeniosły z przedpokoju kolejny mebel: stolik tak delikatny i tak ażurowy, że służyć mógł najwyżej pod dwie filiżanki z herbatą.

– Kto was najął? – zapytała.

Obie zatrzymały się i zwróciły powoli ku niej, ale wymieniły przy tym szybkie spojrzenie. Zdążyły się już zgrać, kolejny znak, że nie były głupie. Współpraca przynosi lepsze efekty niż intrygowanie przeciw sobie.

– Kapitan Valer podpisał z nami umowę o pracę – powiedziała ta wyższa.

Katrin. Miała na imię Katrin, przypomniała sobie Zuzanna. A przynajmniej tak się kazała nazywać. Ta druga to była Monika. Zaniepokoiło ją to, jak łatwo zapomniała ich imiona. Może uznała je za niewarte uwagi? A przecież to właśnie ludzie byli dla niej zawsze ważni, to dla nich robiła to, co robiła. Po prostu zbyt wiele się na nią ostatnio zważyło, a i w swojej nowej roli nie czuła się jeszcze zbyt pewnie.

– To jest oczywiste – powiedziała. – Ma pełnomocnictwa na zawieranie umów. Pytam, kto was wybrał.

Katrin i Monika spojrzały na siebie konspiracyjnie. Teraz to one ją próbowały rozgryźć, to było ewidentne.

– Ten młody żołnierz miał ostatnie słowo. Wystarczyło się... – Monika, zamiast dokończyć, zakręciła biodrami. Starła się przy tym wyglądać skromnie i cnotliwie, ale efekt był zgoła odwrotny.

Otwarta i bezpośrednia, osądziła ją w myślach Zuzanna. Bezpośrednia, na ile mogła sobie pozwolić. Możliwe, że zdoła tę cechę służki jakoś wykorzystać. I potrafiła przy tym rozeznaczyć się w ludziach, zwłaszcza mężczyznach. Byłoby ciekawie zobaczyć, jak sobie radzi z kimś innym. To by Zuzannie zdradziło jeszcze więcej. Właściwie miała też i podejście do kobiet. Przed nią samą zaprezentowała się tak, a nie inaczej..

Zuzanna poczuła się nagle zmęczona tym wszystkim. Te ciągle plany, plany, plany... Uświadomiła sobie, że obie dziewczyny wciąż na nią patrzą w oczekiwaniu. Właściwie to nie były znowu aż tak dużo od niej młodsze, dzieliło je raptem kilka lat. I całe wieki życiowych doświadczeń.

– Ze mną to samo. Nazywa się Tomas Kurzer i żadnej nie przepuści – dorzuciła Katrin.

Zuzanna zastanawiała się chwilę, na ile może się z nimi spoufalić. Postanowiła dalej grać rolę szlachcianki, która nie dzieli się wszem wobec swoimi zamysłami.

Oczyrna wskazała na sznur skryty za zasłoną. Monika zorientowała się, czego po niej oczekują, i posłusznie szarpnęła. Po paru chwilach pojawił się kucharz. Nieco otyły, kolebiący się na krótkich nogach, o czerwonym nosie pijaka. Postrach piwnicy z winem, pomyślała Zuzanna. Imienia nie pamiętała.

– Herbata, deser i krakersy – zażądała.

– Nie jestem służką, jestem szefem kuchni! – zaprotestował mężczyzna, a czerwień z nosa rozlała mu się po całej twarzy.

Zuzanna wstała z krzesła. Po minach służących poznała, że nie uniosła się jak dama, ale jak miała w zwyczaju. Gwałtownie, gotowa na wszystko. Minęła zaskoczonego kucharza. Był drogi i musieli go przekupić, aby w ogóle chciał pozostać w willi. Otworzyła drzwi, za którymi trzymał straż jeden z ludzi Valera. Mężczyzna, odrobinę od

niej wyższy, ale szeroki w barach i o wyjątkowo długich ramionach, przybył do miasta wraz z drugą grupą. Należał do trójki jej przybocznej straży.

– Zamknijcie kucharza w więzieniu, dwa dni o wodzie – rozkazała.

– Co tu się, do cholery, wyprawia? Jestem osławiony Petrus Gewner, jeden z najlepszych kucharzy w mieście! Mnie nikt tak traktować nie będzie! Co ja jestem, niewolnik?

Zatem Petrus Gewner, zanotowała sobie w myślach Zuzanna. Wątpiła, żeby matka rzeczywiście nazwała go Petrus, chodziło chyba prędzej o pseudonim artystyczny.

Żołnierz na lamenty Petrusa nie zwracał uwagi. Dopadł do niego w dwóch krokach i zręcznym chwytem wykręcił mu do tyłu ręce tak szybko i gwałtownie, że tamten urwał w pół słowa i stanął na czubkach palców, aby zmniejszyć ból.

– Gdzie jest więzienie, madame? – spytał żołnierz. Zachował przy tym twarz równie spokojną i opanowaną, co przed chwilą.

Więzienie... Zuzanna nie miała pewności, czy cokolwiek takiego w jej nowej posiadłości się znajdowało.

– Gdzie go zamkniecie, to już wasza sprawa. Dwa dni o wodzie – przypomniała. – A jeśli nie będzie sprawiać problemów, możecie mu dać i kawałek chleba. Byle twardego.

Petrus Gewner nabrał powietrza, aby znów zaprotestować, ale tylko jęknął, kiedy trzymający go żołnierz wzmocnił uścisk.

– Rozumiem, madame – potwierdził strażnik i odprowadził świeżo upieczonego więźnia.

Wydawało się, że nie sprawia mu to najmniejszych trudności.

– Idziemy do kuchni – zaordynowała Zuzanna. Dziewczyny, posłuszne i nieco wystraszone, ruszyły za nią.

Idąc w dół stromymi schodami (co za idiota zaprojektował tak strome schody do kuchni?!), pomyślała, że przygrywka do serdecznej pogawędki ze służkami jej nie wyszła. Teraz będą się jej bać. No trudno. Stało się.

W kuchni nie było nikogo, jedynie w piecu tańczył ogień. Czyste naczynia zdradzały, że Gewner jeszcze się nawet nie zabrał do

pracy. Obiecała sobie, że jak za dwa dni wypuści go z kozy, spyta, co tak właściwie planował zaserwować jej na obiad.

– Zamknij drzwi, proszę – poprosiła Katrin, po czym naląła wody do garnka i przykryła go pokrywką.

Szczęknęła klamka. Zuzanna zaczęła szukać kawy i herbaty. W pierwszej kolejności zajrzała do małej skrzyneczki stojącej tuż pod ręką i trafiła w dziesiątkę. O własne zapasy Gewner zdążył się postarać.

– Podaj, proszę, czajnik i filiżanki – zwróciła się do Moniki.

Zorientowała się, że obie ją obserwują z zaskoczeniem.

– Kawa czy herbata? – zapytała, kiedy woda zaczęła wrzeć.

Już wiedziała, jak to rozegrać, a przynajmniej tak jej się wydawało. Ale tak było za każdym razem, zawsze przecież musiała się zdać na własny rozum, na własną ocenę sytuacji.

– Kawa.

– Herbata.

Skinęła głową. Dla siebie wybrała najjaśniejszą herbatę, jaką znalazła w zapasach Gewnera. Zabawa z garnkiem, z czajnikiem, nalewanie gorącej wody, jak zawsze, poprawiły jej humor. Lubiła precyzję w ruchach, odmierzaniu czasu, jakiego wymagało zaparzenie napoju, sprawiało jej to równie wielką przyjemność, nawet kiedy do dyspozycji miała poobijany garnczek i garść liści jeżyny.

Herbata była doskonała, łagodna, odświeżająca. Popijała ją bez słowa. Masywny blat stołu, przy którym siedziały, poznaczony był niezliczoną ilością bruzd pozostałych po rzeźnickich nożach i tasakach. Miała czasem wrażenie, że ona sama tak wygląda, poznaczona tym wszystkim, co w życiu przeszła.

– Madame, ja sama nie potrafiłabym tego przyrządzić lepiej i szybciej – powiedziała Monika, kiedy już wszystkie popijały ze swoich filiżanek.

Zuzanna zawdzięczała to latom praktyki, nauczyła się przygotowywać herbatę i w najcięższych warunkach, na maleńkim ogniu, w deszcz, w wichurę. Filiżanka herbaty nie raz pomogła jej otrząsnąć się z poczucia beznadziei, nabrać animuszu. Znała jednego

człowieka, który był jeszcze lepiej wyćwiczony w przygotowywaniu kawy i herbaty, ale nie ośmieliła się nawet rozważyć możliwości, że i on mógłby kiedykolwiek popadać w beznadzieję.

– Pochodzę z pogranicza, u nas liczy się każda para rąk – skomentowała ogólnie. – Jaką pensję zaproponował wam kapitan Valer? – spytała służące, spoglądając na nie przez unoszącą się z filiżanki parę.

– Ze mną warunki uzgadniał Kurzer, od kapitana dostałam tylko umowę – odpowiedziała Katrin. – Jeden złoty i jeden srebrny na tydzień, przy czym dostałam dwutygodniową zaliczkę – dodała trochę niepewnie, jakby nie do końca wiedziała, czy robi dobrze, zdradzając szczegóły.

Zuzanna pokiwała głową. Dla służącej to były zarobki na poziomie dworu królewskiego.

– Mnie dał jednego złotego – powiedziała nieco rozzłoszczona Monika.

Zuzanna zastanawiała się przez chwilę, skąd się mogła wziąć ta różnica. Może po prostu jedna podobiała mu się bardziej niż druga? W obu przypadkach to były świetne pieniądze, połowa tego, co w małym mieście mógł zarobić dobrze ustawiony rzemieślnik. Jednak nie na tyle wysokie, aby nie dać się skusić lepszej ofercie.

– Ale dostaniemy tyle, prawda? – chciała się upewnić Katrin. Najwyraźniej wystraszyła się, że Zuzanna będzie chciała obniżyć im stawki.

– Dostaniecie, oczywiście – potwierdziła Zuzanna i przeniosła uwagę znowu ku herbacie, dając im do zrozumienia, że mają siedzieć cicho. – Jakie wiano dostała w waszej rodzinnej miejscowości najbogatsza panna? – zwróciła się do nich po chwili milczenia.

Dziewczyny spojrzały po sobie. Rozmowa toczyła się w nieoczekiwanym kierunku.

– U nas we wsi Magdalena Welsh dostała dwieście złotych, jałówkę, byczka, dwa prosiaki i pięć indyków – odparła Katrin. – Ta była najbogatsza z tych, co sama pamiętam.

Monika tylko wzruszyła ramionami, jakby nic na ten temat nie miała do powiedzenia. Zuzanna przyglądała się im. Obie były ładne, obie niegłupie, ale każda miała za sobą inną przeszłość.

– A na jak długo was najął kapitan Valer? – zadała kolejne pytanie.

Herbaty ubywało, wiedziała, że filiżanka Katrin jest już pusta.

– Nie powiedział. Pensja była taka dobra, że nie spytałam.

– Ja też nie – dodała Monika.

Zuzanna dołała sobie i Katrin z czajniczka.

– Nie planuję zostać tutaj zbyt długo – zaczęła ostrożnie. – Mój ojciec jest już stary, przed upływem roku będę chciała wrócić na włości. Jeśli będę z waszej pracy zadowolona, po sześciu miesiącach każda z was dostanie ode mnie sto dwadzieścia pięć złotych. Po kolejnych sześciu miesiącach kolejne sto dwadzieścia pięć. Potem albo podpiszemy nową umowę, albo możecie odejść, wasza wola. To jest, oczywiście, dodatkowo. Premia.

Obie znów po sobie spojrzały. To była duża suma.

– Za co? – spytała ostrożnie Katrin.

– Za to, że będę zadowolona – odparła Zuzanna, ale wiedziała, że taka odpowiedź jest niewystarczająca, że budzi tylko niezdrową ciekawość. – Jak już powiedziałam, chcę jak najszybciej wrócić do domu. Praktycznie natychmiast, jak tylko sfinalizuję umowy, dla których tutaj jestem. Bardzo bym jednak nie chciała, aby poza murami pałacu mówiło się o czymkolwiek, co tutaj ma miejsce. Oczywiście będziecie czasem świadkami poufnych negocjacji handlowych.

Dała im chwilę na to, aby zrozumiały, czego od nich oczekuje.

– Będziemy milczeć jak grób, madame – obiecała Katrin. Monika pokiwała tylko głową.

Zuzanna nie była zachwycona. Sama niejednokrotnie zdobywała informacje od służby. Było to nieuchronne, co więcej, to właśnie za każdym razem, kiedy natrafiała na mur milczenia, wiedziała, że jest na tropie czegoś szczególnie podejrzanego.

– No, a gdybym tu przypadkiem znalazła męża... – wzruszyła z uśmiechem ramionami – w niczym by to nie wadziło. U nas

wyboru zbyt wielkiego nie ma.

Służące spojrzały po sobie konspiracyjnie. To je zainteresowało o wiele bardziej niż sekrety handlowe. Zuzanna wolałaby, gdyby ich ewentualne paplanie na mieście szło raczej w tym kierunku. Zanim dziewczyny zdążyły się za bardzo spoufalić, postanowiła zakończyć ich małą wspólną przerwę.

– Przygotuj mi suknię na wieczór, na małe spotkanie – zwróciła się do Katrin. – Coś prostego, nigdzie się nie wybieram. A ty zarządz kolacją. Kucharz siedzi w loszku, więc zamów jedzenie. Nic specjalnego, byle było sute i smaczne. Muszę omówić z kapitanem i jego oficerami pewne kwestie, przy kolacji będzie jak znalazł.

– Dla ilu osób, madame?

– Dla czterech.

Zakładała, że będzie wieczerzać z Valerem sama, ale nie chciała wzbudzać podejrzeń.

– Premię dostaniecie, o ile będę naprawdę zadowolona – przypomniała im dla pewności.

Paplać będą niewątpliwie, ale lepiej ich do tego nie zachęcać.

Uniosła się i zostawiła je przy stole. Miała poczucie, że tę drobną kwestię rozegrała jak należy. Pozostawała cała masa innych.

Pałaca lekcja



Rzecz sunęła powoli tunelem. Rozmieszczonymi z rzadka szybami przenikały z powierzchni słabe promienie światła, dzięki któremu było widać, że ściany kanałów wykonano z palonych cegieł o perfekcyjnym kształcie. Widać było, że dawni budowniczowie poświęcili ich konstrukcji więcej kunsztu, niż obecnie robiono nawet przy budowie domów czy willi. O tej porze roku w kanałach było prawie całkiem sucho, jedynie samym środkiem płynęła strużka cuchnącej wody. Tak zresztą było przez większą część roku, z wyjątkiem pory monsunu, kiedy kanałami rwał grmiący nurt, zalewający nawet wzniesiony po jednej stronie chodnik, zaprojektowany dla personelu dbającego o drożność tuneli. Dziś jednak nikogo tam nie było.

Rzecz nie wyglądała już jak cienka powłoka przeciekająca z jednego miejsca w drugie. Z biegiem czasu materializowała się coraz bardziej i przypominała teraz puszysty dywan sunący z wolna na niezliczonych nóżkach, tak cienkich, że aż prawie niewidocznych. Dywan złożony z miliarda zrosniętych gąsienic, zajmujący powierzchnię niewielkiego domu.

Rzecz zatrzymała się ostrożnie przed plamą jasności rzucaną przez promień wpadający przez jeden z pionowych szybów. Nie miała oczu, ale wyczuwała światło. Odczuwała je jako coś nieprzyjaznego, coś, co odbiera jej siły. Może z czasem będzie w stanie rozprawić się i z tym... światłem. Myśl ulotniła się równie szybko, jak się pojawiła. Dieta składająca się z robactwa, szczurów i jednego na wpół żywego psa, który na swoje nieszczęście złądził pod ziemię, nie wystarczała do formułowania myśli. Nawet jeśli ten pies... i znów myśl urwała się i zatraciła w mętliku instynktów, z których najsilniejszy był jeden – zdobyć pożywienie i zaspokoić

straszliwy głód. Czuła potrzebę pozbycia się jeszcze czegoś poza głodem, ale na razie nie umiała tej potrzeby sformułować ani pojąć.

Rzecz rozdzieliła się na dwie części i ostrożnie opłynęła plamę światła z dwóch stron, łącząc się za nią znów w jednolity dywan. W ciągu kilku następnych godzin świetlne plamy zaczęły blednąć, aż wreszcie znikły całkowicie. Odpowiadało jej to. Światło nie było jej potrzebne.

Rzecz zatrzymała się w punkcie, gdzie kanał rozchodził się w trzech kierunkach. Na dnie połyskiwała wielka kałuża śmierdzącej wody, którą Rzecz wchłonęła, ale substancji odżywczych było w niej niewiele. Trochę larw i jaj insektów. Ledwie przekąska.

Podziemną ciszę zakłóciły jakieś odgłosy. Ktoś ciągnął coś ciężkiego po ceglanej podłodze, głośno przy tym klnąc. Za chwilę odezwał się drugi głos, po czym oba umilkły, aż znów zabrzmiały grzechotliwe dźwięki zdradzające, że ktoś przemieszcza jakieś ciężkie przedmioty.

Rzecz zyskała cel, ruszyła za odgłosami. Instynktownie czuła, że będzie w stanie znaleźć coś żywego, coś, co będzie mogła pochłonąć – przemienić. I upodobnić się.

Upodobnić się?

Haspru wreszcie uporał się z ostatnią beczką mandarynek i fig. Zaciągnięcie ich aż tutaj za bardzo przypominało pracę, jak na jego gust. Gdyby nie chodziło o kradzione dobra, nie zawracałby sobie głowy. Keng też się za bardzo nie przemęczał, ale nawet gdyby się przyłożył, i tak niewiele by pomógł. Był mały, otyły i ze swoją wielką głową wyglądał niemalże jak dziecko. Co mu nie przeszkadzało szukać towarzystwa kompanów o pokaźnych rozmiarach.

– Jeszcze się nigdy w życiu tak nie namachałem. Jak mi się to nie opłaci, zapłacisz mi za to – utyskiwał na głos Haspru.

Keng trzymał w dłoni pochodnię, druga płonęła wciśnięta w szparę w ścianie. Zębami obierał mandarynkę i po kawałku jej kosztował. Jego mokra od słodkiego soku broda błyszczała w świetle pochodni.

– Są wyśmienite – ocenił. – Z najlepszych sadów, bez pestek.

Zaczyna się okres świętowania, jeśli jutro trafią na targ na czas, dostaniemy za nie dobrą cenę.

Oszacował wzrokiem liczbę beczek.

– A będą na czas na targu? – spytał niepewnie Haspru. – Bo mnie rano z łóżka nie wyciągniesz. Nie po tej mordędzie.

– Będą. Mam umówionego łebskiego człowieka, który nam je za rozsądną prowizję sprzeda.

Haspru skinął głową uspokojony. Liczby i wszystko, co się wiązało z handlem, pozostawiał swemu wspólnikowi. Nigdy się nie brali do większych interesów, ale i te pomniejsze dawały im regularny przychód i w miarę wygodną egzystencję.

W ciemnościach za nimi coś zaszurało, pisnął szczur. Haspru obrócił się i dłonią osłonił oczy przed blaskiem pochodni. Druga ręka instynktownie powędrowała do zawieszzonego na pasku obuszka. Była to trzydziestocentymetrowa pałka, którą do jednej trzeciej długości wydłubał i zalał ołowiem. Dzięki temu była dużo groźniejsza, niż na to wyglądała.

Odgłos momentalnie ucichł i Haspru zaczął wątpić, czy rzeczywiście coś usłyszał. Mimo to sama myśl, że ktoś ich może podsłuchiwać i być może planować, jak im podprowadzić uczciwie ukradzione dobra, nie dawała mu spokoju. Wręcz go rozzłościła. Sięgnął po zatkniętą w ścianie pochodnię i cisnął nią w głąb tunelu. Płomień urósł w locie, rozproszył wszystkie cienie. Żadnego nieproszonego gościa nie było. Pochodnia padła na ziemię, sypnęła wokoło iskrami. Niektóre zgasły natychmiast, inne rozjarzyły się, jakby padły na jakiś palny materiał. Na powrót zatańczyły cienie, przez chwilę można było odnieść wrażenie, jakby dno tunelu ożyło i w panice próbowało uciec przed ogniem.

Rzecz miotała się w agonialnym bólu, jej ciało falowało i przelewało się z jednej strony na drugą, próbując znaleźć cień ulgi. Ból jednak nie ustępował, co gorsza, rozprzestrzeniał się wraz z żarem, który pożerał coraz większe połacie jej ciała.

Ból, niebezpieczeństwo, śmierć.

Nie były to świadome myśli, jedynie instynkty. Wystarczyły jednak, aby Rzecz znalazła sposób na ratunek. Rozdzieliła się, izolując tłące się fragmenty, poświęciła piątą część swego ciała, po czym panicznie czmychnęła jak najdalej. W dół, na niższą kondygnację, gdzie nie istniały zabójcze, palące rzeczy. Przy najbliższej sposobności Rzecz przecisnęła się wąską szczeliną na niższy poziom miejskich podziemi. Powietrze było tutaj wilgotne i przesiąknięte smrodem ekskrementów i gnijących odpadków. To jej nie przeszkadzało. Nie przeszkadzało zupełnie. Najważniejszy był chłód. Może zdoła znaleźć coś do zjedzenia. Nawet i w fekaliach mogło się coś trafić.

Zaciekawiony widz



Siedziałem na uboczu, przy stole, obok którego przechodziło się w drodze na dwór, do kibla. Najgorsza miejscówka w całej gospodzie. To mi nie przeszkadzało, najważniejszy był widok na salę. Lokal nazywał się Pod Złamaną Kością. Nazwy wyszynków potrafią być tak dziwaczne, że aż mózg drętwieje. Czasem mają związek z wydarzeniami, czasem z właścicielem, ale czasem są zwyczajnie kompletnie od czapy.

Sala, ze stołami ustawionymi byle gdzie, była zaskakująco duża, okolona dwustopniowym podwyższeniem, co zapewniało dogodny widok do środka. Kiedyś stawałem w takich dziurach do zapasów. Były to brudne pojedynki, bez zasad i reguł. Ring często wytyczała linia usypana wprost na drewnianej podłodze, a do walki czasem przyłączali się widzowie. Wtedy zabawa bywała... przednia. Może stąd ta złamana kość w nazwie?

Uświadomiłem sobie, że cieszę się na moją następną walkę i na to, co tym razem Suchelec wymyśli. Nie po to tu jednak byłem. Najpierw zadanie, potem rozrywki, napomniałem się. I po co to wszystko? – zadawałem sobie w myślach pytanie. Było mi coraz trudniej znaleźć jakąś przekonującą odpowiedź. Ponieważ chciałem pomóc Zuzannie. Im więcej utłukę cesarskich siepaczy, tym mniej będzie miała wrogów. Ta odpowiedź wciąż obowiązywała. Wiedziałem jednak, że sam siebie okłamuję. Cesarz dysponował nieskończonymi zasobami. Wszystkich zabić nie mogłem. Kiedyś mogłem dużo więcej, kiedy starała się tylko pomagać prostym nieborakom, którzy mieli z cesarskimi na pieńku. Ostatnio jednak przystąpiła do o wiele bardziej zabójczej gry, w której dybały na nią całe oddziały wojskowe, zastępy asasynów i czarodziejów.

Dałem sobie spokój z czczym rozmyślaniami, popiłem piwa. Od mojego pojedynku na arenie znów czułem zapachy, smaki, kolory nabrały życia. A piwo to już w ogóle sprawiało mi przyjemność. Wiedziałem jednak jedno – z czasem to minie.

Pozwoliłem, aby czas biegł sobie wokół mnie. Chwile, momenty, godzina, dwie godziny. Pod Złamaną Kością miało dobrą lokację, interes się kręcił. Od rana do południa przychodzili tu ludzie, aby porządnie się najeść, pod wieczór jednak zaczynali się schodzić ci, którzy potrzebowali się napić. Personel – niewiasty w różnym wieku – uwijał się między stołami, wszystkim zawiadywał właściciel: pięćdziesiąt parę lat, z wąsem i rzednącymi włosami. Swobodna koszula z krótkimi rękawami odsłaniała rząd tatuaży na ramionach. Ze swojego miejsca zdołałem odróżnić jedynie wielką kotwicę. Nie trzeba było geniusza, aby rozpoznać w nim niegdysiejszego marynarza.

Pojawił się kolejny klient, po nim następny i jeszcze jeden. Pomimo iż przyszli w krótkich odstępach, byli razem. Po pewnym typie faceta widać to na pierwszy rzut oka. Widać po mowie ciała, po wyrazie tępych, bezwzględnych mord, po skórzanym ubraniu, które tak chętnie przyozdabiają dużymi żelaznymi kłamrami i sprzączkami. Bandziory, zbiry, które za garść srebrnych porachują kości, stłuką na kwaśne jabłko, czasem pobiją na śmierć. Właściciel zauważył ich błyskawicznie, zupełnie jakby ich oczekiwał.

Szefem tej trójki był ostrzyżony na jeża wielkolud, który wyglądał trochę jak bezkształtny głaz. Ponad pasem wystawał mu brzuch, ale nie było to miękkie, otłuszczone brzuszysko. Składało się głównie z mięśni. Łapska miał jak golonki wieprzowe, poruszał się przy tym rozważnie, jak ktoś, kto się nie lubi spieszyć.

Podszedł wprost do szynkwasu w asyście swoich kamratów. Drugi z nich, wysoki i chudy, idąc, opierał się na lasce, ale widać było, że jej nie potrzebuje. Zgadywałem, że ma w niej ukryte ostrze. Ten trzeci miał na sobie płaszcz, pod którym mogło się ukrywać cokolwiek. Od obucha po krótki miecz.

– Przyszliśmy po pieniądze za ochronę twojego interesu – zaczął Wielgas.

Słyszałem go tylko po części, ale widziałem wyraźnie jego twarz i usta, więc wiedziałem dokładnie, co mówi.

– Płacę Gorczekowi – odpowiedział właściciel bez mrugnięcia okiem.

On z kolei mówił na tyle głośno, że słyszałem go wyraźnie. To był kolejny powód, dla którego wybrałem to miejsce.

– Gorczek jest skończony, ktoś niedawno wyrznął jego najlepszych ludzi – odparł z krzywym uśmiechem Wielgas. Z wyrazu twarzy można by wręcz odnieść wrażenie, że to była jego własna zasługa.

Właściciel czekał, co dalej nastąpi.

– A dwóch kolejnych znaleziono wczoraj z poderżniętymi gardłami – kontynuował Wielgas. – Gorczek jest skończony. Albo ustąpi, albo... – Przejechał kciukiem po szyi, żeby dać do zrozumienia, co ma na myśli.

Jego kumotrzy rozglądali się niepewnie po sali. Przy zdobywaniu nowego terytorium zdarzały się czasem problemy.

– W takim razie komu miałbym płacić za ochronę, jeśli nie Gorczekowi? – spytał karczmarz.

Odniosłem wrażenie, że wizyty tych trzech zbirów nie bierze tak do końca na poważnie. Nie widać było po nim nawet krzty zdenerwowania.

– Panu Grevichowi – odpowiedział Wielgas z wyraźnym naciskiem na „pana”.

– O Grevichu, o panu Grevichu – poprawił się bez zmiany wyrazu twarzy właściciel – już słyszałem. Piętnaście srebrnych tygodniowo?

Ja też o nim słyszałem, ale ja się rozpytywałem. Nowy narybek, prący ku powierzchni i rozpychający się na boki.

– Chodzą słuchy, że ten interes kręci się lepiej niż dobrze – uśmiechnął się Wielgas. – Dwadzieścia.

Może Wielgas był bystrzejszy, niż na to wyglądał, i planował część zatrzymać dla siebie. Ale kiepsko to wykombinował, bo jak on chciał rozdzielić piąta? Powinien chcieć dodatkowe siedem. Po dwa dla pomagierów, trzy dla siebie. Na to by się zgodzili, ale jeden-jeden-trzy? Prosił się o awanturę.

– Chodźcie ze mną na chwilę. Nie spodziewałem się was. To znaczy tak wcześniej – odpowiedział właściciel i gestem przywołał jedną ze starszych kobiet. – Przejmij, zaraz wrócę.

Skinęła głową bez słowa. Zachowywała się, jakby ci trzej rozmawiający z jej szefem w ogóle nie istnieli. Karczmarz ruszył ku drzwiom, przy których siedziałem, tamci poszli za nim. Opuściłem wzrok i przez chwilę przyglądałem się temu, jak w moim piwie topi się mucha. Udało jej się dostać aż do ścianki kufla, ale w górę nie zdołała się wspiąć. Nie pozwalała jej piana. Życie już takie jest.

Zaskrzybiały zawiasy, po chwili w innym tonie drugie, nieco dalsze drzwi. Przeszli korytarzem aż na przeciwległy kraniec domu. Wstałem i ruszyłem za nimi. Złapałem ich w chwili, kiedy przeszli już cały wewnętrzny dziedziniec i zbliżali się do kolejnych drzwi w zewnętrznym murze. Właściciel gospody zatrzymał się i obrócił ku trzem obwiesiom.

– Byłbym zapomniał – oznajmił im – ja już zapłaciłem za ochronę. Trzydzieści srebrnych.

Tamci gapili się na niego, jakby nie docierał do nich sens tych słów. Z cienia bramy prowadzącej na ulicę wyszło dwóch mężczyzn. Należeli do tego samego typu ludzi, co Wielgas i jego kompani. Musieli chyba czekać od rana, bo nie widziałem ich przybycia.

– Ten interes jest już pod ochroną Duffy’ego, więc się stąd zabierajcie – oznajmił srogim tonem wyższy z dwójki.

Jego kumpel trzymał się za plecami kompana, wydawało mi się, że nie chciał, aby tamci mogli mu się dobrze przyjrzeć.

– Jest ich tylko dwóch – zwrócił uwagę Wielgasa ten w płaszczu.

Co by o nim nie myśleć, liczyć potrafił.

– Afelk – powiedział Wielgas i spojrzał na chudzielca takim wzrokiem, aby było wiadomo, że to rozkaz.

Byli jednak głupcami. Tamci dwaj wyglądali na bardzo pewnych siebie, przekonanych o własnej przewadze.

Afelk postąpił do przodu, z laski z charakterystycznym świstem wyskoczyło ostrze. Sądząc po tym, jak Afelk je trzymał i jak podchodził do swoich przeciwników, szermierzem był dobrym. Mężczyzna chowający się z tyłu wyszedł zza pleców swego szefa.

W ręku trzymał dwuramienną kuszę. Górna cięciwa brzęknęła, Afelk stanął w pół kroku, osłupiały spojrzął na swój brzuch. Miecz wysunął mu się z ręki.

– Jasna cholera! – zaklął Wielgas i rzucił się na strzelca. Zza pasa wyciągnął żelazną maczugę z nieprzyjemnie wyglądającą głowicą.

Zabręczala druga cięciwa i strzelec trafił po raz kolejny. Również prosto w brzuch. Na Wielgasa to jednak nie wystarczyło. Bełt nie wniknął tak głęboko jak poprzednio, strzał nie powalił go na ziemię. Strzelec zdążył jedynie spróbować zasłonić się kuszą, maczuga świsnęła, wytrąciła mu broń z ręki i trafiła w twarz. Było to ledwie muśnięcie, ale wystarczyło. Mężczyzna stracił większą część lewej strony twarzy. Kolejnego ciosu Wielgas zadać już nie zdołał. Powstrzymało go ostrze w boku. Zanim atakujący go bandzior zdołał je z powrotem wyswobodzić, ten w płaszczu zadał mu dwa solidne uderzenia pięścią w ramię i w bok. Miał na ręce kastet, ale tamten ciosy wytrzymał, zdołał odskoczyć. Wielgas, porażony bólem, obracał się powoli w miejscu, wokół własnej osi, podczas gdy strzelec, przekrzywiając głowę, aby krew nie zalewała mu zdrowego oka, wyciągnął nóż i dźgnął go w bok. To jakby Wielgasa przebudziło. Złapał przeciwnika za rękaw i przyciągnął do siebie. Facet w płaszczu zbliżył się, zamarkował kolejny cios pięścią, ale wiedziałem, że to zwód. W drugiej ręce już trzymał sztylet. Nagle stanął w miejscu, kiedy niespodziewanie nadział się na ostrze swojego przeciwnika. Na twarzy nożownika pojawił się wyraz triumfu. Nie na długo, bo i on sam o mgnienie oka później poczuł stal w swoim ciele.

Tymczasem Wielgas złapał strzelca za głowę i pomimo iż tamten bódł go jak oszalały, ostatkiem sił wepchnął mu drugie oko głęboko w mózg. Po czym sam zwałił się na ziemię.

To było jak przedstawienie. Gdyby coś takiego odstawili aktorzy, zasłużyliby na uznanie, może nawet gorącą owacją. Właściciel gospody nadal mnie nie zauważył, stał zachmurzony i przyglądał się rozgrywającej się przed nim masakrze. Nie dziwiłem mu się. Pozbycie się pięciu ciał było dość kłopotliwe. No chyba że wolał to zgłosić i pozwolić, aby dochodzenie wyjaśniło sprawę.

Rozległ się jęk. A zatem cztery ciała, nie pięć. Właścicielowi zajęło chwilę, zanim zorientował się, kto jest jeszcze żywy. To był szermierz. Leżał zwinięty w kłębek, ręce przyciskał do rany w brzuchu. Mogłem się założyć, że bełt poharatał mu trzewia.

Karczmarz podniósł z ziemi kuszę, z kieszeni jej właściciela wyłuskał zapasowy bełt, naciągnął i jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, strzelił do szermierza jeszcze raz. Tym razem w szyję.

Pięć ciał.

Odczekałem, aż odłoży kuszę. Ostrożności nigdy dość.

– Ale widok, nie? – powiedziałem i wyszedłem do niego na dwór.

Przyglądał mi się podejrzliwie, próbując odgadnąć, ile widziałem.

– A ty z kolei od kogo? Od pana Grevicha?

Tym razem odniosłem wrażenie, że słowo „pan” wymówił z cieniem szyderstwa.

– Czy od Duffy’ego? Albo jeszcze kogo innego?

Pokręciłem głową.

– Od żadnego z nich. Jestem tu przypadkiem – zrobiłem pauzę, jakbym szukał dogodnego słowa – w przelocie. Z jednego miejsca w drugie.

Mężczyzna spojrział na leżące trupy.

– Tia... – odpowiedział niezobowiązująco. – Pewnie, zapłacę haracz, wiem, jak to działa. Ale zapłacę tylko temu, kto stąd przepędzi tych wszystkich skurwysynów. Tylko jednemu.

– A kto by to miał być? – zapytałem.

Splunął.

– Nie wiem. Tylu się ich teraz bierze za łby. – Wskazał na ciała. – Za tępi są na te numery. W okolicy jest jeszcze Cremax, ten już taki głupi nie jest, ale nie ma dużo więcej ludzi niż ci tu. Może pojawi się ktoś jeszcze, kogo nie znam, o kim nie słyszałem.

– Wygląda na to, że na tym biznesie znacie się nieźle – skwitowałem. – Nic w tym złego – dodałem.

Nie chciałem go rozdrażnić. W sumie pewnie by mnie to bawiło, ale potrzebowałem od niego informacji.

– To ciężka robota, a człowiek ma małą szansę dożyć starości – odparł wreszcie. – No co robić, tak wybrałem i za to płacę. Jak i za ochronę – dodał z uśmiechem. – Co tu właściwie widziałeś? – Wskazał znów na trupy. – Byłem tak przerażony, że nawet nie wiem, jak się to wszystko stało.

Przerażony? Może ktoś mu powinien wyjaśnić, co to słowo znaczy.

– Szedłem do klopa, patrzę, a tu tych pięciu leży, wy stoicie opodal – powiedziałem mu dokładnie to, co chciał usłyszeć. – To się musiało potoczyć bardzo szybko.

– Tak, tak. Tak właśnie, diabelsko szybko.

Chwilę się nad czymś zastanawiał.

– Posłuchaj, wyświadczyłbyś mi przysługę? Zapłacę pięć złotych teraz i pięć potem. Chcę, żebyś o tym, co tu widziałeś, narozpowiadał. Jak to się u mnie na podwórzu zaciukali ludzie Grevicha i Duffy’ego. Opłaci ci się, a może i przy tym znajdziesz robotę, skoro jakiejś szukasz.

Dziesięć złotych to nie było mało, ale może liczył, że się trochę obłowi po przeszukaniu kieszeni bandziorów. Było nie było, powinien przynajmniej odzyskać te trzy dychy, które już zapłacił.

– Pewnie. To przyzwoita oferta.

Podał mi nazwy dwóch gospód. Jedna była o dwie ulice dalej, kolejna o trzy. To wydawało się potwierdzać, co sam już przeczuwałem. Terytoria gangów w takich miastach jak Grafzatza nie były rozległe. Kiedyś miałem na ten temat pogawędkę z księciem. Mówił, że to dzięki dużej wydajności miejskiej przestrzeni, wynikającej z wysokiego zagęszczenia i dochodowości interesów. Wydajność, ładne określenie. Może i mówił na poważnie, z nim nigdy nie było do końca wiadomo.

Zabójca i czarodziej



Gruman położył dłoń na drewnianej solniczce, wytoczonej z jednego klocka drewna, i przyglądając się znudzonym spojrzeniem pozostałym klientom taniej jadłodajni, wydłubał z niej zwinięty skrawek papieru. Ktoś, kto nie wiedziałby z góry, że w solniczce coś jest ukryte, niczego by w niej nie znalazł. Powierzchnia szorstkiego, pożółkłego papieru nawet w dotyku przypominała drewno.

Gruman najpierw ukrył papier w dłoni, a potem dwoma niespiesznymi ruchami przeniósł go do kieszeni płaszcza. Miejscowy rezydent był bardzo ostrożny. To już była trzecia skrytka, z której odbierał rozkazy. Pierwsze dwie przegoniły go przez pół miasta. Nie wydawało mu się, żeby ktoś go przy tym śledził. No chyba że byli aż tak dobrzy albo obserwowali go z oddali. Myślnami wrócił do dwóch poprzednich skrytek. No rzeczywiście, mogli go obserwować z oddali. Pierwsza znajdowała się w obejściu na wschodnich rubieżach miasta, druga na placu przed główną i jedyną bramą wjazdową. Plac, jak zawsze, wypełniony był wozami i karawanami szykującymi się do opuszczenia miasta, ale mogli go obserwować z pobliskiej latarni morskiej. On sam właśnie tam by umieścić człowieka. Pod uwagę można też było brać jedną z zakotwiczonych łodzi, które zawsze wypełniały przystań. Te mniejsze i te większe, gotowe na transport dóbr na stały ląd.

Dokończył swoją porcję zupy z makaronem. Była ostra, ze świeżutkimi kluskami i pływało w niej kilka kawałków kurczaka. Serwowane tu smaczne i tanie jedzenie było o wiele lepsze niż to, którym żywił się przez ostatnich kilka tygodni. Najchętniej spłukałby posiłek kuflem dobrze schłodzonego piwa, ale w jadłodajni

serwowano jedynie herbatę. Właściciel najwyraźniej nie miał licencji na sprzedaż alkoholu.

Gruman odniósł miskę do okienka, gdzie piętrzyły się naczynia czekające na umycie. Z pięciu gości niepisanego zwyczaju, aby po sobie posprzątać, nie uszanował tylko jeden.

– Smakowało?

Dziewczyna szorująca brudne naczynia posłała mu krótkie spojrzenie i uśmiech. Na więcej sobie pozwolić nie mogła, jej ręce poruszały się z nadludzką prędkością w walce z piętrzącą się górą naczyń.

– Bardzo – przyznał. – Tak dobrych klusek nie jadłem już dawno.

Nie odznaczała się szczególną urodą. Miała szeroką twarz i odrobinę za duży nos, ale uśmiechała się miło. Gruman bez większego namysłu wziął umytą już miskę, odstawił ją na bok i sięgnął do kieszeni po garść drobniaków. Machnął dziewczynie na pożegnanie.

Zanim wyszedł na ulicę, z przyzwyczajenia skontrolował pomieszczenie. Nikt na niego nie patrzył, dostrzegł jedynie, jak jakiś człowiek też wrzuca do miski miedziaka. Złapał też jeszcze na chwilę twarz dziewczyny. Zamknął za sobą drzwi i zaczął się zastanawiać, czemu to zrobił. Może po prostu dlatego, że miał dobry humor po tym, jak się wreszcie pozbył Keshuy? Zbyt długo musiał znosić jego towarzystwo.

Szedł z wolna ulicą i rozglądał się za miejscem, gdzie będzie mógł w spokoju przeczytać wiadomość. Gospoda wydawała się najlepszym wyborem. To, że odczuwał pragnienie, nie miało z tym nic wspólnego, zapewnił sam siebie.

Ruch na ulicy wzrastał i Gruman wmieszał się w tłum, dał się porwać naturalnemu ludzkiemu nurtowi. Cały czas zwracał uwagę, czy rzeczywiście nikt go nie śledzi. Jednego człowieka wyłapałby z pewnością, może nawet dwóch czy trzech. Jednak gdyby miało ich być więcej, gdyby się porządnie na niego nastawili, gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia, na pewno daliby radę. To by jednak oznaczało, że jego tożsamość została odkryta i że idą po niego.

Keshua... Wrócił myślami do swojego partnera. Czemu tym razem dostał kogoś do pomocy? Przez ostatnie dziesięć lat pracował sam. Jako samotny agent sprawdził się wielokrotnie. Nauczył się liczyć wyłącznie na siebie. Może ta misja była aż tak specjalna? A może Keshua miał mu patrzeć na ręce? Może już mu nie ufali?

Znalazł wreszcie gospodę, która mu odpowiadała. Z ogródkiem zacienionym drzewami rosnącymi w wielkich donicach, gdzie nie było zbyt wielu klientów. Rozsiadł się, zamówił i poczekał, aż mu przyniosą piwo, dopiero wtedy przeczytał wiadomość. Była zwięzła. Miał być do dyspozycji szefa klanu Rumelkowego, a równocześnie obserwować go i składać raporty o jego poczynaniach. Rozkazy nie były podpisane, jedynie ostemplowane symbolem potwierdzającym ich autentyczność. Podobnych symboli Gruman znał kilkadziesiąt, znał też ściśle reguły, jak i kiedy ich używać. Biorąc pod uwagę, jak skomplikowanych środków bezpieczeństwa używał miejski rezydent, aby nikt, włączając w to i innych poddanych Jego Ekscelencji, nie zdołał odgadnąć jego tożsamości, zdawało się oczywiste, że był niezwykle przezorny i znał się na rzeczy. Gruman dawał mu za to w myślach punkty za ostrożność. Ostrożności nigdy za wiele.

Powoli popijał piwo. Nie spieszył się, ale też się nie delektował. Było zbyt ciepłe i nie smakowało mu. Już dawno nauczył się, że należy płynąć z prądem życia. Wybiegnij w przód albo zostań z tyłu – zapłacisz za to. Tak samo było z piwem.

Większość czasu, jaki spędził w Grafzaty, poświęcił na poznanie miasta. Znał już na pamięć najważniejsze miejsca, główne place, większe posiadłości, pałace i istotniejsze punkty handlowe, ale brakowało drobnych uliczek, zaułków, przejść, podwórek... Przez ostatnich kilka dni przeszedł po chodnikach i ubitej glinie na peryferiach miasta dziesiątki kilometrów, co miało i ten efekt, że dowiedział się, gdzie mistrz Janick i jego ludzie mieli kwaterę. Było to w dzielnicy, gdzie mieszkali ludzie, którzy potrafili wydawać lekką ręką, ale brakowało im wciąż odrobinę do miejscowej śmietanki. Gruman osobiście wybrałby pośledniejszy adres, ale być może Janick był przyzwyczajony do pewnej wygody i luksusu.

Nie było sensu dłużej odkładać pierwszego spotkania. Spojrzał na swoją dłoń. Podczas rozmyślań zupełnie bezwiednie podarł kartkę z wiadomością na drobne kawałeczki. Przez chwilę przyglądał im się krytycznie, czy są wystarczająco małe. W końcu uznał, że owszem, i rozsypał je na wietrze.

Willa Zelana, w której miał swoją siedzibę Janick, była otoczona niewielkim, ale dość zapuszczonym ogrodem, w którym dominowały wysokie drzewa. Dzięki nim samego domu z ulicy praktycznie nie było widać. Przyczyniał się też do tego wysoki płot porośnięty ciernistym ognikiem. Płot był solidny, ze spiralnych żelaznych prętów. Musiał słono kosztować. W połączeniu z żywopłotem stanowił skuteczną barierę dla potencjalnego włamywacza.

Gruman nawet przez chwilę nie rozważał wejścia główną bramą. Obszedł posesję dookoła, zarejestrował dwóch strażników strzegących wrót i ruszył dalej przed siebie. Zdążył tylko jeszcze dostrzec, jak do posiadłości zajechały dwa wyładowane wozy. Co na nich było, tego już nie widział.

Na targu kupił dwa koce i długi skórzany bicz i do wieczora wędrował po mieście. Towarzystwa Keshuy mu nie brakowało, wręcz przeciwnie. W samotności, ale wśród ludzi – tak mu się zawsze najlepiej rozmyślało.

Wreszcie zaczęło się ściemniać i Gruman ruszył z powrotem, aby znaleźć się na miejscu we właściwym momencie. Zależało mu na tym, aby zdążyć, zanim pozapalane zostaną uliczne lampy olejowe. W dzielnicy willowej na pewno tego nie zanedbywano jak w gorszych częściach miasta.

Spacerował wzdłuż ogrodzenia i czekał na sposobny moment. Nawet gdyby ktoś się znajdował w zasięgu wzroku, wystarczyło mu, aby przez chwilę nie patrzył w jego stronę. Minął damulkę w skórzanym płaszczu i w towarzystwie służącej i jak tylko znalazł się trzy kroki za nimi, machnął biczem tak, że jego koniec owinął się wokół czubka pręta w ogrodzeniu. Drugą ręką zarzucił koce na górę żywopłotu. Nie była to platforma, która zdołałaby go utrzymać, ale przynajmniej nie ugrzęźnie w plątaniu gałęzi. Następnie napiął bicz, oparł nogę na masywnym pręcie i błyskawicznie niemalże

wbiegł na szczyt ogrodzenia. Padł na koce leżące płasko na przystrzyżonym równo żywopłocie, przetoczył się i zanim zeskoczył po drugiej stronie, dał sobie jedynie ułamek sekundy na ocenę sytuacji i wybór miejsca lądowania. Było to wszystko trochę ryzykowne, ale liczył na to, że czarodziej nie zdążył jeszcze postarać się o nieprzyjemne niespodzianki dla nieproszonych gości.

Gruman wylądował w wysokiej, dawno niekoszonej trawie, przeturlał się po ziemi, aby wytracić pęd, i zatrzymał się pod osłoną wybudowanego krzewu róży. Dał sobie chwilę na uspokojenie oddechu. Wysiłek był intensywny, ale krótki, nie powinien był zmęczyć go aż do tego stopnia. Być może za przyspieszony puls odpowiadało i podniecenie, a na to nie mógł sobie pozwolić.

Nad głową przefrunął mu nietoperz, zaterkotał dziobem dzięcioł, z głębokim pomrukiem przeleciał obok chrabąszcz. Ogrodem od tygodni już nie opiekował się żaden ogrodnik, co było i widać, i słyszać. Gruman cierpliwie trwał w przykłęku na lewym kolanie i rozglądał się po okolicy, zadowolony, że po raz kolejny właściwie ocenił sytuację. Jego życie bardzo często od tego zależało.

Któregoś dnia popełnię błąd, pomyślał, ale natychmiast przywołał się do porządku. Ta myśl w tej chwili nie była mu ani potrzebna, ani pomocna. Wiedział jednak, że przyjdzie czas do niej powrócić.

Przy bramie nadal stało dwóch strażników. Wydawało mu się, że musieli się w ciągu dnia zmienić, ale pewności nie miał. Byłoby łatwiej, gdyby jednak chodzili po terenie. Gruman niejedną raz zetknął się już z rażącymi niedociągnięciami w ochronie i nic go nie zaskakiwało. Wręcz musiał uważać, aby nie brać ich za oczywistość.

W głębokim skłonie przesunął się za tamaryszek. Jego kwiaty, za dnia różowe, teraz były już tylko jasnymi plamami. Głównego wejścia do willi nikt nie pilnował. W większości okien paliły się światła, słyszał krzątanie i odgłosy, jakby ktoś przestawiał meble albo coś naprawiał.

Przeprowadzka szła w najlepsze, uświadomił sobie. To by tłumaczyło wzmożoną aktywność, jak również oznaczało, że czarodziej Varatchiego przybył do miasta niedawno. Wokół domu rosła cała masa najrozmaitszych ozdobnych krzewów, niektóre pod

samymi ścianami budynku. Dostarczały wielu możliwości, aby się potajemnie przemieścić aż do wejścia dla służby. Powinno ono być widoczne z głównej alejki. Odgadł właściwie i już po chwili stał przed drzwiami, do których nie prowadziły żadne schody, a jedynie kilka kamiennych płyt ułożonych na ziemi.

Stanął przy samych drzwiach, cień był tutaj najgłębszy. Utkwił oczy w najmroczniejszym kącie i czekał, aż wzrok mu przywyknie. Ze środka nie przedostawał się nawet najmniejszy promień światła, Gruman spodziewał się więc, że za drzwiami jest ciemno. Za jego plecami ogród nadal był spokojny i cichy.

Namacał klamkę. Prosta kowalska robota, zamek podobnie. Wystarczyłby zakrzywiony kawałek metalu, aby go otworzyć. Przyrząd, który miał przy sobie, był o wiele lepszy, prosty mechanizm szcęknął już przy pierwszej próbie. Ostrzem noża Gruman wybadał, czy nie napotka zapadki, ale szpara była wolna. Delikatnie nacisnął na klamkę. Choć prymitywny, mechanizm niedawno został nasmarowany. Klamka poddała się gładko, nie rozległo się nawet najdrobniejsze zgrzytnięcie.

Przed Grumanem otworzył się korytarz wypełniony smolistą ciemnością. Otaczający go zmrok wydawał się w porównaniu pełen światła. Nie chciało mu się wchodzić do środka. To było dziwne, nieomal śmieszne odczucie. Tyle już razy znajdował się w podobnych okolicznościach i obywatł się bez światła. Co więcej, można by wręcz powiedzieć, że to ciemność była jego światem, jednak tym razem nie miał ochoty się w niej zanurzyć.

Sięgnął do pasa i wyćwiczonym ruchem odwiązał pochwę krótkiego miecza, który nosił pod płaszczem jelcem do dołu. Wysunął ostrze na szerokość dłoni i wyciągnął przed siebie rękę z bronią. Gdyby na coś natrafił, miał czas zareagować – zastawić się, zaatakować albo ukryć.

Przełknął ślinę, ciężko to szło. Naprawdę nie miał ochoty wejść do środka. W życiu jednak robił już mnóstwo rzeczy, na które nie miał ochoty.

W chwili kiedy przekroczył próg, zapłonęły świece. Nie nagle, ale stopniowo. Czubki knotów najpierw zajarzyły się na czerwono, po

czym pojawiły się płomienie, które nasiliły się, aż stały się jaśniejsze, niż płomienie świec być powinny. Pomimo iż Gruman czuł przeciąg, ogniki stały nieruchomo.

– Dobry wieczór – powiedział ktoś, czyją sylwetkę Gruman dostrzegł dopiero po chwili.

– W nocy ptaki nie latają – podał zapamiętane z kartki hasło.

– Nietoperze tylko wieczorem – padła oczekiwana odpowiedź.

Powitał ją z wyraźną ulgą. Nieznajomy, który wyszedł z cienia, okazał się zaskakująco młodym mężczyzną o zapadniętych, podkrążonych z niewyspania oczach. Nie wyglądał wprawdzie na wojownika, ale Gruman i tak miał wątpliwości, czy byłby w stanie sobie z nim poradzić. Jak zdołał zapalić świece? Jakim cudem go tu oczekiwał? Odpowiedź na te pytania znał, była oczywista, ale wciąż miał problemy z jej zaakceptowaniem. Czarodziej, magia – te słowa większość ludzi przyprawiały o gęsią skórkę. W skrytości ducha miał nadzieję, że Janick okaże się szarlatanem, który próbuje naciągnąć swojego mocodawcę i sponsora na jak największą ilość złota. Jak widać, nie była to prawda.

– Chodźmy do pracowni. – Mężczyzna puścił Grumana przodem w głąb korytarza. Zapaliły się umieszczone na ścianach lampy naftowe, roztaczając wokół ciepły, przyjazny blask.

Gruman posłuchał w milczeniu.

– Po schodach w górę, pierwsze drzwi po lewej – dostał instrukcję.

Schody były marmurowe, wyźłobienia w kamieniu świadczyły, że są używane od dziesięcioleci. Jeszcze na zewnątrz Gruman uświadomił sobie, że willa jest większa, niż się z początku wydawało. Teraz mógł swoją obserwację potwierdzić. Wyraźnie mogła zapewnić dach nad głową wielu ludziom.

W milczeniu dotarli do pracowni, czarodziej wskazał Grumanowi głęboki, wygodny fotel. Gość czuł się w nim raczej nieswojo, trudno byłoby z niego szybko wstać. Zakładał jednak, że to bardziej przypadek niż zamysł, ze strony gospodarza fizyczny atak raczej mu nie groził. Nie wydawał się mieć do tego predyspozycji. Wychudzony, niedożywiony wręcz, zachowywał się jak ktoś, kto

stanowczo zbyt długo nie spał i za dużo pił. Albo nadużywał innych środków odurzających, skonstatował Gruman.

Mężczyzna pociągnął za sznur ukryty za kotarą i siadł za szerokim biurkiem naprzeciw. Gruman czekał cierpliwie. Była to jedna z tych rzeczy, których w trakcie swego pełnego doświadczeń życia nauczył się doskonale. Wykorzystywał ten czas, aby lepiej ocenić nieznanego. Wyglądał bardzo zwyczajnie, trochę niechlujnie i nieporządnie, ale równocześnie roztaczał wokół aureę pewności siebie i pogardy dla innych.

Wkroczył stary mężczyzna. Podeszwy jego butów szurały po podłodze. Szedł wolno i głośno przy tym oddychał.

– Kolacja – rozkazał nieznanemu. – Posiłek dla gościa, herbata dla nas obu.

Starzec skinął głową i poszurał z powrotem. Gruman pomyślał, że mało który szlachcic, bogacz, kupiec czy w ogóle ktokolwiek, kogo stać na służbę, byłby zadowolony z bycia obsługiwanym w takim tempie. Ale może stary miał inne zalety. Na przykład to, że niedługo umrze i zabierze ze sobą wszystkie tajemnice do grobu.

– Nazywacie się Exel Gruman, członek klanu Haeren, samodzielny agent – powiedział mężczyzna. – Ja nazywam się Janick.

Janick, o ile to było jego prawdziwe imię, wiedział o wiele więcej, niż powinien, nawet jak na wysoko postawionego sługę Jego Ekscelencji Varatchiego.

– Przybyłem na rozkaz mojego dowódcy, mam być do waszej dyspozycji, o ile nie będzie to stało w konflikcie z moimi innymi obowiązkami – odpowiedział chłodno Gruman.

Już wiedział, kogo Janick mu przypominał. Wielkiego mistrza klanu Hadana. Gruman miał z nim do czynienia tylko raz i przy tej sposobności uświadomił sobie, że jest dla tamtego jedynie pionkiem na szachownicy, przedmiotem do dyspozycji za jasno określoną cenę. Z tym tutaj było podobnie, choć nie do końca tak samo. Hadan Kuri miał za sobą pół wieku życia na krawędzi, potyczek, wojen zarówno fizycznych, jak i dyplomatycznych. Mężczyzna za biurkiem mógł mieć najwyżej trzydzieści lat, nawet jeśli wyglądał na pięćdziesiąt.

– Owszem – potwierdził Janick. – Nie spytacie się, skąd wiedziałem o waszym przybyciu?

Pytanie ociekało samozadowoleniem.

– Rozmyślałam o tym cały czas – odparł Gruman, jakby to była najświętsza prawda.

Janick popatrzył na stojącą na stole lampę olejną z odblaskowym zwierciadłem z polerowanego srebra. Pod jego spojrzeniem knot zapłonął.

– Jesteście czarodziejem – powiedział Gruman, pozwalając, aby w jego głosie pojawił się strach, który do tej pory w sobie dławił. W pewnym sensie pomógł mu w tym właśnie ten przejaw samozadowolenia. Jak i fakt, że i na czarodzieja wystarczała zwykła stal. To już jednak zachował dla siebie.

Janick skinął głową, wydawał się zadowolony z odpowiedzi.

Rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się i po długiej chwili do pracowni wczłapał stary sługa z tacą pełną jedzenia. Postawił ją na stole, z barwnego porcelanowego czajniczka nalał herbatę do dwóch filiżanek i oddalił się bez słowa.

Gruman przyjrzał się dostarczonemu jedzeniu. Było go mnóstwo. Czuł zapach bulionu, w ceramicznych miseczkach bieleły się jajka – zgadywał, że były tam zarówno gotowane, jak i surowe – mięsa wystarczyłoby na trzech. Sądząc po tym, jak na to wszystko patrzył Janick, musiał się chyba najeść wcześniej. Jego przekąskę stanowiły trzy kromki chleba i trzy cieniutkie plasterki wędliny.

Janick napił się herbaty, Gruman poszedł w jego ślady. Napój smakował dość pospolicie. Serwis był ozdobiony w typowym mieszczańskim stylu, z motywami wody i nieba. Pewnie należał do wyposażenia willi.

Gruman popijał drobnymi łyżkami i czekał. Janick w tym czasie przyglądał mu się w zamyśleniu. Grumanowi to w niczym nie przeszkadzało. Było to o wiele lepsze, niż gdyby czarodziej miał zacząć wypróbowywać na nim jakieś magiczne sztuczki.

– Chcę, abyście tu, w Grafzaty, zebrali dla mnie pewne informacje – odezwał się wreszcie Janick.

Podsunał sobie szklanę z mlekiem, wbił do niej dwa surowe jajka i z fiolki, którą wyczarował z kieszeni kaftana, dodał szczyptę ciemnego proszku. Z tacy wziął małą trzepaczkę do piany, którą Gruman przeoczył, i wyćwiczonym ruchem rozbełtał napój, po czym na raz go wychylił.

– Jakie informacje? – chciał doprecyzować Gruman.

Czarodziej zastanawiał się chwilę nad czymś. Gruman domyślał się, że rozważa, jak dalece może się wdać w szczegóły.

– Informacje o wszystkim, co nie pasuje do normalnego trybu funkcjonowania miasta. – Janick postanowił trzymać karty przy sobie.

– O ile nie będę wiedział dokładniej, na co mam zwracać uwagę, mogę coś przeoczyć. Funkcjonowanie miasta to bardzo szerokie pojęcie – Gruman próbował wyciągnąć coś więcej.

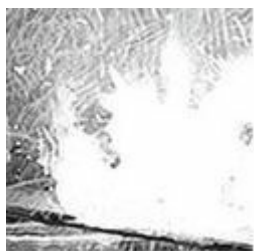
– Wszystko, co wykracza poza normalny tryb – powtórzył Janick zamiast odpowiedzi.

– Dobrze, panie, rozumiem – poddał się Gruman i odstawił filiżankę. Zakładał, że audiencja dobiega końca. – Macie jeszcze jakieś życzenia?

Nie dostał jednak żadnych dalszych rozkazów i z ulgą opuścił willę. Przy wyjściu wydawało mu się, że wśród cieni dostrzega ruch i że doszedł go ślad znajomego zapachu, kiedy jednak zwrócił tam swoją uwagę, odczucie się rozplynęło. Każdego czasem zmysły oszukują, zwłaszcza pod silnym napięciem.

Rozdział 14

Masaż



Valer rozmasował nasadę nosa. Po czterech godzinach wpatrywania się w papiery i próbach pogodzenia rzeczywistości z administracyjnym wyobrażeniem o rzeczywistości zaczynała go boleć głowa. Co tam zaczynała, bolała na całego. Wstał. Jeden z jego ludzi, który właśnie wkroczył do pracowni, zawahał się.

Nazywał się Albrecht Cuvinan i pochodził z dobrej kupieckiej rodziny. Miał jednak skłonności nieprzystające do kupieckich kręgów, w których obracał się jego ojciec. Cuvinan miał na koncie kilka bójek, jeden pojedynek, który zakończył się ciężkim zranieniem przeciwnika, i masę innych podobnych drobiazgów. Biorąc pod uwagę, że wyglądał jak wychudzony wróbel, wydawało się to wręcz niemożliwe. Nie brakło mu przy tym sprytu i bystrości.

– Ach, Cuvinan. Cieszę się, że cię widzę – Valer powstrzymał go, zanim tamten zdążył się wycofać z powrotem za drzwi.

– To brzmi jak groźba, panie – odparł młodzieniec i zasalutował jak na paradzie. Valer nie naciskał na regulaminowe formalności, uważał, że oddział specjalny może się bez nich obejść. Biorąc pod uwagę fakt, że w trakcie szkolenia i swej późniejszej służby młodzieniec był wielokrotnie karany przez innych oficerów za brak dyscypliny, zdawało się oczywiste, że stroi sobie żarty. Mimo to Valer wiedział, że może na nim w pełni polegać. Jak i na wszystkich pozostałych, których wybrał do tej misji.

– Zgadłeś – usadził go Valer. – Tu jest pióro. A tam papiery. Sprawdź, czy dostaliśmy wszystko to, co zamówiliśmy, i czy rachunki się zgadzają. Jeśli czegoś brakuje, zamów, ale za rozsądną cenę.

Ustał zszokowanemu młodzieńcowi swoje krzesło.

– Gotówka jest w szufladzie. – Wskazał na biurko. – Na handlu znasz się lepiej niż ja, daję ci wolną rękę. Jeśli będziesz kogoś potrzebować, masz swoich ludzi do dyspozycji.

– Popularności na tym nie zyskam – zachnął się Cuvinan.

Valer nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Ponieważ Zuzanna występowała jako szlachcianka z zapadłej prowincji, nie mógł sobie pozwolić na tylu ludzi, ilu uważał za właściwe, i musiał się zadowolić ograniczonymi zasobami. Wybrał więc tych najlepszych. Do dyspozycji miał trzy drużyny po dwunastu ludzi, z których każda była podzielona na trzy małe zespoły. Cuvinan przewodził jednemu z nich. Valer pozbawił go właśnie wychodnego, ale miał nadzieję, że w chłopaku odezwą się kupieckie geny. Sam sobie z dokumentami nie radził, co więcej, o mało go nie doprowadziły do załamania nerwowego.

Postanowił sprawdzić kilka adresów, gdzie handlowali sprzedawcy artefaktów, przyjrzeć się okolicy i przy okazji pomyśleć nad tym, co robić dalej. Najchętniej w ogóle zarzuciłby poszukiwania Kamienia Zimna, uważał je za zbędne ryzyko. Z punktu widzenia Valera głównym celem Zuzanny było zadomowienie się w roli szlachcianki i ustanowienie tajnego połączenia handlowego między księstwem a imperium. Oczywiście ona sama się z tym nie zgadzała. Interesowały ją przede wszystkim artefakty. Być może to był właśnie prawdziwy powód, dla którego zgodziła się wykonać to zadanie. Może powinien ją o to zapytać. Albo lepiej nie, zmienił zaraz zdanie, początkowo podświadomie, a po chwili już z rozmysłem. Ich stosunki powinny pozostać na poziomie baronówny i dowódcy jej osobistej straży, tak aby żadnemu obserwatorowi z zewnątrz nie dać nawet najmniejszego powodu do podejrzeń, że może być inaczej.

Przechadzał się tak aż do zmroku, kiedy znalazł się pod domem Helmutha Wibisengtera, jednego z kupców, który powoli awansował z pozycji lokalnego sprzedawcy. Budynek stał przy ulicy zapełnionej rzemieślniczymi warsztatami, ale przewyższał je o dwa piętra, a gładkie tafle szkła w oknach zdradzały majątność właścicieli. Z kolei żelazne okiennice – nie drewniane z żelaznymi okuciami, ale żelazne – wskazywały na to, że nieproszeni goście nie są pożądani,

niemniej liczone się z nimi. Tyle że, jak wielu mu podobnych, Helmuth zupełnie zapomniał o wyżej umieszczonych oknach. Może i zatroszczył się o te na pierwszym piętrze, choć w zapadającym zmroku Valer nie widział ich zbyt dokładnie, jednak już na drugim zamontowano wyłącznie klasyczne okiennice, podobne jak w sąsiednich domach. Przy tym fasada była na tyle zdobna, że dla dwóch utalentowanych włamywaczy dostanie się do środka nie powinno stanowić najmniejszego problemu.

Może spróbować właśnie teraz złożyć Wibisengterowi małą wizytę? Valer jednak szybko odpędził myśl. Wciąż miał na jego temat za mało informacji.

Spacer nie pomógł mu pozbyć się dokuczliwego bólu pod prawą łopatką i w krzyżu. To przez to wielogodzinne ślęczenie nad papierami i przesiadywanie na krześle. Okrężną drogą, aby zapoznać się z inną częścią miasta, ruszył z powrotem do obozu – do rezydencji, poprawił się w duchu. Pałacu, jak określali go dostawcy. Cenę miał rzeczywiście jak pałac, zachmurzył się Valer. Kwota, jaką musieli zapłacić, przyprawiała go o zawroty głowy. A to przecież nawet nie było jego złoto.

Szedł teraz zatłoczoną ulicą pełną restauracji i pensjonatów. Zaciekawiał go szyld ozdobiony trzema olejnymi lampkami. „Salon Masażu Kluga” – widniało na nim.

To było dokładnie to, czego potrzebował. Pierwszy raz zrobiono mu masaż dzięki sugestii księcia, który go do tego przekonał. Najbardziej spodobało mu się to, o ile szybciej po tym zabiegu zregenerował siły i pozbył się zmęczenia.

Wszedł do środka. Sień od maleńkiej poczekalni oddzielała zasłona z koralików.

– Czego sobie życzyacie, panie?

Przy biurku pokrytym ciemną, błyszczącą laką, odbijającą światła lamp rozwieszonych wokół, siedziała gruba kobieta odziana w jedwabny worek ozdobiony żółtymi kwiatkami. Valer zdawał sobie sprawę, że jej odzienie zapewne nosiło jakąś specyficzną nazwę, ale sam nie potrafił go określić inaczej.

Dostrzegł jej badawczy wzrok. Zrozumiał, że kobieta ocenia, czy dysponuje groszem. Nie miał pojęcia, jak to zrobiła, ale najwyraźniej uznała, że tak. Miała rację.

– Czego byście sobie, panie, życzyli? – zapytała z uśmiechem rozświetlonym kilkoma drogocennymi kamieniami osadzonymi w zębach.

Valer w pierwszej chwili przestraszył się tego uśmiechu, ale zdołał zachować kamienną twarz.

– Masaż. Porządny masaż – odpowiedział zwięźle.

Twarz grubej matrony rozplynęła się w jeszcze szerszym uśmiechu, który bardziej uwidoczniał fałdy tłuszczu.

– No to jesteście w najwłaściwszym miejscu. U nas możecie liczyć na najlepszy masaż.

Valer jej wierzył. Nie ze względu na to, co mówiła, ale dzięki temu, że czuł w powietrzu ciepłą wilgoć, zapach olejków, słyszał trzaskanie ognia. Zaczynał odczuwać coś na kształt zadowolenia.

– A jaki masaż byście sobie życzyli?

– Porządny, jak mówię – odpowiedział ostrzej, niż zamierzał. – Całego ciała – dodał, aby złagodzić ton.

Plecy bolały go coraz bardziej.

– Doskonały wybór, panie. – Matrona rozpromieniła się. – A życzylibyście sobie masażystę czy masażystkę?

To pytanie wydało się Valerowi kompletnie bez sensu.

– Wszystko jedno, kogo macie najlepszego. I to zaraz!

Kobieta tylko skinęła głową, jakby jego pośpiech sprawiał jej radość. Nie oglądając się, sięgnęła za siebie. Valer dopiero teraz zauważył rząd sznurów zwisających z sufitu. Wyteżył słuch w oczekiwaniu na dźwięk dzwonka, ale nic nie usłyszał.

Po krótkiej chwili pojawiła się drobna dziewczyna o żelazicie ciemnych włosach, których blask mógł zawstydzić nawet lakowane biurko. Ubrana była w falbaniaste kimono. Kiedy weszła, skłoniła się usłużnie.

– Zaprowadzę was, panie, do waszego pokoju.

Valer, obserwując jej drobną postać, miał poważne wątpliwości, czy była w stanie zapewnić mu porządny masaż, ale skinął tylko

głową i ruszył za nią.

Dziewczyna zaprowadziła go do ciasnego boksu, z którego prowadziły kolejne drzwi ozdobione trzema lampkami. Dzięki niewidocznemu systemowi tuż nad podłogą przez pomieszczenie przepływało świeże, ale ciepłe powietrze.

– Tam jest łazienka. Życzylibyście sobie, abym wam umyła plecy?

Valer zastanowił się nad tym jedynie krótką chwilę. Dziewczyna wydała mu się zbyt drobna, a przede wszystkim za młoda.

– Nie, dziękuję – odparł sztywno.

Został sam.

Marmurowa posadzka była przyjemnie chropawa pod stopami, woda cieplejsza, niż się spodziewał, a pachnące mydło rozpuszczało się zaskakująco szybko. Błyskawicznie zużył dobrą połowę. Po prysznicu wrócił do pokoju. Miał wrażenie, że jest tam jeszcze cieplej niż poprzednio. Dokładnie tak, jak lubił. Położył się na anatomicznie wyprofilowanym stole do masażu. Wydawał się Valerowi trochę zbyt skomplikowany, ale leżało się wygodnie. Wgłębienie na twarz pasowało doskonale, jakby ktoś przyszykował je na jego miarę. Zamknął oczy i nagle poczuł na plecach ciepły olejek, a chwilę potem nieco chłodniejszy balsam. Widocznie musiał przysnąć, bo nawet nie zauważył, kiedy ktoś wszedł do pokoju. Musiał być dużo bardziej zmęczony, niż myślał. Osoba, która go masowała, znała się na robocie. Valer coraz bardziej się odprężał, powoli ogarniał go spokój i błogostan.

Wtedy do masujących go rąk dołączyły inne, które zamiast bolącymi plecami zaczęły się zajmować zgoła innymi częściami jego ciała.

Valer zeskoczył ze stołu i zanim zdążył pomyśleć, podciął masażystę pod kolanem, złapał za włosy i przycisnął do podłogi. W następnym odruchu był gotów wydłubać mu oko, ale uświadomił sobie, że przeciwnik nie stawia oporu, pojękuje tylko, niemalże płacze. Valer nie rozluźnił chwytu, ale powstrzymał się przed kolejnym atakiem, zamiast tego rozejrzał się wokoło. Przyciśnięta do ściany stała wystraszona dziewczyna, która zaproponowała mu kąpiel, całkiem naga. Nikogo więcej w pomieszczeniu nie było.

Umiętniony masażysta był cały roztrzęsiony, wciąż pojękiwał i nie wydawał się zdolny do użycia przemocy.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

– Zamówiliście, panie, masaż – odpowiedziała dziewczyna cicho i powoli, jakby starała się go uspokoić. – Powiedzieliście, że chcecie pełen serwis, i nie mówiliście, czy chcecie mężczyzny, czy kobiety. Niektórzy klienci nie chcą się deklarować, a inni czasem mają ochotę i na jedno, i na drugie.

Valer chwilę się zastanowił nad sensem jej wypowiedzi. Dotarło do niego, że źle ocenił zakres działalności salonu. Wstał, pomógł się podnieść masażystę i pomacał ostrożnie tył jego głowy.

– Dobrze widzisz?

Mężczyzna niepewnie kiwnął głową.

– Odpocznij dzień lub dwa. Po takim uderzeniu lepiej trochę odczekać.

Masażysta wyglądał teraz na kompletnie skonfundowanego. Valer podszedł do swojego ubrania, wyciągnął złotą monetę i podał mu ją.

– Na pokrycie strat. – Zaczął się powoli ubierać, dziewczyna przyglądała mu się bez skrępowań.

– Jesteście żołnierzem – skonstatowała.

– Może – nie zaprzeczył. – W wodzie jest coś odurzającego – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– I w oleju do lamp.

Valer skinął głową. To dlatego tak łatwo się rozluźnił.

– Ile jestem dłużny?

– Jesteś bardzo przystojny. I miły.

Valer sam tak nie uważał. Wciąż zatroskany, spoglądał na masażystę, mało brakowało, żeby go zabił.

– Komplementy na mnie nie działają – odburknął, zapinając koszulę.

Dziewczyna nie odpowiedziała, dalej tylko patrzyła, jak się ubiera. Na koniec Valer umocował nad kostką pochwę z nożem i zasznurował buty. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza,

w której trzymał swoje prywatne pieniądze, i bez odliczania sumy położył na stole garść monet.

– Przepraszam za wyrządzoną krzywdę – powiedział do masażysty i wyszedł.

– Mówiłam, że jesteś miły – usłyszał jeszcze za plecami.

Wieczorne powietrze przyniosło ulgę po upale dnia i pomogło Valerowi pozbyć się resztek odurzenia. Przy drugim skrzyżowaniu udało mu się wreszcie odgadnąć prawidłowy kierunek. Zastanawiał się, czemu właściwie odrzucił ofertę umycia pleców i całą resztę, która się z tym wiązała. Olśniło go dopiero po trzech długich ulicach. Jako nastolatek należał do bandy wyrostków, która zarabiała na życie drobnymi kradzieżami, oszustwami, a niekiedy nawet i rozbojem. Klepał biedę z nędzą, ale czasem zdarzało mu się zdobyć pieniądze, które starczały na coś więcej niż tylko jedzenie i dach nad głową. Niestety, wciąż jeszcze pamiętał prostytutkę, którą wynajął za pieniądze zdobyte od męża oszukującego swoją żonę. To go na jakiś czas zniechęciło do kontaktów z kobietami. Pamiętał również, wciąż i na szczęście, dwie dziewczyny, w których był kiedyś zakochany. Pierwszą była czarująca młoda dama pochodząca z wiejskiej szlachty. Nazywała się Ravenia. Jej ojciec był zawzięty, a przy tym dumny jak paw. Na swoje nieszczęście również tak biedny, że musiał sam ze swoimi ludźmi pracować w polu, inaczej nie mieliby z czego żyć. Kiedy ją namówił, aby sobie znalazła dogodniejszą partię, Valer odebrał to jako zdradę i niesprawiedliwość.

Oderwał się od wspomnień i wrócił do terażniejszości. Ulicą nadciągała grupa głośnych pijaków. Z ubioru wyglądali na dobrze ustawionych, teraz najwyraźniej szukali ostrzejszych rozrywek. Valer na bijatyki nie miał ochoty i usunął się w cień, aby ich przepuścić. Nie chciał zostawiać po sobie trupów na ulicy.

W okresie, kiedy był zaręczony z Ravenią, już pracował dla starego księcia. Miał za sobą kurs podoficerski, a przed sobą przyszłość, o której mu się nie śniło.

Drugą kobietą, w której się wiele lat później zakochał, była El⁴. Gdyby mocniej na nią nalegał, gdyby nie respektował aż tak jej niezależnej powagi, być może jeszcze by żyła. To też już było dawno.

Smutku Valer nie odczuwał od długiego czasu, pozostały tylko miłe, nieco zatarte przez lata wspomnienia.

Może dlatego zrezygnował z oferty umycia pleców, zdecydował ostatecznie. Do końca przekonany jednak nie był.

Wreszcie znalazł się na ulicy okalającej ich posiadłość. Ominął główną bramę i wszedł przez furtkę ukrytą między krzewami dzikiej róży. Ścieżka była drożna, to już zdążył sprawdzić wcześniej. Wejścia ani dróżki, ku jego niezadowoleniu, nikt nie pilnował. Nieniekajony doszedł aż do placyku koło pałacu. Tutaj teren był oświetlony dwoma metalowymi koszami, w których płonęły węgle. Valer stanął na granicy światła, w cieniu wielkiego cyprysu. Jego ludzie byli na wprost...

– Kapitanie, śledziliśmy was od początku. Macie szczęście, że to wy – ozwał się głos z jeszcze głębszego cienia.

– To wy macie szczęście – odwarknął Valer.

Nie mówiąc nic więcej, wszedł do środka i zastanowił się, gdzie w kuchni może znaleźć butelkę wina, aby sobie nalać kieliszek albo dwa na sen. Czuł, że będzie mu potrzebne. Dziewczyna z salonu wróciła do niego w myślach i uświadomił sobie, że była nad wyraz pociągająca. Zaczynał podejrzewać, że podjął niewłaściwą decyzję. To mu się czasem zdarzało.

Pracujący człowiek



To już była piąta gospoda, w której opowiadałem historyjkę o tym, jak to się pozabijali ludzie Grevicha i Duffy'ego. Opowiadałem ją wszędzie tak samo, mechanicznym głosem, co doskonale odpowiadało temu, ile miałem przy tym ubawu.

W żadnym z poprzednich miejsc nie zrobiło to większego wrażenia, słuchacze brali historię za krwawą opowiastkę do piwa. Jednak tym razem przysłuchiwał mi się przygarbiony typek z łapami długimi jak u małpy i o równie inteligentnym wyrazie twarzy. Możliwe, że ubliżałem małpom.

– To musiała być masakra – zauważył.

Dojadłem ostatni kawałek wołowiny twardszej od podeszwy. Przeżuwałem ją tak silnie, że aż mi się w ustach zrobiło gorąco, i musiałem się schłodzić piwem. Gdybym nie był takim twardzielem, odpuściłbym sobie. Z drugiej strony przynajmniej miała jakiś smak. Podeszwy.

– Lubisz sobie zjeść, co?

Spojrzałem na małpiszona. Właściwie miał rację. To już była trzecia wielka porcja, przez którą się przedzierałem. Nawet jej nie zamówiłem, po prostu pozwoliłem je przed sobą stawiać, jak i kolejne piwa. Pewnie chciał mi rozwiązać język. No i czemu nie? Przynajmniej trochę podjadłem. Uświadomiłem sobie, że przez ten czas sam niczego nie tknął, całą swoją uwagę poświęcił mojej opowieści.

– Ano prawda – odparłem – ale już mi wystarczy.

Skłamałem. Co prawda nie byłem już głodny, ale najedzony też nie, a już z pewnością nie nażarty, czego można by oczekiwać po ilości jedzenia, jaką pochłonałem.

– Mogę dostać jeszcze jedno piwo?

Małpison – przypomniałem sobie, że nazywał się Omar – przytaknął.

– Pewnie, że możesz, chłopie – odparł, po czym nieznacznie mrugnął na gościa siedzącego przy stole w boksie na podwyższeniu. Za plecami miał drzwi, którymi w razie potrzeby mógł wyjść. Mały, tłusty i łysy, ani chybi tutejszy szef. Zgadywałem, że Omar jest jego prawą ręką. Wyglądało na to, że zaszedłem wreszcie do właściwego lokalu.

– A co cię właściwie przywiodło do Grafzaty? – zaczął wypytywać Omar, kiedy karczmarz doniósł nam dwa kufle piwa.

W całym pomieszczeniu oprócz karczmarza, Omara i jego szefa było jeszcze sześciu ludzi. Początkowo myślałem, że to goście, teraz jednak typowałbym raczej członków gangu. Dwaj trzymający się najbliżej drzwi najwyraźniej ich pilnowali. Pozostali nie wyglądali na zajętych czymkolwiek i pomyślałem, że się bezwstydnie objijają. Ale, jak to powiedział książe, miasta z wysokim zagęszczeniem ludności i z wysokim zagęszczeniem interesów są wydajne. Podobało mi się to określenie. I to była zresztą prawda. Z bogaczy zawsze siałem więcej złota niż z biedaków.

Nonsens, biedacy nie mają żadnego złota, nigdy go u nich nie szukałem.

Zorientowałem się, że Omar czeka na odpowiedź.

– Czasem zarabiam jako kurier. Dostarczałem przesyłkę jednemu gościowi. Dostałem kasę i tak się teraz rozglądam, co dalej. Pośpiechu nie ma, zarobiłem dość. – Wskazałem na pas, dając do zrozumienia, że mam pieniądze przy sobie.

Dlaczego to zrobiłem? Żeby mnie próbowali okraść? Czy dalej grałem rolę półgłówka ze wsi? Chyba to pierwsze. Nie powinienem tak się powodować swoimi pragnieniami. Wciąż jeszcze miałem tu sprawy do załatwienia.

– A co doręczałeś? I komu?

– Albo mogę powiedzieć, co doręczyłem, albo komu – odparłem.

Do gospody wkroczyło dwóch młodzieńców, ubranych tak, aby nie przykuwać niczyjej uwagi. Złodziejaszki? Szpicle? Posłańcy?

Wszystko było możliwe. Ewidentnie nie byli tu po raz pierwszy, machnęli tylko ręką ochronie i podeszli wprost do baru, gdzie karczmarz zaczął bez słowa nalewać im piwo. Popijali powoli, czekając, aż przyjdzie pora na ich audiencję.

– A dlaczego możesz powiedzieć jedno albo drugie? – spytał podejrzliwie Omar.

– Kurier, co to mówi za dużo, roboty nie znajdzie. A na zlecenia można liczyć tylko wtedy, jak się ma renomę. Jeśli podam jedno albo drugie, to będzie dla mnie dobra referencja. Wyjawić oba, to by się nie podobało ani mojemu poprzedniemu, ani następnemu zleceniodawcy.

– Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz – ocenił Omar. – Bez urazy! – dodał szybko.

Nie byłem urażony. Gdybym go chciał zabić, mógłbym to zrobić ot tak. Urazy nie były mi do niczego potrzebne.

– To co tym razem doręczałeś? – spytał zaciekawiony.

– Śliczną dziewczynę, żadnego tam prosiaka. Przyszłą pannę młodą.

– Jaja sobie robisz?

Wzruszyłem ramionami. Nie zmyśliłem tego, kiedyś rzeczywiście coś takiego miało miejsce i o ile wiem, skończyło się nie najgorzej. Odbiorca, który zamówił uprowadzenie swojej przyszłej żony, zapłacił za to złamanym nosem, niewielkim zniekształceniem twarzy i kilkoma innymi drobnostkami, ale o ile wiem, żyli razem w szczęściu i zadowoleniu. Aż do śmierci, ale to już była inna historia.

– Jeśli szukasz zajęcia, to poczekaj tu chwilę – zwrócił się do mnie Omar. – Pomówię z szefem, szepnę za tobą słówko. – Mrugnął do mnie po przyjacielsku.

Skinąłem tylko głową i dałem mu odmaszerować. W spokoju obserwowałem ruch w gospodzie. Pieniądze, towary i znów pieniądze przychodziły za pośrednictwem mężczyzn i kobiet najróżniejszych typów. Łysielec, którego imienia wciąż nie znałem, nie był wybredny w nominałach. Pieniądze przyjmował nawet w najdrobniejszych miedziakach. Omar siedział z nim przez cały

czas przy stole i ciągle o czymś szwargolili. Mną sobie głowy nie zawracali, ale to mi nie przeszkadzało. W połowie mojego piwa do gospody wkroczył aż zbyt elegancko odziany gość i niczym stały bywalec, ruszył wprost do baru. Karczmarz starannie wyczyścił dla niego kielich i nalał wina z butelki schowanej pod ladą. Po chwili zbliżył się do niego Omar. Nie szef, ale Omar.

Udawałem, że drzemię, ale spod oka obserwowałem, jak z ręki do ręki wędruje skórzany rulon. Sądząc po grubości i długości, szacowałem go na dwadzieścia złotych. Nie, nie szacowałem, wiedziałem przecież dokładnie. Były to złocisz w obiegu od dłuższego czasu, ale wciąż w dobrym stanie. Złoto interesowało mnie kiedyś bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Po krótkiej rozmowie elegant wyszedł. Chętnie bym go poobserwował, ale wiedziałem, że jeszcze przyjdzie na to czas.

– No to mam dla ciebie zlecenie. – Omar wrócił do mojego stołu.

Przybrałem zaciekawiony wyraz twarzy.

– Jakie i za ile? – spytałem szybko. Gdyby mnie nie zaciekawilo, byłoby to podejrzone.

– Nic specjalnego, ale coś tam zawsze dla ciebie skapnie. Brakuje nam kolektorów, mamy paru chłopca mniej.

Paru chłopca mniej... Wyglądało na to, że moje szturchnięcie gniazda os się opłaciło i poszczególne gangi wciąż biorą się za łby. Właściwie nie tyle szturchnięcie, co uderzenie taranem. Okutym.

– Obejdiesz jutro kramy na Glinianej. Opłata za ochronę to cztery srebrne za tydzień. Jest tam osiem sklepów i jedna jadłodajnia. To twoja pierwsza robota dla Pluska. Będą się wykręcać i opierać, ale jeśli przyniesiesz całość, jeden złoty jest dla ciebie.

– Złocisz za krótką przechadzkę brzmi przyzwoicie. Biorę.

– Ale dopiero jutro – ostrzegł mnie. – Musimy przestrzegać reguł, biznes to biznes.

– Pewnie, rozumiem. Jeden złoty dla mnie – powtórzyłem jeszcze i się pożegnałem.

Opuściłem główną kwaterę Pluska – gospoda nazywała się Pod Jarzębem – i wmieszałem się w tłum ludzi. O tej porze dnia niektóre ulice w Grafzaty były nieomal przepelnione. Nie wierzyłem, oczywiście, w ani jedno słowo Omara. Gliniana pewnie nie należała do ich terytorium, a ja, prostaczek ze wsi, miałem posłużyć jako przynęta, na którą konkurent Pluska miał się rzucić i pokazać, na co go stać. O samym Plusku nie wiedziałem nic. Albo był całkiem nowy, albo dopiero niedawno zaczął rosnąć w siłę.

Znaleźć Glinianą nie było łatwo. Ogólny plan miasta znałem już na pamięć, ale ze szczegółami szło mi znacznie gorzej. Gliniana była wąska, wyboista i pozastawiana przenośnymi kramami. Stałych sklepów w istocie znajdowało się tu osiem, do tego jedna jadłodajnia. Znalazłem ścianę, która wyglądała na taką, co się zaraz nie rozsypie, i oparłem się o nią. Przez parę chwil obserwowałem ruch. Jak na tak zaniedbaną ulicę, działo się tu sporo. Zakładałem, że legalne interesy mieszały się z nielegalnymi, pewnie tak pół na pół. O ile samo miejsce nie było może źródłem bogactwa, to na pewno przepływało wtedy sporo złota. Pod warunkiem, że człowiek wiedział, jak się do niego dostać, i nie miał przy tym zbyt wielu skrupułów. Ale akurat Plusk i jego konkurent z tym problemem się z pewnością nie zmagali.

Podszedłem do pierwszego sklepiku. Wejście i skromna wystawa mnie zmyliły. W środku mieścił się wielki, poprzedzielany regałami skład. Powietrze wypełniał zapach tkanin. Tych zwykłych – lnu, jedwabiu, muślinu – i tych bardziej egzotycznych, których nazw nawet nie znałem.

Pająkowaty człowieczek natychmiast odgadł, do jakiej grupy klientów należę.

– Już zapłaciłem, w zeszłym tygodniu. Następną płatność dopiero po niedzieli – warknął nerwowo.

Bał się i nie było co mu się dziwić. Jakbym był w jego skórze, też bym się bał. Uczciwy kupiec w towarzystwie mordercy, dla którego życie ludzkie nie miało żadnej wartości.

– Komu płacisz haracz? – spytałem.

Dwie klientki przebierały w towarze. Po moich słowach ich rozmowa się urwała. Właściciel wahał się. Z jednej strony bał się mnie, z drugiej nie chciał sprowadzić kłopotów na swój interes.

– Proszę za mną do kantorka – odezwał się głosem, który z trudem skrywał obawę. – Zaraz się paniami zajmę, tylko obsłużę tego pana.

Żadnej obsługi nie wymagałem, ale co mi tam. Zaprowadził mnie do ciasnego pomieszczenia, którego ściany obwieszane były próbkami tkanin. Na biurku zabierającym większość miejsca wały się stosy papierów. Pomieszczenie było małe, nieprzyjemnie małe. Robiło mi się w nim... niedobrze.

– O czym chcieliście, panie, porozmawiać? – zapytał ze złudną nadzieją, że może się przesłyszał i przyszedłem do niego w zgoła innym celu.

– Komu płacisz haracz? Pieniądze za ochronę? – powtórzyłem.

Nadal wyglądał niepewnie, jakby się nie mógł zdecydować.

– Jeśli mi zaraz nie powiesz, przyłożę ci. Pewnie ci przy tym złamię jakąś kość. Albo dwie – kontynuowałem wyjaśnienia.

Nie próbowałem go jakoś szczególnie przekonywać ani nastraszyć. Wiedziałem, że tak bym zrobił, i wtedy powiedziałały mi to, co chcę od niego usłyszeć. Pewnie było to po mnie widać.

– Ten rejon należy do pana Cremaxa – wyjawiał bez opierania się.

– Gdzie go znajdę? – zadałem mu kolejne proste pytanie.

– Nie wiem! Naprawdę nie wiem! – zaczął niemalże krzyczeć.

Wierzyłem mu, nie było sensu próbować wyciągać z niego więcej. Wobec tego kolejny krok to pogawędka z Cremaxem. Ale to mogło poczekać. Jutrzejszy dzień będzie dogodniejszy na tę wizytę.



Wyszedłem z powrotem na ulicę i... zrobiło mi się niedobrze. Jakby powietrze było zatrute, żar słońca zabójczy, jakby brakowało tlenu. Oparłem się o ścianę. Jeśli miałem umierać, niech tak będzie. Miałem tylko nadzieję, że szybko pójdzie.

Niestety, nie poszło. Agonia trwała aż do wieczora. Nie byłem

w stanie się ruszyć, serce biło mi dwa, trzy razy na minutę, płuca napełniały się sporadycznie, bez udziału mojej woli. Pełzały po mnie niepewne spojrzenia ludzi. Tłusty dziad oparty o ścianę. Mierzyłem się ze świadomością, że umieranie będzie jednak boleć, że będzie udawką. Odczułem to więc wręcz jako niesprawiedliwość, kiedy wreszcie na wieczór, zaraz po zachodzie słońca, porażenie minęło i znów mogłem się ruszyć. Niestety, byłem nadal żywy. Do tego, że życie jest niesprawiedliwe, zdążyłem się już przyzwycząić.

Nie bardzo wiedziałem, jak sobie radzić z tą słabością, która mnie dopadła. Wróciłem do zajazdu, w którym się zatrzymałem. Mały pokój z małym oknem, bez żadnych mebli. Stół i łóżko wystawiłem na zewnątrz, nie chciałem dzielić kwatery z robaczymi współmieszkańcami. Rozebrałem się i położyłem nago na zimnej glinianej podłodze. Wiedziałem, że kiedy wstanę rano, będzie mokra i aż gorąca, rozpalona żarem mojego ciała.

Na szczycie łańcucha pokarmowego



W poszukiwaniu pożywienia Rzec rozdzieliła się na mniejsze części, nieforemne kształty o powierzchni kilku kroków wzdłuż i wszerz, grubości dywanu. Robactwo jako źródło pokarmu przestawało wystarczać, a jako źródło tego czegoś innego, tego, czego Rzec nadal nie pojmowała, ale co ją pociągało, czego pragnęła, nie nadawało się do niczego. Pająki, chrząszcze, czerwie były wszystkie takie... proste, nie niosły ze sobą niczego nowego. Za to szczury, szczury były o wiele ciekawsze. Ale były również szybkie, a zapach czy co innego, co Rzec wokół siebie roztaczała, przerażał je. To oznaczało, że szczury trafiały się jej niezmiernie rzadko. Jeśli już, były to osobniki stare albo chore, które nie miały już sił uciekać albo były na tyle otumanione, że udawało jej się zapędzić je gdzieś w kozi róg.

Część Rzeczy zatrzymała się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy. Były szerokie, z łukowato brukowanym dnem. Przy panującej obecnie suszy dołem ciekł tylko wąski strumyczek wody. Po gładkiej szarej powierzchni przetaczały się perystaltyczne fale. Po prawej stronie, bliżej wylotu jednego z korytarzy, utworzyło się zgrubienie, po czym znikło i pojawiło się po lewej. Rzec podjęła decyzję. Z lewego korytarza CZUŁO ciekawiej.

Ostrożnie ominęła niewielką kałużę. Pomimo iż sama wyglądała na wilgotną i oślizgłą, woda jej nie służyła. Traciła w niej zmysły, traciła kontakt z otoczeniem, rozpuszczała się w... nicość.

Powoli, gdyż nie potrafiła inaczej, posuwała się do przodu – szary, od czasu do czasu unoszący się nieco kobierzec. Przeczucie, że ma przed sobą coś obiecującego, narastało. To coś nie uciekało, tkwiło w jednym miejscu. To szczury, rozpoznała, mnóstwo szczurów.

Czemu nie uciekają? Wszystkie szczury, które do tej pory pożarła, były praktycznie martwe. Te z pewnością nie.

Wszystko, co nieznanym, mogło być potencjalnie niebezpieczne. Rzecz nie posiadała świadomości, rządził nią zlepek prostych instynktów. Jednak teraz, kiedy była pobudzona pożądaniem ofiary i pragnieniem czegoś, czego jej wciąż desperacko brakowało, uformowała się w niej pierwsza myśl – uciekać, jak doradzały instynkty, czy dowiedzieć się więcej? Na czele fali pojawiło się kilkucentymetrowe zgrubienie, na którym powoli zaczęły się kształtować owadzie oczy. Czerwie żadnych nie miały, ale chrząszcze i pająki już tak, a były one przy tym na tyle nieskomplikowane, że Rzecz potrafiła je imitować. Jeszcze niezbyt dokładnie, przez co część była zdeformowana i ślepa, ale przynajmniej kilka działało w miarę sprawnie i razem zapewniły Rzeczy rozmyty i zamglony obraz otoczenia. Wystarczyło, aby mogła się zorientować w sytuacji.

Przed nią w mroku jedynie odrobinę jaśniejszym od całkowitej ciemności rzeczywiście czekały szczury. Cała grupka zdrowych, silnych szczurów. Nie uciekały, ponieważ dalszą część kanału blokowały cegły, które niedawno musiały spaść ze sklepienia. Pierzchając przed Rzeczą, zebrały się w ostatnim dostępnym miejscu – na małym półwyspie otoczonym gromadzącą się wodą.

Rzecz zaczęła się zwięzać, chcąc bezpiecznie przekroczyć wąski, suchy przesmyk tak, aby żadna z jej części nie dotknęła wody. Potem, jak już to robiła wielokrotnie, znów się rozpełźnie, aby szczury nakryć i wchłonąć. Nie dotyczyło to wyłącznie ich ciał, ale również tego wszystkiego, co czyniło z nich żyjące, indywidualne istoty – nagromadzone informacje, osobowości.

Przybrawszy kształt długiego, nieco spłaszczzonego węża, Rzecz poruszała się o wiele szybciej. Bez udziału świadomości zmagazynowała tę informację na później. Najbliżej znajdował się największy szczur w grupie. Rzecz odczuwała coś na kształt mieszaniny pragnienia, głodu i radości.

Największy kęs idzie pierwszy!

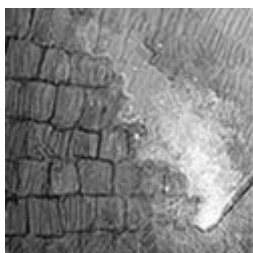
Już była w zasięgu, już chciała znów zacząć się rozpościerać w kobierzec, kiedy zwierzę zaatakowało. Był to stary samiec, któremu doświadczenie i instynkt podpowiadały, że jeśli się podda bez walki, zginie. Znajdująca się przed nim Rzecz była przerażająca, nadprzyrodzona, wyczuwał to całym swoim jestestwem, niemniej przewyciężył strach i zaatakował.

Dla Rzeczy było to zupełnie nowe, nieoczekiwane doświadczenie. Tym razem nie chodziło o ogień, żywioł, który miał wobec niej moc zniszczenia, ale o opór żywego organizmu. Szczur wgryzł się w jej materię, oderwał kawałek, odrzucił go w wodę i zaatakował ponownie. Rzecz poczuła zarodek nowej emocji, załazek furii.

Perystaltyczne falowanie wzmogło się, ciało Rzeczy zgęstniało, aby umożliwić szybsze ruchy. Czoło jej formy uniosło się i było teraz na wysokości oczu szczura. Zwierzę w bojowym szale nawet nie zauważyło przemian przeciwnika, dalej odgryzało kawałki tak duże, na jakie pozwalały jego niewielkie szczęki. Rzecz rozkazywała odgryzionym kawałkom, aby do niej powróciły, ale z różnym powodzeniem. Części, które padły na suchy ląd, próbowały nieporadnie do niej podpełznąć, niczym ślepe czerwie, ledwo rozpoznające światło i mrok. Z tymi, które wpadły do wody, Rzecz traciła kontakt zupełnie, a te, które szczur połknął, były natychmiast trawione.

Pozostałe szczury, ośmielone przykładem przywódcy, ruszyły do przodu i przyłączyły się do walki. Wobec bezpośredniego zagrożenia egzystencji Rzecz poczyniła kolejny krok w swym rozwoju. Uświadomiła sobie swą słabość, nauczyła się rozpoznawać nadciągający koniec. Cofnęła się. W odruchu samozachowawczym nie zezwoliła sobie jednak na ponowne przekształcenie w kobierzec, w takim kształcie szczury rozszarpałyby ją na kawałeczki w mgnieniu oka. Uciekała w formie wąskiego węża, odsłaniając na ataki jedynie niewielki koniuszek, przyciskając się do szczelin i załomów, aby osłonić jak największą powierzchnię ciała. Mimo to gdyby szczury postanowiły kontynuować swe ataki, byłby to koniec Rzeczy, tej trzeciej jej części, która dokonała właśnie najbardziej decydującego kroku w rozwoju swojej świadomości.

Kolektor



Otworzyłem oczy. Między szparami w nieremontowanym suficie, którymi czasem przebijało się światło dnia, pająk rozpiął swą sieć. Wczoraj jej nie zauważyłem, ale tkwiła tam już opleciona w kokon mucha. Jej los był przesądzony, pajęczy jad przemieniał ją właśnie w płynną przekąskę. Los wielu z nas jest przesądzony.

Podłoga, wieczorem zimna, teraz była przyjemnie ciepła, grzała mi plecy. Nie spowodował tego poranek. Szparami w oknie, z którego trzech paneli tylko jeden był wciąż szklany, a w dwa pozostałe wstawiono cienkie drewniane płyty, przenikało do środka świeże, orzeźwiające powietrze. To ja sam w czasie snu rozgrzałem posadzkę. Dokładnie tak, jak wieczorem przeczuwałem i jak to już miało miejsce kilkukrotnie w przeszłości.

Przyglądałem się spękanemu sufitowi i rozmyślałem nad tym, jak podejść do roboty od Pluska, a jak to rozegrać z Cremaxem i pozostałymi gangsterami. Moje dotychczasowe kroki zamieszały miejscowym półświatkiem, tak jak tego chciałem. Zaburzone zostały granice terytoriów, kilku pomniejszych graczy kompletnie wypadło z gry. Jednak dla mnie istotne było to, aby dostać się wyżej, wbić się do warstwy średniej, a z niej potem wspiąć do tej najwyższej. O ile człowiek, który oszukał księcia, dostał się aż tak wysoko, co wydawało się wielce prawdopodobne. Skoro zdołał się ukryć przed innymi książęcymi agentami, skoro potrafił zakłócić i częściowo przejąć sieć kupców i informatorów, oznaczało to, że jest inteligentny i przebiegły. Zastanawiałem się chwilę, jak mógłbym się dostać w okolice kogoś naprawdę sprytnego, ostrożnego i doświadczonego. Przyszło mi do głowy kilka pomysłów, ale żaden

nie wydawał się ekscytujący. Z drugiej strony może jednak nie był aż tak inteligentny. W końcu próbował wykiwać księcia, a to nie mogło się dla niego skończyć dobrze.

Wróciłem w myślach do łatwiejszych kwestii, jak pobieranie haraczu na terytorium innego gangstera. To już było dużo bardziej zajmujące, a kto wie, może w ten sposób uda mi się dostać bliżej celu. A nawet jeśli nie, przynajmniej się rozerwę.

Wstałem. Mięśnie, stawy, ścięgna... wszystko chodziło jak naoliwione, gotowe do działania. Może to dzięki temu ciepłu. Lubię ciepło. Przeciągnąłem się, pokręciłem ręką w łokciu, potem całym ramieniem. Nie odezwała się żadna ze starych ran, czułem się doskonale, jak to już dawno nie miało miejsca.

Podszedłem do okna. Słońce nie wstało jeszcze, miasto wciąż spało. Zebrałem ciuchy, sprzęt i nagi zbiegłem na podwórzec, do studni. Kolektorzy haraczu zazwyczaj nie wstają zbyt wcześnie, nie mają po co. Interes poczeka. Mnie wczesne wstawanie nie przeszkadzało.

Nabrałem kubel wody, ciągnąc łańcuch rękoma. Nie chciałem obudzić całej okolicy skrzypieniem kołowrotu. Większość lodowatej wody wylałem na siebie, w reszcie przepłukałem ubranie, z wyjątkiem kożucha. Wiedziałem, że zaraz zrobi się ciepło i wszystko na mnie obeschnie.

Usłyszałem szuranie kroków. Otworzyły się jedne z wiodących na podwórzec drzwi i ukazała się w nich stara kobieta. Niespiesznie dreptała w moją stronę, przyglądając się z zaciekawieniem.

– Jeszcze nigdy nie widziałam takiego chłopiska – powiedziała. – Nawet te gołe posągi, co to stoją w bogatych ogrodach, przy tobie wydają się małe i pulchniutkie.

Moja nagość zupełnie jej nie przeszkadzała. Dalej mi się przyglądała i kręciła przy tym głową. Uświadomiłem sobie, że muszę więcej jeść. Gdzieś w ciągu kilku ostatnich dni straciłem większość podskórnego tłuszczu. Pierwsze promienie słońca podkreśliły na moim ciele ostre linie mięśni. Nie mogę zaniedbywać jedzenia, te mięśnie w nadchodzących dniach muszą być w jak najlepszej formie.

Będę ich potrzebował, ich szybkości, siły, zdolności zadawania bólu i zabijania.

– Jestem, jaki jestem. – Wzruszyłem ramionami i zacząłem się ubierać.

Pokręciła tylko głową i nic już więcej nie dodała.

Ruszyłem na obchód.

Kupca od tkanin zostawiłem w spokoju. Jeszcze by kopnął w kalendarz na sam mój widok, a ja nie potrzebowałem zbyt wielu trupów. Piekarza Złomnika, jeśli wierzyć szyldowi, zastałem w pracy, zapewne tuż pod koniec zmiany. Wraz z pięcioma czeladnikami wypiekali właśnie ostatnią partię chleba i precli. Panujący w piekarni upał na mnie działał jak balsam, czułem, jak schnie moje mokre ubranie.

– Przyszedłem po pieniądze za ochronę – rzuciłem zamiast pozdrowienia.

Piekarz spojrział na mnie zaniepokojony, jego pomocnicy zbili się w kącie w kupę.

– Wyciągnijcie mi z pieca, a rychło! – huknął na nich. – Zaraz się to wszystko spali! Chodźmy do kantorka. Żona jeszcze śpi, normalnie to ona się zajmuje finansami. Zazwyczaj przychodzicie później – mamrotał niespokojnie.

Nie był zachwycony tym, że mnie wcześniej nie widział, ale zaprotestować się nie odważył.

Kantorek był ciasny, ozdobiony suszonymi kwiatami. Złomnik rozpaczliwie szperał po szufladach biurka, aż wreszcie w jednej z nich znalazł pięć srebrnych monet. Musiały być już naszykowane.

– No dobra, ale skąd mam wiedzieć, że jesteście od Cremaxa? – nie wytrzymał w końcu, widząc, jak chowam do kieszeni sporą część jego przychodu. – Wcześniej przychodzili inni ludzie.

– Nie jestem od Cremaxa – wyjaśniłem. – Od dziś płacisz za ochronę panu Pluskowi.

– Nie mogę płacić dwóm, zbankrutuję! – zaprotestował.

– To im wyjaśnij, że już zapłaciłeś i od dziś będziesz płacić wyłącznie nam, panu Pluskowi. Jak mają z tym jakiś problem, niech wpadną wieczorem pogadać Pod Jarzębą.

Zostawiłem mu adres gospody, w której miałem zdać urobek Omarowi. Dalsze jego lamentowanie zignorowałem. Na szczęście nie robił zbyt wiele rwetesu, inaczej musiałbym go uspokoić. Tylko uspokoić, na razie rozgrzewki nie potrzebowałem.

Pozbierać datki z całej Glinianej zdołałem w mniej niż godzinę. Potrafiłem być przekonujący, kiedy mi na tym zależało. A przy tym nikomu nie wyrzuciłem żadnej krzywdy. Prawie. Czas był przemieścić się dalej. Wprawdzie nie wiedziałem, gdzie dokładnie przebiegały granice terenów łowieckich poszczególnych gangów, ale ogólne pojęcie zaczynałem sobie wyrabiać. Znalazłem ulicę o znacznie wykwintniejszym wyglądzie niż Gliniana i zacząłem to samo od początku. Wybierałem tylko sklepy, uliczne kramy zostawiłem w spokoju. Pierwszy był skład z przyprawami, w którym właściciel spoglądał na mnie dziwacznie, ale kiedy ponowiłem swoje żądanie, bez słowa dał mi pięć srebrniaków.

Następna w kolejce była jadłodajnia. O tej porze wypełniali ją ludzie, którzy przyszli na ciepłe śniadanie. Chwilę rozważałem, od czego zacząć, zdecydowałem się w końcu na posiłek, mimo że właściwie nie miałem apetytu. Wybrałem pierogi nadziewane mięsem i zimną herbatę. Jadłem i obserwowałem zmieniających się klientów. To właściwie była nie tyle jadłodajnia, co przyzwoita restauracja, która po prostu specjalizowała się w szybkich i sądząc po reakcji pozostałych klientów, smacznych daniach. Niestety, sam żadnego smaku nie czułem. Coraz częściej mi się to ostatnio przytrafiało, głównie w okresach przestoju, kiedy nie miałem nic do roboty. Dlatego dziwiłem się, że zdarzyło się właśnie teraz. Jak na razie Grafzatta dostarczała mi całkiem sporo rozrywek.

Do mojego stołu dosiadł się porządnie ubrany jegomość. Na tacy miał garnczek gorącego mleka i dwie pajdy dobrze wypieczonego chleba ze słoniną i jajkami. Ugryzł pierwszy kęs, zauważył mnie, z trudem szybko przełknął i przeniósł się do innego, nieco bardziej zatłoczonego stołu. Gdybym był na takie rzeczy wyczulony, mógłbym się poczuć dotknięty. Z drugiej strony taki całkiem głupi to on nie był.

Na chwilę przed tym, jak skończyłem jeść, do środka weszli dwaj mężczyźni. Jeden przysadzisty, o szerokich ramionach i byczym karku, drugi wysoki, w długim płaszczu z postawionym kołnierzem. Był to całkiem ładny płaszcz. Właściwie to obaj ubrani byli szykowniej, niż można by się w takim miejscu spodziewać. Wprawne oko jednak z łatwością rozpoznawało, że należeli do kategorii ludzi zajmujących się rozbojem.

Nie rozglądając się na boki, ruszyli wprost do drzwi znajdujących się tuż obok okienka, z którego wydawano dania. Z pewnością byli tu już wcześniej. Obsługa zauważyła ich obecność, ale nikt nie poświęcał im zbytnej uwagi, nikt w żaden sposób nie zareagował. Wrzuciłem do ust ostatni kawałek pieroga, mało nie ochlapałem sobie brody sosem. Może warto by tu zajrzeć, jak już będę miał lepszy dzień i będę czuł smaki i zapachy.

Wszedłem do biura. Urządzone było spartańsko. Duże biurko, półki zavalone papierami. Wielkie okno zapewniało dużo światła.

– Nie przeszkadzać! – warknął zapaśnik bez oglądania się.

Właściciel interesu siedział za biurkiem, zajęty odliczaniem srebrniaków, których było z całą pewnością więcej niż pięć. Tutaj widocznie chodziły inne stawki, trochę się w tym pierwszym sklepie rąbnąłem. Na razie tylko on zwrócił na mnie uwagę i wyglądał z tego powodu raczej nerwowo. Skulił się i wpatrywał we mnie teraz już wprost, co wreszcie zwróciło uwagę tamtych dwóch.

– Powiedziałem, żeby nie przeszkadzać – powtórzył ten barczysty i zaczął się ku mnie obracać.

W chwili kiedy mnie zobaczył, zamilkł, a jego ręka powędrowała za pazuchę. Mógł tam mieć nóż, ale podejrzewałem raczej pałkę. Przy tej robocie rozlew krwi i pokaleczone ciała wpływały kiepsko na wizerunek. A jak się macha ostrzem, tego się po prostu nie da uniknąć. Bez ceregieli kopnąłem go w żołądek. Nie żeby go trwale uszkodzić, ale żeby wiedział, że ma się nie ruszać z miejsca. W tym czasie obracał się ku mnie ten drugi i on już trzymał w łapie ostrze. Podciąłem go, zanim zdążył z nim cokolwiek zrobić. Kiedy runął na ziemię, skoczyłem mu na ramię.

Nie był to nóż, ale elegancki kordelas z niesymetrycznym ostrzem. Zaprojektowany głównie do cięcia, ale dało się nim i dźgać. Widać na tę rękę skoczyłem porządnie, bo twarz bandziora wykrzywił bolesniwy grymas. Może to przez moją wagę, do najłżejszych nie należę. Wręcz przeciwnie.

– Pożałujesz tego – wychrypiał.

– Panie, panie, to są ludzie Kokra, to musi być jakieś nieporozumienie – właściciel próbował załagodzić sytuację. – Oni tutaj tylko... – szukał właściwego słowa, ale nic mu nie przyszło do głowy. – No, to im się należy.

Kokro czy Koker, tego imienia jeszcze nie słyszałem. Może ktoś nowy. Pytanie brzmiało, jak długo się utrzyma. Sytuacja lubiła się ostatnio zmieniać.

Zapaśnik próbował dźwignąć się na nogi. W rękę dzielnie trzymał obuch, ale poza tym szło mu kiepsko.

– Leż, leż – doradziłem.

Nie posłuchał.

Kopnąłem go w głowę, drugie uderzenie zaliczył o podłogę. No i tym razem pozostał w pozycji leżącej, nieprzytomny. Ten z kordelasem niczego już nie próbował, chwilę mojej nieuwagi wykorzystał tylko na to, aby podwinąć zranioną rękę. Broń zostawił tam, gdzie upadła. Podniosłem ją. Dobra płatnerska robota, dokładnie jak mi się wydawało na pierwszy rzut oka.

– Stań tam przy ścianie, oprzyj się rękoma i zrób krok wstecz – nakazałem mu.

Właściciel, coraz bardziej przerażony, starał się wtopić w krzesło, na którym siedział. Drobny był, prawie mu się udało.

– Ale jedną rękę mam złamaną – zgłosił zastrzeżenie zbir.

– No to rób tak, żebym ci nie musiał złamać i drugiej – doradziłem mu.

Posłuchał i na dobre mu to wyszło. Zapaśnik stęknął i poruszył się nieznacznie. Obróciłem się i sięgnąłem po jego pałkę. Trzydzieści centymetrów ciężkiej dębiny, rozszerzająca się na jednym końcu, z osadzonymi w nim mosiężnymi ćwiekami. Żółć metalu kontrastowała ze strukturą solidnie wypolerowanego drewna.

Wykonanie niemalże artystyczne. Zapaśnik musiał kochać swoją pracę.

– Ile tam tego jest? – spytałem właściciela i wskazałem na leżące na blacie srebro.

– Dwadzieścia pięć srebrnych – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Wiedziałem sam, nawet nie musiałem go pytać.

– Sakiewka – zwróciłem się do tego przy ścianie.

Z żalem obserwowałem jego płaszcz. Z elegancko wygarbowanej skóry, pięknie uszyty, ale niestety, na mnie za mały. Powinienem dać mu do zrozumienia, że nosić płaszcze, które są mi na nic, to afront, ale się rozmyśliłem. Zabicie go nie przyniosłoby mi żadnego pożytku.

– Ranrak ma. Ja jestem od gadania, on jest od roboty. – Wskazał na swojego kamrata.

Nie chciało mi się schylać do Ranraka, nawet jeśli tamten drugi był wyłącznie od mówienia. Kordelas jakoś temu przeczył.

– Zabierz mu sakiewkę – przykazałem właścicielowi.

Niechętnie i z ociąganiem, ale posłuchał. Z dwojga złego ja byłem tym gorszym. Sakiewka nie była pusta, skrywała sowitą mieszankę srebrnych i złotych monet. Ci dwaj najwyraźniej opracowywali ulicę od drugiego końca. No to mi się poszczęściło.

– To opłata za jaki okres? – Skinąłem na właściciela.

– Za tydzień – wyjaśnił.

Dwa i pół złotego za tydzień to była nielicha stawka. To oznaczało, że interes musiał iść naprawdę dobrze. Odgłosy za drzwiami i ceny wydawały się to potwierdzać.

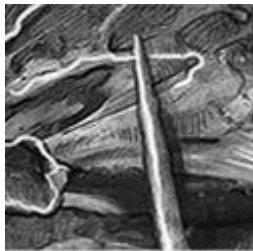
– W porządku. – Postanowiłem zakończyć nasze krótkie spotkanie. – Wyjaśnijcie Kokrokowi czy jak mu tam – kopnąłem zapaśnika czubkiem buta – że od tej pory ta ulica z przyległymi należy do pana Plesoka, znaczy Pluska – poprawiłem się.

Z tymi słowy pożegnałem się i wyszedłem.

W sali jadalnej powitała mnie feeria najrozmaitszych woni. Od ostrych sosów po pieczone mięso. A jeszcze przed chwilą nie czułem przecież nic. Pomimo iż niedawno jadłem, zaczęła mi cieknąć ślina. Może dzień jeszcze się okaże udany. Stałem w kolejce do okienka, w którym podawano mięso, a które było najdalej od drzwi do

kantorka, i zamówiłem kurczaka, smażone macki ośmiornicy i miskę omułek w kwaśnym sosie. Byłem raczej przekonany, że wkrótce zacznie się robić wesoło, a na ulicach przybędzie ciał.

Ciężki dzień wielkiego mistrza



Janick przeciągnął się. Bolał go kark, pleców nie czuł wcale. Bał się, że jak tylko wstanie z fotela, padnie na ziemię z bólu. Jego fotel był najwygodniejszy, jak tylko można sobie wyobrazić, zaprojektować i wykonać, ale kiedy spędzało się w nim po dwanaście, piętnaście godzin dziennie, pozostawanie w jednej pozycji zbierało swoje żniwo. Przez chwilę mrugał, aby pozbyć się palącej suchości w oczach. Nawet rozregulowane spędzeniem setek, jeśli nie tysięcy godzin na studiowaniu poczucie czasu mówiło mu, że za oknem jest już dzień. Grube zasłony nie wpuszczały jednak najmniejszego promienia światła.

Chciał się najeść, umyć, może przydałby się i masaż. Najpierw umyć, potem masaż, na koniec jedzenie, zdecydował. Dobrze by było też spróbować się wypróżnić. Ostatnimi czasy metabolizm zaczynał mu szwankować.

Wysłał mentalny rozkaz, a może tylko życzenie. Sam nie był do końca pewien, czy było to zaklęcie, czy zwykła telepatia. Byvnet, niemy i półślepy kaleka, pojawił się po paru chwilach, kuśtykając powoli. Janick był przekonany, że to właśnie niepełnosprawność uczyniła go podatnym na tę niezwykłą formę komunikacji. Początkowo rozmawiał z nim za pomocą komunikacyjnego zaklęcia pozwalającego na przekazywanie myśli i wrażeń, ale teraz sam już nie był pewien. Miał wrażenie, że łączyli się myślami bezpośrednio. Było jednak możliwe, że używał zaklęcia już na tyle swobodnie, że nawet nie zwracał na to uwagi.

Zgodnie z mentalnym poleceniem Byvnet zaczął rozsuwać, jedną po drugiej, zasłony, aż do środka wpadło palące oczy światło pełni dnia. Janick mrugał przez chwilę oślepiony, potem zaczął gasić

świecie. Zawsze pracował przy sztucznym świetle, a kiedy problem był wyjątkowo zawiły, przedkładał świece nad lampy. Ten obecny był niezwykle zawiły. Znów próbował odczytać, przełożyć i przeanalizować dokumenty dotyczące Akroove, istoty, którą wynajęci przez niego ludzie przed kilkoma dniami wypuścili ze starego schowka do miejskiej kanalizacji. Dzięki wzmożonej, ciężkiej pracy i kilku genialnym olśnieniom – pochwalił się w myśli – zdołał wreszcie rozszyfrować tekst napisany w dawno zapomnianym języku czarodziejów. No, przynajmniej częściowo odcyfrować, przyznał w duchu. W tekście pisano o Akroove jako o broni, ale nigdy jako o zaklęciu. To mu się nie zgadzało. Również inna rzecz była frapująca – powód, dla którego Akroove użyto przed laty właśnie tutaj. Jeśli wierzyć zapiskom, Grafzatza została dla niego specjalnie przygotowana. Jaki to miało sens? Przygotowywać specjalnie miejsce do użycia broni, czymkolwiek by była? Jeszcze bardziej konfundowało go to, że zetknął się i z takimi tekstami, choć były to zwykłe drobne dopiski na marginesach, w których traktowano Akroove jako osobę. Możliwe, że wręcz czarodzieja. Te krótkie wzmianki musiał po prostu odłożyć na bok, nijak nie pasowały do pozostałych, lepiej udokumentowanych informacji.

Przed jego oczami ukazał się mocno zdeformowany, czarno-biały mentalny obraz łazienki z wanną, nad którą unosiła się gorąca para. Jeśli tak właśnie Byvnet widział świat, to, że się w nim w ogóle poruszał, graniczyło z cudem. Choć może tylko w tak zdeformowany sposób się komunikował. Co z kolei budziło pytania, na ile zniekształcony jest jego umysł. Nagle myśli Janicka rozbiegły się chaotycznie na wszystkie strony, musiał się skoncentrować, aby znów je skupić. Problem sprzężenia zwrotnego zdecydowanie wymagał rozwiązania.

Janick wstał z fotela. Ból odezwał się dokładnie tak, jak tego oczekiwał. Powoli ruszył w kierunku łazienki, ale zatrzymało go pukanie do drzwi. Przeciągnął się i wyprostował tak, aby nie było po nim widać słabości. Z tym też trzeba będzie coś zrobić.

– Wejść – nakazał Noltowi.

Wiedział, że to jego sekretarz, poznał po pukaniu. Poleganie na rutynie, powtarzalności osłabiało bezpieczeństwo. Kolejny problem do skorygowania, uświadomił sobie. Nolt wszedł i nisko się pokłonił. Wiedział, że Janick lubił, aby mu okazywano szacunek.

– Mistrzu, przybył gość.

Janick zakląłby, gdyby nie był aż tak wyczerpany. Z drugiej strony, skoro zwracają mu głowę po całonocnych studiach, musiał to być ktoś istotny.

– Kto? – spytał obcesowo.

Potrzebował odpoczynku. Musiał wziąć się w garść, zaaplikować sobie kilka stymulujących substancji, a nie tracić czas na spotkania.

– Pan Daneb Drueri. Twierdzi, że musi z wami pilnie porozmawiać.

Janick zachmurzył się. Daneb Drueri należał do klanu Josa. Mistrz Jos również poprzysiągł wierność Jego Ekscelencji i tak jak Janick zależny był od jednego z najpotężniejszych ludzi w cesarstwie. Janick dostrzegał w tym gorzką ironię. Oto oni, czarodzieje, osobistości potencjalnie obdarzone największą mocą na tym świecie, byli zależni od dobrej woli bogatej szlachty i arystokracji. Niestety, inne wyjście nie istniało. Klany czarodziejów miały kosztowne zapotrzebowania. Bez pomocy mecenasów nie miałyby dostępu do artefaktów i egzotycznych ingrediencji. Taktyka Ricka Varatchiego też była godna podziwu. Hrabia sponsorował i wspierał kilka konkurujących ze sobą klanów. W przypadku nieposłuszeństwa ze strony jednego z nich mógłby napuścić nań pozostałe. Janick równocześnie bał się go i podziwiał. W trakcie swych studiów odkrył, iż przed setką lat to właśnie czarodzieje rządzą światem. Pomimo iż obecnie władali jedynie cieniem swej poprzedniej mocy, Varatchi starał się wykorzystać ich do swoich celów, a równocześnie przygotowywał się do tego, aby utrzymać się u władzy, nawet gdyby klanom udało się urosnąć w siłę.

Janicka najbardziej drażniło to, że podstawowe umiejętności magiczne innych opierały się na tym, co z pozostałości po minionych generacjach czarodziejów odczytał on sam. To on opracował na nowo podstawowe zasady manipulacji mocą i obchodzenia się

z najczęściej spotykanymi artefaktami. Wcześniej to wszystko były jedynie indywidualne próby po omacku, niczym bezcelowe kroki w ciemności. Aby nadać im kierunek, aby zainicjować postęp, ktoś musi najpierw ten mrok rozświetlić. A ku goryczy Janicka Varatchi początkowo jego odkrycia rozpowszechniał sam. Możliwe, że chciał zweryfikować, czy są prawdziwe, czy można je w istocie wykorzystać. W pewnym momencie Janick gotów już był wypowiedzieć mu posłuszeństwo, ale Varatchi nagle przestał naciskać, przestał podbierać mu z trudem zdobyte owoce jego ciężkiej pracy. Czemu? Janick nie miał pojęcia. Możliwe, że hrabia wyczuł, iż przycisnął swego sługę zbyt mocno. A może stało za tym coś zupełnie innego.

– Panie? – przypomniał się Nolt. – Wasz gość wciąż oczekuje.

– Spotkam się z nim – Janick zgodził się ze złością – w pokoju gościnnym, nie w pracowni.

Daneb Drueri był pewnym siebie trzydziestopięcioletkiem, ze starannie przystrzyżoną bródką i eleganckim uczesaniem. Odzież wskazywała na to, że jest w rozjazdach, ale nie cierpi niewygód. Uosabiał sobą zdolności i cechy, których Janick kiedyś zazdrościł innym. Teraz widział, że Drueri należy do tych, którzy zanim jeszcze zorientowali się w swoim pełnym potencjale, byli w stanie intuicyjnie zacząć korzystać ze swego talentu. Nie były to prawdziwe czary. Te wymagały struktury, uporządkowania, sięgania do spuścizny i doświadczeń poprzednich generacji czarodziejów. Może był przy tym zdolny naginać szczęście na swoją korzyść, może potrafił wpływać na ludzi, aby poddawali się jego woli. Mógł zwyczajnie znać sztuczki, które ułatwiały mu życie.

Tacy jak on nigdy nie będą rozgryzać starych zapisków, odkrywać dawno zapomnianych zasad i technik, nie wpadną na sposób przebudzenia i użycia nieznanymi artefaktów. Jednak dość postawić przed nimi zakłęcie, strukturę wystarczająco prostą, aby mogli ją ogarnąć, a będą w stanie użyć go z niebywałą skutecznością.

I właśnie tej zdolności brakowało Janickowi. Potrafił manipulować mocą, jednak w bardzo ograniczonym zakresie. Co prawda niezwykle precyzyjnie, ale pożytek z tego był prawie żaden.

– Panie – zwrócił się do niego Drueri.

Janick z niesmakiem zauważył, że tamten nie użył tytułu mistrza, jak nakazywały zasady.

– Musieliście się sporo natrudzić, żeby mnie tutaj w mieście odnaleźć – odparł chłodno. – W czym wam mogę służyć?

– Mamy informację, że do miasta przybył czarodziej. Nieprzyjacielski czarodziej.

A zatem Drueri należał do poszukiwaczy nieujawnionych magicznych talentów. Należeli do różnych klanów, ale w każdym mieli specjalną pozycję. Drueriego i jemu podobnych cesarz, a przede wszystkim Jego Ekscelencja Varatchi wysyłał na samotne misje, aby werbować kolejnych ludzi zdolnych do manipulowania mocą. Do tego wyglądało i na to, że sam Drueri należał też do łowców obcych czarodziejów. Definicji ich obcości Janick nie był do końca pewien. Jeśli chodziło jedynie o sługi władcy księstwa Dask czy innych pomniejszych niezależnych państw, nie powinni mieć zbyt wiele do roboty. Zasoby księcia Daska zostały mocno ograniczone ostatnimi czasy i jego ludzie mogli co najwyżej pokręcić się wokół granic niczym psy próbujące podejść wyrośniętego niedźwiedzia. Janick odnosił jednak wrażenie, że w samym cesarstwie rozpoczyna się bezwzględny pojedynek sił. Może należało mieć to na oku. Później, teraz nie było na to czasu.

– Niestety, tej informacji nie mogę potwierdzić ani jej zaprzeczyć – odparł oschle. – Nie jestem tutaj z powodu obcych czarodziejów.

– Jest to w naszym wspólnym interesie. Nasz pan wysłał mnie, abym pochwycił intruza. Zapewnił mnie, że mogę liczyć na wszelkie możliwe wsparcie – powiedział Drueri z nie do końca maskowaną wściekłością w głosie.

To mogła być prawda, Janick nie mógł tego wykluczyć. Niemniej on takich rozkazów nie dostał. A nawet gdyby dostał, długo by się zastanawiał nad ich wypełnieniem. Jednak problemem było to, że

gdyby Drueriemu misja się powiodła, potraktowano by to jako zasługę jego i jego klanu.

– Pomogłem już tym, że przekazałem, iż takowych informacji nie posiadam. To oznacza, że powinniście lepiej sprawdzić, czy te wasze nie są fałszywe – kontynuował konfrontacyjnie.

To wyprowadziło Drueriego z równowagi.

– Nie pozwolę, żeby tak oczerniano moje wysiłki! – Gniewnie wyciągnął rękę ku Janickowi.

Ten nie uczynił żadnego ruchu, aktywował tylko swą najnowszą zabawkę – zakłęcie, które nazwał kafarem. W całą powierzchnię ciała Drueriego uderzył niematerialny młot. Gdyby miał większy zasięg, z czarodzieja pozostałaby tylko krwawa miazga. Niestety, zakres jego działania był nie głębszy niż pół centymetra. To jednak wystarczało, aby człowiekiem porządnie trzepnąć, wywołując podskórne krwawienia, rozległe sińce, może uszkodzenia chrząstek.

Diagram zakłęcia okazał się zaskakująco prosty, gdy po pół roku studiowania Janick wreszcie go zrozumiał.

– Nolt! – wezwał swego sekretarza, który zgodnie z poleceniem stał w cieniu za kotarą i wszystkiemu bacznie się przyglądał. – Zaprotokołujcie, że pan Drueri groził mi napaścią i został spacyfikowany. Dołączcie raport o jego stanie zdrowia i podeślijcie jego mistrzowi.

Gesty między czarodziejami były ryzykowne i niebezpieczne, toteż Janick nauczył się wykorzystywać swój ograniczony potencjał magiczny bez nich.

Wstrząśnięty Drueri wstał z ziemi. Z nosa kapłała mu krew, ale poza tym wydawało się, że nic mu nie jest.

– Mam gdzieś ten wasz zdrowotny raport! – rzucił ze złością, po czym ruszył ku drzwiom.

– Dopiszcie jeszcze, że wyszedł o własnych siłach, bez badania, na własne życzenie.

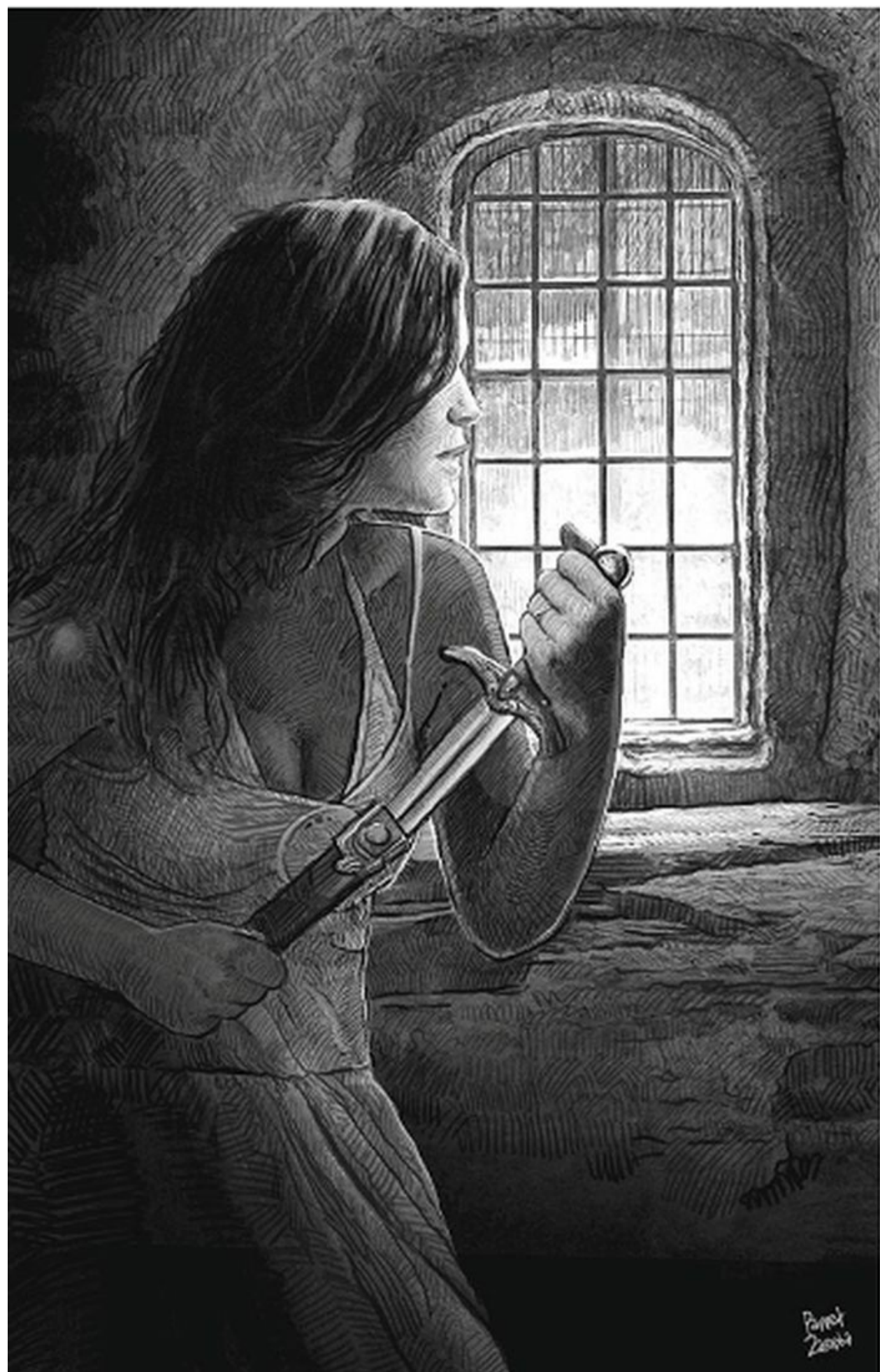
Spokojnie obserwował, jak wściekły Drueri odchodzi. Z klanem Josa nie łączyła go zbyt wielka przyjaźń. Wręcz przeciwnie. Miał przeczucie, że zadanie Drueriego częściowo polegało na przetestowaniu jego, Janicka, i był zadowolony z tego, jak się sprawy

potoczyły. Nikt nie miał pojęcia, że nie użył własnej siły, aby aktywować diagram, ale że skorzystał z magicznego akumulatora. Zamyślił się nad kafarem. Gdyby znalazł sposób na to, jak zwiększyć zasięg jego działania, otrzymałby fantastyczną broń. Było oczywiste, że nie w tym celu zaklęcie zostało stworzone, miało służyć jako narzędzie. Może rzeczywiście jako kafar. Sam Janick jednak nigdy w życiu nie odważył się i wiedział, że nigdy się nie odważy na próbę modyfikacji magicznego diagramu. Po latach nauki wciąż czuł się jak dziecko próbujące ogarnąć świat dorosłych. A przy tym również widział i dobrze zapamiętał, jak kończyli ci, którzy przecenili swe możliwości. Nikt, kto pokusił się o zmianę magicznego diagramu, nie przeżył.

Odwiedziny dniem i nocą



Zuzanna obudziła się w pełnej gotowości. Zmysły wyostrzone do granic możliwości, mięśnie napięte, gotowe do natychmiastowej reakcji. Groziło jej niebezpieczeństwo. Ale skąd? Sięgnęła po leżący obok sztylet, wyskoczyła z łóżka, aby znaleźć się jak najdalej od okna, i pozostała w głębokim przysiadzie. W sypialni panowała taka ciemność, że praktycznie nic nie było widać, jednak miała na to sposób. Zakłęcie było proste, ale w swej prostocie genialne i wielokrotnie już pomogło jej w trudnych sytuacjach. Nie musiała widzieć równie dokładnie, co w dzień. Potrzebne były jedynie zarysy i główne detale. Skoncentrowała się na formule zaklęcia, a kiedy było gotowe, ożywiła je niewielkim ładunkiem mocy. Ciemność wokół niej zbladła. Dostrzegła stojącą na stole karafkę z wodą, kontur na wpół otwartego okna. Przed snem sama je otworzyła i zabezpieczyła. Nic się tu nie zmieniło. W środku nikogo nie było, chyba że potrafili się ukryć dużo lepiej, niż zakładała. Miała wrażenie, że poczucie zagrożenia nadchodzi z zewnątrz. Zaczęła powoli obchodzić łóżko. Ręka ze sztyletem z przodu, druga gotowa do zasłony. Miękki dywan pod stopami ustąpił zimnej podłodze.



Poppy
2014

Na zewnątrz dostrzegła nieznaczny ruch pobliskich drzew. Poczucie niebezpieczeństwa nasiliło się. Czemu? Czyżby ten ruch wydał jej się nienaturalny? Czy jednak przebudził ją tylko koszmar, jakie w ostatnich czasach nawiedzały ją dość często? Musiała to sprawdzić, musiała się upewnić. Obeszła łóżko, chciała podejść do okna, ale nie na wprost, zmierzała ku ścianie. Zapomniała, że na nocnym stoliku zostawiła wazonik z bukietem kwiatów, które sama ułożyła. Zawadziła o niego, jedną ręką chwyciła wazon, ale ostrzem sztyletu uderzyła o blat. Jakby na zawołanie, drzwi do sypialni otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł Valer. Umundurowany, z mieczem w jednej, lampą w drugiej ręce. Natychmiast odwróciła wzrok, aby dać zakłęciu czas na dostosowanie się do jasnego światła.

– Pod ścianę, nie pokazujcie się w oknie – rzucił Valer, przeskakując łóżko. Za nim do sypialni wbiegł kolejny mężczyzna. Kapitan odstawił lampę na stolik, skontrolował przestrzeń pod łóżkiem, wciąż w przykłęku dźgnął zasłony wiszące przy oknie. Nikt się za nimi nie skrywał. Zuzanna pomyślała, że gdyby ukryła tam kochanka, kiepsko by na tym wyszedł. Ta myśl ją rozbawiła. Nagle cała sytuacja wydała jej się absurdalnie śmieszna i niezręczna. Nie była przyzwyczajona do tego, aby ktokolwiek się o nią martwił. Całe swoje dorosłe życie zajmowała się tym sama.

– Pomieszczenie jest czyste, sprawdźcie pozostałe! W przedpokoju postawcie łącznika – wyrzucał z siebie rozkazy Valer.

– Tak jest! – zasalutował żołnierz, rzucił Zuzannie spojrzenie i wyszedł.

– Co się stało? – spytał już spokojniej Valer, choć wciąż lustrował okolicę.

Nagle poczuła się głupio.

– Obudził mnie zły sen. Wstałam i niechcący strąciłam wazon – powiedziała. – Przepraszam.

– Co was przebudziło? – nie dawał się przekonać Valer.

– Chyba coś w gałęziach drzewa przed domem – przyznała.

Valer wyjrzał za drzwi, do przedpokoju.

– Kyryzi, potencjalny napastnik w ogrodzie, na drzewie. Weź dwóch ludzi i sprawdź. I przyślij innego łącznika w zamian.

– Tak jest.

– To był tylko sen – powtórzyła.

Teraz Valer popatrzył wprost na nią i Zuzanna odniosła wrażenie, jakby ją dopiero zauważył. Uświadomiła sobie, że stoi przed nim w krótkiej nocnej koszuli, ze sztyletem w ręku. Ta koszula była ustępstwem na rzecz wygody. W przypadku gdyby musiała w nocy nagle się zerwać i uciekać lub walczyć, za żadną cenę nie chciała, aby ograniczały ją zbędne tkaniny. A przy tym ubiór na noc wybierały jej służące. Zamiast ciepłego i wygodnego lnu koszula była utkana z nieomal przezroczystego jedwabiu. Bardziej się nadawała do uwodzenia niż do spania. Aczkolwiek w tutejszym gorącym klimacie miało to swoje zalety.

Valer spojrzał na nią raz jeszcze i się zmieszał.

– Musi wam być, pani, zimno – wymamrotał niepewnie i zaczął się rozglądać.

Zuzanna stłumiła w sobie chęć, aby mu powiedzieć, że jest jej całkiem ciepło. Nie powinna stroić sobie z niego takich nieeleganckich żartów. Niemniej jego ciągły profesjonalizm, dystans, z którym ją traktował, sprawiały, że nie mogła się powstrzymać. Czy może chciała go uwieść? Nie, do tego wzięłaby się zupełnie inaczej, uznała. Nie chciała go uwodzić. Jego ulga była wręcz namacalna, kiedy wreszcie znalazł przewieszony przez parawan szlafrok. Jeszcze raz skontrolował przedpokój, zanim schował miecz do pochwy, po czym pomógł jej się oblec.

– Dopóki nie przetrząśniemy każdego kąta, alarm trwa. Musimy poczekać na rezultaty.

Zuzanna wiedziała z góry, jakie będą wyniki, ale wiedziała też, że i tak już nie usnie.

– Chodźmy do kuchni, napijemy się herbaty.

Valer rozważał to chwilę.

– Lepiej do jadalni. Jest na piętrze, w przypadku ataku będziemy mieli więcej czasu na reakcję.

Nie oponowała. To była jego praca, nie było sensu mu w tym przeszkadzać. Założyła lekkie pantofle i owinięta szlafrokiem przeszła do jadalni, gdzie po chwili pojawiły się wystraszone służące.

Jadalnia była mała, ale nie wydawała się ciasna. Optycznie powiększały ją wielkie zwierciadła zawieszane na ścianach. Zwielokrotniały one światła lamp, czyniąc pokój przyjemnie jasnym.

Valer dotrzymał jej towarzystwa. Z każdym kolejnym negatywnym raportem czuła się coraz bardziej winna. Monika przyniosła tacę z herbatą i słodkościami. Zuzanna odprawiła ją gestem i wysłała z powrotem do łóżka. Powoli ruch w pałacu i ogrodzie cichł.

– No to napijcie się ze mną, kapitanie, skoro już was wszystkich pobudziłam – westchnęła i bez pytania napełniła mu filiżankę.

– Musimy być ostrożni – odpowiedział. – Nie możemy zignorować nawet najdrobniejszego ostrzeżenia. – Uśmiechnął się.

Uśmiech zmieniał go w zupełnie innego człowieka, zauważyła Zuzanna. Ale też i uwidaczniał, jak bardzo był wycieńczony.

– Powiedziałabym, że największą część pracy macie już za sobą. Wprowadziliśmy się – zauważyła i napiła się herbaty.

Na zewnątrz jeszcze nie dniało, ale wiedziała, że już nie wróci do łóżka. Co najwyżej leżałaby tylko i rozmyślała nad dalszymi planami.

– Owszem, bazę mamy ustanowioną – zgodził się. – Czyli wasz dom, pałac, siedzibę baronówny Münchauzen – użył jej przybranej tożsamości, znów się uśmiechając.

W korytarzu zabrzmiały kroki i w drzwiach pojawił się Kyryzi, który dostał za zadanie przeczesać posiadłość.

– Panie – zasalutował – ogród jest czysty, ale na jednym drzewie ktoś był. Znaleźliśmy kotwiczkę, która się zakleszczyła i nie zdołał jej wyswobodzić.

Zuzanna zachmurzyła się.

– Mogli to być złodzieje – podsunął Kyryzi.

– Mogli – zgodził się Valer. – Ale na przyszłość macie ich złapać. I to my powinniśmy o nich wiedzieć pierwsi, nie baronówna. – Skłonił się Zuzannie.

Przygryzła wargę. Chwila swobody, zwykłej ludzkiej bliskości przeminęła. Zuzanna znów była dla Valera agentem z zadaniem do wykonania.

– Standardowe stráže, zmieńcie ludzi na świeżych – zaordynował. Znów zostali sami. Kapitan wyglądał na zamyślonego.

– Wydaje mi się, że popełniamy błąd – oznajmił.

Czekała, aż rozwinie myśl. Herbata stygła powoli, co jej odpowiadało.

– Koncentrując się na jednym zadaniu, możemy zwrócić na siebie uwagę, albo nawet już zwróciliśmy. A to będzie nam przeszkadzało w wypełnieniu pozostałych.

– A które konkretnie zadania macie na myśli? – Złościło ją, że Valer wciąż myśli wyłącznie o pracy. Nasłuchiwała się już dość podobnych uwag.

– Moim głównym zadaniem jest zapewnienie wam bezpieczeństwa, kolejnym jest pomóc wam w uwiarygodnieniu się jako baronówna Münchauzen i na koniec pomóc wam również w poszukiwaniu – Valer przez chwilę szukał właściwego terminu – artefaktu. – Zdecydował się uniknąć użycia nazwy Kamienia Zimna.

– Te zadania mogą stać ze sobą w sprzeczności, może się okazać, że wypełnienie ich równocześnie będzie zwyczajnie niemożliwe – powiedziała, chcąc zobaczyć, jak zareaguje kapitan.

– To niewykluczone – potaknął.

A zatem dopuszczał możliwość, że rozkazy Koniasza mogły odbiegać od ideału. To ją zaskoczyło. Wiedziała, że za księcia oddałby życie.

– A jakie według was jest moje główne zadanie? – zapytała i natychmiast zrobiło jej się nieswojo, że go tak podpuszcza.

– Ustanowić połączenie handlowe w taki sposób, aby nie dało się ustalić, że chodzi o handel z księstwem. Musimy handlować, potrzebujemy surowców, potrzebujemy ziarna – odpowiedział wprost. – Nadchodzi wojna, a ta handlowa już nad nami wisi.

Machnęła ręką, znużona tym wszystkim. Wojna. Ona tylko chciała pomagać ludziom. W szczególności dzieciom ze zdolnościami magicznymi, które w ciągu ostatnich lat stały się niemalże zwierzyną

łowną i które na siłę włączane były do klanów, aby służyć temu czy innemu panu. Książę znowu aż tak bardzo się od nich nie różnił, ale za pracę dla niego oferował najwięcej z nich wszystkich – szacunek, bezpieczeństwo, dom. To dlatego wybrała jego.

Odgoniła nieprzyjemne myśli. Na zewnątrz wstawał świt.

– Lepiej pójdę zrobić coś pożytecznego. Muszę się przygotować na spotkanie z wicehrabią Guicim. Posłał mi list, w którym przedstawia się jako przyjaciel starego barona Münchauzena, i jako przyjaciel rodziny chce mnie wprowadzić do towarzystwa. Zakładam jednak, że nie będzie zwlekać z tym, aby przystąpić do rozmów o handlu.

– Myślicie, że wie, że nie jesteście wnuczką barona? – zainteresował się Valer.

– Nie jestem pewna. Nie miał kontaktu ze starym baronem więcej niż dwadzieścia lat, o ile czegoś nie przeoczyliśmy. Córka młodszego barona miała wtedy osiem lat, mówimy o różnicy pomiędzy dzieckiem a dorosłą kobietą... – Wzruszyła ramionami. – A nawet jeśli coś mu się nie będzie zgadzało, potrzebuje pieniędzy. Wszystkie umowy będę podpisywać jako baronówna, dziedziczka rodu. Jak tylko zawrzemy umowę, w jego interesie będzie, aby wszystko poszło gładko.

– Mogę wam w tym jakoś pomóc?

Jego propozycja zaskoczyła ją.

– Bedę jutro dyskutować kwestie finansowe. Nie możemy sobie pozwolić, aby wicehrabia za bardzo nas oskubał, to by wywołało podejrzenia.

– Kupiectwo, księgowość – wstrząsnął się Valer – to moja zmora. Poproszę Cuvinana, żeby wam pomógł.

– W ramach jego wojskowych powinności? – zdziwiła się.

– Nie. W czasie wolnym.

– Takiego rozkazu wypełnić nie musi.

Valer zamyślił się na chwilę.

– To będzie raczej prośba. Wam przecież każdy mężczyzna pomoże z chęcią.

– Dziękuję za ofertę. Ranek się budzi, lepiej pójdę się ubrać w coś stosowniejszego.

Valer uniósł się z krzesła.

– Nie musicie mnie, kapitanie, odprowadzać, samiście skontrolowali piętro. Nic mi nie grozi – powstrzymała go i na pożegnanie wykonała małe dygnięcie, którego nauczyła się dopiero niedawno w ramach przyswajania swej roli.

Każdy mężczyzna chętnie mi pomoże? – zapytała się w myślach. Nie była przekonana.

Uświadomiła sobie, że przez cały czas rozmowy patrzył jej prosto w oczy, nie pozwalając ani na moment, aby jego wzrok ześlizgnął się w dół, ku rozchylającym się połom szlafroka. Teraz, w odbiciu w zwierciadle, widziała, jak jej się przygląda. Kapitan Valer nie był zatem ani homoseksualny, ani asekualny, jak zaczynała podejrzewać. Było ewidentne, że kobiety go pociągały. Zebrała szlafrok i otuliła się nim mocniej, aby uwidoczniły się jej krągłości. Wciąż go obserwowała i było jasne, że bardzo mu się podoba. To jej trochę poprawiło humor.

Podeszła do drzwi i obróciła się ku niemu.

– Miłego dnia.

– Miłego dnia, madame.

Żeby tylko nie był cały czas takim formalistą.

Niebezpieczne zakłady



Stałem w kancelarii Suchelca i czekałem. O niczym nie myślałem, po prostu pozwalałem, aby czas sobie płynął. Suchelec nie był w równie dogodnej pozycji i obserwował mnie spode łba. Już nie byłem dla niego wybrykiem, stałem się wręcz problemem, którego należy się pozbyć. Dawałem mu na to czas, mnie czekanie nie wyprowadza z równowagi. Nawet gdy stoję przed kimś łypiącym na mnie z krzesła. Rozglądałem się po pomieszczeniu. Mimo iż służyło człowiekowi, który zawiadywał tym całym interesem i któremu przez ręce przepływały solidne sumy pieniędzy, nie robiło wrażenia wystrojem. Drewniane ściany z kiepsko oheblowanych desek, skrzypiąca podłoga, poobijane biurko i jedno gościnne krzesło, którego mi nie zaproponował. I tak bym na nim nie usiadł. Stojąc, człowiek jest bardziej gotowy na niespodzianki, a poza tym pewnie bym je połamał.

– Tak więc chcesz wystąpić dokładnie, jak żeśmy się umówili? – powtórzył.

Najwyraźniej miał nadzieję, że się rozmyśliłem, że obleciał mnie strach i dałem drapaką z tymi kilkoma drobniakami, które mi odpalili po poprzedniej walce.

Teraz ja zacząłem się mu przyglądać. Czas płynął, widziałem, jak z każdą sekundą traci po trochu spokój i opanowanie. Jako że byłem już zarejestrowany, przy wejściu nikt mnie nie przeszukiwał, a on to sobie właśnie uświadomił. Nawet w Grafzaty nie chadzałem nieuzbrojony, zawsze miałem przy sobie przynajmniej nóż. Tutaj miał go przy sobie praktycznie każdy, zazwyczaj składany, różnej wielkości i rodzaju. Nazywali je navajo i stanowiły wręcz pewną modę. Jednak od kiedy na ulicach zaczęto znajdować coraz więcej ciał, a mniejsze potyczki zdarzały się również i w dzień, rozsądnie

było mieć przy sobie trochę więcej żelaza. Miałem zdobyczny kordelas, który mi się naprawdę spodobał, i krótki bojowy toporek. Oczywiście z powodów estetycznych schowane pod płaszczem.

– Wisicie mi sporo pieniędzy – przypomniałem Suchelcowi.

– Oczywiście – zgodził się szybko.

– A ja wciąż czekam na wieści o kolejnej walce.

– Z pewnością rozumiecie, że przygotowanie takiego pojedynku zajmuje trochę czasu.

– Zależy, jak się promotor stara – zauważyłem.

Spojrzał na mnie zupełnie inaczej. Znów zmienił o mnie zdanie. Czuję, jak jego myśli zaczynają biec innym torem, jak decyduje, że będzie mnie musiał zabić. Wokół nas w boksach, w szatniach, w salach treningowych znalazłoby się wystarczająco dużo ludzi, aby mnie zgnieść samą wagą, a potem posiekać na drobniutkie kawałeczki, ale dla niego byłoby już za późno. Wizja nie wydawała się taka całkiem najgorsza. Mało brakowało, a sięgnąłbym po kordelas, ale przybyłem tu w konkretnym celu, nawet jeśli czasem o tym zapomniałem.

Suchelec skulił się, może wyczuł, co mi się tam kotłuje pod przykrywką. Ludzie czasem mają takie zdolności. Strzelił palcami, jakby się szykował do gry na jakimś wyrafinowanym instrumencie. To był bystry facet, z takimi jak ja radził sobie całe życie. Typki, które zarabiają na życie zapasami na arenie, nie są całkiem normalne. Sam zaczynałem mieć poczucie, że nie jestem normalny ani trochę. Właściwie to miałem pewność. Z takimi jak ja nie miał nigdy do czynienia, doprowadziłem myśl do końca. Do logicznego końca, jak by to określił książę. Rozmowy z nim miały coś w sobie.

– Mówiłeś, że na siebie postawisz – przypomniał Suchelec ostrożnie.

– No, to prawda – potwierdziłem i pokusa, aby sięgnąć po broń, znikła.

– Tylko że nie złożyłeś mi jeszcze żadnej oferty. Szukam kogoś dobrego, chcesz na siebie postawić mnóstwo pieniędzy. – Wzruszył ramionami. – A do tego muszę znaleźć kogoś, kto się będzie chciał z tobą bić. Nie masz nazwiska, a lepsi zawodnicy są wybredni.

Mogłem w to nawet uwierzyć. Gdybym zechciał.

– A jaką ofertę wy mi możecie złożyć? Za to, że stanę do walki? – spytałem, jakby mnie to rzeczywiście interesowało.

Widziałem, że Suchelec znów nie może mnie rozpracować. Może jednak byłem głupszy, niż mu się przed chwilą wydałem. W końcu ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

– Nie masz renomy, ale twoja walka wzbudziła zainteresowanie. A zwłaszcza wyzwanie, które rzuciłeś. Więcej niż sześćdziesiąt złotych ci nie proponuję.

W porównaniu z tym, co sam chciałem postawić, to była śmieszna suma, ale jako standardowa stawka się zgadzała. Podchodził do tego profesjonalnie.

Czułem, jak drewniana konstrukcja budynku się nagrzewa. W wąskich promieniach słońca przenikających szczelinami do wnętrza coraz zwawiej tańcowały drobiny kurzu, wznoszące się prądy powietrza przybierały na sile. Suchelcowi na skroniach pojawiły się kropelki potu. Może z ciepła. A może z nerwów. Ja w swoim kożuchu czułem się znakomicie. Po dłuższej przerwie uświadomiłem sobie, że znów czuję głód i pragnienie. Nie powinienem o tych rzeczach zapominać.

– Sto – powiedziałem.

– Osiemdziesiąt – podniósł swoją ofertę.

– Dziewięćdziesiąt.

– Osiemdziesiąt pięć.

– Stoi – zgodziłem się. – No to teraz zakład. Jaki mi dacie kurs?

– Nie chcesz najpierw wiedzieć, z kim będziesz walczyć?

Teraz znów byłem dla niego zwykłym wioskowym głupkiem. Wzruszyłem ramionami. Przestałem śledzić świat zapaśników w momencie, kiedy przestałem wychodzić na arenę. Po gospodach ludzie rzucali jakimiś imionami, w każdej okolicy innymi, czasem kilka powtarzało się w całym imperium. Nic mi one nie mówiły.

– Wisi mi to. Interesuje mnie kurs.

– Trzy do jednego – spróbował na początek.

– Ale jak oficjalny kurs będzie dwa razy gorszy niż to, co mi proponujecie, uznam, że próbujecie mnie oszukać, i potraktuję was

odpowiednio – odparłem spokojnie, ale nie bez wyczuwalnej groźby.

W zasadzie było mi wszystko jedno, ale chciałem w ten sposób wybadać, jak dobrego przeciwnika będzie chciał przeciw mnie wystawić.

– Niech będzie siedem do jednego – ustąpił bez stawiania oporu.

Zgadywałem, że oficjalnie to będzie jedenaście, dwanaście do jednego. Takie stawki stanowiły magiczną przynętę. Możliwość zarobienia za srebrniaka więcej niż złotego niektórych po prostu zaślepia. Było teraz jasne, że Suchelec będzie chciał ściągnąć kogoś lepszego. Ekstraklasę.

– Ale musisz poczekać dwa, trzy tygodnie. Muszę znaleźć odpowiedniego zawodnika, muszę rozpuścić słowo na mieście, zorganizować wszystko, a na to potrzeba czasu. To musi być wydarzenie, a nie jakieś tam mordobicie. To jest, rozumiesz, interes...

Pewnie, że rozumiałem, i w pełni się z nim zgadzałem. Wokół walki trzeba było najpierw podgrzać atmosferę.

– A co do zakładu – powiedziałem – wisicie mi dwa tysiące złotych. Stawiam je na siebie, siedem do jednego. Wypiszcie mi czek na czternaście tysięcy na Pierwszy Imperialny Bank. Macie tam chyba konto, nie?

Gapił się na mnie zszokowany i wyglądał, jakby nic nie zrozumiał.

– Czek na okaziciela, do wypłaty po moim zwycięstwie w walce przez was organizowanej. W wysokości czternastu tysięcy złotych. Zabezpieczony na dwa tysiące płatne w cztery tygodnie od dzisiejszej daty, w wypadku gdyby do walki nie doszło – wyjaśniłem mu. – Mówiliście, że potrzebujecie trzy tygodnie, daję wam jeden ekstra.

Wyjąłem kwit na zakład, który zawarłem z nim wcześniej, a którego wciąż jeszcze nie wypłaciłem.

– To wam mogę zostawić.

– Chwila, chwila, to nie tak działa – zaprotestował.

– Kiedy przecież to tak właśnie działa – odparłem z uśmiechem.

Bywało, że w sidła hazardu wpadali szlachcice czy bogaci kupcy. Ci nie chcieli być w żaden sposób powiązani ze światkiem

bukmacherów, naprawdę duże zakłady robiono za pośrednictwem banków.

– Ty nie jesteś taki tępy, na jakiego wyglądasz, co? – zauważył słabym głosem.

– Nauczyliśmy się tego i owego, my, wioskowe tępaki, kiedy tacy jak wy próbowali nas orznać – trzymałem się roli, czy w nią wierzył czy nie.

– Dobra – otrząsnął się wreszcie – ale na zorganizowanie tej walki naprawdę potrzebuję te trzy tygodnie. Stawką jest czternaście tysięcy, to o wiele więcej niż dwa. To jest niewyobrażalna wręcz kupa pieniędzy.

– Brzmi w porządku – zgodziłem się, co go wyraźnie uspokoiło.

W porządku nie było tu nic. Był przekonany, że na arenie jego człowiek zdoła mnie wykończyć, ale mnie było wszystko jedno. Jeżeli nie wypełnię swojego zadania, to go nie wypełnię. Będę martwy. Ale w tę czy w drugą stronę, przynajmniej miałem się na co cieszyć.



Wypiłem trzy piwa, które mi naprawdę smakowały, i zjadłem cztery porcje wołowiny z fasolą. Już się miałem podnieść od stołu, kiedy w karczmie pojawił się jeden z ludzi Valera. Przesiadywałem tutaj właśnie po to, aby było mnie łatwiej znaleźć, gdyby czegoś ode mnie potrzebowali. Dzięki temu, że nikt z normalnych gości się do mojego stołu nie dosiadł, miał sprawę ułatwioną. Siadł, przed sobą postawił miskę zupy z kluskami i mięsem, zaczął niespiesznie jeść. Pomyślałem, że też w takim razie powinienem coś jeszcze zamówić. Mimo iż od pół godziny nie robiłem nic innego, jak tylko się obżerałem, miejsce wciąż jeszcze miałem. Pomiedzy siorbnięciami zupy człowiek Valera położył na stole tubus na dokumenty. Na mnie ani nie spojrzał, tylko spokojnie jadł dalej. Z widzenia znałem wszystkich, ale imion nie pamiętałem żadnych. Rozpoznawałem ich głównie po uzbrojeniu i umiejętnościach. Ten był barczysty, szczupły, u pasa miał miecz i sztylet. Inni mieli dłuższe miecze albo

z kolei po dwa krótkie. Nie byli to żołnierze w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

Skończył jeść, wstał, tubus zostawiając na stole. Przysunąłem go bliżej do siebie i przez chwilę kontrolowałem, czy nikt mnie nie obserwuje. W środku był plan miasta. Peryferie, obrzeża podchodzące pod ciasną miejską zabudowę całe były podzielone na wielkie, nieforemne obszary, na które ktoś ponanosił imiona, notatki, czasem wyłącznie symbole. Oznaczenia symboli wypisano na drugiej stronie. Ludzie Valera w porozumieniu z agentami rezydentami zdołali przeświecić miejscowy półświatek o wiele lepiej, niż ja miałem szansę to zrobić. Studiowałem plan przez kilka dobrych minut. Pluska na nim nie było, musiał stosunkowo niedawno pojawić się z zewnątrz. Niektóre z terytoriów gangów sięgały niemalże aż do luksusowego śródmieścia. Jeden z domów w centrum oznaczony był przekreślonym kółkiem. Obróciłem mapę i spojrzałem na opis. Dom publiczny. Nie rozumiałem, co w tym interesującego, w Grafzaty stały one praktycznie na każdym rogu. Tego typu działalność była tutaj na porządku dziennym, istniały wręcz i takie, które specjalizowały się w mężczyznach dla mężczyzn. Nie zapisano natomiast informacji, do kogo ten przybytek należał, komu płacił haracz. A płaciły przecież wszystkie. Zastanawiające. Chwilowo nie było nad czym główkować, ale jak mi się będzie nudzić, może warto rzucić okiem.

Teraz jednak musiałem się wyspać. Nie tylko dlatego, że nadeszła na to pora, ale autentycznie czułem się zmęczony. Wizja mojego wynajętego pokoju nie zadowalała mnie jednak. W ostatnim okresie naplułem do zupy całej masie ludzi, na pewno byli tacy, którzy chętnie by mi złożyli wizytę. Zamierzałem znaleźć coś mniej na widoku, bardziej na uboczu.

Na rozstajach



Gruman wziął miskę z kawałkami smażonej, panierowanej ośmiornicy z pikantną zieleniną, położył na tacce pieniądze za jedzenie oraz kaucję za naczynie i podziękował skinieniem głowy. Spod plecionego zadaszania wyszedł na słońce i usiadł, jak inni, na pozostałościach starego muru. Był to niegdyś mur obronny, jednak nie przeciwko ludziom, ale nawałnicom i przyptywom. Teraz jego funkcję przejęły falochrony z głazów spojonych tężącym pod wodą betonem zmieszany z tufem. Jego skład był pilnie strzeżoną tajemnicą i każdy, kto chciał go użyć, musiał najmować specjalistów z Grafzaty.

Gruman zjadł pierwszy kęs i bez pośpiechu obserwował brzeg półwyspu. Wyglądało na to, że silniejszy sztorm zdołał przegonić bałwany przez falochrony, szczątki muru, na którym siedział, i popędzić je aż do drugiego, który był aktualnie naprawiany i przynajmniej raz w przeszłości został podwyższony. Tworzył granicę wyznaczającą miasto. Gruman nie spieszył się, smakował jedzenie. Późny obiad, a może wczesna kolacja, w zależności od tego, jak się sprawy potoczą. Nie był przyzwyczajony do potraw z morskich stworzeń, ale ten miejscowy specjał zdecydowanie mu zasmakował. Może dlatego, że kram stał nad samym morzem i wszystko tu było naprawdę świeże. Porzucił rozmyślenia nad jedzeniem i wrócił do obserwacji morskiego brzegu. Raziło go, jak wąska jest grobla łącząca miasto ze stałym lądem. Miejscami była niewiele szersza niż biegnąca nią droga, zupełnie jakby właśnie w tym celu powstała. A może ją zbudowano? Wysoki przytyw sprawiał, że w oddali powierzchnia grobli wydawała się zlewać z powierzchnią wody. Od czasu do czasu co wyższe fale przelewały

się przez drogę i znikwały po jej drugiej stronie z powrotem w morzu. Zwierzęta ciągnące wozy spokojnie to ignorowały. Gruman zastanawiał się, czy to, co obserwuje, toczy się zwykłym, czy niezwykłym torem. Droga łącząca bogate, wiecznie w ruchu miasto ze stałym lądem była wąska i wydawała się niepewna. Może dlatego duża część transportu odbywała się również za pomocą łodzi. Na wodach małej, naturalnie osłoniętej od wiatru zatoczki kołysało się ich całe mnóstwo. Były tam mniejsze, przeznaczone bardziej do żeglugi śródlądowej, jak i te większe, pełnomorskie. To właśnie nieustający obrót towarami płynącymi do i z Grafzaty uczynił z niej miasto tak dobrze prosperujące, tak żywe i tak chaotyczne.

Z żalem spojrział na pustą miskę, odniósł ją i odebrał swoją kaucję. W tym czasie miejsce, gdzie wcześniej siedział, zajęła szczupła kobieta w towarzystwie dziesięcioletniego chłopca. Podobnie jak on, spoczęli, by coś zjeść. Dzieciak nie był zainteresowany jedzeniem, zeskoczył z muru na drugą stronę i skacząc z kamienia na kamień, zbiegł na dół, do wody. Kobieta przerwała na moment rozpakowywanie ich skromnego posiłku i obserwowała go z uwagą, ale nie powstrzymywała. Chłopiec poczekał na cofnięcie się fali, chwycił coś spomiędzy kamieni i zaczął to ciągnąć triumfalnie na brzeg.

– Mam ośmiornicę! Wielka i jeszcze żywa, będzie dobra!

Gruman sam już zdążył ocenić jego połów. Ośmiornica była dużo większa niż te zazwyczaj sprzedawane na targu, dodatkowo należała do gatunku uznawanego za najsmaczniejszy.

– Znakomicie, urządzimy sobie ucztę, będziesz mógł zaprosić kolegów. Tylko uważaj na fale, dobrze? – ostrzegła go kobieta.

– Ja zawsze uważam, jak tata!

Gruman spostrzegł, jak kobieta wzdycha ze smutkiem. Pomyślał, że ojciec chłopaka pewnie ten jeden raz nie był dostatecznie uważny.

– To jest moja ośmiornica, pierwszy ją zauważyłem. – Z załomu muru wynurzył się mężczyzna.

Też musiał się tu posilać, w rękę trzymał pustą już miskę.

– Zdobycz należy do tego, kto ją schwytał. – Chłopak nie zrozumiał, co się dzieje.

Gruman znał podobne typki. W swojej okolicy zawsze siedzieli w knajpach najbliżej baru dzięki renomie, jaką sobie wyrobili. Przemocą. On sam był w tym fachu profesjonalistą, tylko działał w innym wymiarze. Nie zadawał bólu, nie zastraszał. On od razu zabijał.

Mężczyzna podszedł do matki chłopca, był od niej na wyciągnięcie ręki.

– Haak, oddaj ośmiornicę – zażądała kobieta chłodnym, pozbawionym emocji głosem.

– Ale to ja ją złowiłem – wciąż protestował chłopak.

– Proszę cię.

Może nieczęsto go o cokolwiek prosiła, a może wreszcie zrozumiał, że sytuacja jest poważna.

– Dobrze, mamó.

– Ale kiedy zdobycz naprawdę należy do tego, kto ją złowi – powiedział Gruman, wstając.

W pierwszej chwili sam nie rozumiał, dlaczego to zrobił. Nie był tu po to, aby pomagać słabszym, miał swoje zadania.

– Coś powiedział? – Mężczyzna potrząsał głową w udawanym niedowierzaniu. – Chyba coś źle dosłyszałem.

Gruman ruszył w jego kierunku, w ręku wciąż trzymał pałeczki, których nie wiadomo czemu nie wyrzucił jeszcze do kosza. Nie zastanawiał się, co teraz robi, próbował raczej zrozumieć, co go podkusiło, by zareagował. Mężczyzna odsunął się od ściany, aby dać sobie więcej miejsca w nadchodzącej bijatyce. Gruman podszedł do niego z uśmiechem.

– No i czego się cieszysz, idioto? Masz pomerdane we łbie? Przygłupich normalnie nie biję, ale dla ciebie zrobię wyjątek – wściekał się tamten.

Czuć go było starym potem i rybami.

Gruman uśmiechał się do dawnego wspomnienia. Wspomnienia z czasów, kiedy on sam był jeszcze chłopcem. Stał wtedy nad królikiem, którego dostał strzałem z procy i którego dorosły myśliwy mu odebrał. Tak po prostu.

– Wcześniej głuchy nie byłeś!

Rybak zwinął dłoń w pięść. Gruman spojrział na nią. To była doprawdy okazała pięść. Tamten wziął zamach, Gruman ustąpił o stopę w bok i błyskawicznie wbił mu obie pałeczki w ucho, po czym jednym pchnięciem posłał go w dół, na kamienie schodzące ku morzu. Wszystko rozegrało się tak szybko, że potyczka nie wzbudziła nawet niczyjej ciekawości.

– To było dobre! – ocenił Haak, wytrzeszczając oczy.

– Nie, chłopcze, to wcale nie było dobre – zaprzeczył Gruman, obserwując, jak rybak, stękając i klnąc, próbuje stanąć na nogi. Wyciągnął z ucha złamane pałeczki, potrząsał głową i z wystraszoną wyrazem twarzy spoglądał na ich okrwawione końce. – Za każdym razem, kiedy zrobisz sobie z kogoś wroga, który może cię potem skrzywdzić, nie ma w tym nic dobrego, rozumiesz?

Gruman nie czekał na odpowiedź, ruszył w dół, ku rannemu rybakowi. Ten na jego widok skulił się. Gruman stanął tak, aby tamten mógł go usłyszeć zdrowym uchem, i rzekł mu parę ostrych zdań. Potem spokojnie wrócił na górę.

Rybak obrócił się na pięcie i potykając się, poszedł brzegiem. Widać było, że chce jak najszybciej znaleźć się jak najdalej.

– Coście mu, panie, powiedzieli, co go tak wystraszyło? – chciał wiedzieć Haak.

– Proszę, nie mówcie mu – poprosiła kobieta, przyciągając do siebie chłopca i szepcząc mu coś uspokajająco do ucha.

– Oczywiście, pani. Zresztą nie było to nic interesującego.

– Weź tę swoją ośmiornicę i chodźmy do domu. Będzie z niej co pojeść. – Zaczęła się przygotowywać do odejścia. Częściowo rozpakowany obiad zawinęła z powrotem i schowała do plecionego koszyka.

– A mogę zaprosić chłopaków?

– Oczywiście, jak mówiłam. Inaczej sami będziemy ją jeść przez tydzień.

Gruman obrócił się, gotów odejść.

– Panie?

Patrzyła na niego niepewnie.

– Pomogliście nam, chciałabym się jakoś odwdziżyć. Choćby częścią tej ośmiornicy, kolacją...

Dopiero teraz Gruman mógł się przyjrzeć jej twarzy. Ciemne oczy, mocno zarysowane policzki i nos. Do tego owalna broda kontrastująca z ostrymi rysami. Z pewnością nie pasowała do powszechnej definicji piękna, ale była interesująca.

– Z chęcią. Nazywam się Gruman.

– Corinne. A to mój syn, Haak. – Wskazała na chłopaka.

– Miło mi. – Skinął głową i podniósł z piachu miskę, którą upuścił rybak. Podał ją Haakowi. – Dostaniesz za nią dwa miedziaki.

Haak wrócił tak szybko, że nawet nie musieli na niego czekać. Po drodze Corinne zatrzymała się u kilku późnych sprzedawców, którzy nie zwinęli jeszcze swoich kramów. Kupiła ze zniżką jarzyny, kilka kawałków podeschniętego chleba. Do tego przyprawy, na których, jak się wydawało, już nie oszczędzała.

– Bez nich ośmiornica jest niesmaczna – wyjaśniła Grumanowi, kiedy zorientowała się, że się jej przygląda.

On sam do zakupów dodał dwie ceramiczne butelki wina. Nie pił go zbyt często i kompletnie się na nim nie znał, ale zapamiętał, że wino oznaczone symbolem winogron i literą A kiedyś przy jakiejś okazji bardzo mu zasmakowało. Kiedy je kupował, z kolei Corinne przyglądała się jemu.

Przyprowadziła go pod zaskakująco duży dom na granicy miasta i przedmieść. Gruman zorientował się, że tutejszą biedotę stanowili drobni rybacy. Gorzej usytuowani byli jeszcze ci, którzy się najmowali do zajęć w przystani, no i oczywiście żebracy.

Dom był znacznie większy, niż jedna rodzina bez służby mogłaby potrzebować.

– Początkowo miał nam służyć i do oprawiania ryb, ale po śmierci męża musiałam wynająć część pomieszczeń, abym go mogła utrzymać – wyjaśniła.

Za drzwiami znajdowała się przestronna sień, w której składowano najrozmaitsze różności, z zejściem do piwnicy, za nią główne mieszkalne pomieszczenie domu – kuchnia z jadalnią. Wnioskując z urządzenia, nikt tu nie spał, kolejne pokoje musiały się

więc znajdować na piętrze. Jak w większości podobnie dużych domów, pośrodku znajdowała się otwarta przestrzeń – atrium. W oknach po drugiej stronie Gruman dostrzegł ruch. Pewnie najemcy. Oceniał, że miejsca było tu dość na jeszcze dwie rodziny. Ktokolwiek wybudował ten dom, musiał mieć ambitne plany. Patrząc na to, jak zaniedbane były ściany wokół atrium, niewiele z tych ambicji się ziściło.

– Czasem sobie mówię, że moglibyśmy się przeprowadzić do czegoś mniejszego, ale jakoś się jeszcze za to nie wzięłam – powiedziała Corinne, jakby przysłuchiwała się jego myślom.

Odrzuciła okrycie. Pod nim miała na sobie męską koszulę, którą częściowo przerobiła, aby na niej lepiej leżała. Tkanina była miękka, wielokrotnie prana, w wyraźny sposób oddawała kształty ciała. Gruman złapał się na tym, że kontrast męskiego odzienia i ukrytych pod nim piersi znajdował aż nazbyt pociągającym. Zwrócił wzrok na wystrój wnętrza, nie chciał się wpatrywać w Corinne zbyt nachalnie.

– Przynieś drewna – nakazała Haakowi, który jak strzała wypadł na zewnątrz. – Pójdę się przebrać z roboczego odzienia – oznajmiła i wspięła się schodami na piętro. Gruman zastanawiał się przez chwilę, czemu właściwie przyjął zaproszenie na kolację, ale po chwili odpuścił. Nie wiodło to do niczego.

Haak przyniósł drewna, Gruman napalił w piecu i zaczął grzać wodę, wysłuchując przy tym przepisu na najlepszą ośmiornicę na świecie. Według chłopaka najlepsza była taka, którą już martwą morze solidnie otłukło o kamienie, inaczej mięso nie smakowało tak dobrze i było twarde.

Corinne wróciła po jakimś czasie. Ze skórzanych butów i koszuli przebrała się w prostą sukienkę i drewniaki. Pozbyła się też chusty, ukazując ciemne włosy zaplecione w warkocz. Zabrała się do gotowania i Gruman obserwował jej oszczędne, wprawne ruchy, napawając się zapachami. Do zwykłych glinianych kubków nalał jej i sobie wina. Było równie dobre, jeśli nie jeszcze lepsze niż to, które pamiętał. Haak przyniósł zestaw noży i zaczął rzeźbić coś, co prawdopodobnie miało być łyżką. Gruman przyjrzał się nożom. Do zestawu należała też ostrzałka. Bez słowa naostrzył je wszystkie

i zwrócił chłopcu. Nie próbował nawiązywać rozmowy, Corinne także nic nie mówiła. Grumanowi to odpowiadało, czuł się bardzo przyjemnie.

– Gotowe, będę podawać – oznajmiła Corinne.

Siedli do stołu. W czasie kiedy napełniała im proste, drewniane talerze jedzeniem, dolał wina. Nawet nie zauważył, kiedy opróżnił swój kubek, ona podobnie. Było mocne, czuł, jak mu uderza do głowy.

W trakcie wieczoru Haak opowiadał Grumanowi, jakie ryby najlepiej łowić w okolicy, w jakiej porze dnia najlepiej wyruszyć w morze i na co zwracać uwagę. Wyglądało na to, że zdążył się od swego ojca sporo nauczyć. Po posiłku wypił jeszcze kubek mleka, pocałował matkę na dobranoc i posłusznie poszedł spać.

– Życzę jutro dobrego połowu – rzucił na pożegnanie Grumanowi, który spojrzał pytająco na Corinne.

– Myśli, że jesteście rybakami. Dla niego wszyscy porządni mężczyźni są rybakami, jak był jego ojciec.

– Rozumiem. Jak długo nie żyje?

– Dwa lata. Sztorm.

Gruman skinął głową w milczeniu i znów polał wina. Dostrzegł, że twarz Corinne przyozdobiły rumieńce.

– Dodajecie mi odwagi? – Wskazała ręką wino.

– Może sobie?

– Mężczyźni przecież do tych spraw nie potrzebują odwagi.

– Może i nie – zgodził się i przyciągnął ją sobie na kolana.

W pierwszej chwili oparła się, ale za moment pocałowała go i sama do niego przylgnęła.

– Zostańmy tutaj, nie chcę obudzić Haaka.

Zgasła jedną lampę, drugą przykręciła. Dodatkowym źródłem światła był jeszcze żar z pieca widoczny przez niedomknięte drzwiczki.

– Przygotuję nam łoże – wyszeptała.

Puścił ją niechętnie. Razem przystawili ławkę do skrzyni. Obie okazały się być tej samej wysokości, jakby były dla siebie stworzone. Corinne wyciągnęła ze skrzyni dwa grube koce i rozścieliła je.

Obserwował ją przy tym, ale swoje podniecenie rejestrował jakoś tak z dystansu, jakby z zewnątrz.

Kiedy już po raz drugi wygladzała prowizoryczne łóżko, powstrzymał ją, chwycił za ręce i ostrożnie pocałował. Za kolejnym razem oddała mu pocałunek. Wyswobodził ją z sukienki, zanim się obejrzała. Kilku następnych chwil zwyczajnie nie zarejestrował, pamiętał tylko smak i woń jej skóry, jak ostre były jej zęby i jak gorące usta. Potem nagle znalazła się pod nim, przyłgął do niej tak, aby dotykać jej jak największą powierzchnią swego ciała. Czuł, jak wpija mu paznokcie w ramiona. Oddała mu się cała, bez oporu, równocześnie napięta i uwolniona. Coś do niego szeptała, ale nie słyszał co i był z tego zadowolony.

Leżeli potem obok siebie, ona z głową na jego ramieniu. Oddychała równo i cicho, zgadywał, że zasnęła.

– Ciężko utrzymać ten dom. Musiałam sprzedać wszystko, co jeszcze miało jakąś wartość, żeby sobie poradzić. Ale sobie poradziłam. Przynajmniej jak do tej pory – odezwała się.

– Myślałem, że śpisz.

– Prawie.

– Czym się zajmujesz? – Był autentycznie ciekaw.

– Sprzedaję ryby kilku rybakom po lepszych cenach, niż sami byliby w stanie. Na początku trudno ich było przekonać, pomogło mi imię męża. Ci pierwsi zgodzili się tylko po to, aby mi pomóc po jego śmierci, ale nie wierzyli, że się uda. Z czasem przyłączyli się kolejni. Udaje mi się w ten sposób trochę zarobić, ale nie jest łatwo.

Piec powoli wytracał ciepło. Dni były wprawdzie upalne, ale w odróżnieniu od wewnętrznego miasta tutaj budynki owiewała chłodna nocna bryza.

– A ty nie chcesz wiedzieć, czym ja się zajmuję? – spytał po chwili.

– Nie muszę. Widziałam przecież.

Położył dłoń na jej boku i napawał się chwilę tym dotykiem.

– Nad czym rozmyślasz?

– Skąd wiesz, że nad czymś rozmyślam?

– Leżymy obok siebie nadzy, jak mogłabym nie wiedzieć?

Wydawało mu się, że słyszy w jej głosie uśmiech.

– Rozmyślam nad tym, kiedy i jakim sposobem mój partner spróbuje mnie zabić.

– Och.

Na moment się odsunęła, ale zaraz znów się w niego wtuliła.

– Jesteś porządnym człowiekiem.

Gruman nigdy nie myślał o sobie w ten sposób. Porządni ludzie to dla niego były zazwyczaj ofiary.

– Jutro odejdę – powiedział w ciemność.

– Wiem przecież – odpowiedziała i przytuliła się mocniej.

Jej oddech znów się uspokoił. Tym razem usnęła naprawdę. Rozmyślał nad wieloma sprawami. Nad ciałem kobiety, które niedawno przyływ wyrzucił na skalisty brzeg, nad chaosem w półświatku, który powoli przeradzał się w małą wojnę, nad Keshuą i nad raportem, który miał przedstawić czarodziejowi. Jak również nad tym, jak w to wszystko wpasowuje się on sam.

Niebezpieczny posiłek



Rzecz sunęła podziemnym korytarzem. Nie była już cienkim dywanem. Była teraz grubą na dziesięć centymetrów warstwą materii przypominającej pleśń, poruszającą się za pomocą nibynózek, niczym gromada tysięcy gąsienic. Po jej obrzeżu biegły rzędy oczu, już nie tylko tych prymitywnych, owadzich, ale też szczurzych. Pomędzy nimi lśniły śluzem otwory węchowe wychytujące zapachy i feromony. Wibracje i dźwięki wykrywała całą powierzchnią ciała.

Umieszczony wysoko w górze właz kanału wpuszczał do środka światło, które kładło się na podłodze migotliwą plamą. Rzecz skrupulatnie ją opłynęła. Była w stanie znieść blask słońca, jednak był on nieprzyjemny i ją osłabiał.

W pobliżu włazów często znajdowała zdobycz, mnóstwo w miarę świeżego mięsa, w którym czasem jeszcze tliły się resztki życiowej esencji. I tym razem natknęła się nieopodal na dwa ciała. Rzecz wydłużyła się i owinęła je niczym gigantyczna mięsożerna macka.

Te twory były najbardziej skomplikowane ze wszystkiego, z czym się do tej pory zetknęła, i właśnie ta złożoność, echa myśli i unikalne prądy energii wabiły ją i przyciągały. Na razie nie mogła ich przetworzyć i skopiować tak jak dużo prostsze wzory szczurów czy te zupełnie prymitywne robactwa i owadów. Była świadoma tego, że gdyby tylko spróbowała je skonsumować, wchłonąć, imitować, sama wystawiłaby się na niebezpieczeństwo. Nie była wystarczająco silna, w tak skomplikowanych tworach mogła się sama rozpuścić. Poczucie zagrożenia nie umniejszało jednak pragnienia. Wręcz przeciwnie.

W tych ciałach nie pozostało jednak nic z tego, czego poszukiwała. Żadnych resztek myśli, energii życiowej, wrażeń. Jeszcze niedawno Rzecz zawahałaby się, czy nie użyć materii trupów do konstrukcji własnego ciała, ale jej potrzeby w tym zakresie były ostatnimi czasy mniejsze. Miała przy tym nadzieję, że niedługo uda jej się znaleźć coś bardziej strawnego i bardziej interesującego.

Gdzieś w tunelu rozległ się szurający dźwięk, jakby ktoś ciągnął po ziemi coś ciężkiego, potem rozmowa, a na koniec ostry rozkaz. Rzecz wiedziała, że część tych dźwięków wydawały takie same twory jak te, których ciała dopiero co obadała. Ostrożnie i nie bez wahania ruszyła za hałasem. Tunel, którym się poruszała, nagle się rozdzielał. Ku dźwiękom prowadziła ciasna odnoga, odpowiednia najwyżej dla szczurów. Sama nie raz przeciskała się już i mniejszymi szczelinami.



Pies pozostawiony przy beczkach z kradzionymi towarami zaskomlał. Zbliżało się coś nieznanego, nienaturalnego, coś, co jeżyło mu sierść na grzbiecie. Podkulił ogon. Najchętniej by uciekł, ale to by oznaczało nieposłuszeństwo. Rozkaz to rozkaz, należało go słuchać bez względu na wszystko. Tak go wytresowali, twardo i bez skrupułów. Ze szczeliny w przeciwległej ścianie zaczęło wylewać się coś zielonoszarego, sunęło w dół, by na podłodze uformować powiększający się twór, przypominający coś pomiędzy miodem a asfaltem.

Pies zawarczał. Teraz już widział wroga, czymkolwiek on był. Miał pewność, że to właśnie ten twór roztaczał wokół siebie nienaturalną aurę, która go tak przerażała. Skamlanie przeszło w głębokie, gardłowe warczenie.

Rzecz obserwowała znajdujące się przed nią zwierzę. Nie był to szczur, ale było do szczura dużo bardziej podobne niż wszystkie pająki, czerwie i inne robactwo. Stworzenie było naprawdę duże. Z rozmiarem wiązało się zagrożenie. Zdawało się też dużo bardziej złożone, a to budziło w niej pragnienie.

Ze skraju Rzeczy oderwał się kawałek jej ciała i zaczął formować

się na kształt przerośniętego szczura. Nie chodziło tylko o podobieństwo zewnętrzne. Sama materia przeinaczała się w swej istocie, tworząc skórę, pazury, oczy.

W momencie, kiedy pies zorientował się nagle, że stoi przed nim szczur, choćby i dwa razy większy niż normalnie, błyskawicznie się na niego rzucił i jednym kłapięciem zębów odgryzł mu głowę.

To Rzecz zraniło, sprawiło ból, osłabiło, ale nie ustępowała. Ofiara, to złożone stworzenie przed nią, była tego warta. Drugiego, większego szczura uformowała jeszcze szybciej.

Pies i tym razem się nie zawahał. Jego masywne szczęki zmiażdżyły szczurowi czaszkę, rozerwały brzuch, a gdy ten wciąż się jeszcze ruszał, wyszarpały wnętrzności. Kolejnego szczura zaatakował, zanim jeszcze w pełni się uformował. Zrozumiał, że aby przeżyć, musi pokonać je wszystkie.

Rzecz z kolei zrozumiała, że zanim odważy się zapolować na te nęcące, złożone istoty, musi najpierw być w stanie poradzić sobie z psem. Ten twór tutaj to był pies. Informacja ta pochodziła z odległej przeszłości, z wcześniejszego życia.

Markiz Henry Parleur



Markiz Henry Parleur pokłonił się nisko, wykonując kapeluszem skomplikowany taniec w powietrzu, na koniec zamiatając piórami podłogę tuż przed czubkami trzewiczków Elizy Veyrat, która trzymała spódnicę lekko uniesioną, aby kokieteryjnie wystawić na widok publiczny swoje kostki. Przez chwilę, dla specjalnie wybranej publiczności.

– Madame, dzięki waszej obecności ten wcale już zacny bankiet staje się wręcz niebiański.

Księżna Eliza Veyrat warta była więcej niż tylko ukłony i spojrzenia, ale hrabiego łączyły z jej mężem więzi handlowe zbyt ważne, aby je wystawiać na ryzyko dla romansu. Zwrócił się więc do księcia i zamienił z nim kilka słów. Zaprosił go na partyjkę kart i tylko mimochodem nadmienił, że będą musieli przy tym omówić kwestię transportu towarów do Saxpolis. Kiedy ich rozmowa zeszła na interesy, Eliza straciła nią zainteresowanie i zaczęła wodzić wzrokiem po pozostałych gościach. Wyglądała dziś naprawdę wyjątkowo i Parleur miał problemy, aby nie wracać do niej wzrokiem. Trudno mu było skupić się na interesach, jego myśli krążyły raczej wokół tego, co kryły pod sobą szaty Elizy i jak się do tego dobrać.

Z ulgą się wreszcie pożegnał i kontynuował obchód. W towarzystwie czuł się jak ryba w wodzie i doskonale zdawał sobie sprawę z zawiści wielu mężczyzn oraz czasem skrycie, a czasem całkiem otwarcie wyzywających spojrzeń kobiet. Był wolny, bogaty i z dobrym nazwiskiem. Do tego dziś udało mu się prześcignąć wszystkich miejscowych elegantów, jego strój uszyty został na miarę w samym Saxpolis i przesłany szybkim kurierem. W porównaniu

z nim pozostali wyglądali jak wioskowe kmioty. Zdusił uśmiech triumfu.

Wymienił pozdrowienia z tłustym Omyxenem. Baron i jego żona po długoletnim współżyciu upodobnili się jedno do drugiego i dla markiza wyglądali jak para grubych świń. Następnie dostrzegł księżniczkę Annę-Margaret z bratem, nadętym oficerem cesarskiej armii. Anna-Margaret była młodziutka, jeśli wierzyć pogłoskom, wciąż niewinna, w konwersacji bystra. Z nią by... Parleur poczuł narastające podniecenie, ale nagle uświadomił sobie, że obserwuje go wicehrabia Tralger. Parleurowi nie podobało się to spojrzenie. Było chłodne, badawcze, jakby wicehrabia widział go na wskroś. Podobnie jego żona, która szeptała coś mężowi do ucha. Gdy skończyła, zamachała do markiza przyjacielsko.

Odwzajemnił jej gest, ale dałby worek złota za to, żeby wiedzieć, co powiedziała. Mógłby się założyć, że chodziło o niego samego. Tralgerowie... Dużo o nich nie wiedział, w zasadzie tylko tyle, że wicehrabia miał opinię twardego w interesach. Wysoki, barczysty, zazwyczaj chmurny, przypominał bardziej wojskowego niż szlachcica-kupca. Złe języki w mieście twierdziły wręcz, że interesem rządzi tak naprawdę jego żona. Parleur stanął tak, aby móc ich jeszcze chwilę ukradkiem obserwować. Preferował młode kobiety i dziewczęta, zdecydowanie wyznawał zasadę: im młodsza, tym lepsza. Dziesięć, piętnaście lat temu Katerina Tralger musiała być prawdziwą pięknoscią. Oczywiście, o ile ktoś lubił szczupłe, wysokie kobiety z długimi nogami. Dla niego była już teraz zdecydowanie za stara. I za chuda, co przeszkadzałoby mu, i kiedy była jeszcze młodsza. Długa, cienka koza, ot co.

Dalej krążył po sali, pozdrawiał znajomych, przeplatał interesy z pustymi pogawędkami, ale wszystkie te obecne kobiety za bardzo go rozpraszały. Już dawno żadnej nie miał, zaniedbywał się. Z pewnością przez tych trzech idiotów. Głównie, odnosił wrażenie, zawinił Hruspyr. Był on co prawda inteligentniejszy niż Cruf i Herge i wielokrotnie załatwiał coś z powodzeniem, ale ostatnio nie dało się na nim polegać. Parleur wiedział, kiedy może pofolgować swoim

zachciankom, a kiedy nie. Z Hruspyrem to jednak nie było takie pewne.

– Rad was widzę, markizie – usłyszał za sobą głos, którego w pierwszej chwili nie rozpoznał.

Przypomniawszy sobie jednak, zanim się jeszcze obrócił. Stary wicehrabia Guici z małżonką. Dziwił się, że Tralger w ogóle go zaprosił. Może ze względu na dawne dzieje? Towarzyszyła mu jeszcze jedna kobieta, której markiz nigdy wcześniej nie widział. Była wysoka, niemal jak on sam, w perłowej sukni, która wprawdzie nie była ostatnim krzykiem mody, ale zgrabnie podkreślała jej kobiecą sylwetkę. Część ciemnych włosów spływała jej na ramiona bogatymi puklami, część miała zaplecioną w cienkie warkoczyki przetykane wstążkami, w uszach długie kolczyki z połyskującymi zielono klejnotami. Nie były to szmaragdy, zauważył, ale coś tańszego. Uczesanie zupełnie wymykało się kanonom, trochę jakby nieoswojone, jakby gdzieś z pogranicza.

Wrócił spojrzeniem do kolczyków. Te kamienie wyglądały na bardzo stare. Kobieta oczy miała brązowe, wielkie, na jej twarzy malował się grzeczny dystans, dostrzegał też cień pogardy. Nikt inny by go tam nie dojrzał, ale on był ekspertem w czytaniu ludzkich twarzy. W szczególności kobiecych. Ta kobieta przywodziła mu na myśl szlachetną klacz. Klacz, którą trzeba okiełznać.

– Rad was widzę, wicehrabio, jak i was, moja pani – wyrecytował grzecznościową formułkę.

– Oto markiz Henry Parleur, człowiek, który od czasu do czasu wprowadza zamęt w miejscowe konserwatywne kręgi – przedstawił go wicehrabia swej towarzyszce. – Kawaler wielce niebezpieczny wobec wszelkich niewiast – kontynuował bez mrugnięcia okiem.

Parleur skwitował to uśmiechem. Guici był dziekanem miasta, dzięki czemu cieszył się swoistymi przywilejami, nawet jeśli z jego majątku pozostało tylko wspomnienie. O tym jednak wiedzieli jedynie nieliczni, zazwyczaj ci, od których próbował pożyczać pieniądze. Parleur się starał, aby próbował bezskutecznie. Miał zakusy na rodowe włości wicehrabiego.

– Baronówna Zuzanna Münchauen, wnuczka mojego starego przyjaciela.

– Niezmiernie mi miło.

– Mnie również, markizie. – Podała mu rękę do pocałowania.

– Nigdy was nie widziałem na balu ani nigdzie indziej. – Gestem przywołał kelnera, który podszedł do nich z tacą pełną kieliszków z winem.

– Przybyłam dopiero niedawno. Z rodzinnych włości – potwierdziła jego domysły.

Udała, że nie dostrzegła kielicha, który jej zaoferował, uniosła dwa inne, z których jeden podała Guiciemu, drugi zatrzymała dla siebie.

Zaczynała go drażnić. Przejrzała go i teraz ignorowała, jakby był powietrzem. Sam dostrzegał spojrzenia, jakie rzucały mu inne kobiety, rejestrujące, jak wiele uwagi poświęcał tej dzikiej nieznajomej.

– Planujecie zostać na długo? I cóż was do nas przywiodło?

– Interesy, miły markizie – odpowiedział za nią Guici. – Mój stary przyjaciel stracił, niestety, syna, a jemu samemu brak już sił, aby wszystkiego dopilnować osobiście. Szczęśliwie tymczasem jego wnuczka dorosła na tyle, że z jej pomocą będziemy mogli odnowić naszą dawną współpracę.

Markiz nie mógł sobie przypomnieć, żeby Guici kiedykolwiek handlował z kimś spoza miasta, ale skoro stary wicehrabia mówił o przeszłości, mogło to równie dobrze oznaczać dziesięciolecie. Chciał skończyć rozmowę, żeby nie wyglądało na to, że się zbytnio zainteresował. Ta przerośnięta debiutantka nie mieściła się w jego preferowanym przedziale wiekowym. Jednak uświadomił sobie, że zainteresowała go, i to aż za bardzo.

– A cóż tam takiego mają w dziczy cennego, że znów zdecydowaliście się utrudzić handlem, mój panie? – zapytał z ledwo skrywaną pogardą w głosie.

– Dobrej jakości węgiel drzewny, na przykład – zareagowała na to baronówna.

– Handlować węglem przystoi raczej kupcom – uśmiechnął się szyderczo Parleur.

Handel, który polegał na obrocie ogromnymi ilościami towaru za minimalny zysk, śmiertelnie go nudził.

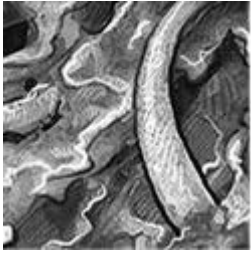
– Cesarstwo się zbroi, a do wyrobu broni potrzebny jest dobrej jakości węgiel drzewny. Wystarczy dostarczyć go tam, gdzie jest nań zapotrzebowanie, o co już postara się mój stryj, jeśli wolno mi was tak tytułować publicznie, mój panie. – Zuzanna wykonała perfekcyjny dyg.

Nie był to ukłon według najnowszej mody, ale trochę taki bardziej konserwatywny. Pochodził być może z poprzedniej, może nawet jeszcze wcześniejszej generacji. Jednak w jej wykonaniu wydawał się doskonały, a nawet... seksowny, ocenił Parleur.

– Oczywiście, moja droga – skinął głową wicehrabia i dotknął jej dłoni. – Do tego skóry i futra – dodał, po czym wychylił swoje wino na raz. – Na przykład z bobrów i wydr. Te są niezwykle cenne, warte po dwakroć swojej wagi w złocie. Czasem i więcej.

Markiz zaczął wierzyć, że staremu wicehrabiemu rzeczywiście mógł się trafić intratny biznes. To go nie interesowało, on działał w innej branży. Jednak co do tej kobiety, ta interesowała go bardzo.

Zabawa w kotka i myszkę



Gruman śledził Keshuę już od kilku dni. Nie przez cały czas, głównie w porach, kiedy ludzie, którzy mają coś do ukrycia, bywają bardziej aktywni. I kiedy sam nie pracował nad zleceniem czarodzieja. Nie przemęczał się przy nim, ale coś w raportach trzeba było zawrzeć.

Początkowo śledzenie wydawało się niełatwe, Keshua był dobrze wyszkolony i, jak on sam, ostrożny. Z czasem jednak zaczął zachowywać się bardziej beztrosko, poddawał się rutynie. Gruman zorientował się też, czym się jego partner interesuje, co jeszcze bardziej ułatwiło mu zadanie. Zrazu myślał, że Keshua obserwuje baronównę Münchauzen, jednak później zorientował się, że chodziło mu raczej o dowódcę jej małego garnizonu, kapitana Valera.

Gruman oparł się o ścianę w pokoiku, który wynajął. Znajdował się on na poddaszu i właściciel żądał za niego fortunę, ale Gruman zapłacił bez oporów. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny albo rozkładu. Mogły to być truchła myszy lub szczurów, ale zabójca typował raczej nietoperze. Była to jednak drobna niedogodność, w pełni zrekompensowana przez doskonały widok na główną ulicę wiodącą do rezydencji baronówny.

Zanim wrócił na stację, śledził Keshuę aż do jego punktu obserwacyjnego na dachu domu o skrzyżowanie dalej. Nie oferował on wygód, ale i nie musiał za niego płacić. Keshua miał też stamtąd lepszy widok na sam pałac, który z kolei nie interesował aż tak bardzo Grumana.

Ciągle wracał w myślach do Corinne i jej syna. Zastanawiał się, jak by to było, wieść zwyczajny żywot, bez czajenia się, czekania, momentów napięcia, krwi i zabijania.

Ściemniło się, nowo odrestaurowana brama broniąca wstępu na posesję baronówny pozostawała zamknięta. Podczas prac, oprócz odnowienia, w dyskretny, acz znaczący sposób również ulepszono ją tak, aby pokonanie jej stało się trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Ozdobne grotty na szczycie zostały naostrzone, usunięto wszystkie elementy, które mogły stanowić oparcie dla rąk i nóg, na górnej części prętów pojawiły się ostre ciernie. Gruman nie wątpił, że dalsze przeszkody czekały na potencjalnego intruza wewnątrz. Sam jednak nie miał powodów, aby się tam zapuszczać.

Ludzie Valera nie byli typowymi żołnierzami, co do tego miał pewność. Pomimo młodego wieku zachowywali się jak weterani i najwyraźniej przeszli szkolenie, które wykraczało poza zwykły wojskowy trening. Może to wynikało z tego, że pochodzili z głębokiego pogranicza, gdzie wciąż jeszcze uchowały się niezależne plemiona dzikusów i gdzie gromadzili się uciekinierzy najgorszego sortu z całego cesarstwa.

Baronówna i jej ludzie mieli, jak widać, wiele do ukrycia, ale Grumana ciekawiło raczej, czemu tak bardzo interesuje się nimi Keshua. Zgadywał, że tamten otrzymał odrębne rozkazy. Zazwyczaj takie rozkazy dostawali dowódcy zespołów, bez względu na wielkość, choćby i dwuosobowych. Fakt, że to nie Grumanowi zlecono to zadanie, niewątpliwie coś oznaczał. Chwilę się nad tym zastanawiał. Tak naprawdę wiedział, o co chodzi, ale dopiero teraz odważył się to sam przed sobą otwarcie przyznać.

Robiło się coraz ciemniej, jednak księżyc zbliżał się do pełni, a i miasto dostarczało dostatecznie dużo światła, aby można się było całkiem swobodnie rozeznać.

Ulicą w dole przeszedł Keshua. W zacierającym szczegóły mroku wyglądał jak zwykły człowiek, który zabałaganił w pracy i teraz spieszy się do domu, ale Gruman rozpoznał go i tak po chodzie, po postawie. Nie pomogło nawet rzemieślnicze przebranie, Gruman znał partnera zbyt długo i zbyt dobrze, aby się mylić. Równocześnie dostrzegł poruszenie przed głównym wejściem do pałacu. Czas biernego obserwowania dobiegł końca.



Otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz. Delikatnie opuścił się w dół na rękach, wymacał stopą oparcie i kiedy upewnił się, że nikogo wokół nie ma, bezgłośnie zeskoczył na ulicę. Czas się dowiedzieć czegoś więcej.

Zuzanna wzięła Valera pod ramię i narzuciła tempo trochę szybsze niż spacerowe. Ubrana była jak majętna mieszcanka, nie jak szlachcianka, włosy zaplecione w warkocz schowała pod kapeluszem. Inny ubiór i mocniejszy makijaż pomogły jej zmienić wygląd. Była przekonana, że nawet w bezpośrednim kontakcie za dnia mało kto spośród nielicznych osób, z którymi się do tej pory w Grafzaty zetknęła, zdołałby ją rozpoznać. Tymczasem wokół całkiem się już ściemniło i zapalono uliczne latarnie. Zuzanna miała wrażenie, że w ostatnich dniach trochę ich wokół rezydencji przybyło.

– To wasza robota? – Wskazała wzrokiem, co ma na myśli.

– Owszem – odparł Valer, nawet na nią nie spoglądając.

Gotowy na wszelką ewentualność, cały czas uważnie kontrolował okolicę.

– Niewielki wydatek, który znacznie nam ułatwi pracę i utrudni atak z zaskoczenia.

Miała wrażenie, że z obawami o jej bezpieczeństwo kapitan trochę jednak przesadza. Całe swe dorosłe życie troszczyła się o siebie i zdołała przeżyć sytuacje o wiele groźniejsze, niż większość ludzi byłaby w stanie sobie wyobrazić, i to włączając samego Valera. Z drugiej strony przyszło jej za to zapłacić, uświadomiła sobie.

Jego obecność uspokajała ją, sprawiała przyjemność. Kiedy miała go przy sobie, rozluźniała się, odpoczywała, zrozumiała z zaskoczeniem. Tak jak teraz, równie dobrze mogliby być po prostu na spacerze. Własne myśli rozbawiły ją.

– Mówiliście, że dacie mnie pod opiekę swoim najlepszym ludziom – rzekła cicho, jak ktoś zwracający się do bliskiej osoby –

i oto jesteście tu we własnej osobie. To były takie przechwałki?

Poczuła, jak zeszywniał. Lubiła się z nim droczyć, próbować choć odrobinę nadkruszyć ten jego pancerz służbisty. Tym razem jednak miała wrażenie, że przeholowała.

– Nie myślałem o tym w ten sposób – odpowiedział po dłuższej chwili. – Początkowo chciałem posłać Kurzera, ale uznałem, że będzie lepiej, jeśli ja wam będę towarzyszyć, podczas gdy on będzie przewodzić ludziom nas obserwującym.

– To my nie jesteśmy sami? – Była autentycznie zaskoczona. – Idziemy na spotkanie z człowiekiem, który trudni się handlem magicznymi artefaktami, człowiekiem, który sam może mieć pewne... zdolności. Jeśli je rzeczywiście posiada i wyczuje, że towarzyszy nam uzbrojony oddział, zmarnujemy tylko czas – dodała ostrzej, niż miała zamiar.

– Nie będą nam towarzyszyć do samego końca, na miejscu będę was ochraniał ja. Pilnują tylko przestrzeni wokół nas, zabezpieczając szerszy perymetr – dostała suchą odpowiedź.

Chwilę się nad tym zastanowiła. Nie było sensu oponować. Valer swoje rozkazy rozumiał na swój sposób i starał się zapewnić jej bezpieczeństwo najlepiej jak potrafił. I w tych sprawach to on był ekspertem, nie ona. W sumie schlebiało jej to. Dawało powód do zadowolenia.

Na następnym skrzyżowaniu skręcili, na kolejnym raz jeszcze. Bruk stracił na jakości, kostkę zastąpiły kocie łby, zniknęły latarnie stojące wzdłuż ulic. Pozostały jedynie te na skrzyżowaniach.

– Zresztą wszyscy ci, których po drodze spotkaliśmy, wyglądali mi na szarlatanów – naburmuszył się Valer – a za te swoje towary domagają się niemożliwych pieniędzy.

– Bo to byli szarlatani – zgodziła się Zuzanna. – Większość handlarzy artefaktami taka już po prostu jest. Ten ma renome.

Rozległo się pohukiwanie puszczyka. W miejskich ogrodach mieszkało ich zaskakująco wiele. Valer pchnął Zuzannę ku najbliższej ścianie domu, zasłonił ją swoim ciałem i dobył miecza.

– Skulcie się. Miałem rzec, abyś założyła, pani, coś ciemnego. Tak jak teraz nawet w nocy jesteście widocznym celem.

– Co się dzieje? – szepnęła.

Wysiliła zmysły, słuch, wzrok, węch, tak jak się tego nauczyła, jak jej to już wielokrotnie uratowało życie. Z ciemności napłynęły do niej dźwięki, zapachy i coś jeszcze, coś, czego nie była w stanie dobrze zrozumieć, ale towarzyszyło jej od narodzenia. Kiedyś myślała, że wszyscy czarodzieje mają ten zmysł, jednak im więcej dowiadywała się o magii, tym lepiej rozumiała, że zdolność manipulowania mocą ma tyle różnych odcieni, ile jest rozmaitych ludzkich talentów.

– Ktoś nas śledzi. Ten odgłos puszczyka to sygnał – wyjaśnił cicho Valer.

Zuzanna wyćwiczonym ruchem sięgnęła do zmyślnie ukrytego w sukni rozporoka i wydobyla sztylet z pochwy na udzie. Było to długie, mordercze ostrze, które wyglądało na zbyt cienkie, aby użyć go do walki. W rzeczywistości Zuzanna wielokrotnie swoim sztyletem parowała dużo cięższe ostrza. Dodatkowo jego lekkość i subtelność zapewniały niezrównaną wygodę. Wykuł go dla niej ojciec i Zuzanna podejrzewała, że było w tym ostrzu coś więcej niż tylko zwykła, choćby i najdoskonalszej jakości stal.

Znów zabrzmiał puszczyk. Raz, drugi.

– Bezpośrednie niebezpieczeństwo nam nie grozi – wyjaśnił Valer, ale miecz nadal trzymał w pogotowiu.

Mówił tak cicho, że niemalże musiała domyślać się jego słów.

Gruman uśmiechnął się z mściwą satysfakcją. Keshua naprawdę był zbyt beztroski. Rzucił się do śledzenia tak łapczywie, że nie skontrolował szerszego okręgu i przeoczył fakt, iż baronówny i jej ochroniarza pilnuje jeszcze czwórka ludzi. Oni jego dostrzegli. Keshua zorientował się z opóźnieniem i, oczywiście, zdołał im się wymknąć. Konsekwencją będzie to, że teraz ludzie baronówny będą ostrożniejsi. Ciekawe, dlaczego się za Keshuą nie puścili. Ważniejsze dla nich było bezpieczeństwo ich pani? Kim ona właściwie była? Kiedyś poinformowałby o tym klan. Teraz zastanawiał się jedynie,

czy ma to wszystko jakiś wpływ na niego samego. Raczej nie. Sama baronówna go nie interesowała.

Znów odezwał się puszczyk, potem jeszcze raz. Zuzanna zgadywała, że sygnał nie polegał jedynie na ilości pohukiwań, ale też i intonacji.

– Oczyszcili pole – oznajmił Valer – ale powinniśmy już dziś zrezygnować. Nie podoba mi się, że ktoś się do nas próbował przykleić.

Byli tak blisko siebie, że czuła wręcz, jak się rozluźnia.

– Rzekliście, że macie swoje powinności, tak samo mam i ja. Przez następne kilka dni nie będę mogła prześledzić żadnych innych tropów. A poza tym jesteśmy prawie na miejscu.

Mimo iż się nie starała, powiedziała to podobnym tonem, jakiego używał Valer, kiedy mówił o jej bezpieczeństwie.

– Na wasz rozkaz, baronówno – odparł z rezygnacją.

Nie była pewna, czy powiedział to na poważnie, czy sobie z niej drwił, ale liczył się rezultat.

– Dziękuję, kapitanie – odparła tym samym tonem.

Po chwili dotarli do celu wyprawy.

Handlarze artefaktów uciekali się do najróżniejszych forteli, aby ukryć prawdziwy charakter swojej działalności. Najczęściej handlowali przy tym innymi towarami, często prowadzili lombardy, jeszcze inni mieli interesy o w ogóle niezwiązanym charakterze.

Lumbuc Gluiny wybrał tę drugą możliwość i nie silił się na pozory szlachetności. Jego siedziba mieściła się w kiepsko utrzymanym budynku z grubo okratowanymi oknami. Nawet z zewnątrz było widać, że lombard zajmuje kilka połączonych domów, w których usunięto część ścian, aby utworzyć na parterze obszerną salę. Wypełniały ją sterty kufrów, plecionych koszy nakrytych płachtami i drewnianych skrzynek z przegródkami. Ściany obwieszono bronią, a resztę powierzchni zajmowały bele materiałów, beczki i stosy różności, których Zuzanna nie potrafiła

zidentyfikować. Było to po prostu miejsce, w którym można nabyć prawie wszystko, o ile człowiek nie dba o to, skąd te towary pochodzą.

Właściciel sam doglądał tego bogactwa, stojąc za półokrągłą ladą, na podeście górującym ponad stertami towarów. Lada była wysoka na tyle, aby służyć za osłonę w przypadku ataku. Dwie lampy toczyły skazany na porażkę bój z ciemnością i raczej tylko podkreślały duszną, przepełnioną stęchlizną i aurą złamanych ludzkich losów atmosferę.

Zuzanna nabrała ostrożnie powietrza. Miała wrażenie, że lampy bardziej śmierdzą, niż świecą, Gluiny prawdopodobnie mocno oszczędzał na oleju. Oczywiście, o ile woń nie pochodziła od czegoś, co mógł do oleju dodawać, aby omamić swoich klientów i uczynić ich bardziej podatnymi na kupieckie sztuczki.

Ciemne kąty i nagromadzenie rupieci sprawiały, że nerwy Valera były napięte jak struna. Powoli obnażył krótki miecz, który trzymał wzdłuż ciała w opuszczonej ręce. Drugim ramieniem obejmował Zuzannę niczym mąż żonę, w rzeczywistości jednak skrywał nóż.

Sama Zuzanna czuła wyraźnie, jak jest spięty, gotów zaatakować w mgnieniu oka. Czuła się podobnie i bez obstawy sama by tu nie weszła. Oczekiwała kramu, a nie złowrogiej jamy w sercu miasta. Ostrożnie omijając sterty rupieci, doszli aż do podestu i lady. Spod niej spoglądał na nich Gluiny, jadowity blask lamp uwydatniał jego tłusty podbródek i krył oczy w cieniu.

– Cóż was do mnie sprowadza o tak późnej porze? – zapytał spokojnie.

Valer wyteżał zmysły, próbując się zorientować, czy oprócz nich znajdował się w pomieszczeniu ktoś jeszcze. Nikogo nie słyszał, ale wyczuwał w powietrzu odór przetrawionego piwa, który nie pochodził od Gluiny'ego. Gdzieś musiał się więc kryć przynajmniej jeden ochroniarz.

Zuzanna zastanawiała się chwilę, czy nie powinna odpowiedzieć mu wprost. Wedle cesarskiego edyktu wszystkie aktywne artefakty magiczne miały być rejestrowane, a za nielegalny handel groziły srogie kary.

– Szukam czegoś specjalnego, czym mogłabym zaimponować w towarzystwie – powiedziała z na wpół ukrytą sugestią. Mówiła teraz zupełnie innym tonem niż normalnie, jednocześnie rozpieszczonym i nawykłym do wydawania poleceń.

– A cóż by to miało być, pani?

– No nie wiem... Coś nadzwyczajnego, rzekłabym wręcz: czarującego, jeśli rozumiecie, o czym mówię.

– Handlowanie czarami jest zakazane, sami dobrze wiecie.

Valer odniósł wrażenie, że Gluiny trochę się przygarbił, jakby węszył łatwą zdobycz. Miał nadzieję, że jedynie w sensie handlowym. Gotów był zareagować w mgnieniu oka, poderżnąć gardło jemu i komukolwiek innemu, kto spróbowałby się zbliżyć do Zuzanny.

Zuzanna zachichotała jak trzpiotka.

– Kiedy ja nie chcę żadnych zaklęć, tylko takie zabawki. Na przykład klejnot, który zapali świece, albo taki kamień, co chłodzi wodę. Coś takiego... po prostu, dla rozrywki. Najbardziej jednak bym chciała taki chłodzący kamień. Robi się upalnie i całe wino, które serwujemy, jest za ciepłe. Nie mamy porządnej piwniczki – w jej głosie zabrzmiała nuta rozczarowania jawną niesprawiedliwością.

– Możliwe, że coś się tu znajdzie – mruknął zadowolony Gluiny.

Zdobycz wpadła w sidła, nie musiał na nią polować. Wystarczyło ją teraz oskubać z jak największej ilości złota. Valer trochę się rozluźnił, po to tutaj przyszli, na to byli przygotowani.

– Spójrzcie. – Sięgnął pod ladę i wydobył mały obiekt.

– Bardzo ładne – zachichotała Zuzanna – ale coś mało świeci. – Dała po sobie poznać, jak ulatuje z niej wstępny entuzjazm. – Nie macie jeszcze czegoś innego? Na przykład tego chłodzącego kamienia?

– A macie czym zapłacić? – zainteresował się Gluiny.

– Kochanie? – Valer poczuł, jak Zuzanna znacząco go szturcha.

Wyszli po godzinie, lżejsi o kilka dziesiątek sztuk złota, za to z przedmiotami, które Valerowi wydawały się kompletnie bezużyteczne. Trochę mu się od tego kręciło w głowie. Za sumę,

którą zostawili u handlarza, mógłby wytrenować, uzbroić i utrzymać przez dwa miesiące całą kompanię ludzi.

– On ma pewne zdolności – odezwała się wreszcie Zuzanna po dłuższej chwili milczenia. – Potrafi odrobinę wyczuwać, czy przedmiot ma magiczną naturę lub magiczne działanie.

– Skąd to, pani, wiecie? – zaciekawiał się Valer.

Wewnętrznie walczył z emocjami, wydane pieniądze wprawiały go w zły humor. O finansach rozmawiał z księciem często, brak funduszy stanowił właśnie główny powód, dla którego mieli trudności z utrzymaniem przyzwoitej armii i skuteczną obroną granic.

– Miał tam bardzo niewiele tandety, prawie wszystko, co nam pokazał, kiedyś do czegoś służyło.

– A te rzeczy, któreśmy kupili?

– Jak będzie na to czas, coś wam zademonstruję – odpowiedziała Zuzanna w zamyśleniu. – Ale o Kamieniu Zimna nic nie wie. Słyszał o nim, ale na tym koniec.

– Będzie próbował dowiedzieć się więcej – dodał Valer. – Wzbudziłaś, pani, jego ciekawość.

– Owszem. Złoto to skuteczna zanęta – zgodziła się Zuzanna. – Zanim pójdziemy spać, zapraszam was na filiżankę herbaty.

– Oczywiście, madame – zgodził się zaskoczony Valer.

Zuzanna nie mogła iść prosto do łóżka. Nie chciała. Jeden z przedmiotów, które kupili, małe porcelanowe jajko, nie dawał jej spokoju. Skrywało się w nim coś złowróżbnego i kiedy próbowała skupić swoją uwagę na magicznych strukturach uwidaczniających się od czasu do czasu pod jego powierzchnią, natychmiast rozbolała ją głowa. To, że sam Gluiny nie próbował jajka otworzyć, potwierdzało tylko, że pewien magiczny talent rzeczywiście posiada. Jej uwagę artefakt przykuł z jeszcze jednego powodu. Widniał na nim symbol, z którym się gdzieś zetknęła. Miała wręcz wrażenie, że było to całkiem niedawno, już w Grafzaty.

To jednak nie dlatego odkładała porę snu. Od czasu, kiedy ktoś ją obserwował z ogrodu, powrócił dawny koszmar. Koszmar, który zabrał jej rok życia. Przypominał Zuzannie, że znów znajduje się na

pierwszej linii ognia. Wprawdzie tym razem już nie sama, wrzucona na terytorium nieprzyjaciela, skazana na siebie, ale mimo wszystko znów w boju.

Musiała odegnać ponure myśli. Wtuliła się mocniej w Valera, sprawiało jej to przyjemność. Za kolejnym skrzyżowaniem czekała na nich lektyka, w której znów przedzierzgnęła się ze znudzonej żony bogatego kupca w szlachciankę w towarzystwie przybocznej straży.

Praworządny obywatel



Podłoga, która była początkowo chłodna, teraz wydawała mi się ciepła, niemalże gorąca. Leżałem nagi na ziemi, jedyne światło, które przenikało do środka, przeciskało się szparami w drzwiach. Sufit nad moją głową był doskonale czarny. Nie miałem pojęcia, który to już dzień, wszystko mi się zlewało. Przebudziłem się po raz drugi, trzeci, setny? Może lepiej by było nie obudzić się wcale. Nie, trzeci raz, przypomniałem sobie. Obstałowałem sobie nową stancję, z piwniczką. Wciąż płaciłem i za tę poprzednią, na wypadek gdyby Zuzanna przesłała tam jakąś korespondencję.

Miałem ku temu powody. W ostatnich dniach sporo namieszałem w miejscowym półświatku. A że każda akcja wywołuje reakcję, musiałem teraz odczekać, aż sprawy trochę ucichną, aż się wszystko uspokoi i zmaleje ryzyko, że ktoś na ulicy krzyknie za mną: „To przez niego!”. Dlatego przeprowadziłem się tutaj, gdzie nikt mnie nie będzie szukał. Trochę mi się to wydawało dziwaczne, płacić za dwie kwatery równocześnie, a spać i tak w piwnicy. Pieniądze jednak nie stanowiły problemu. Kiedyś owszem, ale dziś już nie. Właśnie teraz, kiedy przestało mi zależeć na złocie, byłem bogaty. Suchelec wisiał mi już parę tysięcy, a za chwilę będzie tego jeszcze więcej. To „za chwilę” jednak nieco się odwlekało. Jak mówił, przygotowanie takiej walki wymagało czasu. Podgrzać atmosferę, zareklamować, dać ludziom czas na zakłady, na to trzeba było tygodnia, dwóch. Tyle że ja zbyt długo już nic nie robiłem, i to nic nierobienie zaczynało mi szkodzić. Sekundy, minuty, godziny, dni bez zabawy, bez żadnej podniety były jak grząskie bagno, w którym zapadałem się po szyję, które mnie dusiło, mąciło myśli. Uświadomiłem sobie, że ręce mam zaciśnięte tak mocno, że aż paznokcie wbiły mi się głęboko w ciało

i pomiędzy zaciśniętymi palcami przecieka krew. Spróbowałem zmusić się do rozluźnienia mięśni, całą swą uwagę skierowałem zamiast do wewnątrz na świat zewnętrzny. Wbiłem wzrok w ciemność nad głową. Nawet tu, w piwnicy, było mi ciepło, gorąco wręcz, jednak nie pocilem się wcale. Zalegający podłogę pył zupełnie się do mnie nie lepił, przeciwnie, miałem wrażenie, że ode mnie odskakuje, jakby nie chciał mieć ze mną do czynienia, ale musiało mi się tylko tak wydawać.

Może powinienem jednak powęszyć w sprawach, które mnie tu sprowadzały, albo choćby skupić się na czymś innym – pomocy Zuzannie. Znajdowała się na terytorium wroga w towarzystwie garstki ludzi, którzy w przypadku otwartej konfrontacji byli z góry skazani na klęskę. Ich jedyną szansę stanowił podstęp, fikcyjna tożsamość. W takich sytuacjach odrobina chaosu w szeregach wroga zawsze jest na rękę. Jeśli w czymkolwiek byłem dobry, był to właśnie chaos. Umialem go wywołać jak mało kto.

Wstałem. Kamienna podłoga, na której jeszcze przed chwilą leżałem, grzała w stopy. Po omacku ubrałem się i sięgnąłem po pochwy z mieczem, nożem i kordelasem. Dotknąwszy zimnej stali, zatrzymałem się. Coś ostatnio stal, a zwłaszcza ta wykuta w ostrza, budziła we mnie niepożądane popędy. Nie byłem tu, by je zaspokajać, miałem do wykonania robotę, prośbę księcia do spełnienia. I by pomóc Zuzannie. Do obserwacji burdelu, który dziwnym trafem nie płacił nikomu haraczu, broń nie była mi potrzebna. Co więcej, jeśli nie będę miał jej pod ręką, nie będzie mnie korciło, żeby się pchać w kłopoty. Z wahaniem odłożyłem broń na podłogę. Łażenie po mieście bez broni brzmiało jak szalony pomysł, ale wiedziałem, że to rozsądniejsza opcja. Najpierw się rozejrzę, a potem się zobaczy. Może znów trzeba będzie zamieszać trochę w półświatku kijem. Póki co to i tak było jak mieszanie małym palcem.

Odczekałem, aż na zewnątrz się ściemni, i wyszedłem na ulicę.

Tej najbogatszej części miasta w samym jego centrum jeszcze nie znałem, dlatego najpierw obszedłem wokół całą dzielnicę, a potem przeszedłem ją na ukos. Brukowane ulice, rynsztoki, wysokie,

przynajmniej trzypiętrowe domy ze zdobionymi fasadami, rozstawione co kilka kroków masywne brązowe lampy uliczne, na co drugim skrzyżowaniu miejski strażnik w uniformie ze stylizowanym herbem miasta. Sklepów tu było co kot napłakał, a te, które się czasem trafiały, handlowały tylko najwykwintniejszymi towarami – tkaninami i ubraniami, drogimi kamieniami i biżuterią, korzeniami. A do tego mnóstwo restauracji. Większość budynków była jednak mieszkalna, z przestronnymi atriami zapewniającymi mieszkańcom luksus, wygodę i bezpieczeństwo. O ile informacje od Valera były wiarygodne, burdel znajdował się w narożnym domu, niczym się nieodróżniającym od okolicznych budynków. Choć nie do końca, był największy, miał cztery piętra, a oprócz wejścia z ulicy na wewnętrzny dziedziniec prowadziła również dwuskrzydłowa brama. Samo skrzyżowanie rozmiarem odpowiadało małemu placykowi.

– Czego tu wężysz? – naskoczył na mnie strażnik w uniformie.

Jak widać, oprócz utrzymywania porządku na ulicach do jego obowiązków należało również pilnowanie, aby nie szwendali się po nich niepożądani goście. Był wysoki, szeroki w barach, jego na wpół uniform, na wpół liberia mimo luźnego kroju nie zakrywał w pełni wylewającego się brzucha. Strażnik trzymał sążnistą pałę i wymownie walił się nią w otwartą dłoń drugiej ręki. Stłumiłem w sobie chęć, aby mu ten obuch wepchnąć w gardło. Nic bym w ten sposób nie osiągnął. Ale przynajmniej by mnie to rozerwało i rozładowało moje... no sam nie wiem co, ale na pewno poczułbym się lepiej.

– Tak tylko, wyszedłem na spacer – powiedziałem bez wahania.

– A ja myślę, że tak tu sobie stoisz i patrzysz, co by tu zaiwanić – powiedział i znów pacnął się pałką w dłoń.

Wepchnąć tak głęboko, żeby się już nie dało wyciągnąć. Nie, nie po to tu jestem, powstrzymywałem się.

– Dla kogo pracujesz? – warknął.

Zgarbiłem się lekko i pochyliłem nieznacznie głowę.

– Dla mojego pana.

– To wiem, ty kretynie! – rozzłościł się. – No przecież, że nie będziesz pracował dla cudzego pana! Jak się nazywa?

Wiedziałem, że jeśli tylko spróbuje mnie trzepnąć, kiepsko się to skończy. Nie zdołałem się powstrzymać.

– Wicehrabia Guici – wybrałem nazwisko, które padło podczas mojej ostatniej rozmowy z Valerem.

– No, masz szczęście – huknął na mnie. – A teraz spadaj, bo się jeszcze rozmyślę.

– Już idę – przytaknąłem, skłoniłem głowę jeszcze niżej i odmaszerowałem.

Ze smutkiem zrezygnowałem z ciosu pod brodę, o który tak się prosił. Wybrałem losowo ulicę, na pierwszym skrzyżowaniu skręciłem, żeby mu zniknąć z oczu, po czym okrężną drogą wróciłem i wybrałem punkt obserwacyjny. Rozsiadłem się w lokalu, który znajdował się po przeciwnej stronie placu-skrzyżowania. Z wielkich szklanych okien, które musiały kosztować majątek, roztaczał się doskonały widok na burdel i wiodącą na jego podwórzec bramę.

Zza koralikowej zasłony oddzielającej zaplecze od sali gościnnej wychynął kelner. Stoły otoczone były przenośnymi parawanami, aby dać klientom nieco prywatności, i chwilę mu to zajęło, zanim mnie odnalazł. Nie kryłem się, ale też i nie próbowałem rzucać się w oczy.

– To nie jest lokal, na który będzie cię stać – wypalił, rozglądając się przy tym nerwowo.

Restauracja była pusta, dopiero przed paroma chwilami otworzyli. Wyglądało na to, że zdążyłem się wemknąć, zanim na swoim stanowisku zainstalował się szef sali.

Przyjrzałem się kelnerowi bez pośpiechu. Wysoki, w czarnej liberii zdobionej złotymi frędzlami. Ręce miał długie, palce smukłe i delikatne. Nie wyglądał na kogoś, kto dzieliłby funkcje kelnera i wykidajły. Może w tak eleganckiej knajpie wykidajło byłoby w ogóle nie na miejscu.

Sięgnąłem do pasa i wydobyłem kilka złotych drobniaków.

– Piwo – zażądałem – i coś do zjedzenia.

Minęło już kilka dni, odkąd coś jadłem.

– Nie zrozumiałeś. Ciebie na ten lokal nie stać. – Pokręcił głową z pogardą. – Takich jak ty tu sobie nie życzymy.

Raz się próbuję zachować jak praworządny obywatel i natychmiast skacze na mnie każdy obwieś. Trochę mnie to już zaczynało wkurzać. Może życie praworządnego obywatela nie jest takie łatwe, jak mi się zawsze wydawało?

– Nie rozumiem. Ja mam złoto, wy sprzedajecie jedzenie i napitek. Ja wam dam to złoto, a wy mi przyniesiecie piwo i porządny kawał mięsiwa. W czym trudność?

Odgrywanie roli głuptaka nigdy nie sprawiało mi problemów.

Kelner odkaszlnął i popatrzył gdzieś w bok, ale nie widziałem na co. Nie musiałem. Wiedziałem, że stara się przywołać kogoś, kto spróbuje mnie wyrzucić. No i czemu nie? Nawet się ucieszyłem. Musiałem tylko pamiętać, żeby nie przeholować. Zadanie było ważniejsze.

I oto się zjawił. O półtorej głowy wyższy ode mnie, o postawie niedźwiedzia i klacie, która zawstydziłaby niejedną beczkę piwa. Ubrany był w podobny uniform do kelnerskiego, brakowało mu tylko tych złotych pomponików.

– Co tam? Tak wcześnie i ktoś już sprawia problemy? – zahuczał basowo.

– Wywal go, Army – zażądał kelner. – Tylko dyskretnie, żeby nie narobić hałasu. Dobrze mu wytłumacz, że nie ma tu po co wracać. Wygląda na trochę niekumatego.

Niekumaty. Musiałem mu przyznać punkt za spostrzegawczość. Nie żeby go to miało uratować. Tymczasem Army dobrze mi się przyjrzał. Miał nieco doświadczenia w obchodzeniu się z takimi jak ja i coś mu się nie do końca zgadzało. Dla kelnera byłem zwalistym tłuściochem w nieforemnym kożuchu, ale Army już nie był taki pewny. Może nie podobał mu się fakt, że się go nie bałem. Zakładałem, że większości innych ludzi, zwłaszcza tych, którzy stołowali się w tej restauracji, napędzał porządnego stracha. Gdy zaszła taka potrzeba, ma się rozumieć.

Army pochylił się nade mną. Doleciał mnie zapach zwietrzałej wody kolońskiej toczący bój z odorem gorzałki.

– Załatwimy to po dobroci, co nie? Ja cię wyprowadzę, a ty sobie znikniesz. Inaczej będę ci musiał połamać palce, a to jednak boli, rozumiesz?

Rozumiałem. Moja prawa ręka wystrzeliła w jego kierunku. Chwyciłem go za krtań i ścisnąłem. Nie za mocno, ale poczuł. Kelner podskoczył, ale na swoje nieszczęście nie ruszył się z miejsca. Jego złapałem za kaftan.

– Opieram się chęci, żeby was zabić – powiedziałem cicho.

To była prawda. Czuję w palcach drgającą grdykę, Army bladł i z bólu ledwo trzymał się na nogach, ale nie odważył się pisnąć. Lewą ręką zgarnąłem mocniej liberię, kelner zaczął pojękiwać.

– Nigdy nie byłem dobry w opieraniu się. No sami powiedzcie, czemu nie?

Żaden nawet nie drgnął, zrozumieli, że mówię poważnie. No bo niby czemu nie miałbym ich zabić? Chwilę to trwało, zanim się opamiętałem.

– Teraz was puszcze, a wy mi przyniesiecie jedzenie i picie i zostawicie mnie w spokoju. Jeśli nie, nawet lepiej. Znajdę was i dokończę, cośmy sobie tutaj rozpoczęli. Czy to jest jasne? Zrozumieliście dobrze?

Obaj gorliwie potaknęli. Jeden głową, drugi tylko oczami.

– Dobrze – powiedziałem rozczarowany i puściłem ich.

Army, charcząc, zwałił się na podłogę, kelner oparł się ciężko o blat stołu i oddychał z trudem.

– Jedzenie i picie – przypomniałem im i położyłem na stole monety.

Praworządni obywatele uiszczają rachunki. Lepiej o tym nie zapominać. Kelner odszedł, po chwili dał radę się ruszyć i Army. Nawet na mnie nie spojrzął, odkuśtykał tylko nieporadnie.

Obserwowałem ruch na zewnątrz i zastanawiałem się, jak najłatwiej dostać się do środka. Powoli się ściemniało, lampiarze zaczęli zapalać latarnie. Nie chciało mi się łązić po dachach ani włamywać jakimkolwiek sposobem. Spróbować wejść tak po prostu pewnie też nie było idealnym rozwiązaniem.

Aż mnie nagle olśniło, gdzieś tak w połowie czwartej porcji jedzenia, którą mi donieśli natychmiast, jak tylko skończyłem tę poprzednią. Starali się, abym się czuł jak pączek w maśle.

Jeśli w nocy będą się zjeżdżać do burdelu tylko klienci, będę miał pecha. Jeśli jednak pojawią się dostawy z jedzeniem i piciem, może uda mi się to wykorzystać. Biorąc pod uwagę, jak bardzo miejscowi lubowali się w małżach, krewetkach i całym tym morskim tałatajstwie, zgadywałem, że jeszcze przed północą powinna się pojawić dostawa ze świeżego połowu.

Wyszedłem na dwór. Powietrze było orzeźwiająca, chłodne i spokojne, jedynie w bezpośrednim sąsiedztwie latarni czułem bijące od nich ciepło. Lubię żar, lubię upał, choć potrafię się obejść i bez nich. Ruszyłem ku domowi sąsiadującemu z burdelem, o ile to rzeczywiście był burdel, gdzie małe zadaszanie nad wejściem rzucało głęboki cień. Nagle o pierś oparł mi się czubek miecza. Właściciel miecza – młodzieniec toczący walkę z trądzikiem i nadwagą – dzierżył broń w wyciągniętej ręce i wyglądał dość nerwowo. Uświadomiłem sobie, że dostrzegłem go już wcześniej, tylko tak jakoś... nie zwracałem na niego uwagi, jakbym umyślnie chciał go sprowokować do tego, by mnie zatrzymał. Może było ze mną gorzej, niż sam przypuszczałem.

– Aresztuję was za zakłócanie nocnego porządku – oznajmił drżącym głosem.

Ostrze opierało mi się o mostek. Nie chciałem go zabijać, musiałbym się potem martwić o ukrycie ciała, ale cackać się z nim też nie miałem zamiaru.

– Spadaj – poradziłem mu.

– Chyba nie dosłyszałem – powiedział niepewnie i spróbował dziabnąć mnie trochę mocniej mieczem.

– Trzymasz go w wyprostowanej ręce, stoisz na prostych nogach, waga na piętach. Jak myślisz, co mi możesz zrobić? – zapytałem i zanim zdążył odpowiedzieć, odtrąciłem ostrze, złapałem go za ramię i wykręciłem je za plecy, a drugą ręką zakryłem mu usta, żeby nie narobił rwetesu. – No i co mam teraz z tobą począć? – spytałem.

Trochę rozluźniłem uścisk, chciałem, żeby był w stanie klarownie myśleć.

– Nie chcę, żeby mnie ktokolwiek widział. Najprościej będzie, jeśli cię po prostu zabiję i zostawię za tymi drzwiami – kontynuowałem swój monolog.

Dygotał w moim uścisku jak przerażony królik. Na pierwszy rzut oka duży chłop, a w rzeczywistości jednak królik. Łatwa ofiara dla takiego drapieżcy jak ja. Pomyśl, aby go zabić i schować za drzwiami, nie był taki zły. Pozostawała tylko kwestia tego, ile hałasu narobiłyby same drzwi.

– Puśćcie mnie – zdołał wymamrotać przez moje palce. – Puśćcie mnie, to pójdę strażować gdzie indziej i niczego nie będę widział. Nikt wam nie będzie wadził.

– Myślę, że jednak lepiej będzie cię zabić – nie zgodziłem się. – Sprowadzisz mi na kark posiłki.

Objąłem go mocno jednym ramieniem, drugą rękę przesunąłem mu pod brodę i mocno chwyciłem. Wystarczyło teraz tylko szarpnąć.

– Nie, panie, stanę o tam, na rogu, i niczego nie będę widział. Obiecuję!

Czułem, jak się chwieje, jak próbuje nie poddawać się panice. Może nie był aż tak całkiem głupi. Rozluźniłem uścisk. Przez moment myślałem, że nie utrzyma się na nogach. Nie chciałem go puszczać, musiałem wręcz rozkazywać moim ramionom, aby się rozwarły. Ale co prawda, to prawda, z pozbyciem się ciała miałbym tutaj trudności.

– To idź – warknąłem rozkazująco.

Znów musiałem się napomnieć, żeby się skupić na zadaniu. Młodzieniec rozplynał się w szarówce. To był jednak dobry pomysł, żeby ruszyć na miasto bez broni.

Ulicą przejechał powóz. Słyszałem stukot kopyt, klekot kół na bruku, pobrzękiwanie uprząży. Zatrzymał się przed bramą burdelu. Czarny, jak i ciągnące go dwa konie, bez żadnych ozdób czy oznaczeń. Widać było na pierwszy rzut oka, że nie jest to jakaś tam dorożka, ale luksusowy powóz, zapewniający podróżującym wszelkie możliwe wygody i dyskrecję. Woźnica w czarnym płaszczu

siedział na koźle, lejce trzymał w ręku i cierpliwie czekał. Nie uczynił nic, by zwrócić uwagę ludzi za bramą. Ze swojego miejsca poczułem falę gorąca bijącą od rozgrzanych koni. Brama otworzyła się do wewnątrz, jej skrzydła pochłonął mrok. Z ciemności wyłoniło się dwóch ludzi. Jeden zamienił kilka stłumionych słów z woźnicą, drugi rzucił tylko okiem do wnętrza powozu. Nawet nie przypuszczali, że w środku mógłby się znajdować ktoś niepożądany. Zanim bramę zamknęli, do środka wjechał kolejny powóz, niemal identyczny jak ten pierwszy. Najłatwiej więc byłoby się ukryć w jednym z nich, ale to oznaczało, że musiałbym się zorientować, którędy będą jechać i gdzie się mogą zatrzymywać. Strasznie dużo zachodu, łażenia, wypytywania. Zastanawiałem się chwilę, czy to warte aż takiego wysiłku, i doszedłem do wniosku, że jednak nie. I wtedy uśmiechnęło się do mnie szczęście, ulicą zbliżał się kolejny powóz. Tyle że tym razem, jak rozpoznałem po dźwięku, to był zwykły wóz z towarami. Jechał pomału i robił dużo więcej hałasu. Zbliżał się niespiesznie, stukot podków brzmiał coraz wyraźniej.

– Prrr, stój!

Zwierzę głośno parsknęło, zadźwięczała uprząż.

– Otwierajcie, do cholery, nie będę tu sterczał całą noc. Normalni ludzie zamawiają dostawy w dzień.

Otwarły się drzwi.

– Nie złość się, Bebe, dobrze wiesz, że ci się opłaci – zwrócił się do niego jeden z mężczyzn w bramie. – Masz wszystko? Skończyło się wino, ale pomyślałem, że szkoda fatygi wieźć tylko to.

– Mam, mam. Załadowana cała fura. I znajdzie się parę drobiazgów dla ciebie.

– No to zajeżdżaj.

W tym momencie opuściłem już swój punkt obserwacyjny i zmierzałem ku wozowi. Trzymałem się przy tym jak najbliżej ściany, żeby mnie strażnik z ulicy nie mógł wypatrzeć. Nie byłem pewien, czy to się powiedzie, ale warto było spróbować. W chwili gdy wóz znowu ruszał, stanąłem ostrożnie na ośce, po czym delikatnie wturlałem się na furę. Koń parsknął niezadowolony, że nagle przybyło mu tyle wagi do ciągnięcia. Wydawało mi się, że gość

stojący w bramie musiał mnie zobaczyć i że woźnica musiał poczuć szarpnięcie, ale nic takiego nie miało miejsca. Wóz z terkotaniem przetoczył się przez bramę i wjechał na wewnętrzny dziedziniec oświetlony samotną latarnią. Zatrzymał się pod ścianą, tuż przy otwartych szerokich drzwiach. Byłem nieomal rozczarowany, że wszystko toczy się tak gładko. Zdusiłem tę myśl. Nie przybyłem tu dla zabawy.

Z zapachów dobywających się z wnętrza budynku wnioskowałem, że gdzieś niedaleko musi znajdować się kuchnia. Wyjrzałem spod płachty. Światła tu było mniej niż na ulicy, dokoła żywego ducha. Wynurzyłem się spod plandeki i wszedłem do środka.

Ruszyłem wąskim korytarzem oświetlonym jedną lampą zawieszoną u sufitu i minąwszy kilkoro drzwi, znalazłem na końcu krótkie schody wiodące w dół. Za nimi znajdowały się zwyczajnie wyglądające, odrapane drzwi. Wystarczyło, że je otworzyłem, i od razu wiedziałem, co się za nimi znajduje. Uderzył we mnie piwniczny chłód i zapach jedzenia. Spiżarnia. Mogłem się ukryć, aż wokoło wszystko się uspokoi, ale nie chciało mi się czekać.

Wróciłem po schodkach na górę i zwyczajnie zacząłem sprawdzać, co się znajduje za kolejnymi drzwiami. Kucharz, w towarzystwie trzech kuchcików, rzucił mi jedynie nienawistne spojrzenie i pokazał ręką, że mam spadać. Za następnymi zobaczyłem trzy stare kobiety z górą naczyń. Tymczasem dosłyszałem, jak na zewnątrz zaczynają rozładowywać furę. W kuchni zadźwięczał dzwonek i ktoś krzyknął: „Zamówienie pod trójkę jest gotowe, ciągnąć!”.

Zorientowałem się, że mają tu windę i kucharz krzyczał do jakiejś tuby głosowej, a może wprost do szybu. Znalazłem schody i wspiąłem się na piętro. Tutaj korytarz był szerszy, lepiej oświetlony, zakończony dwuskrzydłowymi drzwiami ze skomplikowanym wyglądającym zamkiem.

– Czemu to takie ciężkie? – usłyszałem, jak ktoś się trudzi za drzwiami po lewej stronie.

– Bo to całe menu jest, z mnóstwem wina – wyjaśniał mu ktoś inny. – A jak coś zbijesz, to ci tygodniówki nie starczy, żeby to

splacić.

– Tu się przychodzi ruchać czy żreć?

– Akurat tutaj najmniej chodzi o ruchanie. A teraz weź mi tu pomóż. I tylko nie płacz, że to nie twoja robota, masz z tego forszę tak samo jak ja.

A więc to był rzeczywiście burdel, informatorzy Valera mówili prawdę. I to dość osobliwy, skoro ruchanie nie stało na pierwszym miejscu.

Zakładałem, że będę musiał zaraz ich obu uciszyć, ale nie było to konieczne, dali mi czas. Wkroczyli w korytarz, obaj taszczyli wyładowane dobrami stoliki. Zmierzali ku dwuskrzydłowym drzwiom na końcu korytarza, na mnie nawet nie spojrzeli. Mniejszy miał na sobie śnieżnobiały kucharski kaftan, drugi czarne odzienie przywodzące na myśl uniform, ale bez żadnych dystynkcji czy ozdób. Ten nie był ułomkiem. Przewyższał mnie o dwie głowy, dobre dwa metry dwadzieścia, i zbudowany też był niczego sobie. Posturę miał w każdym razie idealną, żeby niesfornych gości pozbyć się siłą.

Postawili stoliki pod drzwiami, kucharz trzepnął olbrzymu po ramieniu.

– Dobra, ja spadam szykować kolejne zamówienie. Jak się nie podzielisz napiwkami, tak ci żarcie doprawię, że tydzień z kibla nie wyjdiesz.

– Nie bój nic, mamy sztamę – uspokoił go Olbrzym.

Kucharz ze wzrokiem utkwionym w ziemię ruszył z powrotem do kuchni, skrupulatnie zamykając za sobą drzwi. Nie chciało mi się wierzyć, że ludzie mogą być aż tak mało spostrzegawczy. Tak czy inaczej, to była dobra wiadomość. Musiałem się martwić tylko o jedno ciało.

Olbrzym wydobył z kieszeni spodni pęk kluczy i zaczął z nimi wojować.

– Zastrany zamek – usłyszałem, jak klnie pod nosem.

Nie chciałem się z nim szarpać, musiałem go jak najszybciej uziemić. Ruszyłem ku niemu bez zbytniego pośpiechu, ale też się i nie skradałem.

Mechanizm najpierw zgrzytnął, po czym zapadki niechętnie wskoczyły na swoje miejsca.

– Nareszcie – burknął.

Kopnąłem go w kość ogonową, głową wyrznął w drzwi. Zanim się zorientował, co się dzieje, poprawiłem ciosem w tył głowy. Bezwładne ciało osunęło się miękko na podłogę. Sprawdziłem drzwi. Otworzyły się. Wyglądało na to, że dostać się gdzieś niezauważonym wcale nie było tak trudno. Złapałem go za nogę, przeciągnąłem przez próg, przenieśliem też stoliki i zamknąłem za sobą. Dopiero teraz się rozejrzałem. Najwyraźniej dostałem się do części przeznaczony dla gości. Ściany z błyszczącego marmuru, sufit tworzyły baldachimy z ciemnoczerwonego jedwabiu. Światło zapewniały srebrne lampy. Końca korytarza nie było widać, przegradzały go zdobione w kwiaty zasłony i parawany. Zaraz po mojej lewej dostrzegłem drzwi z rzeźbionego drewna, zdobione figurami nagich mężczyzn i kobiet wijących się w groteskowych wręcz pozach. Nacisnąłem na klamkę i drzwi się otworzyły. Dostałem się do małego przedpokoju wiodącego do wielkiej sypialni. Dominowało tam łóżko, na którym spokojnie mogłoby się bez większego ścisku wyspać kilka osób. Wystroju dopełniały skrzynie, służące równocześnie jako stoliki. Zajrzałem do jednej z nich i pomiędzy innymi zabawkami znalazłem to, czego szukałem. Pęta i knebel. Olbrzym zaczynał już powoli dochodzić do siebie. Skrępowane mu ręce i nogi, po czym dla pewności związałem je razem za plecami, żeby mu za bardzo nie ułatwiać życia. Zostawiłem go w pokoju. Zamykając drzwi, zorientowałem się, że są dźwiękoszczelne. Zaprawdę osobliwe miejsce.

Drugi pokój też był pusty, ale w trzecim zastałem tłustego nagiego gościa z czarną opaską na oczach. Klęczał z wyciągniętymi przed siebie rękoma, a szczodrze obdarzona przez naturę blondyna w koronkach właśnie trzepnęła go po nich szpicrutą.

Dostrzegła mnie, dopiero kiedy zbliżyłem się i stanąłem przy łóżku.

– Nie przeszkadzaj sobie – powiedziałem.

Na dźwięk mojego głosu gość na kolanach poruszył się niespokojnie.

– Co to...

Pytania nie dokończył, różga znów świsnęła go po palcach.

– Nie powinienes tu wchodzić. Zaraz wezwę ochronę i cię wyrzucą – mówiła spokojnie, po czym kolejnym uderzeniem nakazała klientowi milczeć.

– Do kogo należy ten interes? – spytałem.

– Do pana Lewita – odpowiedziała, po czym poprawiła smagnięciem po udach. – Równno klęcz, niegrzeczny ty – upomniała klienta profesjonalnie, potem sięgnęła za kotarę i pociągnęła za sznur.

Wzruszyłem ramionami. Czemu nie? Jak do tej pory i tak wszystko szło zbyt łatwo.

– A haracz komu płacicie?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła ostrym tonem.

– Ja tu nie chcę żadnego faceta! – zaprotestował mężczyzna.

– Nikt się ciebie o nic nie pytał! – Zasypała go gradem uderzeń, aż zajęczał.

Szczęknęła klamka u drzwi.

– Nie myślałem, że akurat ty będziesz potrzebować pomocy, Leona – rozległo się z przedpokoju.

Do pomieszczenia wszedł zwalisty chłop w uniformie podobnym do tego, który miał na sobie związany przeze mnie olbrzym.

– A ty co tu robisz? – rzucił na mój widok zaskoczony.

Nie przeszkodziło mu to w tym, aby się na mnie rzucić bez zwłoki. Nie miałem ochoty na jakieś finezyjne zapasy, więc wyskoczyłem mu na spotkanie. Jego pięść otarła się tylko o moją skroń, a ja uderzyłem go otwartą dłonią w pierś. Wyglądało to tak, jakby rozpędzony powóz walnął w ścianę. Zgiąłem rękę w łokciu i ramieniem zahaczyłem go pod brodę, posyłając plecami płasko na podłogę. Zanim złapał oddech, kopnąłem go raz w krocze i drugi raz w bok, łamiąc żebra.

– Jest tylko jeden? – spytałem blondynę.

– Mary jest dobry – powiedziała rozdrażniona – no ale ty jesteś lepszy. – Wzruszyła ramionami. – Zazwyczaj pilnuje nas dwóch, ale może dlatego, że to ja dzwoniłam, przyszedł sam. Zwykle radzę sobie z klientami bez pomocy.

Mężczyzna sięgnął do opaski, chcąc ją zdjąć, szpicruta świsnęła i trafiła w jego sflaczałe przyrodzenie.

– Au!

– Na nic takiego ci nie pozwoliłam!

Nagle jego przyrodzenie nie było już sflaczałe. Kto by pomyślał, że ból może przynosić i takie skutki. Dałem im chwilę na załatwienie spraw, po czym zadałem kolejne pytanie.

– Gdzie znajdę biuro pana Lewita?

– Nie ma biura, ma pracownię. Na parterze. Zajmuje się bezpośrednimi kontaktami z klientami – odparła.

Mary wciąż leżał na ziemi w bolesciwej pozycji, ale wyglądało na to, że przeżyje. Przesząpiłem go i wyszedłem na zewnątrz. Przyszło mi do głowy, żeby wrócić i jeszcze raz sprawdzić drzwi. Tkwił w nich klucz. Zamknąłem blondynę z Marym i klientem, klucz złamałem w zamku i kontynuowałem wycieczkę.

W kolejnym apartamencie znalazłem łysiejącego starucha z dwiema dziewczynami, które były za młode nawet na bycie jego wnuczkami.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – wrzasnął na mnie wściekle.

To było dobre pytanie. Sam do końca nie wiedziałem. Trzasnąłem go ręką na odlew, aż mu z nosa wyfrunął krwawy glut, który wylądował na zwierciadle i zaczął po jego powierzchni mozolną drogę w dół.

– Ty łachudro!

Przypomniałem sobie, że nie jestem tu przecież sam. Spojrzałem na starego, który trzymał się za nos. Dziewczyny w tym czasie uciekły na najdalszy kraniec łóżka. Miały na sobie jedynie prześwitujące koszule, były to jeszcze dzieci. Normalny facet nawet by się za nimi nie obejrzał.

– Pomocy! – wrzeszczał łysielec.

– Tu jest wszystko dźwiękoszczelne – wyjaśniłem mu. – Sznur alarmowy powinien być po tamtej stronie – przypomniałem dziewczynom.

Gdyby chciały wezwać pomoc, musiałyby przejść koło mnie, ale nie miałem zamiaru im przeszkadzać.

– Kto jest właścicielem tego zacnego interesu? – spytałem.

– Nie wiem, jestem klientem. Ja za wizytę zapłaciłem! – wściekał się na mnie staruch. – Dotknij mnie raz jeszcze, a każę z ciebie pasy drzeć.

Nawet był odważny, to mu trzeba przyznać. Trzepnąłem go ponownie, a że trzymał ręce przy twarzy, paznokciem rozciął sobie skórę.

– Jestem sędzia Kelewan, ze mną nikt nie będzie pogrywać! – rozwrzeszczał się.

– Kto jest właścicielem tego interesu? – powtórzyłem.

Blondyna mogła kłamać, a ja chciałem mieć pewność. Kelewan rzucił się na sznur i zaczął nim szarpać tak wściekle, że aż go urwał. Ilu tu jeszcze mogli mieć ludzi? Chyba niezbyt wielu. Tak jak przypuszczałem, nie przyszedł nikt. W końcu wydobyłem z Kelewana imię – Lewit. Spróbowałem spytać go o historię z płaceniem haraczu, w końcu jako sędzia mógł mieć w tych sprawach rozeznanie, ale nic więcej mi nie powiedział, a ja go już ostrzej nie chciałem przepytawać. Te dwie dziewczyny przez cały czas obejmowały się nawzajem i wyglądały na kompletnie przerażone. Nie do końca je rozumiałem. No, dostał parę razy w dziób, stracił kilka zębów. One znacznie więcej.

– Na waszym miejscu bym się stąd wynosił – poradziłem im. – Mam wrażenie, że ten interes będzie przez jakiś czas zamknięty. Z powodu niedoboru personelu.

Sędziego Kelewana zostawiłem na łóżku. Od teraz, jak będzie sądzić, będzie się przy tym mniej uśmiechać. O ile jeszcze mu kiedyś będzie do śmiechu. Nie byłem co do tego przekonany.

Przeszedłem do końca korytarza i marmurowymi schodami zszedłem na parter, do innej części budynku. Znalazłem się w pomieszczeniu z barem i kilkoma stolikami do gry w karty. Po

prawej otwierało się wejście do sali jadalnej, w której nad talerzami prowadzili pogawędkę dwaj mężczyźni. Coś bardziej w stylu luksusowego klubu towarzyskiego niż restauracji czy gospody. Barman trochę od tego charakteru odstawał. Barman najwyżej w jednej piątej, reszta to wykidajło. Skórę miał równie ciemną, co jego ubranie. Na razie obserwował mnie podejrzliwie, ale nie reagował. Drzwi wiodące do części gospodarczej, przez którą oryginalnie dostałem się do budynku, otworzyły się i stanął w nich mój stary znajomy Olbrzym, a z nim jeszcze dwóch ludzi.

– To on! To on mnie zaatakował! – wskazał na mnie wielkolud.

Jak on mógł się tak szybko wyswobodzić? A ten złamany klucz? Na nic już nie można liczyć w dzisiejszych czasach.

– Brać go. Szybko i możliwie cicho – przykazał ostatni z wchodzącej trójki. Był najmniejszy, w prążkowanym odzieniu ze zdobionym kołnierzem, błysk zapinek do mankietów miał w sobie brylantową jakość. Mógłbym się założyć, że to był właśnie Lewit.

– Brać go? Tak na ostro, panie? Tutaj? – zatrzymał się w pół kroku kumpel Olbrzyma.

Ciemne włosy splecione w warkocz, masywne czoło i płaski nos koczowników z puszczy. Z jego reakcji wnioskowałem, że czasem brali kogoś na ostro, ale niekoniecznie w tym miejscu.

– Tak jak powiedziałem. Żaden obwieś nie będzie mi się tu szwendał. Z gośćmi to potem sam załatwię.

Barman przeskoczył przez kontuar z gracją czarnej pantery. W ręku trzymał solidny obuch. Nareszcie coś się zaczynało dziać. Sięgnąłem po stół karciany i wyłamałem dwie nogi. Masywne, wyrzeźbione z jednego kawałka dębiny, ozdobne reliefy. Bardzo ładne. Olbrzym z Płaskogębym też wyciągnęli obuchy. Może były na wyposażeniu. W sumie nawet rozumiałem. Do radzenia sobie z niesfornymi klientami nadawały się lepiej niż broń ostra.

Machnąłem na próbę ręką, zaświszczało powietrze. Zawahali się. Może nie podobało im się to, z jakim zadowoleniem się uśmiechałem.

Barman już na mnie mknął, próbując zaskoczyć. Zamiast robić unik, zmniejszyłem dystans, obuch nieszkodliwie musnął mnie

w ramię. Ściąłem napastnika z nóg i jeszcze w locie rąbnąłem go w kark.

Olbrzym i Płaskogęby byli już przy mnie. Dostałem w ramię, tym razem mocniej, ale pod kątem. Drugie uderzenie zasłoniłem, sam trafiłem Płaskogębego w splot słoneczny. To go zatrzymało. Odbiłem cios Olbrzyma, który zamiast zamachnąć się jeszcze raz, rzucił się na mnie, chciał złapać za gardło. Docisnąłem brodę do piersi i łupnąłem go łokciem w twarz, co mi dało dość miejsca, żeby zamachnąć się dębową nogą i trzasnąć go w obojczyk. Kość wytrzymała, drewno nie. Chciał mnie uwięzić w uścisku, aby wykorzystać moją utratę broni, ale był zbyt powolny. Zdołałem się cofnąć i tym razem obiema nogami uderzyłem go w obojczyki. Tego już nie zniósł i zaczął się osuwać na ziemię. Zanim jej sięgnął, zdążyłem go jeszcze dostać z obu stron w głowę. Na podłogę dotarł nieprzytomny. Było zostać w pokoju, łachudro.

Płaskogęby zdołał już złapać oddech i ostrożnie wstawał. Pierwsze uderzenie nogą od stołu zdołał przedramieniem odbić na bok, drugiego już nie. Walnąłem go jeszcze trzy razy, najszybciej jak tylko zdołałem. Przy ostatnim uderzeniu mój prowizoryczny obuch się złamał, ale on już tego nie zarejestrował. Tymczasem barman był już z powrotem na nogach, skądś mu się udało wyciągnąć kindżał. Ostrze miał mocno zakrzywione, praktycznie pozbawione czubka. To była broń przeznaczona wyłącznie do cięcia. Jego problem.

Zbliżyłem się do niego, ale wtedy uświadomiłem sobie nagle, że w prawej ręce trzymam jedynie ułomek dębowej nogi. Cisnąłem nim w twarz przeciwnika, uniknąłem cięcia, skuliłem się i wpadłem na niego całą masą ciała, aż wyłożył się plecami na barze. Przyłożyłem mu w skroń, w kark, znów w skroń. Drasnął mnie w plecy i próbował odciąć mi ucho. Upuściłem niepotrzebny mi już drugi ułomek stołowej nogi, złapałem barmana obiema rękami za głowę i szarpnąłem do tyłu. Przed złamaniem karku uchroniła go lada, o którą uderzył potylicą. Przydzwoniłem więc jego czaszką jeszcze raz i jeszcze raz.

Ku mojej satysfakcji natychmiast zwiotczał. Puściłem go. Osunął się na podłogę bez czucia, jego broń upadła z głośnym brzęknięciem.

Nareszcie coś się działo. Czułem się o niebo lepiej niż na początku tego wieczora, żywy, kipiący wręcz życiem. Ci dwaj z jadalni podczas naszej potyczki prysnęli, ale Lewit wciąż stał w miejscu, jakby się nie mógł zdecydować, czy ma uciekać, czy nie.

– Jesteś sam – powiedział, jakby dopiero teraz się zorientował i nadal nie był w stanie w to uwierzyć.

– No jestem, co mam nie być?

Powoli do niego podszedłem.

– Jesteś wariat, nie masz pojęcia, w co się wplątałeś. – Kręcił głową, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Pogadamy sobie w twoim biurze – zaproponowałem.

Dopiero teraz jakby dotarło do niego, że pora pryskać, ale było już za późno. Chwyciłem go za ramię i ścisnąłem, aż jęknął.

– Nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. Jesteś trupem – powtórzył.

Miał rację w jednym i drugim. Zaciągnąłem go do jego biura, które wyglądało bardziej jak wystawny apartament. Zarządzał stąd kwestiami administracyjnymi, ale widać było, że pomieszczenie urządzone zostało przede wszystkim pod kątem spotkań ze szczególnymi klientami.

Na przykład sędzią Kelewanem.

– Ten interes jest twój? – spytałem go.

Lewit wbił wzrok w dywan leżący pośrodku pokoju. Wełnisty, gruby, zdobiony bogatym wzorem. Taki kobierzec służył całym generacjom. Wiedziałem, skąd pochodzą – z osad ukrytych w głębokich górskich dolinach. Kobiety z dzikich plemion tkwały je tam z najlepszej jakości wełny i jedwabiu. Te najpiękniejsze warte były więcej niż ich waga w szczerym złocie.

– Nic ci do tego, głupolu.

Wyraźnie zubożał i nagle poczułem, jak ulatuje ze mnie mój wcześniejszy dobry humor. Krótka potyczka z ochroną poprawiła go jedynie na moment. Na stole z polerowanego mahoniu stała wysoka szklanica, pływały w niej wciąż kostki lodu. Lód o tej porze roku to była prawdziwa rzadkość. Chwyciłem naczynie i zważyłem w dłoni,

po czym rzuciłem nim Lewitowi w twarz, która pokryła się odłamkami szkła i krwią.

Kto kogo



Rzecz przemieszczała się powoli w mroku. W ostatnich dniach zeszła na niższy poziom podziemi, aby trzymać się z dala od wysuszającego upału i palących promieni słońca przedostających się gdzieś z powierzchni. W ciszy i spokoju wykorzystwała ten czas na doskonalenie się w transformacjach według wyuczonych wzorów napotkanych dotąd stworzeń. Wciąż najdogodniejszą dla niej formą pozostawała gruba na pół dłoni warstwa śluzu poruszająca się na niezliczonej liczbie nibynózek, obramowana po obwodzie rzędem prymitywnych oczu, które rozróżniały jedynie światło i ciemność. Kolory nie były istotne. Ze szczurzych zębów zrezygnowała, nie były jej potrzebne. Kiedy chciała spożyć jakąkolwiek materię, absorbowwała ją całą powierzchnią swej istoty.

W podziemiach rozległ się dźwięk. Nie niósł się z góry, ale z tego samego poziomu, na którym znajdowała się Rzecz. Na dźwięki była bardzo wyczulona, odbierała je całą powierzchnią swego ciała i umiała precyzyjnie określić, skąd pochodzą. Ten dźwięk był nowy, nie rozpoznawała go. Zmieniła kierunek i ruszyła wąskim ceglanym tunelem, który na dawno zapomnianych planach oznaczony był jako pomocniczy kanał przelewowy.

W pewnym momencie twarde podłoże skończyło się i ustąpiło miejsca mieszaninie gruzu, kamieni i grubego żwiru. Powietrze było tu bardziej suche i Rzecz nie czuła się w nim najlepiej. Traciła w nim swą ZWIĘZŁOŚĆ. Zdecydowała, że przez jakiś czas powinna dać radę. Była ciekawa źródła dźwięku i ta ciekawość zdawała się w niej silniejsza niż obawy. Tym bardziej że wydawało jej się, że słyszy również jeszcze inne dźwięki. Na samej granicy słyszalności, zbyt nikłe, aby można choćby próbować odgadnąć ich pochodzenie. To ją

ciekawilo jeszcze bardziej. Powoli, niczym gigantyczna płaska gąsienica posuwała się dalej.



Reagował na imię Morderca. Jeszcze jako szczeniak przerósł swą matkę, sukę wytrenowaną do walki z innymi psami. Jego ojcem był pies należący do nieokreślonej rasy hodowanej przez pasterskie plemiona z pogórza. Ziemia tam była zbyt uboga, by się z niej wyżywić, ale też zbyt bogata na to, aby ją zostawić odłogiem. Złośliwi mówili, że tamtejsze psy nie słuchają swych panów, ale jedynie towarzyszą im dopóty, dopóki jest im wygodnie. I że kiedy znudzą się pilnowaniem nieprzebranych stad owiec, kóz i bydła, kiedy zbyt długo nic interesującego się nie dzieje, wypuszczają się samopas do lasu, by zapolować na niedźwiedzie.

Matkę zabili mu złodzieje próbujący okraść dom jego ówczesnego pana. Udało im się ująć z łupem, ale szczęście skończyło się, kiedy dopadł ich na rozstajach. Jednemu przegryzł gardło, drugiemu zmiażdżył czaszkę. Niestety, stracił przez to dom, bo tak wielkiego psa zabójcy wszyscy się bali. I tak oto skończył jako stróż kradzionego dobra w jednej z niezliczonych kryjówek na obrzeżach Grafzaty.

Z drzemki wyrwał go zapach, który był zupełnie obcy, nie przypominał niczego, z czym miał w życiu do czynienia. Morderca zerknął w kierunku beczek, których pilnował. Jego nowy pan traktował go dobrze. Karmił do syta, czasem się z nim bawił i Morderca starał mu się jak najlepiej odwdzińczyć. A przy tym czerpał z tego również niemało radości. Jak wtedy, kiedy kryjówkę odkryli dwaj bracia i myśleli, że we dwóch z jednym psem łatwo dadzą sobie radę.

Morderca zaczął wietrzyć, zapach zyskiwał na sile, stawał się wręcz drażniący. Pies nie zdołał przyporządkować go do żadnego żywego stworzenia. Nie drgnął jednak, nie otworzył nawet oczu. Leżał nadal z łbem na łapach, z pyska wystawał mu długi, różowy język. Było gorąco.

Rzecz dostrzegła psa. Śpiącego psa. Wzór psa już знаła i wypróbowała, ale nie czuła się z nim jeszcze zbyt pewnie. Ze szczurami radziła sobie dużo lepiej. Wielkimi szczurami z zębami zakrzywionymi jak szable, które w porównaniu z prawdziwymi szczurami z kanałów wyglądały niczym wyszkolony zabójca przy wieśniaku. Przyciągnęła do siebie wszystkie rozciągnięte po przejściu wąskim kanałem części i zaczęła tworzyć zarodki wojowników. Może prymitywnych i ograniczonych, ale silnych i nieznających strachu.

Morderca przyglądał się spod przymrużonych powiek, jak z bezkształtnej materii powoli formują się kształty, które coraz bardziej zaczynają przypominać wielkie, przerośnięte szczury. Po chwili zaczęły nawet pachnieć jak szczury.

Jeszcze kilka ostatnich detali, aby SZCZURY-KOŃCZYNY były doskonale przygotowane do użytku. Rzecz poczuła coś na kształt zadowolenia. Stawała się coraz lepsza w tworzeniu kopii.

Morderca skoczył. Pierwszego szczura przegryzł na pół, drugiemu odgryzł łeb, trzeciego złapał tylko zębami, ale szarpnięciem głowy rozerwał go od pachwin aż po gardło. Czwarty szczur wbił w niego kły, ale było to ledwie draśnięcie. Niemal w tej samej chwili skończył na ziemi w dwóch kawałkach.

Rzecz w panice asymilowała porozrzucone kawałki swego ciała i tworzyła wciąż nowe szczury, ale Morderca rwał je na strzępy ze wściekłością pomieszaną z dziką radością. Każde zranienie, każdy nowo uformowany szczur osłabiały Rzecz coraz bardziej, podczas gdy olbrzymi pies wyglądał, jakby doskonale się bawił i miał niespożyte siły.

Szczury nie starczały. Rzecz sięgnęła w swej świadomości po częściowo tylko opanowany wzór psa i nie bez bolesnego wysiłku zaczęła go kopiować. Na szczęście uporała się z tym szybciej, niż się spodziewała. Morderca, podążając za instynktem, już zbierał się w sobie, by rzucić się na nieprzyjemnie pachnący śluz, z którego wyłaniały się szczury, ale nowy przeciwnik – pies, to było coś o wiele bardziej obiecującego. Zagryzł go równie szybko, co tego pierwszego szczura, drugiego tak samo.

Rzecz uświadomiła sobie, że nawet identyczne wzorce mają znacznie różniące się od siebie warianty. Forma psa, z którym się właśnie zetknęła, była o wiele bardziej śmiercionośna niż te, które poznała do tej pory. Proces szybkiego uczenia się, doskonalenia kopiowanych form w trakcie walki był bolesny, na granicy agonii, ale mimo to zdołała osiągnąć jeszcze lepsze efekty.

Przed Mordercą pojawiła się nieidealna, niemniej prawie identyczna kopia jego samego. Z tak imponującym przeciwnikiem jeszcze się nie zetknął. Jego ojciec wszak zabijał niedźwiedzie, Morderca nie bał się nikogo i niczego. Pojedynek był zaciekły, ale krótki. Nieprzyjacielski pies-Rzecz leżał na ziemi z rozszarpaną pierśią, jego łapy miotają się w nieskoordynowanych konwulsjach. Morderca powodowany instynktem zrozumiał, że zwyciężyć może jedynie wtedy, gdy swego przeciwnika doszczętnie unicestwi. Zaczął więc szybko pożerać jego ciało. Nie przeszkadzało mu, że gorąca przed chwilą krew jeszcze w jego pysku zmieniała się w nieokreśloną materię bez smaku. Jego sokom trawiennym nie robiło to żadnej różnicy. Co więcej, z każdym przełkniętym kęsem wracały mu siły.

Rzecz poczuła coś, co musiało być paniką. Nie chciała, aby jej egzystencja dobiegła końca, nie chciała kompletnie zniknąć. Energia i materia, które jej zostały, były wystarczające na dwie, może trzy kolejne kopie Mordercy, nie więcej. A przecież z pierwszą poradził sobie tak łatwo.

Zabójczy pies pożywiał się dalej, a Rzecz uświadomiła sobie, że dzięki temu się przemienia, wzmacnia. Jak to było możliwe, że tak łatwo poradził sobie z jej tworem? Czy równie łatwo może sobie poradzić z kolejnym? Z kolejnymi?

Odpowiedź była prosta – może. Co robiła źle?

Morderca czuł się silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. I mądrzejszy. Już nie chciał tkwić w podziemnej celi. Chciał się wydostać na zewnątrz. Potem się zobaczy, co dalej.

Rzecz, motywowana instynktem samozachowawczym, próbowała znaleźć przyczynę, dla której jej twory radziły sobie tak mizernie. Wzór fizyczny naśladowała starannie i dokładnie, jednak nie

poświęciła wystarczającej uwagi aspektom niematerialnym. W przypadku szczurów nie robiło to większej różnicy, jednak pies był o wiele bardziej złożony. Jeśli jej kopia miała przetrwać, musiała w nią tchnąć te same doświadczenia i zdolności, którymi dysponował jej przeciwnik. A jeszcze lepiej, jeśli stworzy ich więcej, ile tylko zdoła.

Morderca przełknął ostatni kęs zieleniejącej tkanki. Czuł się pełny, czuł się naładowany siłą i energią. Resztki jego przeciwnika szybko się przemieniały w bezwonny, lepki śluz, na który nie miał już apetytu. Tymczasem pojawili się przed nim trzej nowi przeciwnicy. Wielkie, zabójcze psiska, jak on sam. Morderca nie bał się nikogo i niczego. Wściekle rzucił się na nie.

Rzeczy w psiej formie podkuliły przednie łapy. Z trudem je z powrotem wyprostowała. Opanowanie nowego ciała wytworzonego według wzoru niesło ze sobą wiele nowych możliwości, ale również wyzwań. Teraz zaś ją ocaliło.

Spoglądała z góry na rozszarpane ciało Mordercy. Krew przestała już z niego ciec, ale esencja życia, wzory, na których jej zależało, wciąż jeszcze się w nim tliły. Ta konkretna psia forma miała w sobie coś, co ją nieomal zniszczyło. Musiała to zasymilować, przeanalizować i zrozumieć, aby mogła to wykorzystać w przyszłości, aby nigdy więcej nie spotkało jej nic tak bolesnego. W tym celu musiała pochłonąć, skonsumować całą materię, w której te wzory się znajdowały.

Rzecz zaczęła się łapczywie żywić, ale nagle zaskoczył ją dotyk pyska... jej samej. Nagle zrozumiała, że rozdzieliła się na trzy równoważne istnienia, każde z własną inteligencją, własną wolą. Jedną zdołał dopaść Morderca, zanim sam został pokonany. Pozostalej formie wydała mentalny rozkaz, aby się jej podporządkowała, aby się zasymilowała z powrotem, ale równocześnie poczuła identyczny impuls nadchodzący z jej strony.

Podzieliła się na części, z których teraz żadna nie chciała zaprzestać indywidualnego istnienia, żadna w tym samym stopniu nie chciała zaniknąć na dobre. W pośpiechu przełknęła ostatni kęs martwego przeciwnika i zaczęła się mierzyć z samą sobą,

przygotowana na bój jeszcze zacieklejszy niż ten poprzedni. Nie miała pojęcia, kto będzie w nim triumfował.

Sprawy codzienne



Tomas Kurzer zatrzymał lekki powóz w pobliżu bram targowiska. Nosiło nazwę Jedwabnego Targu i znajdowało się na pograniczu zamieszkanego głównie przez kupców dzielnicy luksusowej i rzemieślniczej. Jedwabny Targ należał do tych najbardziej ekskluzywnych w mieście, w tym sezonie był w modzie i częstokroć przychodzili tu na zakupy osobiście najbogatsi mieszkańcy miasta.

Kurzer szarmancko otworzył drzwiczki i podał Zuzannie ramię, aby pomóc jej zejść po wąskich schodkach. Gdyby nosiła modne trzewiki z wąskimi noskami i jeszcze węższymi obcasami, z pewnością by go potrzebowała. Ona wybrała jednak specjalnie zamówione lakierki na niskim koturnie i o czubkach krótszych i mocniej zaokrąglonych, niż pozwalała na to obecna moda. Szlachciance z prowincji powinno się wybaczać więcej, argumentowała, kiedy zaprotestowały jej służki. Wciąż jeszcze nie wybrała swojej garderobianej, co jej trochę utrudniało życie, ale nie chciała siać między nimi zawiści. Może mogłaby mieć dwie garderobiane, ale oznaczałoby to konieczność zatrudnienia nowej służącej. Cała ta etykieta dotycząca służby była o wiele bardziej skomplikowana, niż przypuszczała. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że kiedyś będzie musiała martwić się takimi sprawami. Pobocznymi, pomyślała, ale zaraz sobie przypomniała stare powiedzenie, że nie jest poboczne nic, co służy jakiemuś celowi.

– Teraz powinienem wam otworzyć i przytrzymać drzwiczki – powiedział Kurzer, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Nie przestawał przy tym obserwować okolicy.

– Ta kolaska nie ma drzwi – odparła pragmatycznie.

– Ale przynajmniej sprawiła, że mogę być wam bardziej pomocny. – Znów błysnął zębami. – Niemniej ktoś o waszej, pani, pozycji powinien mieć przyzwoity kryty powóz.

Człowiekowi, który się do nich nieznacznie zbliżał, rzucił wysokim łukiem monetę. Sądząc po odblasku, sztukę srebra.

– Woda i obrok dla konia, ale porządne, bo jak nie, moja pani będzie mi ciosać kołki na głowie, więc i tobie się oberwie – huknął.

W pierwszej chwili brzmiało to jak groźba, ale w rzeczywistości Kurzer zawarł z nieznanym człowiekiem męskie przymierze – dał tamtemu do zrozumienia, że łączy ich ciężka praca wykonywana dla innych. Tomas Kurzer miał podejście i do kobiet, i do mężczyzn. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę i wykorzystywał to, jednak był przy tym całkiem... czarujący. Jeszcze dziesięć lat temu być może działałoby to i na nią, pomyślała z lekkim rozbawieniem.

Kolejny z obstawy, Gruber, stanął o krok od niej. Lewa ręka luźno wzdłuż ciała, tuż koło miecza, w prawym rękawie ukryty nóż o solidnej, ostrej jak brzytwa klindze. Gruber wyglądał trochę niezgrabnie. Był odrobinę za szeroki w bokach, poznaczona bliznami po ospie twarz nadawała mu nieco dziki wygląd, ale Zuzanna całkowicie mu ufała, a przy tym do jej osobistej eskorty wybrał go sam Valer.

Kurzer wydawał się zadowolony z sytuacji wokół, pomógł zejść również Katrin. Ta się do niego kokieteryjnie uśmiechnęła. Zuzanna zastanowiła się chwilę nad tym, które z nich powinna bardziej mieć na oku, ale postanowiła jednak skupić się na ważniejszych sprawach.

– Będziemy potrzebować tragarzy – przypomniała.

– Ale ja mogę wiele unieść, pani – zaprotestowała Katrin – a i nasi mężczyźni przecież nam pomogą.

Ruch na ulicy nasilał się z każdą chwilą. Przybyli wcześniej, ale nie na tyle wcześniej, aby zrobić zakupy bez tłoku. Wśród otaczających ich ludzi doświadczone oko Zuzanny dostrzegło trzech kieszonkowców, którzy stopniowo się do nich przybliżali. Węszyli w niej i jej orszaku tłustą zdobycz.

– Nie będą nam pomagać – wyjaśniła jej Zuzanna – bo są tu dla naszego bezpieczeństwa, a nie po to, żeby nosić ciężary.

Katrin skinęła głową. Może nie była z miasta, ale wiele się już zdążyła nauczyć, i to w bardzo krótkim czasie.

– Hej! – zwróciła się do grupy mężczyzn stojących przed bramą targowiska. Poubierani byli w czyste, ale znoszone robocze spodnie i koszule. – Potrzebujemy tragarza na zakupy.

– Lepiej trzech – odpowiedziała jej Zuzanna półgłosem.

– Trzech! – powtórzyła głośno Katrin. – Miedziak z góry, dwa po robocie – zaproponowała stawkę.

– Połowę bierzemy z góry – odezwał się najmłodszy z grupy.

– Tyle że normalna stawka to dwa miedziaki – zbyła go Katrin.

W tym czasie trzech inni mężczyźni ruszyli w ich kierunku, zostawiając młodziaka daleko w tyle. Zuzanna skinęła głową i Katrin wręczyła im wszystkim po miedziaku.

Każdy z nich przyjął monetę ceremonialnie, po czym wszyscy w ostentacyjnie widoczny sposób schowali je do kieszeni. Według miejscowych zwyczajów oznaczało to, iż przyjęli zlecenie. To uczyniwszy, zajęli miejsce z tyłu ich niewielkiego orszaku. Zuzanna uświadomiła sobie, że wszyscy byli powyżej pięćdziesiątki.

– Im starsi, tym godniejsi zaufania. Nie uciekają z towarami – wyjaśnił Kurzer, jakby słyszał jej myśli.

Skinęła głową i dała znak, że czas ruszać. Gruber szedł zaraz po jej prawej stronie, Kurzer o krok w tyle, rozglądając się bacznie. Wprawdzie towarzyszyli jej uzbrojeni po zęby żołnierze, ale mimo to, nabrawszy głęboko powietrza, zanurzyła się w wir ludzi, targowania się, przekrzykiwania, mieszanie kolorów, zapachów i dźwięków, jakby była sama, zdana wyłącznie na siebie. Kiedyś lubiła tego typu miejsca, miała poczucie, że w razie potrzeby może się w nich łatwo zgubić. Teraz, odgrywając rolę szlachcianki, zmieniła się w wyeksponowany cel. Musiała się do tego przyzwyczaić.

– Naprawdę potrzebujemy aż trzech tragarzy, pani? – dopytywała się Katrin. – Jeden by przecież wystarczył.

– Musimy zakupić jedzenie dla trzydziestu ludzi, z których większość to wiecznie głodni mężczyźni. Im trochę bitej śmietany nie wystarczy – odpowiedziała jej chłodno Zuzanna i ruszyła ku najbardziej zatłoczonej części targowiska. Mijała kramy z krewetkami, małżami i rybami, pewna, że gdzieś znajdzie przyzwoitą jagnięcinę, wieprzowinę i wołowinę.

– A czemu kucharz nie może zrobić zakupów? To przecież jego praca – nie odpuszczała Katrin, jakby się czuła osobiście urażona koniecznością wyprawy na targ.

– Już raz zrobił – odparła Zuzanna sucho – kupując żarcie dla psów za cenę delikatesów. Ale może to ja się mylę, może takie są tutejsze ceny. Chcę się sama przekonać.

A przy tym zapoznać się z miastem, z tym, co się kupuje, co się sprzedaje i o czym się plotkuje. Z ludźmi, z ich codziennym życiem. To już jednak zachowała dla siebie.

– Zaczyna pani, mam najlepsze jedwabie, aksamit, muślin i inne tkaniny, delikatne niczym sen – kusił ją sprzedawca ze straganu zajmującego trzy miejsca targowe.

Zuzanna rzuciła mu tylko krótkie spojrzenie.

– Madame, będziemy potrzebować dostawcy materiałów, przecież w salonie to będzie dużo, dużo drożej – szepnęła jej do ucha Katrin.

Zdążyła się już zorientować, że baronówna stara się unikać zbędnego gadania. Zuzanna podała jej swoją wizytówkę.

– Powiedz mu, żeby się stawił w pałacu, i umów spotkanie. Niech przyniesie ze sobą pełen asortyment – przykazała.

Katrin chciała zaprotestować, ale spojrzenie Zuzanny usadziło ją w miejscu. Baronówna przeszła kawałek dalej, dając do zrozumienia, że nie jest zainteresowana dyskusjami ze służącą. Jednak zatrzymawszy się przy kramie złotniczym, bacznie ją obserwowała. Chciała się dowiedzieć, na ile i w jakich sytuacjach może polegać na swojej służbie. Ruszyła dalej w tłum kupujących, zanim dziewczyna zakończyła pertraktacje.

Zuzanna rozglądała się bacznie i obserwowała sprzedawców. Zdążyła się już zorientować, którzy wystawiają tylko część swojego

asortymentu, ale gotowi są dostarczyć go w większym wyborze. Ci byli tu jednak w mniejszości. Zanotowała w myślach, że będzie musiała się dowiedzieć, gdzie handlują w hurcie. O ile w ogóle taki targ tu istniał.

– Uzgodnione, moja pani – dogoniła ją lekko zdyszana Katrin.

– Doskonale – weszła jej w słowo Zuzanna, zanim tamta zdołała coś dodać. – Teraz idź i rozejrzyj się za innymi handlarzami tkanin. Jak ci się któryś spodoba, umów go również. – Podała Katrin trzy kolejne wizytówki. – I weź ze sobą Tomasa, żebyś nie musiała iść sama.

Zuzanna mówiła na wpół nieobecny tonem, jej uwagę przykuwał stragan, który tu zupełnie nie pasował, wyglądał, jakby zasypany był zwyczajną tandetą. Może nie były to rzeczy aż tak bezużyteczne, ale inaczej Zuzanna nie zdołała ich określić.

– Madame, ale przecież ja mam ochraniać przede wszystkim was – zaprotestował żołnierz.

– Gruber się mną zaopiekuje. Zresztą chcę już iść prosto do sprzedawców mięsa – zbyła go. – To jest rozkaz, poruczniku! – dodała, kiedy dalej wyglądał na nieprzekonanego.

– Rozkaz, madame – skapitulował.

– Tylko mi tu zasalutujcie, a spędzicie tydzień o chlebie i wodzie. – Pogroziła mu palcem.

Już wiedziała, co przykuło jej uwagę, już nie musiała się nad tym zastanawiać.

– Kiedy zachowujecie się i wydajecie rozkazy jak prawdziwy oficer – zaprotestował.

– Jestem waszym dowódcą, ale jako baronówna, nie jako żołnierz – parsknęła. – Obejdziemy się bez salutowania. Gruber i wy – wskazała na tragarzy – za mną.

Zostawiła Katrin z jej zmartwieniami i ruszyła ku straganowi. Tworzył go tak naprawdę zadaszony dwukołowy wózek, utrzymywany w równowadze przez składaną podpórkę. Zuzanna zauważyła z zaskoczeniem, że sprzedawcą jest młoda kobieta, w podobnym wieku jak ona sama. Odziała się w luźne szaty, jednak nie były one w stanie całkiem zamaskować jej kształtów. Tak samo

jak chusta na głowie nie skrywała jej lśniących niczym odlewany brąz włosów.

Zuzanna poczuła do niej nagłą, instynktowną sympatię. Pochyliła się nad wystawionymi towarami, jakby ją zainteresowały, jednak nie była to prawda. W istocie jej uwagę przyciągał kawałek kryształu opleciony srebrnymi drucikami i zawieszony z boku, jakby nie był przeznaczony do sprzedaży, ale należał do handlarki. Tymczasem, wbrew jej zamiarom, zainteresowały ją też pozostałe wystawione towary. Ciekawie i kunsztownie wykonana biżuteria, zdolna zainteresować miejscowe elity, aczkolwiek nie zrobiona z najdroższych materiałów. Dzieło mistrza i geniusza, pomyślała Zuzanna. Lubiała artystyczne przedmioty i podziwiała tych, którzy potrafili je wykonywać.

– To twoje dzieło? – zapytała.

Kobieta przytaknęła.

– Piękne.

– Kupisz coś? Kupicie coś, pani? – poprawiła się z ociąganiem sprzedawczyni, jakby w istocie nie chciała niczego sprzedać. Nie chciała, ale była zmuszona.

– Owszem. Jak się nazywasz?

– Alma Turi. Mieszkam tutaj, na skraju targowiska, dlatego mogę tu sprzedawać.

Zuzanna wskazała dyskretną tiarę z brązu ozdobioną czarnymi turmalinami i parę kolczyków z zielonymi kamieniami, których nie zdołała rozpoznać. Jako trzecią rzecz wybrała opleciony srebrem kryształ wiszący z boku.

Alma Turi wyraźnie się zawahała.

– Chcę te trzy rzeczy – powiedziała Zuzanna, zanim jubilerka zdążyła zaprotestować – i zapłacę za nie taką cenę, jakiej zażądasz.

Kobieta zawahała się.

– Dwadzieścia złotych – wyrzuciła wreszcie z siebie.

Zuzanna zdusiła uśmiech. Dobrze odgadła. Alma Turi nie chciała niczego sprzedawać. Nie wiodło się jej, potrzebowała pieniędzy, a mimo to nie chciała się swoich wyrobów pozbywać. Wszystko, co leżało na straganie, nie było razem warte dwudziestu złotych.

– Dobrze – zgodziła się – ale do każdego przedmiotu, który wybrałam, dodasz mi historię. Opowiesz mi o tym, jak je wykonałaś.

Dwadzieścia złotych to była suma, na którą dobry rzemieślnik, a nawet i przyzwoity sklepikarz musiałby pracować dwa, trzy miesiące.

– Oczywiście, pani – zgodziła się Alma. – Za takie pieniądze wymyślę wam dowolną historię.

– Nie chcę zmyślonych, chcę te prawdziwe.

Zuzanna spojrzała na Grubera, który tylko wzruszył ramionami. Nie miał ze sobą aż tylu pieniędzy.

– W jakich monetach chcesz swoją zapłatę? Cesarskie dziesiątki? Klasyczne złote sztuki i srebrniaki? – chciała wiedzieć Zuzanna.

Ojciec nauczył ją, jak istotne jest, by zawsze mieć przy sobie gotówkę, zwłaszcza w odpowiednich monetach. Biedak z monetą dziesięciozłotową mógł mieć tylko problemy, a wręcz sprowadzić na siebie zgubę.

– Połowę w złocie, połowę w srebrze – zażyczyła sobie Alma. – I żadnych cesarskich pieniędzy.

Zuzanna otworzyła torebkę. Wyglądała na niedużą, ale nadrabiała wagą. Wytrenowanym ruchem wyjęła z niej dokładnie tyle monet, ile jej było potrzebne, dyskretnie przy tym kontrolując otoczenie. Gruber w tym czasie rozglądał się wręcz ostentacyjnie, groźnym wyrazem twarzy dając czytelny sygnał potencjalnym rzezimieszkom, aby trzymali się z daleka.

Nikt nie próbował się do nich zbliżyć. Zuzanna jeszcze raz spojrzała na dwa ostre jak brzytwa sztylety tkwiące w specjalnych uchwytach, gotowe, by je w mgnieniu oka wydobyć, i zamknęła torebkę. Wszystko było na swoim miejscu.

Alma Turi z niedowierzaniem przeliczyła pieniądze.

– Myślałam, że tylko sobie dworujecie, że nigdy mi tyle nie zapłacicie.

Zuzanna nie pozwoliła sobie nawet na cień uśmiechu. To była suma, za którą kobieta będzie mogła utrzymać się całymi tygodniami, nie chciała wyglądać, jakby to sobie lekceważyła.

– Nie dobiłyśmy jeszcze targu – przypomniała. – Wciąż czekam na opowieści. Po jednej na każdy przedmiot.

– Zmarnowaliśmy masę czasu – utyskiwał jeden z wynajętych tragarzy, gdy wreszcie opuścili stragan Almy.

Zuzanna nie zareagowała, pogrążona w myślach.

– Teraz po to mięso – wróciła wreszcie na ziemię po kilku chwilach bezcelowego błędzenia.

– To będzie w części zachodniej – zauważył Gruber.

Chwilę później znaleźli się już wśród rzeźnickich kramów. Tu też było widać, że towar jest przeznaczony dla lepszej klienteli. Nikt nie oferował podrobów czy mięsa drugiej jakości. Przeważały wyroby delikatesowe, od kiełbas po mięsne placki, na hakach wisiała zwierzyna zarówno pospolita, jak i bardziej egzotyczna, a w wielkich kadziach pluskały się ryby. Zuzanna nawet się nie zatrzymała. Skierowała się wprost do sprzedawcy, który nie oferował nic ekskluzywnego, za to na jego hakach wisiały wołowe ćwiartki i wieprzowe półtusze. Za reklamę służyło mu opiekające się na ruszcie prosię, które, sądząc po kolorze, właśnie było gotowe.

Zuzanna sprawdziła mięso, naciskając palcem, było idealnie skruszałe. Uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

– Zechcecie kawałek, madame? – zaproponował właściciel kramu.
– Na spróbowanie.

Zuzanna spojrzała na niego. W średnim wieku, pokaźne brzuszysko zdradzało, że wie dzie mu się dobrze. Masywne, umięśnione przedramiona wskazywały, że na swój sukces ciężko zapracował. Wyglądał – Zuzanna nieomal uśmiechnęła się do siebie – po prostu jak rzeźnik.

– Chętnie – zgodziła się.

Mężczyzna przybrał zadowolony wyraz twarzy i z pochwy przewieszanej przez ramię wy dobył nóż, którego ostrze skontrolował krytycznym okiem, a następnie przeta rł skrawkiem materiału.

– Mario, tacka! – krzyknął.

Spoza trzech zaparkowanych z tyłu wózków wychynął chudy młodziak.

– Już gotowe? Manterzy przyszli?

Dostrzegł Zuzannę i zatrzymał się.

– Mój syn – wyjaśnił rzeźnik – gada więcej, niż myśli. Ale to zacny chłopak.

Młodzieniec wyczarował skądś tackę z nawoskowanego papieru i zanim ją podał ojcu, umieścił na niej dwie ucziwe porcje tartego chrzanu i musztardy. Rzeźnik z wprawą odkroił sowitą porcję mięsa, którą umieścił idealnie pomiędzy chrzanem i musztardą.

– Proszę, madame. Absolutnie wyjątkowa, sami zobaczycie. – Wraz z tacką podał jej swój nóż, rękojeścią naprzód.

Zuzanna nie dała się prosić. Prosię smakowało dokładnie tak, jak wyglądało – doskonale.

– Ta musztarda to wasz własny przepis? – spytała między kęsami.

– Owszem, rodzinny – pochwalił się rzeźnik z wyraźnym zadowoleniem.

Zuzanna czuła się nieswojo, wiedząc, że wszyscy stoją wokół niej i się przyglądają, ale musiała to jakoś znieść. Taka już była dola szlachcianki, a przynajmniej tym razem wydawało się to o tyle łatwiejsze, że jedzenie było w istocie znakomite, a ona głodna.

– Dziękuję – powiedziała, przełknąwszy ostatni kęs. – Mieliście rację, bardzo smakowite. Macie talent do mięsa.

Uniosła spojrzenie na haki.

– Ta wołowina w jakim wieku?

– Roczne byczki, madame. Aż do tego czwartego kawałka z tyłu, ten jest ze starej krowy.

– Wzięłabym dwie ćwiartki i dwa prosięta. I trochę tej musztardy, o ile jest na sprzedaż.

– Na sprzedaż nie jest, ale dla szanownej pani na pewno coś tam się znajdzie.

– Ile jestem dłużna?

– Tu jest we zwyczaju targować się – podszepnął jej usłudźnik Gruber.

– Dajcie mi swoją cenę, jeśli będzie przystępna, będę u was zamawiać regularnie – zachęciła rzeźnika.

W ciągu minionych tygodni zyskała całkiem dobrą orientację w tym, ile wymagała dziennie jej jednostka. Do tego po uciążliwej podróży wszyscy potrzebowali się nieco dożywić.

– A ile byście tego, pani, potrzebowali?

– Potrzebuję mięsa tak dla trzydziestu, czterdziestu ludzi – odpowiedziała.

– No to wygląda na to, że się do mnie uśmiechnęło szczęście – odparł rzeźnik z zadowoleniem.

– Tylko jeśli cena będzie mi odpowiadać – odrzekła Zuzanna, uśmiechając się.

– Umiecie się, pani, targować – zauważył pogodnie rzeźnik, po czym odkroił kolejną porcję mięsa i zaserwował ją synowi.

Chłopak rzucił się na posiłek, jakby od kilku dni nic nie jadł. Zuzanna zauważyła, że Gruber koncentruje swoją uwagę w jednym kierunku. Podążając za jego wzrokiem, dostrzegła, że zbliża się ku nim kapitan Valer. Ludzie schodzili mu z drogi, nikt nie miał odwagi spojrzeć na niego dwa razy.

– Madame – pokłonił się Zuzannie. – Gdzie reszta eskorty? Gdzie Kurzer? – zwrócił się gniewnie do Grubera. – Dwóch ludzi do ochrony to było minimum, a ty tu jesteś sam.

– Oddalił się na mój wyraźny rozkaz, dałam mu odrębne zadanie. Spotkamy się przy powozie – wyjaśniła Zuzanna.

Nie chciała, aby ktokolwiek został ukarany za jej własne decyzje. Valer popatrzył na nią i skinął głową na znak, że rozumie.

– Nie było to całkowicie rozważne, moja pani – pozwolił sobie na wyrażenie dezaprobaty, którą jednak złagodził ukłonem.

Taki formalny, taki srogi, pomyślała Zuzanna. A mimo to jego obecność ją uradowała. Uświadomiła sobie, że nagle czuje się o wiele bezpieczniej. I przyjemniej.

– Nasz nowy dostawca mięsa. – Wskazała na rzeźnika.

– Mogę również dostarczać inne produkty spożywcze, mam rozeznanie i wszystko mogę zapewnić za rozsądną cenę.

– Którejście mi jeszcze nie zaproponowali – przypomniała mu Zuzanna.

– Będziecie dostarczać produkty osobiście? – spytał go Valer.

Zuzanna zauważyła, że znów myślał tylko o jednym – jej bezpieczeństwie.

– Owszem. Z moim synem – odpowiedział rzeźnik.

– Umowa stoi.

Zapłacili, tragarze ugięli się pod ładunkiem i ruszyli z powrotem. Gruber na czele pochodu, Valer – zamykając formację. Zaraz za obrębem targowiska, poza granicą, której nie wolno było przekraczać żebrakom, minęli skuloną na ziemi postać, trzymającą przed sobą pustą miskę. Burza długich blond włosów kontrastowała ze zdeformowanymi nogami skrytymi pod płachtą. Zuzanna zatrzymała się i nachyliła ku żebraczce. Ta uniosła głowę. Twarz należała do młodej dziewczyny o zapadniętych oczach i wychudłych policzkach.

– Mogę? – zapytała cicho Zuzanna.

Dziewczyna tylko przytaknęła, spłoszona. Zuzanna zajrzała pod płachtę. Nogi dziewczyny były zdeformowane, jakby poprzerastane korzeniami drzewa. Jej skóra też nabrała drewnianego wyglądu, stopy w ogóle straciły już swą ludzką formę.

– Co to jest? – zapytał zszokowany Valer.

– *Elefentiaza ligni* – odparła Zuzanna. – Choroba przenoszona drogą płciową, pochodząca z Wysp Zachodnich. Nigdy bym się jej tutaj nie spodziewała.

Dalej badała nogi dziewczyny, delikatnie ich dotykając.

– Na Wyspach Zachodnich mieszkają najpiękniejsze dziewczyny. Duże piersi, wąskie talie, figury jak klepsydry. Stały się przez to celem handlarzy żywym towarem – wyjaśniała dalej Valerowi. – Tyle że ty nigdy nie odwiedzałaś Wysp Zachodnich, prawda? – zwróciła się do dziewczyny.

Ta, wystraszona, pokręciła tylko głową.

– Powiedziałabym, że zaraziłaś się jakieś dwa, trzy lata temu.

– Przecież byłaby wtedy jeszcze dzieckiem – powiedział Valer.

– Komuś to widocznie nie robiło różnicy. Albo wręcz przeciwnie.
– Zuzanna spojrzała na niego ostro.

Ten tylko skinął głową.

– Miejscomi nie byli w stanie się bronić, musieli przed łowcami uciekać, jednak niewiele na tym zyskiwali, podczas gdy za ich kobiety oferowano ogromne sumy pieniędzy. A potem okazało się, że ci, co kupują sobie ich kobiety, zarażają się tą nieuleczalną chorobą. Człowiek dłużej, coraz trudniej mu się poruszać, traci zmysły, z czasem ztraca całkiem ludzką formę. Według mnie powoduje to jakiś pasożyt, który przemienia ludzkie tkanki w zdrewniałą strukturę. W każdym razie sprawiającą takie wrażenie.

Zuzanna ostrożnie zakryła nogi dziewczyny. O ile wiedziała, nie było dla niej pomocy. Valer tymczasem sięgnął do pasa i wyłuskał dziesięć miedziaków, trzy srebrniaki, a na koniec tak, aby nikt nie widział, wcisnął dziewczynie do ręki złotego. Po czym ruszył w drogę do powozu.

Szczodry akt Valera sprawił Zuzannie przyjemność. Trzymał się teraz przy jej boku i tłumila w sobie chęć, by wziąć go pod ramię. Nie wypadało jednak. Spojrzał na nią, jakby wyczuwał jej myśli, i zwiększył dystans między nimi.

– Czemu daliście jej miedziaki, srebrniaki i sztukę złota? – spytała, choć domyślała się odpowiedzi.

Sama wielokrotnie ukrywała się wśród żebraków.

– Za miedziaki kupi jedzenie teraz, we właściwym miejscu rozmieni i srebro. Ze złotem będzie musiała bardziej uważać, żeby jej nie ukradli albo z jego powodu nie zabili – wyjaśnił.

Skinęła głową. Nie tylko był łaskawy, ale też rozważny. Cieszyła się, że właśnie dowiedziała się o nim czegoś nowego, a do tego podobało jej się to.

– Dlaczego zarazili się od tych kobiet, które zostały uprowadzone, nie od tych na początku? – spytał Valer, gdy wydostali się już z największego ścisku.

– Próbowałam zdobyć na ten temat więcej informacji, ponieważ początkowo myślałam, że być może chodziło o użycie magii. Wydaje mi się, że tubylcy zarazili kobiety umyślnie, aby pozbyć się łowców

niewolników. I to im się udało, na Wyspy Zachodnie już od ponad pokolenia żadni łowcy się nie wyprawiają. Ale to tylko taka moja teoria.

– A to oznacza?

– Że tamtejsi szamani najprawdopodobniej mają na to lek – odpowiedziała Zuzanna. – Inaczej już wszyscy by wymarli. Ale tej dziewczynie to nie pomoże.

– Nie – zgodził się smutno Valer.

Wyczuła, że jego uwagę przykuło nagle coś innego. Nie zarejestrowała żadnego rozkazu, a mimo to Kurzer odłączył się od nich i zniknął w tłumie. Szli dalej, jakby nic się nie stało. Jako że Valer zdarzenia nie komentował, ona o nic nie dopytywała. Woląła skupić się na romantycznej chwili, póki trwała.

– Drobne złodziejzki, nic poważnego – poinformował Kurzer, który wrócił po paru minutach.

Nadszedł z innego kierunku niż ten, w którym zniknął. Valer wyraźnie się odprężył.

– Już nas nie będą niepokoić – dodał młody żołnierz z zadowoleniem.

– Skąd to wszystko wiecie, o tych chorobach i tak dalej? – Valer wrócił do poprzedniego tematu.

– Książę ma bogatą bibliotekę i chętnie dzieli się wiedzą.

– Mówicie o tym, jakby to was zaskakiwało – zaciekawiał się.

– Bo ludzie wiedzę dzielą się niechętnie. Wiedza daje władzę.

– Nie przepadacie za nim?

– Tego nie powiedziałam.

Opuścili targowisko inną bramą niż ta, którą weszli, i teraz musieli nadłożyć trochę drogi. Przez parę chwil szli w milczeniu, jakby ta ostatnia wymiana zdań zasiała w nich poczucie niezgody. W istocie jednak Zuzanna znów zmagiała się z chęcią, aby wziąć Valera pod ramię.

– Jak wrócimy do domu, coś wam pokażę – powiedziała zamiast tego.

Skinął głową i wrócił do obserwowania okolicy. Profesjonalista do szpiku kości. Może powinna coś z nim zacząć? Podobał jej się,

intrygował ją. Na granicy jej świadomości ciągle kłębiły się uczucia, które powoli zaczynały formować się w myśli i pragnienia.

Tyle że to przecież nie był dobry moment. A z drugiej strony... Kiedy w końcu będzie na to dobry moment? I czy pożyje wystarczająco długo, aby go doczekać?

Zuzanna chciała odgonić od siebie nieprzyjemne myśli i wspomnienia, zaprosiła więc Valera, aby towarzyszył jej na piętro, do salonu, który zdążyła już przemienić w... pracownię. Uświadomiła to sobie, kiedy otworzyła drzwi, a jej oczom ukazały się zwały papierów na stołach, starannie porozwieszane na ścianach pergaminy i wielka czarna tablica z tabelą wypełnioną drobnymi cyferkami.

– Proszę dalej – zaprosiła kapitana, gdy niepewny zatrzymał się w drzwiach.

Wcale mu się nie dziwiła. Ją samą zaskakiwało, jak bardzo salon zmienił się przez zaledwie kilka ostatnich dni. Służąca towarzyszyła im na górę, ale zatrzymała się w głębi korytarza, przy samych schodach.

– Moniko, przynieś nam, proszę, herbatę i coś do przekąszenia dla kapitana. Jak tam kucharz, wciąż chce odejść?

Zaraz po przeprowadzce Zuzanna kazała zamknąć Gewnera na dwa dni, żeby przetrzeźwiał. Młoda kobieta zatrzymała się. Nadal nie mogła się przyzwyczaić do tego, że Zuzanna często pytała o jej opinię, również w towarzystwie innych osób.

– Wciąż jest jeszcze naburmuszony, ale już od paru dni nie wspominał ani słowem o odejściu.

Zuzanna odprawiła ją gestem. Monika pożegnała się dygnięciem tak głębokim, że wyeksponowała swój dekolt nieomal wyzywająco. Zuzanna obserwowała reakcję Valera, ale zachowywał się, jakby niczego nie zauważył. A nie, naprawdę nie zauważył, oceniła po chwili.

Weszli do salonu-pracowni.

– Siądźcie, proszę. – Wskazała mu jedyny fotel niezapełniony papierami.

Sama wybrała krzesło. Było całkiem wygodne, spędzała na nim długie godziny nad dokumentami. Nie chroniło przed bólem pleców, ale był on przynajmniej znośny.

– Wszystko, co jest zgromadzone w tej części pokoju, dotyczy naszych spraw handlowych. W drugiej części są rzeczy związane z tymi innymi.

Valer skinął głową. Z magią, jak się domyślił, ale na głos tego słowa nie wypowiedział.

– Poczekamy, aż nas Monika obsłuży. Jest ciekawska i nie chcę, żeby widziała zbyt wiele.

– Macie talent do handlu – powiedział Valer, rozglądając się po pomieszczeniu.

Słupki cyfr na tablicy przedstawiały kalkulacje związane z potencjalnymi umowami z Guicim.

– Dużo mi pomaga Cuvinan – przypomniała Zuzanna.

– Miałem na myśli dziś na targowisku – uściślił Valer, wciąż ciekawie popatrując dookoła.

Było ewidentne, że w ostatnim czasie Zuzanna spędzała więcej czasu na pracy. Jeszcze do niedawna kwestie związane z magią, jak i z czasem, kiedy magia rządziła światem, Valera, jak i większość ludzi, niepokoiły. Jednak całe lata spędzone w książęcej służbie sprawiły, że znacznie do nich przywykł, a wręcz wiele się o nich dowiedział. A być może nawet więcej niż większość czarodziejów, którzy wciąż przecież borykali się z tym, jak dużo wiedzy na ten temat przepadło.

– Ach, chodzi o rzeźnika! – zaśmiała się Zuzanna. – Wydał mi się sympatyczny i potrafi obchodzić się z mięsem. Od dziecka opiekowałam się domem, a mój ojciec potrafi zjeść. Często nie było go w domu, więc musiałam się zajmować i męskimi obowiązkami.

Valer skinął głową niezobowiązująco. Widać było, że o jej ojcu woli nie dyskutować.

– Śledziliśmy Monikę w jej wolnym czasie. Nie wygląda na to, żeby komukolwiek sprzedawała informacje – oznajmił sucho. –

Katrin też pobieżnie sprawdziliśmy. Na razie rezultaty są negatywne, ale jeszcze się jej przyjrzymy. Za to kucharz, moim zdaniem, zostaje dlatego, że ktoś go zdołał namówić, aby przekazywał informacje o naszej siedzibie. Niestety, nie wiem jeszcze kto, ale się dowiem.

– Jesteście bardziej podejrzliwi, niż się spodziewałam – powiedziała Zuzanna i gdy tylko wymówiła te słowa, zorientowała się, że brzmią dość krytycznie.

– Taka moja praca.

Wolałaby, gdyby wzruszył przy tym ramionami, ale Valer ani drgnął. Nie odpowiadało jej, jak się ta rozmowa potoczyła. Miała nadzieję na coś bardziej osobistego, bezpośredniego, zrelaksowanego.

Życie zazwyczaj nie układa się według życzeń. Tego już się zdążyła nauczyć. Rozległo się pukanie do drzwi, które otworzyły się po pauzie dłuższej niż zazwyczaj. Zuzanna z trudnością stłumiła uśmiech. Monika starała się być bardzo, bardzo dyskretna. Dała im mnóstwo czasu na... no właśnie, na co? Tak czy inaczej, zawsze to mały powód do rozbawienia.

Valer, oczywiście, na nic nie zwrócił uwagi.

Zamilkli i poczekali, aż służka poda herbatę. Zuzanna podziękowała za przekąskę pełnym uznania skinieniem głowy. Oprócz obowiązkowych słodkości mieli tam chlebowy placek, pasztet z orzechami i kawałki pieczonego mięsa.

Valer sięgnął po jedzenie, zanim Zuzanna zdążyła odprawić Monikę, i zatrzymał się, dopiero kiedy kawałek mięsa był już w pół drogi do jego ust.

– Smacznego – powiedziała, zanim zaczął przeproszać. – Dziękuję.
– Dała znak służącej, że nie będzie jej już potrzebować.

– Gewner jest jednak wyjątkowym kucharzem – skonstatował Valer po drugim kęsie. – Byłem naprawdę głodny, sam nie wiedziałem, jak bardzo – zaczął przepraszająco.

– I nie wątpię, że wciąż jesteście. – Zuzanna znów go powstrzymała. – Ja mogę mówić, kiedy wy się będziecie posilać. Rozumiem przecież, że nie macie zbyt wiele czasu.

Chwilę to rozważał, w końcu po prostu skinął głową.

– Jak przypuszczam, nie będziecie chcieli Gewnera wyrzucić? – zgadywała.

Valer pokręcił głową i przełknął.

– Szpieg, o którym wiemy, jest o wiele mniej groźny niż ten, o którym nie wiemy. Choć byłbym jeszcze spokojniejszy, gdybyśmy odkryli i innych.

To wydawało się oczywiste. Niemniej czuła się wszystkim potwornie zmęczona. Tym całym udawaniem, podstępami i podchodami, nieustannymi kłamstwami.

– Wypracowałam, pani, ze swoimi służącymi osobistą relację, co jest mądrym posunięciem – kontynuował Valer po przełknięciu kolejnego kęsa. – Będzie wam łatwiej dostrzec, gdyby coś się zmieniło.

Nie chciała, żeby to spotkanie było tak bardzo robocze. Wzięła do ręki srebrny nóż i kawałek placka, posmarowała go szczodrze pasztetem i podała Valerowi.

– Owszem, kapitanie, macie oczywiście rację, aczkolwiek nie zaplanowałam tego w ten sposób. Samo tak wyszło.

Chwilę się nad jej słowami zastanawiał.

– Gdyby doszło do czegoś takiego, gdybyś dostrzegła, pani, zmianę w jednej ze swoich służek, poinformuj mnie o tym, proszę. Będziemy mogli poświęcić im więcej uwagi. Jest nas mało i musimy ostrożnie zarządzać zasobami.

– Jesteście niezwykle wyrachowanym i podejrzliwym człowiekiem – odpowiedziała.

Już raz mu to dzisiaj zarzuciła, przypomniała sobie. Sama potrzebowała tych cech, by przeżyć, ale mimo to nienawidziła ich u siebie i u innych.

– Niestety, nie jestem. Musiałem się tego nauczyć. Pomógł mi książę, żebym mógł być lepszy w swojej pracy.

Stłumiła w sobie gniewne westchnienie. Książę, książę... Czy on w ogóle był człowiekiem? Ludzie szli za jego przewodem, umierali, wykonując jego wolę, ślepo w niego wierzyli. Nawet jej ojciec darzył go swego rodzaju szacunkiem. Ona sama... nie musiała.

Zamiast dalej snuć te przemyślenia, podała Valerowi kolejny kawałek placka. Trochę jej było wstyd przed samą sobą, ale bawiło ją to, że go w ten sposób rozpraszała, co zresztą starał się kryć. Napiała się herbaty i zorientowała się, że na tacy stoją też dzbanek i kufel z cynową pokrywką. Uniosła ją i dostrzegła białą, piwną pianę.

– Monika ma na was oko – skonstatowała i podsunęła kufel Valerowi.

– Ona ma oko na wszystkich moich ludzi – zaprotestował.

To była prawda, ale zaczerwienił się przy tym i tak.

– Nacieszcie się, kapitanie, kolacją, a ja będę dalej mówiła – Zuzanna wróciła do przerwane go wątku rozmowy.

Wykorzystała go, poprawił jej humor.

– Jestem czarodziejką – zaczęła wprost.

– Wiem – zamemlał z pełnymi ustami.

– Znam się na artefaktach, na handlu nimi, wiem wszystko o naszej sieci handlowej. Wspominam o tym po to, że bym wam nie musiała dodatkowo udowadniać, że wiem, o czym mówię. Nie twierdzę, że zawsze we wszystkim mam rację, ale na tych sprawach znam się lepiej niż większość ludzi na świecie.

– W pełni to rozumiem, madame, i nie mam z tym problemu.

Spojrzała na niego zaciekawiona. Nie dostrzegła żadnych oznak, aby miał kłamać, zdawał się mówić poważnie. To było istotne. Oprócz jej ojca i księcia, co do którego miała wiele zastrzeżeń, no i może jeszcze Arthura Cvenga⁵, mało który mężczyzna brał ją na poważnie. W przypadku wrogów można to było wykorzystać, wśród przyjaciół stawało się uciążliwe.

– Jednym z moich zadań jest poszukiwanie artefaktów, pozostałości z minionych czasów, kiedy światem rządziła magia. Kiedy my sami o magii wiedzieliśmy o wiele więcej niż teraz.

– Już się zorientowałem, że niegdyś żyło znacznie więcej czarodziejów niż obecnie i że w znacznie większym stopniu wykorzystywano zaklęcia. Co do tego, czy światem rządziła magia, pozostaję sceptyczny, ale spierać się nie będę – powiedział i napił się piwa.

– Nie będę was przekonywać. To nie jest w tej chwili istotne. Ważne jest, iż obecnie uważa się, że kto będzie o magii wiedzieć więcej, kto zdoła jej użyć bardziej skutecznie, zdobędzie przewagę. Znaczącą przewagę.

Valer odstawił kufel i dobrał się do kolejnego kawałka placka.

– Przewagę w wojnie, która się zbliża – odparł. – Imperium musi się rozrastać, potrzebuje ziemi dla nowej generacji szlachty. A najłatwiej byłoby rozrosnąć się na południe, za Pustynię Gutawską.

– Księżę już od dłuższego czasu poszukuje informacji o magii i wszystkim, co się z nią wiąże – kontynuowała Zuzanna. – Na razie ma... mamy – poprawiła się – przewagę. Ale ta się zmniejsza. Przeciwnicy dysponują nieograniczonymi środkami, a ceny artefaktów na czarnym rynku rosną.

– Podczas gdy nasze budowane latami sieci handlarzy sypią się, bo nas przeciwnicy podkupują – uzupełnił Valer.

Zuzanna bez spoglądania wyciągnęła rękę po kufel z piwem. Valer jej go podał. Napila się, otarła pianę z ust i zwróciła mu naczynie. Magia dotyczyła jej bezpośrednio. Musiała nauczyć się żyć z talentem władania mocą. Rzadko kiedy jednak miewała okazję, by o tym z kimkolwiek otwarcie porozmawiać.

– W ostatnim czasie na czarnym rynku jest o wiele więcej artefaktów, niż to bywało w przeszłości. Oczywiście, duża część jest praktycznie bezużyteczna, trafiają się też podróbki. Niemniej według mnie przedmiotów o magicznych właściwościach przybywa. Równocześnie przybywa też ludzi, którzy wykazują magiczne zdolności. Jakby znów nadchodził czas czarodziejów.

– Nie wydaje mi się, aby ich przybywało. Po prostu mniej się ukrywają, ponieważ nie są już tak prześladowani jak przez ostatnich kilkaset lat. A skoro nie muszą się z tym kryć, to i zaczynają z tych zdolności korzystać – nie zgodził się z nią Valer.

– Może być i tak, kapitanie. – Uśmiechnęła się.

Uświadomiła sobie, jak wielką przyjemność sprawia jej ta rozmowa. Słuchał z uwagą, rozważał argumenty Zuzanny i nie bał się jej. Wielu się bało, gdy docierało do nich, kim jest.

– Tutaj, w Grafzaty, odkryłam niesamowite nagromadzenie przedmiotów związanych z magią. Jest ich tyle, że jeszcze niedawno uznałabym to za niemożliwe.

Valer znów się napił, po czym zakręcił kuflem, sprawdzając, ile jeszcze w nim zostało. Nie zdołała odgadnąć, czy był zadowolony z wyniku. Przypomniała sobie, jak bezceremonialnie sięgnęła po jego piwo, i zamilkła na chwilę. W jego obecności czuła się... aż zbyt rozluźniona.

– Podczas naszych... – szukał odpowiedniego słowa – obchodów nie wyglądałaś, pani, na zadowoloną. I znowu aż tak dużo tego nie kupiliśmy.

– Nie, bo musimy oszczędzać, a przy tym większość przedmiotów, na które się natknęliśmy, była wprawdzie magiczna, ale... – teraz ona zastanawiała się chwilę, jak to właściwie wysłować – ale były to przedmioty bardzo powszechne.

Valer o mało się nie zachłysnął.

– Magiczne przedmioty codziennego użytku?

Wydawało mu się to absolutnym nonsensem i było to po nim widać.

– Różne magiczne rzeczy, które kiedyś ułatwiały ludziom życie.

– Magia ułatwiała ludziom codzienne życie – powtórzył Valer. – Rozumiem słowa, ale nie potrafię sobie wyobrazić, co one oznaczają.

Dla większości ludzi, z nim samym włącznie, magia była czymś egzotycznym, wzbudzającym obawy, niepewność. Zuzanna wstała i otworzyła okuty kuferek, który przywiozła ze sobą do Grafzaty. Zawierał wszystko, co miała najcenniejszego... Był czarny, wyglądał na drewniany i bardzo stary. Jeśli to było rzeczywiście drewno, to zaiste wyjątkowe, zdolne oprzeć się płomieniom i stali.

– Oto magiczne przedmioty codziennego użytku.

Wyłożyła na stół przed Valerem kamienie. Wszystkie były niewielkie, niektóre wypolerowane niczym klejnoty.

– Kamień do ogrzewania wody, nie uwierzylibyście, jaki jest praktyczny. Wystarczy wrzucić do garnka czy wiadra i po chwili macie wrzątek albo ciepłą wodę, w zależności, kiedy się go dezaktywuje.

Dla Valera były to zwyczajnie wyglądające kamienie półszlachetne, ale nie spierał się.

– To jest proszek hematytowy, zatrzymuje krwawienie i zwalcza infekcje, jak gnicie ran. Nie działa przeciwko chorobom albo przynajmniej ja nie wiem jak.

Magiczny proszek hematytowy Valer akurat dobrze znał. Każdy z jego ludzi miał szczodłą porcję zawsze przy sobie. Płacono za niego dziesięciokrotną wagę w złocie, ale książę nalegał, aby każdy z jego ludzi był weń wyposażony. W czasie wolnym Valer uważnie się przyglądał, jak najskuteczniej z niego korzystać.

– A to jest rzecz, którą cenią sobie najbardziej kobiety, aktywny kryształ soli.

Valer popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Kawał soli kamiennej. U nas w domu chodziliśmy po nią do starej kopalni. Jak była bieda, to mieliliśmy zapas i sprzedawaliśmy.

W kawałku soli nie dostrzegał nic niezwykłego, zwłaszcza magicznego.

– Ta jest aktywna. To oznacza, że w sposób naturalny gromadzi w sobie moc i stosunkowo łatwo zakotwiczyć w niej dowolny diagram. I w równie naturalny sposób powstają w niej struktury, które wystarczy jedynie wzmocnić, by zaczęły działać. To akurat dotyczy wszystkich aktywnych kryształów, tyle że z solą jest to najłatwiejsze. Z drugiej strony sól nie nadaje się do wszystkich rodzajów diagramów.

Zuzanna obserwowała, jak Valer zastanawia się nad jej słowami.

– Zdradziliście mi tu ładnych kilka tajemnic – skonstatował, po czym posmarował pasztetem ostatni kawałek placka.

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – Jednak skoro sama te sekrety odkryłam, mogę je zdradzać, komu tylko zechcę.

Valer wciąż zachowywał swoją profesjonalnie kamienną twarz, ale i tak widziała, że jest zadowolony.

– A czemu te magiczne kryształy soli najbardziej doceniają kobiety? – spytał po chwili.

– Chronią przed poczęciem.

Zrobiło się cicho. Zuzannie wydało się, że Valer dopija resztki swojego piwa dłużej, niż to było konieczne. Wreszcie jednak odstawił kufel.

– Myślę, że już zrozumiałem, co znaczą słowa „magiczne przedmioty codziennego użytku” – podsumował.

– A tutaj, w Grafzaty, jest ich na czarnym rynku całe mnóstwo. Miejscowi handlarze artefaktami, którzy mają zdolność wyczuwania mocy, praktycznie nie oferują żadnych falsyfikatów, co jest niezwykle – uzupełniła Zuzanna.

Przyszło jej nagle do głowy, że może powinna sama skorzystać z zaklęcia chroniącego przed poczęciem. Myśl była zaskakująca i Zuzanna natychmiast ją przegoniła. Było to zbyt nieprawdopodobne, a gdyby... nie próbowała dokończyć. Wróciła do magii.

– Nawet jeśli kupicie magiczny przedmiot, w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto nie będziecie wiedzieli, jak go użyć, jak obudzić jego potencjał. Dlatego większość ludzi nie jest w stanie stwierdzić, czy kupili autentyczny artefakt, czy podróbkę.

– Wy rozpoznajecie.

Zuzanna spojrzała na niego, chciała zobaczyć, jaką ma minę. Był skupiony, jakby stanowiła centralny punkt jego świata. I nie bał się. Sprawiłoby jej przyjemność bycie centralnym punktem jego świata i w innych aspektach. Niestety, przypomniawszy sobie, to by zagroziło ich misji i wielu innym sprawom.

– Zgadza się. Rozpoznaję, bo jestem czarodziejką. Do tego bardzo dobrą, czy może potężną – dodała. – Ale o tym dowiedziałam się stopniowo.

– No dobrze, więc co sądzicie o tym, że tutaj, w Grafzaty, znajduje się obecnie wiele magicznych przedmiotów codziennego użytku?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. – Zuzanna wzruszyła ramionami. – Ale dziś zdobyliśmy coś, co do tej kategorii nie należy.

Pokazała mu opleciony drucikami kryształ, kupiony od jubilerki.

– To jest... – zastanawiała się chwilę nad odpowiednim określeniem – zbiornik. W starych tekstach nazywają to

akumulatorem. Można w nim zmagazynować moc, magię, magiczną energię. Terminów jest wiele, niestety, przy mojej ograniczonej wiedzy nie potrafię określić, czy wszystkie odnoszą się do tego samego.

– A według was ten kamień magicznym przedmiotem codziennego użytku nie jest – zauważył Valer.

– Dokładnie tak, kapitanie. – Popatrzyła na niego. – To jest rzecz, za którą wielu ludzi zapłaciliby majątek. Spodziewam się wręcz, że jej wartości nie da się oszacować pieniędzmi.

Valer przyglądał się staremu, porysowanemu kryształowi i zastanawiał się nad jej słowami.

– Moglibyśmy go wypróbować? Moglibyśmy... mogłabyś, pani, sprawdzić, czy ukrywa się w nim jakaś moc?

– Mogłabym i ona tam jest. Nie wiem jednak, jak wiele i czy zdołałabym ją opanować. Mogłabym rozpętać piekło, mogłabym spłonąć jak suchy liść w kowalskim palenisku.

Valer milczał.

– Potrzebujecie czegoś, co by wam pomogło uwierzyć, prawda?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Właściwie to tak. Żyję w cieniu magii, moi ludzie z jej powodu umierają, ale osobiście nigdy magii nie widziałem.

– Magii zobaczyć się nie da, jedynie jej skutki.

Wzięła kamień do ręki i uważnie mu się przyglądała przez chwilę.

– Mam takie przeczucie, coś mi mówi, że kryje się w nim mnóstwo mocy. Może dlatego jest obrobiony tak topornie. Aby nie przyciągać uwagi.

Valer tylko skinął głową. Dla niego to był zwykły kawałek kryształu.

– A jak w jego posiadanie weszli poprzedni właściciele?

– To jest kolejna ciekawa rzecz. Właścicielka twierdziła, że znalazła go w rupieciach w swoim domu, kiedy szukała przedmiotów, które mogłaby sprzedać. Nie wiecie jej się za specjalnie.

– Gdzie ona mieszka?

– Tutaj, w Grafzaty. Według jej własnych słów jej rodzina mieszka tu od niepamiętnych czasów.

– A wy nie uważacie tego za przypadek, prawda? – zasugerował Valer.

– Dokładnie tak, kapitanie. W mojej, a powiedziałabym, że i w waszej profesji zbiegi okoliczności się nie zdarzają.

– To prawda, madame – odpowiedział, wstając. – Tymczasem muszę już iść, mam wiele spraw do załatwienia. Dziękuję za waszą gościnność. – Pokłonił się lekko.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Uśmiechnęła się i aż ją samą zaskoczyło, jak szczerze i serdecznie.

Intrygi klanowe



Janick czekał w milczeniu, aż służba skończy roznosić wazy z zupą. Willa była duża, jednak jej największa sala i tak z trudem mogła pomieścić dziewiętnastu stołowników. Właściwie siedemnastu, jako że dwaj, którzy kolację przygotowali, mieli jeść później w kuchni.

Siedział u szczytu stołu, po jego prawej ręce znajdował się Canaf Buerpo, postawny czterdziestolatek z haczykowatym, czerwonym nosem. Gdyby Janick miał określić jego funkcję w klanie, nazwałby go najprawdopodobniej łowcą talentów. Oraz swoim głównym konkurentem. Canaf zwerbował do klanu pięciu ludzi, z czego czterej stali się jego osobistą świtą. Janick nigdy nie widział Buerpa używającego magii, ale musiał przyznać, że tamten miał nosa.

Po lewej stronie Canafa zajął miejsce Max Lavaroti, młodzieniec o niezaprzeczalnym talencie. Janick sam widział, jak wielkim natężeniem mocy Lavaroti potrafi operować, jak łatwo przychodzi mu aktywowanie diagramów. O ile zdołał je dostrzec i zrozumieć. Proces, w którym czarodziej swoim wewnętrznym zmysłem identyfikował magiczny diagram, spajał się z jego topografią, z jego strukturą, aby go następnie napełnić mocą, był w przeszłości określany specyficznym terminem. Janick nadal nie zdołał zdecydować, jakie tłumaczenie i interpretacja byłyby najwłaściwsze. Lavaroti umiał bardzo skutecznie przywołać dwa zaklęcia. Praktyczne zaklęcia, zdolne do likwidacji nieprzyjaciela. Janick wielokrotnie próbował go nauczyć więcej, jednak Lavaroti zdołał opanować tylko te dwa. Kiedy przy próbie nauczania się trzeciego stanął w płomieniach, zrezygnował z dalszych studiów

i poświęcił się zamiast tego doskonaleniu tych dwóch, które już znał. Janick wiedział, że idzie mu z nimi coraz lepiej.

Janick zdusił kaszel. Olej w lampach był tani i kiepskiej jakości, kopcił i nieprzyjemnie pachniał. To mogła też być wina knotów, na nich również oszczędzano. Sięgnął po łyżkę wazową i nalał sobie zupy. Inni z niewielkim opóźnieniem poszli w jego ślady.

– Smacznego – powiedział w chwili, kiedy Buerpo unosił już łyżkę do ust.

Wymuszona niezręczność sprawiła mu małą radość. Ciągle musiał znosić niekończące się drobne próby podważenia jego autorytetu. Drażniło go to i męczyło, a przy tym budziło obawy, gdyż nie potrafił ocenić, jak długo będzie w stanie tolerować tę sytuację. Nie zdołał zademonstrować przed klanem swej magicznej wyższości. Nie mógł, bo jej nie posiadał. Został wielkim mistrzem wyłącznie dlatego, że do tej pozycji wyniósł go sam Varatchi. A to przecież nie oznaczało, że wielkim mistrzem pozostanie. Coś mu się mogło przytrafić, mógł się rozchorować i stanowczo wątpił, czy kuzyn cesarza w takiej sytuacji przejmowałby się jego losem.

Podzwanianie łyżek dominowało nad zdawkowymi konwersacjami. Za wspólnymi kolacjami, przy których członkowie klanu mieli okazję się spotkać, nikt szczególnie nie przepadał.

Może dlatego, że jedzenie jest nędzne, pomyślał Janick, odsuwając od siebie z niechęcią niedokończoną porcję. Spojrzał na mężczyznę siedzącego po prawej, zaraz za Buerpem. Joel Klinsman. Jego magiczne zdolności były jeszcze mniejsze niż Janicka, ale miał smykałkę do spraw organizacyjnych oraz dar przekonywania i Janick zorientował się, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy również on dorobił się małej osobistej świty.

Służba zaczęła zbierać puste talerze i roznosić drugie danie oraz karafki z winem. Buerpo natychmiast po jedną sięgnął i sobie nalał.

– Skwaśniałe – skrzywił się, ale wypić wypił.

– Musimy oszczędzać – odparł Janick mechanicznie. – Budżet mamy ograniczony, a ceny są tutaj horrendalne.

Buerpo wdał się w dyskusję z Klinsmanem na temat cen żywności. Janick zauważył, że dziś przybyli wszyscy, co było dość

niespotykane. Wielu członków klanu, zwłaszcza tych z dłuższym stażem, zazwyczaj ratowało się wymówkami.

Janick napił się wina i musiał w duchu przyznać Buerpowi rację. Było paskudne. Zamawiał je sam, tak jak i osobiście doglądał innych spraw związanych z funkcjonowaniem klanu. Może gdyby mógł serwować jedzenie nieco lepsze niż to, do którego jego ludzie byli przyzwyczajeni, coś zmieniłoby się na lepsze? Zwłaszcza na jego osobistą korzyść. Tylko jak sobie na to wszystko pozwolić? Radzić sobie z konkurującymi klanami, utrzymywać porządek w imieniu Varatchiego, odpierać zakusy innych członków klanu, mających chrapkę na pozycję wielkiego mistrza, a przy tym dalej studiować i prowadzić badania...

Nadział na widelec kawałek mięsa. Było włókniste i twarde. Miał wrażenie, że jedzenie, które dostawał on sam, bywało lepsze. No, może w przeszłości.

Uświadomił sobie, że Lavaroti o coś go pyta, skupił na nim uwagę.

– A rzeczywiście, odwiedził nas czarodziej z klanu Josa. Nie pamiętam, jak się nazywał – skłamał.

– Podobnież nieźle go pogruchotaliście? – dopytywał się dalej Lavaroti.

Janick wyczuwał jego ciekawość, inni też się dyskretnie przysłuchiwali.

– Napadł na mnie – wzruszył ramionami – ale zabicie go tylko by zaogniło stosunki z klanem Josa. Co nam jest zupełnie niepotrzebne. Wszystko zostało zaprotokołowane.

– A to zaklęcie?

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Wszyscy chcieli władać magią, czarować bez wysiłku. Było to kwestią ich pozycji, a czasem wręcz życia i śmierci. Janick przejechał spojrzeniem po zaciekawionych twarzach. On magię studiował, starał się ją zrozumieć, odkryć dawną wiedzę na jej temat. Jednak nigdy nie będzie zdolny nią manipulować równie dobrze jak większość zgromadzonych tu ludzi. Jak zachować pozory?

– To jest nowe zaklęcie. Jeszcze nie opracowałem jego opisu. Kiedy będzie gotowy, dodam go do klanowej księgi i poinformuję

was – odpowiedział chłodno.

Zapoznavanie się z zaklęciami odbywało się według klanowej hierarchii. Gdyby Janick umiał skutecznie używać poznanych przez siebie zaklęć, zapewne nie byłby tak skłonny, by się nimi dzielić. Jednak nie miał do tego dość talentu i mocy, musiał więc swoje zaklęcia oddawać innym. Klan, a z nim on sam, miał tym większe szanse na przetrwanie, im silniejsi byli jego członkowie. A przy tym opanowywanie zaklęć było niezwykle wymagające. Opanowanie jednego diagramu wcale nie oznaczało, że każdy kolejny będzie łatwiejszy.

– Nie zapomnijcie o mnie. Bardzo chciałbym zapoznać się z waszym odkryciem – poprosił Lavaroti podejrzanym przyjacielskim tonem.

Było oczywiste, że to, jak Janick poradził sobie z obcym czarodziejem, go zaniepokoiło. Pozostali nadal przypatrywali mu się z uwagą.

– Oczywiście – odparł Janick chłodno. – Nazwałem je kafar.

I w tym właśnie momencie doznał olśnienia. Już wiedział, jak to rozegrać. Jak postępować dalej, aby utrzymać swoją pozycję wielkiego mistrza. To był jego klan i nikt mu go nie odbierze. Osiągnie to dokładnie tak samo jak Varatchi, jak wszyscy inni władcy w przeszłości. Dziel i rządź.

Z trójcy Buerpo, Lavaroti i Klinsman najsłabszy był Klinsman. Zacznie od tego, że wzmocni jego pozycję i uczyni z niego realnego konkurenta wobec tamtych dwóch. Elementem tego planu będzie i to, że przeniesie na niego część swoich obowiązków. Tym samym będzie mógł się poświęcić w większym stopniu studiom i sprawom związanym z magią. Zadowolony łyknął z kielicha.

– To wino jest rzeczywiście potworne – skonstatował głośno.

Gestem przywołał jednego ze służących.

– Skoczcie do Byvneta. Niech wam da karton wina z moich prywatnych zasobów. To świństwo zabierzcie. – Machnął ręką w kierunku karaf. – Albo lepiej dwa kartony – zdecydował się na akt hojności.

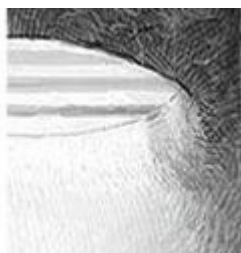
Sala jadalna rozbrzmiała radością, najwięcej hałasu podniosło się na drugim końcu stołu, gdzie siedzieli młodszy i mniej doświadczony czarodzieje. Zapunktował u nich. Nie może o nich zapominać, uświadomił sobie.

– A wy jutro rano pojawcie się u mnie w pracowni – zwrócił się do Klinsmana.

– Oczywiście, mistrzu.

Lavaroti i Buerpo wymienili szybkie spojrzenia. Obaj zrozumieli, że zaszła jakaś zmiana. Janick już więcej nie jadł, popijał tylko nowe wino i rozmyślał nad tym, jak ma postępować dalej. Klinsmana obarczył zaopatrywaniem klanu w jedzenie i wino. Ma być lepsze niż dotychczas, ale za minimalnie tylko wyższą cenę. Nie miał żadnych wątpliwości, że młody czarodziej poradzi sobie z tym znacznie lepiej niż on sam. Coś tam pewnie przy okazji uszczknie i dla siebie, ale w ogólnym rozrachunku i tak zyskają na tym wszyscy. Buerpa w odpowiednim momencie pośle za tym obcym czarodziejem, o którym wspominał Drueri. Jeśli wybierze odpowiedni moment i okoliczności, Buerpo potraktuje to jako szansę na awans, na zdobycie zasług. Zwłaszcza jeśli Janick przedstawi zadanie jako bezpośredni rozkaz Varatchiego. A przy tym Drueri był zdolny i niebezpieczny. Kto wie co mogło się wydarzyć. A co do Lavarotiego, to jeszcze się będzie musiał zastanowić. Może się trafi jakaś okazja związana z projektem Akroove.

Degustacja



Ciało wciąż było ciepłe. Żywot wyciekł z niego wraz z mnóstwem krwi poprzez ranę w brzuchu. Rzecz otoczyła je ze wszystkich stron i zaczęła badać cienkimi jak włos czułkami, które błyskawicznie w tym celu wytworzyła, bazując na dwóch połączonych wzorach. Jednym były żądła owadów, które przez pomyłkę wleciały do kanałów, drugim rzęski tych najmniejszych, niewidocznych gołym okiem stworzeń, którymi podłoże kanałów było wręcz zasłane. Dzięki włosowatej formie i chitynowym czubkom Rzecz nie potrzebowała zbyt wiele siły, aby je wbić poprzez ubranie, skórę i kolejne tkanki. W poszczególnych częściach ciała wciąż jeszcze tliły się pozostałości życia, drobiny energii. Rzecz zorientowała się, że jej zdobycz nie jest jeszcze całkowicie martwa. Skoncentrowała się na czaszce, tam skrywało się wszystko to, co najciekawsze. Do wnętrza dostała się w okamgnieniu, skorzystała w tym celu z oczu, uszu i ust, a następnie wbiła się wzdłuż kręgosłupa, gdzie wcisnęła długi wyrostek niczym pęd bluszczu. Mózg wciąż wypełniały obrazy, informacje, wzory. Rzecz zaczęła je wszystkie łapczywie wchłaniać. Nie martwiła się tym, czy je może uszkodzić, za chwilę i tak by bezpowrotnie przepadły. To już wiedziała: śmierć definitywnie niszczy wzory.

Kiedy z mózgu pozostała tylko wysuszona, jałowa materia, Rzecz skupiła się na ciele. Wchłonięte z niego wzory pozwalały jej z kolei rozbudować własne zdolności postrzegania świata, wynieść je na wyższy poziom, poza czysto instynktowne reagowanie na bodźce. To zyskiwała właśnie z ciała i organów. Im więcej, tym lepiej. Szarozielona materia szczelnie oblepiła leżącą na ziemi postać. Przez kilka chwil nic się nie działo, po czym ciało zaczęło się nagle jakby

rozpuszczać, podczas gdy konsumująca je materia zyskała na objętości.

Rzecz uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, ta zdobycz zapewniła jej jak do tej pory największy, najbogatszy zestaw wzorów, których właśnie szukała. Wzorów, które były jej pomocne. W czym dokładnie, nie była jeszcze pewna. A po drugie, kolejną zdobycz tego rodzaju spróbuje pozyskać żywą, nieuszkodzoną, tak aby ją mogła skonsumować i poznać w całości, bez strat.

Cień prawie niewidzialny



Dyskretnie obserwować budynek w sercu miasta – w sercu luksusowej części miasta – nie jest łatwo. Ktoś sprytniejszy ode mnie z pewnością znalazłby na to sposób, ale mnie nic takiego nie przychodziło do głowy. Obserwowałem więc otwarcie. Stałem przy oknie w małym pokoju na poddaszu, który służył za kwaterę Army’emu. Nie mogłem zrozumieć, jak tak wielki chłop mieści się w takiej klitce, ale może podobał mu się fakt, że miał blisko do roboty. Wystarczyło zbiec dwa piętra na dół.

Czekałem tak już kilka godzin, a Army przez ten czas uważnie mnie obserwował. Wielkiego wyboru nie miał, bo związałem go tak, że nie mógł nawet drgnąć. Może to był błąd, że go nie obróciłem w inną stronę, ale trudno, od okna nie zamierzałem już odchodzić.

Chciałem się dowiedzieć, kto się zjawi, aby posprzątać cały ten bałagan, którego narobiłem w burdelu. Gdyby to był zwyczajny tego typu przybytek, nie zawracałbym sobie głowy. Ale nie był. To było miejsce, gdzie zaspokajano niepokojące żądze, gdzie więziono i męczono kobiety. Możliwe, że i mężczyzn. Nie musiało mnie to znowu aż tak interesować, zbrojeńców wszędzie pełno. Coś tu jednak nie grało. Wszystko to wydawało się zbyt wielkie, zbyt dobrze zorganizowane, by chodziło jedynie o zaspokojenie zwyrodnialca czy dwóch. Wybudowanie podziemnego kompleksu wymagało ludzi. Tym ludziom trzeba było potem zamknąć usta. Jednym czy drugim sposobem, złotem albo stalą. Musiało się za tym kryć coś więcej, coś, co było warte całej tej inwestycji. Z drugiej strony mogło mi się tylko wydawać. Może sam to sobie wszystko wmawiałem, bo całe to czyhanie, śledzenie, węszenie dawało mi coś do roboty, pozwalało się czymś zająć, zanim nadejdzie właściwa akcja.

Pozwalałem, aby czas płynął wokół mnie, obserwowałem sytuację na zewnątrz na wpół świadomie. Nie musiałem nad tym rozmyślać, w każdym razie nie za wiele. Kiedyś, w dawnych czasach, odczuwałem przyjemność, zasadzając się na zabójców gorszych ode mnie, na potwory w ludzkiej skórze. Wtedy sprawiało mi radość czucie się lepszym od kogoś innego. Dziś już nie. Jedyne, czego jeszcze potrzebowałem, to znaleźć kilka brakujących klocków do tej układanki, dokończyć parę spraw. A do tego brakowało mi akcji, agresji, podniecenia w boju na śmierć i życie, abym znów mógł dostrzec barwy, poczuć smaki i zapachy, znów poczuć, że żyję, choć przez kilka dni.

– Cierpliwy jesteś – wychrypiał Army.

– Czemu tak myślisz? – spytałem, nie odrywając wzroku od widoku za oknem.

– Obserwuję cię od kilku godzin, a ty się w tym czasie nawet nie poruszyłeś. Ja leżę związany i jestem na wpół odrętwiały.

Machnąłem na próbę ręką. Mięśnie działały jak należy. Może nawet lepiej niż zazwyczaj.

– Mnie to nie sprawia problemów – odpowiedziałem. – A jak będziesz robił hałas, to ci tę gębę zaknebluję.

To go na moment uspokoiło, ale na krótko.

– Myślę, że tego nie zrobisz – powiedział po chwili.

Koło burdelu nadal nikt się szczególnie nie kręcił. Pojawiło się wprawdzie dwóch dostawców, ale kiedy nikt nie odpowiadał na pukanie, zawrócili i odjechali. Sami bramy nie próbowali otwierać.

– Czemu tak myślisz? – zapytałem go.

– Minął cały dzień, a ty nawet wzroku od tego okna nie odwróciłeś. Nie jestem wart tego, aby od niego choć na moment odejść.

Army taki całkiem głupi nie był. Pewnie był mądrzejszy ode mnie, prawdę powiedziawszy. Ale bić się nie umiał. Mało kto potrafił.

– No racja – nie sprzeczałem się.

– Chce mi się pić i potrzebuję się wysrać – kontynuował.

Ludzie to mają potrzeby.

– Tyle że ja od tego okna nie mam zamiaru odchodzić – zgodziłem się z jego wcześniejszą myślą.

– Jak się zacznę drzeć, to będziesz musiał, choćby po to, żeby mnie uciszyć.

Na chodniku przed wejściem dla personelu pojawił się jakiś człowiek w odzieniu rzemieślnika. Zacząłem mu się przyglądać. Rozejrzał się, jakby się chciał o czymś upewnić, ale zamiast wejść do środka, wyciągnął fajkę, nabił ją i zapalił, po czym spokojnym krokiem ruszył dalej swoją drogą.

– Co mówiłeś? – spytałem, bo Army coś mówił już od dłuższej chwili.

– Jeśli mi nie pomożesz, zacznę krzyczeć i jest mi wszystko jedno, co potem ze mną zrobisz. Stoisz tu całe godziny i na nic nie reagujesz, ty nie jesteś normalny.

No, tu się z nim musiałem zgodzić.

– Podczołgaj się do mnie, przetnę ci pęta – powiedziałem. – Powinienem cię był zakneblować, ale popełniłem błąd.

To się już nie powtórzy, dodałem w myślach.

– A jak mnie wyswobodzisz, to wtedy co? – zaciekawiał się Army.

Wyczuwałem w jego głosie wahanie.

– To wtedy się rozwiążesz, pójdziesz do kibla i się napijesz. Zrobisz wszystko, co tam potrzebujesz. I dasz mi święty spokój. Muszę się dowiedzieć, kto się tu zjawi posprzątać. Jak się dowiem, to sobie pójdę i już mnie nigdy więcej nie zobaczysz.

Miałem szczęście. Światło latarni w połączeniu z pełnią zapewniało mi stosunkowo dobry widok na ulicę. Mimo późnej pory ruch na niej panował całkiem duży. Przed burdel zajechał powóz, ale nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi od personelu, zawrócił i odjechał.

– To po coś mnie wiązał, skoro teraz mówisz, że mnie możesz rozwiązać? – dopytywał się dalej Army.

Trudne pytanie. Nigdy nie byłem ekspertem w odczytywaniu ludzkich emocji, ale odnosiłem wrażenie, że zaczyna się bać.

– Jakbym cię nie związał, pozwoliłbyś mi gapić się z twojego okna na ulicę?

– Oczywiście, że bym nie pozwolił – posłusznie odpowiedział na moje pytanie.

– A teraz, jeśli cię rozwiążę?

Chwilę się nad tym zastanawiał.

– Teraz ci pozwolę. Będę miał nadzieję, że zobaczysz to, na co czekasz, i zostawisz mnie w spokoju.

– No i widzisz, tak to działa. – Wzruszyłem ramionami.

Niczym gigantyczna, robiąca zaskakująco dużo hałasu gąsienica zdołał się do mnie doczołgać. Nie odrywając wzroku od ulicy, przeciąłem powróż wiążący mu razem ręce i nogi.

– Tu masz nóż. – Poczekałem, aż palcami namaca rękojeść. Jakby mnie spróbował dźgnąć, trzepnąłbym go po gębie. A to to ja już potrafię.

Był powolny i rozważny. Rozważnie powolny wręcz. Godzinę później piłem piwo, które mi przyniósł, a on sam stał obok z drugim kuflem i razem ze mną patrzył na ulicę w dole.

– W życiu bym nie pomyślał, że tak to się skończy – powiedział.

Pozostawiłem to bez odpowiedzi. Ja też nie.

– Zaraz się zacznie rozwidniać – zauważył, kiedy dopiliśmy kolejne piwo.

– Najlepszy moment – oceniłem.

I rzeczywiście. Z przeciwnych stron ulicy różnym krokiem nadeszło trzech mężczyzn. Spotkali się przed wejściem i nagle byli już w środku. Albo wiedzieli, albo zakładali przynajmniej, że drzwi będą otwarte. Ja ich za sobą nie zamknąłem, nie miałem czym.

– No to mam ich – warknąłem. – Masz jakąś przyzwoitą broń?

Chłopaki jak on miewają czasem na przykład niezłe kusze.

– Nóż myśliwski, pod poduszką.

Nawet nie sprawdzałem, do niczego by mi się nie przydał. Wyszedłem bez pożegnania. Już na ulicy przyszło mi do głowy, że może powinienem poprosić o pomoc Valera. Jeśli chodzi o śledzenie, do najlepszych się raczej nie zaliczam, a do tego byłem sam. Aczkolwiek to drugie nie stanowiło znowu aż takiego problemu.

Czekałem na zewnątrz oparty o ścianę i zmagąłem się z chęcią, aby udać się za tamtymi trzema do budynku. Byłaby to głupota, bo

natychmiast zwróciłbym na siebie uwagę, a do tego któryś z nich pewnie by mi zdołał uciec. Jak mówię, głupota. Już lepiej się skupić na bezpośredniej okolicy. Tu, na dole, było ciemniej, niż się z góry wydawało. Ale za to powietrze było na tyle świeże, na ile to możliwe w mieście z cegły i kamienia, w ciągu dnia rozpalanym słońcem. Wcześniej, zanim przyszedłem obserwować burdel, zaszedłem do domu po żelastwo. Wysoko na prawym boku, aby nie było widać ostrza spod płaszcza, miałem katzbalger, do tego w pochwie przy pasie nóż sporej wielkości, który sam kiedyś wykonałem. Na tę robotę to była trochę przesada, ale bez broni po prostu czułem się nagi, niepełny.

Zastanawiałem się, jak długo ci trzej będą siedzieć w środku. Jak również nad tym, czemu trzeba było aż trzech. Jeśli chcieli zatrzeć ślady, wystarczyłby jeden. Trzech ludzi nie wzniesi pożaru szybciej niż jeden. Gdyby mieli zabrać i wynieść jakieś kompromitujące materiały, znów wystarczyłby do tego jeden. Oczywiście, o ile wiedzieli, gdzie ich szukać. I o ile nie ważyłyby kilka cetnarów. Ale żeby aż tyle kompromitujących materiałów? To wykraczało poza moją wyobraźnię.

Czekałem więc z nadzieją na jakąś zabawę. Biorąc pod uwagę fakt, że budynek burdelu w płomieniach nie stawał, tamci trzej musieli jednak czegoś szukać.

Z nadchodzącym świtem temperatura spadała, miałem wrażenie, że w powietrzu wyczuwam kropelki wilgoci. Zaczynało się rozwidniać. Minął mnie pierwszy roznosiciel wody. We wszystkich miejscach, które w życiu odwiedziłem, to była zawsze praca dla kobiet, ale ten tutaj to był przysadzisty chłop z dwoma pięćdziesięciolitrowymi kubłami zawieszonymi na obu końcach nosidła. Kubły przy każdym jego kroku huśtały się, woda pluskała, ale nie uronił ani kropli. Zanim zdążyłem się nad tym porządnie zamyślić, w bramie wjazdowej do burdelu pojawił się mężczyzna, za nim dwaj pozostali. Wciąż było zbyt ciemno, abym mógł dostrzec ich twarze, dodatkowo na głowach mieli głęboko nasadzone nieforemne czapy, popularne wśród miejscowych rybaków. Na plecach nieśli

torby. Tych przy nich wcześniej nie widziałem. Nie były pełne, ale coś tam w nich jednak nieśli. Coś, po co przyszli.

Nie mieli powodów podejrzewać, że ktoś ich może śledzić, ale byli mimo to ostrożni. Bardzo ostrożni. Ten pierwszy obserwował przez chwilę skrzyżowanie i ulice. Nie dostrzegł nic niepokojącego. Przyszło mi do głowy proste rozwiązanie. Wystarczyło, bym im odebrał te plecaki, i dowiedziałbym się, co próbują ukryć. Tyle że z wyglądu wnioskowałem, że to muszą być papiery, całe mnóstwo papierów, a do przekopywania się przez dokumenty zwyczajnie nie miałbym cierpliwości. Nie mówiąc już o tym, że wcale nie musiały zawierać informacji, które skierowałyby mnie ku kolejnemu ogniwu tego łańcucha. Pozostałem więc przy moim początkowym planie – śledzić ich, szukać dalszych połączeń i czekać na najlepszą okazję, by znów zadać parę pytań. A gdyby nie padły odpowiedzi, przynajmniej spróbować się dowiedzieć, kto może wiedzieć coś więcej. Książę rozprawiał kiedyś o tak zwanym łańcuchu pokarmowym. Te najmniejsze, bezzębne stworzenia pożerane są przez te trochę większe. Te też nie muszą mieć zębów, wystarczą zrogowacenia i w miarę silne mięśnie wokół ust. Z kolei ci mali drapieżcy pożerani są przez większych, takich ze szczękami i twardymi zębami. Ci jednak też nie mają lekko. Na nich czyhają więksi, bardziej wyspecjalizowani zabójcy. Z kłami, szponami, pazurami. I ci również nie mogą spać całkiem spokojnie. Nad nimi bowiem znajdują się jeszcze groźniejsze osobniki. Książę nazywał je drapieżnikami alfa. Te siedzą na samym szczycie piramidy, są najsilniejsze, z najmocniejszymi szczękami, z najostrzejszymi zębami. Skruszą każdą kość, przetną każdą tkankę. To, o czym opowiadał mi książę, sam wiedziałem już dawno, tylko nie opisywałem tego jego słowami. Ale gdybym miał ich użyć, to powiedziałbym, że wspinałem się właśnie w górę łańcucha pokarmowego. A ja jestem twardszy od stali. Jestem pożeraczem drapieżników alfa.

Najpierw ich poobserwuję, potem się do nich dobiore i dowiem się jeszcze więcej. Ileż więcej zabawy niż ślęczenie nad jakimiś papierami, wróciłem do swoich rozmyślań.

Ten pierwszy musiał być zadowolony z wyników oględzin, bo ruszył środkiem ulicy. Pozostali dwaj podążyli za nim. Szedłem za nimi, zachowując odstęp, co nie było takie trudne, bo ulice powoli zapełniały się ludźmi. Na moją korzyść działała również ich pewność siebie. Już za drugim skrzyżowaniem przestali się nawet rozglądać. Może dlatego, że było ich trzech, a przewaga liczebna zawsze sprawia, że ludzie stają się mniej ostrożni.

Na śniadanie zatrzymali się w jadalni, której szyld chełpił się tym, że jest otwarta od pierwszego ptasiego trelu aż do zachodu słońca. Żadnego ptactwa nie słyszałem, ale otwarte było i tak. Głodu nie czułem, ale żeby nie zwracać na siebie uwagi, zamówiłem zupę z makaronem, a do tego tost z pasztetem z mięsa. A potem jeszcze jedną zupę. Jadłem trochę szybciej niż oni. Na drogę wziąłem ryżową bułkę z krewetkowym farszem. Znowu czułem smak i zapach, co było bardzo przyjemne.

Tymczasem ludzi na ulicach przybyło, dzięki czemu śledzenie stało się jeszcze łatwiejsze, ale i tak na wpuł się spodziewałem, że w każdej chwili mogą się zorientować. Spróbowaliby ucieczki? Może na to nie wyglądam, ale jestem w stanie biec dość szybko i całkiem długo. Tyle że musiałbym pewnie wyrzucić prowiant, a byłoby szkoda. Jako że nos i kubki smakowe pracowały jak należy, cieszyły mnie widoki na zabawę.

Albo miałem szczęście, albo byli aż tak pewni siebie, że nie przypuszczali, iż ktoś może ich śledzić. Przeszliśmy przez całe centrum i dotarliśmy do części miasta, w której domy miały tarasowe dachy, gdzie ludzie uprawiali warzywa i owoce. Ulice wciąż były tu brukowane, ale już tylko kocimi łbami, na których koła wozów głośno turkotały.

Zwolnili tempo. Zatrzymałem się pod drzwiami jednego z domów, jakbym właśnie z niego wyszedł albo miał zamiar wejść do środka. W dobrym momencie, bo jeden z mężczyzn się obejrzał. Potem powiedział coś tam do swoich kompanów i rozejrzał się ponownie.

Drzwi, pod którymi stanąłem, otworzyły się i stanął w nich gruby facet w skórzanym fartuchu i z wielką teczką w ręce.

– Wracaj do środka i wyjdź jeszcze raz za parę chwil – poradziłem mu.

Gapił się na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Albo ci powyrywam palce i wepchnę do gardła.

To zadziało. Czasem potrafię być przekonujący. Obróciłem się akurat w momencie, kiedy tamci trzej zniknęli w murze. Byli i nagle zniknęli. Cholera. No i na co były całe te podchody, to wyczekiwanie? Teraz mnie wkurzyli. W mgnieniu oka znalazłem się w miejscu, gdzie przedtem stali. Nie wsiąknęli w kamienie, ale weszli normalnie, wąskimi drzwiczkami. Żadni czarodzieje. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Spojrzenie w lewo, spojrzenie w prawo, kopnąłem z pięty, trzasnął skobel i droga stanęła otworem. Wszedłem do środka, przymknąłem za sobą drzwi i się rozejrzałem.

Znalazłem się w zapuszczonym ogrodzie, który być może kiedyś był uprawiany, ale musiało to być już jakiś czas temu. Wśród dużych drzew stał porośnięty zielenią dom, na pierwszy rzut oka też zaniedbany. Ktoś tu zostawił odłogiem całkiem spory majątek. Nie moja sprawa, było mi na rękę, że miałem się gdzie ukryć i czekać, aż się ktoś pojawi. Wcisnąłem się między dwa rozrośnięte drzewka pomarańczowe, wysoka trawa prawie całkiem mnie skrywała. Poprzez źdźbła miałem dobry widok na główną drogę wiodącą przez posiadłość, a kiedy obróciłem nieco głowę, widziałem również i drzwi w murze, którymi się tu dostałem.

Czas płynął, słońce wspinało się coraz wyżej, rosła temperatura. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem ściągnąć kożucha, ale się rozmyśliłem. Było mi ciepło i dobrze. Początkowo świergotały ukryte wśród gałęzi ptaki, ale kiedy zrobiło się gorąco, zamilkły.

Nikt się nie pojawiał, nic się nie działo.

Pomyślałem, że powinienem zacząć się pocić, ale nic takiego się nie stało. Jakbym całą tę słoneczną energię absorbował do wnętrza.

Na dłoni usiadł mi moskit. Przyglądałem mu się chwilę, jak bez rezultatu próbuje przebić moją skórę. W powietrzu wyczułem delikatny powiew dymu. Oderwałem wzrok od owada. Dym unosił

się z komina domu, który obserwowałem. Czemu ktoś miałby palić w piecu w taki gorąc?

Nisko schylony ruszyłem w stronę budynku. Nie zawracałem sobie głowy otwieraniem drzwi, po prostu przeleciałem przez nie, jak i przez następne. W piecu płonął stos papierów. Niewielki facet, wyglądający jak typowy rybak, stał już twarzą do mnie, w jednej ręce trzymał krótki miecz, druga wznosiła się w geście, jakby chciał we mnie czymś cisnąć.

Przeszedłem we wślizg, ale i tak coś mnie uderzyło w ramię. Drugą ręką zbiłem jego ostrze, jednak do nóg już mu się nie dostałem, odskoczył zwinnie. Znów się zamachnął, instynktownie się skuliłem. Znów mnie coś uderzyło, ale nie poczułem bólu. Tymczasem już miałem w garści katzbalger, stopy na ziemi, byłem gotowy do ataku.

Tamten rzucił szybkie spojrzenie na palenisko, jakby się chciał upewnić, potem znów na mnie. Byłem w locie, on też, tyle że w przeciwnym kierunku. Trzasnęła drewniana rama, kiedy wyskoczył oknem. Przeturlał się i już był na nogach, już w biegu. Rzuciłem za nim nożem, trafiłem go w tył głowy, niestety, tylko rękojeścią. Stracił równowagę, ale na moment, potem jeszcze przyspieszył. Przez płot nie tyle przeskoczył, co przefrunął.

Zerwałem z siebie płaszcz i rzuciłem się ku palenisku, ale było za późno. Papiery stały w płomieniach, nie było czego gasić. Poczulem zapach oliwy. Nic dziwnego, że zajęły się tak szybko. Nabrałem głęboko powietrza i wypuściłem je z gniewnym parsknięciem, niczym rozjuszony byk. Nici z zabawy.

Znów rozejrzałem się po pomieszczeniu i zwróciłem wreszcie uwagę na leżące bezwładnie ciała. Zarejestrowałem ich obecność już w momencie, kiedy wpadłem do środka, ale martwymi mój umysł się nie przejmował. Teraz mogłem im poświęcić uwagę.

Faktycznie, tak jak początkowo odgadłem, trzech mężczyźni, których śledziłem aż tutaj, byli martwi. Mogli więc poczekać. Zacząłem przeglądać mój kozuch. Jedna gwiazdka utknęła we wzmocnionym naramienniku, druga odbiła się tylko i leżała na podłodze. Uniosłem ją czubkiem noża, uważając, by jej nie dotknąć.

Miała cztery groty, z czego trzy pokryte były ciemną, przypominającą lakę substancją. Powłoka z czwartego musiała się zetrzeć do czysta o moje okrycie. Na miotanej broni zwyczajnie nie można polegać.

Na martwych nie znalazłem żadnych widocznych śladów przemocy. Jeden miał co prawda ranę na głowie, ale powstała ona raczej wskutek upadku. Wszyscy za to mieli nienaturalnie bladą skórę i posiniałe wargi. Ekspertem nie jestem, ale wyglądało na to, że umarli na skutek uduszenia albo zatrzymania akcji serca. Ten gość, który nie miał chęci na pogawędkę, najwyraźniej znał się na truciznach całkiem nieźle. Z koszuli jednego z trupów urwałem kawałek materiału, zawinąłem w niego gwiazdkę i schowałem. Potem przejrzałem plecaki, ale tak jak przypuszczałem, były puste. Wszystko, co ze sobą przynieśli z burdelu, płonęło w palenisku.

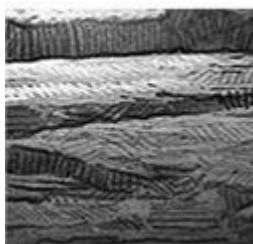
Aby mieć poczucie dobrze spełnionego obowiązku, przeszukałem też cały dom, jednak nie znalazłem nic interesującego. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu nikt tu nie mieszkał, tylko ci trzej korzystali z posesji jako tymczasowej noclegowni. Wróciłem więc do nieboszczyków i drobiazgowo ich obszukałem. Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów, żadnych listów polecających, żadnych przedmiotów osobistych, mogących pomóc mi odgadnąć, kim byli.

Nie miałem ochoty na dalsze oględziny, ale gdybym tego nie zrobił, wyszedłbym na głupka przy następnym spotkaniu z księciem. O ile do takiego jeszcze kiedyś dojdzie. Rozebrałem ich i dokładnie obejrzałem. Umieśnieni, w dobrej kondycji, byli profesjonalistami. Zawodowi zabójcy. A umarli otruci, bez walki. Na stole dostrzegłem trzy niedojedzone posiłki. Ten łapserdak znał się na truczkach. Mało kto wie, że większość trucizn, które zabijają po dostaniu się do krwiobiegu, jest niegroźna w spożyciu. Musiał być prawdziwym ekspertem, skoro ciskał we mnie zatrutymi gwiazdkami, podczas gdy tych tutaj otrułem jedzeniem.

Najwyraźniej ktoś za żadną cenę nie chciał pozwolić mi na pochwylenie tropu tych drani męczących uwięzione kobiety. I znał się na robocie, bo przecież nie spodziewali się mnie tutaj, a i tak zdołali zatrzeć ślady.

Zabójcy, jak ci tutaj, mieli zazwyczaj wytatuowane symbole oznaczające ich przynależność do klanu. Ci też je oryginalnie mieli, pod pachą, aby się nie rzucały w oczy, ale ktoś je wypalił gorącym żelazem. Możliwe, że gdybym obejrzał ich ciała dokładniej, znalazłbym klanowe znaki jeszcze gdzie indziej, na wewnętrznej stronie napletka czy między pośladkami, ale nie miałem ochoty na badania aż tak drobiazgowo. Tym bardziej że rozluźniły im się po śmierci zwieracze. W innych przypadkach takie tatuaże mogły być widoczne na przykład tylko w świetle księżyca. Spotkałem się już i z takimi. Odpuściłem więc, nie było to aż tak istotne.

Na żołdzie czarodziejów



W myśl ostatnich rozkazów nowego szefa – wielkiego mistrza Janicka – Gruman miał teraz śledzić Joela Klinsmana. Przez pierwsze trzy dni nie zawracał sobie tym za bardzo głowy, skupił się raczej na rozpoznaniu sytuacji i okolicy. Obejrzał dokładnie siedzibę klanu, dowiedział się, kim są najbliżsi sąsiedzi. Sporo czasu poświęcił na obserwację, kto willę odwiedza, potem skupił się na dostawcach i przyjrzał się temu, jakie zakupy Janick robi dla klanu, a jakie dla siebie. W trakcie tego śledztwa zorientował się, że Klinsman należy do klanu. Tego mu Janick nie wyjawiał, co Grumana szczególnie nie zaskoczyło. Zadanie go przez to zaciekawilo, jeszcze nigdy nie śledził kogoś, o kim wiedziałby, że jest czarodziejem. W przypadku Klinsmana nic w jego trybie życia na to nie wskazywało. Zachowywał się jak każdy inny drobny handlarz, przy czym swoim obowiązkom oddawał się z zapalem graniczącym z obsesją. Mniej więcej po tygodniu Gruman zdołał wykorzystać okazję, aby go na spokojnie obserwować w gospodzie, gdzie przy kolacji tamten liczył pieniądze i rozdzielał je na dwie kupki, robiąc przy tym notatki. Wyglądało na to, że część pieniędzy, które udało mu się dzięki talentowi do targowania się zaoszczędzić, zabiera do własnej kieszeni. Gruman zgadywał, że właśnie to było powodem, dla którego dostał to zlecenie.

Po tym, jak Gruman zorientował się, że Klinsman należy do klanu, zaczął też poświęcać uwagę i innym jego członkom z bliskiego otoczenia Janicka. Doświadczenie nauczyło go, że im więcej wie, tym lepiej sam na tym wyjdzie.

Szczególnie rzucili mu się w oczy dwaj kolejni ludzie. Postawny, pewny siebie mężczyzna z wielkim nosem i jeszcze bardziej pewny

siebie, arogancki wręcz młodzieniec. Na czym polegała ich funkcja w klanie, tego Gruman wciąż nie wiedział.

Nosacz przedstawiał się jako Canaf Buerpo i marnował całe dni po gospodach, zajazdach i co lepszych restauracjach. Sprawiał jednak wrażenie, jakby w trakcie swego ostentacyjnego nicnierobienia czegoś szukał. A może raczej kogoś. A przy tym przy każdej możliwej sposobności szukał uwagi płci niewieściej. Gruman jeszcze nigdy nie spotkał mężczyzny, który z taką łatwością nawiązywałby kontakty z kobietami. Zwracał się do każdej ładnej dziewczyny, która nie była w towarzystwie mężczyzny, i jeśli się spotkał z odmową, przyjmował to bez żadnych oznak niezadowolenia. W odróżnieniu od innych mężczyzn po prostu próbował szczęścia z kolejną kobietą. Wielokrotnie jednak kończyło się na tym, że zaczepiona niewiasta zapraszała go do siebie, skąd zazwyczaj wychodził po godzinie czy dwóch z zadowoloną miną kota w składzie śmietany. A w te dni, w które nie udało mu się nikogo przygadać, po prostu płacił za prostytutkę. Jego apetyt seksualny był po prostu nie do opisania i Gruman nie mógł się nadziwić, jak ktoś może mieć aż takie powodzenie. Kiedyś myślał, że może to kwestia jakiegoś uroku, jednak w istocie prawda była zapewne bardziej prozaiczna: Buerpo był atrakcyjny, a Grumanowi w tych sprawach brakowało doświadczenia. Poza apetytem na kobiety nie było jednak w Buerpie nic interesującego. Podobnie z Klinsmanem. Gruman czasem wątpił wręcz, czy są to rzeczywiście czarodzieje.

Kolejnym człowiekiem, któremu poświęcił uwagę, był Lavaroti. Po części dlatego, że Janick zlecił tamtemu zadanie związane z miejskimi kanałami, a po części, że i on należał do wyższych „oficerów” klanu. Gruman umieścił „oficerów” w cudzysłowie, musiał ich sobie na własny rachunek uporządkować.

Po tygodniu śledzenia kilku ludzi naraz poczuł się zmęczony. Wszystko to było o wiele bardziej skomplikowane, niż wskazywały na to proste rozkazy. A fakt, że Gruman postanowił zmienić bieg swojego życia, komplikował sprawy jeszcze bardziej.

Dotknął liścia bugenwilli. Poczłł chłód i wilgoć. Dzisiejszy ranek był chłodniejszy niż zazwyczaj i rośliny pokrywała drobna rosa. To był sprawdzony punkt obserwacyjny, na samym terenie posiadłości, w środku rozrośniętego krzewu fioletowych kwiatów. Przed świtaniem były jeszcze pozamykane, ale Gruman miał wrażenie, że ich kolor prześwieca przez płatki. To jednak było tylko wrażenie, a on nie powinien polegać na wrażeniach, od tego mogło zależeć jego życie. Skupił się na rzeczywistości.

Przygarbiona sylwetka starej willi wyglądała w delikatnej szarówce niczym grobowiec czy mauzoleum, jedynie zapach dymu zdradzał, że wewnątrz znajdują się żywi ludzie. Świergot ptaków, skrzypnięcie drzwi – Gruman zorientował się, że przysnął. Sam przed sobą musiał przyznać, że ma wszystkiego dość i musi wreszcie odpocząć. Zwykle do śledzenia kilku osób wysyła się całą grupę.

Kolejne skrzypnięcia, tym razem otwieranych okiennic. Na zewnątrz na razie nikt jeszcze nie wyszedł.

Gruman myślami wrócił do dnia, kiedy z Keshuą śledzili Vukiego, który do podziemnych kanałów wypuścił COŚ, co pożywiło się dwoma trupami. Vuki miał wtedy zginąć, został z góry spisany na straty. Uchronił go tylko zbieg okoliczności. A teraz Janick, mistrz klanu, posyła jednego ze swoich najzdolniejszych ludzi, aby wybadał podziemia. Czy to oznaczało, że Lavaroti też jest spisany na straty? A co za tym idzie, na ile tak naprawdę przydatny jest on sam, Gruman?

Kolejne skrzypnięcie, tym razem głośniejsze, wraz z nim rozległy się stłumione głosy.

– Mogliśmy poczekać i zjeść śniadanie ze wszystkimi – powiedział ktoś z niezadowoleniem, wciąż nieco zaspany – i zaoszczędzić przy tym trochę grosza.

Gruman zanotował w myślach, że czarodziejom może się kiepsko wieść finansowo.

– Zamiast żreć ochłapy i pić tę breję, co to nam serwują zamiast kawy, już wolę wydać parę miedziaków – odpowiedział mu znacznie raźniejszy głos.

Ten, jak Gruman rozpoznał, należał do Lavarotiego.

– Odkąd zaopatrzeniem zajął się Klinsman, sporo się poprawiło. A kawa jest akurat bardzo dobra – oponował dalej ten niezadowolony.

Przeszli chodnikiem tuż obok krzewu, w którym ukrywał się Gruman. Miał przygotowane dwie drogi ewakuacyjne, czekał z wyborem, aż zobaczy, gdzie uda się ta trójka.

Pół godziny później stał już w kolejce w całodobowej jadłodajni, oddzielony od tamtych raptem dwiema osobami. Słyszał, o czym rozmawiali, ale zainteresowani byli wyłącznie jedzeniem. Sam zamówił zupełną rybą. Nie miał złudzeń, wędrowało do niej wszystko to, czego nie dało się wykorzystać do innych dań, jednak właściciel wiedział, że oszczędności oszczędnościami, a klient zwracający to nie klient powracający. Dawała się więc zjeść.

Gruman zabrał swój talerz, do glinianej miski wrzucił należność i hojnie posypał porcją chili. Musiał się rozbudzić i przygotować na kolejny długi, męczący dzień. Jadł pomarańczę, pozornie skupiając się jedynie na tej czynności. W rzeczywistości jednak nastawiał ucha, bo tamci trzej mówili teraz cicho, tak aby ich nikt nie słyszał. Gruman oparł głowę na dłoń, by zbierać dźwięki płynące z ich kierunku.

– Nie chce mi się łączyć do podziemi. Nie rozumiem, czemu to zadanie dostaliśmy właśnie my.

Ten, który się odezwał, był młodym mężczyzną o zdeformowanej twarzy. Gruman zgadywał, że wyglądał tak od urodzenia. Zapewne akuszerka użyła jakiegoś przyrzędu, aby go wydostać. Takie dzieci zazwyczaj szybko umierały, ważniejsze było ratowanie życia matki. A jeśli noworodek przeżył, często i tak go zabijano. Nikt nie potrzebował kaleki, o którego trzeba by się całe życie troszczyć. Widać tego akurat fortuna miała w swojej opiece.

– Zadanie to zadanie – wzruszył ramionami najmłodszy z trójki – trafiały się już i gorsze.

Gruman znów złapał się na wątpliwościach, czy to są rzeczywiście czarodzieje. Wydawali się tacy... zwyczajni. A może właśnie nie byli? Może tylko udawali?

– Tak, robota to robota – potwierdził Lavaroti w zamyśleniu – i my ją wykonamy. Ale ostrożnie i tak, żeby to współgrało z naszymi

planami. Nie powinno to być nic trudnego, ale pośpiechu nie ma. Poczyniliście przygotowania?

Gruman dalej nie czekał. Przełknął ostatnią łyżkę, wziął talerz i odniósł go na stertę brudnych naczyń. Prawdę powiedziawszy, nawet sobie podjadł. W zupie znalazł kawałki dużej krewetki i dobrze przygotowanej ośmiornicy. Jedzenie go wzmocniło i poprawiło humor. Czasem człowiekowi trafi się perła i tam, gdzie by się jej nie spodziewał.

Ci trzej byli lepsi, niż oczekiwał. Nie zakradli się do kanałów potajemnie, ale wyszli aż na skraj miasta, gdzie słychać było świst wiatru i fale rozbijające się na skalistym brzegu. Znaleźli tam ulicę, która u wylotu otwierała się na morze, i ostatnią, najbliższą brzegowi studzienkę. Zanim zapuścili się pod ziemię, przy wejściu umieścili ostrzegawczą tabliczkę informującą o robotach w kanale. Pokrywę odnieśli kawałek dalej i ukryli, aby jej jakiś przypadkowy dowcipniś nie odłożył z powrotem. Musiała być ciężka, bo dźwigali ją wszyscy trzej.

Gruman obserwował ich z dystansu. Sam na ich miejscu pozostawiłby u wejścia kogoś na straży. Zanim zeszli pod ziemię, Lavaroti skłonił się ku włączowi i przez chwilę bacznie nasłuchiwał. Potem wszyscy trzej zniknęli Grumanowi z oczu.

Gruman przez chwilę jeszcze obserwował morze. Wyglądało na to, że mimo falochronów podczas przypływu wiatr wiejący od wody nierzadko przegania fale poprzez zwał kamieni, aż na znajdującą się za nimi plażę, a nawet do podnóży wychodzących na nią ulic. Widać było, że już od pokoleń ludzie starali się temu przeciwdziałać, niektóre ze stojących najbliżej wody domów zbudowano na usypanych sztucznie wzniesieniach. Gruman znów zastanowił się nad tym, czy Grafzatza jest rzeczywiście półwyspem. Wąska grobla łącząca ją ze stałym lądem była przejezdna tylko przez cztery godziny każdego dnia, a przy szczególnie wzburzonym morzu jeszcze krócej.

Trzeba było ruszać. Upłynęło wystarczająco dużo czasu, aby tamci posunęli się kawałek w głąb kanałów, a równocześnie, gdyby odczekał dłużej, mógłby ich całkiem zgubić.

Zszedł po pordzewiałych poręczach jakieś trzy i pół, cztery metry pod ziemię. Światła docierało tu wciąż dość, ale upał wyraźnie zelżał. W pionie od poziomemu morza dzieliło go niewiele, ale kanał, czy może tunel, nie był pewien, jak właściwie określić tę konstrukcję, był suchy. Pod stopami Gruman czuł piasek. Wziął garstkę do ręki, roztarł między palcami, powąchał. Wyglądał na piasek z dna morskiego. W kierunku morza kanał nieco opadał. Słysząc było przytłumione pluskanie fal. Wylot przegrodzono masywną kratą, ale została tam ona umieszczona raczej po to, aby otworu nie zaważyły pchane sztormowymi falami kamienie.

Gruman zastanawiał się chwilę, czy przy wysokim stanie morza kanały są całkiem zalane wodą, ale nie miał czasu na rozważania. Przyspieszył, aby dogonić oddalającą się trójkę czarodziejów. Już po kilku krokach wyraźnie się ściemniło, na szczęście zaraz dotarł do kolejnego wylotu wiodącego ku powierzchni ulicy, przez który znów wpadało do środka trochę światła.

Szedł ostrożnie, po cichu. Wyczuł, że tunel delikatnie się wznosi. Po chwili dotarł do dość prostego, prymitywnego wręcz mechanizmu, który służył do przegradzania kanału. Tworzyła go ciężka dębowa przegroda, opuszczana w razie potrzeby kołowrotem. Zapora burzowa, pomyślał Gruman. Widać było, że mechanizm, choć stary i zużyty, jest utrzymywany w dobrym stanie. Zatrzymał się jedynie na chwilę i zorientował, że przegroda została zablokowana starannie umieszczonymi drewnianymi klinami. Musieli je mieć ze sobą tamci trzej. Nie chcieli zostać pozbawieni drogi odwrotu i byli do tego dobrze przygotowani.

Światła wciąż ubywało, u kolejnego wylotu było go jeszcze mniej niż poprzednio. Może dlatego, że znalazł się głębiej pod ziemią, a może dlatego, że był dalej od wylotu, Gruman sam nie wiedział. Nagle dotarł do rozstajów, na których tunel rozchodził się w trzech kierunkach. Za długo zwlekał, zgubił ich. Nie poddawał się jednak. Zaczął uważnie nasłuchiwać i po paru momentach z jednego

z korytarzy dobiegły go jakieś szmery. Ruszył za nimi. Po kilkudziesięciu metrach ostrożnego stąpania w gęstniejącym mroku dostrzegł wreszcie poruszający się przed nim odblask światła. Tu już tunel wyraźnie zmieniał się w kanał. Śmierdziało odpadkami, zgnilizną i ściekiem. Piach pod nogami jednak był nadal suchy. Może przez pogodę w ostatnich dniach, pomyślał. Szedł teraz jeszcze ostrożniej. Smród wreszcie trochę osłabł, zamiast tego Gruman poczuł na twarzy gorący prąd powietrza. To oznaczało, że wpadało ono gdzieś niedaleko z powierzchni ulicy. W końcu usłyszał przed sobą głosy.

– To mi się wcale nie podoba – powiedział ten najmłodszy.

Gruman zbliżył się jeszcze. Tamci obserwowali coś na ziemi.

– Zapisz, ile kroków, i zaznacz miejsce. Idziemy dalej, szczurzy szkielet niczego nie oznacza – powiedział Lavaroti.

Po chwili ruszyli, Gruman podążył za nimi. Nie miał ze sobą lampy, jednak miejsce, w którym się zatrzymali, oświetlał promień z nieodległego wjazdu. Na ziemi leżał szkielet szczura. Białuteńki, jakby całe miesiące albo lata leżał na słońcu, wszystkie kosteczki idealnie na swoim miejscu. Gruman jednak nie miał czasu nad tym rozmyślać, musiał trzymać się blisko śledzonych czarodziejów. To było teraz o tyle łatwiejsze, że tamci zatrzymywali się często, aby sprawdzać trasę na mapie.

Z przyzwyczajenia sam starał się zapamiętać trasę i, na ile to było możliwe, topografię tuneli, które mijali. Notował w myślach zmiany kierunku i rozmieszczenie rozświetlających mrok wjazdów. W pewnym momencie czarodzieje zatrzymali się i zaczęli nad czymś z zaskoczeniem dyskutować. Stał w ciemności o kilka metrów od nich i słyszał bardzo wyraźnie każde słowo, w kanałach dźwięk rozchodził się tak dobrze, że miał wręcz wrażenie, jakby sam w tej rozmowie uczestniczył. Tamci zorientowali się właśnie, że miejski system kanałów ma w istocie dwa poziomy.

– Ze względu na przyływ i odpływ? – zgadywał jeden. – Wysoka woda czyści poziom dolny, a kiedy ustępuje, brudy z góry ściekają na dół. To dlatego tak tu czysto.

– I inwestowaliby aż tyle pieniędzy i wysiłku tylko po to, żeby nie śmierdziało na ulicach? – powątpiewał drugi z młodych czarodziejów.

Gruman pomyślał, że to jest warte zachodu. Nawet w tym suchym klimacie Grafzatza była najczystszym miastem, jakie kiedykolwiek odwiedził.

– Mamy to tu zaznaczone, przy dwudziestym pierwszym włązie jest zejście, wystarczająco duże dla człowieka – powiedział Lavaroti.
– Te ścieki w dół jakoś musieliśmy przegapić – dodał niezadowolony.
– Dobra, jesteśmy tu już pewnie z pół dnia, powiedziałbym, że odwaliliśmy kawał niezłej roboty i zasłużyliśmy sobie na porządny obiad.

Jego kompani byli zadowoleni, ale umiarkowanie.

– Obiad i coś do picia. Ja stawiam. Ale tylko piwo.

Teraz wykazali większy entuzjazm. Gruman był pełen uznania. Lavaroti wiedział, jak wzbudzić sympatię. Jak sobie zdobyć sprzymierzeńców.

– Idziemy stąd – zakomenderował Lavaroti.

Gruman był na to przygotowany. Cofnął się odrobinę i przyklęknął w wylocie niewielkiego tunelu, który zapamiętał, przechodząc. Przeszli obok niego tak blisko, że byłby w stanie ich dotknąć. Albo zabić, pomyślał. I to bez względu na to, czy byli czarodziejami, czy nie.

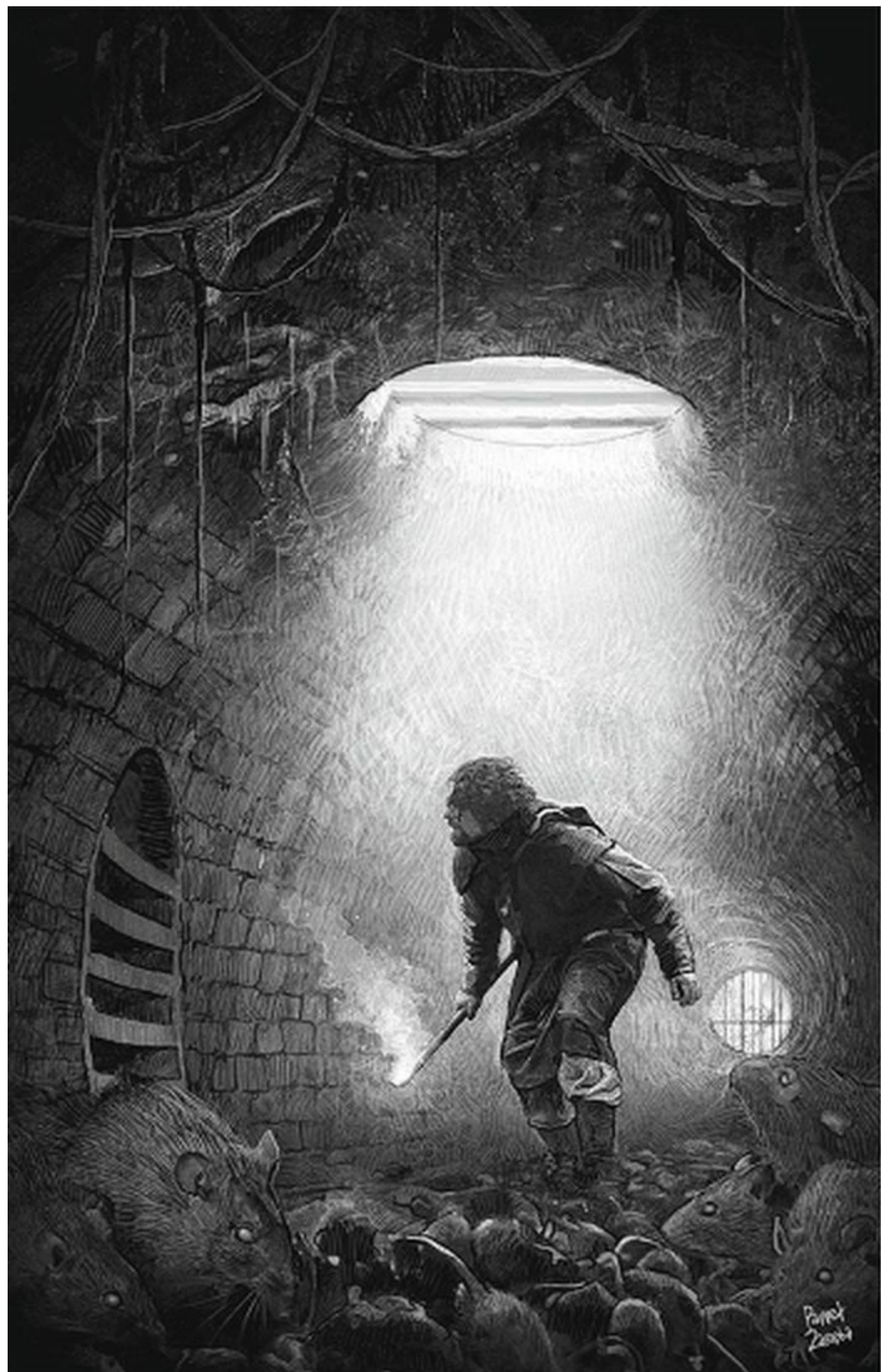
Trójka mężczyzn zniknęła w głębi korytarza, wraz z nimi zniknęła i lampa. Gruman nie był pewien, jak szybko zdoła wrócić na powierzchnię sam, ale na razie miał światło na wyciągnięcie ręki.

Stał pośrodku podziemnego korytarza, tuż przy zejściu na niższy poziom. Czuł, jak padający z góry promień słońca grzeje mu twarz, mimo iż znajdował się kilka metrów pod ziemią. Najwyraźniej było południe albo zaraz po, promień padał niemal pionowo w dół. Na górze musiało być teraz naprawdę gorąco.

Grumanowi przyszło do głowy, że może powinien rzucić okiem, co się znajdowało na dole. Tak się tylko zorientować, jak to tam wygląda na niższej kondygnacji kanałów. Rozejrzał się. Pod ścianą znalazł kawałek materiału, trochę dalej kilka starych klepek ze

zniszczonej beczki. W małym metalowym puzdrze miał przy sobie krzesiwo i hubkę.

Z zaimprovizowaną pochodnią w dłoni nachylił się nad dziurą w podłodze. Migoczące płomienie oświetliły prymitywne stopnie, które były po prostu brakującymi cegłami w ścianie kanału. Poniżej zobaczył jasne podłoże, a na nim jakąś ciemną plamę. Zejść jakoś da radę, a wspiąć się z powrotem zdoła i bez ognia, stwierdził.



Z pochodnią w jednej ręce było trochę niewygodnie, ale w końcu udało mu się zejść kolejne cztery metry. Pod stopami znów miał drobny morski piasek. Ciemna plama okazała się ludzkim szkieletem. Ktoś się nad nim musiał natrudzić, bo leżał ułożony w idealnym anatomicznie porządku. Zupełnie jak ten szkielet szczura o piętro wyżej. Jedynie drobne kostki jednej dłoni i stopy były nieco rozsypane. Gruman nie umiał określić, jak długo szkielet tu leży. Prawdopodobnie dość długo, bo przecież ani słońce, ani większe zwierzęta nie miały tu dostępu. Nie widział też nigdzie żadnych śladów po odzieży. Co mogło zabić tego człowieka?

Gruman przykląkł, by przyjrzeć się resztkom dokładniej, przy czym kątem oka kontrolował płomień. Miał jeszcze parę chwil. Dogasającą pochodnię oparł o czaszkę i obejrzał szkielet. Dostrzegł wyraźne cięcia na żebrach, tuż przy mostku. Ktoś nieco niezdarnie próbował kłuć w serce, ale że trzymał ostrze pionowo, zawadziło o żebra. Potem jeszcze raz, niżej, łamiąc jedno z wolnych żeber. Mogło się to odbyć w odwrotnej kolejności, tego już nie można było stwierdzić.

Pochodnia definitywnie się dopalała. Na głębszym poziomie kanałów Gruman nie miał ochoty spędzić w ciemności ani sekundy. W momencie, kiedy zgasła, był już na wykutych w ścianie stopniach. Na wyższej kondygnacji znalazł się w okamgnieniu. Dopiero tam uświadomił sobie, jak bardzo był tam, na dole, spięty, jak bardzo... bał się. Nie miał problemów z przyznaniem się do tego przed samym sobą. Naprawdę czuł tam, na dole, strach, co mu się już dawno nie przytrafiło.

Na chwilę przykucnął tuż przy plamie słonecznego światła, czekał, aż uspokoi się oddech, i myślał. Na dole leżały szczątki człowieka, którego zabił inny człowiek. Tu się wszystko zgadzało, nie było w tym nic niezwykłego. Jednak co z tą rzeczą, którą pomógł wypuścić do kanalizacji? Miała z tym coś wspólnego? Z tym, jak kości były ułożone? Założyłby się, że owszem, i nie była to przyjemna myśl.

Uczucie strachu nagle powróciło i Gruman uświadomił sobie, że zupełnie bez przyczyny serce znów wali mu jak młotem. Czy jednak rzeczywiście bez przyczyny? Wychwycił drobny dźwięk, na samej granicy słyszalności, coś jakby szelest tysięcy drobnych nóżek. Nie chciał płacić życiem za nadmierną ciekawość. Porzucił oryginalny plan, by wrócić tą samą drogą, którą przyszedł, i wspiął się wprost do włazu, pod którym się znajdował. Po chwili mocowania się z pokrywą udało mu się odsunąć ją na bok. Przyciągnął kilka zaciekawionych spojrzeń, jednak kiedy wsunął klapę na miejsce, gapie stracili zainteresowanie.

Gruman odbiegł na bok i oparł się o ścianę. Trzęsły mu się ręce i nogi. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak ciężka była ta pokrywa i jak bardzo źle i nieprzyjemnie czuł się w podziemiach. Musiał się czegoś napić. I umyć się. I coś zjeść. A potem wyspać się i zastanowić nad dalszymi planami.

Obowiązki towarzyskie



Zuzanna poczekała, aż Katrin zapnie jej biustonosz, pokręciła ramionami, aby elastyczna koronka lepiej się ułożyła, po czym poprawiła miseczki. Uszyty na miarę stanik leżał idealnie, perłowy materiał lśnił i przyjemnie kontrastował z naturalnie śniadym odcieniem jej skóry. Był to najwygodniejszy element bielizny, jaki kiedykolwiek na siebie założyła. Do zestawu należały też figi, uszyte z tej samej tkaniny, pasujące wzorem. Tylko materiału jakoś było w nich mało, czuła się, jakby nic na sobie nie miała.

– Pani, jesteś piękna – powiedziała nie bez cienia zawiści Monika, czekająca z pasem do pończoch przewieszonym przez ramię. – Z taką figurą możecie mieć każdego mężczyznę.

Zuzanna przyjrzała się sobie sceptycznie. Jak na jej własny gust, piersi miała za duże, co wielokrotnie sprawiało jej problemy, kiedy próbowała je zamaskować. Nogi długie, ale zbyt umięśnione. To pewnie przez te nieskończone piesze wędrówki, często z ciężkim ładunkiem na plecach. Jak na kobietę, wydawała się sobie za szeroka w ramionach, z nieco zbyt wystającymi obojczykami. Powinnam trochę nabrać ciała, pomyślała. Niemniej, biorąc wszystko razem pod uwagę i przyjmując punkt widzenia Moniki, wyglądała ładnie, smukle, harmonijnie. Z jednej strony nie przywiązywała do tego wagi, ale z drugiej było to wcale przyjemne.

– Nawet gdybyś miała rację, musiałabym najpierw pokazać mu się naga, a do tego nie dojdzie – odpowiedziała z cieniem uśmiechu.

Katrin zachichotała i poprawiła jej kosmyk włosów.

– Myślę, że nawet szaty nie są w stanie ukryć waszych wdzięków, pani – powiedziała Monika, po czym pomogła jej założyć pas do pończoch.

Zuzanna nauczyła się już, że nie ma sensu protestować. Obie uważały tę nadmierną opiekę za swój obowiązek, a i ją samą strojenie bawiło bardziej niż inne powinności. Dodatkowo rezygnacja z próżnych protestów oszczędzała masę czasu, co też było istotne.

– Siądźcie, proszę, moja pani – poprosiła Monika i zaczęła zakładać jej pończochy.

Zuzannie wydało się nagle, że służka dotyka jej przy tym aż nadto. Spojrzała na nią badawczo. Zarówno ona, jak i Katrin szczebiotały na temat mężczyzn na tyle, na ile można się było po dziewczynach w ich wieku spodziewać. Bywało, że potrafiły przegadać na ich temat cały boży dzień.

– Ten jedwab jest po prostu doskonały. Delikatniejszy, niżbym to sobie potrafiła wyobrazić – powiedziała Monika, zapinając ostatnią ząbkę. – Bałam się, że je uszkodzę.

A więc chodziło o jedwab, zrozumiała Zuzanna.

– No ja myślę – odpowiedziała. – Kosztowały po dziesięciokroć swoją wagę w złocie.

– Wasze buty, madame, przymierzcie. – Katrin podsunęła pantofle.

Zuzanna założyła czarne, lakierowane trzewiczki na niewysokim obcasie. Przy swoim wzroście tylko na tyle mogła sobie pozwolić, jeśli nie chciała górować nad wszystkimi okolicznymi mężczyznami.

– No to teraz proszę spojrzeć. – Katrin odeszła na bok, odsłaniając zwierciadło.

Zuzanna aż przełknęła głośno ślinę. Spoglądała na nią zupełnie inna kobieta niż ta, którą tak dobrze знаła. Pomyślała, że sprawiłoby jej przyjemność, gdyby ją taką zobaczył Valer. Bardzo byłaby ciekawa jego reakcji.

– Uśmiechnęłaś się, pani, wielce szczególnie – zauważyła Katrin.

– Czas ucieka – ucięła dalszą dyskusję Zuzanna.

Godzinę później, gdy była już prawie ubrana, uczesana i umalowana, ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść – zawołała Zuzanna.

W drzwiach pojawił się Kurzer. Zaczął pochyłać głowę w dworskim ukłonie, ale jego umysł zarejestrował z drobnym opóźnieniem to, co zobaczyły oczy, i zatrzymał się w pół drogi.

– Madame... – wykrztusił wreszcie – kapitan pyta, czy wszystko idzie zgodnie z planem i czy ma podstawić powóz o ustalonej porze.

– Proszę mu przekazać, że wszystko jest tak, jak się umawialiśmy. Za chwilę sama się u niego zjawię i jeszcze raz wszystko omówimy, tak jak sobie tego życzył.

Kurzer skinął głową na znak, że zrozumiał, jeszcze raz się pokłonił, tym razem nie spuszczając z Zuzanny wzroku, zasalutował i zniknął za drzwiami.

– Sama, pani, widzisz – powiedziała z udawanym rozgoryczeniem Katrin. – Na nas nawet nie spojrział.

– Myślę, że o ile mu na to zezwolicie, chętnie wam to zrekompensuje.

– Co do tego nie mam wątpliwości – zaśmiała się Katrin, zakładając Zuzannie na głowę tiarę. Była wykonana z polerowanej stali, zdobionej błękitnymi topazami. – Jeszcze kolczyki.

Topazy w nich miały nieco głębszy odcień, stal zastępowało białe złoto.

– Myślę, pani, że jesteś gotowa.

– Dziękuję – odparła Zuzanna i ruszyła ku drzwiom.

Zastała Valera na parterze w salonie dla gości, który przez wszystkich nazywany był i tak sztabem. Pochylał się nad mapą w towarzystwie Kurzera i Grubera. Wiedziała, że omawiają jej drogę na bal i z powrotem oraz jak zapewnić jej bezpieczeństwo w samym pałacu. Wydawało jej się to zbyt ciężkie, nie przypuszczała, aby na balu zorganizowanym przez najważniejszego człowieka w mieście miało jej grozić jakieś niebezpieczeństwo. Valer nie dawał się jednak od tego odwieść. W końcu zrezygnowała. To była jego praca i wykonywał ją w sposób, który uważał za najlepszy.

– Panowie, jestem gotowa. Możemy wszystko jeszcze przedyskutować – odezwała się.

Valer uniósł wzrok znad mapy, otworzył powoli usta, jakby chciał coś powiedzieć, i tak już zastygł, wpatrując się w Zuzannę w zachwycie. Kurzer, który już wiedział, czego oczekiwać, wyglądał na rozbawionego i też się jej przyglądał.

– Madame, wyglądacie zachwycająco – wypalił bezpośrednio Gruber i zsalutował jej.

– Dziękuję, panie. – Skłoniła się delikatnie. – A wam, kapitanie, moja wieczorna toaleta się nie podoba? – zwróciła się bezpośrednio do Valera.

Pierwsze wrażenie minęło, znów był sobą.

– Podoba – odparł sucho. – Wyglądacie cudownie.

– Czyżbym dosłyszała jakieś „ale”? – zdecydowała się go podrażnić.

Od niego jedyne oczekiwała komplementu, a on wygłosił go z opóźnieniem. Kurzera, gdyby tylko chciała, na miejscu mogłaby zamknąć za bezwstydną rozbieranie jej wzrokiem, ale to Valer jej dopiekl.

– Wyglądacie wspaniale, co do tego nie ma wątpliwości – zaczął ostrożnie i Zuzanna uświadomiła sobie, że zaczyna ją ogarniać prawdziwa wściekłość – ale czy naprawdę chcemy aż tak zwracać na siebie uwagę? Wyróżniać się z tłumu?

Nazwać tłumem samą elitę miejscowej śmietanki towarzyskiej, to wymagało swoistej mieszanki odwagi i pogardy, ale tym akurat nie zaprzętała sobie głowy.

– Odgrywam swoją rolę, panie – odparła chłodno. – Rolę córki barona Münchauzena, baronówny z pogranicza, gdzie diabeł mówi dobranoc, a psy ogonami szczekają, gdzie za węglem człowiek staje twarzą w twarz z dziką zwierzyną, a i sami ludzie są na wpół dzikusami. Przynajmniej tak to sobie wyobrażają mieszkańcy cywilizowanych części świata. I to właśnie jestem ja. Przyjechałam nawiązywać kontakty handlowe w imieniu mego dziadka, ale o szczegółach tutejszego życia towarzyskiego nie mam

najmniejszego pojęcia. Sama niemalże jestem dzikusiem. Przynajmniej w ich oczach.

– Dzikuską – poprawił ją rozbawiony Kurzer. – Wielce urodziwą i pociągającą dzikuską.

Kiedy indziej zasłużyłby sobie na ciętą ripostę, ale nie tym razem.

– Dziękuję. – Rzuciła mu spojrzenie. – Ten krój sukni – przejechała dłonią wzdłuż swojego boku – był w modzie dobre dwie, trzy generacje temu, ale na pograniczu nosi się do dziś.

Wcale jej to zresztą nie dziwiło. Długa czarna suknia z rozcięciem, bez rękawów i z otwartymi plecami była praktyczna w ciepłym klimacie, a przy chłodniejszej pogodzie wystarczyło dopełnić ją puszystym boa albo futrzanym bołerkim. Na wieczorny powrót Zuzanna wybrała właśnie szal z wilczego futra, obramowanego srebrnym lisem. Jak na barbarzyńcę przystało.

– Klejnoty odpowiadają zamożności mojego rodu, na szmaragdy ani brylanty wysokiej jakości nas przecież nie stać. – Dotknęła kolczyków. – Niemniej te są widoczne, z punktu widzenia miejscowych nieco ekstrawaganckie. A musicie też pamiętać, że już dawno nie należę wiekiem do debutantek, prędeż starych panien. Po tym balu nie będę już nikim, będę dzikuską z peryferii, która przybyła, aby handlem ratować swe włości. Co jest dokładnie tym, czego potrzebujemy. Mnóstwo ludzi będzie chciało sytuację wykorzystać i nas oskubać. Mnie właściwie – uściśliła.

– Proszę o wybaczenie, madame. Każdy ma swoje pole, w którym jest ekspertem. Wy się znacie na swoim znacznie lepiej niż ja – odpowiedział jej szorstko.

Chciała usłyszeć od niego coś zgoła innego, ale skinęła tylko głową. Rozzłościł ją na dobre.

– W porządku, kapitanie, przedyskutujmy wasze plany.

– Wybraliśmy drogę przez miasto wprost do rezydencji Guiciego.
– Wskazał na mapę.

Ponieważ do miasta przybyła sama, bez ojca czy męża, i na bal gubernatorski nie miał jej kto odprowadzić, Guici wraz z małżonką zaoferowali, że to oni będą jej towarzyszyć. Nie była pewna, czy ofertę podyktowała chęć pomocy, czy interes, ale wychodziło na

jedno. W związku z tym na bal miała przybyć razem z Guicimi w ich powozie, co z punktu widzenia Valera znacznie całą sprawę komplikowało. Wyjaśnił jej ze szczegółami, jaki powóz będzie ich eskortować, gdzie będą rozstawieni ludzie, którzy mieli przyjść z pomocą w razie ataku, i jak zaplanowano drogę powrotną. Wszystkich biorących udział w akcji Zuzanna знаła ze wspólnej podróży do Grafzaty.

– Cuvinan, Bovnet, Kyryzi, Basky, Gruber – wyliczała – wasi najlepsi ludzie.

– W boju – zgodził się Valer – choć może nie grzeszą zdolnościami dyplomatycznymi. W tym wypadku to nie powinno robić różnicy.

Wyglądał jednak na zadowolonego.

– Powóz jest gotów! – zabrzmiało z dołu.

– Idziemy – zakomenderowała Zuzanna.

Wychodząc, zawadziła o mały wazonik odstawiony na parapet okna, aby nie przeszkadzał na stole z dokumentami, i chwyciwszy go, dostrzegła leżący obok skrawek taniego papieru. Obróciła go. Po drugiej stronie ukazał jej się nakreślony kilkoma pociągnięciami szkic mężczyzny. Mimo iż było to wyłącznie kilka kresek i rozmazanych plam narysowanych tanią glinką kreślarską, rozpoznała w nim Valera.

– Madame, proszę wybaczyć, ale musimy już ruszać, jeśli chcemy zdążyć! – przeszkodził jej z dołu głos Grubera.

Rysunek nie należał do niej, więc z żalem odłożyła go z powrotem i zeszła po schodach.

– Będę siedział obok woźnicy – oznajmił Valer, gdy pomógł jej wspiąć się po schodkach i ostrożnie, by nie uszkodzić jej sukni, zamknął za nią drzwiczki. – Wspaniale na was leży – dodał cicho.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem i poczuła, że humor poprawił jej się przynajmniej o połowę.

Stary wicehrabia aż jaśniał, kiedy z żoną po jednej i Zuzanną po

drugiej stronie witał się z pozostałymi gośćmi na balu. Zuzanna budziła swoją obecnością spore zainteresowanie i Guici chętnie z tego korzystał. Baronówna szybko pogubiła się wśród osób, którym ją przedstawiano, na szczęście pamiętała wszystkich, których spotkała wcześniej na bankiecie, co teraz było niezwykle pomocne.

– Miłe damy, wybaczycie mi na moment? – Wicehrabia pokłonił się, po czym zostawił je przy stole, a sam oddalił się w stronę grupy rozprawiających o czymś mężczyźn. W zasięgu pojawił się kelner z tacą pełną napojów. Zuzanna wybrała dla siebie i dla żony Guiciego perliste wino. Było chłodne i ścianki kieliszków pokrywała rosa.

Wicehrabina Maria Luiza napiła się.

– Gubernator musi mieć wyjątkowe piwnice, u nas nikt nie byłby w stanie tak dobrze schłodzić wina – skomentowała.

Zuzanna przytaknęła jedynie skinieniem, po czym obserwowała dalej panujący wokoło chaos. Tańczące pary, małe grupki przemieszczające się z jednego miejsca w drugie, ludzie wymieniający uprzejmości. Jeden z głównych tematów dyskusji stanowiło przejęcie majątku wygasłego rodu Cermichaelów. Znalazło się kilku oszustów twierdzących, że są dalekimi krewnymi zmarłego hrabiego. Żaden jednak nie zdołał pokrewieństwa udowodnić, a złe języki twierdziły, że nie zostałyby im to dane, nawet gdyby to była prawda. Miasto zbyt liczyło na zysk z licytacji. Zuzannę sprawa interesowała jedynie połowicznie, bardziej się skupiała na ogólnym ruchu wśród towarzystwa. Wydawało jej się, że dostrzega jedną szczególną grupę, wciąż się przelewającą z jednego miejsca w drugie, niczym kometa ciągnącą za sobą rozrzedzający się stopniowo warkocz ludzi.

– Ciągną się za gubernatorem, każdy chce z nim zamienić kilka słów – wyjaśniła Maria Luiza, mimo iż Zuzanna o nic nie zapytała.

– Dziękuję – odparła.

Starsza kobieta uśmiechnęła się serdecznie. Zuzanna dostrzegła wicehrabiego, żarliwie dyskutującego z dwoma mężczyznami.

– Wasz mąż wydaje się być w dobrej formie – zauważyła.

– Jeszcze jak. Jakbyś mu przydała świeżej krwi, moja droga – odparła wicehrabina.

– Wam to nie przeszkadza?

– Moja droga – starsza kobieta położyła jej rękę na ramieniu – wy się mojemu mężowi, oczywiście, bardzo podobacie, ale co wiek, to wiek. Zaś co go naprawdę pobudziło, to poczucie, że znów ma się o co starać. W Grafzaty, aby utrzymać się na powierzchni, trzeba handlować, czyś szlachcic, czy nie szlachcic. A jemu przez ostatnie kilka lat niezbyt dobrze się wiodło. Do tego stopnia, że naszą posiadłość utrzymaliśmy wyłącznie dzięki łaskawości przyjaciół. Teraz ma z kolei poczucie, że dzięki kontraktom z wami będzie w stanie to odwrócić, że zdoła wszystko naprawić. Myślę, że ktoś zmierza w naszym kierunku – zmieniła nagle temat.

Zuzanna rozpoznała małżeństwo Tralgerów. Zatrzymali się przy ich stole. Zuzanna mimochodem wzięła udział w tradycyjnej wymianie uprzejmości. Całą uwagę poświęcała obserwacji Tralgera i jego żony, przy czym zorientowała się, że oni przyglądają się jej z takim samym zainteresowaniem.

– Odniosłam wrażenie, że strasznie dużo wypytywali – zauważyła, kiedy już odeszli.

– To prawda. To dzięki nim nie straciliśmy twarzy i nazwiska, to właśnie oni są tymi przyjaciółmi, którzy nas wsparli. Przypuszczam, że chcą się upewnić, czy mój mąż nie popełnia błędu, chcąc robić z twoim dziadkiem, z tobą interesy.

Zuzanna przytaknęła. To miało sens.

– Przyniosę nam jeszcze coś do picia – powiedziała, kiedy zorientowała się, że w kieliszkach mają już pusto, a kolejny kelner dopiero co je minął.

– Z radością znów was spotykam, baronówno – usłyszała za plecami.

Markiz Parleur, poznała natychmiast. Ten głos był w pierwszej chwili przyjemny, jednak kryło się w nim coś fałszywego, powodującego ciarki. Była bardzo wyczulona na tego typu rzeczy, bardziej niż większość ludzi.

Obróciła się i był to rzeczywiście on. Ubrany według najnowszej mody: buty z wywiniętymi czubkami, zdobiona szmaragdami sprzączka pasa, w jednym uchu kolczyk, przy boku ozdobny kord. Machnął na kelnera, który natychmiast pojawił się z tacą. Parleur chwycił z niej dwa oszronione kieliszki i podał je Marii Luizie i Zuzannie, następnie wziął jeden dla siebie.

– Gubernator musi mieć zaprawdę wyjątkowe piwnice – zaczęła Zuzanna konwersacyjnym tonem, kiedy znów zadziwiło ją, jak dobrze schłodzone jest wino.

– Możliwe, że ma – uśmiechnął się Parleur, jednak jego oczy pozostały zimne. – Jednak to wino przysłałem ja. Mała przysługa z mojej strony. Musiałem posłać beczki dobrze owinięte słomą, aby utrzymało temperaturę.

Zuzanna napiła się. Nie była do tego przyzwyczajona, ale zorientowała się, że jest obiektem uwagi wielu mężczyzn wokół. Jedni obserwowali ją skrycie, inni otwarcie, próbując wręcz nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Jeszcze inni niemal rozbierali ją wzrokiem. Parleur obserwował ją w zupełnie inny sposób. W bardzo nieprzyjemny sposób.

– W takim razie to wy macie doskonałe piwnice – oceniła.

– To prawda. Są rzeczywiście doskonałe – odpowiedział z zagadkowym uśmiechem.

Obok nich przeszedł kelner, pchając wózek z kubkami, w których chłodziły się butelki. Zuzanna dosłyszała podzwanie kostek lodu.

– Macie Kamień Zimna – powiedziała bez zastanowienia.

Parleur zastygł.

– Mogę handlować lodem. Trzymać go w moich doskonałych piwnicach, gdzie doczeka spokojnie lata – odparł po chwili wahania ze swoim zwykłym, pewnym siebie uśmiechem.

– Moglibyście, ale nie przypuszczam, żeby to była prawda – powiedziała Zuzanna, która mówiła teraz równie cichym głosem jak on sam.

– I wy się tego typu rzeczami interesujecie?

– A kto się nie interesuje? – Zuzanna wyglądała teraz jak wzór niewinności.

Zainteresowanie artefaktami było w ostatnich czasach niezwykle modne, szczególnie wśród szlachty.

– A zechciałabyś, pani, go zobaczyć? Czasem organizuję wieczory dla towarzystwa o podobnych zainteresowaniach – zaproponował niespodziewanie.

– Z chęcią bym rzuciła okiem. – Zuzanna zmusiła się do uśmiechu.

Już wiedziała, w jaki sposób Parleur się jej przygląda. Niczym krokodyl obserwujący swą ofiarę. Choć może było to krzywdzące porównanie. Krzywdzące dla krokodyli.

– Do Parleura nigdy w życiu nie posłałabym nawet służebnej – powiedziała Maria Luiza, kiedy Zuzanna wróciła do stołu.

Zdobycz



Jak mówię, każda dostanie złotego, to o wiele więcej, niż przecież zarobicie przez kilka dni, nie?

Hruspyr pchał obie kobiety przed sobą. Nie chciały specjalnie wychodzić z rozświetlonej sali, w której rozbrzmiewał gwar i tłoczyli się ludzie.

– Daj nam zaliczkę, jak ci mamy wierzyć? – obróciła się do niego ta młodsza, z długimi kasztanowymi włosami.

– No właśnie, jak? – wsparła ją druga, o kilka lat starsza, trochę przy kości. Piersi aż wylewały jej się z gorsetu.

– Hej, dziewczyny, nie odchodźcie! Świętuję dzisiaj, no chodźcie – zawołał ktoś z głębi sali.

Hruspyr zdławił przekleństwo. Zabawa rozkręcała się na całego, jeszcze chwila i nie zdoła wyciągnąć tych dwóch na zewnątrz. A ta większa rajcowała go aż nieziemsko. Od tej akcji z Crufem i Hergem nie szło mu najlepiej z babami. Właściwie to zupełnie mu nie szło, musiał przyznać. Na koniec w ogóle mu nie stanął, a ta głupia dziwka tylko się z niego śmiała. No to jej pokazał. I nagle jakby otworzył się przed nim zupełnie inny, nowy świat. Tym starym stracił natychmiast zainteresowanie.

Kobiety, które przed sobą popychał, stanęły nagle, jakby chciały wrócić do środka.

– Tu macie po złotym zaliczki, drugiego dostaniecie potem. – Wcisnął im po monecie do ręki. Ze złociakiem w garści już się nie opierały.

– I coś do picia, żebyśmy się rozluźniły – zachichotała szczuplejsza.

Nazywała się Jatlin, ale Hruspyr nazwał ją Kobyłą, z nią użyje sobie jako z pierwszą. A Zephyra będzie się przyglądać, żeby było mu

z nią potem jeszcze lepiej.

– Jasne, moje damy, to jest świetny pomysł. Tu za rogiem jest elegancki sklep – nie wzbraniał się.

Kupił dwie butelki znacznie lepszego trunku, niż sam sobie zazwyczaj pozwalał. Dla dziewczyn to był wręcz luksus, widział, jak na siebie spoglądają rozochoczone. Teraz już dały się prowadzić do jego domu bez żadnego oporu.

– No i jesteśmy. – Wepchnął je przez próg. Kobyłę klepnął przy tym po pośladkach, a Zephyrze wcisnął rękę między uda.

– Nie spiesz się tak, nie spiesz – zaśmiały się – nam też się należy zabawa.

Kłamały, jak wszystkie dziwki, ale tym razem mu to nie przeszkadzało.

– A nie masz czegoś przekąsić? – zapytała Zephyra.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować. Czemu niby miałyby jeszcze płacić za jedzenie? Ale po chwili zmienił zdanie. Dlaczego nie zrobić tego dokładnie tak, jak ostatnim razem?

– Pewnie, pewnie, coś smacznego się zawsze znajdzie. Napijcie się. – Zostawił im jedną z butelek. – I rozgoście. – Wepchnął je do sypialni i zamknął drzwi. Teraz miał już pewność, że nie odejdą. Rok pracy dla Parleura pozwolił mu zorganizować sobie ten lokal, dwupokojowy apartament z piwnicą. Już kiedy go wybierał, zaciekała go ta piwnica. Dopiero potem zorientował się, jak własna podświadomość go ubiegła. Wtedy nauczył się też mnóstwa rzeczy, które przydały mu się przy jej urzędowaniu.

Godzinę później obie kobiety już spały, Kobyła z suknią zadartą do pasa. Nie miała pod nią bielizny, włosy na dole miała tego samego koloru, co na głowie. Zephyra leżała na plecach z poduszką pod barkami, wygięta w sposób, który sprawiał, że jej wielkie piersi wydawały się jeszcze większe.

Hruspyr napił się. Z butelki, którą im początkowo zostawił, nie z tej drugiej, w której rozpuścił całą fioletową skoncentrowaną laudanum. Teraz musiał je znieść na dół, do piwnicy. Głębokiej piwnicy, dużo głębszej, niż sam właściciel o tym wiedział.

Przetransportowanie Zephyry kosztowało go trochę wysiłku, z Kobylą poszło dużo łatwiej. Zephyrę przywiązał do ściany tak, aby nie sprawiać jej bólu, ale by mogła dobrze widzieć, co będzie robił jej koleżance. Na ból przyjdzie czas później. Kobylę przywiązał do kozła do cięcia drewna, który zmodyfikował tak, aby nadawał się do jego celów. Nie wyglądał już zupełnie jak w dniu, kiedy z Crufem i Hergem przytachali go do piwnicy, ale w dalszym ciągu był to jednak kozioł do piłowania. Hruspyr był jednak przekonany, że w zupełności mu wystarczy.

Ze skrzyni wyjął płaską drewnianą kasetkę i ostrożnie ją otworzył. Ukradł ją, kiedy szykowali podziemia Parleura, wszyscy myśleli, że po prostu zawieruszyła się gdzieś w zamieszaniu. Należała do samego markiza. Przyjrzał się zawartości. W puzdrze w wyłożonych aksamitem przegródkach leżały przyrządy różnorakiego przeznaczenia. Do czego służyły biczyki, to było jasne, podobnie jak wykonane z kości słoniowej imitacje penisów. Nad przeznaczeniem kilku co bardziej egzotycznych przyrządów mógł się jednak tylko zastanawiać. Za to nad tym, jak używać noży o rozmaitych fantazyjnych ostrzach, zastanawiać się nie musiał. Na nie przyjdzie czas już na sam koniec. Wierzył, że z czasem nauczy się korzystać i z tych nieznanych zabawek.

Na razie wybrał jeden z noży i powoli, z namaszczeniem zaczął rozcinać sukienkę Kobylę. Dużo tego nie było i chwilę później leżała przed nim całkiem naga. Następnym razem ubierze je porządnie, będzie mieć więcej przyjemności z rozbierania, zdecydował. W kroku czuł aż bolesny ucisk. Hruspyr uśmiechnął się z zadowoleniem i przejechał ostrzem noża po boku kobiety, zostawiając na jej skórze cienki jak włos ślad. Na to przyjdzie jeszcze czas. Jak już się obie przebudzą, jak zaczną tracić zmysły ze strachu i z bólu, a on będzie miał naprawdę dobrą zabawę.

Hruspyr czekał. Cierpliwie, napawając się wyobrażeniami tego, co miało nadejść, i z zadowoleniem przyglądając pulsującemu

wybrzuszeniu w spodniach. Takiego wzvodu nie miał jeszcze nigdy, kto wie, może całe dotychczasowe życie czekał właśnie na ten moment.

Czas płynął, ale Hruspyr się nie spieszył. Nawet gdyby go ktoś szukał, pomyślałby po prostu, że nie ma go w domu. Właściciel wiedział, że Hruspyr spędza dużo czasu na służbie u swego pana. Słyszeć też nikt nic nie będzie, piwnica była głęboka i wygłuszona, tak jak to podpatrzył przy urządzaniu podziemi markiza Parleura. Przez jakiś czas miał wprawdzie obawy, że jego też markiz będzie chciał się pozbyć, aby utrzymać rzecz w tajemnicy, ale zrozumiał wkrótce, że zarówno on, jak i Cruf z Hergem byli mu wciąż potrzebni. To uspokoiło Hruspyra.

Pierwsza ocknęła się Zephyra. Westchnęła głęboko, ruch jej piersi natychmiast przykuł jego uwagę. Chciała jęknąć, ale knebel zdławił dźwięk. Dokręcaną śrubą można było regulować jego rozmiar tak, aby dało się kogoś uciszyć całkowicie. Te kneble to sprytne rzecz, pomyślał Hruspyr. Może dałoby się je sprzedawać? Chwilę się zastanawiał, czy nie spróbować go podkręcić, ale chciał słyszeć jęki Zephyry w reakcji na to, co zobaczy.

– Spodoba ci się, zobaczysz – rzucił w jej kierunku, po czym zaczął szturchać Kobylę, aby się przebudziła.

Była dla niego aperitifem. Przekąską i pierwszym daniem w długiej uczcie. Hruspyr był zdecydowany skorzystać na tych dwóch jak najwięcej, przygotowywał całą tę akcję naprawdę długo.

Kobieta otworzyła wreszcie oczy i spróbowała się poruszyć, zaraz jednak zorientowała się, że jest spętana. Wtedy dotarło do niej, co widzi – stojącego nad sobą Hruspyra z nożem w ręce.

W jej oczach pojawił się strach, na twarzy, jak w kalejdoskopie, malowały się na przemian przerażenie, panika, szaleństwo. Podniecenie Hruspyra wzmagало się, to było jeszcze lepsze, niż sobie

wyobrażał. A przecież nie użył jeszcze żadnego z przyrządów ze skrzyneczki. Czekały go większe atrakcje.

Pewniej chwycił za rękojeść noża i zaczął opisywać, co zamierza z nim zrobić. Chciał, aby to dobrze słyszały, aby to dotarło do Zephyry. Zgroza w oczach Kobyły jeszcze się pogłębiła i Hruspyr o mało co nie szczytował, ale nagle uświadomił sobie, że kobieta nie boi się jego, tylko czegoś za jego plecami. Erekcja zniknęła w mgnieniu oka. To on miał być jej królem, jej władcą, jedynym bogiem na ziemi! Miał być dla niej panem życia, a przede wszystkim śmierci.

Obrócił się, aby zobaczyć, co tę głupią krowę tak zainteresowało, i dostrzegł zwieszającą się z sufitu szarozieloną materię, która wydawała się obramowana tysiącami poruszających się frenetycznie nóżek. Wprost ku niemu zwieszała się jakby olbrzymia macka wielkości okazałego talerza.

Był zbyt wściekły, aby się bać.

– Co to, kurwa, jest? – wrzasnął i zaatakował oślizgłą rzecz trzymanym w ręce nożem.

Z satysfakcją trafił, ciął po raz drugi i jeszcze raz, i jeszcze raz. Ostrze lądowało w celu za każdym razem, cięło miękką tkanę.

– Ja ci dam, ty świnió – mamrotał i robił nożem jak oszalały.

Nie widział, jak ściana za nim zaczyna się uwypuklać, jak jej brzegi formują tysiące długich włókien, cienkich niczym ludzki włos.

Ciął jeszcze raz, pierwsze z włókien sięgnęło go i zaczęło oplatać. Hruspyr pomyślał nagle, że zamiast walczyć, powinien był dać nogę. Cofnął się o krok, włókno napięło się, ale nie puściło. Zaczął krzyczeć przerażony.



Rzecz starannie zaplanowała łowy. Wiedziała, że nie może się wypuścić na powierzchnię, na pastwę palących promieni słońca. Przynajmniej na razie. Z kolei w nocy nie chciała ryzykować spotkania z większą liczbą ludzi, którzy dodatkowo mogli użyć przeciw niej ognia albo posiekać ją na kawałki ostrzami. Już bardziej

obietującą wyglądali ludzie, którzy ukrywali pod ziemią zrabowane dobra – paserzy. Ci jednak też zazwyczaj trzymali się w grupach i Rzecz wyczuwała całkiem wyraźnie, że byli wiecznie gotowi do walki. Potrzebowała raczej kogoś spędzającego czas w podziemiach samotnie. Znalazła Hruspyra, kiedy budował swój podziemny loszek, i szybko uznała go za najlepszego kandydata. Oprócz niego byli jeszcze rozmaici żebracy i bezdomni szukający pod ziemią schronienia, jednak w większości byli starzy, pokryci pasożytami, przeżarci chorobami. Rzecz miała nadzieję na zdrową, pełnowartościową zdobycz. Smakowitą pod każdą postacią. Gdyby jednak z Hruspyrem nie wyszło, rozejrzałyby się za innymi opcjami.

Łowy się jednak powiodły. Zdobycz wprawdzie miotła się, ale tysiące zakończonych ostrymi haczykami wici trzymały ją pewnie. Haczyki były częścią pszczelego wzoru, podczas gdy wici skopiowała z tych najmniejszych, niewidocznych gołym okiem stworzeń, ulepszyła je tylko dodatkiem formuły pajęczej nici. Rzecz była ostrożna. Dodała kolejnych kilka tysięcy wici i mocniej je napięła, aby zdobycz jak najlepiej unieruchomić. Nie chciała jej jednak zabijać. Jeszcze nie.

Wysondowała, które wici są najdogodniej umiejscowione, po czym przekształciła w nich haczyki w cienkie, twarde groty, którymi zaczęła przenikać do wnętrza. Ominęła kość czaszki i przeniknęła do środka otworami ocznymi, usznymi i ustami, jak się tego nauczyła wcześniej na martwym ciele. Wybadała powierzchnię opon mózgowych i otoczyła je plątaniną włókien przypominającą wierzchnią łupinę orzecha kokosowego. Zakończenie każdego z włókien przebiło błonę i wycelowane było w sam mózg, gotowe do wkłucia się.



Hruspyrowi krew ciekła z oczu, z uszu, miał krwotok wewnętrzny, posoka zalewała mu gardło, musiał ją przełykać, aby się nie zadławić. Zdjęty przerażeniem, próbował się wyswobodzić,

jednak równie dobrze mógłby gołymi rękoma wyrywać korzenie. Z własnej głowy.

Rzecz była już w stanie ZOBACZYĆ obrazy tworzące się w mózgu. Na razie jednak zbyt były jeszcze ogólne, by wyekstrahować z nich poszczególne wzory, by je zrozumieć i przeanalizować. Kolejne włókna, tym razem nieco grubsze, zapuściła w dół ciała, wzdłuż kręgosłupa i aż do czubków palców u stóp.

Hruspyr krwawił wewnętrznie już tak bardzo, że gdyby nie utrzymująca go w pozycji sieć włókien, nie zdołałby ustać o własnych siłach. Niemal oszalał z bólu i było dlań oczywiste, że czeka go śmierć.

Rzeczy w ogóle to nie przeszkadzało, była przygotowana. W tej samej chwili tysiące igieł wbiły się głęboko w mózg. Obrazy stały się nagle wyraźniejsze, mogła rozróżnić pojedyncze myśli, wrażenia, uczucia. Odnalazła wzory definiujące osobowość, w którą właśnie wniknęła. Były krystalicznie przejrzyste. W jednej chwili zdobyła nieprzebraną ilość informacji, żywy człowiek był istnieniem nieporównywalnie bardziej złożonym, skomplikowanym niż wszystkie dotychczasowe insekty, szcury czy psy. Próbowwała je wszystkie wchłonać, ale nie potrafiła, było tego zbyt wiele. A potem nagle ten nieprzebrany nurt obrazów i informacji wysechł i zanikł. Hruspyr umarł.

Rzecz jeszcze przez chwilę próbowała wychwytywać szybko zanikające wzory, po czym nastąpił definitywny koniec. W swej żądzy pozyskania, wchłonięcia jak największej ilości informacji mimowolnie uformowała się w swoistą kolumnę rozpiętą pomiędzy podłogą a sklepieniem. Stopniowo zaczęła być świadoma otoczenia i rozejrzała się swym jedynym okiem. W pomieszczeniu znajdowała się jeszcze dalsza zdobycz – inni ludzie – przypomniała sobie. Jednak obie kobiety zniknęły. Przypomniało jej się, że Hruspyr w pewnym momencie upuścił nóż, który upadł w zasięgu ręki spętanej kobiety.

Musiała go podnieść i oswobodzić siebie i tę drugą, po czym uciekły z piwnicy.

Rzecz poczuła coś na kształt rozczarowania. Potem jednak uświadomiła sobie, że przecież w przyszłości będzie w stanie zdobyć kolejne, równie atrakcyjne ofiary. Wraz ze wzorami skopiowanymi ze świadomości Hruspyra zdobyła cały nowy zasób pojęć, konceptów, które poszerzyły jej pojmowanie, sprawiły, że wiele rzeczy miało wreszcie sens.

Przeszłość – terażniejszość – przyszłość. Wcześniej – teraz – później. Ludzie – zdobycz. Ja. Kim jestem? Nie wszystko było całkiem jednoznaczne. Ale na to był czas. Teraz musiała się pożywić. Do egzystencji potrzebne jej były nie tylko wzory, ale też i pożywienie, a cała wcześniejsza akcja mocno ją wyczerpała.

Ciało Hruspyra zawieszona w powietrzu zaczęło flaczeć i zanikać, aż pozostała z niego pusta powłoka skóry otaczającej szkielet. Kości nie były szczególnie interesujące, poza szpikiem nie kryły nic pożytecznego. Rzecz uświadomiła sobie, że im więcej wzorów ciało zawiera, tym jest smaczniejsze.

Teraz potrzebowała czasu, aby przetrwać swą zdobycz we wszystkich jej aspektach. Musiała zdecydować, co dalej poczynić ze zdobytą wiedzą. Kolumna zafalowała, po czym zaczęła się rozpływać niby rozgrzany wosk. Rzecz odpełzła w ciemność.

Kolektor



Odnalazłem gospodę służącą za główną siedzibę Łysielcowi, a właściwie Pluskowi, przypomniałem sobie jego imię. Nie byłem tu od czasu, kiedy ruszyłem po haracz na Glinianą. Wszedłem i już w drzwiach znalazłem się w centrum zainteresowania obecnych. Oprócz dwóch gości, którzy musieli tu zabłądzić przez przypadek i nie dali się zniechęcić wyższymi niż normalnie cenami, wszyscy pozostali należeli do gangu. Wydało mi się, że jest ich trochę więcej niż ostatnim razem, ale może chodziło o porę dnia. Ot, zeszli się wszyscy na wspólny obiad.

Dostrzegłem starego znajomka, Omara, który właśnie o czymś rozprawiał ze swoim szefem w boksie na podwyższeniu. Zrobiłem krok i natychmiast uniosło się dwóch chłoptasiów. Jeden z nich trzymał w garści sztylet o pofalowanym ostrzu, temu drugiemu błysnął na jednej pięści kastet, w drugiej łapie dzierżył elegancką pałę z ćwiekami. Krótka, wygodna w zamkniętych pomieszczeniach. Nie ma to jak dobrać sobie właściwe narzędzia.

Jakbym niczego nie zauważył, ruszyłem niespiesznie do baru. Omar gestem zatrzymał straż, co uspokoiło i pozostałych. Zaszeptał coś Pluskowi i podszedł do mnie.

– Dawno się nie pokazywałeś – powitał mnie z przyjacielskim uśmiechem.

Gdybym tylko potrafił się uśmiechać tak jak on, kto wie, może by mnie ludzie nawet lubili. Na porysowanym barze położył rękę. Miał wielkie dłonie, z palcami jak kołki, pokryte gęstymi kłakami. Możliwe, że któryś z jego przodków skoligacił się z gorylem. Tę uwagę zachowałem jednak dla siebie.

– Osiem sklepów i jedna jadłodajnia, po cztery srebrniaki, to jest – wysypałem pieniądze na bar i zacząłem je przeliczać – trzydzieści sześć srebrnych.

Omar przyjrzał się monetom podejrzliwie, jedną nawet uniósł i obejrzał badawczo. Potem znów spojrział na mnie, uśmiechając się jeszcze przyjaźniej niż przed chwilą. Ten gość był prawdziwym artystą.

– Czemuś się nie pokazał przedwczoraj? Niektórzy tu sobie pomyśleli, żeś zebrał pieniądze i się z nimi oddalił.

Powoli zgarnął do siebie monety.

Albo że mnie dostali ludzie Cremaxa, dopowiedziałem w duchu. To było dużo bardziej prawdopodobne. Użyli mnie jako przynęty, ofiarnego koziołka.

– Wpadłem na taką jedną, której się spodobałem. To mi się mało kiedy przytrafia, musiałem skorzystać z okazji – odparłem. – A i nie było mowy o tym, że mam kasę przynieść od razu.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– I pieniędzy nie roztrwonileś – zauważył.

– Mówiłem przecież, że nie lubię szastać – odparłem z zadowolonym wyrazem twarzy.

Wiedziałem, że zakłada, że ściągnąłem z każdego więcej niż te cztery srebrniaki, ale nie komentowałem już dalej. Odliczył dziesięć monet i podsunął je do mnie.

– Twoja działka, jak się umawialiśmy. Miałeś jakieś problemy przy robocie?

Było oczywiste, że to interesowało go najbardziej.

– Nie większe, niż oczekiwałem. Mówiliście przecież, że będą się trochę stawiać. Twierdzili, że podobno płacili już za ochronę jakiemuś Cre... Crete... – udawałem, że nie mogę sobie przypomnieć imienia.

– Cremaxowi – uzupełnił.

– No, temu – przytaknąłem. – Ale nie dałem sobie wcisnąć żadnego kitu. Miałem zebrać pieniądze z Glinianej, to zebrałem pieniądze z Glinianej. Byłem na właściwej ulicy, sprawdziłem.

– Jedzenie i picie na koszt firmy – oznajmił Omar karczmarzowi i wskazał na mnie. – Za chwilę jeszcze do ciebie wrócę – powiedział, po czym poszedł zamienić parę słów z Pluskiem. – Może mógłbyś się nam przydać – oznajmił, kiedy wrócił. – Sprawdziłeś się. Wciągniemy cię do rejestru, dostaniesz dwa srebrne za dzień czekania, prowizję za każdą akcję.

Ileż razy ja już tę śpiewkę słyszałem.

– A co by to miało być? – zapytałem z udawanym zainteresowaniem.

– Podobne sprawy jak ta pierwsza robota. Zbieranie opłat za ochronę, czasem komuś pogrozić, kogoś oklepać, żeby wiedział, co i gdzie, takie tam. I czasem popilnować tutaj, jak ci wypadnie dyżur.

– Jasne, brzmi nieźle. Biorę – zgodziłem się.

Zgadywałem, że Plusk przygotowuje się do kolejnej rundy wojny pomiędzy mniejszymi gangsterami. Z Cremaxem albo kimś innym. Musiał się umocnić albo mógł pakować manatki. Takie były skutki zawieruchy w półświatku. Stare przymierza umierały, nadchodziły krwawe zmiany.



Już na drugi dzień czekanie przestało mnie bawić. Pomimo iż jedzenie i piwo miałem wliczone w żołd, nic w sobie nie mogłem wmusić. Najpierw mięso i piwo straciły woń, potem i smak. To się jeszcze dało znieść, aż tak mi na nich nie zależało. Stopniowo jednak i twarze ludzi wokół mnie zapodziały wyrazistość. Rejestrowałem je tylko jako płaskie, nakreślone z grubsza obrazy, a ciała jako ruchome mechanizmy z jaśniejącymi punktami, w które musiałem uderzyć, jeśli chciałem je uszkodzić. Do tego te wszystkie ruchome lalki tylko mnie drażniły, porozbijanie ich w drobiazgi wydawało mi się naturalną reakcją. Na to jeszcze nie przyszedł właściwy moment. Coraz ciężej mi jednak szło tłumienie tej chęci. Nic nikomu nie mówiąc, wypadłem z gospody na dwór.

Powietrze falowało rozpalonym żarem, ja jednak czułem je jako chłodne i rześkie. Złapałem się na tym, że przyglądam się włazowi

do kanałów. Najchętniej bym go otworzył, zszedł na dół i zamknął za sobą. Coś się działo. Może ze mną, może ze światem wokół mnie.

Kroczyłem ulicą pełną widmowych ludzi, którzy rozstępowali się przede mną. Na szczęście. Przeszkadzali mi, najchętniej bym ich poroztrącał, niech lecą do cienia, który gęstniał na obrzeżu pola widzenia. Cień zacieśniał się, moje pole widzenia zwężało się do niewielkiego tunelu. Znalazłem kram z jedzeniem, stały na nim butelki z napojem. Osuszyłem jedną. Usiadłem i w tym samym momencie widziałem już tylko szarość. Wyczuwałem bicie swojego serca, powietrze z trudem wdzierało się do moich ust, krtani, płuc, każdy oddech sprawiał trudność, rzeził w płucach. Czułem puls krwi przetaczający się arteriami, żyłami, aż do tych najmniejszych, najcieńszych naczynek. Nagle poczułem coś jeszcze, coś obcego. Coś niczym stalowe struny oplatało moje ciało, przenikało każdy jego skrawek, tworzyło węzły i nieprzeniknioną sieć. Nie wiedziałem, co to jest, wydawało się obce, nieprzyjazne. Napiąłem całą swą siłę, moc, zmobilizowałem całą złość i nienawiść. Węzły rozluźniły się, pulsowanie nieco się uspokoiło, jakby ustąpiło jakieś wewnętrzne napięcie, wreszcie i struny zniknęły całkowicie. Wróciło mi widzenie. Rozejrzałem się dokoła, świat znów wyglądał normalnie. Może nie do końca. Ludzi dalej postrzegałem jako skomplikowane układy mechaniczne, może dostrzegałem więcej szczegółów niż wcześniej w gospodzie, ale nadal widziałem wyraźnie wszystkie słabe punkty, wszystkie miejsca najbardziej dogodnie do skutecznego ataku. Widziałem je tak jasno, że zastanawiałem się, czy nie byłbym w stanie dokonać tego samą siłą woli. Z trudem stłumiłem tę myśl. Była zbyt nęcąca. Czułem, że gdybym tylko spróbował, nie umiałbym się zatrzymać.

Mimo iż wciąż byłem oszołomiony, uzmysłowiłem sobie, że znajduję się jedynie o parę kroków od mojej kwatery. Ruszyłem przed siebie. Z całych sił starałem się ignorować huczenie krwi, szum powietrza w płucach i morderczą chęć, aby rzucić się na wszystkich mijanych po drodze ludzi. W końcu przekroczyłem bramę stacji i ruszyłem prosto do piwnicy. Położyłem się na

podłodze, zamknąłem oczy i próbowałem nie widzieć nic z tego, co mi ukazywał umysł.

Zbieg okoliczności



Vuki obserwował uważnie ruchy tego, który rzucał właśnie kości, a przy tym próbował też nie spuszczać wzroku z bankiera. Wokół prowizorycznej planszy do gry, nakreślonej na płótnie rozpostartym na stole, zgromadzili się zaciekawieni ludzie. Jeden z nich, o posturze tragarza ciężkich beczek, był najwyraźniej ochroniarzem bankiera. Vuki się z nim liczył, nie chciał wzbudzać jego zbytnej uwagi. Bardziej go niepokoił inny człowiek, nienależący do grupy zwykłych graczy, rekrutujących się spośród rzemieślników, drobnych sklepikarzy i rybaków. Dobrze wyglądający trzydziestopięcioletek, z doskonale utrzymaną bródką, eleganckim uczesaniem i odzieniem zdradzającym, że wydawanie pieniędzy na przyjemności nie stanowiło dla niego problemu. Miał mocno upudrowany, napuchnięty nos i Vuki odgadywał, że ktoś mu go niedawno złamał, ale eleganta stać było, aby zapłacić za dobrego felczera.

– Zaczynamy nową rundę – oznajmił bankier.

Vuki skoncentrował się na grze. Był osiemnaście miedziaków do przodu, zgadywał, że może sobie pozwolić na wygranę jeszcze pięciu, zanim zacznie wzbudzać nadmierną uwagę. Gracze, którzy siedzieli wokół, pewnie do wieczora będą jeszcze rozmyślać o jego szczęściu, może ich to zainspiruje, żeby sami jutro wrócili i coś znowu postawili, ale na tym będzie koniec.

– Stawiam na szesnaście – oznajmił i położył słupek monet na zadeklarowanym polu. – Na dziś mi wystarczy.

Bankier skinął głową na znak, że przyjmuje zakład, pozostali gracze postawili swoje stawki. Kości zagrzechotały w kubku. Rzucał zawsze ten, kto postawił najwięcej. Vuki skoncentrował się, aż swym wewnętrznym wzrokiem zdołał dojrzeć pojedyncze ścianki kości. Za

chwile leciały już w powietrzu, dotknęły planszy raz i drugi. Dziś miał swój dzień, dziś widział je bardzo wyraźnie, wyczuwał ich wagę. Wiedział, że bankier wymienił jedną z kości na zafałszowaną, ale to było bez znaczenia. Vuki mógł sobie z tym poradzić.

– Szesnaście – oznajmił bankier.

Podsunał wygraną Vukiemu.

– Jak mówiłem, na dziś mi już starczy – oznajmił Vuki i zaczął się zbierać od stołu.

Dostrzegł uspokajające spojrzenie, które bankier rzucił ochroniarzowi. Niecałe trzy srebrniaki nie były warte interwencji.

Spokojnie ruszył ulicą, zastanawiając się, gdzie najlepiej będzie wydać część wygranej. Musiał wybierać rozważnie, nie było tego znowu aż tak dużo. W Grafzaty wiodło mu się lepiej niż gdzie indziej, ale nauczony doświadczeniem, wolał być ostrożny, niż potem żałować.

Z przyzwyczajenia skontrolował przestrzeń za plecami. Mężczyzna z przetrąconym nosem śledził go i nawet nie próbował się z tym kryć. Vuki poświęcił mu jeszcze jedno spojrzenie. Tamten był większy, cięższy i silniejszy. To, że się nie krył, świadczyło o pewności siebie. Vuki przyspieszył. Liczył na to, że uda mu się zgubić mężczyznę w plątaninie drobnych uliczek, zaułków i wąskich pasażów, biegnących czasem na wskroś całych skupisk budynków.

Grafzate zaczął już znać jak własne sąsiedztwo, może nawet i lepiej. Po kilku krokach obrócił się, aby zobaczyć, jak na zwiększone tempo zareagował jego prześladowca. Tamten stał pośrodku ulicy, zgięty wzdłuż, z ręką na piersi, jakby właśnie doznawał zawału. Vuki pokraśniał, ale w tej samej chwili sam się zatoczył, pociemniało mu przed oczami. Ból był wręcz potworny, paraliżujący, zapierający dech w piersiach. Upadł. Ostatnimi siłami przeturlał się pod ścianę, skulił, przyciągnął kolana pod brodę. Umierał. Nie wiedział czemu, ale był przeświadczony, że umiera.

Ocknął się chwilę później, musiała to być w miarę krótka chwila, bo nikt jeszcze nie zwrócił na niego uwagi. Ludzie w najbliższej okolicy zgromadzili się wokół jego prześladowcy, który leżał pośrodku ulicy i wierzgał konwulsyjnie.

Vuki spróbował się podnieść. Kręciło mu się w głowie, ale udało się. Zdołał stanąć na nogi, przytrzymując się jedną ręką ściany. Musiał stąd zniknąć, ukryć się i wziąć się w garść. Ruszył chwiejnie przed siebie i skręcił za najbliższy róg, aby zniknąć z widoku temu ze złamanym nosem. Dostrzegł jeszcze, że wokół mężczyzny zgromadził się tłumek gapiów, a on sam zdołał już usiąść.

Mam nadzieję, że cię przynajmniej oskubią, pomyślał na pożegnanie.

Wiadomość



Janick poczłapał do swojej pracowni, starając się z całych sił nie zwymiotować. Ból głowy, który promieniował od tyłu czaszki, był tak przenikliwy, że aż obezwładniający. Jedyne, co go zmusiło, by się ruszyć, to nadzieja, że w pracowni, gdzie będzie mógł zaciągnąć szczelnie ciężkie zasłony, trochę mu się polepszy.

I do tego jest tam cicho, przypomniał sobie. A na stole stoi waza, do której w razie potrzeby będzie mógł zwrócić i nie zanieczyści przy tym całego pomieszczenia. Nie zamierzał wpuszczać do środka nikogo, ani żadnego ze swoich ludzi, ani nawet służby. Jego osobisty sługa, niemy Byvnet, był w równie złym stanie, co czarodzieje.

Janick wreszcie opadł na fotel, położył ręce na oparciach i chwilę tak siedział. Chłonał ciszę, mrok, woń wosku ze świec, które płonęły tu całą dobę, teksturę drewna pod palcami. Ból ustępował. Powoli i z ociąganiem, ale Janick dziękował niebiosom za każdą, najdrobniejszą nawet poprawę. Nie wiedział, ile upłynęło czasu, bał się, że przy choćby najmniejszym poruszeniu potworna migrena może wrócić. Tyle że to nie była migrena. Ten ból miał coś wspólnego z magią, z mocą.

Zorientował się, że już mu się łatwiej myśli. Może mógłby spróbować się czegoś napić. Nie odważył się otworzyć oczu, sięgnął na pamięć po stojącą na stole karafkę z wodą. Znalazł ją niemalże dokładnie w tym miejscu, w którym się jej spodziewał.

Ostrożnie przełknął pierwszy łyk, przygotowany, że może się to nieprzyjemnie skończyć. Nic takiego jednak się nie stało, co więcej, jego wewnętrzne napięcie trochę ustąpiło. Usadził się wygodniej, wciąż z zamkniętymi oczami. Podobny udar dotknął wszystkich członków klanu. I na ile Janick potrafił to ocenić, z natężeniem

odpowiadającym poziomowi ich talentu. On sam zdołał opierać się najdłużej, jego zdolność władania mocą była stosunkowo niska. Ale Otruk, młodzik, w którym pokładał spore nadzieje, przypłacił to życiem. Wyglądało to na udar mózgu.

Janick namacał zapałki i zanim zdążył się zastanowić nad tym, co robi, zapalił lampę. Zrobiło mu się trochę niedobrze, ale był w stanie to znieść. Otworzył swój dziennik i zaczął notować. Zapiski prowadził w dawno zapomnianym języku czarodziejów, swaglish. O ile mógł się rozeznac, język ten służył oryginalnie do porozumiewania się w kwestiach magicznych, dlatego zawierał masę terminów, które nie miały odpowiedników w żadnym ze współczesnych, powszechnych języków. To właśnie dlatego było go tak trudno zrozumieć i przełożyć. Równocześnie mógł też służyć i do regularnej komunikacji. Janick używał go z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał się nauczyć posługiwać nim możliwie jak najpłynniej, a po drugie, dzięki temu jego notatki były bezpieczne. Z czasem z pewnością i inni będą w stanie się go nauczyć, jednak jak na razie o nikim takim Janick nie słyszał. Problem stanowiło wciąż to, że nauczył się posługiwać regularną, bardziej codzienną warstwą, podczas gdy ta specjalistyczna, poświęcona magii, nadal pozostawała dla niego niezrozumiała. Terminy, nazwy składników, procesów wciąż stanowiły dla niego tajemnicę. Każde kolejne odgadnięte pojęcie było sukcesem wieńczącym tydzień, jeśli nie miesiące ciężkiej pracy.

Zwięźle opisał ostatnie wydarzenia – udar, którego ofiarami padli wszyscy czarodzieje w klanie. Zrobił listę nazwisk w kolejności odpowiadającej ich zdolnościom i przy każdym zanotował typ i intensywność symptomów. Co ciekawe, różniły się one w każdym przypadku.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział wyraźnie.

Nolt, jego osobisty sekretarz, wszedł ostrożnie. Był dużo bledszy niż zazwyczaj, ale kroczył do przodu z determinacją.

– Było mi niedobrze, panie, ale już jest dużo lepiej.

– Wszystko jest w porządku. Niczego od ciebie nie potrzebuję. Jeśli coś się zmieni, to cię zawołam – Janick nie dopuścił tamtego do słowa.

Już dźwięk własnego głosu sprawiał mu boleść, co dopiero kogoś innego. Nolt pokręcił przecząco głową.

– Przyszedłem doręczyć wiadomość. Znalazłem ją wśród produktów, które wczoraj wieczorem dostarczył pan Klinsman. Chciałem ją wam przynieść już wcześniej, ale ze względu na ostatnie wydarzenia... że się nie czułem dobrze... znaczy nie byłem w stanie. No i czekałem na dyskretny moment, nie wydało mi się właściwe, żeby inni o tym wiedzieli.

Janick nastawił ucha.

– Wiadomość w dostawie? Skąd wiedziałeś, że jest dla mnie? Czytałeś ją?

– Nie, panie, nie przeczytałem jej – Nolt odpowiedział najpierw na drugie pytanie. – Na kopercie jest napisane: „wielki mistrz klanu Rumelkowego”. No to wiedziałem, że do was.

Janick stężał. Oprócz jego pana i mecenasa oraz jego własnych ludzi nikt nie powinien wiedzieć o obecności czarodziejów w Grafzaty. Oczywiście, niczego się nie da utajnić całkowicie, było nie było, ten szpicel z klanu Josa go wyniuchał, ale to działo się między czarodziejami, więc jakby wszystko pozostawało nadal w rodzinie. A Varatchi przecież nie wybrałyby tak niepewnego sposobu przekazywania rozkazów.

Nolt wyciągnął z kieszeni małą brązową kopertę z grubego papieru. Zabezpieczono ją pieczęcią z tak skomplikowanym symbolem, że w świetle lampy nie dało się dostrzec wszystkich jego szczegółów. Janick chwilę zwlekał, wreszcie ją otworzył. Tekst był zwięzły, skreślony równym pismem bez żadnych ozdobnych zawijasów. Janick, który sam nawykł do pisania długich tekstów, doceniał, jak doskonałe i pozbawione przerw były pociągnięcia. Zarówno pióro, jak i inkaust musiały być przedniej jakości.

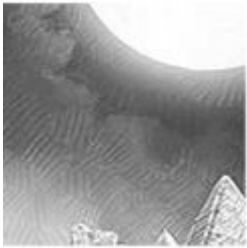
Jakość towaru potwierdzona. Określcie czas i miejsce na dostarczenie zapłaty. Wiadomość włóżcie do koperty i zostawcie

w pustym gąsiorze, jednym z tych, w których kupujecie wino.

Janick czuł, jak wzbiera w nim strach. W ciągu roku od czasu, kiedy niezbyt dokładnie wykonał rozkazy Varatchiego, starał się myśleć o tej sprawie jak najmniej. Niemalże udało mu się wyprzeć ją z pamięci, ale teraz wszystko powróciło. A co, jeśli to był podstęp? Próba wywabienia go gdzieś na zewnątrz, z dala od jego ludzi? Z drugiej strony, gdyby ktoś chciał go zabić, mógł tego dokonać i tutaj, choćby w tym pokoju. Sam Varatchi mógł po prostu wydać rozkaz jednemu ze swoich ludzi. Po co aż tak ryzykować? Po co próbować sprzedać recepturę magiczną komuś trzeciemu? Odetchnął głęboko, próbując opanować dławiący go strach. Ponieważ miał bardzo ograniczone zasoby, sam sobie udzielił odpowiedzi. Brakowało mu pieniędzy na poszukiwanie i zakup dalszych dokumentów i artefaktów, nie miał dość złota, aby opłacić kolejnych ludzi, agentów służących mu jako zdalne oczy i ręce. A to wszystko z powodu własnej gry, którą toczył, aby utrzymać wszystkie klany na tym samym poziomie. Jednak to wymagało wydatków i dlatego postanowił próbować znaleźć inne źródła dochodów. Klan Rumelkowy musiał być najmocniejszy. On sam, jego wielki mistrz, musiał się stać najmocniejszy.

Utwierdzenie się w początkowym przekonaniu uspokoiło go. Magia – to było najważniejsze, to był cel, który uświęcał wszystkie środki.

Rekonwalescencja



Zuzanna otworzyła oczy i dostrzegła Valera siedzącego w fotelu tuż obok. Pod głową miała poduszkę, przykryta była lekką kołdrą. Swoje buty dostrzegła na podłodze, gorset był rozluźniony. Powoli wracała jej pamięć ostatnich kilku minut. Tylko minut? Nie była pewna. Może trwało to dłużej? Godziny? Dni? Zaczęło się od eksplozji bólu, który przysłonił cały świat. Zgadywała, że omdlała. Kapitan musiał ją ułożyć w łóżku i przykryć. Potem zaczął się koszmar, przed którego wspomnieniem musiała się powstrzymać. Bała się, że mogłoby ją to przyprawić o utratę zmysłów. Czowała się już lepiej, ale wciąż była wyczerpana, jak po niezwykle długim marszu. Mimo iż nigdy wcześniej nie przytrafiło jej się nic podobnego, wiedziała, że stała za tym magia. Magiczna anomalia, burza, tornado. Valer uniósł wzrok znad dokumentu, w którym coś zapisywał. Zdążyła przymknąć oczy i obserwowała go spod zmrużonych powiek. Odłożył zwitek papierów i podszedł do niej.

Postanowiła udawać, że śpi. Nagle poczuła się znów jak mała dziewczynka, z trudem powstrzymała się przed tym, żeby nie zacząć chichotać. Obwiniła magiczny udar, normalnie przecież nie zachowywała się tak dziecinnie. Valer pochylił się nad nią i dotknął jej nadgarstka. Zorientowała się, że sprawdza puls. Musiała zmobilizować całą siłę woli, aby utrzymać pod kontrolą oddech i bicie serca. Ostrożnie odłożył jej rękę z powrotem na kołdrę i nachylił się głębiej. Była przekonana, że ją przejrzy, że odgadnie udawanie. Przypomniała sobie, jak kiedyś podobnie bawiła się z matką. Wytrzymała, tak samo jak wtedy. Valer wciąż przyglądał się jej z bliska.

Kapitanie, to już wykracza poza opiekę nad chorą, przyszło jej do głowy i znów poczuła, jak ogarnia ją poczucie tej dziewczęcej kokieterii. Poczowała dotyk jego palców na swojej twarzy, pogładził ją po włosach i przez chwilę przesuwając ich końcówki w palcach, po czym znów zasiadł w fotelu i wrócił do swoich papierów. W samą porę, bo jeszcze chwila i dostrzegłby, jak Zuzanna się czerwieni. Dla pewności jeszcze przez moment udawała sen. Wreszcie, po kilkukrotnym poruszeniu się i zaszeleszczeniu kołdrą, otworzyła powoli oczy.

– Kapitanie, czy mogłabym prosić o filiżankę herbaty? Czuję, że dobrze by mi zrobiła – przerwała milczenie.

Krótki błysk radości w jego oczach szybko ustąpił profesjonalnej powadze.

– Oczywiście, madame. Zaraz wracam.

Odłożył plik papierów. Dopiero teraz zauważyła, że są spięte razem wzdłuż grzbietu rzędem małych metalowych obręczy. Słyszała jego kroki na schodach. Wstała szybko z łóżka, ale ugięły się pod nią kolana. Była wciąż słabsza, niż jej się początkowo wydawało. Skoncentrowała się jednak i zdołała przejść kawalek. Była ciekawa, co tam Valer zapisywał, ale okazało się, że nie pisał, tylko rysował. Znalazła szkic samej siebie, leżącej pod przykryciem, z zamkniętymi oczami i spokojnym wyrazem twarzy. Spod kołdry wystawała jej jedna stopa. Na pierwszy rzut oka rysunek wydawał się bardzo akuratywny, jednak kiedy przyjrzała się detalom, dostrzegła, że nie do końca tak było. Valer trochę upiększył szkic. Zuzanna rozpoznała siebie, ale wiedziała, że nie umywa się urodą do kobiety śpiącej na obrazku. Pomyślała, że kapitan rozminął się z powołaniem. Powinien był zostać artystą, nie żołnierzem. Szkoda marnować taki talent.

Tymczasem znów usłyszała na schodach jego kroki, więc wskoczyła z powrotem do łóżka. Nie kładła się jednak, tylko podsunęła sobie wyżej poduszkę i usiadła oparta.

Valer przed wejściem zapukał. Niósł tacę, na której stał porcelanowy dzbanek i dwie filiżanki. Przyglądała mu się, jak nalewa.

– Nalejcie i sobie, proszę. Równie dobrze to już może być teraz spotkanie towarzyskie – zaoferowała, gdy wyglądało na to, że zamierza pozostawić drugą filiżankę pustą.

Napiła się. Herbata była dokładnie tym, czego potrzebowała Zuzanna.

– Wczoraj po południu, mniej więcej o tej porze, omawialiśmy dostawę naszych towarów. Zamilkłaś, pani, w pół słowa i zemdłałaś – zaczął mówić Valer.

Zawsze prosto do sedna, pomyślała.

– Przypominam sobie – odparła. – Pamiętam, jak sięgałam po spis towarów, a potem już tylko ciemność. Upadłam?

– Nie, madame – odpowiedział po chwili. – Zdołałem was pochwycić. Ułożyłem was na sofie i posłałem po Vincenta Baskiego.

Wszyscy ludzie w jednostce Valera znali podstawy udzielania pierwszej pomocy, ale Baski był w tym najlepszy, a swoimi zdolnościami przewyższał wręcz niejednego felczera. Kolejny talent, który się marnował w mundurze. Zdała sobie sprawę, że właściwie większość ludzi Valera miała dodatkowe talenty i zdolności. Była to rzeczywiście elitarna jednostka.

– Vincent was obejrzał, ale niewiele mógł poradzić. Powiedział, że nie przypomina to żadnej znanej mu choroby. Wyglądało jak niezwykle rozległy atak padaczki. Musieliśmy uważać, abyś się, pani, nie udusiła albo nie zadławiła własnym językiem. Wreszcie najgorsze drgawki minęły, ale wtedy zaczął wam się zmieniać puls. Przez jakiś czas wyglądało na to, że wasze serce może nie wytrzymać takiego tempa. Przez chwilę leżeliście niczym martwa.

Nawet teraz w głosie Valera słyszeć było, jak bardzo się o nią obawiał.

– Po kilku godzinach wszystko wreszcie minęło i wydawało się, że śpicie. Próbowaliśmy was obudzić, ale nie daliśmy rady. Postanowiliśmy więc zostawić was w spokoju i tylko trzymać pod obserwacją. Zdarzyło wam się kiedyś coś podobnego?

Zuzanna pokręciła głową.

– Nie.

W pierwszej chwili chciała wymyślić jakąś historyjkę, znaleźć wymówkę, ale przypomniała sobie, że z Valerem może mówić wprost.

– To, co mnie zmogło, było spowodowane magią. Coś się w magicznej warstwie wokół nas zmieniło i ja na tę zmianę... tąpnięcie... – szukała właściwego słowa – tak silnie zareagowałam.

Aż sama się dziwię, że przeżyłam, pomyślała, ale zatrzymała tę myśl dla siebie. Valer przez chwilę usilnie rozmyślał nad tym, co usłyszał. Filiżanka zastygła w pół drogi do jego ust.

– Mogłabyś, pani, spróbować nieco jaśniej?

Zuzanna zastanowiła się. Nie chciała przywoływać porównania ze ślepcem, któremu próbuje wyjaśnić kolory.

– Było to niczym znaleźć się pośród burzy, którą jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu udało się wam przeżyć. Albo do której się dostosowaliście, niczym ptak, który daje się porwać wiatrowi.

– Albo niczym skała, o którą rozbijają się fale? – podsunął Valer.

– Możliwe, że ktoś by tak to odczuł – zgodziła się, ale z wahaniem.

– Ktoś taki musiałby jednak dysponować niewyobrażalną mocą.

– A wy jesteście tym ptakiem – odgadł Valer z cieniem uśmiechu na ustach.

W pierwszej chwili chciała zaprotestować. W myślach wróciła jednak do tych długich chwil w częściowej nieświadomości, kiedy walczyła z magicznymi prądami. Rzeczywiście, w końcu się im poddała, pozwoliła, by ją przenikały, zamiast opierać się i tym samym narazić na to, że wyrządzą jej krzywdę. Ale nawet poddanie się kosztowało ją wszystkie siły.

– Owszem – zgodziła się i odwzajemniła uśmiech.

Gruman i rybaczka



Gruman spróbował szaszłyka z opiekanej ośmiornicy przekładanej algami i papryką. Papryka nie była za ostra, ale taka w sam raz i wszystko razem smakowało bardzo przyzwoicie. Choć prawdę powiedziawszy, wolałby coś prostszego, bardziej domowego. Siedział na ławce ocienionej porozwieszanymi rybackimi sieciami, poprzeplatany wodorostami. Zastanawiał się, czemu ich nie czuć tak jak tych, które na brzegu odkrywał odpływ. Może dlatego, że te były dobrze wyschnięte. Nalał sobie herbaty z kamionkowego dzbanka. Kiedy mu go przynieśli do stołu, dzbanek ociekał wodą, która teraz już obeschła. Dzięki temu napój wciąż pozostawał w miarę chłodny.

Zjadł ostatni kęs, ale Keshuy nadal nigdzie nie było widać. Umówili się, że będą się tu spotykać co trzeci dzień. Oficjalnie po to, aby Gruman mógł przekazać nowe rozkazy, jednak zabójca wątpił, czy Keshua przyjąłby od niego jakiegokolwiek polecenia, które nie zgadzały się z jego własnymi zainteresowaniami. Nie zamierzał nic z tym robić, zdecydował, że jedynie opisz wszystko w końcowym raporcie. O ile... Nie zastanawiał się, jak miała wyglądać dalsza część tego zdania. Może w ogóle Keshuy nie zobaczy. Na poprzednim spotkaniu się nie zjawił.

Tym jednak razem Keshua zdecydował się przybyć. Gruman dostrzegł go, gdy ten nadchodził od strony nabrzeża. Nie zamachał do niego, wiedział, że wspólnik go widzi i jeśli będzie chciał, sam się do niego dosiędzie. Keshua przyszedł z talerzem i dzbankiem. Zamówił i zapłacił od razu przy ladzie, jakby nie chciał czekać na obsługę. Krewetki w ostrym sosie z kluskami, do tego piwo. Usiadł i zaczął jeść. Prawie połykał, piwa wziął dwie dolewki. Gruman obserwował go w milczeniu. Głód, worki pod oczami, inne drobne

oznaki. Świeże otarcia na ręce wskazywały, że Keshua miał za sobą intensywne dni.

– Baronównę Münchauen eskortuje elitarny oddział wojska, według mnie z księstwa Dask – odezwał się wreszcie zabójca, kiedy na talerzu pozostało mu już tylko kilka kęsów.

– Czemu tak myślisz?

Keshua zaczął wyliczać swoje obserwacje, poczynając od uzbrojenia przez ich perfekcyjną organizację aż po przygotowanie siedziby i to, jak byli samodzielni w podejmowaniu decyzji i działaniu. Rzeczywiście, elementy układanki do siebie pasowały, Gruman musiał przyznać mu tutaj rację.

– A baronówna? Kim ona jest? – spytał i upił herbaty. Zdążyła się już zagrzać, ale nie przeszkadzało mu to za bardzo. Keshua machnęła niedbale ręką.

– Zachowuje się jak szlachcianka z zadupia, ale to jest bez znaczenia. Ważne jest co innego: kto jest dowódcą jednostki. Występuje pod imieniem Valer i oficjalnie jest w randze kapitana.

Gruman nastawił ucha, Keshua zbliżał się do sedna.

– A ty myślisz, że kto to jest?

– Koniasz – powiedział zabójca.

Prawdopodobnie przybrane imię, fałszywa tożsamość, pod którą całe już dziesięciolecia ukrywał się zabójca, najemnik, fałszywy agent najmowany to przez jedną, to przez drugą stronę. W ostatnich latach rozwścieczył cesarza do tego stopnia, że ten wyznaczył za jego głowę cenę – dziesięć tysięcy złotych.

– Kusi cię nagroda?

– Kogo by nie kusiła? – Keshua wzruszył ramionami. – W naszych kręgach to przecież legenda. A kto zabije legendę, sam staje się legendą.

Gruman zgadywał, że ta druga część kusiła Keshuę znacznie bardziej niż pieniądze. Był młody, pełen aspiracji. Gruman w duchu przywołał obraz dowódcy eskorty baronówny. Zdolny, niebezpieczny. Jeden z najniebezpieczniejszych, z jakimi Gruman się kiedykolwiek zetknął.

– Nie wydaje mi się, żeby to był on – odpowiedział wreszcie.

– Czemu? Opis się zgadza. Wysoki, utalentowany z bronią, ostrożny. Te historie o bliźnach to może być tylko bajanie.

Gruman sięgnął do wspomnień.

– Byłem wśród tych, którzy go tropili na Brunatnych Bagnach i Randskich Moczarach – wyjął.

Keshua przestał jeść, zaczął uważnie słuchać.

– Byliśmy na niego naszykowani, chcieliśmy go dostać w Krachtiburgu, ale nam się wywinął. Do tego zorganizował jeszcze ucieczkę grupy ludzi, którymi miało się zająć wojsko. Potem krył ich ucieczkę bagnami. Sam, ranny, zabił ponad dwudziestu ludzi. Wreszcie zniknął na moczarach. Niektórzy zdołali podjąć jego trop, ale to było jak tropienie aligatora. Kto go dogonił, ginął. Naliczyłem kolejny tuzin, a to tylko ci, których ciała znalazłem. Zaginęły tam dziesiątki ludzi.

Keshua chwilę zastanowił się nad jego słowami.

– Może go nie dogoniłeś ze strachu.

Gruman zamyslił się.

– Może – nie zaprzeczył.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu nad swoimi dzbankami. Keshua niezadowolony, Gruman obojętny.

– Mam to więc rozumieć jako odmowę? – chciał się wreszcie upewnić młodszy zabójca. – Nie pomożesz mi go zabić?

– To nie jest Koniasz. Jest to doświadczony, niebezpieczny gość, ale to ktoś inny – powtórzył Gruman. – Nie ma powodów go zabijać.

– Dobra, sam to zrobię – zdecydował Keshua. – Pieniądze i sława będą moje.

– Nie mamy takich rozkazów – spróbował jeszcze raz Gruman.

Każda mordercza akcja Keshuy wzbudzała zainteresowanie, a to było niepożądane.

– Czasem człowiek musi myśleć sam za siebie, podjąć inicjatywę – zbył go Keshua i wstał.

– Za trzy dni tutaj – przypomniał Gruman.

– Jeśli sytuacja pozwoli – uśmiechnął się krzywo Keshua.

Gruman tylko skinął głową. Nie miał się do czego przyczepić. Jego współnik otwarcie mu się przecież nie sprzeciwił, choć była to

jedynie kwestia czasu.

Spoglądał za oddalającym się zabójcą i zastanawiał się, jak do zabicia dowódcy oddziału baronówny podszedłby on sam. Zadaniem kapitana Valera była jej ochrona, z czego wywiązywał się bardzo dobrze, tak dobrze, jak to tylko możliwe. Zależało mu na pracy, a to oznaczało, że zależy mu na kobiecie. Gruman obracał przez chwilę tę myśl, przyglądając jej się z każdej strony, aż znalazł rozwiązanie. Z taktycznego punktu widzenia najlepiej by było zabić ją albo jeszcze lepiej ciężko ranić, a następnie wykorzystać reakcję kapitana, jego poczucie porażki, może i napad wściekłości do likwidacji jego samego. Gruman znów przeanalizował ten plan. Nie podobał mu się mimo wszystko i gdyby miał wykonać to zadanie, poszukałby jednak innego, dogodniejszego sposobu. Pokręcił głową bezwiednie, chciał się otrząsnąć z nieprzyjemnych myśli. Tak czy inaczej, on nie miał ochoty ani zamiaru zabijać baronówny czy jej kapitana.

Za jedzenie zapłacił wcześniej, na odchodnym wrzucił jeszcze do glinianej miski miedziaka napiwku. Szedł ulicami przylegającymi do nabrzeża, w kierunku miejsc, w których ostatnio bywał dość często. Usiadł na niskim murku okalającym prowizoryczne targowisko, które zapełniało się jedynie na krótko, zaraz po powrocie rybaków z połowu.

Targowisko było teraz puste, na udeptanej glinie leżał tylko jakiś złamany kołek, podpórka jednego ze zwiniętych kramów. Gruman przesunął się, aby móc się oprzeć. Za plecami miał na wpół uschniętą pinię i chylące się ku zachodowi słońce. Rzucając mu przelotne spojrzenie, dostrzegł, że nikło w nabrzmiewającej burzowej chmurze. Przyglądał się okalającym plac tanim knajpom, w których rybacy tracili mniejsze lub większe części swych zarobków. Czekał na Durgeza, wielkiego chłopca, któremu niedawno zdrowo przylał, bo tamten odebrał zdobycz młodemu chłopakowi. Z matką chłopaka spędził później noc. Dzieciak nazywał się Haak, matka Corinne. O wieczorze i nocy spędzonych z kobietą myślał częściej, niżby chciał. Może dlatego później wywęszył, kim był Durgez. Bezdzietny wdowiec, rybak, ale też i od przypadku do przypadku kolektor długów. Złe języki – Gruman wiedział, jak pytać

i jak słuchać – złe języki twierdziły, że żona Durgeza umarła od ciągłego bicia. To nie było pomówienie, Gruman był o tym przeświadczony. I im więcej o nim wiedział, tym bardziej był przekonany, że to pojedyncze mordobicie raczej nie wystarczy, że Durgez prędzej czy później będzie się chciał na Corinne i jej synu zemścić.

Pierwsi mężczyźni zaczęli opuszczać wyszynki jeszcze przed zachodem. Rano będą wyruszać w morze na dwie godziny przed najwyższym przypiływem, jeszcze w ciemnościach. Durgeza rozpoznał między nimi głównie po niedźwiedziowatej sylwetce.

Jego dom stał zaraz po prawej stronie, przestronny, dwupiętrowy budynek wtulony ciasno pod skalisty klif. Aż zaskakująco imponujący, jak na prostego rybaka, zorientował się nagle Gruman. To jednak było bez znaczenia. Tymczasem Durgez ruszył w przeciwną stronę. Zanim zabójca zdążył się podnieść, tamten zniknął w drzwiach kolejnej mordowni. Gruman czekał dalej. Bijące od nagrzanego ziemi i kamieni gorące powietrze mieszało się z powiewającą od morza orzeźwiająco bryzą. Już nie pamiętał, kiedy po raz ostatni tak sobie po prostu siedział i rozkoszował się chwilą. A przecież takie momenty siedzenia i czekania przytrafiały mu się często. Gdy zaczął zapadać mrok i okoliczne ulice się wyludniły, rybak znów pojawił się na zewnątrz, tym razem w towarzystwie dwóch kompanów. Gruman wstał i ruszył za nimi. Spieszył się, ale nie próbował ich dogonić. Nie zwalniając kroku, schylił się i chwycił leżącą na ziemi ułamaną podpórkę. Drewno wydawało się wciąż ciepłe, nagrzane słońcem. Dobre trzy czwarte metra długości, około pięciu centymetrów w przekroju, wygodny, pewny uchwyt. Gdyby szli zupełnie nie tam, gdzie przypuszczał, gdyby się mieli zgubić w uliczkach, zupełnie by mu to nie przeszkadzało. Jeśli jednak miał rację, będzie tam na czas.

Trójka kroczyła środkiem ulicy, z ręki do ręki podawali sobie butelkę, od czasu do czasu z czegoś rechotali. Półmrok narastał, ulica pogrążała się w coraz gęstszym cieniu. Nie było tu żadnych latarni, światła z okien domów zanikały wraz z zamykanymi na noc

okiennicami. Wreszcie mężczyźni zatrzymali się przed domem Corinne, Durgez załomotał w drzwi.

– Otwieraj! Masz dług do uregulowania! Od ciebie zależy, w jaki sposób! – Roześmiał się.

Do rehotu dołączyli jego kompani. Gruman obserwował ich z podcienia domu po drugiej stronie ulicy. Wciąż go zaskakiwało, że w mieście tak bogatym jak Grafzatza niektóre dzielnice były całkowicie pozostawione samym sobie, kompletnie wyjęte spod prawa.

– No otwieraj, jak mi nie każesz czekać, będę dla ciebie miłszy. – Durgez oparł się o drzwi, aż zaskrzypiały pod jego ciężarem.

Dawał przy tym znaki swoim kompanom, aby się trochę uciszyli.

– Wynoście się stąd, pijaczyny! – rozległo się z otwartego okna kawałek dalej.

– Jeszcze jedno słowo, Chandrel, i cię z tą twoją starą za łeb wyciągnę – krzyknął Durgez i okno zamknęło się z trzaskiem.

Na lepszą chwilę nie było co czekać. Gruman miał nadzieję, że to najdogodniejszy moment, aby uniknąć ciekawskich oczu sąsiadów. Ruszył długimi, cichymi krokami ku trójce mężczyzn pod domem, zachodząc ich od tyłu.

– Wywalę te drzwi, głupia dziwko, a wtedy nie chciałbym być na twoim miejscu!

Nie chciał żadnego z nich zabijać, to by mogło narobić Corinne problemów. Niemniej było ich trzech, na pobłażliwość nie mógł sobie pozwolić. Powinien powalić najpierw Durgeza, który był prowodyrem, ale pozostali dwaj blokowali mu do niego dostęp. Zaczął od tego po lewej, kopnął go pod kolano. Durgez zorientował się, że coś się dzieje, obrócił się i zainkasował cios prosto w twarz. Trzeci z nich był najbystrzejszy, już sięgał do wielkiego noża za pasem. Gruman upuścił kij, który na tak krótkim dystansie do niczego by mu się nie przydał, i nie tracąc pędu, wyprowadził kopnięcie lewą nogą w brzuch. Szczęśliwym trafem jego pięta spotkała się z dłonią zamkniętą na rękojeści noża. Do uszu Grumana dobiegło chrupnięcie gruchotanych kości.

Nie tracąc czasu na rozmyślania o pomyślnych zbiegach okoliczności, zwrócił swoją uwagę ku dwóm pozostałym. Durgez burczał jak niedźwiedź i kręcił głową, próbując się otrząsnąć z efektów uderzenia. Mimo jego siły nie padł na ziemię. Gruman postanowił nie dać mu czasu na dojście do siebie, doskoczył i poprawił mu jeszcze jednym ciosem w twarz, tym razem pięścią uzbrojoną w kastet. Nie było sensu bez potrzeby kaleczyć własnych kłyki, jeśli dało się tego uniknąć.

Ten pierwszy próbował się podnieść, opierał się już na rękę. Gruman posłał go z powrotem na ziemię kopnięciem z boku w ucho. Zyskał czas na nabranie oddechu. Sięgnął po kij, znów miał dla niego zastosowanie. Z rozmysłem, starannie wybierając miejsca, zaczął nim okładać kumpli Durgeza. Po łokciach, nerkach, pachwinach. Nie próbował ich okaleczyć, starał się zadać im możliwie jak najdotkliwszy ból. Cel osiągnął z wielkim powodzeniem, obaj byli na dobrą sprawę sparaliżowani i przestali stanowić dla niego zagrożenie. Pozbierał ich broń i skoncentrował się na Durgezie. Łupnął go w tył głowy, nie za mocno, żeby go nie zabić, po czym zaczął brutalnie okładać po rękach i nogach. Z wystarczającą siłą, aby mu połamać kości. Skończył, dopiero gdy się zadyszał. Spojrzał na tamtych dwóch. Ze strachu stężeli, nie odważyli się nawet drgnąć. Durgez nie był w stanie się poruszyć. Jak na rybaków, nosili się stanowczo zbyt dobrze. Gruman zgadywał, że trudnili się paserką.

– Jeszcze raz tu zobaczę jego – wskazał na Durgeza – albo któregośkolwiek z was, koniec z wami. Zabiję wszystkich trzech. I zrobię to tak, żeby bolało.

Dał im czas, żeby to do nich dotarło.

– Jeśli którykolwiek z was będzie się naprzykrzać pani Corinne Serpezi, zabiję wszystkich, rozumiecie? Ty albo ty, albo on. – Wskazał na Durgeza. – Wszystkich. A wierzcie mi, w Grafzaty się przede mną nie ukryjecie. Wiem, gdzie mieszkacie, wiem, gdzie chodzicie się napić. Rozumiecie? Rozumiecie?!

Tym razem obaj posłusznie pokiwali głowami. Czubkiem buta kopnął obitego Durgeza, który zajęczał z bólu.

– Zabierajcie go stąd. Niech was już tu nie widzę. I zapamiętajcie sobie, niech choć jeden się zakręci koło pani Serpezi, zatłukę wszystkich. Jasne?

Znów pokiwali głowami.

– Wynocha.

Złapali Durgeza pod pachy i zniknęli w mroku. Jeszcze długo słyszał skrzypienie podkutych buciorów na kamiennym bruku. Wiedział, że powinien dla pewności za nimi pójść, ale nie chciało mu się. Nagle poczuł się wyczerpany, wycuty z sił. Ostrożnie usiadł na schodach pod drzwiami. Właśnie zrobił głupią i bardzo niebezpieczną rzecz. Pobić trzech ludzi i puścić ich wolno to było ogromne ryzyko, dawniej nigdy by sobie na to nie pozwolił. Jeśli chciał się ich pozbyć, powinien ich być zabić. Byłoby to o wiele prostsze, w zgodzie z tym, czego się przez całe życie nauczył. Oczywiście potem musiałby pozbyć się ciała, ale to nie było przecież aż takie trudne.

Usłyszał dźwięk otwieranego zamka, odsuwanej zasuwki. Drzwi otworzyły się. W ciemnym korytarzu stała Corinne. Poznał ją po... sam właściwie nie był pewien, ale wiedział, że to ona.

– Poszli?

– Owszem.

– Czemu tu przyszedłeś?

– Przemoc rodzi przemoc. Wiedziałem, że się będzie chciał zemścić za to, co mu zrobiłem.

– Wejdz.

– Haak pewnie nie śpi?

– Haak nie jest małym dzieckiem, wie, jak wygląda życie, a do tego... Wejdz do środka – powtórzyła.

Kilka chwil później leżeli obok siebie w łóżku, Gruman z dłonią na jej boku. Mimo iż nie dotykali się nigdzie indziej, czuł jej bliskość, ciepło jej ciała. Noc była gorąca.

– Zabiłeś go?

Oddychała równo i spokojnie, myślał, że spała.

– Nie.

– Więc znów wróci i się na nas zemści.

Zgadzał się z nią, właśnie tak by Durgez zrobił. Dokładnie taki był.

– Nie wróci – odpowiedział.

– Czemu miałyby nie wrócić? Jak cię tu nie będzie?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – odpowiedział jej pytaniem.

Przez otwarte okno wpadł ostatni powiew ożywczego wiatru. Temperatury morza i lądu wyrównały się, zaraz zacznie wiać w przeciwnym kierunku. Gruman ani drgnął. Smakował chwilę, która mogła w każdym momencie ulecieć. Nie chciał, by uleciała.

– Tak.

– Zabiją go jego kompani. Wystraszyłem ich, uświadomili sobie swoją śmiertelność. A Durgeza znają dobrze, wiedzą, że będzie się chciał zemścić, tak jak powiedziałaś. Ja zagroziłem wszystkim trzem, więc zabiją go, ponieważ boją się tego, co Durgez robi.

– Bardzo to okrutne i bardzo przebiegłe – odpowiedziała po chwili milczenia.

– Nie chciałem ci tego mówić.

Gdzieś odezwała się cykada. Dźwięk odbijał się od ścian domów i niósł wzdłuż ulicy.

– To są brzydkie sprawy, ale pytałaś.

Poczuł, jak nakryła jego dłoń swoją. Przytuliła się do niego.

– Już cię nie pociągam?

– Starzeję się. Spędziłem większość dnia na słońcu, na podchodach, na czekaniu. Bijatyka z Durgezem dała mi w kość. Nie byłby ze mnie najlepszy kochanek. Dziś w nocy – dodał.

– Myślę, że nie będzie tak źle – powiedziała.

Ściągnęła z Grumana cienki koc, przeturlała się. Teraz już zdecydowanie czuł gorąco jej ciała.

– Każde dziś jest tylko raz – wyszeptała.

Gruman położył dłonie na jej bokach i zanurzył się w jej miękkości.

Miała rację.

Demon stali



Paliły mnie oczy. To przez to, że wpatrując się w ciemność, już dawno nie mrugałem. Kiedy człowiek nie mruga, gałki oczne mu wysychają. Jedną z tortur, z którymi zetknąłem się u dzikich plemion żyjących na skraju Pustyni Gutawskiej, polegała właśnie na tym. Wystarczyło przyszyć powieki do skóry i pod palącym słońcem człowiek ślepnął w kilka godzin. A po kilku kolejnych był martwy. Ludzie są pomysłowi, przynajmniej niektórzy.

Zamrugałem. Wymuszona aktywność fizyczna przywróciła mnie do rzeczywistości, do mojego ciała. Uzmysłowiłem sobie upływ czasu, leżałem w piwnicy ładnie parę godzin. Właściwie to cały dzień. Obadałem się cały, jakbym był sobie obcy, jakbym się zmienił i wszystko było dla mnie nowe. Nie chciało mi się jeść ani pić i właściwie nie byłem pewny, czy przez te ostatnie godziny spałem, czy nie. Chyba nie, leżałem tak tylko i gapiłem się w ciemność. Wydawało mi się, że rejestruję każdą pojedynczą upływającą sekundę. Wszędzie na ciele, a najgorzej w czubkach palców odczuwałem mrowienie, nawet włosy mnie swędziały, choć już od lat praktycznie ich nie miałem. Zbliżał się jeden z tych paskudnych dni. Jakby ten poprzedni był dobry. Tyle że i to, co najgorsze, dla mnie jest całkiem dobre.

Wstałem. Drzwi obramowane były cienką linią światła, słońce znów panowało na niebie. Może powinienem tu zostać i poczekać. Nie wiedziałem na co, ale zdawałem sobie sprawę, że tego nieprzyjemnego uczucia w koniuszkach palców raczej się w ten sposób nie pozbędę.

Znalazłem schody i wspiąłem się na górę, czułem przy tym, jak ze mnie, z mojego ubrania opada kurz, brud. Nagle zrobiło mi się

zimno, dostałem dreszczy i na całym ciele czułem gęsią skórę. Sięgnąłem do klamki, nacisnąłem i uderzyło we mnie słońce i gorąco. Rozejrzałem się w nadziei, że świat wokół mnie będzie znów normalny. Nie był. Wszystko było wciąż tak samo, jak kiedy uciekałem do piwnicy, by się schować. A może nawet jeszcze gorzej. Przez dziedziniec przechodził jakiś człowiek. Jego właściwego wyglądu nawet nie dostrzegałem, rozpoznawałem jedynie struktury. Krew płynącą żyłami i tętnicami, bijące serce, mózg niczym jaśniejącą iskrę w czaszce. Dokładnie wiedziałem, gdzie uderzyć, gdzie się dostać, aby to krążenie energii życiowej zatrzymać.

Serce zastygło w skurczu, mężczyzna zatoczył się, rozświetlona iskra mózgu zaczęła nagle gasnąć. Mógłbym go dowolnie zmienić, zrobić z nim, co tylko zechcę. O ile zechcę.

Zabicie go byłoby najprostszą rzeczą na świecie, mogłem to zrobić bez najmniejszego wysiłku. Jaki miałyby to jednak sens? Ta myśl pomogła mi się opamiętać. Pozwoliłem jego sercu wrócić do pracy, podjąć przerwany rytm. Mężczyźnie udało się ustać, przeszedł przez dziedziniec niepewnie, trzymając się za serce. Wreszcie znikł w drzwiach poza moim zasięgiem. Musiałem się czymś zająć, czymkolwiek, co pozwoliłoby mi pozbyć się tego mrowienia w palcach. Chęci niszczenia struktur, wzorów. Chęci niszczenia.

Wyszedłem na ulicę i zanurzyłem się w tłum potencjalnych celów, ofiar. Zbyt łatwych, niewartych zachodu, z ich śmierci nic by mi nie przyszło, przekonywałem samego siebie. Mógłbym się wybrać do siedziby Łysielca, tam może znalazłaby się jakaś zabawa, może jakoś bym odreagował. Ale nie byłem pewien, czy utrzymałbym się w ryzach, pewnie byłoby wręcz przeciwnie. Skończyłoby się na gospodzie pełnej trupów, z Łysielcem włącznie. Nie mogłem spuścić z łańcucha bestii, którą w sobie powstrzymywałem.

Szedłem dalej bez zastanowienia, sam ruch pozwalał mi się trochę skoncentrować. Zwykły uliczny tumult ustąpił na rzecz klekotu kołowrotów i podzwaniań młotów. Powietrze zapachniało ogniem i żelazem. Zaszedłem do dzielnicy rzemieślników, na ulicę kowali. Ciśnienie w głowie, mrowienie w palcach trochę ustąpiły.

Woń ognia, rozpalonego żelaza, świst kowalskich miechów, to wszystko było częścią mojej własnej przeszłości, mojego dzieciństwa.

Większość tutejszych kowali pracowała w otwartych, zadaszonych tylko kuźniach, które połączono z magazynami i, jeszcze dalej, z domami, gdzie mieszkali ze swoimi rodzinami. Wcześniej nawet nie przypuszczałem, jak wielu ludzi trudniło się tu obrabianiem żelaza. Oparłem się o słup latarni, których stało tu prawie tyle samo, co w luksusowych dzielnicach. Wszystkie z czarnego żelaza, bez najmniejszej plamki rdzy. Miejscowi musieli o nie sami dbać. Odetchnąłem głęboko. Zapach ognia i gorącego metalu dobrze mi robiły, ludzie wyglądali teraz normalniej, wciąż widziałem struktury życia, ale już mnie tak mocno nie kusily. Obok mnie przetoczył się wóz ciągnięty przez starego muła. Ładunek był ciężki, właściciel pomagał zwierzęciu wspiąć się pod lekką pochyłość ulicy, pchając furmankę z tyłu. Muł zapierał się kopytami i parskał. Widziałem, jak jego serce wysila się, jak pompuje krew mocno nabrzmiałymi żyłami. Chęć, aby ten obieg życiowej energii przerwać, zatrzymać, już jednak zniknęła. Skupiłem się raczej na tym, co było na wozie. Ładunek tworzyły trzy beczki wypełnione ciemnym kamieniem, ale wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby zorientować się, że nie są to żadne kamienie, tylko kawałki żelaznej rudy.

W Grafzaty kotwiczyło wiele statków, część z nich załadowana właśnie najlepszej jakości rudą z Kastebriku i jeszcze dalszych miejsc.

Powoli szedłem dalej ulicą, chłonałem dźwięk młotów i syk hartowanego żelaza, które przypominały mi moją własną przeszłość. Zatrzymałem się przy kuźni z dwoma paleniskami, większym i mniejszym. W kącie piętrzył się stos węgla drzewnego, sądząc z blasku i rozmiarów, dobrej jakości. Pomiedzy piecami stało duże kowadło i koryta z wodą. Mężczyzna około trzydziestki czyścił właśnie palenisko, a jego pomocnik, chłopak zdradzający wyraźne fizyczne podobieństwo do kowala, nacierał tłuszczem miechy.

– Dziś nie pracujecie? – spytałem ku własnemu zaskoczeniu.

Nie miałem w zwyczaju nawiązywać pogawędek z nieznanymi ludźmi. Prawdę powiedziawszy, nie miałem w zwyczaju nawiązywać pogawędek z nikim. O ile nie zamierzałem pozyskać informacji albo nie było to otwarcie do ataku. Otwarcie... tak by się wyraził książę. Może rzeczywiście spędzałem z nim zbyt wiele czasu.

Kowal spojrzał na mnie, nie przerywając pracy.

– Wieczorem skończyliśmy duże zamówienie, ludzie muszą odpocząć. Jeśli potrzebujecie czegoś specjalnego, poradzę wam, do kogo się zwrócić.

Mówił spokojnie, nie bał się mnie, starał się być pomocny, choć wcale nie musiał. I do tego miał kuźnię. Poczulem ukłucie zawiści. Może gdybym dawno, kilkadziesiąt lat temu, na kluczowym skrzyżowaniu wybrał inną drogę, nie musiałbym tu dziś stać, patrzyłbym na innych jak na normalnych ludzi i nie walczyłbym z pokusą, by ich pozabijać.

Co się stało, to się nie odstanie.

– Użycie mi kuźni – powiedziałem bez zastanowienia.

Popatrzył na mnie jak na wariata, jego syn również najwyraźniej miał mnie za kompletnego szaleńca. W tej chwili byli do siebie jeszcze bardziej podobni. Uczucie zawiści nasiliło się.

– Muszę coś wykuć. Sam.

Mężczyzna przyglądał mi się z wahaniem. Zaskoczyłem go. Równocześnie uświadomiłem sobie, jak bardzo chcę zacisnąć dłoń na stylisku młota. To mogło mi pomóc powstrzymać nadchodzące szaleństwo, kompletne załamanie. Przynajmniej na jakiś czas. Jeśli nie zdołam tego zrobić, prędzej czy później sięgnę po broń w chwili, kiedy nie będzie to potrzebne. W złym momencie.

Na barierce odgradzającej kuźnię od ulicy położyłem dziesięć złotych. Pięć tygodni zarobku. Dodałem drugie tyle. Dziesięć tygodni pracy za jedno zlecenie.

– Będę potrzebował pomocnika przy miechach i rudy.

Dołożyłem jeszcze dziesięć.

– A przy kowadle będziecie stać wy sami? – upewniał się.

– Nie inaczej – potwierdziłem.

Pół godziny później stałem już przy kowadle, przy trzech miechach, by zapewnić równomierny nawiew powietrza, miałem trzech pomocników. Stadtek, tak się nazywał kowal, miał rudę nie tylko z Kastebriku, ale i z innych miejsc. Znajomość rzemiosła to jedna część sukcesu. Druga to jakość materiałów.

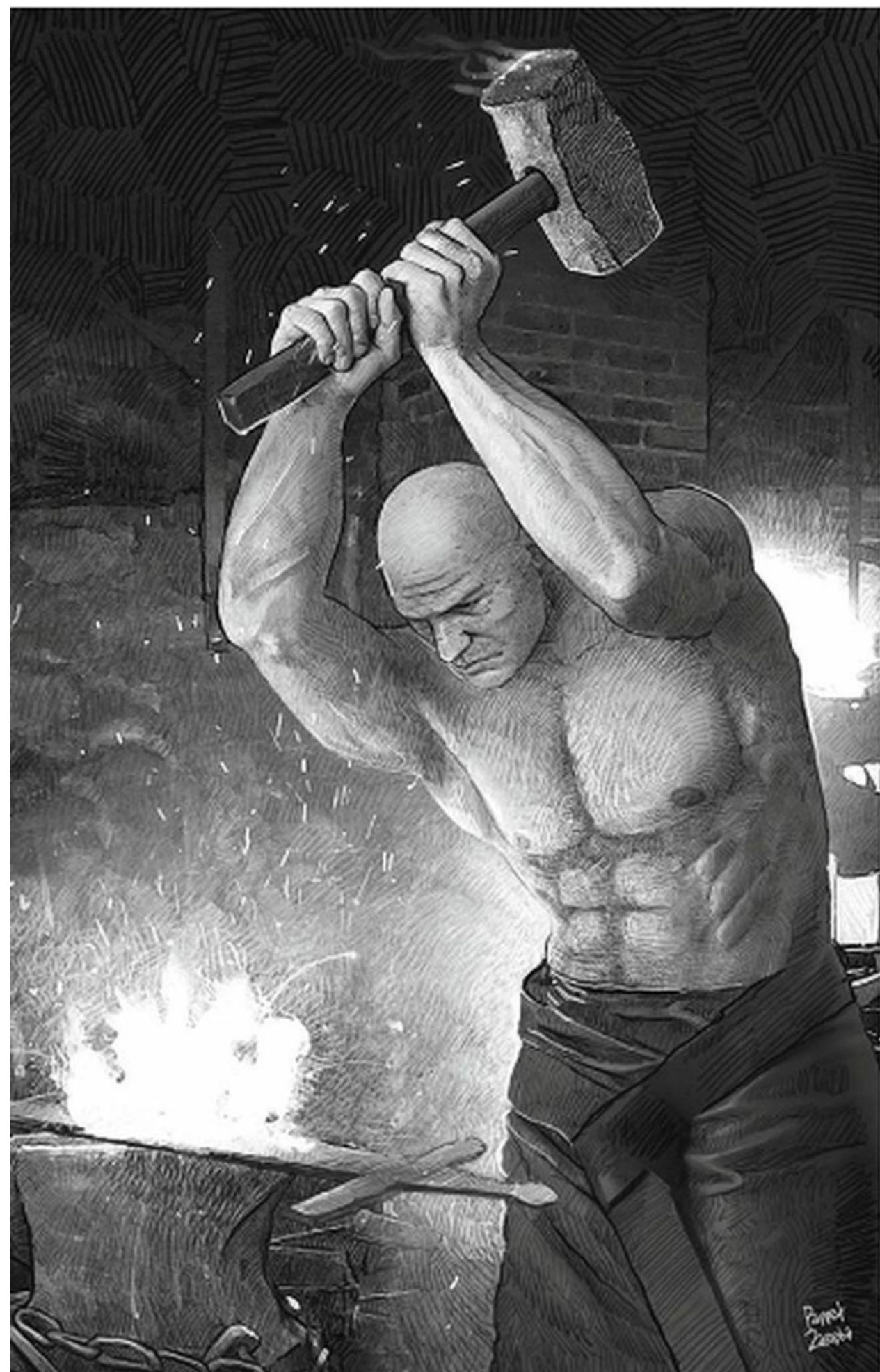
Zacząłem od rudy kastebrickiej, z której przygotowałem sztabkę trzydzieści na dwadzieścia na trzydzieści i odłożyłem na bok. Wziąłem się do wybierania kolejnych rud. Nie znałem wprawdzie ich pochodzenia, ale oceniałem je po dotyku, zapachu i dźwięku, jaki wydawały pod uderzeniem. W końcu zdecydowałem się na dwie, które skułem razem i pracowałem nad nimi tak długo, aż wydawały się mieć właściwą sprężystość i zapach.

W tym momencie miałem już dwóch pomocników, jednym z nich był syn kowala. Pracowałem dalej. Przyszedł czas połączyć kastebricką stal z metalem, który przygotowałem. Znów rozdzwonił się młot, sapały miechy, gorejący w paleniskach ogień pożerał tlen i węgiel. Sztabkę kastebrickiej rozgrzałem i rozciąłem na jednym końcu na kształt litery V, w rozcięcie wsadziłem fragment drugiego metalu. Zacząłem je równymi uderzeniami skuwać razem, przekładać i przekuwać, i znowu, i znowu. Każdy kawałek, który mi się nie podobał, odcinałem i odrzucałem. Wewnętrznym zmysłem wyczuwałem wszystkie niedoskonałości i defekty kutego metalu. Siłą woli i uderzeniami młota kształtowałem surowiec, transformowałem go tak, aby się ich wszystkich pozbyć, aby pozostała stal była doskonała. Zbliżała się północ i z pomocników został mi już tylko syn kowala.

Kontynuowałem pracę i dopiero gdzieś nad ranem uświadomiłem sobie, że i on nie wytrzymał. Usnął oparty o ceber z wodą. Zostawiłem go w spokoju, palenisko miało doskonałą temperaturę, pozostało tylko dokończyć pracę.

Ani się obejrzałem, było rano. Godziny pracy gdzieś mi przepadły, jedynie w powietrzu wciąż unosiła się woń gorącego oleju i gasnącego ognia, a z kamieni szlifierskich nadal skapywała woda. Na ławie przede mną leżały dwa skramsaksy. Czubki ścięte do nierównoramiennych trójkątów, ostrza grube, masywne, jelce

zakończone częściowo tylko wykończonymi głowicami. Rękojeści oplotłem cienkim łańcuszkiem, który znalazłem w zasobach kowala. Chwyciłem je w dłonie. Natychmiast poczułem się lepiej niż bez nich. Pełniejszy, kompletny. I do niczego mnie nie nęciły. Nie czułem się, jakbym trzymał w rękach narzędzia do zabijania, one po prostu były przedłużeniem mojego własnego ciała.



Rozejrzałem się po kuźni. Moi trzej pomocnicy spali, oddychając ciężko, jakby harowali non stop przez kilka dni, a nie przez ledwie kilka godzin. Z zasobów rudy ubyło więcej, niż wydawało się potrzebne do wykonania dwóch staroświeckich mieczy. Godziny spędzone przy pracy zlewały mi się w nieokreśloną całość, z której nie byłem w stanie wydobyć żadnych szczegółów. Rozglądałem się w poszukiwaniu żelaza, które obrobiłem i odrzuciłem, ale nie znalazłem nic. Wzruszyłem ramionami, było to bez znaczenia. Zostawiłem na ciepłym jeszcze kowadle kolejnego dziesiątaka dla pomocników i odszedłem.

W trakcie pracy pozbyłem się poczucia opadającego mnie szaleństwa, znów postrzegałem ludzi normalnie, znów mogłem myśleć. Prawie normalnie. Zatrzymałem się na śniadanie. Smaku jedzenia i picia nie czułem, ale to mi nie przeszkadzało, nie zależało mi. W sumie to nie czułem też i głodu, ale uświadamiałem sobie, że powinienem coś zjeść, i to mi wystarczało. Co by się stało, gdybym jednak przestał jeść? Wadziłoby to coś? Miałem poczucie, że nie za bardzo, ale odsunąłem tę myśl od siebie wraz z pustą tacą. Właściwie to nawet nie chciałem wiedzieć. Tłusty gość z podwójnym podbródkiem przy sąsiedniej ławie wgryzł się w kawał wieprzowiny, aż mu sos trysnął na twarz. Jeszcze wczoraj zmagalbym się z impulsem, aby wstać, złapać go za gardło i jednym ruchem je rozerwać. Aż tłuszcz pociekłby prosto na podłogę. Dziś takich zapędów już nie miałem. Ale czemu ja tu w ogóle byłem? Wszystkie wcześniejsze powody wydawały mi się mało istotne. Może żeby pomóc mojej córce, Zuzannie. A może żeby zabijać. Nie byłem sam pewien, ale i nie czułem potrzeby, aby się co do tego okłamywać. Zostawiłem to.

Napiłem się, z trudem rejestrując, że coś mi w ogóle ścieka w dół gardła. Zamiast piwa mógłbym mieć w dzbanie równie dobrze wodę, nawet bym się nie zorientował.

Do baru podbiegł młody chłopak, który po chwili oczekiwania zdołał wreszcie zamienić kilka słów z karczmarzem. Dzieciak podał oberżyscie rulon szarego, mizernej jakości papieru, po czym znów

wybiegł. W przewieszonej przez ramię torbie miał tych rulonów jeszcze parę. Karczmarz papier rozwinął, chwilę mu się poprzyglądał, po czym przyczepił go do ściany przy barze. Dwóch gości rozpoczynających dzień od szklaneczki czegoś mocniejszego obejrzało plakat i zaczęło nad nim z ożywieniem dyskutować. Były czasy, kiedy i ja zaczynałem dzień porannym kielonkiem. Czemu nie?

Wstałem, nic tu już nie miałem do roboty. Wychodząc, sam rzuciłem na obwieszczenie okiem. Początkowo myślałem, że to będzie jedno z tych „poszukiwany żywy lub martwy”, które się czasem pojawiały po całym imperium, ale tym razem było to coś zgoła innego – zaproszenie na walkę. Na moją walkę. Moim przeciwnikiem miał być łamacz kości i rozbijacz czaszek o zapaśniczym imieniu Monstrum. Naprawdę nazywał się Gook Nerzeezi, co stało drobnym pismem w prawym rogu. Plakat zachęcał również do wstępu na sesję treningową dziś wieczorem.

Bilet był wyceniony przystępnie, a dla posiadaczy karnetów darmowy. Arena chciała odzyskać zainwestowane środki i wiedzieli, jak się do tego zabrać. O tym Monstrum coś tam słyszałem tu i ówdzie nad kuflem piwa, jak o każdym, którego sława wydostała się poza granice rodzinnych stron i kto zdołał pojawić się na arenach cyrku gladiatorów w najbogatszym mieście imperium – Saxpolis. Nigdy nie zwracałem sobie głowy tymi opowieściami, w czasach kiedy sam aktywnie działałem na arenach, opowiadano je i o mnie. Prawdy nie było w nich za grosz. Według informacji umieszczonej pod nieudolną podobizną, przywodzącą na myśl raczej goryla niż człowieka, w minionym roku Monstrum wygrał Turniej Imperatora. Było to największe gladiatorskie wydarzenie, turniej odbywał się raz na dwa lata i był organizowany przez samego władcę cesarstwa. Sam nigdy nie brałem w nim udziału. Cesarscy urzędnicy zbyt blisko lubili się przyglądać uczestnikom, czego w moim przypadku zawsze lepiej unikać. W życiu zajmowałem się różnymi rzeczami, prawie wszystkie z nich były nielegalne.

Ruszyłem ku arenie. Otuliłem się szczelnie kożuchem. Mimo iż słońce grzało jak zwykle, wciąż było mi zimno. Praca w kuźni trochę

pomogła, ale nie do końca. Świat nadal stopniowo bladł, odcienie szarości zlewały się ze sobą. Różnicowanie barw niby nie było mi znowu aż tak bardzo potrzebne, ale jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo w ogóle przestanę widzieć cokolwiek. Ludzi na szczęście postrzegałem w miarę normalnie. Struktury życia, złożone układy tak nęcące, aby je pouszkadzać, zepsuć, zniszczyć, były jedynie niewyraźnymi cieniami. Na razie.

Zapłaciłem parę drobniaków i w skórzanej czapce naciśniętej na oczy wdrapałem się na trybunę. Jako zapaśnik płacić nie musiałem, ale chciałem przyjść na trening incognito. Obce słowo przyszło mi na myśl samo z siebie, nawet go nie szukałem. Przypomniało mi się, skąd je znam. Tym razem nie od księcia, ale od Zuzanny. Incognito. Fajne słowo.

Ludzi na widowni zasiadło zaskakująco dużo, więcej niż na mojej pierwszej walce. Każdy chciał zobaczyć Monstrum. Z urywków rozmów wyłapałem, że ludzie nie mogą się nadziwić, jakim cudem udało się tak znakomitego zapaśnika sprowadzić do ich zapadłej areny. Już ja wiedziałem jak. Zaproponowali mu wystarczająco sowitą nagrodę. Chcieli się upewnić, że nie stracą fortuny, którą sam na siebie postawiłem. Suchelec znał się na biznesie.

Pomocnicy zaczęli roznosić po arenie najrozmaitsze przyrządy do ćwiczeń. Kamienne kule różnej wagi i wielkości, bokerski worek zawieszony na solidnej konstrukcji, hantle. Dwaj bębniarze zaczęli wybijać rytm, między publiką krążyli sprzedawcy piwa, wina, solonych rybek do chrupania i wielu innych rzeczy. Wszystko było doskonale zorganizowane, arena zarabiała na czym tylko się dało. Wyglądało to niemal jak festyn, kiedy do zapadłej wsi zjadą komedianci. Wzrokiem skontrolowałem najkrótszą drogę do wyjścia. Otaczał mnie tłum, a ja nie mogłem mieć pewności, czy moja chęć niszczenia i zabijania znów mnie nagle nie opęta. Zauważyłem, że jest mi ją nieco łatwiej ogarnąć, kiedy nie skupiam na nikim uwagi, kiedy nikt nie pozostaje zbyt długo w moim polu widzenia.

Tłum zahuczał, jedna z bram wejściowych otworzyła się i na arenę wkroczył Monstrum. W pierwszej chwili rzuciłem mu tylko przelotne spojrzenie, ale zaraz skupiłem się na nim lepiej. To nie był

człowiek, a przynajmniej nie całkiem człowiek. Nawet biorąc pod uwagę, że w sumie to samo można było powiedzieć i o mnie.

Choć schylony, wydawał się mierzyć ponad dwa metry. Jego pas, który w rzeczywistości wcale nie był taki cienki, w porównaniu z groteskowo wręcz szerokimi plecami wyglądał jak talia osy. Szczyt trójkątnej sylwetki koronowały nieproporcjonalnie długie, nieforemnie obfite ramiona. To wszystko sprawiało, że głowa zwyczajnie nikła w zwałach mięśni. Nogi miał w stosunku do tułowia dość krótkie, ale silne i masywne niczym świątynne kolumny. Niejeden chłop miał mniejszy obwód w pasie niż on w udzie. I to właśnie z nim miałem się bić.

Wróciły kolory, poczułem ciepło na twarzy, słyszałem szmer bryzy. Przyglądałem mu się dalej z uwagą. Monstrum nie mógł być człowiekiem, w każdym razie nie normalnym człowiekiem, to było widać w każdym szczególe. Szympanś o wadze dziecka ma w sobie wystarczająco siły, by gołymi rękami zabić dorosłego mężczyznę. Monstrum należał do tej samej kategorii, choć przypominał mi raczej szarego goryla górskiego. W walkach o przywództwo stada potrafią one dowodzić swej siły, zabijając lwy uderzeniem pięści, by je potem bez użycia zębów porozrywać. Mięśnie zapaśnika miały w sobie niehumanitarną jakość, wyglądały jak kłocze szlifowanego dębowego drewna obciążone śniadą, twardą skórą. Monstrum był prawdziwym drapieżnikiem, zabójcą.

Tłum huczał, ciekaw, co im zapaśnik pokaże. Śledziłem, jak się porusza, jak się przeciąga, jak przelewają się masy jego mięśni. Może był mieszańcem człowieka i górskiego goryla, może należał do jakiejś dawno zapomnianej rasy ludzkiej, odizolowanej od reszty świata, a może był to mutant, wybryk natury. Ciekaw byłbym opinii księcia, on się takimi sprawami interesował i, tak jak ja, miał w przeszłości do czynienia z górkimi gorylami.

Monstrum rozejrzał się, szerokie usta rozciągnęły się w uśmiechu. Podniósł z ziemi jedną z kamiennych kul, na oko trzydziesto-, czterdziestokilogramową. Przez chwilę trzymał ją na dłoni jednej ręki, przytrzymując lekko drugą, jakby się zastanawiał, co z nią dalej zrobić. Jego ruch był tak szybki, że prawie go nie

zarejestrowałem, ciśnięta kula pokonała lekkim łukiem dystans do przeciwległej ściany i uderzyła w nią z głośnym trzaskiem, wybijając jeden z kamiennych bloków. Po chwili ze ściany osunęły się jeszcze dwa kolejne. Monstrum do burzenia budynków katapult nie potrzebował. On był w stanie tego dokonać – mógł mnie zabić.

Świat nagle zrobił się normalny, żadna szarość, żadnych halucynacji, żadnego szaleństwa. Dziś wrzucę coś na ząb, wypiję parę piw i coś mocniejszego, może też normalnie usnę. Cieszyłem się, miałem przed sobą dobry dzień.

Najpierw jednak muszę załatwić parę ostatnich spraw.

Markiz i baronówna



Markiz uniósł kielich z winem, który w ciepłym powietrzu zdążył się już pokryć rosą, i rzucił przy tym okiem na służącą. Stała przed nim z pochyloną głową, w lekkim ukłonie, w postawie pełnej poddania. Otwierało mu to widok na jej dekolt.

Obdarzona była bardziej niż szczerze. Nie przypominał sobie, by miał ją kiedykolwiek w łóżku, ale impuls, by wziąć ją tutaj, w palarni, odpędził, zanim nawet zdążył się nad nim zastanowić. Wiedział, czym by się to skończyło. Nuda, nuda, nic, tylko nuda. A do tego, biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich dni, musiał być ostrożny. Ze względu na błąd, za który odpowiedzialni byli Herge i Cruf, ale też ze względu na problemy w interesach. Na razie nie wiedział, kto stoi za zniszczeniem jego lokalu. Od swoich ludzi na mieście słyszał, że miejskie gangi toczą zacieklą walkę o wpływy, ale to go nie dotyczyło. On działał w wyższych sferach. Choć może był tu jakiś związek, może ktoś się pomylił i zaatakował niewłaściwe miejsce. Wszystkiego się dowie, kiedy wrócą jego ludzie.

Napił się. Wino było wyborne. Lekkie, orzeźwiające, miało dokładnie taką temperaturę, jaką mieć powinno. Właściwie nie byli to jego ludzie, pracowali dla niego, bo spełnił pożądane warunki. Czyje? Tego dokładnie sam nie wiedział, jego klient trzymał wszystko w ścisłej tajemnicy, ale biorąc pod uwagę, jakie miał do dyspozycji środki, musiał należeć do najpotężniejszych ludzi świata. Potencjalnych kandydatów można było policzyć na palcach jednej ręki.

Służąca zrozumiała wreszcie, że jej obecność nie jest już pożądana, i oddaliła się. Parleur chwilę za nią spoglądał, po czym znów napił się wina. Chłodny napój przypominał mu jedną z niedawnych konwersacji. Czemu nie, pomyślał. Może rozwinię się

z tego coś interesującego? Podszedł do biurka i sięgnął po przybory do pisania.

Zuzanna naląła sobie herbaty do filiżanki, uważając przy tym, aby nie zatrzęsa jej się ręka. Valerowi wciąż powtarzała, że już wszystko z nią w porządku, że uporała się ze skutkami magicznej, jak to określiła, burzy, ale nie była to tak do końca prawda. Po początkowym udarze przez trzy dni czuła się niczym poobijana, na szczęście powoli dochodziła do siebie. Uświadomiła sobie, że magiczna anomalia trwa nadal, tyle że ona zdołała się do tego przystosować. Nie świadomie, ale dzięki swoim magicznym zdolnościom. Niemniej solidnie ją to wyczerpywało. Zorientowała się, że Katrin uważnie obserwuje ją przy nalewaniu herbaty. Służącym niedomaganie ich pani z pewnością nie umknęło.

– Madame powinna odpoczywać – nie powstrzymała się od komentarza Katrin.

Zuzanna rozwinęła kolejny zwój dokumentów. Zawierały spis towarów, na które oczekiwali, wraz z cenami i dokumentami celnymi. Te już były opracowane. Czekwały jednak kolejne zwoje. Propozycje umów z innymi kupcami, poza Agressem Guicim. Handel powoli się rozkręcał, ale Zuzannie zależało, aby wszystko przebiegało gładko, w zgodzie z miejscowymi przepisami. Od książęcego pełnomocnika do spraw handlu, Varklumiego, już po raz trzeci przychodziło ponaglenie, aby w jak najkrótszym terminie maksymalnie rozszerzyć działalność. Dobra czekały naszykowane. Ale Varklumi był jedynie handlowcem, nie rozumiał, że pograniczne państewko nie może nagle zacząć zalewać obcych rynków powodzą najróżniejszych towarów. Z czasem owszem, jednak wszystko trzeba było najpierw odpowiednio przygotować. Jakim cudem nagle znalazła się w tej sytuacji? Sama nad sobą pokiwała głową z politowaniem.

– Nikt tego za mnie nie robi – powiedziała na głos, bardziej, żeby się nieco rozbudzić, niż próbując odpowiedzieć na uwagę Katrin.

Po kolejnej godzinie lektury dokumentów i spisywania uwag miała dość. Oprócz Katrin w pokoju siedziała Monika, gotowa zareagować na jakąkolwiek potrzebę swojej pani. Herbata była już zimna, ale smakowała Zuzannie. Lubiła herbatę. W trakcie swych podróży miała okazję popróbować jej wielu odmian, tutejsza należała do tych lepszych.

Sięgając po filiżankę, Zuzanna dostrzegła niewielką kopertę ze srebrną koroną w rogu, zaadresowaną do niej osobiście. Zaproszenie od markiza Parleura. Nawiązywał do ich konwersacji w trakcie balu i zapraszał ją na prezentację piwnic. Było oczywiste, że kryło się za tym coś więcej, ale chętnie by te piwnice zobaczyła tak czy inaczej. Może właśnie w nich spoczywał Kamień Zimna, którego poszukiwała. Nie było to jej główne zadanie, jednak w porównaniu z ostatnimi powinnościami brzmiało wręcz jak szansa na odrobinę rozrywki.

– Madame, ja bym do niego nie szła. A już na pewno nie bez eskorty, najlepiej kapitana Valera – powiedziała Monika.

Zuzanna spojrzała na nią. Dziewczyna odgadła jej myśli zaskakująco dokładnie.

– Kapitan nie może mi służyć za przyzwoitkę, pracuje dla mnie.

– No i to jest właśnie ten problem, madame, czyż nie?

Monika uśmiechnęła się nieco lubieżnie, jednak chwilę później, jakby sobie uświadomiła, że przeholowała, przybrała znów poważny wyraz twarzy. Ale i to była jedynie gra.

– No właśnie jest – zgodziła się z nią Zuzanna. – Jakąś obstawę jednak będę musiała wziąć.

Było nie do pomyślenia, aby miała markiza odwiedzić sama. Będzie się musiała zadowolić Katrin albo Moniką. Innego wyjścia nie widziała.

– Madame, ja bym do niego nie szła – powtórzyła Monika. – O markizie na mieście mówi się różne rzeczy.

Zuzanna dopiła herbatę w filiżance, dzbanek był już, niestety, próżny. Nie dała jednak poznać, że ma ochotę na więcej, nie chciała, aby Monika ruszyła do swoich obowiązków i zakończyła rozmowę.

– A to jakie? Interesują mnie wszystkie plotki, szczególnie jeśli miałabym go odwiedzić.

Zuzanna nie oszukiwała się. Młode dziewczyny, które godziły się na służbę u bogatych mężczyzn, prędzej czy później kończyły w ich łóżkach.

– Mówi się, że przed kilkoma laty, kiedy był młodszy, parę z jego służek zaginęło. Zniknęło.

Zuzanna popatrzyła na nią w zamyśleniu.

– Kiedy to się stało po raz ostatni?

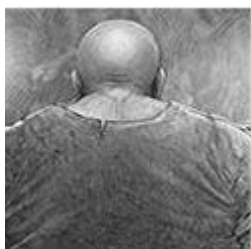
– Nie wiem. Przed laty, tak ludzie gadają.

Zuzanna przytaknęła, bardziej swoim myślom niż służącej. Markiz nie sprawiał wrażenia miłej osoby, sama rozmowa z nim powodowała, że czuła na skórze nieprzyjemne mrowienie. Będzie musiała na niego uważać, ale tych piwnic była ciekawa. I tego, co w nich ukrywa.

Napisała odpowiedź na zaproszenie, umieściła w kopercie, rozgrzała wosk i zapieczętowała.

– Zarządź, proszę, odesłanie – przykazała Monice.

Nieoczekiwana zmiana



Janick potrzebował kilku dni, aby się otrząsnąć z najgorszych skutków udaru, ale sprawy wciąż nie wróciły do normy. Czuł się wewnętrznie wstrząśnięty, miał nadal problemy ze skupieniem się na codziennych obowiązkach i kontaktach z innymi ludźmi. Jednak zdołał wrócić do pracy nad tłumaczeniem starych ksiąg, nawet jeśli miał wrażenie, że idzie mu to wolniej i trudniej niż zazwyczaj. Znowu przejrzał wszystkie teksty, które posiadał, dotyczące Akroove, istoty, którą w ramach próby powtórzenia po niemal czterystu latach magicznego eksperymentu umieścili w podziemiach. Udało mu się znaleźć nową notatkę, którą wcześniej przeoczył, jako że podczas oprawiania księgi została umieszczona w innym miejscu, niż wskazywał na to indeks. Przyjrzał się reszcie księgi, czy przypadkiem nie znajdzie jeszcze jakichś fragmentów znajdujących się w niewłaściwych miejscach, jednak na tym jego szczęście się skończyło. Z nowo odnalezionego tekstu dowiedział się, że aktywacja, czy też przebudzenie – nie był pewien, jak termin prawidłowo przełożyć – następowało dopiero po kilku tygodniach inkubacji. To go niepokoiło i potwierdzało jego podejrzenia. Udary, na które cierpieli wszyscy jego ludzie, mogły być spowodowane tym, że broń zaczęła W JAKIŚ SPOSÓB działać. Potrzebował więcej informacji, jednak wszystko, co miał do dyspozycji, już przestudiował. A na nowe źródła wiedzy potrzeba było pieniędzy. Starodruki, artefakty, klejnoty, praktycznie wszystko, co pochodziło z odległej przeszłości, było ostatnio w cenie.

Pieniądze... Przestał rozmyślać o zaklęciach i wrócił do otrzymanej niedawno wiadomości. Czekało go spotkanie z nieznanym, który miał mu dostarczyć zapłatę za odkryte na nowo zaklęcie. O ile to rzeczywiście było zaklęcie. Zakrawało to na

znaczną lekkomyślność z jego strony. Kiedy sponsor klanu nie wykazał zainteresowania odkrytą procedurą, poprzez sieć sprzedawców, poszukiwaczy artefaktów, ale i zwykłych łotrzyków wysłał przed rokiem ofertę z określoną ceną. Po jakimś czasie pojawił się anonimowy klient oferujący niewielką zaliczkę oraz pełną zapłatę, zależną od wyników. Pięćset złotych piechotą nie chodzi. Już sam fakt, że klient zdołał odnaleźć Janicka poprzez sieć handlarzy, świadczył o tym, że zna się na sprawach związanych z magią.

I teraz właśnie nieznajomy znów się odezwał. Czemu jednak miałby płacić za coś, co już miał? Janick przełknął nerwowo ślinę. Wyczuł, że Byvnet szykuje się, by zapukać do drzwi, dobre kilka uderzeń serca, zanim stary sługa uniósł rękę. W ostatnich dniach telepatyczna więź między nimi umocniła się.

Szczęknęła klamka, zachwiały się płomienie świec.

Janick przyjrzał się wysokiemu zabójcy właściwie po raz pierwszy. Był z pewnością od niego starszy, powyżej czterdziestki. Sroga twarz poznaczona mnóstwem zmarszczek. Oczy bez wyrazu, niedające się odczytać, nieskupiające na niczym konkretnym. Na sobie miał zwykły kaftan z grubego sukna i pasujące do niego spodnie. Na pierwszy rzut oka rybak, robotnik z doków. Janick jednak czasem stykał się z podobnymi ludźmi i dobrze wiedział, z kim ma do czynienia. Pracę takich jak on stanowiły układy, śledzenie i przemoc. Jego dowódca przedstawił go jako użytecznego bez ograniczeń, to oznaczało, że nie był niezastąpiony. Janick miał wrażenie, że mógłby na nim polegać, jeśli tylko zdoła się z nim jakoś dogadać. Inna sprawa, że obecnie był do tego zmuszony. Zawarł z tym człowiekiem prywatny układ, który musiał pozostać zatajony również przed innymi członkami klanu. Może właśnie przede wszystkim przed nimi.

– Wyjdziemy tyłem – powiedział, nie wdając się w pozdrowienia.
Zabójca skinął głową.

– A ty za nami zamknij. Mam własny klucz – zwrócił się Janick do Byvneta. – Jesteś przygotowany? – zapytał swego towarzysza,

bardziej żeby dodać sobie odwagi, niż żeby wykazać swą zwierzchność.

Nazywa się Gruman, przypomniał sobie, albo przynajmniej tak się przedstawił.

– Dokładnie podług waszych informacji i instrukcji – padła odpowiedź.

Gdyby tamten nie utrzymywał tak nieprzeniknionej twarzy, Janick pomyślałby, że się z niego naśmiewa. Informacji przekazał Grumanowi żałośnie mało, bo sam niewiele wiedział. Jedynie tyle, że musi wybrać miejsce spotkania, a później eskortę.

– No to chodźmy – powiedział z większą niepewnością, niż zamierzał.

Ruszyli w przedwieczorne uliczki, latarnicy właśnie wyszli na miasto. Janick starał się wyglądać i zachowywać obojętnie, ale źle znosił obecność ludzi wokół siebie. Mógł być za to odpowiedzialny udar, a może eliksiry, których czasem używał dla polepszenia koncentracji. Narkotyki, poprawił się w myślach, kogo jak kogo, ale siebie samego nie ma co okłamywać.

– Ilu ludzi będzie obecnych na spotkaniu? – zapytał Gruman, nawet nie spoglądając na wielkiego mistrza.

Natomiast Janick badawczo mu się przyjrzał. Długie, rozszerzające się rękawy kaftana sięgały poza koniuszki palców, były też u dołu rozcięte po wewnętrznej stronie.

– Nie gapcie się tak na mnie – zbeształ go Gruman.

Janick pomyślał, że zabójca trzyma w rękach noże albo sztylety z ostrzami skierowanymi ku górze. Znów uświadomił sobie, że ryzykuje i że może go to kosztować życie. Na ulicy wciąż panowała duchota, jednak zatrzęsły nim dreszcze. Miał wrażenie, że aż zaklekotały mu kości. Nie miał dobrych doświadczeń z przemocą fizyczną.

– Ilu? – powtórzył pytanie Gruman.

– Myślę, że jeden. Zawsze się ze mną kontaktował jeden człowiek.

To, że „zawsze” oznaczało jedno spotkanie i dwa listy, których autor używał liczby pojedynczej, zatrzymał już dla siebie.

– Zakładam, że strona przeciwna dysponuje znaczącymi środkami, że nie chodzi o jedną osobę – skomentował zabójca.

Janick nabrał powietrza, by odpowiedzieć, jednak Gruman nie dał mu czasu.

– Przejdźmy na drugą stronę.

Gdy tylko to uczynili, z restauracji, koło której drzwi mieli właśnie przechodzić, na ulicę wylała się grupa rozozoconych gości.

– Owszem, znacznymi środkami – przyznał Janick.

Gruman rzucił mu krótkie spojrzenie, po czym znów skoncentrował się na obserwacji okolicy.

– Z miejsca, które wybrałem na spotkanie, można uciec czterema drogami. Drzwiami, którymi wejdziemy, przez kuchnię do przyległej uliczki, potem z drugiego piętra, z pokoju po prawej stronie korytarza. Wprawdzie trzeba się stamtąd wydostać po dachu, ale jest on równy i przystosowany do chodzenia. Ostatnia droga wiedzie z piwnicy, do której prowadzą schody w pomieszczeniu za kuchnią. Tego ostatniego przejścia tam początkowo nie było, wykonałem je sam. Jest jednak najmniej wygodne i najwolniejsze. Gdyby coś poszło nie tak, będę was osłaniał i dam znać, którą z dróg wybrać.

– Stąd te noże? – zapytał cicho Janick.

Już mu nie było zimno. Pływał we własnym pocie. Strach, narkotyki, udar? Bez znaczenia. Byle utrzymać się na nogach, reszta była bez znaczenia, upewniał sam siebie.

– Owszem. Nasza jedyna przewaga – przytaknął Gruman. – Jesteśmy prawie na miejscu. Pod Dwoma Różami. Macie zarezerwowany stolik na nazwisko Grouche. Ja wejdę do środka przez kuchnię.

Janick chciał go zapytać, jak zamierza to zrobić, ale tamten już znikł. Osamotniony czuł się jeszcze mniej pewnie niż przed chwilą, niemalże uginały się pod nim nogi. W końcu jednak udało mu się dotrzeć do właściwego stolika i usiąść. Tutaj wreszcie trochę się uspokoił. Myśl, myśl, napominał siebie. Całą tę grę zaczął z powodu magii, to było najważniejsze. To mu pomogło. Złożył zamówienie, nieprzyjemnie zaskoczony tutejszymi cenami. To były wyjątkowo kosztowne dwie róże. Nagle zdał sobie sprawę z absurdu sytuacji, to

go uspokoiło jeszcze bardziej. Liczył na tysiące, stawiał na szali własne życie, a żal mu było wydać parę srebrniaków...

Napił się wina. Zazwyczaj przyziemne przyjemności go nie interesowały, ale to wino było naprawdę wyjątkowej jakości. Zaczął przyglądać się innym gościom, próbując przy tym odgadnąć, który z nich może być jego kontaktem, posłańcem, kurierem. O ile to wszystko nie był jakiś olbrzymi podstęp, aby wywabić go z bezpiecznej siedziby i zabić.

Z zaskoczeniem dostrzegł Grumana. Siedział przy sąsiednim stole w przeszywanym kaftanie i białej koszuli z koronkowym kołnierzem wedle najnowszej mody. Jedynie kaftan miał nieco przydługie rękawy.

– Panie? Zakładam, że miejsce przy waszym stole jest przeznaczone dla mnie. Wolno mi będzie się przysiąść?

Janick nawet nie zarejestrował, kiedy pojawił się przy nim dobrze ubrany, przysadzisty mężczyzna. W ręce trzymał skórzaną torbę, która mu trochę nie pasowała.

– Oczywiście – zgodził się zaskoczony Janick.

Mężczyzna położył torbę na stole.

– Cieszę się, że udało nam się zorganizować spotkanie bez żadnych trudności.

Usiadł, prawie natychmiast pojawił się kelner. Mężczyzna zamówił szklaneczkę miejscowego specjału, którym był koktajl z soku pomarańczowego z grappą, pieprzem, solą i przyprawami.

– Czyż to nie przyjemne miejsce? Do naszego spotkania wręcz idealne.

– Owszem – potwierdził Janick, próbując nie zerkać na Grumana.

Napił się wina, w tym samym czasie pojawił się kelner z zamówieniem gościa. Mężczyzna spróbował napitku i pokiwał głową z uznaniem.

– I to mi się w tym mieście podoba. Wyjątkowej jakości jedzenie i picie. Człowiek z łatwością mógłby do tego przywyknąć.

Janick nie wiedział, co odpowiedzieć. Znów napił się wina i obserwował w milczeniu, jak jego towarzysz popija koktajl.

– Mam wam przekazać, że mój klient jest zadowolony z otrzymanego towaru. Bardzo zadowolony – podkreślił tamten raz jeszcze. – I cieszy się na dalszą współpracę.

Fałszywy handlarz – Janick ani przez chwilę nie wierzył, że to w istocie handlarz – wychylił resztę koktajlu.

– Dobrze, naprawdę wyśmienite. Zapłaćcie za mnie, proszę, myślę, że was teraz stać. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Otarł usta serwetką, którą starannie odłożył na stół. Obrócił się z uśmiechem do Grumana, któremu ukazał puste ręce, po czym bez słowa, z nieoczekiwaną szybkością wstał i chwilę później już go nie było. Jakby nigdy w ogóle nie istniał, pomyślał Janick. Bezwiednie dopił wino i sięgnął po torbę, aby ją do siebie przyciągnąć. Z zaskoczeniem zauważył, że nie daje sobie z tym rady. Poszukał wzrokiem Grumana.

– Wy tutaj? Zupełnie was nie zauważyłem! – zareagował zabójca z uradowanym wyrazem twarzy.

Ze szklanką w dłoni wstał od swojego stolika i przysiadł się do czarodzieja, wskazując przy tym kelnerowi, że będzie teraz jadł przy tym stole.

– Zjemy kolację, zupełnie normalnie. Jeśli przygotowali na nas zasadzkę, sidła są już zastawione i tak. Przynajmniej czekanie trochę ich otępi – wyjaśnił Gruman konwersacyjnym tonem.

Chwilę potem zaserwowano im posiłek. Janick musiał się zmuszać do jedzenia i miał problem z przełknięciem każdego kęsa. Gruman, w przeciwieństwie do niego, korzystał z okazji na całego.

– Torbę wy będziecie musieli nieść – powiedział, kiedy już skończyli posiłek i zapłacili rachunek. – Muszę mieć wolne ręce, żeby móc was ochraniać. O ile będzie taka potrzeba. Choć jak do tej pory niczego podejrzanego nie zauważyłem. Zapewne zostawili tu obserwatora, żeby śledził nasze kroki. Dobra, idziemy – zakomenderował cicho. – Ja pierwszy, wy za mną. Było bardzo miło z wami wieczerzać, musimy to jeszcze kiedyś powtórzyć – ostatnie zdanie powiedział głośniej.

Wyniesienie torby z Dwóch Róż wydawało się niemalże ponad siły Janicka, każdy krok na ulicy był cierpieniem. Gruman pozwolił,

by czarodziej sam się siłował z ciężkim bagażem aż do miejsca, w którym najęli lektykę, i również później, przy każdej przesiadce. Dla pewności nie wracali najkrótszą drogą, a lektyki zmieniali jeszcze dwa razy. Dopiero kiedy znaleźli się wewnątrz ogrodzenia posiadłości, najwyraźniej uznał, że możliwość ataku jest znikoma, i przejął torbę. Musiał przyznać, że była diabelsko ciężka, aż się zdziwił, że Janick zdołał ją przytaszczyć aż tutaj. Korzystając z tylnego wejścia, nieniepokojeni dostali się z powrotem do pracowni czarodzieja.

– Wcześniej mieliście strażę, dziś nie – zauważył Gruman.

Janick zwał się na fotel. Ciężko oddychał i dygotał z wysiłku.

– Na dziś wszystkich zwolniłem. Powiedziałem im, że po udarze wszyscy musimy się wreszcie pozbierać.

Gruman skinął głową i przeciągnął się. Janick sięgnął po karafkę z wodą, z szuflady wyciągnął dwa puzderka i z każdego rozpuścił w wodzie po łyżeczce proszku.

– Powinienem to odważyć, ale muszę, muszę... dojść do siebie – mamrotał pod nosem.

Zabójca nic nie powiedział, bacznie go tylko obserwował. Miał wrażenie, że czarodziej zaczyna mieć problemy z substancjami, które przygotowuje i spożywa, że zaczyna być od nich uzależniony. Janick wychylił zawartość karafki i przez chwilę siedział tylko, oddychając ciężko.

– Już w porządku, już jestem spokojny – powiedział w końcu.

Rzeczywiście był. Gruman nie dostrzegwał w nim żadnych oznak strachu czy zmęczenia.

– Bardzo użyteczny koktajl. Uspokaja, wspomaga koncentrację, myślenie na chłodno – wyjaśnił Janick bez emocji.

Rzadko zdarzało mu się zażywać tak dużą dawkę. Może przy okazji audiencji u Varatchiego, kiedy nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze oznaki niepewności.

– No to zobaczymy, cośmy tu przytargali. – Wstał z fotela i podszedł do skórzanej torby.

– Nie chcecie, żebym sobie poszedł? – zapytał Gruman.

Uświadomił sobie, że właściwie wolałby odejść, że wcale nie chce wiedzieć, co jest w środku. Po raz pierwszy przyznał przed sobą samym, że chciałby z tej całej gry, z całego swojego obecnego życia znaleźć jakieś wyjście, zniknąć.

– Nie – odparł Janick zamyślony. – Ryzykowaliśmy obaj, chcę, żebyście wiedzieli po co.

To jednak nie był główny powód. Chciał, aby zabójca mu zaufał, chciał też wzbudzić jego osobiste zainteresowanie. Spożyta psychoaktywna mikstura sprawiała, że jego własne pragnienia, opinie, a nawet problemy stawały się jaśniejsze, łatwiejsze do ogarnięcia. Zastanawiał się, czy receptura, którą sam zdołał odkryć, nie zawiera dodatkowego ładunku magicznego. Było to możliwe, choć pewności nie miał.

Janick zaczął powoli rozsznurowywać torbę. Z każdym centymetrem, gdy torba się rozwierała, wewnętrzne parcie wydawało się rosnąć. Zanim dotarł do jednej trzeciej, na podłogę zaczęły się wysypywać monety. Janick przez chwilę patrzył w milczeniu na strumień złota. W innej sytuacji pewnie byłby skonsternowany, teraz tylko rozmyślał na chłodno.

– Wygląda na to, że dostałem całą zapłatę – skonstatował wreszcie, po czym rozsupłał dalej rzemień, by otworzyć torbę jeszcze szerzej.

– A ileście zażądali? – spytał beznamiętnie Gruman.

Czarodziej spojrział na niego.

– Sto tysięcy złotych – wyjawiał.

Nie było sensu kłamać. Ogromu bogactwa nie dało się już ukryć, a gdyby Gruman chciał go zabić, zrobiłby to i dla dziesięciu tysięcy. Janick na taką ewentualność się przygotował. Nie był co prawda pewien, na ile dobrze, ale dawał sobie szanse pół na pół. Gruman stał jednak tylko zamyślony.

– Dwieście złotych to jakiś kilogram. Sto tysięcy to by było tak z pół tony. Tyle byście raczej nie unieśli. Lepiej otwórzcie tę torbę do końca.

Janick posłuchał. Rzeczywiście, chwilę potem miejsce wysypujących się złociszy zajęły monety z osadzonym pośrodku

małym szmaragdem. Cesarskie dziesiątki. Nawet pod wpływem narkotyków odczuwał osłupienie ogromem przelewającego się przed nim bogactwa.

– Sprawdźcie dalej, nawet w samych dziesiątkach to i tak byłoby kilkaset kilo, a przecież większość do tej pory to były zwykłe złociaki.

Janick i teraz posłuchał. Zaczął wygrzebywać pozostałe w torbie monety, aż natrafił na skórzaną sakwę. Ostrożnie ją otworzył. Była pełna szlifowanych na cesarską modłę szmaragdów.

– No to macie tu większą część swojej zapłaty – wyjaśnił Gruman.

Janick chwilę nad czymś rozmyślał.

– To czemu nie dostałem całości w szmaragdach? – zastanowił się na głos.

– Powiedziałbym, że z czystej złośliwości – odpowiedział zabójca całkiem poważnie.

– A dlaczego dostałem całą kwotę? Towar już mieli, nie musieli mi płacić nic więcej... – zastanawiał się Janick dalej.

I po chwili sam sobie odpowiedział:

– Żebym chciał współpracować w przyszłości.

– Pomniejsze szlacheckie państwko można mieć już za trzydzieści tysięcy – zauważył Gruman. – Pójdę już, moje zadanie wykonane.

– Weźcie swoją część – powiedział Janick, wskazując na kupę złota leżącą na podłodze. – Zasłużyliście sobie.

Gruman nabrał garść dziesięciozłotówek i wcisnął je do kieszeni.

– Dobranoc. Wiem, którędy wyjść – pożegnał się.

Chciał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, bogactwo leżące na podłodze było niewyobrażalne. Całe rody ginęły za mniejsze sumy.

– Poczekajcie – zatrzymał go Janick – to za mało.

Sięgnął do sakwy i podał zabójcy garść drogich kamieni. Gruman zastanawiał się tylko chwilę. Dobrze czarodzieja rozumiał. Tamten chciał kupić jego milczenie. Teraz żaden z nich nie zdradzi, jak to się stało, że Janick nagle został bogaczem. On zresztą też, bo za zapłatę, którą właśnie otrzymał, mógłby kupić farmę albo dwie. Albo i jeszcze coś do tego.

– Nasza poprzednia umowa wciąż obowiązuje – przypomniał czarodziej.

Gruman skinął głową i ruszył do wyjścia. Drzwi za sobą zamknął równie cicho, jak je otworzył. Nie zdołał sobie wyobrazić, za co ktokolwiek byłby skłonny zapłacić sto tysięcy. Nawet nie chciał zgadywać. Wiedział tylko, że ludzi do tego zdolnych było na świecie niewiele. I należeli oni do tych, którym stawanie na drodze oznaczało pewną śmierć.

Apetyt na ludzi



Rzecz ostrożnie sunęła w górę. Mimo że znała już mnóstwo najrozmaitszych wzorów, od drobnego robactwa poprzez drapieżne krocionogi aż po gryzonie i wielkie psy, mimo że miała już do czynienia ze złożonymi wzorami ludzkimi, pozostawała w formie grubego na dłoń kobierca przemieszczającego się ruchem robaczkowym na tysiącach małych nibynózek. Przyjęła tę formę, ponieważ uznała, iż jest ona najbezpieczniejsza i zapewnia najlepsze szanse przetrwania. Wprawdzie traciła w niej część swojej inteligencji i zdolność tworzenia co bardziej skomplikowanych form, jednak uznawała, że bezpieczeństwo jest ważniejsze. Była w tej chwili nieco inteligentniejsza od szczura lub psa, z czego zdawała sobie sprawę dzięki nagromadzonym do tej pory wspomnieniom. Szczególnie tego, czego była w stanie dokonać w bardziej złożonych formach.

Instynktownie wyczuwała jeszcze jedną rzecz – od czasu, kiedy niedawno zetknęła się z tymi najbardziej złożonymi wzorami, wzorami ludzkimi, coś się zmieniło. Nie zdołała ich wprawdzie całkowicie ogarnąć, nie potrafiła ich jeszcze kopiować, ponieważ jedno spotkanie nie wystarczyło na ich kompletne pojęcie, jednak zdarzenie to rozpoczęło w niej nowy proces. Od tamtego momentu każdym gramem swego trzystukilowego ciała zaczęła bezpośrednią interakcję z mocą. Już samą swoją obecnością wpływała na magię, na jej przepływ wokół. Bez żadnego udziału świadomości wchłaniała ją i spożytkowywała na wewnętrzną samoorganizację, na wyniesienie siebie na wyższy poziom świadomości, który pozwalał jej na dokładniejsze i łatwiejsze kopiowanie oraz używanie wzorów. Musiała się rozrosnąć, potrzebowała więcej wzorów i potrzebowała ich bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Właśnie dlatego postanowiła znów wyruszyć na łowy. Wypęzła z dolnych poziomów kanalizacji ku górze, unikając przy tym promieni słonecznych. Jej poprzednie trzy próby pokrzyżował właśnie wysuszający słoneczny żar.

Powietrze wyraźnie się zmieniło, straciło na wilgotności, stało się cieplejsze. To jednak dawało się wytrzymać, nie zagrażało jej egzystencji. Rzecz zaczęła się szybko rozpełzać po całej powierzchni piwnicy, do której zdołała już przemieścić większość swego ciała. Wtedy dostrzegła wiodące ku górze schody. Poruszanie się po nich było o wiele łatwiejsze niż pełzanie po nieomal pionowych ścianach. W chwili kiedy swymi prymitywnymi oczami dostrzegła światło obramowujące drzwi tuż nad nią, usłyszała odgłosy czyjejś aktywności. Czoło kobierca zatrzymało się, jednak dalsze części wciąż pełzły ku górze, aż schody zaskrzypiały pod nagromadzoną na nich wagą. Rzecz uświadomiła sobie swój błąd i zatrzymała się całkowicie.



Parrot
Zoo

Na górze ponad nią znajdowali się ludzie. Miała na ludzi wielki apetyt, pożądała ich, ich wzorów, chciała ich kopiować i naśladować. Z szarozielonej masy wybrzuszyła się wypukłość, która zamieniła się w głowę szczura, następnie psa. Głowy ludzkiej Rzecz jednak nie zdołała już wytworzyć i wróciła do swej oryginalnej formy. Instynkty wszystkich wzorów, które już w sobie posiadała, mówiły jej, że próba dostania się do pomieszczenia na górze niesie ze sobą ogromne niebezpieczeństwo, że szanse na sukces są praktycznie żadne. Na razie była w stanie polować jedynie na pojedyncze sztuki. Pojedyncze sztuki oddzielone od stada, odpowiedziało jej jedno ze wspomnień. Nie była pewna, skąd pochodziło. Poskromiła swą żądzę i czekała. Czekanie zazwyczaj się opłacało. Tego zdążyła się nauczyć już sama.

Głaz w ruchu



Jeszcze jednego. – Omar dopełnił mi szklanę gorzałką.

Przy stole siedziało z nami trzech osiłków Łysielca. Może nie ufali mi znów aż tak bardzo, a może przez przypadek. Było mi wszystko jedno.

– Jasne, gorzałki nigdy dość – przytaknąłem, ale zanim złapałem za własne szkło, polałem wszystkim pozostałym. – Przyzwoita – oceniłem.

Chłopaki Łysielca mieli się jak pączki w maśle. W swoim życiu wypilem morze dziadowskich napitków, ale tutejsze były całkiem zacne. Nie zdążyli porządnie odstawić szklanek, już im polewałem następną kolejkę. Chcieli mnie upić. Chcieli sprawdzić, ile znieosę i czy może nie da się ze mnie czegoś przy tym wyciągnąć. Byli niczym szczeniaki rzucające się na aligatora. Nie mieli za sobą mojej przeszłości.

– Dziś mi jakoś wyjątkowo smakuje. – Wychyliłem swoją porcję na raz.

Od momentu, kiedy zobaczyłem w akcji Monstrum, czułem się wręcz wspaniale. Świat wyglądał normalnie, ludzie mieli twarze, jedzenie i picie miało zapach i smak. Po tym, co przeżyłem w ostatnich dniach, mały cud. Tym większy, że po raz pierwszy od dłuższego czasu byłem wręcz głodny.

Machnąłem na barmana, żeby mi donieśli coś z kuchni. Tylko tutaj to była już moja trzecia porcja. Po drodze ze spotkania z Valerem pochłonałem cztery. Czułem się wręcz nienasycony. Było w tym coś nienaturalnego, ale chwilowo cieszyłem się z tego, że coś mi znowu smakuje.

Zanim zdążyli się zdziwić, ile tego w siebie wlewam, połałem im znowu. Nie dali się prosić. Jeden po drugim wypili i dali mi spokój. Zabrałem się za barani udziec i wreszcie miałem czas pomyśleć. Valer i jego ludzie odwalili kawał dobrej roboty, w dość krótkim czasie zdołali zebrać całkiem sporo informacji o miejscowym światku przestępczym. Mimo chaosu, który wywołałem, sytuacja zaczynała się dość szybko stabilizować. I to właśnie Łysielec był jednym z tych, którzy zdołali ten moment wykorzystać. Z małej ryby stawał się coraz grubszy. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, a on zamierzał się rozrosnąć.

Omar chciał mnie o coś spytać, ale wypita gorzałka go spowalniała, widziałem, jak z trudem próbuje dobierać wyrazy.

– Jasne, brachu. – Nie dałem mu dojść do słowa i znów napełniłem jego szklanekę, po czym zwróciłem się do pozostałych: – A wy co? Macie już dość?

Nie mieli. Chłopaki jak oni, chłopaki jak ja nigdy nie mają dość. Rozlałem resztkę z butelki do naszych szklanek i patrzyłem dalej, jak alkohol szklił im oczy i spowalniał myśli. Omar machnął na barmana, żeby przyniósł kolejną flaszkę. Z tej strony nie groziło mi już nic. Napiłem się z nimi i wróciłem myślami do Łysielca.

Gdyby się w swej ekspansji zatrzymał, ci, na których terytoria niedawno wszedł, natychmiast by go zniszczyli. Takie już były zasady w każdym właściwie biznesie.

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich elegancko ubrany mężczyzna o wypielęgnowanej bródce i włosach lśniących od pomady. Nikogo takiego bym tu nie oczekiwał. Ze swoją bladą twarzą pasował raczej do jakiejś pracowni albo urzędu. Jego jednak wnętrze gospody, w której wszyscy obecni należeli do gangu, nie zaskakiwało. Obróciło się ku niemu kilka twarzy, jednak nikt się nie podniósł, by wytrzepać z przybysza kilka drobniaków. Zatrzymała ich pełna pewności siebie postawa i mina. Zachowywał się wręcz, jakby w podobnych mordowniach spędzał większość swojego czasu.

Rażno podszedł do baru.

– Chcę pomówić z panem Pluskiem.

Łysielec nazywa się Plusk, przypomniało mi się.

– A wy co za jeden? Czemu by szef miał z wami gadać? – Karczmarz odstawił szklanę, którą wycierał, i stał wyczekująco ze ścierką w ręce.

Pod barem miał ukrytą okutą pałę, która stanowiła pierwszą linię obrony w przypadku odwiedzin naprawdę niepożądanych gości. Omarowi nawet w jego zamroczeniu zaczęło świtać, że dzieje się coś, co wymyka się normalnemu obrotowi spraw. Wstał od stołu i zaczął się kolebać w stronę baru. Szedł na szeroko rozstawionych nogach, ale poza tym nie było po nim za bardzo widać ilości wypitego alkoholu.

– Mogę wam w czymś pomóc? – zapytał.

Po głosie jednak było słyhać. Położył jedną rękę na barze, drugą trzymał luźno zwieszoną wzdłuż ciała. Znów mnie zadziwiło, jak długie ma te łapska. Jakby ktoś je wziął z dużo większego chłopa i doszył do jego ciała.

– Chcę porozmawiać z panem Pluskiem – powtórzył gość. – Zorientowałem się, że zaczął się troszczyć o bezpieczeństwo na większości ulic w tej okolicy. Z tej niewątpliwie lukratywnej działalności wynikają jednak i inne powinności.

Niewątpliwie lukratywnej działalności... Brzmiał jak ktoś, kto bardzo się stara sprawiać wrażenie, że należy do wyższych warstw, ale nie do końca mu to wychodzi. Omar podrapał się po nosie. Innemu zostałyby na twarzy jedynie chrząstka, jednak jego kinol jakoś to zniósł.

– Zamówcie sobie coś na nasz rachunek – zaproponował elegantowi. – Ja za moment wrócę.

Już wiedziałem, o co tu chodziło. Przypomniał mi się ten gość, który kilka dni temu zainkasował wprost od Omara dziesięć złotych. Wyglądało na to, że ten tutaj był z tej samej branży. Gangsterzy obrabiają zwyczajnych ludzi, ściągają z nich haracz, po czym sami muszą płacić komu innemu. Dziwne. Za co? Dlaczego? Omar wrócił po chwili i zaprowadził gościa do boksu, z którego Plusk zarządzał swoim interesem.

Szum na sali wrócił do normalnego poziomu. Przybysz szedł zobaczyć się z szefem, wszystko było w normie. Moi

współbiesiadnicy mieli już naprawdę dość, nie musiałem przed nimi niczego udawać. Rozmowa na podwyższeniu do najspokojniejszych nie należała, słyszałem, jak Plusk się wścieka, a Omar próbuje go uspokajać. Wstałem od stołu i zamówiłem przy barze piwo. Stąd było lepiej słycać. W chwili kiedy dostałem kufel do ręki, gość był już na wylocie. Zważywszy na to, jak burzliwie przebiegała rozmowa, wyglądał na zadziwiająco spokojnego. Omar dołączył do mnie i wspólnie patrzyliśmy, jak za tamtym zamykają się drzwi.

– Kto to był? – zapytałem.

– Nie twoje zmartwienie – zbył mnie. – Idziemy się dziś trochę rozruszać. Cremax się sypie, czas wziąć, co się da.

– Nie mógłbym się nim zająć? – Wskazałem ku drzwiom, za którymi zniknął nieznajomy.

– W żadnym wypadku! – zjeżył się Omar. – Nie rób nic bez rozkazu!

Przez to, ile wypił, mniej nad sobą panowałem, a ja widziałem, że to drażliwy temat. Ciekawe. Wzruszyłem ramionami i zamyśliłem się na chwilę.

– Strasznie się najeżyłeś przez jednego gościa – zauważyłem i upiłem piwa. – Mogę się nim zająć, dla przyjaciół gratis.

Omar przyglądał mi się, jakby docierało do niego, że źle mnie początkowo ocenił.

– Mówiłeś, że jesteś kurierem – przypomniał.

– Również. Ale kasę zbierać też potrafię. A ten facet – znów wskazałem na drzwi – jakoś mi się nie spodobał.

– Mnie też nie, ale wszystko w swoim czasie. Nie wszystko naraz. Trzymajmy się planu. Najpierw Cremax, a potem się zobaczy. Rozumiesz? Ten gość to jest inna historia, nie wolno ci go tknąć!

Zależało mu na tym, żeby to do mnie dotarło. Posłusznie skinąłem głową i napiłem się.

– Muszę coś jeszcze załatwić. Wrócę przed zmierzchem, może być?

Omar tylko skinął głową. Wlałem w siebie resztkę piwa i wyszedłem na ulicę. Elegant był już, oczywiście, poza zasięgiem wzroku, ale zakładałem, że po tym, jak się samojeden wybrał do

jaskini lwa, będzie musiał uspokoić nerwy. Eleganckie lokale leżały bardziej w stronę centrum. Wystarczyło minąć dwa skrzyżowania i już znalazłem pierwszą wystawniejszą restaurację. Zajrzałem do środka, ale drogę zagroził mi wykidajło. Chował się przed palącym słońcem tuż za drzwiami.

– Dalej nie wolno – wyjaśnił i dla podkreślenia wagi swoich słów oparł mi rękę na piersi.

Właściwie to próbowałem. Bez namysłu złapałem jego dłoń i wykręciłem w górę, równocześnie łapiąc go pod łokieć. Nie pozostało mu nic innego, niż dać mi się rozejrzeć. Eleganta w środku nie było. Pchnąłem wykidajkę na ścianę. Nie za mocno, ale akurat na tyle, żeby się miał o co martwić, zamiast myśleć o wyskoczeniu za mną na ulicę.

Wielkich szans sobie nie dawałem. Centrum miasta roило się od najrozmaitszych lokali oferujących jedzenie i picie i błąd przystojniak mógł zająć do któregoś z nich. Albo mógł skrócić już na pierwszym skrzyżowaniu i oddalić się w zupełnie innym kierunku. Mimo to kontynuowałem poszukiwania i w czwartej restauracji rzeczywiście go wypatrzyłem. Dokładnie tak jak przypuszczałem, walił właśnie lufę. Podwójną.

Byłem z siebie całkiem zadowolony, choć równocześnie zaskoczony, że go rzeczywiście znalazłem. Wyszedłem z powrotem na ulicę, zanim ktokolwiek zwrócił na mnie uwagę, znalazłem kawałek cienia i z garścią pełną szaszłyków ze smażonych krewetek czekałem, aż Elegant wynurzy się z przytulnego chłodku restauracji. Palący sos szedł w parze z upałem i bardzo mi to odpowiadało. Zajęło trzy szaszłyki, zanim się wreszcie pojawił. Krokiem zadowolonego, pewnego, bogatego człowieka ruszył przed siebie w spacerowym tempie. Śledziłem go. Stopniowo opuszczaliśmy centrum i wkraczaliśmy w dzielnicę, w której panował największy ruch. Nie spieszył się. Wyglądało na to, że przechadzką zabija czas. Aby wmieszać się w tłum, zatrzymywałem się co kilka kroków i opychałem coraz to innymi przekąskami, od suszonych rybek po smażone ośmiornice. Zastanawiałem się, dokąd Elegant właściwie zmierza, ponieważ obchodziliśmy właśnie centrum okalającymi je

dzielnicami. Wyglądało na to, że będę się mógł wreszcie przekonać, bo raźniejszym krokiem skierował się w pewnym momencie z powrotem ku tym bardziej luksusowym częściom miasta, kiedy nagle zderzył się z nim pędzący dokądś posłaniec. Nic się nie stało, młodzieniec przeprosił go i pobiegł dalej za swoimi sprawami. Elegant jednak wyraźnie się zaniepokoił, obrócił się w miejscu i ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę dzielnicy rezydencyjnej na obrzeżu miasta. Czemu nie? Łatwiej się tam trafi jakiś zaciszny kąt, w którym będę mógł z nim pogadać. Spieszył się i odniosłem wrażenie, że o mnie wiedział.

W uliczce, na której roztaczała się woń morza, ale nie słychać było jeszcze przyboju, Elegant bez zastanowienia skręcił w dwuskrzydłową bramę wiodącą wprost do domu. Była to brama wjazdowa, prowadząca na wewnętrzny dziedziniec, jak to tutaj było w zwyczaju. Śledziłem go bez większego namysłu, przeszedłem jakieś dziesięć kroków w cieniu pod słomianym dachem i dalej, na dziedziniec. Rozwieszane do suszenia sieci, drewno do napraw łodzi, jakieś płachty. Elegant zatrzymał się mniej więcej pośrodku i obrócił, aby mnie dobrze widzieć. Wiedział o mnie. Nie jestem w śledzeniu tak dobry, jak miałem nadzieję. Rzucił mi znudzone spojrzenie, po czym popatrzył w lewo i w prawo.

– Porządnie go obijcie, chcę się dowiedzieć, co to za jeden, dla kogo pracuje. Potem nakarmcie ryby.

Wyglądało na to, że byłem nieuważny i dałem się wciągnąć w pułapkę. Cały ja. Rozumny człowiek natychmiast wziąłby nogi za pas. Nieco mniej rozumny zostałby w bramie, aby go mogli zaatakować tylko z jednego kierunku. Ja wkroczyłem na dziedziniec. Chciałem wyjść na słońce, chciałem poczuć jego żar. Po lewej w cieniu parasola stał jeden gość, po prawej drugi. Trzymali na dziedzińcu straż. Klasyczni obwiesie, którzy na życie zarabiają pięściami. Biciem, łamaniem kości, sprawianiem bólu i zastraszaniem. Ten po lewej był mniejszy, o szerokich ramionach i w pozycji, która zdradzała, że polegał nie tylko na sile, ale i na zwinności, i doświadczeniu w walce gołymi rękami. Zgadywałem, że

to były zapaśnik. Drugi był łamignatem z mięśniami ukrytymi pod niebagatelną warstwą tłuszczu.

Ruszyli zsynchronizowani, Zapaśnik z żelaznym prętem, Łamignat z solidną maczugą. Zatem nie szło o walkę na pięści. Oprócz tego obaj mieli za pasem popularne tutaj składane noże. Te należały do tych dłuższych, samo ostrze mierzyło dobre trzydzieści centymetrów.

– Chciałem tylko porozmawiać – powiedziałem, żeby nie było nieporozumień, po czym wybrałem Łamignata.

Nie próbował uderzyć mnie z dużego rozmachu, zbyt się na tym wyznawał. Doświadczonym ruchem zamachnął się prawą ręką, ale przypadłem do niego, szybkim kopnięciem podciąłem, wybiłem z rytmu biodrem, po czym chwyciłem za ramię i szarpnąłem w przeciwnym kierunku. Stracił równowagę, udało mi się go w półrzucie poderwać z ziemi i, przez biodro, praktycznie obrócić głową w dół. Sam wszedłem w półobrót i solidnym pchnięciem cisnąłem nim w stronę Zapaśnika. Ten był szybki, zdążył zrobić unik, ale przez to zwolnił, stracił rytm, a co najważniejsze, odsłonił mi się bokiem. Rąbnąłem go raz w nerki, raz pod żebra. To nim tąpnęło, próbował mnie chwycić i obrócić, nie broniłem się, wręcz przeciwnie. Sam momentalnie przyciągnąłem go do siebie, obróciłem się wraz z nim i we właściwym momencie puściłem, posyłając go na ścianę. Wyglądało to, jakby nagle stanął, przez chwilę się nie ruszał, po czym na gumowych nogach zaczął się osuwać w dół. Chwyciłem go za włosy z tyłu głowy i dwukrotnie rąbnąłem jego twarzą o kamienny mur. Teraz już zwalił się na ziemię, zostawiając na kamieniu krwawy ślad. Łamignat niepewnie próbował się podnieść. Wytrzymały był, nie ma co. Liczyłem na to, że przy upadku złamie kark. Kopnąłem go w głowę, opadł na czworaki, ale wciąż jeszcze nie miał dość. Schyliłem się po pręt i łupnąłem go w tył głowy. Tym razem wystarczyło.

Elegant gapił się na mnie przerażony. Widziałem, jak próbuje się opamiętać, jak usiłuje znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, ale nie miał szczęścia. Wypadki potoczyły się zbyt szybko.

Podszedłem do niego, nawet nie próbował uciekać. Uniosłem zakrwawiony koniec pręta do jego twarzy.

– Zapytam tylko o kilka rzeczy. Pójdźmy gdzieś, gdzie będziemy mieli trochę spokoju. Znasz to miejsce?

– Trochę. Handluję z właścicielem. – Z trudem łapał oddech.

Udawałem, że mu wierzę. Nie wydawało mi się, żeby do normalnych praktyk handlowych należało mordowanie ludzi na czyimś dziedzińcu, ale całkowicie też nie mogłem tego wykluczyć. Inny kraj, inne obyczaje. Staram się być otwarty.

– Wyszli w morze? – podpowiedziałem.

– Zgadza się.

Uciekł wzrokiem ku jednemu z okien. Czyli raczej nie wszyscy.

– Zadarłeś z niewłaściwymi ludźmi. Jak teraz znikniesz, może jeszcze ocalisz skórę. Ja cię ścigać nie będę – dodał, jakby mi robił nie wiadomo jaką łaskę.

Rozejrzałem się. Niebo było idealnie niebieskie, bez najmniejszej chmurki, słońce przyjemnie ciepłe. Pomyślałem, że przyciąga mnie bardziej, a oślepia mniej, niż powinno.

– Masz szansę zniknąć bez konsekwencji – kontynuował.

Już się ogarnął. Całkiem szybko. Nawet na niego nie spoglądając, machnąłem prętem i trzepnąłem go z boku w kolano. Ze zduszonym okrzykiem upadł, zabłysnął nóż, który upuścił na ziemię. Wycucie czasu to połowa sukcesu.

– Przetraçałeś mi nogę – wyjęczał.

Popatrzyłem na jego kolano.

– Nie wydaje mi się – zaoponowałem – ale za drugim razem właśnie tak się to skończy. Możemy wejść do środka. – Kiwnąłem głową ku otaczającym podwórzec oknom, z których jedno było otwarte. – Albo iść do ciebie. Jak tu przyjdzie którykolwiek z twoich znajomych, zabiję cię.

– A u mnie? Tam mnie nie zabijesz?

– Nie, jeśli mi odpowiesz na kilka pytań.

– Pójdźmy do mnie – zdecydował po krótkim namyśle.

Właściwa odpowiedź. Zawsze miał szansę po drodze dać drapaką, do tego wierzył, że w domu ktoś może mu przyjść z pomocą.

W otwartym oknie coś się poruszyło, padłem na ziemię, bełt świsnął mi nad głową. Wciąż dźwięczał mi w uszach, kiedy już stałem z powrotem na nogach i ciskałem prętem w okno. W rzucaniu nigdy nie byłem zbyt dobry, ale tym razem mi się poszczęściło. Z cienia doleciało mnie stęknienie, a następnie coś zadudniło, jakby padło na podłogę. Spojrzałem z powrotem na Eleganta. Pozostał w przykłęku, ale noża na ziemi już nie dostrzegałem.

– Jak sobie wolisz. – Wzruszyłem ramionami, dobyłem skramsaksa i nieznacznym ruchem przedramienia pozbawiłem go ucha. Cięcie było tak gładkie, że praktycznie nie poczułem żadnego oporu.

Puścił nóż i bacznie mi się przyglądał. Ucho zignorował.

– Wstawaj – rozkazałem mu.

Posłuchał. Uderzyłem go w brzuch i na poprawkę, już lżej, w tył głowy. Zwinął się w kłębek. Zostawiłem go leżącego na ziemi i poszedłem rzucić okiem na kusznika. Pręt trafił go tuż pod mostkiem i przeszedł na wylot. Musiał być naprawdę dobrze wyważony. Zapaśnik sam go pewnie używał jako oszczepu. Cóż za przezorność.

Wróciłem do Eleganta. Znowu aż tak elegancko to on już nie wyglądał. Ubranie miał wymięte i pokrwawione.

– Jak się nazywasz?

– Elest Vyet – odpowiedział, po czym przetoczył się na kolana i zaczął wymiotować.

Musiałby być o wiele wytrzymalszy, niż na to wyglądał, żeby w drodze do domu pokusić się o ucieczkę.

– A mieszkasz gdzie? – kontynuowałem.

Jeśli nie chciałem zabić jeszcze kogoś, czas był się wynosić. Z każdą kolejną spędzoną tutaj chwilą rosło ryzyko, że ktoś się może pojawić. Nie odbierałem tego jako zagrożenia, ale miałem ważniejsze rzeczy na głowie. Odpowiedział mi, dopiero jak całkowicie opróżnił żołądek.

– No to chodźmy. I niech to wygląda tak, że trochę na mieście przeholowałeś i odprowadzam cię do domu. Jak będziesz posłuszny, może nawet weźmiemy lektykę.

Wyglądał niemalże na wdzięcznego.

Licytacja



Kapitan Valer nie był zachwycony pomysłem, aby Zuzanna wybrała się na aukcję majątku Cermichaelów, ale ona postawiła na swoim. Ustąpiła mu jednak w tym, żeby towarzyszyli jej trzej członkowie eskorty, a także, po burzliwej wymianie zdań, żeby to jeden z nich powoził faetonem, nie ona sama.

Siedziała teraz na tylnym siedzeniu wraz z Kurzerem, z przodu przed nimi zaś znajdowali się Gruber i Kyryzi. I tak korzystała jak mogła z pędu powietrza na twarzy oraz widoków dookoła. Postanowiła, że wyruszą ze sporym zapasem, tak aby do pałacu wygasłego rodu Cermichaelów mogli pojechać okreśną drogą, praktycznie objeżdżając większą część miasta. Valer był jej życzeniami tak skołowany, że kompletnie zapomniał, iż ze względów bezpieczeństwa Zuzanna miała się poruszać po mieście cięższą kolaską ze spuszczoneymi roletami.

Faeton ciągnęły dwie pełnokrwiste klacze, każda z wyczesaną, ozdobioną kolorowymi wstążkami grzywą i zaplecionym ogonem. Sierść aż na nich lśniła, ktoś się nimi doskonale opiekował. Zuzanna nie przypominała sobie, aby najęła jakiegokolwiek koniuszego. A przecież Valer omawiał z nią każdego nowo przyjętego członka służby. Postanowiła, że wybada, kto tak dobrze opiekuje się końmi. Na razie jednak chciała się nacieszyć przejażdżką. Po dziesiątkach godzin spędzonych nad księgami rachunkowymi i umowami, po dniach spędzonych na borykaniu się z natłokiem problemów, z administracją chciała wreszcie złapać oddech.

Grafzatza była interesującym miastem. Dużym, rozległym, a równocześnie ograniczonym wielkością samego półwyspu. Zabudowa była na ogół starannie rozplanowana, dopiero na

obrzeżach nabierała bardziej chaotycznego charakteru. Za to morze, morze było wspaniałe. Turkusowe, gdy patrzyło się ku stałemu brzegowi, w przeciwnym zaś kierunku ciemnoniebieskie, aż niemal czarne.

– Przejdźmy się jeszcze po nabrzeżu – musiała zakrzyknąć do Grubera, tak silny był tutaj wiatr.

– Oczywiście, madame – odkrzyknął. Niemal wyczuwała, jak sam był zadowolony.

Lubiła Grubera. Wyczuwała w nim oznaki radości za każdym razem, kiedy mógł sprawić radość innym. A może tylko jej, uściśliła swoją obserwację. Nic jednak nie chciał w zamian. Kurzer z kolei był miły i czarujący, ale nie bezinteresownie. I z pewnością główny obiekt jego zainteresowania stanowiła ona sama.

W twarz uderzył ją powiew wiatru niosący zapach ryb i wodorostów wyrzuconych na brzeg. Nie był nieprzyjemny, wręcz przeciwnie. Był to zapach prawdziwego, realnego życia, nie liczb, liter i skomplikowanych, ciężkich do ogarnięcia umysłem diagramów.

Kyryzi – zamyśliła się nad trzecim ze swoich ochroniarzy – Kyryzi był po prostu zabójcą. Takie wybrał życie, to był jego świat i jego fach, w którym starał się być jak najdoskonalszy. Gdyby stał po drugiej stronie, bałaby się go. Szczęśliwie siedział tuż przed nią, co ją raczej cieszyło.

Ostrzejszy powiew wiatru porwał z czubków grzywaczy morską pianę, Zuzanna poczuła na twarzy wilgoć. Oblizwała wargi. Były równocześnie słone i gorzkie.

Zorientowała się, że Kurzer zerka na nią spod oka. Jak łakomy kocur, przyszło jej do głowy porównanie. Być może powinno mi to schlebiać, pomyślała. Był zawsze wytworny, miły, cóż mógł, biedny, wiedzieć o jej poprzednich doświadczeniach? Uśmiechnęła się i pomyślała, że tak dobrego humoru nie miała już od wielu dni, tygodni może.

– Ile macie lat, poruczniku?

Miała chętkę trochę się z nim podroczyć, a przy okazji dać mu do zrozumienia, na czym stoi ze swoimi zalotami i komplementami.

– Dwadzieścia trzy – odpowiedział z pytającym wyrazem twarzy. Widziała, że nie bardzo wie, jak jej pytanie odebrać.

– No toście wciąż młodziutki, poruczniku. I powiedziałabym: niedoświadczony.

– Madame – przybrał poważny wyraz twarzy – jestem weteranem walk na wolnych ziemiach za Anguiną! – Nasrożył się.

Nad głową zaskrzeczały im mewy, zabrzmiały jak niemalże rozbawione. Zuzanna z największym trudem powstrzymała uśmiech.

– Jeśli chodzi o wojowanie, nie mam żadnych wątpliwości. Miałam na myśli doświadczenie innej natury – odpowiedziała z powagą.

Kurzer, który na co dzień w kontaktach z kobietami był śmiały i nonszalancki, nagle wyglądał tak żałośnie, że aż musiała odwrócić wzrok, aby nie wybuchnąć śmiechem. Siedzący na koźle Gruber zaczął pogwizdywać melodię popularnej piosenki o fircyku, który dostał kosza od niedoświadczonej panienci, a Kyryzi pokazał Kurzerowi pięść z kciukiem skierowanym w dół. Nie wydawał się przejmować tym, czy Zuzanna to widzi, czy nie.

– Jedźmy już prosto do Cermichaelów. – Poklepała Grubera w ramię.

– Słucham, madame – odpowiedział wielki żołnierz i skrzywił tak ostro, że koła powozu wpadły na moment w poślizg na kamiennym bruku.

Zuzanna zdusiła pisk uciechy. Użyła sobie na przejażdżce, teraz musiała się skupić na licytacji. Pomyślała jeszcze tylko, że gdyby to ona powoziła faetonem, pewnie popędziliby nawet szybciej.

Na ulicy, a właściwie niewielkim placyku, poprawiła swoją ocenę Zuzanna, przed rezydencją Cermichaelów było już pełno najrozmaitszych pojazdów, od prostych wozów do transportu towarów przez eleganckie kolasy, ekwipaże aż po ekstrawaganckie landolety czy faetony jak jej własny. Gruber wykazał się doskonałym

wyczuciem i zdołał znaleźć miejsce na skraju placyku, które niedługo powinno znaleźć się w cieniu. Parkując tam, ubiegli nieco powolniejszego woźnicę innego czterokołowego zaprzęgu, który zaczął się głośno złościć. Gruber tylko się do niego uśmiechnął, co tamtego skutecznie uciszyło. Kyryzi nawet nie drgnął, co zadziało równie skutecznie.

Kurzer, który zdążył już odzyskać równowagę po ich wcześniejszej wymianie zdań, zręcznie zeskoczył, rozłożył składane schodki i pomógł jej wysiąść. Żadnej pomocy nie potrzebowała, ale przyjęła ją z uśmiechem. Dla pieszych ścisk już nie był tak uciążliwy, bez większych trudności dostali się do wejścia na teren posiadłości wygasłego rodu Cermichaelów. W Grafzaty, gdzie wszędzie oszczędzano na przestrzeni, rozległy park z połyskującą białą na granicy pola widzenia fasadą był luksusem graniczącym z ekstrawagancją. Nawet gubernator nie mógł sobie pozwolić na tak ostentacyjną rozrzutność.

– Milady, wasze zaproszenie – zatrzymał ją przy bramie osadzonej w zdobionych granitowych słupach mężczyzna w imperialnym mundurze oficerskim. Towarzyszyło mu siedmiu innych, uzbrojonych po zęby, stojących tuż za jego plecami.

Zuzanna miała trudności z utrzymaniem beznamiętnego wyrazu twarzy. Mundury ludzi stojących za oficerem znała aż za dobrze. Należały do elitarnych jednostek, z którymi już wielokrotnie się zetknęła. Żadne z tych spotkań nie odbyło się na przyjacielskiej stopie. Nie miała pojęcia, że gubernator miał ich do swojej dyspozycji.

Kurzer wydobył zaproszenie ze zręcznością żonglera. Oficer przyjrzał mu się uważnie. Było autentyczne, gwarantowało jej miejsce blisko aukcjонера, aby miała dobry widok na licytowane obiekty. Guici mocno się napracował, aby je dla niej zdobyć.

– W porządku – ocenił strażnik. – Jednak możecie wziąć ze sobą tylko jednego człowieka do towarzystwa. Takie są zasady dla wszystkich – dodał, zanim Kurzer zdążył zaproponować.

– Rozumiem – nie spierała się Zuzanna.

Zainteresowanych licytacją było wielu, i to pomimo tego, iż za sam wstęp należało zapłacić trzysta złotych. Firma prawnicza Dżugaszuljan, która z pełnomocnictwa gubernatora organizowała sprzedaż majątku, próbowała zarobić na tym wydarzeniu jak najwięcej. Trudno się dziwić, mieli z tego procent do własnej kasy.

– Panie Gruberze, byłabym wam wdzięczna za dotrzymanie mi towarzystwa – zwróciła się do wielkiego żołnierza.

Oczywiście mogła mu po prostu wydać rozkaz, ale taka forma wydała jej się przyjemniejsza. Kurzer wyglądał na niezadowolonego, ale nie powiedział nic. Po Kyryzim nic się nie dało poznać, jak zawsze. Gruber jako personalna obstawa sprawdzał się najlepiej już choćby ze względu na swój wygląd. Kyryzi.. Jego wzięłaby, gdyby planowała morderstwo. Własne myśli zaskoczyły Zuzannę. Może to przez obecność elitarnej cesarskiej jednostki.

– Jak sobie życzyce, moja pani. – Gruber skłonił się, nie przestając obserwować okolicy.

Zuzanna dostrzegła, jak wymienił spojrzenia ze swoimi kompanami. Obaj zgodnie skinęli głowami. Zakładała, że się w ten sposób umówili i będą na nich czekać przy bramie. Ludzie Valera byli niesamowicie wręcz zgrani. W tym leżała część ich siły.

Gruber zajął miejsce po jej lewej stronie i ruszyli razem po wysypanej białym piaskiem drodze. Od starannie przystrzyżonych trawników ozdobionych kępami krzewów oddzielały ją krawężniki z lśniącego marmuru. Aleja nie wiodła prosto do pałacu, ale tak, by odwiedzający mieli okazję podziwiać jak najwięcej z kunsztu ogrodników. Zuzanna przyglądała się wodotryskom, krzewom, skupiskom kwiatów i rosnącym pojedynczo drzewom.

– A tak właściwie to skąd się tu bierze słodka woda? – zastanawiała się na głos.

Przypomniała sobie, jak Monika i Katrin rozprawiły o tym, że niektóre miejskie studnie wydają się wysychać.

– Są tu podziemne strumienie, madame – odpowiedział Gruber – ale ich wydajność spada w zależności od pory roku. Nikt dokładnie nie wie dlaczego, ale tak już jest.

Zuzanna skinęła głową. W pałacu Cermichaelów nie szczędzono wody nawet po śmierci jego właścicieli. Szła dalej, napawając się widokiem parku. Z żalem uświadomiła sobie nagle, że znaleźli się przed głównym wejściem do pałacu. Schody były okazałe, o niskich i szerokich stopniach, po których mogły z łatwością stąpać konie. Tym razem żadnych jednak nie było, jedynie ludzie z ciekawością wkraczający w chłodny cień westybulu. Licytacja miała się odbyć właśnie tutaj.

– Numer, pod którym możecie się przyłączyć do licytacji, znajduje się na waszym zaproszeniu – oznajmił służący w niebieskiej liberii zdobionej złotem. – Życzycie sobie plakietkę z numerem, żeby było was lepiej widać?

Zuzanna skinęła tylko głową, jej uwagę przykuwał długi stół, na którym wyłożono obiekty przeznaczone na licytację. Niektóre z nich były warte uwagi, czuła emanującą z nich moc, z kolei inne jedynie moc deformowały. Nigdy wcześniej tak jednoznacznie i dokładnie nie wyczuwała magii. Mogło to być spowodowane naturą samych przedmiotów, a mogło i magiczną burzą, którą przeżyła.

– Zaktualizowany katalog? – proponował dalej wystrojony służący.

– Oczywiście – odparła.

Wraz z zaproszeniem otrzymała, jak każdy, ogólny wykaz licytowanych przedmiotów, ale co do szczegółów chodziły po mieście jedynie pogłoski.

– To będą razem trzy złote, madame.

Z wysiłkiem zachowała kamienną twarz. Tyle pieniędzy praktycznie za nic. Gruber ani drgnął, do jego obowiązków należało jedynie, by jej pilnować. Zuzanna wyłowiła z torebki trzy złociaki, położyła je na stole i wzięła broszurkę oraz plakietkę z numerem. Katalog ledwie przeleciała wzrokiem. Opisy wystawionych przedmiotów były bardzo lakoniczne, ale zawsze lepsze niż nic. W tym czasie zbliżył się do nich kolejny służący w liberii, tym razem już nie tak wystawnej.

– Mój pomocnik zaprowadzi was do waszego stołu – pożegnał się z nimi sprzedawca.

Skinęła głową w odpowiedzi. Niedługo potem zapełniły się wszystkie miejsca i rozpoczęła się licytacja. Aukcjoner przedstawił się jako starszy partner firmy Dżugaszuljan. Po krótkim wstępie, w którym przypomniał wszystkim, jak rzadka to okazja i jak zacne są wystawione okazy, przeszedł szybko do sedna.

Na pierwszy ogień poszły pojedyncze sztuki umeblowania, które widocznie nie znalazły nabywców przy większej wyprzedaży wyposażenia. Zuzanna obserwowała publikę. Część ludzi przyszła wyłącznie z ciekawości, część dla zabawy, inni chcieli się po prostu pokazać. Wychwyciła jednak i skupione twarze. To byli autentyczni entuzjaści antyków z potwierdzonymi certyfikatami. Zgadywała, że nieźle znali się na artefaktach i magii. Było ich też więcej, niżby się spodziewała.

– Stolik, najprawdopodobniej karciany, wykładany macicą perłową, z szufladkami – oznajmił licytator, podczas gdy jego pomocnicy prezentowali mebel zebrany.

Spróbował otworzyć jedną z szufladek, ale nie udało mu się.

– Szuflady zamknięte, klucz nie jest dostępny – skomentował bez mrugnięcia okiem. – Cena wywoławcza to pięćdziesiąt złotych.

Natychmiast pojawiła się oferta od numeru dwadzieścia osiem, korpulentnej damy w połyskliwych jedwabiach. Szeptał jej coś do ucha chudy mężczyzna, który w porównaniu z nią wyglądał trochę jak pająk.

– Stolik wykładany macicą perłową dla numeru dwadzieścia osiem po raz pierwszy. Kto da więcej? Minimalna stawka dwa złote – zachęcał licytator.

– Sześćdziesiąt złotych – rozległo się od uniesionego numeru siedemdziesiąt dwa.

Był to tęgawy mężczyzna w dopasowanym płaszczu, aż nazbyt opiętym na brzuchu.

– Siedemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt – rozległo się szybko po sobie.

– Perłowy wykładany stolik za osiemdziesiąt złotych dla numeru sto dwa po raz pierwszy! – oznajmił aukcjoner.

Zuzanna natężyła uwagę. Czyżby czegoś nie dostrzegą? Skoncentrowała się na stoliku i spróbowała użyć swojego magicznego zmysłu. Nie wykryła nic szczególnego, skoncentrowała się więc jeszcze mocniej, próbując wyczuć choćby najdrobniejsze nieprawidłowości w magicznym tle. W tym nigdy nie była zbyt dobra, być może stanowiło to cenę za zdolność władania mocą.

– Sto dziesięć złotych po raz pierwszy! – dotarło do niej niczym z wielkiej oddali.

Stolik nadal wydawał jej się całkiem zwyczajny.

A potem coś nagle zaskoczyło. Jakby patrzyła na świat poprzez warstwę rozgrzanego powietrza. Kontury rozmyły się i zmieniły w rozedrgane plamy. Tym razem wokół stolika dostrzegą wyraźną aurę zdradzającą magiczną naturę. Jak również wokół niektórych z obecnych na sali osób. Równocześnie rozboleła ją głowa i uświadomiła sobie, że jeśli się z tego stanu nie wyrwie, zrobi jej się jeszcze gorzej.

– Madame, wszystko w porządku? – spytał nieco niepewnie Gruber. – Zbladłaś, pani, dobrze się czujesz?

Skinęła głową. Właśnie pokonała jakąś kolejną barierę, nauczyła się czegoś nowego.

– Dwieście pięćdziesiąt po raz drugi, po raz trzeci! – sprzedaż została przypieczętowana.

– Zaraz dojdę do siebie, ale uważajcie na mnie. Może się zdarzyć, że omdleję – ostrzegła Grubera, oddychając przy tym głęboko i starając się nie zwracać na siebie uwagi otoczenia. Stopniowo docierało do niej, co się właśnie stało. Dostała się na nowy poziom wrażliwości percepcji, ale nie sądziła, aby było to jej własną zasługą. Zgadywała, że musi to mieć coś wspólnego z niedawną magiczną wichurą i z okolicą, magicznym tłem Grafzaty. Ono przez cały czas pulsowało, zmieniało się i właśnie zaczynała to wyczuwać.

Zajęło jej ponad godzinę, zanim wreszcie doszła do siebie, jak przez mgłę obserwując, jak kolejne obiekty znajdują nowych właścicieli. Zazwyczaj za zaskakująco wysokie ceny.

Nastąpiła zmiana licytatorów. Następca wyglądał identycznie jak ten poprzedni i też przedstawił się jako starszy partner firmy

Dżugaszuljan.

– Przystąpimy teraz do licytacji ksiąg i papierów – oznajmił.

Szum na sali, który w trakcie sprzedaży mebli wciąż narastał, teraz ucichł jak nożem uciął. Stare papierzyska nie wzbudzały już takich emocji.

Zuzanna znów się rozejrzała. W zasięgu wzroku pozostało paru samotników. Jeden z nich, niezdrowo wyglądający młodzieniec z głębokimi cieniami pod oczami, wiercił się jak na szpilkach, nie spuszczać spojrzeń z podium. Obok niego siedział wysoki, szczupły mężczyzna w nieokreślonego koloru szacie z długimi, szerokimi rękawami. Wyglądał, jakby drzemał, jednak uświadomiła sobie nagle, że tak naprawdę przygląda się jej spod przymkniętych powiek. Osobliwy ochroniarz. Przejechała wzrokiem dalej, jakby bez szczególnego zainteresowania rozglądała się po sali, miała jednak poczucie, że nie udało jej się go zwieść. Wciąż poświęcał jej skrytą uwagę.

– Podam tytuł każdej poszczególnej księgi, mój pomocnik je zaprezentuje, po czym przystąpimy do licytacji – przedstawiciel firmy Dżugaszuljan kontynuował aukcję. – Encyklopedia Baumuta, rok wydania dwieście trzydzieści sześć.

Encyklopedia Baumuta traktowała o ziołach, roślinach i zwierzętach, które można było wykorzystać do przygotowania leczniczych mikstur. Leczniczych... Zależy, jak to rozumieć. Zuzanna miała spore doświadczenie z ziołami. Stary uczyony interesował się głównie narkotykami i truciznami, przy czym część z zawartych w księdze receptur działała wyłącznie przy wykorzystaniu magii. Jeśli to wydanie pochodziło z 236, musiało należeć do jednego z pierwszych, kto wie, może nawet był to jeden z pięćdziesięciu oryginałów. Była to całkiem cenna publikacja, ale książkę jedną kopię w swojej bibliotece już posiadał. Szkoda na nią pieniędzy. Poszła za siedemdziesiąt złotych. Na sprzedaż wystawiono kolejny tom.

– Solidna księga – wskazał licytator – napisana w języku, który kancelarii prawniczej Dżugaszuljan jest całkiem nieznany.

Zuzanna nastawiła ucha. Mógł to być język swaglish, powszechny przed Wielką Wojną język czarodziejów, którego używano do

opisywania magii. Na ile się Zuzanna orientowała, istniały jego różne odmiany, specyficzne dla poszczególnych klanów, znacznie się od siebie różniące. Większość tekstów pochodzących sprzed Wielkiej Wojny była dla Zuzanny kompletnie niezrozumiała, swoją wiedzę czerpała głównie z okresu tuż po niej, kiedy wciąż jeszcze dysponowano wiedzą na temat magii, aczkolwiek języka czarodziejów już nie używano. Jakość tych informacji bywała jednak wątpliwa.

Zuzanna przez chwilę licytowała, ale zrezygnowała przy dwustu złotych. Zaoferowałaby więcej, gdyby miała na temat książki więcej informacji, ale nie chciała bez powodu nadwyręzać ich i tak ograniczonego budżetu. Książkę kupił wyświechtany młodzieniec, który natychmiast rzucił się do boju o kolejną publikację. Zuzanna zauważyła, że walczył o każdą księgę, każdy świstek pergaminu, skrawek papieru, wszystko, co było zapisane w jednym z nieznanym języków. I miał do dyspozycji niewyczerpane zasoby pieniężne. Zuzanna zliczyła później, ile musiał w sumie na swoje bibliofilskie zakupy wydać. Było tego grubo ponad pięć tysięcy złotych.

Później przyszła kolej na pamiętniki, zeszyty, notatniki, najrozmaitsze stosy papierów, plany architektoniczne z okresu przebudowy pałacu. Zuzanna przyłączyła się do licytacji kilku pojedynczych dokumentów i parę z nich udało jej się zdobyć po niewygórowanych cenach. Nie była pewna, czy będą jej do czegośkolwiek przydatne, ale chciała dowiedzieć się choćby w zarysie, jak mogło wyglądać w przeszłości życie możnego rodu.

Z nadchodzącym wieczorem zrobiło się gorąco i salę wypełniło duszne powietrze. Licytator ogłosił przerwę i zaprosił wszystkich do zaimprovizowanych stołów z przekąskami i napitkiem. Zuzanna z przyjemnością podniosła się ze swego miejsca. Bardziej niż przekąski interesował ją wystrój sali. Każda z marmurowych kolumn sama w sobie była dziełem sztuki, na wysokim sklepieniu odzwierciedlono nocne niebo, ściany zdobiły posągi na cokółkach z lśniącego kryształu. Nigdy w życiu nie widziała większego przepychu i sądząc po przytłumionych rozmowach, część obecnych

zjawiła się tu głównie po to, aby móc pałac obejrzeć, zanim znajdzie on nowego właściciela.

Dostrzegła też kilka znajomych twarzy, ludzi, z którymi spotkała się na balu, kiedy to wicehrabia Guici wprowadził ją na miejscowe salony. Zamieniła z nimi jedynie kilka zdawkowych zdań, wszyscy chcieli skorzystać z okazji, by przyjrzeć się pozostałym jeszcze do zlicytowania przedmiotom.

– Interesuje was historia naszego miasta?

Obróciła się i dostrzegła księcia Veyrata z małżonką. Zdawała sobie sprawę, że z towarzyskiego punktu widzenia znajduje się w kłopotliwej sytuacji, towarzyszył jej tylko członek eskorty, jednak uznała, że jako szlachcianka z peryferii może sobie pozwolić na ustępstwa wobec etykiety.

– Dokładnie tak. – Uśmiechnęła się.

– Madame, wyglądasz dziś doskonale. Miecz twojego człowieka musi być naprawdę ostry, skoro towarzyszy ci samotnie.

Z Veyratami nie przyszła żadna eskorta. Księżę widocznie polegał na sobie samym. Eliza Veyrat tylko na nią spojrzała z uśmiechem. W ciemnoniebieskiej sukni, która kontrastowała ze złotymi puklami jej włosów, przewiązana w talii szarfą i z głębokim dekoltem stanowiła spełnienie snów większości mężczyzn. Nawet sam Veyrat wyraźnie napawał się zainteresowaniem, jakie budziła jego żona. Może po prostu tworzą szczęśliwą parę, pomyślała Zuzanna.

Obok zmaterializował się chłopak z tacą i zaproponował im wszystkim coś do picia. Zuzanna z wdzięcznością przyjęła szklaneczkę i łyknęła ostrożnie. Lekkie wino, z posmakiem jakby żywnym, rozrzedzone wodą. Całkiem jej smakowało.

– Wicehrabia Guici nie może się nachwalić waszych wspólnych interesów – zauważył księżę po chwili niezobowiązującej, towarzyskiej konwersacji.

– To prawda, wszystko idzie bardzo dobrze. Oboje możemy być zadowoleni – przytaknęła Zuzanna. – Szkoda tylko, że skupia się wyłącznie na, nazwijmy to, dobrach luksusowych.

– Na dobrach luksusowych zarabia się najlepiej – zgodził się Veyrat – a ten jedwab, który mu dostarczacie, jest rzeczywiście

przedniej jakości. Futra i srebro zresztą także.

– Ale i sól jest dobrym towarem, jak i węgiel drzewny, ten naprawdę porządnie wypalony. Albo suszone mięso, które można bezpiecznie przechowywać przez dłuższy czas.

Elizy Veyrat rozmowa widocznie nie bawiła. Niby się jej przysłuchiwała, ale w istocie przyglądała się ludziom wokoło. Głównie mężczyznom, zorientowała się Zuzanna po chwili.

– Gdybym posłał do was człowieka, który się na tego typu sprawach rozezna... – zaczął Veyrat.

– ...będzie mógł całą sprawę przedyskutować z moim głównym oficerem handlowym – uzupełniła Zuzanna, wpadając mu w słowo.

– Umowa stoi – powiedział z wyraźnym zadowoleniem książę.

– Widzę, że na licytację pofatygował się też i wicehrabia Tralger ze swoją żoną – odezwała się nagle Eliza i wskazała nieznacznym gestem kierunek.

– Jeśli ktokolwiek może sobie pozwolić na kupno tego pałacu, to na pewno on – zauważył Veyrat. – Ludzie za nim nie przepadają, ale głośno nikt nic nie powie. No i zawsze dotrzymuje danego słowa.

– A ja miałam nadzieję, że może ty... – Eliza obróciła się do swego męża i szerokim gestem wskazała na wnętrze, w którym się znajdowali.

On pokręcił tylko głową.

– Ten pałac jest ponad moje możliwości. No chyba że byś sprzedała wszystkie swoje szmaragdy, diamenty i pozostałe świecidełka, może wtedy...

Księżna Eliza gwałtownie pokręciła głową.

– Aż tak bardzo mi na tej ruderze nie zależy, ale przypomniało mi się, że niedawno opisywałam ci wzór na nową tiarę. Czy też jesteśmy już tak biedni, że i na to nie możemy sobie pozwolić?

Veyrat roześmiał się.

– Jaką tiarę sobie wymyślisz, taką będziesz mieć, moja droga.

Księżna mrugnęła do Zuzanny szelmowsko.

– Wygląda na to, że cała ta licytacja nie była czasem całkowicie straconym.

Małżonkowie pożegnali się z Zuzanną i Gruber, który w trakcie rozmowy taktownie się oddalił, znów zajął miejsce przy jej boku. Wciąż trwała przerwa i Zuzanna ruszyła ku stołom. Zgłodniała i miała nadzieję, że coś jeszcze na nich znajdzie.

Nad kawałkami mięsa tonącymi w pikantnym sosie zetknęła się z młodzieńcem, który wydał fortunę na książki. Zauważyła go wcześniej, niż on dostrzegł ją, i wykorzystała tę chwilę, aby dobrze się mu przyjrzeć. Cienie pod oczami, niezdrowa cera zdradzająca, że spędzał czas, unikając promieni słonecznych, żyłki w białkach oczu wskazujące na spożywanie egzotycznych substancji, we włosach przebarwione pasemka. Z pewnością ich sobie nie farbował, musiała to być kolejna oznaka, że zażywa środki wspomagające świadomość. Zuzanna trochę o nich czytała, ale sama wiedziała zbyt mało, aby kiedykolwiek spróbować.

– Musicie być wielkim miłośnikiem książek, panie – zwróciła się do niego, kiedy unosił do ust kawałek mięsa.

Przyglądała się jego palcom, które po krótkiej chwili zaskoczenia nawet nie zadrżały. Zanim na nią wreszcie spojrział, był już przygotowany.

– Owszem, lubię stare księgi – odpowiedział cicho, z wyuczoną, ostrożną uprzejmością. – Ale wy również...? – na końcu zdania postawił nieznaczny znak zapytania.

– Interesują mnie stare przepisy. Dawniej znano sposoby na przygotowywanie mięsa tak, aby mogło wytrzymać całe tygodnie i nie traciło przy tym smaku – odpowiedziała bez zajknięcia.

Gdyby nieznajomy się nią interesował, kłamstwo stało w zgodzie z jej fałszywą tożsamością – szlachcianka z prowincji, gdzie psy ogonami szczekają.

– Jest to z pewnością praktyczne podejście do historii – odparł i uśmiechnął się.

W każdym razie pokusił się o uśmiech. Oczy pozostały poważne. Pomyślała, że powinien lepiej potrenować kłamstwa i udawanie. Choć może nie potrzebował. Może obracał się w środowisku, w którym nie miało to znaczenia, w którym nikt tak naprawdę się nie uśmiechał.

– Mogę zaproponować szklaneczkę wina? Gorąco tu, a licytacja jeszcze trochę potrwa – dodał po krótkiej pauzie, jakby mu na jej odpowiedzi szczególnie zależało.

Zgodziła się z czystej ciekawości, co będzie dalej. Przywołał posługującego chłopaka jednym gestem. Było to coś, czego nie zdołała dokonać większość obecnych tu mężczyzn. Podając szklaneczkę Zuzannie, niby niechcący jej dotknął. W chwili kontaktu poczuła coś, niczym podmuch skrzydeł komara na twarzy, niezwykle delikatne zachwianie w równowadze mocy. Zuzanna nie miała wątpliwości, że dotyk aktywował jakieś zaklęcie. Nie zostało ono jednak przez niego rzucone, on je jakby bardziej na sobie... NOSIŁ – nie zdołała znaleźć lepszego określenia.

Po wymianie kilku dalszych uprzejmych i niezobowiązujących zdań pożegnali się. Nie była pewna, co o tym dziwnym spotkaniu myśleć. Młody mężczyzna dysponował imponującą wiedzą o przeszłości i magii, ale jeśli sam był czarodziejem, potrafił to doskonale maskować.

Reszta licytacji przebiegła wręcz nudno, ceny klejnotów sięgały niebotycznych wyżyn, jednak Zuzanna nie miała wrażenia, aby w którymkolwiek z nich kryło się coś więcej. Choć w tych autentycznie cennych artefaktach było to normalne. Maskowanie magicznej aktywności stanowiło jedną z ich głównych właściwości. Sama wielokrotnie zetknęła się z kamieniami przepelnionymi magicznym potencjałem, którego nie potrafiła obudzić. Lub też z kamieniami, o których rozmaite źródła twierdziły, iż kryły w sobie ogromną moc. Możliwe, ale ona sama jej w nich nie wyczuwała, jak również i nikt inny. Miały ją rzeczywiście? Kto wie? Z magią już tak bywało.

Umieranie w pyle



Valer pochylił się nad kramem, jakby zastanawiał się nad wyborem któregoś z wyłożonych towarów. Mandarynki, świeże daktyle, orzechy kokosowe i inne owoce, których nazw nie znał. Mrużył oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, odbijającym się dodatkowo od okolicznych fasad i białego piasku, którym wysypano targowisko. Właścicielka i sprzedawczyni w jednej osobie obserwowała go niechętnie. Valer co prawda postarał się o rybacki kapelusz i krótkie spodnie, jakie tutejsi mężczyźni nosili, wychodząc w morze, ale za rybaka mógł uchodzić tylko z daleka i na pierwszy rzut oka. Nie pomagał mu nawet znoszony kaftan o luźnych, zbyt długich rękawach. Wyglądał w nim wręcz, jakby go pożyczył od kogoś o kilka rozmiarów większego.

– Poszukuję pani Kurtny – powiedział i popatrzył na kramarkę.

Mogła mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Twarz miała poznaczoną zmarszczkami od słońca i wiatru, spod chusty wyglądały kosmyki siwych włosów.

– Kurtny tu u nas wiele – odpowiedziała z nieskrywaną niechęcią.

– Kupujecie coś czy jak? Ja nie mam czasu na pogawędkę.

Valer rozejrzał się, targowisko było nieomal puste. Sprzedawcy przy pozostałych, porzucanych sporadycznie kramach chowali się w cieniu, udrećzeni upałem. Chwilę rozmyślał nad najlepszą odpowiedzią. Mógł wprawdzie zauważyć, że tłumy klientów jakoś się wokół nie kłębią, ale sam doskonale wiedział, że nic by tym sposobem nie osiągnął. Otarł pot z czoła. Gorąc był nie do zniesienia.

– Może więc coś do picia – powiedział i aż sam się zdziwił, jak bardzo zachrypnięty jest jego głos.

– To będą trzy miedziaki, z czego jeden to opłata dodatkowa za przerywanie sjeisty.

Sięgnęła po orzech kokosowy, ułożyła go pewnie na dłoni, po czym drugą ręką sięgnęła gdzieś za siebie i wydobyła sponiewieraną maczetę. Świsnęła stal i wierzchni kawałek orzecha wylądował na straganie. Kobieta wyrzuciła go do kosza, do orzecha wsadziła przyciętą słomkę i podała go Valerowi.

– Pieniądze – przypomniała.

Valer sięgnął do pasa, nie spuszczać wzroku ze sprzedawczyni. Jej zwinność w posługiwaniu się maczetą zafascynowała go. Zanotował w pamięci, aby nigdy w życiu nie lekceważyć siwowłosych dam sprzedających orzechy. Napił się. Mleko kokosowe było zaskakująco chłodne i łagodne. Miał poczucie, że oto wraca mu życie.

– Potrafi poratować, nie? – powiedziała kramarka.

– Chyba poproszę o jeszcze jeden – zgodził się z nią Valer i bez przeliczania wysypał na stragan garść drobniaków. – Szukam pani Kurtny, pracowała kiedyś jako służąca – powtórzył.

Odkrycie imion personelu, który w przeszłości pracował dla Parleura, zajęło mu znacznie więcej czasu, niż zakładał. Może dlatego, że był tu obcy, a może dlatego, że pytał o ludzi związanych właśnie z markizem. Z reakcji rozmówców wywnioskował, że młody szlachcic nie cieszy się najlepszą sławą. Gdyby nie to, że Zuzanna się Parleurem interesowała, nie poświęcałby mu tyle czasu. Już i tak brakowało mu go gdzie indziej. Nie mógł przecież się równocześnie zająć innymi sprawami. W dalszym ciągu bezpieczeństwo Zuzanny stało na pierwszym miejscu.

– A co wam do starej Kurtny? To porządna kobieta, żadne kłopoty jej nie są potrzebne.

Valer, popijając, przyjrzał się sprzedawczyni. Pieniądzy nie było sensu jej oferować. Z wysypanych drobniaków odliczyła należność i resztę podsunęła mu z powrotem. Z chłodnym mlekiem kokosowym w żołądku w upale myślało mu się nawet łatwiej.

– Chcę ją spytać o coś z czasów, kiedy pracowała jako służąca. Nie straci na tym – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Kobieta zgarnęła trzy miedziaki i schowała je do sakiewki ukrytej gdzieś w fałdach sukni.

– Jak jej weźmiecie coś do jedzenia, może się i czego dowiecie. Lubi granaty i mandarynki. – Wskazała na swoje towary.

– Niech będzie – zgodził się Valer. – Do tego dorzucicie jeszcze pięć orzechów. Ten upał mnie wykończy – dodał już bardziej do siebie.

Nachylił głowę i przetaił oczy, jakby mu coś do nich wpadło. W rzeczywistości ukradkiem spojrzął za siebie. W wąskim zaułku między dwoma niechlujnie wyglądającymi domami dostrzegł poruszenie.

– Tutejsi mają sjęstę, obcy tracą zdrowie. – Wzruszyła ramionami, po czym zaczęła wybierać mu zakupy. – Kurtny mieszka w tej tam uliczce, trzeci dom po prawej.

Tutejsi mają sjęstę, powtórzył w myślach Valer, chyba że chodzi o coś naprawdę istotnego. Jak śledzenie go, na przykład.

Podziękował, zapłacił i najszybciej, jak mu na to upał pozwolił, ruszył ku wskazanej uliczce, w której ochronę przed morderczym żarem zapewniały arkady. Okrążając jeden ze straganów, zaryzykował kolejne ukradkowe spojrzenie za siebie, ale cień zniknął. Zapewne obchodził targowisko dokoła. Valer więcej już się nie oglądał, nie chciał, aby ten, kto za nim szedł, zorientował się, że został dostrzeżony. W chwili kiedy wiedział, że już go nie widać z targowiska, wszedł pod arkadę i przyciśnięty do ściany cofnął się o kilka kroków.

Było ich dwóch. Stali obok kramarki i ją wypytywali. Nie słyszał, co im mówiła, ale widział, jak niezdecydowanie macha rękoma, po czym niepewnie wskazuje w ogólnym kierunku, w którym go posłała. Nie była głupia, nie kłamała im w żywe oczy, ale Valer zgadywał, że dokładnych informacji też im nie przekazała.

Dalej już nie zwlekał i wrócił na ulicę wiodącą do domu pani Kurtny. Był to dom z białego kamienia, nie z niepalonej cegły, jakby należał do lepszej części miasta, ale już schody, zauważył, wymagały naprawy. Drzwi i okiennice również. Kołatki nie było, delikatnie zapukał. Nie chciał, aby o jego wizycie wiedziała cała okolica. Kątem oka wciąż kontrolował ulicę, ciszę sjęsty zakłócał jedynie ledwie słyszalny szum. Valer miał wrażenie, że to dźwięk jego własnej gęstej

krwi z trudem przedzierającej się żyłami. Nie, to raczej syk parującego na nim potu. Sam nie był pewien.

Już uniósł rękę, by zapukać mocniej, ale usłyszał wreszcie kroki. Powolne, rozważne, ale nie starcze. Dźwięk zasuwki, szelest materiału, skrzypnięcie zawiasów. Przed Valerem otworzył się widok na wąski, skąpany w półmroku korytarz przesłonięty kobiecą sylwetką.

– Wejdźcie i zamknijcie za sobą drzwi – poinstruowała go – ale porządnie, żeby mi tu gorące powietrze nie szło do środka.

Posłuchał i ruszył za właścicielką w dół po kilku schodkach. Dom był mały, ale kombinacja okienek, masywnych kamiennych ścian i wysokiego dachu pozwalała na utrzymanie w środku przyjemnego chłodu. Główne pomieszczenie zdominowane było przez wielkie palenisko pod ogromnym okapem komina. Na skromne umeblowanie składały się prosta szafa, duży stół, skrzynia i dwa plecione krzesła. Mimo pozamykanych okiennic szparami i, być może, kominem wpadało do środka wystarczająco dużo światła, aby bez problemu widzieć.

– Chcecie herbaty? – zapytała go kobieta.

– Zawsze częstujecie nieproszonych gości herbatą?

– Tych szykownych owszem.

Madame Kurtny, o ile to była w istocie ona, otworzyła szafę, która skrywała naczynia i kuchenne akcesoria. Do dwóch szklanek naląła ciemnej herbaty i dorzuciła do nich gałązki zielonych ziół. Valer uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręku worek z owocami i orzechami.

– Mały oferunek dla was, według rekomendacji z targu. – Odłożył ostrożnie zakupy na skrzynię.

– Stara Vekleyowa dobrze o mnie dba. – Uśmiechnęła się. – A przy okazji coś tam sobie zarobi.

Valer napił się. Herbata była chłodna i z dodatkiem mięty smakowała naprawdę dobrze. Kobieta przed nim mogła być w tym samym wieku, co ta na targu, ale wyglądała o dziesięć, piętnaście lat młodziej. Bardziej o siebie dbała, na twarzy miała ślady makijażu,

który mógł ją chronić przed wiatrem i słońcem. I nie spędzała aż tyle czasu na zewnątrz.

– Jak wam mogę pomóc? – spytała go spokojnie.

– Czemu miałabyś mi, pani, pomagać? – zapytał Valer, który zaczynał mieć wrażenie, jakby się niezbyt dobrze do tej rozmowy przygotował.

Powinien był dowiedzieć się o niej znacznie więcej niż tylko to, że kiedyś służyła u markiza Parleura.

– Po cóż innego byście za mną chodzili? Pośredniczę w najmowaniu służek. Kiedy jakąś polecę, ręczę za nią, że jest szykowna, sumienna i nie plotkuje. Przynajmniej nie za wiele – uściśliła. – Nie kradnie. Kiedy polecam pracodawcę, ręczę za to, że jest to porządny pracodawca. Dobry, na ile się da. Zazwyczaj ludzie przychodzą do mnie, abym im pomogła w takich właśnie sprawach.

Valer skinął głową ze zrozumieniem.

– Przeszedłem zapytać o markiza Henry’ego Parleura. Kiedyś u niego służyłaś, pani. Ponoć – dodał.

Twarz pani Kurtny stężała. Napiała się herbaty. Widział, jak z napięcia pobielają kostki jej palców.

– Dyskrecja jest bardzo ważna w tym, co robię. Wystarczy jedno słowo i skończę bez pracy. Nikt mnie nie będzie pytał o polecane służebne, nikt mnie nie zapyta o polecane domy.

– Rozumiem. Nie chcecie, nie możecie mi nic powiedzieć. Ludzie na mieście opowiadają o nim dziwne rzeczy – odpowiedział Valer. – Chciałbym o nich porozmawiać.

Może powinienem był posłać kogoś innego, pomyślał Valer. Kogoś, kto z tej zamkniętej w sobie, ostrożnej kobiety byłby w stanie wyciągnąć więcej niż ja.

– Wy nie jesteście stąd, prawda? – zmieniła temat.

Valer dopił napar. Mimo wypitego mleka z dwóch orzechów i herbaty wciąż miał poczucie, że język klei mu się do podniebienia.

– Owszem. Przybyliśmy do miasta niedawno. Baronówna Münchauzen zakupiła w Grafzaty rezydencję, ja dla niej pracuję. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, zamierzamy zostać na stałe.

Kurtny skinęła głową w zamyśleniu.

– I baronówna interesuje się markizem Parleurem? – spytała dalej.

– W kwestiach handlowych – odpowiedział Valer sucho. – Jednak on nalega na spotkanie w cztery oczy. A ja jestem odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo – dodał po chwili.

– Bardzo to rozropne, oficerze, dowiedzieć się jak najwięcej o partnerach handlowych. Nawet jeśli wasze podejście, jak na żołnierza, wydaje mi się trochę niecodzienne. Ale ja jestem tylko zwykłą, głupią babą – dodała z lekkim ironicznym uśmiechem. – Mam do was jedno pytanie.

A niby pytania miałem zadawać ja, pomyślał z lekkim rozbawieniem Valer. Pusta szklanka w ręce zaczynała mu się wydawać nieprzyjemnie rozgrzana. Odstawił ją ostrożnie na stół, ale i tak stuknęła nieoczekiwanie głośno.

– Proszę, pytajcie – nakłonił ją, kiedy cisza zaczynała się dłużyć.

– Jak bardzo wam zależy na tej waszej baronównie?

Już chciał powtórzyć, że jest odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo, ale ona kontynuowała:

– Co o niej myślicie? Ale tak naprawdę?

Zawahał się. Kurtyna bez wątpienia była mistrzynią obserwacji, znawczynią ludzkiego charakteru, emocji.

– Zależy mi na niej bardzo. Chciałbym, żeby była szczęśliwa, najbardziej, jak to tylko możliwe – odparł, zanim sobie sam uświadomił, co takiego właściwie powiedział.

Siedząca naprzeciwko kobieta jedynie skinęła głową.

– Markiz Henry Parleur jest sadystycznym zboczeńcem seksualnym – powiedziała nagle pewnym, silnym głosem. – Już dawno powinien odpowiedzieć za swoje postęпки, ale jest szlachcicem, do tego jest bogaty i sprytny. Przekracza to moje możliwości, żeby posłać go do piekła, gdzie jego miejsce. Jedyne, co mogę zrobić, to ostrzegać przed nim młode dziewczyny z miasta, co robię już od lat. Tyle że on je sobie teraz zwozi skądinąd.

Valer zrozumiał, że nie musi już zadawać żadnych dodatkowych pytań. Wystarczyło poczekać i słuchać.

– Jestem doświadczoną kobietą, nie mam złudzeń co do tego, jak życie wygląda. Kiedy pan zrobi służce dzieciaka, to przynajmniej jakoś się tam o nią zatroszczy. Spłaci ją albo znajdzie jej męża. – Wzruszyła ramionami. – Normalna rzecz, nic zdroźnego. A są i takie dziewczyny, dla których to jest odmiana na lepsze, w porównaniu z tym, skąd przyszły. Życie to nie bajka. Gorsze rzeczy się zdarzają. Ale Parleur...

Po dłuższej pauzie spojrzała na swoją zaciśniętą na dzbanku rękę, jakby się nagle ocknęła i wciąż nie do końca wiedziała, gdzie się znajduje.

– W czasach, kiedy ja sama pracowałam u Parleura, żyli jeszcze jego rodzice – zaczęła powoli opowiadać. – Jego matka, jak mi się wydaje, coś musiała podejrzewać i starała się dopilnować, aby służbę wokół niego pełnili mężczyźni. Ale jego ojciec miał swoje potrzeby i chciał, aby syn również mógł zaspokoić swoje. Pewnej nocy usłyszałam z sypialni panicza krzyk i byłam jedyną, która odważyła się tam zajrzeć. Mało mi serce nie stanęło, tak się go bałam. Dobrze się już wtedy orientowałam, jak na mnie patrzy, jak mnie w skrytości obserwuje. A miał wówczas najwyżej dwanaście lat.

Znów przerwała na chwilę, napiła się herbaty.

– Miał tam niedawno przyjętą młodziutką służącą, całą związaną. Nikt o niej za wiele nie wiedział, bo natychmiast trafiła do jego prywatnych komnat. Zgwałcona, umęczona, na granicy śmierci. On sam swoim zaspokajaniem doprowadzony był niemalże do szaleństwa. Kiedy się tam zjawiłam i przeszkodziłam mu, rzucił się na mnie. Na szczęście nadeszła jego matka, którą zaalarmowałam, śląc wiadomość, że coś się dzieje z jej synem. We dwie zdołałyśmy go obezwładnić.

Pani Kurtny szybko wstała, podeszła do szafy i z dolnej szuflady wyciągnęła zakurzoną butelkę, obficie z niej polała do swojej szklanki po herbacie i wychyliła napitek na raz.

– Za swoje milczenie dostałam obfitą odprawę i znakomite referencje. Jeszcze przez jakiś czas pracowałam jako służąca, potem zajęłam się tym, co robię teraz. I wiem, że ten potwór zabija kobiety. Ale nie jestem w stanie nic na to poradzić.

– Wciąż? Jesteś tego pewna, pani?

– Słucham, co ludzie mówią, czasem popchnę rozmowę we właściwym kierunku. – Wzruszyła ramionami. – Jest sprytny. Otoczył się ludźmi, którzy są całkowicie od niego zależni i dzięki temu może na nich polegać. Zetknęliście się kiedyś z jego osobistymi sługami? Są z tej samej gliny, co on. Ciągnie swój do swego. Nie tak dawno temu prądy wyniosły ciało młodej dziewczyny. Myślę, że to była jego robota. Popełnili błąd, nie pozbyli się ciała porządnie.

Valer milczał i zastanawiał się, na ile może temu wszystkiemu wierzyć. Obawiał się jednak, że to całkowita prawda.

– Dobrze wam radzę, oficerze, uważajcie na swoją damę najlepiej, jak tylko potraficie – dodała jeszcze. – A teraz muszę was prosić, abyscie mnie już zostawili w spokoju. Jestem zmęczona. Niedobre wspomnienia.

Valer podziękował, pożegnał się zwięźle i ruszył do wyjścia. Gospodyni nie odprowadziła go, pozostała na swoim miejscu, wyczerpana. Wydało mu się, że słyszy za sobą dźwięk odkorkowywanej butelki. Dowiedział się, czego potrzebował, ale źle się z tym czuł. Kobietę powrót do bolesnych wspomnień dużo kosztował.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, zatrzymał się pod arkadą. W jednej chwili zapomniał o markizie i wszystkim, co się z nim wiązało, i skoncentrował się na mężczyznach, którzy gdzieś tu na niego czekali. Dlaczego go śledzili? Dla kogo pracowali? Co to za jedni? Wydawało się oczywiste, że nie są to po prostu pospolite złodziejaski. Gdyby wrócił z powrotem na targowisko, pewnie by się im wymknął, ale nie na tym mu zależało. Chciał się dowiedzieć, kim są, o co im chodzi. Po krótkim wahaniu wydobyl z pochwy nóż i ruszył ulicą ze zwieszoną głową, niczym ktoś wymęczony upałem.

Nie rozglądał się, szedł przed siebie, jakby wiedział, dokąd zmierza. Wnioskując z szumu przyboju, ulica wiodła wzdłuż nabrzeża. Mnóstwo domów było zaniedbanych, niektóre wręcz w ruinie. Znajdował się po nawietrznej stronie półwyspu, nierzadko niepokojonej sztormami. Nieruchomości wystawiano tu za najniższe ceny. Niemniej i te domy były kiedyś nowe, a niektóre z nich całkiem

przy tym wystawne. Na skrzyżowaniu zatrzymał się i niepewnie rozejrzał, jakby nie mógł się zdecydować, w którą stronę dalej. W trakcie jego wizyty u pani Kurtny sješta dobiegła końca, w dali na bardziej uczęszczanych ulicach dostrzegął wzmagający się ruch. Widział ludzi poobwieszanych tobołami i koszami z najróżniejszymi towarami, pchających lub ciągnących małe wózki.

Zza rozlatującego się muru wychynęli dwaj mężczyźni pogrążeni w rozmowie, z wyglądu rybacy. Swoich prześladowców nigdzie nie widział. Może ich niechcący zgubił. Tamci dwaj minęli go, nie poświęcając mu uwagi.

Ostrzegł go instynkt wspomagany treningiem i doświadczeniem. Przyklęknął, robiąc unik, równocześnie pochylił głowę, jak się dało najbardziej do przodu. Pętla zatrzymała mu się na brodzie. Pochylił całe ciało mocniej, obniżył środek ciężkości. Drugi fałszywy rybak już na niego szedł z ostrzem w rękę. Sznur miał go tylko spowolnić, stał zabić.

Valer kopnął, trafił mężczyznę wysoko w pierś, co odrzuciło go w tył i zwolniło nacisk zarzuconej pętli na brodę. Na chwilę tylko. Jego przeciwnik zaparł się o plecy kapitana kolaniem. Valer jednak przez cały ten czas trzymał ukryty w lewej ręce nóż z ostrzem skierowanym ku górze i dźgnął nim teraz w tył, w korpus pod żebra. Odkopnięty zabójca już był z powrotem w akcji, z zaciętym wyrazem twarzy i ostrą klingą w garści próbował wyprowadzić cios. Ucisk sznura trochę zelżał, ale nie na tyle, aby Valer mógł się wyswobodzić. Z całej siły obrócił nożem tkwiącym w napastniku za jego plecami, równocześnie wyciągnął przed siebie prawą rękę. Trzymał w niej już przygotowany drugi nóż. Twarz atakującego momentalnie zalała się krwią, mimo to jednak zdołał się dostać do Valera i go pchnąć. Tylko raz, bo Valer był szybszy i trafił go dwa razy w miejsce, gdzie obojczyk przechodzi w szyję. Za drugim razem szczęśliwym trafem ugodził w aortę. Dusiciel za nim nie zdołał wreszcie utrzymać wagi dwóch ciał i wszyscy trzej zwalili się na ziemię.

Valer błyskawicznie odtoczył się na stronę, instynktownie kierując się pod ścianę, by zapewnić sobie ochronę za plecami.

Nikogo więcej wokół jednak nie było, jedynie ludzie przemierzający pobliskie skrzyżowanie, którzy błyskawicznej potyczki albo nie widzieli, albo widzieć nie chcieli.

Oddychając szybko, Valer sprawdził pierś. Zabójca z rozciętą twarzą, padając, nieomylnie celował w serce. Na dłoni kapitan dostrzegł niewielki ślad krwi. Ostrze przeszło przez kaftan, przesywanicę, kolczą koszulę i pod nią cienką tunikę, ale ciała sięgnął jedynie czubek. Bolało jak cholera, możliwe, że miał draśnięte żebro, ale to było wszystko.

Spojrzeniem skontrolował swoich napastników. Ten ze sztyletem – był to sztylet z bardzo wąskim, minimalnie tylko się rozszerzającym ostrzem – już nie żył. Dusiciel leżał na ziemi, ręce przyciskał do rany, między palcami ciekła mu krew, która na twardej ziemi tworzyła coraz większą kałużę. Valer uświadomił sobie, że sam też cały lepi się od krwi, ale nie przejmował się tym. Nie była jego.

– Czemu próbowaliście mnie zabić? – zapytał.

– Kurwa, jaki ty byłeś szybki... Taki szybki... – wycharczał zabójca.

– Czemu próbowaliście mnie zabić? – powtórzył Valer.

– Pomożesz mi? Opatrz mnie, to ci wszystko powiem – odpowiedział tamten słabym, ale przytomnym głosem.

Był w wieku jego własnych ludzi, ocenił Valer, a to znaczyło bardzo młody. I chciał przeżyć za wszelką cenę.

– Mów.

Kapitan oderwał kawałek materiału z szaty tamtego, zwinął go w kłębek i docisnął do rany. Mężczyzna jęknął.

– Przytrzymaj. Wytnę drugi kawałek i przewiążę, ale ty mów albo cię zostawię.

– Dobra, dobra... Kurwa, ale to boli.

Valer pracował metodycznie, pewnie, jak został wyuczony. Nie była to pierwsza rana, którą musiał opatrywać.

– Mów.

– Robota była. Dostałem namiar, że ktoś chce się pozbyć kogoś niebezpiecznego. Zabójcy albo wojskowego. Oczywiście, za odpowiednią zapłatą.

Valer skończył zawiązywać prowizoryczną opaskę i jednym ruchem ściągnął pasek z leżącego obok trupa.

– Unieś się trochę i mów – przykazał.

– Wiedziałem, że paru chętnych już było. Paserka to główniana robota, rąbnąć kogoś to łatwa kasa.

Valerowi wydało się, że w coraz to słabszym i bardziej chrapliwym głosie usłyszał nutę rozbawienia. Zaciągnął pas, strumień krwi zmniejszył się, ale ciemnoczerwona kałuża była niepokojąco wielka. Tamten już nawet nie jęknął. Kolejny niedobry znak.

– Przygotuję drugi opatrunek, dawaj dalej.

– Tyle że ich ten gość odprawił. Mnie powiedział, że wyglądali na za słabych, że na ciebie by nie starczyli. Że jesteś naprawdę dobry. Powiedziałem mu, jak to chcę rozegrać, jak to się robi z chłopakami, co sobie radzą z żelazem. We dwóch. Hury miał cię przytrzymać, ja dostać. Nasz stary, przeciwiczony numer. Nie uwierzyłbyś, jak to zawsze dobrze działało. Opłaciłem jeszcze dwóch chłopaków, żeby cię śledzili, co byś nas uprzednio nie zobaczył.

Mieli to dobrze obmyślane, Valer musiał im to przyznać. Mężczyzna zakasłał, otarł usta. Pokryły się nagle czerwienią, ale wydawał się nie być tego świadom.

– A kto was najął?

– Grubawy gość, średniego wzrostu, szeroki w ramionach. Udawał robotnika portowego, ale nie wierzyłem w to ani chwili.

– Gdzie miałeś odebrać resztę zapłaty?

Odpowiedzi już nie otrzymał. Zabójca zwiotczał, położył twarz w pył, krwawienie ustało. Valer zdusił przekleństwo. Przy dopiero co zmarłym wydało mu się niestosowne. Szybko przeszukał obu i oprócz nieciekawych drobiazgów znalazł przy każdym po pięćdziesiąt złotych. Zapewne zaliczka za robotę. Zorientował się przy tym, że ludzie na najbliższym skrzyżowaniu zaczynają wskazywać na niego palcami. Ruszył w najbliższą boczną uliczkę, aby im zniknąć z widoku. Nikt go nie śledził.

Był niezadowolony. Od umierającego zabójcy nie dowiedział się praktycznie niczego. Tyle tylko, że chociaż zyskał sto złotych.

Klanowa polityka



Janick z ulgą dopisał ostatnią literę, dmuchnął na inkaust, po czym delikatnie otarł stalówkę o lnianą ściereczkę. Na piórach, inkaucie, papierze nigdy nie oszczędzał. Nauczył się, że dobrej jakości przybory oszczędzają czas i pracę, pozwalają mu skupić się na ważniejszych sprawach. Zakręcił kałamarz i przyjrzał się zapisanej po obu stronach równym, starannym pismem kartce. Po kilku godzinach pracy skończył wreszcie katalogować zdobycze z licytacji.

Księgi, notatniki, czasem tylko pojedyncze strony leżały rozłożone przed nim na podłodze, tak by mógł mieć każdy egzemplarz przed oczami. W sumie na aukcji nakupił przedmiotów za szesnaście tysięcy siedemset dwanaście złotych. Ogromna suma, ale Janick nie żałował. Czuł, a potwierdzały to wszystkie informacje, jakimi dysponował, że trafił na źródło wiedzy, które pomoże mu w lepszym zrozumieniu magii. A było to przecież to, co interesowało go najbardziej.

Na dziesięciu stronach zapisał pieczołowicie wszelkie informacje dotyczące nowych dodatków do biblioteki. Nad spisem pracował przez ostatnie dwanaście godzin. Na każdy wolumin pozwolił sobie poświęcić najwyżej pięć minut, w innym przypadku z pewnością by się zaczytał, jednak w pierwszej kolejności musiał skupić się na tym, co w tej chwili najistotniejsze. Niestety, nie mógł przeznaczyć na przeglądanie ksiąg i dokumentów tyle czasu, ile by sobie życzył, sprawy związane z codziennym życiem klanu też wymagały jego uwagi.

Rozległo się pukanie do drzwi, Janick nie musiał nawet zgadywać, wystarczyło się odrobinę skoncentrować i już patrzył na drzwi od drugiej strony mizernym wzrokiem Byvneta.

Mężczyzna wszedł do pracowni swoim zwykłym szurającym krokiem i dał znak na migi, że zbliża się czas wieczery. Janick skinął głową. Byvnet przypominał mu o tym na jego własne żądanie. W ostatnim czasie Janick ze wspólnych śniadań i wieczery starał się uczynić swoisty rytuał, który pozwalał mu pozostać w bliższym kontakcie ze wszystkimi członkami klanu, ale także efektywniej demonstrować swoją zwierzchność. Zaczęło to działać całkiem sprawnie od momentu, kiedy dzięki Klinsmanowi jakość serwowanego jedzenia i napitków znacznie się poprawiła. Ludzie przestali szukać wymówek, aby jeść na mieście, choćby i za własne pieniądze, i większość z nich regularnie zbierała się w prowizorycznej jadalni na wspólne posiłki. Janick wręcz zwiększył Klinsmanowi budżet na wino i piwo, które serwowano do kolacji. Dzięki temu wieczorami zbierali się praktycznie wszyscy. Jego dwaj główni konkurenci, Lavaroti i Buerpo, szybko się zorientowali i zawsze byli obecni. Obaj wyczuwali, że Janickowi udaje się podreperować mocno nadwyrężony autorytet, i szukali okazji, aby mu w tym przeszkodzić.

– Coś się dziś szykuje, panie, takie mam przeczucie.

Janick popatrzył na Byvneta zaskoczony. Niemowa przemówił? Mężczyzna stał cierpliwie, czekając, aż jego pan uniesie się z fotela albo wyda mu jakieś polecenie.

– Widziałem, jak Buerpo o czymś rozprawiał ze swoimi ludźmi. Jak mnie zobaczyli, zamilkli.

Janick zorientował się, że wyraźnie słyszy myśli swego sługi. I że tamten doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Jak to możliwe? – spytał.

Nie wiem – otrzymał odpowiedź. Próbowałem wam podsuwać moje myśli już od dawna i czasem coś tam się przedostawało. Zakładaliście pewnie, że się wam udaje odgadnąć, co próbuję powiedzieć, po moich gestach czy jakoś tak. Możecie się z czasem nauczyć. A może to przez tę ZMIANĘ.

Janick od razu wiedział, że Byvnet ma na myśli te dwa dni, podczas których większość ludzi z magicznym talentem leżała sparaliżowana niewyjaśnionym udarem. Było to interesujące samo

w sobie i oferowało ciekawe spojrzenie na kwestię telepatii, aczkolwiek obecnie musiał się skupić na istotniejszych kwestiach. Jeśli Buerpo rzeczywiście coś knuł, mogło to być niebezpieczne. Może trzeba było zlecić zabójcy, żeby się go pozbył. Posłuchałby? Janick nie wiedział, ale być może warto spróbować. Co miał do stracenia? Buerpo był niebezpieczny, do tego potrafił naprawdę czarować. To przyciągało innych. Grupa jego popleczników była najbardziej ze wszystkich skonsolidowana, najradykałniejsza.

Janick wstał, podszedł do komódki, w której trzymał to, co poza księgami miał najcenniejszego, i zaczął przebierać w swojej skromnej kolekcji starożytnych artefaktów. Uzupełnił ją kilkoma obiecującymi okazami z licytacji, ale nie wiedział jeszcze, jak z nich korzystać. Na koniec sięgnął po medalion zawieszony na pokrytym patyną srebrnym łańcuszku. Tworzyło go kilka drobnych kryształów i kamieni szlachetnych osadzonych w srebrze. W zamierzchłej przeszłości podobne medaliony były bardzo powszechne i o ile Janick zdołał prawidłowo przetłumaczyć jego nazwę, był to amulet przeciw niedoli. Miał jeszcze rubinowy kryształ, w którym zawarte było zaklęcie spopielające, jak również i ładunek mocy wystarczający, by je aktywować, ale gdyby zdecydował się go użyć, wszyscy natychmiast zorientowaliby się, że sam mocą nie włada, i jego pozycja byłaby jeszcze bardziej zagrożona.

Czy mógł na kimś polegać? Jeśli już, to na Byvnecie. Co do pozostałych, gdyby musiał stawić czoła rewolcie Buerpa, nie mógł być pewien niczego. Zbyt długo zaniedbywał swoją pozycję, polegał na tym, że na stanowisku osadził go sam Varatchi. Tyle że Varatchi znajdował się daleko, co wpływało na poczucie swoistej niezależności u pozostałych. Powinien był zacząć pracować nad lojalnością klanu już wcześniej, a nie dopiero tu, w Grafzaty. Niestety, uważał to wtedy za zbyteczne, za rzecz, która go rozpraszała przy tej dużo bardziej istotnej pracy – studiowaniu magii. Tymczasem doszło do tego, że jeśli nie zdoła opanować sytuacji, nie będzie mowy o żadnym studiowaniu.

– Prosiłbym, abyście się pojawili na wieczerzy i stanęli przy moim boku – powiedział.

Jak mi pomożesz, zapamiętam to. Potrzebuję cię, dodał w myślach i zląkł się, że zbyt GŁOŚNO i że Byvnet mógł to USŁYSZEĆ. Z drugiej strony aż tak bardzo to nie wadziło.

Oczywiście, panie – zabrzmiała odpowiedź i Janick jeszcze raz musiał spojrzeć na swego sługę, aby się upewnić, że było to jedynie w myślach.

Jadalnia, jak zawsze, kiedy się w niej wszyscy zbierali, wydawała się mała i zatłoczona. Janick przesunął spojrzeniem po obecnych. Nie brakowało nikogo. Przypadek czy część planu Buerpa? Nie miał pojęcia. Przybrał swój zwykły wyraz twarzy, surowy i nieobecny. Przynajmniej taka była jego intencja. Przeżył gorsze rzeczy. Przedzieranie się przez Brunatne Bagna i Randskie Moczary w towarzystwie zabójcy, którego próbował zniszczyć zaklęciem pustoszącym ludzką osobowość. I wiele innych. Tyle że wspomnienia nie mogły mu dzisiaj pomóc. Usiadł. Szmer rozmów ucichł, wszyscy czekali, aż zajmie miejsce i da znak, aby służba zaczęła rozlewać wino. Rozplanowanie, gdzie kto powinien siedzieć, zajęło mu cały wieczór myślenia, ale był zadowolony z efektów. Buerpo i Lavaroti próbowali kontynuować konwersację, ale pozostali stopniowo cichli.

– Jakie dziś mamy wino? – zwrócił się do Klinsmana.

– Czerwony bebouchet. Trzyletni.

Janick nie miał pojęcia, co to znaczy, ale pełen uznania pomruk wokół stołu oznaczał, że Klinsman wybrał dobrze.

– Zaprawdę cieszy mnie to – odpowiedział.

Spróbował włożyć w swój głos odrobinę entuzjazmu i czekał, aż pozostali się uspokoją. W końcu ciszę przerywali swą rozmową już tylko Buerpo z Lavarotim, ale i oni pod karcącymi spojrzeniami zamilkli.

Janick dał znak służbie, aby zaczęła serwować jedzenie i picie. Trochę się uspokoił. Przebieg wieczery nie odbiegał od większości poprzednich. W chwili kiedy odniesiono naczynia, przyjrzał się swoim ludziom. Zrozumiał, że nadchodzi ryzykowny moment. Wprawdzie Byvnet ostrzegł go przed Buerpem, ale Lavaroti był niebezpieczniejszy.

– Mamy jeszcze jakieś wino? – zwrócił się do Klinsmana.

- Kupiłem zapasy na cały tydzień. Są w piwnicy.
- Niech służba przygotuje karafy, gdy dam sygnał. Dziękuję.

Młody mężczyzna skinął tylko głową. Lavaroti zastukał łyżką o kielich, czym przyciągnął uwagę wszystkich zebranych.

– W ramach wieczerzy, kiedy my, członkowie klanu, schodzimy się tu w przerwie między naszymi znojnymi powinnościami, chciałbym z wami, braćmi moimi, poruszyć pewne sprawy ważne dla nas wszystkich.

Jego dźwięczny głos i nieoczekiwane słowa przykuły uwagę zebranych. Janickowi jakby coś nagle zaczęło rosnąć w gardle. Poczul się zagubiony, nie wiedział, jak ma bronić swojej pozycji wśród ludzi władających magią lepiej niż on.

- Dalej proszę, do rzeczy – powiedział, zaskakując sam siebie.

Lavaroti spojrział na niego z wściekłością. Zabrzmiało to, jakby włodarz zezwalał służbie na zabranie głosu, ale czarodziej nie mógł już teraz nic na to poradzić.

– Cały czas nasz klan zмага się z niedostatkiem środków, klepiemy biedę z nędzą, niemalże głodujemy...

– Ja tam się obzarłem – rzucił ktoś z dalszego miejsca i kilka osób się roześmiało.

Janick nie pamiętał jego imienia, ale zanotował sobie w głowie, że będzie to musiał naprawić. Oczywiście, o ile czekała go w roli mistrza klanu jeszcze jakakolwiek przyszłość.

– Bywało mi w życiu gorzej – dodał od siebie i czekał, jak zareaguje na to Lavaroti.

Tamten jakby tylko na to czekał.

– No i właśnie! My tu przymieramy, a jeden z nas przepuszcza niebotyczne sumy na jakieś bezużyteczne starocie! Wyście na licytacji majątku Cermichaelów wyrzucili w błoto ponad dziesięć tysięcy złotych! Tych pieniędzy klan mógł użyć znacznie lepiej. Zaprzeczycie?!

Wymieniona suma zaparła wszystkim dech w piersiach. Janick poderwał się rozgniewany, zaskakując samego siebie gwałtowną reakcją. Lavaroti wprawdzie potrafił używać magii, ale w tej chwili Janick nawet o tym nie myślał. Nie rozumiał, jak ktoś, kto włada tak

wielkim magicznym talentem, może być równocześnie tak krótkowzroczny.

– Wiedza, poznanie magii są ważne dla każdego czarodzieja – powiódł wzrokiem po zebranych – ale dla klanu to jest rzecz najważniejsza. Dzięki własnej inicjatywie zyskałem środki na to, aby wzbogacić klan. A może ktoś jeszcze zdołał zarobić na własną rękę kilkadziesiąt tysięcy i wydał je na starodruki, artefakty i inne przedmioty, które pomogą nam we władaniu magią? No że też ja o tym nie słyszałem!

Wystarczyło mu, że przypomniał sobie, jak się bał przy odbiorze zapłaty, przy kontaktach z tajemniczym klientem, podczas audiencji u chlebodawcy i pana, i jego złość przeszła we wściekłość.

– Siedzę tutaj z wami, jem to samo jedzenie, piję to samo wino i wszystko, co robię, wszystko robię dla klanu!

– Gadanie! Próbujesz się bronić, usprawiedliwić, jak to na nasz rachunek się wzbogaciłeś!

Janick obrócił się wprost do Lavarotiego. Sto, tysiąc razy uczył go, trenował, starał się mu pomóc w przyswojeniu magicznych diagramów i ich aktywacji. I czuł teraz wyraźnie, że tamten próbuje użyć przeciw niemu magii.

– Jestem wielkim mistrzem, nie muszę nikomu przedstawiać rachunków – odpowiedział sucho, starając się z całych sił opanować.

Chciał, aby Lavaroti ochłonął, nie chciał ryzykować magicznego ataku, przed którym nie był w stanie się obronić.

– Wiem najlepiej, co jest dobre dla klanu, właśnie dlatego jestem wielkim mistrzem – powiedział, równocześnie uświadamiając sobie, że to przecież prawda.

Jako samotny czarodziej nie miałby szans, ale jako mistrz klanu, przywódca, za którym pójda inni, być może w przyszłości mógłby uniezależnić się od Varatchiego.

Jednak Lavaroti już podjął decyzję.

– Mag musi umieć czarować – rzucił wściekle i nie wstając, wyciągnął przed siebie ręce, złączył dłonie i obrócił je przeciw Janickowi.

Temu nawet jego mizerny talent wystarczył, by wyczuć narastającą moc. Wyglądało na to, iż nie było to zakłęcie, które pomagał Lavarotiemu opanować. Musiał pracować sam, w utajeniu, dobrze się na ten moment przygotował. Janick czuł ogromny strumień napierającej mocy. OPARŁ się jej, przez chwilę myślał, że w niej spłonie, jednak siła przenikła go na wskroś i dalej siedział nietknięty, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

Amulet przeciw niedoli zadziałał lepiej, niż Janick mógł sobie wyobrazić. Jakimś cudownym sposobem ukierunkował instynktowną obronę i wzmocnił ją na tyle, że okazała się skuteczna. Lavaroti gapił się osłupiały, nie rozumiejąc, co się właśnie wydarzyło. Wszyscy pozostali zrozumieli, że byli świadkami morderczego ataku, który z jakiegoś powodu zakończył się porażką. Janick zaklął. Gdyby się lepiej przygotował, mógłby zabić Lavarotiego tu i teraz, jednak nie miał do dyspozycji żadnego czaru, którym mógłby się posłużyć. Aktywnego kamienia z naładowanym zaklęciem też ze sobą nie wziął.

Uświadomił sobie, że Byvnet stoi tuż za Lavarotim. Nawet nie zauważył, kiedy sługa się tam przemieścił. Przy jego powolnym człapaniu musiało to zająć mnóstwo czasu.

To jest ten właściwy moment, jeśli chcesz mi pomóc – myślał intensywnie. Aczkolwiek nie wiem jak, dodał już do siebie. Byłbym ci wdzięczny.

Stary, zniedołężniały mężczyzna sięgnął do kieszeni, skrzyżował ręce i płynnym, niespiesznym ruchem zarzucił Lavarotiemu coś przez głowę. Nie było widać co. Czarodziej stężał, sięgnął do gardła. Janick zrozumiał, że to garota. Młody czarodziej spróbował strunę chwycić i odciągnąć od szyi, jego palce natychmiast pokryły się krwią. Sługa zaparł się kolanem o oparcie krzesła i zacisnął pętlę mocniej. Lavaroti jęknął, stal zgrzytnęła na kostkach palców, nie zdołał opanować bólu, poddał się. Krótkotrwałe charczenie przeciętej tchawicy zmieszało się z bulgotaniem krwi wypływającej z aorty. Janick myślał, że będzie tryskać na wszystkie strony, ale ściekała jedynie pulsującymi falami po piersi Lavarotiego. Z czasem

pulsowanie zaczęło zanikać, aż całkiem ustało i człowiek zamienił się w trupa.

Janick stłumił odruch wymiotny, odetchnął głęboko. Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy patrzyli zaszokowani na Lavarotiego.

– Jest mi przykro, że zdradził mnie człowiek, którego sam uczyłem – powiedział Janick spokojnie i uświadomił sobie, że wcale nie kłamie. – Kosztowało mnie to wiele wysiłku, żeby zdołał zdobyć zdolności, za pomocą których próbował mnie zabić. Magia jest niebezpieczna i dla nas samych. Właśnie dlatego musimy jak najlepiej ją poznać, zrozumieć, nauczyć się nią władać.

Kiedy mówił o rzeczach, w które sam wierzył, jego głos stawał się pewniejszy, mocniejszy.

– Jeśli nie będziemy uważni, magia może nas odmienić, może nas zniszczyć. Mój student Lavaroti był pionierem, chciał przecierać nowe szlaki, ale przyszło mu za to zapłacić. Nie osądzajmy go! Jutro pochowamy go jako jednego z nas, czarodzieja, który nie podołał naporowi magii i zapłacił za to utratą zmysłów.

Widział, jak wielu z nich nagle ulżyło. Zapamiętał dobrze którym.

– Później zapoznam was ze spisem nowych nabytków do skarbnicy wiedzy klanu.

Przyglądał się, jak Byvnet organizuje służbę, aby mu pomogli wynieść ciało i posprzątać po tym, co się wydarzyło.

– Zaserwujcie najlepsze wino, jakie mamy – przykazał Janick Klinsmanowi półgłosem – i nie oszczędzajcie go.

Sam się napił, aby dać przykład pozostałym. Własna improwizacja zaskoczyła go. Najgorliwiej za jego przykładem poszli członkowie dotychczasowej klikki Lavarotiego.

Co obiecałem, słowa dotrzymam. Dziękuję za waszą pomoc – posłał w myślach Byvnetowi.

Stary mężczyzna wrócił do sali przebrany w czyste szaty.

Cieszę się, że mogłem pomóc, panie.

Dziel i rządź, i nagradzaj tych, którzy ci pomagają, przypomniał sobie Janick. Jeśli chciał wciąż studiować magię, jeśli chciał nadal

być wielkim mistrzem, musiał żyć według tych zasad. Tak jak Varatchi i inni wielcy tego świata.

Spragniona pogawędka



Wreszcie przestało mi być zimno. Zamrugalem oczami. Siedziałem pośrodku plamy słońca, utworzonej przez blask wpadający z zewnątrz przez wielkie okno. Przeszkłone okno. Było tak dobrej jakości, że fasady domów po przeciwnej stronie ulicy nie wyglądały nawet, jakby chybotwały się podczas trzęsienia ziemi na sekundę przed zawaleniem. Promienie grzały mnie przyjemnie, chłonałem ciepło każdym skrawkiem mojego ciała. Już dawno nie czułem się lepiej. Zamknąłem oczy i spróbowałem na powrót zanurzyć się w... nie byłem pewien i nie dane mi było się skupić, by sobie przypomnieć, bo przeszkodziło mi jęczenie.

– Proszę... proszę... daj mi się napić.

Głos był schrypnięty, ledwo rozumiałem słowa. Próbowałem go ignorować, ale nie szło mi, wdzierał się w uszy. Dotarło do mnie, że spoglądam na leżącego pod moimi nogami związanego mężczyznę. Wyglądał na dość sponiewieranego. Gorzej, wyglądał na umierającego. I całkiem niedawno musiał stracić ucho.

– A ty co za jeden? – spytałem go. – I czemu mnie nie zostawisz w spokoju?

– To ty jesteś w moim domu – wychrypiał.

Rozejrzałem się. Nic mi to miejsce nie mówiło. Znajdowałem się w cudzym domu, ze związanym, umierającym gościem na podłodze. Rzeczy zaczynały się układać, stopniowo wracała mi pamięć.

– Jesteś Elest Vyet – przypomniało mi się.

– Jestem, jestem – potwierdził.

To już był jakiś postęp.

– A co ci takiego zrobiłem, że wyglądasz, jakbyś umierał?

Pytałem zupełnie poważnie, ponieważ nie pamiętałem, abym z nim walczył czy po prostu go obił. Potrzebowałem małej podpowiedzi.

– Czwarty dzień tu leżę, nie dałeś mi nic do picia. Zdycham z pragnienia.

Związany czwarty dzień? Nic mi fekaliami nie zajeżdżało, może zdążyły wyschnąć. Podniosłem się, na stole dostrzegłem zakorkowaną, na wpół pełną karafkę. Woda nie była specjalnie przejrzysta, stała tam już z pewnością ładnych kilka dni. Nie wydawało mi się, aby Elestowi Vyetowi, facetowi ściągającemu haracz od gangów, miało to przeszkadzać. Z szafki wziąłem małą szklanekę, napełniłem ją i dałem mu się napić.

– Wszystko ci powiem, wszystko! – zarzekał się. – Tylko puść mnie wolno!

Bał się mnie, śmiertelnie się mnie bał, widziałem to wyraźnie w jego oczach, w jego przerażonym obliczu. Jeszcze nigdy w życiu nikt się mnie tak bardzo nie bał. Nie rozumiałem tego.

– Czemu się mnie tak boisz? – spytałem go.

Jak człowiek czegoś nie łapie, najlepiej zapytać. No i, oczywiście, zadać pytanie w odpowiedni sposób.

– Bo od czterech dni stoisz nade mną jak posąg, ani się ruszysz. I przez cały ten czas nic nie piłeś, jak ja.

A więc o to chodziło. Coś się ze mną działo. Ze mną albo ze światem wokół mnie, ale to wiedziałem już dawno i mało się tym przejmowałem.

– Przyniosę coś do picia – powiedziałem – i do jedzenia.

Nie powinienem zapominać o odżywianiu, z pewnością nie przed walką na arenie.

– Przy posiłku sobie pogadamy.

Mój głos brzmiał teraz całkiem normalnie, nieomal cywilizowanie. Zatkaną Vyetowi usta kneblem. Nie chciałem, żeby wołał o pomoc, jak mnie nie będzie. Uświadomiłem sobie, że knebel nie jest mój, ja takich rzeczy nie używam. Musiałem go znaleźć gdzieś tutaj, jak przyszedłem z Vyetem. Zawsze to fajnie, jak człowiek może znaleźć narzędzia na miejscu. Wychodząc,

usłyszałem za sobą tylko stłumione, zdesperowane stękanie. Pewnie się bał, że już nie wrócę.

U pierwszego napotkanego sprzedawcy kupiłem dwie wielkie porcje kiełbas, pikantny pasztet z ośmiornicy, na kolejnym straganie cztery steki z rekina. Do tego mieszek wina, mieszek wody i trzylitrowy dzban z piwem. Co do tego wina nie byłem do końca przekonany, bo kosztowało mniej niż woda. Za to wychłodzone piwo było pieruńsko drogie.

Jeszcze nigdy w życiu nikt mnie nie witał bardziej błagalnie, wdzięcznie, bardziej entuzjastycznie niż Elest Vyet. Pozwoliłem mu usiąść z plecami opartymi o ścianę i uwolniłem mu jedną rękę. Drugą pozostawiłem przywiązaną do ciała. Do tego postawiłem przed nim tacki z jedzeniem i szklankę wody. Natychmiast ją wychylił, wydało mi się, że aż zasyczało. Pozwoliłem mu jeszcze na drugą, a trzecią rozrobiłem pół na pół z winem. W miarę jak mu się nawadniał mózg i inne tkanki, do oczu powróciły przebłyski inteligencji i oporu.

– Jesteś kolektorem, zbierasz haracz od gangsterów – zacząłem temat.

Może z tą trzecią szklanką przesadziłem, trzeba go było przytrzymać trochę bardziej odwodnionego.

– Wody, proszę. – Wyciągnął ku mnie pustą szklankę.

Pokręciłem głową. Zrozumiał.

– No owszem, ściągałem pieniądze od ludzi, którzy kontrolowali części miasta będące w mojej pieczy.

Mieszek z wodą trzymałem w ręce, ale czekałem dalej.

– Mała dzielnica restauracyjna, okolice Targu Kuzskiego i Nawietrznej Ostrogi, biedna okolica, praktycznie niewarta zachodu, ale musiałem się zajmować i nią.

Nalałem mu trochę wody i zanim zdążył po nią sięgnąć, dopełniłem winem. Wzruszył ramionami, ale wypił.

Znów odczuwałem intensywne ciepło przenikającego oknem słonecznego światła, rozlewające się do najdrobniejszych cząstek mojego ciała. Może już nie musiałem jeść? Dziwna myśl. Wgryzłem się w kiełbasę. Była soczysta, przyjemnie pikantna. Spłukałem ją

piwem z wielkiego dzbana. Pasztet z ośmiornicy na chrupiącym placku wyciskał łzy z oczu, wszystko smakowało doskonale. Wiedziałem, że to tymczasowe, że niedługo znów jedzenie straci woń i smak, świat swoje barwy. A ludzie twarze. Ale na tych mi nie zależało, może poza kilkoma wyjątkami. Zastanawiałem się chwilę, co takiego mógł oznaczać mój czterodniowy trans. O ile rzeczywiście trwał tak długo, ale nie wydawało mi się, żeby Vyet kłamał. Wyglądał na naprawdę spragnionego. Zmieniałem się. Zmieniałem się już od kilku lat, ale w ostatnim czasie ten proces przyspieszył. Możliwe, że gdybym bardziej interesował się tym, co się ze mną działo, gdybym się skoncentrował na drobnych zmianach i je śledził, zdołałbym cały ten proces opanować, wykorzystać. Tyle że na żadnych korzyściach mi nie zależało, chciałem jedynie dotrzeć do końca. I po drodze sfinalizować tylko sprawę czy dwie.

Swoją uwagę znów obróciłem na gościa na podłodze, wszystko zależało teraz od niego, to jemu zaraz będę musiał przyłożyć. Wypytywanie męczyło mnie, nudziło. Gdyby to miało trwać zbyt długo, mogło skończyć się i tak, że go po prostu zatłukę.

– Mam mało czasu – powiedziałem. – Albo mi teraz wyśpiewasz wszystko, co chcę wiedzieć o tym twoim interesie, albo ci znowu zatkam gębę i cię tu po prostu zostawię. Jakie to uczucie zdychać bez picia, to już wiesz.

Chciał coś powiedzieć, ale złapałem go za gardło i znów zakneblowałem. Wszedłem na dwór, wprost na upał, i znów nakupiłem jedzenia i piwa. Wszystko to zjadłem i wypilem, tak jak stałem, przy straganie, w lejącym się z nieba żarze. Przyciągnąłem tym parę ciekawskich spojrzeń, ale nikt mnie o nic nie pytał. Kupiłem jeszcze jeden mieszek wina i dzban piwa i dopiero wtedy wróciłem do Vyeta.

Sądząc po ślinie cieknącej mu spod knebla i po tym, jak był spocony, starał się wyswobodzić z całej mocy. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, że wkrótce zabraknie mu na to sił.

– Już się namyśliłeś? – spytałem. Częściowo go rozwiązałem i zaproponowałem szklanekę wody z winem.

– No, namyśliłem. Jesteś wariat. – Pokręcił głową.

Wzruszyłem ramionami. Wariatem bym siebie nie nazwał. Bywało, że nazywano mnie potworem, to mi się wydawało bliższe prawdy.

– Nawijaj albo idę.

– Trochę handlowałem, znaczy kradzionym towarem. – Najwyraźniej postanowił zacząć od samego początku. – Nie tutaj, w Grafzaty, ale na obrzeżach.

Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem.

– Początkowo miałem tylko małą łódkę, skorupkę właściwie, ale szło mi nieźle. Zebrałem solidną grupę chłopaków i zarobiliśmy na większą łódź. Potem drugą i zanim się obejrzałem, mogłem zostać na brzegu, organizować towar, dawać w łapę urzędnikom.

Wodę z winem popijał małymi łyчками, szklanekę podtrzymywał sobie kolanem, jakby się bał, że jedną ręką jej nie utrzyma. Skinąłem głową. Vyet wyglądał na inteligentnego chłopaka, który wiedział, że łatwiej jest zarobić, kiedy kark za ciebie nadstawia ktoś inny.

– No i po paru tygodniach pojawił się u mnie osiłek, żądając, żebym mu płacił dziesięcinę, choć właściwie to chciał piętnaście procent. Wyglądał na takiego, co nawet nie wie, co to znaczy. – Vyet uśmiechnął się do wspomnień.

Oczywiście wiedziałem, że piętnaście procent z każdej stówki oznaczało piętnaście złotych. Liczyć pieniądze nauczyłem się wyśmienicie.

– Wywaliłem go na zbity pysk.

Wierzyłem mu. Było oczywiste, że potrafił sam o siebie zadbać, a w gospodzie Łysielca pokazał, że ma nerwy ze stali.

– Ponieważ ten gość mi groził, zacząłem być ostrożniejszy. Między moimi chłopakami byli nieźli twardziele, ale tym razem postanowiłem zapłacić za ochronę z zewnątrz. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

Dolałem mu trochę wody. Wina już lepiej nie, zaczynał mu się plątać język.

– Przyszło po mnie trzech, z gatunku tych najtwardszych, ale ja zapłaciłem za jakość. – Wzruszył ramionami. – Zaraz po tym, jakeśmy spławili ich ciała, zorientowałem się, że należeli do jednej

z paserskich band. Próbowałem między nimi trochę zamieszać. Przewoziłem wyłącznie najwyższej jakości towar na zamówienie, ale i tak zwrócili na mnie uwagę.

Znałem tę historię aż za dobrze, sam odgrywałem w niej rolę zbyt wiele razy. Małe ryby pożerane przez większe, a te większe przez rekiny.

– Wiedziałem, że nie mam wyboru, że muszę zareagować natychmiast, moi przeciwnicy byli o wiele silniejsi. Zaoferowałem moim ludziom wszystkie pieniądze, jakie tylko miałem, i weszliśmy w to.

Obserwowałem jego twarz. To były dla niego niewesołe wspomnienia. Vyet uniósł szklanę, sięgnąłem po wodę.

– Wino poproszę.

Nalałem mu trunku, wyglądało na to, że się rozgadał.

– Krew poląła się strumieniami, już myślałem, że przeholowałem, że skończę gdzieś z wyprutymi flakami albo na dnie morza w worku z kamieniami, jak wielu innych. W końcu jednak wytrwaliśmy i to ja zostałem nowym szefem.

Kręcił przy tym głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że udało mu się przeżyć.

– W trakcie tych wszystkich przepychanek albo ktoś wyżej zaczął tracić pieniądze, albo po prostu trupów zrobiło się zbyt wiele i w sprawę włączył się gubernator Grafzaty, wysyłając armię.

Vyet zaśmiał się. Wino zaczynało uderzać mu do głowy.

– A ja myślałem, że wiem, co to jatka... Nie cackali się z nami ani z nikim innym. Paser, rybak, zwykła biedota, nie zadawali pytań, szli po wszystkich równo. Straciłem tę resztę pieniędzy, którą jeszcze miałem. – Pokręcił głową. – Zapadłem tutaj, gdzie się ogarnąłem i kombinowałem, co dalej. Nie miałem ambicji bycia wielkim gangsterem, chciałem stałego przychodu i wygodnego życia. I wtedy dostałem list.

To brzmiało interesująco. W społeczności gangsterów i paserów listów się raczej nie wysyła. Jeśli już, to ucięte palce albo inne części ciała.

– Było w nim napisane, że zainteresowany zna dokładnie moją przeszłość, że z mojej winy poniósł znaczące szkody, ale uznaje, że było to spowodowane moją ignorancją, a nie złą wolą. I że dla człowieka o moich zdolnościach i doświadczeniu ma interesującą ofertę. W tej sprawie miałem się skontaktować z kancelarią prawną Lekerd i Syn.

Vyet mówił teraz niczym doświadczony kupiec albo prawnik, domyślałem się, że naśladuje ton listu.

– W pierwszej chwili chciałem uciekać, ale potem pomyślałem, że może warto spróbować.

Czekałem. Dolałem mu wina, sam pokrzepiłem się piwem.

– Prawnik przekazał mi stos dokumentów. Była wśród nich mapa miasta z zaznaczonymi rejonami, którymi się miałem opiekować.

– Zbierać haracz – uściśliłem.

– Podatek za wynajem, takiego terminu tam użyto. Miałem ściągać piętnaście procent, z tych piętnastu zatrzymywać dla siebie trzy. Autor listu pisał, że chodzi o dobrze ustalony układ, że miejscowi są przyzwyczajeni i wszystko powinno przebiegać bez problemów. Gdybym jednak natrafił na jakieś trudności, miałem go o tym poinformować i wszystko zostałoby załatwione. W takim wypadku jednak, z żalem – Vyet zaśmiał się, kładąc nacisk na to słowo – moja część na okres jednego roku byłaby pomniejszona o jedną trzecią.

Zastanawiałem się chwilę nad tym, co powiedział. To był bardzo, bardzo sprytny system.

– No i jak to szło?

– Z początku miałem obawy. Wyglądało to na raczej niebezpieczny interes. Poświęciłem trochę czasu, żeby się zaznajomić z sytuacją, która ulica, który interes należy do czyjego rewiru, kto się nim opiekuje. Zacząłem od Nawietrznego Nabrzeża, tam sam kiedyś działałem. Zaszedłem do starego Koutego, który tam trzymał pieczę. Trochę go znałem i miałem nadzieję, że pójdzie mi dzięki temu łatwiej.

Skończyło się piwo, wino się zagrzało, ale Vyetowi to nie przeszkadzało. Rozgadał się, zanurzył we wspomnieniach. Może

pomagało mu to rozliczyć się z terażniejszością, z faktem, że oto siedzi na wpół związany na podłodze, a od śmierci z pragnienia dzieliło go zaledwie kilka szklanek wody. Po raz pierwszy zainteresował się jedzeniem, sięgnął po kielbasę.

– Dałem się zaprowadzić prosto do niego i powiedziałem, że przychodzę po podatek za wynajem. Nawet mu brew nie drgnęła, wyłożył pieniądze na stół i powiedział, że cieszy się, że to właśnie ja do niego przychodzę, i że będzie nam się dobrze współpracowało.

Cisnęły mi się na usta rozmaite pytania, ale pozwoliłem mu kontynuować w jego własnym tempie.

– Potem zorientowałem się, że i pozostali szefowie gangów są skłonni płacić, że są przyzwyczajeni, iż raz w miesiącu zjawia się gość, który chce od nich piętnaście procent przychodów.

– Ale czemu płacili?

Vyet pokręcił głową.

– Sam tego nie rozumiałem. Wyglądało to tak, jakby byli po prostu przyzwyczajeni do płacenia, jakby szefowie nowych gangów, które się czasem pojawiały, wiedzieli, że płacić trzeba. Ale dlaczego, tego mi nikt nie powiedział. Było to dziwne, ale działało.

Na to z kolei znałem odpowiedź ja. Książę opowiadał mi o eksperymencie, który mu ktoś pokazał gdzieś na południu. Zamknięto małpy w klatce, w której pośrodku umieszczony był słup, a na jego szczycie kiść bananów. Małpy lubią banany. W chwili, kiedy najszybsza z małp zacznie się po nie wspinać, resztę małp polewa się zimną wodą. W przeciwieństwie do bananów tego małpy bardzo nie lubią. Po kilku takich zimnych łaźniach przestaną się bananami na tyczce interesować zupełnie. Kiedy jednak jedną z wytrenowanych małp podmienicie na nową, ta oczywiście natychmiast wyskoczy po banany. Na co pozostałe małpy jej nie zezwolą, ponieważ nie chcą być znów zmoczone zimną wodą. Za każdym razem, kiedy będzie próbować, nowa małpa dostanie łomot. Potem zamieniacie kolejną małpę i kolejną. Na koniec będziecie mieli pełną klatkę małp, które wiedzą, że leżąc na żerdzi po banany nie można, i które się nawzajem będą pilnować, by tego nie robić, ale równocześnie żadna z nich nie będzie miała pojęcia dlaczego.

Wyglądało na to, że tutaj ktoś to podobnie zaaranżował, tyle że z ludźmi.

– I zawsze wszyscy płacili? – dociekałem.

Vyet zamyślił się.

– Czasem pojawił się ktoś nowy, komu udało się wyrwać innym trochę terenu. Na początku zazwyczaj mnie wyrzucali albo nasyłali na mnie zbirów, ale ja byłem na to przygotowany. Odchodziłem bez pieniędzy, ale się nie mściłem. Posyłałem wiadomość komu trzeba – Vyet przybrał zadowolony wyraz twarzy, niczym kupiec, któremu udało się wynegocjować korzystny kontrakt – a przy tym mimochodem napomykałem o problemach z nowicjuszem moim pozostałym partnerom.

Miał na myśli gangsterów. Mówił z pełnymi ustami i nie wszystko dokładnie rozumiałem.

– Nie chciałem pozwolić, żeby malała moja część kasy. W większości przypadków, po tym jak się zaznajomili z miejscową sytuacją, zaczynali płacić. Ale dwa razy zainwestowałem w profesjonalną pomoc. Jakieś kontakty ze starych czasów wciąż mi zostały.

– I upewniłeś się, aby każdy się dowiedział, czemu dany delikwent wyciągnął kopyta – uzupełniłem.

– Można tak powiedzieć. Nie chciałem sobie psuć dobrze idącego interesu. W ciągu dwóch lat sytuacja się ustabilizowała, w ostatnich czasach odwiedzałem trzech, czterech największych bossów, którzy rządzą pomniejszymi. Aż się wszystko wzięło i posrało. Chaos, nowe twarze, kompletny burdel.

– A dlaczego nie próbowałeś swojego tajemniczego mocodawcy trochę naciągnąć? Uszczknąć nieco więcej?

Ludzka chciwość to jedyna cecha, na którą zawsze można liczyć.

– Wraz z ofertą roboty otrzymałem kilka stron tekstu, które opisywały, jak całkiem łatwo można określić, ile dane interesy powinny zarobić i jakie przy tym powinny być odsetki płynące na czarno. Gdybym kradł sporo, złapaliby mnie, kraść odrobinę po prostu się nie opłacało, zarabiałem więcej niż wystarczająco.

Rozumiałem to dzięki własnym doświadczeniom. Sam całymi latami ściągałem kasę z innych i wiedziałem, że kieszeń można sobie napychać tylko do pewnego momentu. Z trupa już złoto nie wycieka. Tajemniczy szef tej całej operacji wybierał pracowników bardzo starannie. Musieli być w stanie dobrze zrozumieć jego model biznesowy, tak aby nie próbowali sami robić nic na boku.

– Mimo wszystko... Coś cię nęcić musiało, pieniądz nigdy nie śmierdzi.

Vyet popatrzył na mnie poważnie.

– Kusilo. Ale dwa razy dostałem wiadomość. Za każdym razem o kimś, kto wykonywał podobną robotę. Znaleźli ich powieszonych na własnych jelitach, a ich ostatnim posiłkiem były własne jaja. Więc się rozmyśliłem.

Człowiek trzymający w garści miejscowy półświatek był inteligentny, może genialny, szczwany, doświadczony, a do tego bezwzględny i okrutny. Zaczynałem wątpić, czy uda mi się go znaleźć. Jediną nadzieją pozostawał szlak złota.

– Pieniądze zanosieś do banku, Pierwszego Imperialnego – skonstatowałem. – Jeśli teraz cokolwiek zataisz, urąbię ci łapę. Tę, w której trzymasz kiełbasę – dodałem.

Planowałem ciachnąć mu dwa palce, żeby mi się zaraz za bardzo nie wykrwawił. Może trzy, bo palec serdeczny i tak miał jakiś pokurczony.

– Zgadza się, do Pierwszego Imperialnego – potwierdził niepewnie.

– I wpłacałeś zawsze na to samo konto?

Vyet pokręcił głową.

– Nie. Do skrytki. Wybrać z niej może każdy, kto zna hasło i nazwę skrytki.

Skinąłem głową. To miało sens. Pierwszy Imperialny słynie z dyskrecji i wiarygodności. Ale wszystko ma swoje granice. Kiedy dyrektorowi oddziału przytknąć gębę do rozżarzonych węgli, nawet tajemnica bankowa przestaje być istotna. Skrytka na okaziciela ten problem rozwiązuje. Nikt zwyczajnie nie wie, kto będzie odbierał zawartość.

– Ale ty wiesz, kto chodził odbierać pieniądze, nie? Jesteś zbyt inteligentny, żeby się nie zainteresować i nie dowiedzieć.

Już myślałem, że Vyet pożegna się z palcami, ale po krótkim wahaniu potwierdził i bez dalszej zwłoki podał mi imię. Buddy Doughy. Tak głupiego imienia nikt by nie wymyślił, musiało być prawdziwe.

A podobno po dobroci niczego się nie da osiągnąć. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Na koniec wyswobodziłem Vyeta z pęt. Wstał i ruszył do wyjścia. Wszystko, czego chciałem się od niego dowiedzieć, już mi powiedział. Może powinienem go zabić, ale nie wydawało mi się to konieczne.

Na ulicy stanąłem i zacząłem się zastanawiać, co dalej. Było ciemno, z pobliskich murów wciąż biło ciepło. Może przyszedł moment, by podzielić się informacjami z Zuzanną i Valerem, ale normalni ludzie o tej porze śpią. Zdecydowałem, że pomyślę o wszystkim na spokojnie, jak się wyśpię. Rozejrzałem się, próbując odgadnąć, gdzie się znajduje pensjonat, w którym się zatrzymałem. Zaskrzybiały za mną drzwi, którymi właśnie wyszedłem. Pojawił się w nich Vyet z małym plecakiem na ramionach.

– Spieszysz się gdzieś? – spytałem go.

Nie wydawał się zaskoczony na mój widok.

– Jesteś pomyłony – powiedział rzeczowym tonem. – Byłem pewien, że umrę, że mnie zabijesz albo zostawisz związanego, niech zdycham bez wody.

Nie przerywałem mu.

– Mam przeczucie, że to miasto w najbliższej przyszłości nie będzie najlepszym miejscem, żeby w nim przebywać. Wiem, kiedy pora podnieść kotwicę.

Pozwoliłem mu odejść. Elest Vyet był mądrym człowiekiem, z pewnością dużo mądrzejszym ode mnie. Chociaż takich było akurat sporo, do czego zdążyłem przywyknąć.

Rendez-vous w kanałach



Vuki siedział w swoim skromnym pokoju z małym oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec. Wybrał sobie najtańsze lokum, bezpośrednio pod dachem. Kiedy słońce przetoczy się przez najwyższy punkt w trakcie codziennej wędrówki po niebie, w środku zrobi się gorąco nie do wytrzymania. Już nawet teraz, krótko po wschodzie, było nieprzyjemnie ciepło. Na razie, zdecydował, zostanie na miejscu i zastanowi się, co dalej. Ale najpierw przyniesie sobie dzban zimnego piwa z pobliskiej gospody, żeby mu się łatwiej myślało. Nigdy nie był zbyt dobry w planowaniu na dłuższą metę, jednak teraz miał poczucie, że to ważne, że jeśli podejmie niewłaściwą decyzję, wpakuje się w tarapaty.

Z kilkoma miedziakami w ręku i pustym dzbanem z poprzedniego dnia – nie zamierzał płacić drakońskiej kaucji – wyszedł z pokoju i zszedł ostrożnie po stromych schodach. Zauważył, że każdy jego krok podnosi mały obłok kurzu i starych pajęczyn, które kręciły go w nosie. Może nie powinien był aż tak oszczędzać, zasłużył na coś lepszego, przyszło mu do głowy. W gospodzie zamienił drobne i pusty dzban na dzban pełny, przy ulicznym straganie zatrzymał się po coś do zjedzenia. Wziął porcję smażonych krewetek w ostrym sosie, najdroższe, co mieli, ale idealne do piwa.

W pokoju ostrożnie odstawił krewetki i piwo, z beczki do przewozu mandarynek i pomarańczy, którą sam tu przyniósł, wyciągnął kawałek płótna, zarzucił je na stół jako obrus i rozłożył swoje menu. Śniadanie było dużo bogatsze, niż przez większość poprzednich lat mógł sobie pozwolić, do tego spożywane w samotności, w spokoju. Łyknął piwa, umoczył chrupiącą krewetkę w sosie i odgryzł połowę. Smakowała wyśmienicie. W Grafzaty wiodło mu się lepiej niż gdziekolwiek indziej, musiał to przyznać.

Czy było to spowodowane szczęściem, czy magicznym talentem, w trakcie pracy dla klanu Rumelkowego Vuki skorzystał więcej, niż ktokolwiek uznałby za możliwe. A przy tym był bardziej doświadczony, bardziej ostrożny, wygrywał jedynie niewielkie stawki i zmieniał miejsca gry. Gdyby naprawdę uważał, mógłby tu spędzić jeszcze kilka miesięcy. Może co nieco zaoszczędzić. Jak do tej pory uzbierał już prawie dziesięć złotych. Z drugiej jednak strony zostawać tu nie miał za bardzo ochoty. Klanowi był zbędny, miał przecież umrzeć w trakcie wykonywania ostatniego zlecenia dla wielkiego mistrza. Dobrze pamiętał, jak skończyły te dwa nieboraki, których najął do pomocy. A to oznaczało, że najlepsze dla zdrowia Vukiego byłoby zwiększenie dystansu pomiędzy nim a resztą klanu. Dochodził jeszcze ten mężczyzna, który go śledził. Na szczęście sparaliżował go atak, podobny jak i jego samego, ale silniejszy. Ten atak padaczki, czy co to tam było, stanowił kolejny powód, by miasto opuścić. Przez kilka kolejnych dni Vuki czuł się nieszczęśliwie, przeleżał je w łóżku, nie wychodząc z pokoju. Miał przeczucie, że wiązało się to jakoś z jego talentem magicznym i samą Grafzatą, ale do żadnych konkretniejszych wniosków nie zdołał dojść. Zostać czy odejść, obie możliwości miały swoje dobre i złe strony. Przez całe życie Vuki był przyzwyczajony ukrywać się, kluczyć, meandrować, uszczknąć co nieco dla siebie tu i ówdzie, a potem znowu gdzieś zapaść. Jeśli był w czymkolwiek dobry, to w umiejętności, by przeżyć między silniejszymi.

Zanim dojadł i dopił swoje późne śniadanie, miał już gotowy plan. Znajdzie inną stancję. Też skromną, ale gdzie indziej, tutaj pozostawał już zbyt długo. W jak najkrótszym czasie, ale wciąż z najwyższą ostrożnością, spróbuje podwoić swój aktualny majątek. Przy tej okazji poszuka pracy, przy której będzie się mógł rozejrzeć, jakie towary chodzą tu najlepiej i za najkorzystniejsze ceny. Potem odjedzie albo sam, albo z jakąś karawaną i spróbuje wrócić w przyszłym sezonie. Na przykład z małym ładunkiem starannie wybranych towarów. Oczywiście, o ile tymczasem nie nawinie się coś innego. Ale był to plan i Vuki był z niego zadowolony. Wcześniej

nigdy w życiu żadnych planów nie robił, jakoś nie starczało na to czasu.

I zacznie od razu. Rozejrzał się. Znajdzie miejsce do mieszkania, potem przeniesie swój dobytek. Dopił piwo, ściągnął koszulę i uważnie ją obejrzał. Uznał, że jeszcze ujdzie, zwłaszcza jak się ją wywróci na lewą stronę. Sprawdził, czy monety siedzą w pasie mocno i na swoich miejscach, opasał się i założył na głowę kapelusz. Miał ich trzy, dobrze wiedział, że ludzie zazwyczaj identyfikują nieznajomych po tego typu drobiazgach. Na dziś wybrał jasnoszary z rondem dobrze chroniącym przed słońcem. Wyglądał w nim nawet jeśli nie jak handlarz, to przynajmniej jak ktoś, kto dla obrotnego handlarza pracuje. Sięgnął do drzwi, a te nagle wystrzeliły w jego kierunku, gruchocząc palce lewej ręki. W ostatnim momencie zdołał zrobić unik głową. Korytarz za drzwiami zasłaniał mężczyzna z bródką, który wyglądał na wielce zadowolonego.

– No i wreszcie dorwałem szczura, prosto w jego norze.

Vuki rozpoznał swego prześladowcę, o którym dopiero co rozmyślał. Jego natura i życiowe doświadczenie w jednej chwili odpowiedziały mu z bezwzględną jasnością, że jeśli chce przeżyć, musi uciekać. Ten człowiek czegoś od niego chciał, czegoś, czego Vuki prawie na pewno nie posiadał. Prawdopodobnie miało to jakiś związek z klanem. Do tego brodacz lubił się wyżywać na słabszych, czerpał radość z dręczenia innych, a to potencjalnie oznaczało wiele bólu. Uciekać, za wszelką cenę uciekać. Vuki bez zastanowienia i zawahania zareagował instynktownie, niczym zagonione w kozi róg zwierzę. Wskoczył do przodu z nadzieją, że uda mu się strącić tamtego ze schodów. Potem się zobaczy. Mężczyzna, zamiast się bronić, sięgnął do czegoś, co miał zawieszony na szyi. Vuki przygotował się do uderzenia ciałem o ciało.

Uderzenie przyszło, ale nie takie, jakiego się spodziewał. Było to bardziej, jakby wpadł na kamienną ścianę. Znalazł się nagle na podłodze ze zranionym ramieniem, wstrząśnięciem mózgu i bolącym karkiem. I z poczuciem dziwnego, szybko ulatującego gorąca w każdym skrawku ciała. Mężczyzna użył przeciw niemu

magii, zaklęcia ukrytego w kamieniu zawieszonym na szyi, zrozumiał Vuki.

– Ty kretynie, gdybym wiedział, że nie masz w łapie noża, poradziłbym sobie z tobą własnoręcznie i nie musiałbym marnować zaklęcia – usłyszał Vuki niczym z oddali, wciąż dochodząc powoli do siebie.

Kopniaka w żebra dostał już całkiem z bliska. Mężczyzna zaciągnął go z powrotem do pokoju, usiadł na jedynym krześle.

– Jestem Daneb Drueri – przedstawił się, jakby to miało wywrzeć na Vukim wrażenie.

Nie wywarło.

– Przyszedłem się dowiedzieć, co wy tu, rumelkowi zasrańcy, kombinujecie. Ty masz z tym wybitnie coś wspólnego i chcę wiedzieć wszystko. Tu i teraz.

Vuki w środku załkał. Wiedział przecież tak niewiele! Nawet gdyby powiedział mu absolutnie wszystko, Drueriego to nie zadowoli, podczas gdy jego dawny pracodawca od razu zorientuje się, że to od Vukiego wypłynęły informacje. Otrzymał uderzenie na odlew przez ucho. Wydawało mu się, że jego bębenek uszny tego nie wytrzymał.

– No to zaczynamy. Właściwie to aż się cieszę na tę naszą pogawędkę. Chcę wiedzieć o wszystkim, w co ten twój szef, tak zwany wielki mistrz Janick, pogrywa. Skurwysyn jeden.

Znów dostał w twarz.

Kilka godzin później, w zapadającym mroku, Vuki szedł drobnymi kroczkami ulicą w towarzystwie Daneba Drueriego. Drobnymi, bo na więcej związane sznurem nogi mu nie pozwalały. Na jedno oko praktycznie nie widział, tak było opuchnięte, nos miał złamany przynajmniej dwukrotnie i popękane żebra. A jeśli to przeżyje, prawdopodobnie przez następnych parę dni będzie sikać krwią. Czarodziej był za to w doskonałym humorze. W ciągu dnia zamówił sobie suty obiad, do którego wychylił parę kieliszków,

a potem jeszcze parę, już pod wieczór. Ostatnią rzeczą, której chciał, było, aby mu Vuki pokazał, gdzie do kanału wypuścił szczury. Vuki, dla którego rzeczywistość była zbyt szara i prozaiczna, wymyślił, że z beczki wypuścił do kanałów kilkadziesiąt szczurów trzymany w klatkach przez samego mistrza Janicka, który owym szczurom osadził zamiast jednego oka rubiny. Tę informację o rubinach palnął już bez kompletnego zastanowienia, ból wydawał się zbyt wielki, by Vuki mógł jasno myśleć. Był przekonany, że zmyśloną bzdurą zachęci Drueriego do dalszego męczenia, jednak wzmianka o klejnotach zdała się go interesować. Być może w jakimś stopniu pasowała do tego, co sam sobie na temat działalności Janicka wymyślił.

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Vuki stanął i się zatoczył.

Było to udawane, ale tylko odrobinę. Wewnątrz cały dygotał ze strachu, że Drueri go zabije. Z drugiej strony wiedział, że nikt mu nie przyjdzie z pomocą, jest zdany na samego siebie. Tyle że po całodziennym biciu i męczeniu był już u kresu sił.

Przed nimi stały resztki muru otaczającego starą, nieużywaną od dziesięcioleci arenę. Nigdy więcej nie chciał tu wracać, tymczasem teraz być może zostanie już na zawsze. Strach i histeria w niczym nie pomogą, przypomniawsza ta silniejsza część jego osobowości, ta, która do tej pory pomagała mu przeżyć.

– Pod drugą bramą, o tam.

Drueri szarpnął powrozem na znak, że ma ruszać dalej. Drugi koniec sznura wieńczyła pętla zarzucona Vukiemu na szyję. Vuki wzrokiem odnalazł kratę starego wjazdu do kanałów.

– Tu je wpuściłem do środka – powiedział.

Drueri obejrzał wjazd do ziejących nieprzeniknionej ciemnością podziemi.

– Sam?

– Nie. Miałem dwóch pomocników, pijaczków takich, opłaciłem ich. Cały ładunek trochę ważył.

Drueri skinął głową ze zrozumieniem.

– Jak będę potrzebował, to znajdę i ich. Teraz zajrzemy sobie na dół.

– W nocy? – Vuki aż się zatrząsnął, ogarnięty nową falą strachu.

Nie wiedział, co wpuścił do podziemi Grafzaty, i z całą pewnością nie chciał się z tym czymś spotkać. Trząsnął się już jak osika, a po potylicy zaczął mu ściekać lodowato zimny pot.

– Co, szcurów się boisz? – roześmiał się Drueri. – No dalej. Pod ziemią jest ciemno i w dzień, więc co za różnica? A ja nie chcę, żeby mi się ktokolwiek przyglądał i zastanawiał, czego tu szukam. Od dawna jest dość sucho, nie powinno za bardzo śmierdzieć. No dawaj, ty pierwszy.

– Ale światła nie mamy – Vuki wciąż próbował wyperswadować mu ten pomysł.

W trakcie ich drogi ściemniło się zupełnie, światło odległych latarni było tak nikłe, że przegrywało z blaskiem księżyca i gwiazd.

– Nie bój się, ja mam. Jestem czarodziejem. Odsuwaj włącz.

– Sam nie dam rady.

To była prawda. Krata zamykająca włącz już na pierwszy rzut oka wyglądała na masywną i ciężką. Vuki słyszał, jak mimo prób, aby się opanować, ze strachu trzęsie mu się głos.

– No dobra, dawaj we dwóch.

Vuki poczuł, jak Drueri upuszcza koniec powroza. Obaj mężczyźni złapali za kraty włączu. Gdyby nie związane nogi, byłby to doskonały moment na ucieczkę, ale niestety, czarodziej spętał go bardzo solidnie. Nawet w trakcie odsuwania pokrywy Vuki wypatrywał dogodnego momentu, jednak nic się takiego nie nadarzyło. I tak ledwo się trzymał na nogach.

– Idź pierwszy – dostał rozkaz.

– Tam jest ciemno, nic nie widzę.

Już nawet nie próbował się opanować, strach nim wręcz telepał. Z drugiej strony mogła to być i okazja. O ile TO tam nie czyhało, mógłby spróbować zgubić się gdzieś w ciemnościach. Zawsze to dawało większą szansę na przeżycie niż liczenie, że Drueri na koniec puści go wolno.

– Złaż, poświęcę ci z góry. – Czarodziej nieomal strącił go w ciemność kopniakiem.

Vuki po omacku odnalazł pierwszą pordzewiałą metalową klamrę wbitą między kamienie, służącą jako szczebel. Ze związanymi nogami nie szło mu to najlepiej, na szczęście klamry nie były umieszczone zbyt daleko od siebie. Bał się tak bardzo, że aż miał trudności z oddychaniem. Po chwili z góry zaczęło przyświecać światło, które nie przypominało mu żadnego źródła, jakie znał. Drueri musiał być doskonale wyposażony w artefakty.

Vuki zstąpił z ostatniej poręczy i poczuł pod stopami piasek i żwir. Odsunął się, aby na dół mógł zejść i czarodziej. Cienie, linie światła i ciemności, tańczyły w rytm jego ruchów. Z bliska Vuki mógł wreszcie zobaczyć, co dawało ten blask – był to kryształ osadzony na krótkiej buławie. Drueri zaczął przyglądać się dnu kanału.

– Jeśli tych szcurów było dużo, a powiedziałeś, że było – spojrzał groźnie na Vukiego, który energicznie przytaknął – prędzej czy później któryś zdechnie. I to raczej wcześniej. Wezmą się między sobą za łby albo zeżrą coś szkodliwego. – Drueri wzruszył ramionami. – Chcę znaleźć jakiegoś zdechłego, muszę się dowiedzieć, o co chodzi z tymi klejnotami. Idziemy. Tędy. – Wskazał na jeden z korytarzy.

Vuki nie miał pojęcia, na jakiej podstawie dokonał wyboru.

– Coś tam widzę. To będą te kamienie – zgadywał Drueri.

Vuki też już to widział. Albo wyczuwał, sam nie był pewien. Drueri musiał mieć niesamowicie wyczulone zmysły. Vuki wiedział, że to nie są żadne rubiny, ale nie miał wyjścia. Czarodziej bezceremonialnie poszturchiwał go od tyłu. Szli uważnie do przodu. Vuki wpatrywał się przed siebie, było mu wszystko jedno, czy się potknie, czy nie. Dziwne przecucie się nasilało. Na pewno tak sobie tylko wmawiam, upewniał się, ale równocześnie uświadomił sobie, że na całym ciele wystąpiła mu gęsia skórka, a między łopatkami zimny pot cieknie strumieniami. Kawałek dalej, gdzie spotykało się więcej odgałęzień, przecucie nasiliło się, oczy aż paliły od zalewającego je potu i znów cały się trząsł.

– Którędy dalej? – spytał Drueriego.

Wcześniej wydawało mu się, że coś w oddali dostrzega, ale teraz już znikło. Z największym trudem jakoś się jeszcze trzymał i miał

coraz większą ochotę, by po prostu położyć się na ziemi i oznajmić, że dalej nie idzie. Dać się skopać na śmierć wydawało mu się lepszym wyborem.

Drueri podszedł do wylotu pierwszego kanału, zaświecił do środka, potem do drugiego. Przy trzecim się zatrzymał.

– Znowu je widzę! Znaleźliśmy je!

Vuki wyjrzał mu zza pleców i rzeczywiście, w ciemności jarzyły się rubinowe punkciki odbijające światło kryształu. Wyraźnie się przy tym poruszały.

– Są jeszcze żywe – zauważył Drueri z niepokojem. – I idą tutaj! – Sięgnął po kordelas.

Vuki jednego był pewien. To nie były szczury. Czerwonych rubinów przybywało, zbliżały się coraz bardziej. Jeszcze chwila i wkroczyły w krąg światła.

Vuki przełknął ślinę. To nie były szczury, niby nie, choć może. Nie był pewien. Kanałem zbliżał się do nich las szczurzych łebków, wyciągniętych na nienaturalnie długich szyjach. Albo strasznie się na siebie pchały, albo miały jakoś szczipione ciała, bo wyglądało to, jakby zmierzał ku nim kobierzec utkany ze szczurów.

– Co to, kurwa, jest?! – wrzasnął czarodziej.

Vuki czuł wzbierającą ze strachu żółć i ledwo utrzymał zawartość żołądka. Szczurzy dywan zbliżał się, falowanie łebków, każdy z parą płonących oczu, sprawiało wrażenie wręcz hipnotyczne. Może najlepiej będzie po prostu sięść i poczekać, aż to przejdzie. Szczurze kobierce przecież nie istnieją.

Drueri kręcił głową, jakby usiłował się z czegoś otrząsnąć.

– Nawet ze mną tego nie próbujcie, zasrane szczurze mordy – mamrotał pod nosem.

Kordelas schował do pochwy i zaczął czegoś gorączkowo szukać po kieszeniach. Vuki już też zdołał się wydostać spod hipnotycznego wpływu falujących szczurzych pysków. W odróżnieniu od Drueriego nie wierzył jednak w to, żeby napór zrosniętych gryzoni dało się jakoś powstrzymać. Teraz z bliska widział już wyraźnie, że były w istocie zrosnięte. Najbardziej przerażający był jednak ich smród. Nie pachniały jak szczury, myszy czy inne stworzenia, czuć je było

pleśnią, zimną, mokrą, oślizgłą pleśnią, i to do tego stopnia, że miał wrażenie, jakby i on sam zaczynał się pokrywać grzybem. Ten smród przenikał go na wskroś, wypełniał jego płuca przy każdym wdechu, sprawiał, że robiło mu się niedobrze. Zwrócić czy się pokalać – to oznaczało poddanie się. A poddanie się oznaczało śmierć. Ale również bój ze zbliżającą się masą oznaczał dokładnie to samo. Co do tego miał jasność.

Drueri miał inne zdanie. Wreszcie w swoich głębokich kieszeniach znalazł to, czego szukał. Był to srebrny łańcuszek z trzema zawieszonymi na nim osobno kamieniami szlachetnymi. Raczej półszlachetnymi, pomyślał Vuki, po czym schylił się, uskoczył na bok, aby nie stać pomiędzy czarodziejem a szcurem kobiercem, i powolutku, krok za kroczkiem zaczął się wycofywać.

Rzecz obserwowała dwóch mężczyzn setkami par oczu równocześnie z kilku stron. Później złożyła te obrazy w jeden, o wiele doskonalszy, pełen detali i zdradzający jej również rzeczy, które nie były dostrzegalne wzrokiem. Byli to ludzie, w odróżnieniu od mnóstwa innych, z którymi się do tej pory zetknęła, żywi, zdrowi i w pełni sił. A do tego nieco inni, jak podpowiadał jeden ze zmysłów, ten, dla którego wciąż nie miała nazwy, mimo że dysponowała już słownikiem, który pozyskała z myśli kilku ludzi. To jednak w niczym nie przeszkadzało. Najważniejsze było, że WIDZIAŁA, CZUŁA...

Mężczyzna przed nią manipulował z... kolejny brakujący termin. Kryształ na łańcuszku postrzegała jako iskry pulsującego żaru – mocy, pomyślała nagle.

Ci dwaj ją zaciekawili, była przekonana, że może się z nich wiele nowego nauczyć, że znajdzie mnóstwo nowych wzorów, które będzie przyjemnie wchłonąć i zanalizować.

Vuki szczęśliwie namacał kamień z ostrą krawędzią, który mógł posłużyć jako prowizoryczne ostrze. Nie spuszczać wzroku z tego, co działo się przed nim, zaczął ciąć sznur pętający mu nogi. Czerwony blask setek, może tysięcy sznurów oczu zlewał się z niebieską poświatą magicznych artefaktów, co nadawało kanałom nieziemski, halucynogeny wygląd.

Drueri ścisnął w dłoni jeden z kamieni i zaczął recytować litanie, która miała mu pomóc skoncentrować się i ożywić linie magicznych diagramów wpisanych w klejnot. Vuki miał gorączkowo. Przerażony, walczący z powrozem, ale i z ogarniającą go paniką, obserwował budzące się w kamieniu struktury i po raz pierwszy w życiu wyraźnie czuł wzbierającą magię.

Rzecz zatrzymała się. Wyostrzyła wzrok, skoncentrowała się mocniej na setkach odrębnych obrazów, by zacząć dostrzegać dalsze szczegóły. To było interesujące. Interesujące i całkiem nowe. Czuła, jak magiczne tło promieniuje wokół, widziała coraz wyraźniej struktury ożywionego diagramu. Postrzegala go jako fascynującą układankę, którą chciała bliżej zbadać.

Drueri dokończył litanie, wyciągnął przed siebie rękę, jakby sam się kryształu bał. Ostatnie słowo wypowiedział na głos, pomimo iż wystarczyło je intensywnie pomyśleć.

Niczego nie było widać ani słyszeć, Vuki jedynie nagle poczuł potworny ból w środku, a chwilę później tysiące sznurów zaczęły przeraźliwie piszczeć. I płonąć.

W jednej chwili Rzecz utraciła jedną trzecią swej masy, tę lepiej uformowaną, inteligentniejszą jedną trzecią. Mogła stracić więcej, bo reszta jej ciała nadal posuwała się naprzód. Nie był to zwykły ogień,

była to niemal epidemia żaru, która szerzyła się niepowstrzymaną falą. Pisk szczurzych łbów osiągał wręcz nietoperze rejestry, kiedy eksplodowały jeden po drugim w pękających bańkach zielonego płomienia. Tworząca je materia rozkładała się w martwy, rzadki śluz. Rzecz zrobiła jedyne, co jej pozostawało, odcięła się od rozpalonego fragmentu ciała, porzucając wraz z nim i ten bezpośrednio zagrożony płomieniem. Kosztowało ją to znaczną część jej masy, ale było to jedyne wyjście.



Kwik płonących szczurów powoli cichł, gryzący dym przyprawiał o wymioty, palił w oczach i dusił, ale na szczęście płynący kanałami prąd powietrza pchał go teraz w przeciwnym kierunku. Drueri wyglądał na oszołomionego, ale wciąż stał.

– Zabiłem to! – powiedział tylko, tępo wpatrując się w oślizgłą masę pod nogami i zerkając na ściskany w ręce łańcuszek, na którym wisiały już tylko dwa kamienie.

– Użyj pozostałych, użyj pozostałych – próbował mu zasugerować Vuki.

W głębi kanału, poza zasięgiem wzroku wciąż wyczuwał ruch. To nie jest martwe, wciąż nie jest martwe, myślał. Równocześnie nie przestawał ciąć. Póki się na tym koncentrował, udawało mu się przemóc strach.



Rzecz była wściekła. Nie podobało jej się to, co się właśnie stało. Nie podobało jej się, że straciła nieomal połowę swego ciała, że bolało to o wiele bardziej niż walka z psami. Psy to była dobrze wypróbowana forma, ale Rzecz nie była przekonana, czy w tej sytuacji wystarczająca. Dodatkowo ten człowiek ją interesował. Wydawał się inny niż wszystko i wszyscy, z którymi się do tej pory

zetknęła. Nie była pewna, czy chce go tak po prostu zabić, pomimo wszystkiego, co jej uczynił.



Słyszając szelest w ciemności, Drueri uniósł rękę z buławą, aby rozświetlić mrok, ale nic to nie pomogło. Z ciemności wyłoniła się sylwetka. Poruszała się niezdarnie, jakby ledwo trzymając się na nogach, z każdą jednak chwilą jej krok wydawał się nabierać pewności.

– Stój! – krzyknął czarodziej, ale nieznajomy nie zareagował.

Vukiemu zapało dech, przecież coś takiego nie było nawet możliwe! Zbliżająca się do nich postać wydawała się zbudowana z tej samej szarozielonej masy co poprzednio szczury. Dostrzegł nawet, jak ostatnie ze szcurzych łbów są powoli wchłaniane w nową formę i rozpływają się na jej piersi. Następnie, dosłownie w mgnieniu oka, szarozielona masa przybrała barwę ludzkiej skóry, zarysowały się linie mięśni i kości.



– Do jasnej cholery, a ty co za jeden? – zaklął Drueri, sięgając po kordelas.

W kolejnej sekundzie na nagim ciele pojawił się pas, czy może to właśnie z ciała wytworzył się pas, a przy nim pochwa z nożem. Drueri lepszej zachęty nie potrzebował. Z przykroku ciął od lewej do prawej, ostrze zrobiło na ciele głęboką ranę, potem błyskawicznie uderzył raz jeszcze, przez gardło. Pojawiła się wielka krwawa rana. Drueri cofnął się, aby krew go nie pochlapała, ale cięcie zasklepiła szarozielona materia, po czym rana znikła bez najmniejszego śladu.

– Noż do cholery, to jeszcze raz – warknął i zaatakował po raz drugi.

Tym razem jednak, ruszając do przodu, nadział się na uniesione ostrze miecza. Zastygł w pół kroku, spojrzał w dół. Szczurzy mężczyzna z początku nie reagował, jakby czekał, co robi przeciwnik. Kiedy nic nie nastąpiło, uniósł rękę z mieczem i nadzianym na niego ciałem. Drueri przez chwilę jeszcze na nim wisiał, po czym oklapł niczym szmaciana kukła.

Rzecz utrzymywała się w formie, która okazała się bardzo przydatna, i zwróciła swoją uwagę na drugiego mężczyznę, siedzącego na ziemi. Może mogłaby przyswoić wzory z obu? Pochyliła się nad nim, ale nagle przeszył ją dotkliwy ból. O wiele gorszy, niż kiedy wojowała ze szczurami i psami. Gorszy, niż kiedy zaatakowało ją zakłęcie. Poczula rozdzierającą wręcz agonię, przenikającą do najdrobniejszych cząstek ciała, grożącą utratą integralności, utratą samej siebie. Próba odczytania tego drugiego nie wydawała się w tej chwili dobrym pomysłem. Rzecz oddaliła się. Poczucie zagrożenia jej egzystencji osłabło. Musiało być więc związane z tym drugim mężczyzną. Nie lubiła, kiedy coś przeciwstawiało się jej woli, ale musiała ustąpić. Na wszystko przyjdzie odpowiedni moment. Najpierw rozprawiała się z robactwem, potem ze szczurami, potem z psami, a teraz była w stanie łowić i pożerać ludzi. Zwróciła całą swą uwagę z powrotem ku mężczyźnie zwisającemu na mieczu. Ostrze zatrzymało się na

żebrach, dzięki czemu wciąż jeszcze żył. Choć niewiele mu już brakowało.

Rzecz przekształciła ostrze w tępo zakończoną szpatułkę tak, aby nie wnikało głębiej do ciała, i położyła na Druerim drugą rękę. Ta w mgnieniu oka rozwidliła się na dziesiątki, setki włókien, każde zakończone maleńką przyssawką, tycimi ustami uzbrojonymi w mikroskopijne zęby. Zaczęła się pożywiać, wchłaniając jednocześnie wzory. Już wiedziała, jak tego dokonać, już się nauczyła, jak utrzymać swą ofiarę jak najdłużej przy życiu. I im więcej wzorów znała, tym bardziej skomplikowane formuły była w stanie przyswoić, skopiować. Najciekawsze struktury z jej obecnej ofiary były diametralnie różne od wszystkich poprzednich. Miały coś wspólnego z mocą.

Vuki przez chwilę jeszcze obserwował, jak dłonie szczuroluda przemieniają się w coraz to cieńsze i cieńsze wici, które następnie wpiły się i wrosły w ciało wciąż żyjącego Drueriego. Przez cały ten czas intensywnie pracował nad swymi pętami, które teraz wreszcie puściły. Pierwsze parę kroków wycofywał się powolutku na czworakach, potem trochę przyspieszył, aż wreszcie odważył się obrócić, wstać i puścić biegiem z powrotem do miejsca, gdzie zstąpili do podziemi. Albo nie zawiodła go pamięć, albo miał wiele szczęścia, ponieważ na każdym skrzyżowaniu zdołał wybrać właściwy kierunek. Po poręczach do góry praktycznie wbiegł. Pędził dalej poprzez ruiny i w głąb ulicy, dopóki nie miał pewności, że od wjazdu do kanału dzieli go kilkaset metrów. Dopiero wtedy padł bez tchu na ziemię.

Przeżył.

Koniec tomu pierwszego

- 1) Nawiązanie do „Bez litości”. ↵
- 2) Matka Zuzanny, przybranej córki Bakly’ego. Fakt, że Zuzanna ma zdolności do manipulowania mocą, rzuca pewne wątpliwości na ogólnie przyjętą opinię, iż jest to wyłącznie cecha dziedziczna. ↵
- 3) Księżna, żona Koniasza. Zob. „Koniec wilka samotnika”. ↵
- 4) El jest pokrótce wzmiankowana w „Końcu wilka samotnika”. ↵
- 5) Czarodziej, któremu Bakly pomógł uciec z cesarstwa w opowiadaniu „Gołymi rękoma”. ↵



STEELHOG.PL



**SROGIE
DODATKI
DO TWOICH
ULUBIONYCH LEKTUR.**

Fot. © Fabryka Słów



MIROSLAV ŽAMBOCH

Urodził się na Morawach w 1972 r. w środku bardzo mroźnej zimy. Beskidy w tym czasie pełne były niedźwiedzi i wilków. Zapewne dlatego do dziś słyszy ich wycie.

Z wykształcenia fizyk. Uwielbia sporty ekstremalne, boks, judo i wbieganie na górskie szczyty, nie licząc wczesnych grzechów młodości, takich jak street fighting, speleologia i żeglarstwo.

Inne zainteresowania: kobiety, wino i śpiew. Czech z krwi i kości.



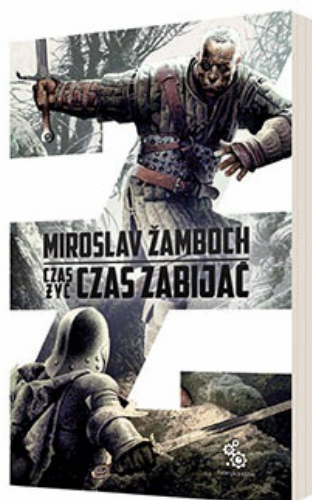


Zupełnie nowa historia o Bakłym, w dwóch tomach. Druga część pod tytułem ***W objęciach śmierci*** już wkrótce.

Chcesz więcej?



Przeczytaj dwie wcześniejsze historie o Bakłym, dostępne w nowej odsłonie graficznej.





JEST JEDNA RZECZ, KTÓREJ **B A K L Y** PRAGNIE PONAD WSZYSTKO. JEDYNA, KTÓREJ NIE MOŻE ZDOBYĆ.

Bakly powraca. Zmęczony życiem i do cna wyczerpany, zbiera resztki sił, by pomóc jedynej osobie, na której mu zależy. Nie myśli już o przyszłości, po prostu robi to, w czym jest najlepszy. Zabija.


Młoda baronówna Münchauzen próbuje uratować od bankructwa posiadłość dziadka, nawiązując stosunki handlowe z bogatymi kupcami i szlachtą w Grafzatzy.

Wielki mistrz klanu Rumelkowego desperacko stara się rozwikłać sekret starożytnego magicznego artefaktu, który ma nadzieję wykorzystać jako broń w nadchodzącej globalnej wojnie.

Mroczna magia odradza się i rośnie w siłę tuż pod stopami mieszkańców miasta. Nic nie jest tym, czym się wydaje. Wszystkie ścieżki w końcu splecą się w węzle walki o najwyższą stawkę.



 /fabryka

 /fabrykaslow